

# GALAKTYKA I



Radziecka fantastyka naukowa

Galaktyka I

Wybór Tadeusz Gosk i Sławomir Kędziński

# Słowo wstępne

Antologia, której pierwszy tom przedstawiamy czytelnikom, nie jest pierwszą prezentacją radzieckich opowiadań fantastyczno–naukowych w Polsce. Ukazały się przecież między innymi „Biały stożek Ałaidu” (1961), „Alfa Eridana” (1962), „W pogoni za węzłem morskim” (1967), „Wynalazca wieczności” (1978) czy też „Okno w nieskończoność” (1980). Poza tym radziecka nowelistyka SF prezentowana była niejednokrotnie w almanachach „Kroki w nieznanie”, w serii „Stało się jutro” oraz na łamach czasopism. Czy oznaczało to jednak, że jest ona znana i doceniana, zwłaszcza przez nowe pokolenie miłośników fantastyki? Chyba nie. Przecież, jak nietrudno spostrzec, wszystkie wymienione wyżej pozycje stały się na dobrą sprawę „cymeliami” rzadko spotykanymi w antykwarycznym obiegu i bibliotekach. Niewątpliwie jest to spora strata, gdyż właśnie prezentacja krótkich form literackich stwarza wspaniałą możliwość przedstawienia tego, tak popularnego w Związku Radzieckim gatunku i wyjścia poza zamknięty krąg kilku, świetnych co prawda, ale jednak niezbyt licznych nazwisk. Zasadność dokonania i opublikowania takiego wyboru jest więc oczywista, problem polega jednak na tym, jak takiego wyboru dokonać.

Przygotowanie antologii jest zawsze procesem subiektywnym. Dochodzą w nim do głosu indywidualne gusty, zainteresowania, a nawet sympatie, nie zawsze łatwe do racjonalnego wytłumaczenia. Wypadałoby tu więc wysunąć pewne dość chyba istotne zastrzeżenie. To, z czym się zetknie czytelnik na kartach tej antologii, jest przede wszystkim próbą zaprezentowania utworów ciekawych, charakterystycznych dla radzieckiej powojennej fantastyki i — rzecz chyba istotna — stanowiących zajmującą, dobrą lekturę. Wszelkiego rodzaju zobowiązania historycznoliterackie czy akademickie odgrywałyby drugoplanową rolę. I dlatego też w tym tomie znalazły się obok opowiadań autorów znanych, o ustalonej renomie i bogatym dorobku, również utwory pisarzy wypowiadających się rzadko, niekiedy nie znanych jeszcze polskim czytelnikom.

Wypada tu zauważyć, że losy fantastyki: w Związku Radzieckim tuż po wojnie były trudne. Miała ona wprawdzie świetne tradycje — w latach dwudziestych fantastyką zajmowali się przecież Aleksy Tołstoj i Michał Bułhakow, ale na początku lat powojennych, przy obowiązującej wówczas w ZSRR poetyce realizmu socjalistycznego, wydawało się, że nie ma tam miejsca na coś takiego, jak maszyny czasu, podróże kosmiczne czy spotkania z innymi cywilizacjami. Niejaką (i nijaką) próbą połączenia wymagań socrealizmu z marzeniami o przyszłości była tak zwana „fantastyka bliskiego zasięgu”, którą tak wspaniale wyszydzili Strugaccy w swojej powieści „Poniedziałek zaczyna się w sobotę” (1970).

Pisarzem, który zapoczątkował odrodzenie fantastyki o wielkim, w czasie i przestrzeni, rozmachu był niewątpliwie Iwan Jefriemow, którego utwór otwiera pierwszy tom GALAKTYKI. Czytelnikom, mającym w pamięci przede wszystkim „Mgławicę Andromedy” (1961), utwór, który swą wizją Wielkiego Pierścienia, wizją społeczeństwa dalekiej przyszłości przełamał bariery stawiane przed fantastyką naukową, opowiadanie „Tajemnica Hellenów” może wydać się nietypowe. Niesłusznie jednak — po prostu ukazuje ono nieco inny nurt twórczości Jefriemowa, jego zainteresowania

antykiem, problemami estetyki, które często powracały w innych jego utworach. Jest zresztą doskonałym przykładem, że radziecka fantastyka, wychodząc z kręgu „krótkodystansowych” zainteresowań, bardzo szybko zaczęła rozwijać się w kilku kierunkach. Powstawały opowiadania zarówno o wyraźnie klasycznej proweniencji, w których miejscem akcji był kosmos, gdzie przenoszono się w czasie, w rozmaity sposób stykano się z cywilizacjami pozaziemskimi, jak i utwory, w których element fantastyczny służył do wysnuwania pewnych myśli o charakterze filozoficznym. Równolegle wykształciły się też i inne formy — jak na przykład „na wpół prawdopodobne historie” Szefnera, osadzone w rzeczywistości, w konkretnych realiach codzienności, ale jednocześnie z silnie zaakcentowanym elementem fantastycznym, oddziałującym na osobowość bohatera jak katalizator jego pozytywnych i negatywnych cech. Pojawia się również fantastyka poetycka o symbolicznym charakterze, odnajdujemy też fantastykę humorystyczną, w której celuje Warszawski (nie gardząc zresztą poważniejszą tematyką). Podobnie dużą swobodę poruszania się w różnych typach SF prezentuje Kirył Bułyczow, pisząc zarówno utwory tradycyjne, jak też fantastykę dla dzieci, czy też niepowtarzalny w nastroju cykl opowiadań rozgrywających się w Wielkim Guslarze. Nie zawsze jednak można było pokazać różnorodność czy też ewolucję pisarzy. Taki właśnie problem pojawił się w przypadku Strugackich czy Michajłowa. Strugaccy, bez których antologia byłaby niekompletna od początku wypowiedzieli się prawie zawsze w większych formach literackich (obydwa zamieszczone w GALAKTYCE teksty są autonomicznymi fragmentami dwóch powieści). Michajłow zaś, pisarz bardzo ciekawy o stale rozwijającym się talencie i wielkich możliwościach twórczych, również od pewnego czasu przestał paruć się nowelistiką.

Co jednak wydaje się w tych wszystkich utworach najważniejsze, co stanowi ich wspólny mianownik? Kiedy przyjrzymy się im bliżej, spróbujemy zastanowić się nad intencjami pisarza, widzimy, że prawie zawsze pod zajmującą fabułą, sensacyjnym wydarzeniem, humorystyczną sytuacją ukrywa się pytanie o człowieka. Scenerie są fantastyczne, sytuacje też, ale zasygnalizowane problemy są ważne, a lekka forma nie zawsze ukrywa błahą treść.

Nie jest to oczywiście specyfika wyłącznie radzieckiej fantastyki, ale cecha dobrej, nie tylko fantastycznej literatury, bez względu na to, w jakim języku została napisana.

*Sławomir Kędziński*

*Iwan Jefriemow*  
*Elinskij siekriet*

# Tajemnica Hellenów

*Tajemnica Hellenów to drugi w moim życiu utwór literacki, napisany wkrótce po opowiadaniu Spotkanie z Tuskarorą. Napisałem go w 1942 r. do serii Opowieści o rzeczach niezwykłych pod ogólnym tytułem Siedem rumbów, ale nie został opublikowany. W owym czasie, kiedy nie znano jeszcze cybernetyki i biologii molekularnej, idea pamięci „genowej”, leżąca u podstaw mego Opowiadania, odczytana została jako swego rodzaju mistycyzm. Jednakże kwestia ta nurtowała mnie przez całe następne lat dwadzieścia i wreszcie myśl, niejasno jeszcze sprecyzowana w Tajemnicy Hellenów, znalazła pełny wyraz w powieści Ostrze brzytwy (1959–1963). Celowo pozostawiłem opowiadanie w pierwotnym kształcie, żeby pokazać czytelnikom, jak dawne pomysły obrosły nową tkanką w wyniku gigantycznych osiągnięć nauki, dokonanych w połowie naszego stulecia.*

— Jestem bardzo wdzięczny wam wszystkim — cicho powiedział do zebranych profesor Izrael Abramowicz Fajncymmer, a jego głęboko zapadłe ciemne oczy rozświetliły się blaskiem. — Dziękuję, że w ciężkich latach wojny nie zapomnieliście o moim jubileuszu... Postaram się zrewanżować opowieścią o pewnej niezwykłej historii z ostatnich lat. My, uczeni, nie lubimy odsłaniać teorii nie potwierdzonych jeszcze licznymi faktami, a tym bardziej mówić o faktach nie znajdujących wyjaśnienia, dlatego proszę przyjąć mą opowieść za dowód szacunku i uznania, jakie żywię dla was.

Jak wiecie, życie swe poświęciłem badaniu ludzkiego mózgu i funkcji psychiki. Tę najciekawszą dziedzinę nauki traktowałem niejednostronnie, nie ograniczając się ramami wąskiej specjalności, starałem się budowę i czynność mózgu ogarnąć w całej złożoności tego aparatu służącego do myślenia. Byłem gorliwym anatomem, fizjologiem, psychiatrą i tak dalej, zanim nie trafiłem na obecną swoją specjalność — psychofizjologię mózgu. W ostatnich latach usilnie pracowałem nad wyjaśnieniem istoty pamięci i muszę się przyznać, że osiągnąłem bardzo mało, zbyt trudne to zadanie. Poruszając się po omacku w chaosie nie wyjaśnionych faktów, błędząc jak w ciemnościach w ogromie skomplikowanych, uzależnionych wzajemnie komórek nerwowych mózgu, zebrałem jedynie oddzielne okruchy wiedzy, nie będąc w stanie stworzyć z nich wiarygodnego fundamentu nauki o pamięci. Przypadkowo trafiłem na szereg zjawisk bardzo jeszcze niejasnych, o których jak dotąd nie zamierzałem nic publikować. Zjawiska te nazwałem pamięcią pokoleń lub pamięcią genetyczną. Nie będę tu nic udowadniał, powiem tylko, że drogą dziedziczenia przekazuje się szereg bardzo skomplikowanych, nieświadomych, niekiedy całkiem automatycznych funkcji układu nerwowego żywej istoty. Instynkty i różne odruchy nie mogą pochodzić, jak sądzę, wyłącznie z podkorowych, niższych warstw mózgu. Bierze w tym udział niewątpliwie sama kora mózgowa, a co za tym idzie, cały mechanizm jest znacznie bardziej złożony niż dotąd sądzono. Uproszczenie mechaniki instynktu to największy błąd współczesnej fizjologii. Ale to jeszcze nie jest pamięć, pamięć stoi znacznie wyżej w łańcuchu coraz bardziej skomplikowanych mechanizmów kierujących percepcją i uświadomieniem sobie otaczającego nas świata. Jak mówi współczesna nauka, pamięci się nie

dziedziczy, a więc te obrazy świata zewnętrznego, które są przechowywane w mózgu i gromadzone tam przez całe życie danego osobnika, na zawsze giną z chwilą jego śmierci i w żaden sposób nie wzbogacają, nie przekazują niczego następnym pokoleniom.

Istota mego odkrycia polega na tym, że znalazłem fakty świadczące o przekazywaniu pewnych danych zakodowanych w pamięci drogą dziedziczenia z pokolenia na pokolenie. Proszę mi wybaczyć ten długi wstęp, ale sprawa jest na tyle złożona, że muszę was uprzednio przygotować, w innym razie moją niezwykłą historię tłumaczyć sobie będziecie mistyką i innymi diabelstwami. Proszę się nie śmiać, jest to przecież powszechna, czy niemal powszechna, słabość rodzaju ludzkiego. Nie pierwszy i nie ostatni fakt wiarygodny, ale całkiem dla was niewytłumaczalny, uznacie za nadprzyrodzony.

Wracam do tematu. Zauważyliście wszyscy, ale z niczym nie wiązałyście tego faktu, że na przykład piękno form, czy to architektury, czy jakiegoś pejzażu, czy ludzkiego ciała itd., odczuwane jest i w gruncie rzeczy jednakowo oceniane przez wszystkich ludzi o najróżnorodniejszym stopniu rozwoju i wykształcenia. A jeśli piękno to przeanalizuje odpowiedni specjalista: budowlę architekt, pejzaż geograf, ciało anatom, od razu powie, że piękno jest doskonałością w aspekcie funkcjonalności, celowości, oszczędności materiału, wytrzymałości, siły, szybkości. Sądzę, że doświadczenie niezliczonych pokoleń umożliwiło nam podświadome rozumienie doskonałości, odbieranej jako piękno, i to rozumienie znajduje swoje odbicie w pamięci, tej podświadomej pamięci, którą dziedziczy się z pokolenia na pokolenie. Są też inne przykłady tej podświadomej pamięci pokoleń, ale teraz nie będę o nich mówił.

Według współczesnej nauki pamięć jest gromadzona w komórkach utworzonych przez ogromnie skomplikowane sploty nerwów mózgowych, gromadzona w ciągu indywidualnego życia każdego człowieka. Dodam tu, że ponieważ otaczająca nas przyroda od setek wieków jest w ogólnych zarysach ciągle ta sama, niektóre z tych komórek kształtowały się jednakowo u wszystkich ludzi z pokolenia na pokolenie i wreszcie zaczęły być przekazywane drogą dziedziczenia. Ta właśnie nieświadoma lub podświadoma pamięć pokoleń stanowi jednakową dla wszystkich kanwę myślenia, niezależnie od wykształcenia i wychowania. Badania prowadzone w tym kierunku są bardzo trudne i nie mam jeszcze ani jednego faktu sprawdzonego doświadczalnie.

Jednakże idę dalej i dopuszczam możliwość, że w rzadkich wypadkach kombinacje komórek pamięci mogą być dziedziczone, zachowując pamięć przeszłych pokoleń, jak gdyby wypływając na powierzchnię świadomości.

Faktami znanymi, lecz zazwyczaj uważanymi za niewiarygodne, jest bardzo dokładne opisywanie przez ludzi miejsc, w których nigdy nie byli, zdarza się też, że ludzie we śnie odtwarzają ze szczegółami minione wydarzenia, których nie byli świadkami i o których nie słyszeli. Wszystkie temu podobne zjawiska mistycy i inni cudacy uważają za dowód wędrówki dusz, a uczeni tylko wzruszają ramionami, jak małpa, która nie ma nic do powiedzenia. Zapewne są ludzie o bardziej wyostrej pamięci pokoleń i odwrotnie; całkowicie jej pozbawieni.

Tak więc, moi drodzy, teraz, w dniach wielkiej wojny, nieoczekiwanie otrzymałem dowód na to, że pamięć pokoleń naprawdę istnieje. Wojna zmusiła mnie do oderwania się od czysto naukowej pracy. Taki już mam charakter, że musiałem wziąć bezpośredni udział w pracach służby medycznej Armii Czerwonej i zostałem konsultantem kilku wielkich szpitali, gdzie liczne kontuzje, szoki, psychozy i inne urazy mózgu wymagały zastosowania całej zdobytej przeze mnie wiedzy.

W domu bywałem tylko nocami. W moim mieszkaniu na bulwarze Srietenskim zasiadałem zazwyczaj w fotelu przy biurku, odpoczywając i jednocześnie rozmyślając o sposobach leczenia szczególnie trudnych przypadków. Niekiedy zapisywałem ważniejsze fakty albo szperałem w książkach polując na opisy podobnych przypadków klinicznych.

Przywykłem do takiego właśnie spędzania czasu. Z przyjaciółmi i kolegami naukowcami widywałem się rzadko, nie miałem na to czasu, ponieważ późno wracałem do domu, a rozmów przez telefon bardzo nie lubię i korzystam z tego urządzenia tylko w wyjątkowych sytuacjach. To moje niezwykle zdarzenie miało miejsce w taki właśnie zwykły, spokojny wieczór. W ciszy, zakłócanej jedynie czasem ohydny piskiem tramwajów na zakręcie, jedna za drugą napływały mi do głowy precyzyjne myśli. Rozmyślałem o przypadku utraty mowy u pewnego starszego lejtnanta kontuzjowanego wybuchem miny. Zaledwie jednak zacząłem dochodzić do jakichś konkluzji, kiedy zadzwonił telefon. Ten niespodziany dźwięk zabrzmiał w ciszy pełnego skupienia wieczoru tak głośno, że aż się wzdrygnąłem podnosząc słuchawkę. Moje wyczulone ucho lekarza uchwyciło nerwowe napięcie w głosie człowieka upewniającego się, czy jest to mieszkanie profesora Fajncymmera. I odbyła się następująca rozmowa:

— Profesor Fajncymmer?

— Tak.

— Proszę wybaczyć, że dzwonię tak późno. Telefonowałem pięć razy w ciągu dnia, aż wreszcie powiedziano mi, że nigdy nie wraca pan do domu przed jedenastą.

— Nic nie szkodzi, nie kładę się spać wcześniej niż o pierwszej. Czym mogę służyć?

— Skierował mnie do pana profesor Nowgorodcew. Powiedział, że tylko pan może mi pomóc. Dodał jeszcze, że będę dla pana interesującym obiektem. Pomyślałem więc...

— Dobrze. Kim pan jest?

— Jestem lejtnantem, byłem ranny, niedawno wyszedłem ze szpitala i muszę...

— Musi pan zobaczyć się ze mną. Jutro o godzinie drugiej na pierwszym oddziale drugiej kliniki chirurgicznej. A, zna pan adres... Dobrze, proszę zapytać o mnie, zaprowadzą pana.

Gdy umilkł głos mamroczący nieśmiało podziękowanie, odwiesiłem słuchawkę. Nazwisko mego przyjaciela, chirurga, który nieraz wynajdował dla mnie ciekawe przypadki chorób, świadczyło o tym, że pacjent jest godny uwagi. Spróbowałem odgadnąć, o co tu może chodzić, potem jednak uznałem, że takie zgadywanki nie mają sensu, zapaliłem papierosa i powróciłem do przerwanych rozmyślań o kontuzji.

Szpital specjalistyczny, w którym pracowałem, zajmował wspaniały budynek, a ja często korzystałem z gabinetu chirurga naczelnego. O godzinie drugiej byłem już na korytarzu kliniki i szedłem wzdłuż wielkich okien miękkim chodnikiem doskonale tłumiącym dźwięk kroków. Przy ostatnim oknie stał człowiek z ręką na temblaku. Podeszedłszy bliżej, zobaczyłem jego skupioną i zmęczoną, młodą twarz. Bluza wojskowa ze śladami niedawno odprutych naszywek lejtnanckich bardzo pasowała do jego sprężystej, zgrabnej, atletycznej sylwetki. Ranny pośpiesznie podeszedł do mnie.

— Profesor Fajncymmer, prawda? Od razu wyczułem, że to pan. To ja do pana dzwoniłem.

— Doskonale, chodźmy! — otworzyłem drzwi i wprowadziłem go do gabinetu.

— No więc poznajmy się — i jak zwykle to czyniłem, wyciągnąłem do niego rękę. Ranny lejtnant, bardzo zmieszany, podał mi lewą rękę (prawa bezwładnie opierała się na szerokim temblaku koloru khaki) i wymienił swoje nazwisko:

— Wiktor Filipowicz Leontjew.

Zapaliłem i chciałem poczęstować gościa papierosem, ale odmówił. Siedział pochylony do przodu, a jego długie giętkie palce zdrowej ręki nerwowo obmacywały rzeźbione upiększenia masywnego biurka. Z zawodową uwagą studiowałem powierzchowność lejtnanta.

Regularna twarz z cienkim nosem, gęstymi, wyraźnymi brwiami i małymi uszami. Ładny rysunek ust, ciemne włosy i ciemnobrązowe oczy. Wrażliwa i namiętna natura, pomyślałem, dostrzegając



speszony, jakby przepaszający wyraz jego twarzy, charakterystyczny dla ludzi bardzo nerwowych lub bardzo chorych. Kiedy wyczekująco patrzyłem na niego, spojrzął mi ze dwa razy w oczy i natychmiast odwrócił wzrok, z wysiłkiem przełykając ślinę. Wagotonik, przemknęło mi przez myśl.

Wreszcie lejtnant, wyraźnie się denerwując, tak że brakło mu oddechu, zaczął mówić cichym głosem. Uśmiechnął się i wprost mnie oczarował tym przelotnym, lecz jakże jasnym uśmiechem, który całkowicie usunął zmęczony smutek z jego bardzo jeszcze młodej twarzy.

— Profesor Nowgorodcew powiedział mi, że pan od dawna studiuje różne trudne do wyjaśnienia przypadłości mózgowie. Profesor Nowgorodcew to bardzo taktowny człowiek, do końca życia będzie go wspominał z wdzięcznością... Jestem teraz w złym stanie, męczą mnie halucynacje i jakieś narastające, dziwne napięcie. Mam wrażenie, że lada chwila zwariuję. W dodatku ta bezsenność i silne bóle głowy, o tutaj — dotknął ręką górnej części potylicy. — Różni lekarze w różny sposób próbowali mnie leczyć, ale bezskutecznie.

— Proszę opowiedzieć, w jakich okolicznościach został pan ranny — zażądałem, i znów czarujący uśmiech na chwilę odmienił jego twarz.

— O, nie sądzę, żeby to miało związek z moją chorobą. Zostałem ranny odłamkami miny w przegub prawej ręki, ale nie było żadnej kontuzji. Odłamek zdruzgotał kość, którą później mi usunięto. Kiedyś zrobią mi przeszczep kości, a na razie ręka majta się jak bat.

— A więc ani podczas ranienia, ani później nie zauważono u pana żadnych oznak kontuzji?

— Żadnych.

— A kiedy po raz pierwszy zwrócił pan uwagę na swój dziwny stan psychiczny?

— Niedawno, jakieś półtora miesiąca temu... Tak, chyba kiedy jeszcze leżałem w szpitalu, wraz z powrotem do zdrowia narastał we mnie jakiś niepokój. Potem to minęło, a teraz proszę, co się ze mną dzieje. A już minęły ponad dwa miesiące od czasu, jak wyszedłem ze szpitala.

— Jak pan sądzi, od czego wzięła początek pańska choroba?

Lejtnant walczył z narastającym zmieszaniem. Postanowiłem mu pomóc i surowo oświadczyłam, że jeśli spodziewa się czegoś ode mnie, powinien dostarczyć mi jak najwięcej faktów. Nie jestem prorokiem ani znachorem, jestem tylko naukowcem, który do rozwiązania każdego problemu musi mieć określoną bazę faktograficzną. Niech się nie krępuje, mam dziś dość czasu, i niech mi opowie wszystko szczegółowo. Ranny, stopniowo zwalczając swą nieśmiałość, zaczął opowiadać, początkowo zacinając się, z wysiłkiem dobierając słowa, ale potem przywykł do tego, że słucham go ze spokojną uwagą, i zrelacjonował całą swą historię z literackim wręcz zacięciem.

Przed wojną lejtnant Leontjew był rzeźbiarzem. Przypomniałem sobie, że niektóre z jego prac miałem okazję widzieć na jednej z wystaw na Kuznieckim. Były to przede wszystkim niewielkie statuetki sportsmenów, tancerek i dzieci, wykonane w sposób prosty, ale z głębokim znawstwem natury ruchu i budowy ciała, właściwym jedynie naprawdę utalentowanym ludziom.

Artysta sam uprawiał sport i był dobrym pływakiem. Na jakichś zawodach pływackich poznał Irmę, która olśniła go wręcz doskonałym pięknem ciała. Oczy lejtnanta błyszczały jakimś głębokim wzruszeniem, kiedy opowiadał o swojej ukochanej, a ja bardzo żywo, nawet jakby z pewną zawiścią, wyobraziłem sobie tę piękną młodą parę. Trzeba mieć serce zakochanego i duszę artysty, żeby tak żywo, prosto i zwięźle opowiedzieć o kochanej dziewczynie. Krótko mówiąc, lejtnant całkiem mnie podbił i oczarował swą Iriną, chociaż nigdy jej nie widziałem.

Wraz z tą miłością, harmonijnie łączącą zachwyty artysty i szczęście zakochanego, spłynęło na Leontjewa nieodparte pragnienie wykonania dzieła, w którym mógłby podzielić się z wszystkimi ludźmi tym wspaniałym, doznawanym aktualnie uczuciem. Postanowił wykonać posąg swej ukochanej, by oddać w nim cały blask jej istoty, cały ogień życia. To początkowo niejasne pragnienie

stopniowo nabierało kształtów i wreszcie całkowicie go opanowało.

— Rozumie pan, profesorze — powiedział pochylając się ku mnie — ten posąg nie tylko miałby służyć światu, nie tylko wyrażałby moją ideę, ale świadczyłby o wielkiej wdzięczności, jaką jestem winien Irinie.

Doskonale go rozumiałem.

Pomysł artysty bardzo szybko nabrał kształtów — Leontjew nie rozstawał się ze swoją ukochaną. Przez długi jednak czas nie mógł się zdecydować, z jakiego materiału wykonać rzeźbę. Nie nadawała się widmowa biel marmuru, również nie odpowiadała mu podkreślona śniadość brązu. Inne stopy albo pozbawiały obraz życia, albo były nietrwałe, artysta zaś chciał na wieki zachować piękno swej Iriny.

Rozwiązanie problemu nasunęło się Leontjewowi po przestudiowaniu starogreckich autorów, którzy wspominali o nie zachowanych do naszych czasów posągach z kości słoniowej. Kość słoniowa — oto właściwy materiał, spoisty, umożliwiający wykonanie najmniejszych detali, tych właśnie, które jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej ożywiają posąg. Poza tym kolor, idealnie równa powierzchnia i wielka wytrzymałość — tak, ten materiał wart był tego, żeby go szukać.

Wiedząc, że fragmenty kości mogą być sklezione bez śladów, Leontjew cały swój czas poświęcił na skupowanie i dobieranie odpowiednich kawałków kości słoniowej. Trzeba zaznaczyć, że było to bardzo trudne zadanie, gdyż w naszym kraju kość słoniowa nie jest w powszechnym użyciu. Być może Leontjew nie zdobyłby całego potrzebnego materiału, gdyby nie pomoc uzyskana od przyjaciela geologa, który akurat wtedy na północnym wybrzeżu Syberii odkrył wielkie cmentarzysko mamutów. Zalegając w wiecznej zmarzlinie na nadbrzeżnych terasach, kły mamutów były tak świeże, jak gdyby należały do zwierząt, które zginęły dopiero wczoraj, a nie dwanaście tysięcy lat temu. Leontjew szybko znalazł odpowiednio dużo kawałków wspaniałej kości i wrócił do Moskwy, chcąc natychmiast przystąpić do pracy.

Wybuchła jednak wojna i znalazł się daleko od ukochanej, od świata swych marzeń. Uczciwie spełniał obowiązek żołnierski, dzielnie walczył o wszystko to, co drogie mu było w kraju ojczystym, a dwa miesiące później znów trafił do Moskwy po ciężkim zranieniu. Spotkała go tutaj ta sama Irina — niemal wcale nie zmieniona, tylko jeszcze bardziej czuła dla niego, rannego, a jej dawna beztraska wesołość przekształciła się w pełen zadumy smutek.

Dawne marzenia z nową siłą ogarnęły artystę. Teraz jednak były zatrute świadomością, że jedną ręką nie będzie w stanie wykonać rzeźby, a jeśli nawet spróbuje, to cały jego twórczy entuzjazm zostanie roztrwoniony na borykanie się z trudnościami samego wykonawstwa, które będzie trwało zabójczo długo. Wraz ze świadomością bezradności pojawił się strach: dopiero teraz tak naprawdę pojął groźną, niszczycielską siłę współczesnej wojny. Strach, że nie zdąży zrealizować swego pomysłu, uchwycić, uwiecznić momentu rozkwitu urody Iriny, sprawiał, że już w szpitalu bezsilnie miotał się na łóżku albo nie spał po całych nocach w okowach nie kończących się rozmyślań.

Myśl szalała w poszukiwaniu jakiegoś wyjścia, niepokój przenikał w głąb świadomości i rosło napięcie nerwowe.

Pływały tygodnie i to podniecenie psychiczne stawało się nie do wytrzymania. Coś unosiło się z samego dna duszy i trzepotało się w poszukiwaniu wyjścia, coś trudnego do wyobrażenia, wielkiego. Leontjew miał wrażenie, że powinien coś sobie przypomnieć, a wówczas znajdzie ujście dla kipiącej wewnątrz siły, powróci dawna jasność świata. Mało spał, mało jadł, trudno mu było komunikować się z ludźmi. Nawet podczas snu dawała o sobie znać napięta w mózgu struna. Najczęściej zamiast snu w półświadomości pojawiały mu się całe korowody obrazów myślowych. Wydawało się, że jeszcze chwila i pięknie struna wibrująca w mózgu, i ogarnie go całkowite pomieszanie zmysłów. Tak

więc po kilku nieudanych próbach z innymi lekarzami Leontjew zgłosił się do mnie.

Spytałem, czy nie było powtarzających się halucynacji, czy leż, jak sam je określił, obrazów myślowych. Lejtnant tylko pokręcił głową i powiedział, że pytanie to zadawali mu wszyscy poprzedni lekarze.

— I cóż z tego — zaproponowałem — wszyscy musimy mieć te same punkty oparcia, bo przecież korzystamy z tej samej nauki. Ale ja zadam to pytanie w inny sposób. Proszę sobie przypomnieć, czy nie ma w pana wizjach czegoś wspólnego, jakiejś głównej, przewodniej idei?

Leontjew po krótkiej zadumie ożywił się i powiedział krótko:

— Jest niewątpliwie.

— Co to takiego?

— Chyba starożytna Grecja.

— Chce pan powiedzieć, że wszystkie obrazy oglądane w myślach są w jakiś sposób związane z pańską wizją Hellady?

— Tak, niewątpliwie.

— Dobrze. Proszę się skupić, niech pan pozwoli spokojnie płynąć myślom i dla przykładu proszę opisać mi ze dwie lub trzy swoje halucynacje, najbardziej wyraziste, mające zakończenie.

— Wyrazistych jest dużo, ale żadna z nich nie ma zakończenia, profesorze. Rzecz w tym, że każda z moich wizji stopniowo jak gdyby rozplywa się we mgle, oddala się i urywa.

— To bardzo ważne, co pan powiedział, ale o tym potem, teraz potrzebne mi są przykłady pańskich obrazów myślowych.

— Oto jeden z najbardziej wyrazistych: brzeg spokojnego morza w jasnym słońcu. Topazowe fale leniwie napływają na zielonkawy piasek i dochodzą niemal do skraju niewielkiego zagajnika ciemnozielonych drzew o gęstych, rozłożystych koronach. Po lewej stronie niska nadbrzeżna równina poszerzając się ucieka w błękitną dal, w której niewyraźnie rysują się kontury niewielkich zabudowań. Na prawo od zagajnika stromo wznosi się skaliste zbocze. Widać na nim krętą drogę, która skrywa się potem za drzewami... — Lejtnant zamilkł i popatrzył na mnie z poprzednim zażenowaniem. — I to już wszystko, co mogę panu powiedzieć, profesorze.

— Doskonale, doskonale, ale po pierwsze, skąd pan wie, że to Hellada, a po drugie, czy te widzenia nie przypominają obrazów malarzy, którzy właśnie tak wyobrażali sobie Helladę?

— Trudno powiedzieć, skąd wiem, że to Hellada, ale całkowicie jestem o tym przekonany. I żadne z mych widzeń nie jest odbiciem obrazów o tematyce starożytnej. A jeśli chodzi o szczegóły, są tu rzeczy zarówno podobne jak i niepodobne do tego, co na podstawie literatury pięknej wiem o starożytności.

— No cóż, nie chcę już pana więcej męczyć. Proszę jeszcze przypomnieć sobie jakiś obraz, i na tym skończymy na dzisiaj.

— Znów wysokie kamieniste zbocze dyszące żarem. Pnie się nań wąska dróżka pokryta białym gorącym pyłem. Oślepiające światło w falującej mgiełce rozgrzanego powietrza. Wysoko, na skraju urwiska widać drzewa, a za nimi białą budowlę z rzędem wspaniałych kolumn. I to wszystko...

Opowiadania lejtnanta nie odłoniły mi żadnych pęknięć w murze tajemnicy, nic takiego, o co mógłbym zahaczyć myśl. Pożegnałem się ze swym nowym pacjentem bez przekonania, że naprawdę potrafię mu pomóc, i obiecałem, że za jakieś dwa dni, przemyślawszy wszystko, co powiedział, zadzwonię do niego.

Przez następne dwa dni byłem bardzo zajęty, i czy to dlatego, że ze zmęczenia mózg mi gorzej funkcjonował, czy dlatego, że nie przyszła jeszcze pora na ostateczne wnioski, nie mogłem nic powiedzieć na temat choroby Leontjewa. Jednakże kończył się wyznaczony termin i wieczorem, z

poczuciem winy, podniosłem słuchawkę telefonu. Leontjew był w domu. Ze wstydem uchwyciłem cień nadziei w jego głosie. Powiedziałem, że w nawale pracy nie mogłem jak należy przemyśleć jego sprawy i dlatego zadzwonię Jeszcze raz za kilka dni. Spytałem go, czy znów miał jakieś wizje.

— Oczywiście, i to dużo, profesorze! — odparł Leontjew. Poprosiłem, żeby opowiedział mi przez telefon najciekawszy z obrazów, i oto co usłyszałem:

— Wysoko nad morzem stoi biała budowla, a jej portyk z wysokimi kolumnami niebezpiecznie zwisa nad przepaścią. Biała kolumnada z obu stron portyku tonie w zieleni drzew. Do wejścia prowadzą białe schody z balustradą z brył marmurowych, ułożonych tak dokładnie jak uczą tego zasady geometrii. Górny skraj balustrady jest łagodnie zaokrąglony, a w dole widać płaskorzeźby biegnących obnażonych postaci. Na każdym stopniu skalnym szeroki placyk obsadzony cyprysami, a na nim posągi. Nie mogę przyjrzeć się tym posągom, przeszkadza mi oślepiający blask słońca na marmurowych schodach...

Skończywszy rozmowę, usiadłem wygodnie w fotelu i długo rozmyślałem o dziwnej chorobie Leontjewa. Nie chcę tu opisywać wszystkich moich prób rozwiązania problemu. Są równie nieciekawe jak ciąg faktów naszej powszedniej egzystencji, nieciekawe, dopóki nie zdarzy się coś, co nagle wszystko odmieni.

Coś takiego właśnie się zdarzyło. Napięcie myśli wywołało nagły błysk, przyszło olśnienie, że majaki artyści są fragmentami jednej całości w jej stopniowym rozwoju. A jeśli tak, to... czyżbym się zetknął z przykładem pamięci pokoleń, zachowanej w tym właśnie człowieku? Podniecony swoim przypuszczeniem nanizywałem znane mi fakty na nić, która nagle się pojawiła. Leontjew skarżył się na ból w górnej części potylicy, a tam właśnie, według moich przypuszczeń, w tylnych partiach kresomózgowia, znajdowały się najstarsze komórki pamięci. Zapewne pod wpływem ogromnego napięcia psychicznego z głębi pamięci zaczęły się wyłaniać dawne obrazy, ukryte pod całym bagażem pamięci jego osobistego życia. I to Jego natrętne pragnienie przypomnienia sobie czegoś bez wątpienia było spowodowane podświadomą wędrówką myśli po nie wywołanych odbitkach pamięci. Jak każdy artysta, miał niezwykle rozwiniętą pamięć wzrokową. Umożliwiało to fragmentom przeszłości układać się w myśli w formę obrazów.

Znalazłszy punkt oparcia, umacniałem się teraz w tym domyśle. Wreszcie jednak przerwałem swoje rozważania i z pewnym niepokojem znów wziąłem do ręki słuchawkę telefonu. Jeśli miałem rację, to za chwilę usłyszę od Leontjewa to właśnie, co powinienem usłyszeć. Jeśli nie usłyszę, to znów będę miał przed sobą gładki, nieprzenikniony mur tajemnicy. Zapomniałem nawet, że jest już tak późna pora. Jednakże Leontjew jak zwykle nie spał i od razu podszedł do telefonu.

— To pan, profesorze? — usłyszałem w słuchawce jego napięty głos. — Czy już doszedł pan do jakiegoś wniosku?

— Chciałbym wiedzieć, czy zna pan swoich przodków?

— Ileż to już razy pytano mnie o to. O ile wiem, w mojej rodzinie nie ma wariatów, alkoholików ani chorych wenerycznie.

— Niech pan da spokój z tymi wariatami, chodzi mi całkiem o coś innego. Czy wie pan, jakiej narodowości byli pana przodkowie, skąd pochodzili, z jakiego kraju? Powinniście być południowcami.

— Owszem, profesorze, ale nie mogę pojąć, co...

— Potem wszystko wyjaśnię, a teraz proszę mi nie przerywać. Kto więc w pańskiej rodzinie pochodził z południa?

— Nie pochodzę z żadnego znakomitego rodu i nie znam dokładnie genealogii. Oboje rodzice mego dziadka urodzili się na Cyprze. Ale było to bardzo dawno. Dziadek przeniósł się do Grecji, a

stąd do Rosji, na Krym. Ja urodziłem się na Krymie. Ale do czego to panu potrzebne, profesorze?

— Zrozumie pan, jeśli moje przypuszczenia są słuszne... — odpowiedziałem nie kryjąc radości i umówiłem się z Leontjewem na spotkanie nazajutrz.

Leżąc w łóżku długo jeszcze rozmyślałem. Diagnoza była trafna i najeżało teraz jeszcze bardziej pobudzić i kontynuować odtwarzanie pamięci pokoleń do jakiegoś szczególnie ważnego dla Leontjewa momentu. Ale o jaki to moment chodziło, Leontjew oczywiście nie wiedział, a i ja nie mogłem się domyślić. Już zasypiając stwierdziłem, że przyszłość sama wszystko wyjaśni.

Następnego dnia Leontjew siedział w tym samym gabinecie i w tej samej pozie. Jego blada twarz nie była już tak ponura i bez przerwy wodził za mną oczami, kiedy spacerując po gabinecie zapoznawałem go ze swoją teorią. Jak już skończyłem, usiadłem w fotelu przy biurku, a Leontjew głęboko się zamyślił. Drgnął, kiedy się poruszyłem, i patrząc mi prosto w oczy zapytał:

— Czy nie sądzi pan, profesorze, że sama idea posągu z kości słoniowej nie przypadkiem przysłała mi do głowy?

— No cóż, bardzo możliwe — odparłem krótko, gdyż właśnie przyszło mi do głowy, jak dalej mam tłumaczyć sobie te wspomnienia Leontjewa.

— A czy to, co tak koniecznie muszę sobie przypomnieć, nie ma jakiegoś związku z moim posągiem? — nalegał artysta.

— Tak, tak, to bardzo prawdopodobne — zgodziłem się od razu, jak gdyby słowa Leontjewa postawiły kropkę w moich myślach.

Domysł mój bardzo go poruszył. Być może instynktownie czuł, że jest to właściwa droga do rozwiązania zagadki, i sam już pomagał mi w poszukiwaniach.

Umówiliśmy się, że Leontjew postara się bezzwłocznie odizolować od wszelkich wpływów zewnętrznych. Zamknięty w swoim mieszkaniu, w półmroku będzie usiłował skoncentrować się na widzeniach, a kiedy obrazy zaczną znikać, spróbuje znów je odtworzyć. Nie będzie walczyć z uczuciem, że koniecznie musi sobie coś przypomnieć, lecz przeciwnie, będzie to uczucie podsycać, pobudzając pamięć specjalnym lekarstwem, które mu zaaplikuję. Pobudzenie nerwowe wywołane usiłowaniem wydobywania czegoś z pamięci może dojść do niebezpiecznej granicy, ale trzeba będzie zaryzykować. O swoich halucynacjach i o stanie zdrowia będzie mnie Leontjew informował co wieczór przez telefon.

Tym razem lejtnant chętnie udał się do domu. Odprowadzając wzrokiem jego zgrabną sylwetkę, jeszcze raz pomyślałem, jak niezwykle ujmujący jest ten człowiek, który nie wiadomo czemu stał mi się tak bliski. Wieczorem nie doczekałem się jego telefonu. Lekko zaniepokojony zamierzałem już sam do niego zadzwonić, ale się rozmyśliłem, nie chcąc zakłócać skoncentrowanej samotności mego pacjenta. Męczyły mnie jednak obawy, czy obrana przeze mnie metoda leczenia jest całkiem bezpieczna, i kiedy następnego dnia zadzwonił telefon, popatrzyłem z ulgą na przekłuty aparat.

— Profesorze, zapewne ma pan rację. Wszedłem — bez żadnego wstępu oznajmił mi Leontjew, i w głosie jego, jak mi się zdawało, nie wyczuwało się już chorobliwego napięcia.

— Co takiego? Dokąd pan wszedł? — nic nie rozumiałem.

— Wszedłem do tego domu czy pałacu, no, do tego białego budynku nad przepaścią — mówił pośpiesznie Leontjew. — Rzeczywiście, wszystkie te tak wyraźnie zapamiętywane przeze mnie obrazy stopniowo się zazębiają. Teraz widzę, co jest wewnątrz tego budynku. To wielka komnata czy sala. Zamiast drzwi szeroko otwarta miedziana krata. Również podłoga jest wyłożona miedzią. Dużo tu posągów i innych przedmiotów, ale nie mogę dokładnie im się przyjrzeć. W ścianie naprzeciw kraty, na linii głównej osi sali, szeroka arkada, przez którą widać błękitne niebo. Obok arkady stoi biały posąg, jakieś stoliki i dzbany... Och, już wiem, przecież to warsztat rzeźbiarzy! Do widzenia,

profesorze!

Słuchawka brzęknęła głucho. Teraz w stopniu nie mniejszym niż Leontjew płońałem niecierpliwością, doskonale wiedząc, że zetknąłem się z rzeczą niezwykłą. Jednakże będąc naukowcem potrafiłem się zdobyć na cierpliwość i mogłem jak dawniej zajmować się swoją pracą, chociaż telefon milczał przez dwa następne wieczory. Zadzwoił wczesnym rankiem, kiedy wybierałem się do pracy i nie oczekiwałem żadnych wiadomości od Leontjewa. Artysta zmęczonym głosem poprosił mnie, żebym natychmiast do niego przyjechał.

— Zdaje się, że zakończyłem swoje podróże po świecie starożytnym. Nic nie mogę pojąć i bardzo się boję... — urwał.

— Dobrze, postaram się, proszę czekać, albo przyjadę, albo zadzwonię — odpowiedziałem pośpiesznie.

Zapewniwszy sobie wolny ranek, pojechałem na Tagankę i nie bez trudu odnalazłem szary niewielki dom z wieżyczką, położony w ogrodzie głęboko ukrytym w załomie ulicy. Leontjew szybko wprowadził mnie do swego pokoju, całkiem zwykłego, bez śladów nieładu właściwego ludziom sztuki.

Okno, zawieszane ciężkim dywanem, nie dawało światła. Mała lampa, zakryta czymś niebieskim, z trudem pozwalała rozróżnić przedmioty. Uśmiechnąłem się widząc, jak dokładnie spełniono moje zalecenia.

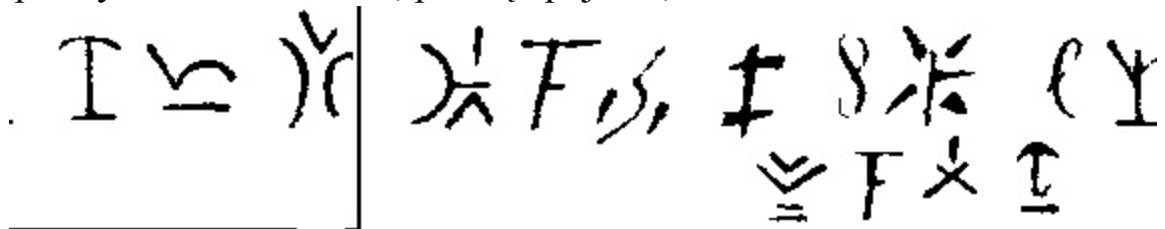
— Niech pan zapali światło, przecież ni diabła nie widać.

— Jeśli można, wołałbym nie zapalać, profesorze — nieśmiało poprosił mój pacjent — boję się, że nagle znów będzie coś nie tak, boję się zdekoncentrować. Nie będę już miał sił, żeby ponownie osiągnąć ten stan.

Oczywiście zgodziłem się i Leontjew, zdjawszy z lampy niebieską zasłonę, posadził mnie na szerokiej kanapie i sam siadł obok. Nawet przy tak słabym świetle dostrzegłem, jak zapadnięte i blade są jego policzki.

— No, niech pan opowiada — dodałem mu otuchy, wyjmując papierosy i uważnie wpatrując się w jego błyszczące oczy,

Leontjew wolno podszedł do stolika, wziął z niego arkusz papieru i bez słowa podał mi go. Wielki arkusz papieru pokryty był linijkami niezrozumiałych znaków. Jakieś krzyżyki, strzałki, łuki i ósemki, nie napisane, a raczej starannie narysowane, ułożone były grupami, zapewne tworząc oddzielne słowa. Z grubsza miałem pojęcie o różnych alfabetach, zarówno starożytnych jak i współczesnych, ale nigdy nic podobnego nie widziałem. U góry były dwie krótkie linijki, zapewne tytuł. Mam je tu, przerysowane do notesu, proszę spojrzeć, co to za kabała:



Długo przyglądałem się dziwnemu pismu i stopniowo ogarniało mnie przecucie niezwykłości, wspaniałe wrażenie kontaktu z ogromem czegoś niewiadomego, znane każdemu, kto dokonał jakiegoś wielkiego odkrycia. Gdy podniosłem oczy, zobaczyłem, że Leontjew przygląda mi się bacznie, aż usta otworzył jak mały chłopiec.

— Czy pan coś z tego rozumie, profesorze? — zapytał z niepokojem.

— Oczywiście, że nic — odparłem — ale mam nadzieję, że zrozumie, jak mi pan wyjaśni różne

szczegóły.

— Och, to ciągle ten sam łańcuch obrazów. Pamięta pan, jak mówiłem przez telefon o wnętrzu budynku. Podczas rozmowy z panem doszedłem do wniosku, że jest to pracownia rzeźbiarza albo szkoła artystyczna. Ten jeszcze jeden związek z moim wymarzoną dziełem wprost mnie zaszokował, i postanowiłem znów powrócić do halucynacji, widząc w nich już jakąś określoną linię, jakiś sens, który zapewne musiałem odgadnąć. Wielokrotnie próbowałem zintensyfikować swoje widzenia, koncentrując się według pana wskazówek, ale obrazy, które przedtem migwały mi przed oczami, teraz jakoś zwolniły swój bieg, stały się mniej czytelne. Skoro tylko zbliżała się chwila wyraźnych i długich widzeń, niezmiennie powracała sala w białym budynku, ta pracownia rzeźbiarska. Więcej nic nie mogłem zobaczyć i zaczynała mnie ogarniać rozpacz. Ciągle nie zamykał mi się obwód wspomnień, o którym Wspomniał pan, profesorze. Nagle zauważyłem, że część sali przy każdym moim widzeniu staje się coraz wyraźniejsza. Zrozumiałem, że dalszego ciągu obrazów myślowych należy szukać tylko wewnątrz pracowni rzeźbiarskiej — dalej moje widzenia nie sięgają. Choć tak bardzo starałem się wyjść poza tę pracownię, nic innego nie mogłem zobaczyć, ale coraz wyraźniej widziałem ścianę po prawej stronie, tam gdzie było szerokie i niskie okno w kształcie łuku. Widzenie gasło, znów się pojawiało, i za każdym razem dostrzegałem coraz więcej szczegółów. Po lewej stronie, na tle sosen i nieba widzianych przez arkadę, rysowały się kontury niewielkiego, dwukrotnie mniejszego od człowieka, posągu z kości słoniowej. Bardzo się starałem przyjrzeć temu posagowi, ale nie stawał się wyraźniejszy, przeciwnie, jego obraz rozpływał się, przygasał. Podobnie rozpływał się obraz nowego szczegółu, który początkowo stał się bardziej plastyczny niż posąg, niskiej długiej wanny z szarego kamienia, napełnionej po brzegi jakimś ciemnym płynem. W tej wannie mgliście rysowały się kontury posągu, jak gdyby obnażonego topielca. Ale i ten szczegół zniknął, a obok wanny pojawił się stół z grubym kamiennym blatem. Pośrodku stołu leżała kwadratowa płyta z gładkiej miedzi, bez żadnych ozdób, pokryta jakimiś znakami, a przed nią czarny sztylet i niebieska szklana czasza. Płyta ta, lub raczej arkusz miedzi, stawała się coraz wyraźniejsza, i wreszcie całe widzenie skoncentrowało się właśnie na niej. Dokładnie widziałem jej pozieleniałą powierzchnię z wygrawerowanymi znakami. Nic nie rozumiejąc, instynktownie czułem, że jest to zakończenie serii obrazów myślowych, według pana — zamknięcie łańcucha widzeń. Jakoś dziwnie zaniepokojony zacząłem przerysowywać napis z płyty. O, widzi pan, profesorze — zwinnymi palcami przekartkował stos papieru — musiałem to powtarzać i powtarzać. Widzenie zniknęło czasem na całe godziny, ale siedziałem cierpliwie, aż wreszcie udało mi się sporządzić ten napis, który ma pan w ręku. A teraz nic już nie widzę, jestem zmęczony, zobojętniały... Tylko zasnąć w żaden sposób nie mogę, boję się, że popełniłem jakiś błąd. Przedtem byłem już całkiem pewny, że to wszystko mnie dotyczy, te rzeźby, posąg z kości słoniowej, a teraz nic nie rozumiem. Co to wszystko znaczy, profesorze?

— Ot co — powiedziałem zacinając się ze zdenerwowania — niech pan weźmie ten środek nasenny, który przygotowałem na wszelki wypadek, jeśli przeholuje pan ze swymi wizjami. Zaśnie pan, tego najbardziej panu potrzeba, a ja wezmę przepisany przez pana tekst i wieczorem będziemy już mieli pojęcie, co to wszystko znaczy. Faktycznie, to już koniec pańskich halucynacji. Nie rozumiem jeszcze wszystkiego, ale sądzę, że przypomniał pan sobie właśnie to, co było panu potrzebne... Tylko to niespodziewane, dziwne pismo... Jeszcze raz zapytam: dlaczego jest pan pewien, że to Hellada?

— Profesorze, nie mogę wyjaśnić dlaczego, ale jestem o tym przekonany — widziałem Helladę albo raczej jej fragmenty.

— Tak... Niech się pan stara zasnąć, a potem do diabła z tymi kotarami, mój drogi, czas wrócić

do życia. No, starczy tego, starczy — przerwałem dalsze pytania Leontjewa i wyszedłem pośpiesznie, zabierając tajemniczy napis.

Jeszcze trochę cierpliwości, myślałem kierując się do tramwaju, a wszystko się wyjaśni. Albo to rzeczywiście wyrwany z głębi przeszłości jakiś ważny tekst, albo... bredzenie w malignie. Ale nie, ta druga możliwość mało jest prawdopodobna. Zbyt często powtarzają się te same znaki, grupy zawierające różną liczbę znaków oddzielane są odstępami, u góry najwyraźniej jest tytuł. Tak więc ponieważ Leontjew przekonany jest, że to Hellada, trzeba pójść do hellenisty. Kto w Moskwie jest najlepszym specjalistą w tej dziedzinie? — rozmyślałem, nie mogąc nikogo sobie przypomnieć. Doszedłszy do swego mieszkania, za pomocą skorowidza pracowników naukowych, kalendarza Akademii Nauk i obrzydłego telefonu trafiłem na odpowiedniego człowieka. Miałem szczęście; po jakichś czterdziestu minutach zapalałem już kolejnego papierosa w jego gabinecie, podczas gdy uczony wpijał się wzrokiem w podany mu arkusz papieru z tajemniczymi znakami.

— Skąd pan to wziął, a raczej, skąd pan to przepisał? — wykrzyknął hellenista, przypatrując mi się podejrzliwie przymrużonymi oczami.

— Powiem, nic nie ukrywając, ale najpierw, zaklinam na wszystkie świętości, proszę mnie oświecić, co to takiego?

Uczony tylko niecierpliwie wzruszył ramionami i znów pochylił się nad tekstem, mówiąc monotonnym głosem:

— Przyniesiony przez pana fragment to pismo cypryjskie, zgłoskowe, pisane od prawej strony do lewej, tak jak pisano w Helladzie w najdawniejszych czasach. Przypomina to eolskie narzecze języka starogreckiego, dlatego też trudno mi szybko przetłumaczyć cały fragment. Oto linijka tytułowa, tak, to ciekawe, składa się z trzech słów: u góry malakfer elefahtos, pod nim zitos. Pierwsze dwa słowa znaczą: zmiękczaczk kości słoniowej, a w przenośnym znaczeniu artysta rzeźbiący w kości słoniowej. Nasze słowo „majster” również pochodzi od tego rdzenia. Zitos to specjalny roztwór o nie znanym składzie, środek do zmiękczenia kości słoniowej. W starożytnej Helladzie rzeźbiarze znali sposób takiego zmiękczenia kości słoniowej, że robiła się jak wosk, i dzięki temu lepili z niej wprost doskonale dzieła, które później twardniały. Znów zamieniając się w zwykłą kość słoniową. Ta tajemnicza metoda została bezpowrotnie utracona i nikt do tej pory...

— O, niech to diabli, wszystko rozumiem! — zawołałem zrywając się z krzesła, ale widząc zdziwienie, wręcz przestrah na twarzy uczonego, dodałem pośpiesznie: — Na miłość boską, proszę mi wybaczyć, ale to bardzo ważne dla mnie, a ściślej biorąc, dla mojego pacjenta. Czy mógłby pan teraz choćby w ogólnych zarysach przetłumaczyć dalszy ciąg tekstu?

Hellenista bez słowa wzruszył ramionami. Jednakże widząc, że jego oczy biegają po linijskich tekstu, siedziałem bez ruchu, powstrzymując wzruszenie i przyływ szalonej radości. Po kilku bardzo długich minutach uczony powiedział:

— O ile mogę się zorientować bez zasięgania odpowiednich informacji, jest to receptura chemiczna, ale nazwy składników trzeba będzie jeszcze ustalić. Jest tu mowa o wodzie morskiej, następnie o proszku etakeny, jakimś oleju Poseidona i tak dalej. Zapewne jest to właśnie receptura tego roztworu, o którym przed chwilą mówiłem. To bardzo ważne — zakończył hellenista, zbyt sucho jak na znaczenie tych słów. Ale tak oczy owak wszystko już teraz było jasne.

Na płytce miedzianej, to znaczy na kartce, napisana była receptura środka zmiękczonego kość—słoniową. Po dziesiątkach pokoleń Leontjew przypomniał ją sobie wreszcie, i teraz będzie mógł wykonać posążek Iriny, po prostu go ulepić.

Hellenista wyczekująco spoglądał na mnie. Triumfalnie zerwałem się z fotela i chodząc tam i z powrotem opowiedziałem mu historię swego pacjenta. Kiedy skończyłem, zdziwienie i



niedowierzenie ostatecznie zniknęło z twarzy hellenisty. Jego maleńkie oczka patrzyły dobrotliwie i aż zwilgotniały ze wzruszenia. Jeszcze się z nim nie pożegnałem, a już sięgnął do szaf, wyciągając z nich książkę za książką. Spokojny o to, że obiecany przekład zostanie dokonany tak szybko, jak jest to możliwe, skierowałem się do drzwi, ale zatrzymałem się w pół drogi, przypomniawszy sobie opowieść Leontjewa o umeblowanej białej sali.

— Dlaczego obok płytki leżał na stole sztylet i stała szklana niebieska czasza?

— Jeśli już zaczęliśmy snuć hipotezy, to dlaczego nie przyjąć, że receptura roztworu „zitos” przekazywana była tylko wybranym mistrzom pod karą śmierci za zdradzenie tajemnicy? Sztylet i czasza z trucizną to zwykłe atrybuty praktykowanego od tysiącleci obrzędu wtajemniczenia. Pamięć wieków zachowała tylko ogólną jego atmosferę.

Uczucie spokoju i szczęścia, że rozum jednak zwyciężył, nie opuszczało mnie również w zaciszu mego gabinetu. Ale niecierpliwość kazała mi natychmiast zadzwonić do Leontjewa. Podniecony, powiedział krótko;

— Już jadę.

Doskonale zapamiętałem wychudłą twarz Leontjewa z ostrymi cieniami od stojącej lampy i jego napięty do szaleństwa, iskrzący się triumfem wzrok.

— A więc odkryłem, a raczej przypomniałem sobie zaginioną tajemnicę starożytnych mistrzów? — wykrzyknął, ciągle jeszcze nie wierząc w to, co się stało. — Ale jak mogłem tego dokonać?

Powiedziałem mu, że nauka nie zna jeszcze dokładnej odpowiedzi, ale prawdopodobnie w minionych wiekach jego przodkowie byli mistrzami znającymi tę tajemnicę. Żywotnie ważne znaczenie tej receptury i długoletnie jej stosowanie spowodowało, że w pamięci jednego z jego przodków wytworzyło się bardzo silne sprzężenie zwrotne. To sprzężenie, ukryte w jego świadomości, dało o sobie znać u Leontjewa. Zdumiewa tylko ten niezwykły zbieg okoliczności, że tajemnica Hellenów ma również ogromne znaczenie dla niego, który podobnie jak jego przodkowie został rzeźbiarzem. Wielkie pragnienie stworzenia posągu Iriny, siła woli i napięcie wszystkich sił pomogły mu wyłowić z podświadomości obrazy zapamiętane niegdyś wzrokowo. Sam tego nie pojmując, czuł, że wie coś, co tak mu jest niezbędne.

Końca mego wywodu Leontjew słuchał w roztargnieniu, kiwając głową, jakby chciał powiedzieć, że wszystko zrozumiał. Ledwie skończyłem, natychmiast zapytał:

— A więc jak zostanie dokonany przekład, będę miał recepturę tego roztworu? Jest pan o tym całkowicie przekonany, profesorze? Trudno opisać jego radość i wzruszenie, kiedy odpowiedziałem twierdząco.

— Proszę tylko pomyśleć, teraz i jedną ręką dokonam tego, co jest moim marzeniem, moim celem... — I jego długie palce poruszyły się, jakby już obrabiał czarodziejski materiał — : miękką kość słoniową. — Teraz, jutro... — głos mu się załamał — i dał mi to pan, profesorze, pańska nauka...

Zerwał się na równe nogi, schwycił mnie za rękę, chciał się przytulić do mnie jak dziecko do ojca, ale zawstydził się swego porywu, odwrócił się i usiadł przy stole, opuściwszy głowę na zdrową rękę. Ramiona drgały mu lekko. Wyszedłem do drugiego pokoju, również wzruszony do głębi duszy, siadłem tam cicho i paliłem papierosa.

Mijały dni, po wiośnie nastąpiło lato, niedostrzegalnie zbliżała się jesień. Czuję się przemęczony (to wiek dawał znać o sobie!), trochę chorowałem i siedziałem w domu. Nagle zjawili się u mnie dwoje młodych ludzi. Poznałem Leontjewa i domyśliłem się, że ta kobieta obok niego to Irina. Ręka artysty w dalszym ciągu wisiała na temblaku, ale był to już całkiem inny człowiek, i

rzadko widywałem na twarzach ludzi tyle światła i dobroci. Co do Iriny, powiem tylko, że warta była miłości Leontjewa i wszystkich naszych trudów związanych z poszukiwaniami tajemnicy Hellenów.

Irina mocno mnie ucałowała, bez słów patrząc na w oczy, i doprawdy bardziej wzruszająca była ta cicha wdzięczność niż tysiące dytyrambów.

Leontjew denerwując się powiedział, że posąg jest już gotowy i że poświęca go nauce oraz mnie jako daninę uratowanego — swemu wybawcy, uczucia — rozumowi. No cóż, posąg widziałem. Nie podejmuję się go opisać. Jako anatom dostrzegłem w nim ten najwyższy stopień celowości, co wszyscy nazywacie pięknem. Miłość twórcy nadała temu doskonałemu ciału wrażenie radosnego ruchu, niemal lotu, jak w pieśni o Ajsigene, tak lekko stąpającej po ziemi.

*Przełożył Eugeniusz Piotr Melech*

*Aleksander Kazancew*  
*Wzryw*

# Wybuch

Pozostał mi na zawsze w pamięci obraz z wczesnego dzieciństwa. Wysokie wzgórza urywające się nad wodą, jakby ucięte gigantycznym nożem. Ostry zakręt szerokiej rzeki. Brzegi dzikie, kamieniste, ponure. Tuż obok wiekowa tajga.

Nasza łódź płynie pod prąd Górną Tunguzką, jak nazywają tutaj Angarę. Na porohach zostaję w łodzi tylko ze sternikiem. Wszyscy inni, wśród nich również mój ojciec, ciągną linę. Już porohy mamy za sobą i wszyscy chwytają za wiosła. Ja siadam na dziobie i czuję się niczym kapitan. To galera wiosłowa. Jesteśmy odważnymi korsarzami i płyniemy odkrywać nowe lądy za oceanem. Ahoj, ahoj, tam na marsie! Co to za wyspa na horyzoncie? Wyspa pływająca? Wszyscy na pokład!

Zza czarnej, zakrywającej pół nieba skały jedna za drugą wynurzają się tratwy. Słysząc bek owiec.

Dla kapitana wszystko jest już jasne. To przekłeci handlarze niewolników ograbili tubylców, załadowali na pływającą wyspę ich inwentarz, głęboko pod pokładem ukryli zakutych w łańcuchy niewolników. Wiem, że za chwilę czeka nas heroiczny bój. Śmiało, korsarze, naprzód!

Cichy, spokojny poranek. Niebo bez chmurki. Gdzieś daleko głośno huczy woda na porohach, które pokonaliśmy wczoraj.

Przeklinam plusk naszych wiosł. Nienawistni handlarze niewolników nic nie powinni zauważyć. Galera szybko zbliża się do pływającej wyspy. Wyraźnie widać owce i domek na pierwszej tratwie. Ale ja wiem, że to kabina kapitana handlarzy niewolników. Oto i on — brodaty, w niebieskiej koszuli, wychodzi i patrzy na niebo. Przeciąga się, drapie się w plecy, ziewa i żegna się.

Ciszej, wiosłarze! Powinniśmy podejść do przeciwnika niezauważenie i od razu rzucić się do abordażu. Gdzieś z lewej burty szeleści wiewiórka na modrzewiu. Jeśli ten brodacz się obejrzy... Cichóo, cicho. Ledwie słysząc plusk wiosł.

I nagle okropny huk. Wtulam głowę w ramiona. Płaczę, zapomniałem już o korsarzach. Człowiek na tratwie pada na kolana. Ma usta szeroko otwarte. Owce myczą, miotają się nad samą wodą. A teraz znów huknęło, jeszcze głośniejsze. W domku gwałtownie otwierają się drzwi, ale nikt się w nich nie pojawia. Po lewej stronie, za lasem, coś migoce jaśniej słońca.

Trzymać się! — ledwie dotarł do mnie głos ojca.

Uderza we mnie fala gęstego, ciężkiego powietrza. Chwytam się za burtę, krzyczę. Wtóruje mi opętańcze beczenie przerażonych owiec.

Widzę, jak owce jedna za drugą wpadają do wody, jakby je ktoś gigantyczną dłonią zmiatał z tratwy. Rzeką idzie wysoka fala. Widzę, jak przełamuje się pusta już tratwa. Jej belki stają sztorcem. Nasza łódź uniesiona zostaje w górę, jak na porohach. Krztuszę się wodą i chwytam ustami powietrze. Słabną zaciśnięte palce i cały mokry staczam się na dno łodzi. Woda w zębie pachnie rybami. I od razu robi się cicho, cichutko...

Odległe wspomnienia, stronica z dziecinnego pamiętnika. Oto ten pomięty brązowy zeszytek z datą „rok 1908”. Właśnie wtedy, przed trzydziestu ośmiu laty, dwieście pięćdziesiąt kilometrów od

miejsca, gdzie z tratwy zmiotło owce wody, spadł w tajdze straszny meteoryt, o którym tak wiele pisano i mówiono na Syberii.

Do czego potrzebny mi ten stary zeszyt? Dlaczego moje biurko zawalone jest artykułami i książkami o meteorycie tunguskim?

Pełen polemicznego zapału biorę do ręki kartkę papieru. Tak, gotów jestem dyskutować.

Opowieść należy zacząć chyba od tego, jak rankiem 3 kwietnia 1945 roku przyszło do mnie, do redakcji pisma, dwóch ludzi. Każdy z nich położył mi na biurku grubą kopertę,

Ten, który postawił na podłodze wielką walizę, był ogromnego wzrostu. Bardzo się garbił, wyglądało to tak, jakby wypatrywał czegoś na podłodze. Miał grube, niczym wy rzeźbione rysy i zrosnięte Kosmate brwi, spod których marzycielsko patrzyły jasnoniebieskie oczy.

Jego współtowarzysz siedział na krześle wyprostowany, nie dotykając oparcia. Był dobrze zbudowany, dość wąski w ramionach. Rogowe okulary nadawały jego twarzy z lekko wystającymi kośćmi policzkowymi wygląd uczonego.

— Dla w-w-waszego pisma — zaczął olbrzym, jękając się na głosce „w” — na pewno ciekawa będzie dyskusja naukowa, o której wyniku zadecydują badania ekspedycji etnograficznej Akademii Nauk, wysianej w rejon Podkamiennej Tunguzki.

— Jeśli dyskusją naukową można nazwać upieranie się przy bzdurach i zwalczanie tego stanowiska — zjadliwie zauważył człowiek w okularach.

— Prosiłbym, żeby mi nie przerywano — ze złością odwrócił się do niego pierwszy interesant. — Oto dwie koperty — mówił do mnie, jak gdyby nie dostrzegając już swojego przeciwnika — zawierają one dwie hipotezy dotyczące dziwnej zagadki etnograficznej.

— Może mi pan powie, o co tu w ogóle chodzi? — odezwałem się do niego.

— Czy pan w-w-wie, że na północy Syberii, na w-w-wschód od Jeniseju zamieszkują Ewenkowie? Ludzie w naszym wieku, oczywiście niefachowcy, niekiedy błędnie nazywają ich Tunguzami. Ewenkowie należą do rasy żółtej i są spokrewnieni z Mandżurami. Kiedyś byli narodem w-w-walecznych zdobywców, którzy w-w-wdarli się do Azji Środkowej. Jednakże zostali stamtąd wyparci przez Jakutów i ukryli się na północy w niedostępnych lasach syberyjskich. Co prawda Jakuci musieli opuścić podbite przez siebie kwitnące ziemie, ustępując przed silniejszymi zdobywcami, Mongołami — i również zamieszkać w lasach syberyjskich i w tundrze, gdzie stali się sąsiadami Ewenków...

— Siergiej Antonowicz, tak bardzo kocha etnografię, że nie opuści nigdy okazji, żeby propagować tę naukę — przerwał drugi mężczyzna. — Pozwolę sobie sformułować jego myśl: ani Ewenkowie, ani Jakuci nie są rdzennymi mieszkańcami Syberii.

Mówił to bardzo poważnie, ale nieco opuszczone kąciki ust nadawały jego twarzy wyraz ledwie uchwytnej ironii. — I udowodnię to. Może będzie pan łaskaw spojrzeć?

Siergiej Antonowicz pokaszlując schylił się, otworzył swoją ogromną walizę i ku wielkiemu memu zdziwieniu wy dostał stamtąd jakąś poźółkłą olbrzymią kość. Triumfalnie położył ją przede mną na biurku, na rękopisach.

— Co to? — odsunąłem się mimo woli. — Kość piszczelowa rdzennych mieszkańców Syberii — z patosem oznajmił Siergiej Antonowicz, patrząc na mnie szczęśliwymi, jasnymi oczami.

— Rdzennych mieszkańców? — ze zgrozą spróbowałem sobie wyobrazić właścicieli takich kości.

— To kość piszczelowa słonia — jak gdyby w odpowiedzi na moje domysły rzekł Siergiej Antonowicz.

— Na Syberii? Słonie? A może mamuty? — powątpiewałem w jego słowa.

— Słonie. Ja sam znalazłem tę kość. W ubiegłym roku przemierzyłem w tajdze wiele bagien, łąziłem po niedostępnych wzgórzach w poszukiwaniu bogactw naturalnych i, proszę sobie wyobrazić, na sześćdziesiątym piątym stopniu szerokości północnej i sto czwartym stopni i długości wschodniej natknąłem się na cmentarzysko słoni. Płaskowzgórze, jak gigantycznym płotem, było ogrodzone ze wszystkich stron zboczami górskimi. Gorące słońce syberyjskie roztopiło warstwę wiecznej zmarzliny i... Proszę, niech pan zapali — wyciągnął do mnie papierośnicę.

— Dziękuję, nie palę.

— Ta papierośnica jest zrobiona z własnoręcznie przeze mnie odpiłowane—go kła słonia, prostego, a nie zakrzywionego jak u mamutów. Przez trzy tygodnie nic innego nie jadłem prócz puczek. To roślina z rodziny baldaszkowatych, nadająca się bardziej na fujarka niż do jedzenia. Na cmentarzysku słoni zostawiłem całą żywność, żeby tylko móc donieść tę kość i część kła.

— Trzeba jeszcze dodać, że Siergiej Antonowicz ofiarnie dźwigał te interesujące kości, będąc już objuczonym próbkami odkrytej przez siebie cennej rudy. Ten etnograf amator, paleontolog amator jest jeszcze w dodatku zawodowym geologiem.

Gigant spojrzał na swego współtowarzysza.

— Badając odkryte warstwy geologiczne doszedłem do wniosku, że przed ostatnim okresem lodowcowym Syberia miała gorący, afrykański klimat. Dlatego też żyły tam słonie, tygrysy...

— I oczywiście afrykańscy Murzyni, jak gotów twierdzić nasz szanowny uczonec.

— Tak, jestem przekonany, że istnieli Sybiracy przedlodowcowi, i być może ich potomkowie dożyli do naszych czasów. W głębi syberyjskiej tajgi krążą legendy o jakiejś czarnoskórej kobiecie...

— Istnieje barwna relacja angarskiego myśliwego, Kuleszowa, który jakoby miał spotkać tę kobietę — powiedział współtowarzysz Siergieja Antonowicza zdejmując okulary, żeby przetrzeć JE chusteczką. Zmrużonymi oczami spojrzał gdzieś w dal ponad moją głowę. — Dzięki uprzejmym naleganiom Siergieja Antonowicza nauczyłem się jej na pamięć. Proszę sobie wyobrazić: huk, grzmot, czarne mokre kamienie wśród spienionej wody. Niemal zaczepiając o nawisłe nad brzegami skały, mknie pomiędzy kamieniami mały szytik, łódka z wysokimi burtami. Uniesionym dziobem łódka pruje spienione fale. Stoi w niej czarnoskóra kobieta. Ma tylko przepaskę na biodrach. Na wietrze rozwiewają się jej długie rude włosy. Kuleszow przysięgał, że była to kobieta olbrzymiego wzrostu. Jej twarzy nie zdążył się przyjrzeć. Według niego, czarnoskóra kobieta jest szamanką u starców. Przez wodospad przepływała bez ubrania, zapewne bojąc się w nim utonąć.

— Twierdzą, że to ostatni potomek przedlodowcowych Sybiraków. — Siergiej Antonowicz położył na stół swą ogromną pięść. — W kobiecie tej dały o sobie znać bardzo odległe cechy przodków.

— Oto bardzo interesujący przykład wyvodu nie opartego na żadnych przesłankach. Żaden zdrowo myślący człowiek nie dojdzie chyba do takiego wniosku.

— Zobaczmy, co powie pan tam, na miejscu — zdenerwował się Siergiej Antonowicz. — Postanowiłem koniecznie wziąć pana ze sobą, chociaż jest pan gabinetowym fizykiem, a ekspedycja jest już skompletowana. W-w-wezmę pana jako swego przeciwnika i nie pozwolę zajmować się żadnymi elektronami i neutronami, dopóki nie podda się pan i nie uzna mojej hipotezy.

Fizyk uśmiechnął się.

— Prosimy otworzyć koperty i opublikować tę hipotezę — zwrócił się do mnie — którą potwierdzimy telegraficznie z Wanowary, dokąd wyrusza ekspedycja Akademii Nauk pod kierunkiem Siergieja Antonowicza.

— A do mnie proszę zadeszować, jaką to piramidalną bzdurę zawierała koperta tego wielce szanownego, w-w-wszystko negującego uczonego — burknął Siergiej Antonowicz.

Moi goście pożegnali się ze mną i odeszli. Zamyśliłem się, patrząc na zostawione na biurku koperty. Cóż to wywołało sprzeczkę specjalistów z tak różnych dziedzin?

— Przepraszam pana — usłyszałem cichy głos. Podniosłem oczy i ujrzałem przed sobą fizyka. Tym razem miał wzrok poważny, usta mocno zaciśnięte.

— Wróciłem, żeby uprzedzić pana, że moja koperta rzeczywiście zawiera pewną hipotezę, ale taką, która nie ma żadnego związku z czarnoskórą kobietą, co zapewne zdumiałoby miłego Siergieja Antonowicza, nie dopuszczającego myśli, że jego ekspedycja mogłaby się zajmować jakimiś innymi sprawami.

— Czego dotyczy ta koperta? — spytałem zaintrygowany. Rzecz stawała się coraz bardziej zagmatwana.

— Chodzi o meteoryt tunguski.

— Który spadł koło factorii Wanowara w 1908 roku?

— Który nigdy nie spadł na ziemię.

Nie spadł na ziemię? Ujrzałem w pamięci tratwy stojące dęba, owce w wodzie, łunę nad tajgą.

— Był pan na miejscu katastrofy? — spytałem ledwie się hamując.

— Nie ma specjalnej ekspedycji, która by się tam wybierała. Korzystając z tego, że przypadkowo różni się z Siergiejem Antonowiczem poglądami na temat jego czarnoskórej kobiety, mam nadzieję zwiedzić ten rejon. Chcę ustalić tam niektóre fakty i wówczas przyślę do pana depezę z prośbą o otwarcie koperty. Sam pan będzie już wiedział, co należy zrobić.

Wszystko to mówił w sposób absolutnie bezapelacyjny, z rozbrajającym przekonaniem w głosie.

— Mam powody, żeby na razie nikomu nie zdradzać swej hipotezy. Siergieja Antonowicza zapoznam z nią po przybyciu na miejsce, bo tak to jeszcze gotów nie wziąć mnie ze sobą. A teraz żegnam.

Niezwykły zleceniodawca podał mi rękę, wymieniając zarazem swoje nazwisko. Jeszcze raz się zdumiałem. Stał przede mną znany fizyk teoretyk.

Patrzyłem na zamykające się za nim drzwi, starając się zdać sobie dobrze sprawę z tego, co zaszło. Historia z czarnoskórą kobietą siłą rzeczy zesłała na plan dalszy. Nie dawała mi spokoju całkiem inna myśl.

Nie było meteorytu?

O, nie poddam się tak łatwo. Możemy sobie podyskutować o meteorycie. Przecież sam widziałem łunę katastrofy i odczułem falę powietrzną gigantycznej eksplozji.

Podjąłem decyzję. Jakakolwiek byłaby hipoteza fizyka, obalę ją.

Przeszukałem swoje archiwum. Wydostałem wszystko, co dotyczyło meteorytu tunguskiego, którym kiedyś szczególnie się interesowałem. Oto zapis w dziecinnym dzienniczku. A oto cytat z raportu Leonida Kulika, sporządzonego dla Akademii Nauk w 1939 roku:

*Fakt upadku meteorytu tunguskiego około godziny 7 rano 30 czerwca 1908 roku odnotowany został przez licznych obserwatorów... przy jasnym niebie i bezwietrznej pogodzie... Po upadku bolidu w tajgę wbił się ku niebu słup ognia, a następnie rozległy się trzy lub cztery głośne eksplozje słyszalne o tysiąc kilometrów. Fala powietrzna utworzyła na rzekach wał wodny, ludzi i zwierzęta zwałała z nóg, przewracała płoty, wstrząsała domami tak, że kołysały się wszystkie wiszące w nich przedmioty.*

Jak można mówić, że nie było meteorytu, mój szanowny przyjacielu? Czy uważa pan, że na wiarę zasługuje tylko pańska natchniona intuicja, a nie zeznanie wielu tysięcy ludzi?

No więc proszę — to są obiektywne zapisy nie podlegających emocjom instrumentów.

Fala powietrzna została dwukrotnie odnotowana w Londynie, a więc dwa razy okrążyła kulę

ziemską. Stacje sejsmiczne w Irkucku, Tbilisi, Taszkencie i Jenie odnotowały trzęsienie ziemi z epicentrum w rejonie Podkamiennej Tunguzki.

Cóż może pan przeciwstawić temu, mój drogi uczony fizyku? Przesadną pewnością siebie?

Przerzucąłem liczne relacje naocznych świadków:

*Kula ognista jaśniejsza od słońca... słup ognia widoczny na setki kilometrów... czarne kłęby dymu, tworzące chmury na czystym niebie... szyby wypadające z okien w odległości 400 kilometrów...*

Są to dane zaczerpnięte z raportów korespondentów irkuckiej stacji sejsmicznej. Nie można ich lekceważyć.

Czytajmy dalej: zmiatało czumy... zabijało reny... łamało drzewa... — tak mówili Ewenkowie.

*Buchnęło takie gorąco, jakby się koszula zapaliła* — słowa robotnika z Wanowary. Koło Kanska, osiemset kilometrów od miejsca upadku, maszynista przerażony hukiem zatrzymał pociąg.

Nie, mój szanowny lecz zbyt lekkomyślny oponente, minął już czas, kiedy Leonid Kulik musiał udowodniać, że meteoryt tunguski rzeczywiście spadł na ziemię. Od tej pory pod kierunkiem Kulika wysłano szereg ekspedycji w tamte rejony. Odkryto tam ślady niezwykłego spustoszenia. Na przestrzeni ośmiu tysięcy kilometrów kwadratowych powalone były wszystkie drzewa. Sam pan zobaczy, że w rejonie tego gigantycznego wiatrołomu olbrzymie pnie modrzewi leżą zwrócone wyrwanymi z ziemi korzeniami w jedno miejsce — w stronę centrum niezwykłej katastrofy. Przekona się pan, że w promieniu trzydziestu kilometrów nie ocalało ani jedno drzewo, a w promieniu sześćdziesięciu kilometrów drzewa zostały połamane na wszystkich wzgórzach. Żeby dokonać eksplozji o takiej sile, potrzeba by było setek tysięcy ton najsilniejszych materiałów wybuchowych.

Skąd mogła się wziąć taka energia? Odpowiem panu tak, mój drogi uczony, jak odpowiedziałby pan jakiemuś uczniakowi. Meteoryt, zachowując swą prędkość kosmiczną, uderzył o ziemię, a cała jego energia kinetyczna błyskawicznie zamieniła się w energię cieplną, co równoznaczne jest z wybuchem.

Pozwolę sobie zauważyć, mój uczony przeciwniku, którego noga nigdy nie postąpiła w rejonie tunguskiej katastrofy, że dla miejscowej ludności upadek meteorytu nie podlegał dyskusji. Tamtejsi starzy ludzie zapewniają, że do miejsca, gdzie zszedł z nieba bóg ognia i piorunów — oślepiający Ogdy — nie zbliżał się nikt z miejscowych. Miejsce to przeklęte zostało przez szamanów.

Tylko w pierwszych dniach po katastrofie Ewenkowie chodzili po wykrotach, szukając swych zwęglonych renów, zniszczonych szałasów, i widzieli wówczas fontannę wody, przez trzy dni bijącą spod ziemi. Chyba lepiej będzie, mój zasługujący na niewątpliwie lepszy los oponente, jeśli zamiast hipotezy negującej zjawisko aż nadto oczywiste, wytłumaczy pan, skąd te obawy zakorzenione u miejscowych ludzi.

I wreszcie ostatnie nie wyjaśnione zjawisko, świadczące o jego związku z jakimś kosmicznym wydarzeniem.

Leży przede mną fotografia zrobiona w Narowczacie, w guberni penzeńskiej, przez miejscowego nauczyciela. Zdjęcie zostało zrobione w nocy, jedną dobę po wybuchu meteorytu na Syberii. A oto świadectwo znajdującego się tej nocy w obserwatorium taszkienckim, cieszącego się do dziś dobrym zdrowiem akademika Fiesienkowa, który daremnie czekał na zapadnięcie ciemności, żeby móc przystąpić do obserwacji.

Po upadku meteorytu w całym rejonie od basenu Jeniseju do Oceanu Atlantyckiego, nawet w Azji Środkowej i nad Morzem Czarnym pojawiły się białe noce, pozwalające czytać nawet o północy. Na wysokości osiemdziesięciu trzech kilometrów zaobserwowano świetliste srebrne obłoki niewiadomego pochodzenia.



Oto zadanie dla pana, łaknący laurów drogi mój oponente. Niech pan wyjaśni związek tego zjawiska z upadkiem meteorytu, a nie kompromituje się negowaniem udokumentowanego faktu upadku bolidu.

Słowem, zaraziłem się polemicznym hazardem i miałem już na końcu pióra zjadliwy, błyskotliwy artykuł, w którym zgromię nie znaną mi jeszcze antymeteorytową hipotezę. Chciałem jak najszybciej przekonać się, co zawierała powierzona mi koperta.

Ale cierpliwość moja została wystawiona na ciężką próbę. Od 3 kwietnia do 14 sierpnia 1945 roku nie otrzymałem od swoich zleceńodawców żadnych wiadomości.

Zrzucenie na Japonię bomby atomowej kazało mi zapomnieć o fizyku, o geologu–etnografie i o ich hipotezach. Nagle jednak otrzymałem depeszę, która wszystko ukazała mi w zaskakująco nowym świetle.

*Proszę porównać dane sejsmiczne wstrząsu z 30 czerwca 1908 roku i drugiego amerykańskiego prezentu. Szukam Murzynki.*

Nie mogło być żadnych wątpliwości. Mój fizyk ma na myśli bombę atomową, o której usłyszał przez radio.

Nie ukrywam, że poczułem się tak, jakby udzielono mnie w głowę solidnie wypchanym workiem. Z podnieceniem studiowałem szczegóły próbnej eksplozji bomby atomowej w stanie Nowy Meksyk, kiedy to stalowa wieża natychmiast zamieniła się w parę, a pod niebo wzbił się słup ognia, widoczny z kilkudziesięciu kilometrów.

Z wielką uwagą czytałem opisy wybuchów bomb w Hiroszynie i Nagasaki, gdzie oślepiająca kula ognista gazów rozszczepionych do temperatury dwudziestu milionów stopni wzbiła się do góry, zostawiając za sobą słup płomieni, który przepalił obłoki i utworzył na niebie gigantyczny grzyb czarnego dymu.

Ręce mi drżały, kiedy porównywałem te szczegóły z tak starannie przygotowanymi przeze mnie do dyskusji opisami wybuchu w tunguskiej tajdze.

Dla większej pewności udałem się do Akademii Nauk, gdzie w Komitecie Meteorologii uzyskałem dodatkowe materiały dotyczące upadku meteorytu tunguskiego. Tam też dowiedziałem się o śmierci sekretarza naukowego do spraw meteorologii, Leonida Kulika.

Ten wybitny uczony rosyjski już w pierwszych dniach wojny narodowej dobrowolnie stanął w obronie ojczyzny z taką wiarą w zwycięstwo, jaką zadziwiał świat przy poszukiwaniach meteorytu tunguskiego.

Co za szkoda, że ten wielki uczony nie mógł ukoronować swych badań porównaniem zapisów sejsmologicznych upadku meteorytu i eksplozji atomowej.

Takiego porównania, przy pomocy Instytutu Akademii Nauk, udało się mnie dokonać.

Cechą charakterystyczną zapisów sejsmologicznych wstrząsu tunguskiego było zarejestrowanie dwóch impulsów — tym bardziej oddalonych od siebie w czasie, im dalej od miejsca wybuchu znajdowała się stacja sejsmiczna. Drugi impuls w rejonie rejestrującej stacji wywołany był falą powietrzną, która rozprzestrzeniała się z mniejszą prędkością niż fale drgań skorupy ziemskiej.

Analiza wskazań sejsmografów rejestrujących eksplozję atomową w Nagasaki z uderzającą dokładnością odtwarzała obraz zapisu z 30 czerwca 1908 roku.

Czyżbyśmy w 1908 roku mieli do czynienia z pierwszym wybuchem atomowym na ziemi?

Leżała przede mną koperta zawierająca przemyślenia rosyjskiego fizyka teoretyka, który w sposób genialny domyślił się, że katastrofa tunguska była spowodowana reakcją jądrową. Z trudem opanowałem irytację, jaka ogarnęła mnie na myśl, że taki uczony szuka w tajdze jakiejś rudej Murzynki, zamiast opublikować swoją tezę.

Uznałem, że nie ma co się dłużej zastanawiać, i otworzyłem kopertę.

Okazało się, że miałem rację w swoich spóźnionych domysłach. Mój teoretyk wszystko przewidział.

Tak, katastrofa tunguska, podczas której huk był słyszalny na tysiąc kilometrów, katastrofa, która spowodowała niebywałe zniszczenia i prawdziwe trzęsienie ziemi, wytworzyła oślepiającą kulę gazów rozpalonych do temperatury dziesiątków milionów stopni, która przekształciła się potem, unosząc się gwałtownie w górę, w słup ognisty widoczny z odległości czterystu kilometrów — taka katastrofa mogła być tylko wybuchem atomowym.

Fizyk przypuszczał, że meteoryt, który dostał się w atmosferę ziemską, ważył nie tysiące, ani nie setki tysięcy ton, jak uważano poprzednio, lecz maksimum sto kilogramów, i był nie z żelaza i niklu, jak zwykle metalowe meteoryty, lecz z uranu lub z jeszcze cięższych transuranowych elementów, nieznanych na ziemi.

Ogromna temperatura, którą meteoryt uzyskał przelatując przez atmosferę ziemską, była jednym z warunków umożliwiających zapoczątkowanie reakcji rozpadu atomowego. Meteoryt eksplodował wyzwalając swą energię atomową nie dotknąwszy nawet ziemi. Cała jego masa w mgnieniu oka wyparowała, częściowo przekształcając się w energię równą energii eksplozji dwustu tysięcy ton materiału wybuchowego.

Oto dlaczego Leonid Kulik nie mógł znaleźć żadnych resztek meteorytu ani leja po jego upadku. W centrum powalonej tajgi natrafił jedynie na bagno ponad warstwą wiecznej zmarzliny.

Również dwa ostatnie zagadkowe momenty katastrofy tunguskiej wyjaśniała hipoteza mego fizyka. Tajemnicze srebrzyste obłoki, oświetlające w nocy ziemię, były resztkami radioaktywnej substancji meteorytu, wyrzuconej siłą wybuchu aż do warstwy Heaviside'a. Radioaktywny rozpad ich atomów wywołał świecenie powietrza.

Przesądny strach Ewenków, którzy w pierwszych dniach po katastrofie chodzili wśród połamanych drzew, spowodowany był „gniewem” boga ognia i Gromow, oślepiającego Ogdy. Każdy, kto znalazł się w tym przeklętym miejscu, ginął od strasznej, niepojętej choroby, porażającej wrzodami wewnątrz organy człowieka. Biedni Ewenkowie stali się ofiarami rozpadu atomowego mikroskopijnych resztek meteorytu, rozrzuconych w rejonie katastrofy.

Jak błyskotliwe i celne wydawały się teraz wnioski mego fizyka. Przecież właśnie z tym zjawiskiem zetknęli się Japończycy w Nagasaki po wybuchu bomby atomowej. Rozpad pozostałych atomów mógł trwać jakieś półtora–dwa miesiące.

Kolejny numer pisma z artykułem fizyka został już przełamany i wysłany do drukarni, kiedy otrzymałem od niego depezę z Wanowary:

*Hipoteza błędna. Zniszczyć rękopis. Widziałem czarnoskórą. Wracam.*

Nie posiadałem się ze zdumienia. Teraz znów nie chciałem wierzyć fizykowi. Trudno sobie wyobrazić, jak strasznie żał mi było rozstać się z hipotezą o atomowej eksplozji meteorytu. Nie mogłem się zmusić, żeby zadzwonić do drukarni.

Co tu począć? Jakie dane świadczące przeciw tej hipotezie mógł znaleźć fizyk na miejscu katastrofy?

Przyniesiono mi jeszcze jeden telegram — znów z Wanowary. Otworzyłem go drżącymi rękami:

*Znaleziono ostatni egzemplarz przedlodowcowych czarnoskórych Sybiraków. Publikować:*

Nic nie rozumiejąc wpatrywałem się w telegram Siergieja Antonowicza. Jaki mógł być związek przed lodowcowej Murzynki z hipotezą wybuchu atomowego?

Wreszcie doszedłem do wniosku, że tak czy siak nic nie pojmem. Trzeba być tu chyba całkiem niespełna rozumu.

Machnąwszy ręką na wszystkie domysły otworzyłem kopertę Siergieja Antonowicza i zacząłem obliczać, czy jego artykuł może pod względem objętościowym zastąpić ten, który dałem już do kolejnego numeru.

Tak byłem zajęty tą czynnością, że nie zauważyłem, kiedy otworzyły się drzwi i wszedł do mego pokoju brodaty człowiek w brudnych butach pozostawiających ślady na parkiecie. Rozpiąwszy futrzaną kurtkę zdjął czapkę uszanke i wyciągnął do mnie rękę jak do starego znajomego.

Wyczekująco spojrzawszy na nieznanego, przywitałem się z nim grzecznie... i nagle go poznałem.

Broda! Brak okularów! Ale jak mógł się tak szybko znaleźć w Moskwie? Przecież dopiero co otrzymałem jego telegram.

Wziąłem do ręki depezę i spojrzałem na datę nadania: no tak, gdzieś ją przetrzymano.

— Rękopis... — powiedział fizyk ciężko dysząc, widocznie zmęczony szybkim marszem. — Śpieszyłem się tu z lotniska...

— Numer jeszcze w drukarni — odparłem. — Ale gdzie pańskie okulary?

Fizyk machnął ręką:

— Stłukły się.

Bez słowa usiadł w fotelu, wy dostał z kieszeni kapciuch, zgrubiałymi brązowymi palcami skręcił papierosa i sięgnął po hubkę i krzemień. Podałem mu zapalniczkę. Fizyk uśmiechnął się z zażenowaniem.

— Całkiem zdziżałem — powiedział zapalając skręta.

W milczeniu siedzieliśmy naprzeciw siebie. Przyglądałem się jakże przeobrażonemu naukowcowi. Wydawał się teraz szerszy w ramionach. Silna opalenizna i gęsta broda nadawały mu dziarskiego wyglądu. Zaciągając się mocno machorką, patrzył gdzieś w kąt pokoju. Najwyraźniej myślami był daleko stąd.

— Opowiadać? — zapytał lakonicznie.

— Ależ oczywiście.

— Wie pan — spojrzał na mnie i nagle krótkowzrocznie mrużąc oczy stał się tym fizykiem teoretykiem, jakiego dawniej znałem — nigdy dotąd nie spałem w lesie, a bagno widziałem tylko z okna wagonu. Nie cierpiałem komarów i dlatego unikałem jeżdżenia na daczę. Dwa razy w tygodniu kąpałem się w wannie — strząsnął popiół na podłogę, a potem uśmiechnął się i spojrzał na mnie przepaszająco. — Słowem, zdziżałem — dodał bez żadnego ciągu logicznego.

Milczeliśmy przez chwilę.

— Zapewne interesuje pana, dlaczego wybrałem się na miejsce katastrofy tunguskiej, czego tam szukałem? Zacznę od pejzażu tajgi w miejscu wiatrołomu. Proszę sobie wyobrazić: w centrum katastrofy, dokoła bagna, które dawniej uważano za główny krater, tam gdzie wybuch był najsilniejszy, stoją pnie połamanych drzew. W promieniu trzydziestu kilometrów cały las leży pokotem, a tu drzewa stoją. Z ziemi sterczą ogromne kikuty, pomiędzy którymi wyrósł już młodniak. To dawne drzewa, korzenie ich są już dawno martwe, nie mają kory, która opaliła się i poodpadała. Wszystkie gałęzie zostały ucięte potwornym wichrem, a na miejscu każdego sęcзка widać zwęglenie. Drzewa te podobne są do słupów telegraficznych. Mogły ustać tylko w tym wypadku, jeśli huragan spadł na nie pionowo z góry.

Mój gość silnie się zaciągnął papierosem i z widoczną rozkoszą wypuścił pod sufit gęsty kłęb dymu. Nie przerywałem jego milczenia.

— Właśnie ten obraz był mi potrzebny — kontynuował, z widocznym trudem odrywając się od swoich myśli. — Dlaczego stoi ten martwy las? Tylko dlatego, że drzewa w tym miejscu były

ustawione prostopadle do fali wybuchu. A to mogło się zdarzyć jedynie wówczas, jeśli wybuch nastąpił nad ziemią. Rozpalone do setek tysięcy stopni gazy mknąc z ogromną prędkością ścięły gałęzie, opaliły pnie. Zimne powietrze, które napłynęło ich śladem, ugasiło pożar.

— A więc jednak wybuch miał miejsce? — niemal się uradowałem.

— Tak, na wysokości pięciu kilometrów nad ziemią. Obliczyłem tę wysokość na podstawie powierzchni martwego lasu, który pozostał na pniu. Proste zadanie geometryczne.

— Jeśli meteoryt nie dotknął ziemi, mógł to być tylko wybuch atomowy. Teraz jestem gotów bronić pańskiej hipotezy nawet wbrew panu! — zawołałem zapalczywie.

— Bardzo ciekawe! — powiedział fizyk. — A więc pojedynek naukowy? Niech się pan broni!

I przystąpiliśmy do nieco dziwnej dyskusji. Fizyk mimo wszystko okazał się moim oponentem, ale... zamieniliśmy się rolami.

— Co mogło spowodować nagłą eksplozję meteorytu? — spytał fizyk, zaciągając się machorką.

— Należy przypuszczać, że był on zbudowany z izotopu uranu o masie atomowej 235, zdolnego do tak zwanej „reakcji łańcuchowej”.

— Słusznie. Albo izotop uranu, albo plutonu. Teraz proszę opisać tę reakcję łańcuchową, a od razu dostrzeże pan słabe punkty bronionej przez siebie hipotezy.

— Chętnie panu służę. Jeśli atomy izotopu uranu bombardować neutronami, elektrycznie obojętnymi cząsteczkami elementarnymi masy, to przy trafieniu neutronem jądro rozpadnie się na dwie części, wyzwalać ogromną energię i prócz tego wyrzucając trzy neutrony, które rozbijają sąsiednie atomy, wyrzucając znów każdy po trzy neutrony. Oto ma pan obraz nieprzerwanej reakcji łańcuchowej, która nie ustanie, zanim nie rozpadną się wszystkie atomy uranu.

— Doskonale. Proszę jednak powiedzieć, co jest potrzebne do zapoczątkowania reakcji atomowej?

— Należy rozbić pierwszy atom, trafić neutronem w pierwsze jądro.

— Otóż to. I właśnie tu kryje się pułapka. Wie pan, jak daleko od siebie znajdują się atomy? Odległości pomiędzy nimi podobne są do odległości planet, jeśli porównać wielkość planet i jąder atomów. Proszę spróbować trafić wędrującą kometą, a tak właśnie można sobie wyobrazić neutron, w jedną z planet, w jądro atomu. Fizycy obliczyli, przez jaką warstwę uranu należałoby przepuścić neutron, żeby według teorii prawdopodobieństwa trafił on w jądro atomu. Niektórzy doszli do wniosku, że do rozpoczęcia reakcji łańcuchowej tak zwana masa krytyczna uranu powinna wynosić nie mniej niż osiemdziesiąt ton.

— Nieprawda! Podaje pan niewłaściwe przykłady. Tak myślano dawniej. Do zapoczątkowania reakcji atomowej wystarczy kilogram uranu.

— No dobrze — uśmiechnął się fizyk. — Gromi mnie pan moją własną bronią, ale nie odgadł pan jeszcze mojego podstępu. Tak, rzeczywiście, w półkilogramowej masie uranu reakcja łańcuchowa pod wpływem strumienia neutronów nie może się zacząć, ale w kilogramie uranu rozpocznie się bez wątpienia. Jaki z tego wniosek? Jest już jasne, że nasz meteoryt musiał zawierać w sobie nie mniej niż kilogram izotopu uranu 235.

— Z całą pewnością.

— Ale, z drugiej strony, potrzebne są pędzące neutrony. Proszę mi powiedzieć, co zapoczątkowało reakcję? Skąd wziął się strumień neutronów?

— A promieniowanie kosmiczne? Przecież zdarzają się w nim wolne neutrony.

— Jest pan dobrze przygotowany — uśmiechnął się fizyk. — Ale przecież taki potok neutronów istniał również poza granicami atmosfery. Dlaczego meteoryt tam nie eksplodował?

— Decydującą rolę powinna tu odegrać szybkość neutronów. Przecież przy dużej prędkości

neutrony mogą nie wyrządzić szkody jądru atomu, podobnie jak kula, która przebija deskę, ale jej nie przewraca.

— Otóż właśnie — fizyk uderzył pięścią w stół. — W celu rozpoczęcia reakcji łańcuchowej trzeba przyhamować lecące neutrony.

— Jeśli na zmianę prędkości neutronów wpływ miała wysoka temperatura, nagrzanie się meteorytu podczas przechodzenia przez atmosferę...

— Wpadł pan! — zawołał fizyk zrywając się z miejsca. — Jest pan pokonany, drogi oponente. Zaczyna pan uciekać się do przypuszczeń. „Jeśli”. Żadnych „jeśli”. Nie wiem, jak Amerykanie skonstruowali swoją bombę atomową, ale mimochodem rozebraliśmy teraz jej „mechanizm”. Tak, najtrudniejsze musiało być dla Amerykanów przyhamowanie neutronów. I wątpliwe, czy obeszło się tutaj bez ciężkiej wody.

— Racja, Amerykanie rzeczywiście zastosowali ciężką wodę. Widzę, że siedząc w tajdze był pan doskonale o wszystkim poinformowany.

— Wiedziałem o tym, zanim wyruszyłem do tajgi. Przecież jestem teoretykiem. Teoretycy powinni przewidywać rozwiązanie problemu na wiele lat przedtem, zanim zostanie on rozwiązany przez praktyków, empiryków;

Tak, więc w naszym meteorycie trudno wyobrazić sobie obecność elementów hamujących, włączających się w odpowiednim momencie. Przecież w amerykańskiej bombie atomowej były one skonstruowane przez człowieka.

— W takim razie czego pan szukał w tajdze tunguskiej, jeśli już przedtem wiedział pan, że nie mógł to być wybuch atomowy? — zerwałem się gotów rzucić się na fizyka, który z taką zabójczą bezwzględnością obalał swą własną hipotezę.

— Szukałem tego, co mogło tam być przed katastrofą. Dlatego z wykrywaczem min w rękach przemierzyłem niemało kilometrów, do krwi pogryziony przez przekłete muszki.

— Z wykrywaczem min? — Wlepiłem oczy w fizyka i przez chwilę milczałem, chcąc coś z tego zrozumieć. — I to, co pan znalazł, zdecydowało o zmianie pańskich poglądów? — zawołałem głośno. — Czyżby pan podejrzewał, że wybuch był przygotowany w sztuczny sposób, że mieliśmy do czynienia z bombą atomową?

— Nie — spokojnie zaoponował fizyk. — Ten wybuch atomowy nie był eksplozją bomby.

— Poddaję się. Nic już nie wiem., A więc wszystko jest nie tak... Czy nic pan nie znalazł?

— Tak, przez półtora miesiąca przebywania w rejonie wiatrołomu nie znalazłem ani krateru po upadku meteorytu, ani odłamków meteorytu, ani żadnych metalowych przedmiotów, które mogły się tam znajdować przed wybuchem. Zresztą nic w tym dziwnego. Wybuch nawet drzewa wtłoczył w torf na głębokość czterech metrów. Ale...

— Jakie „ale”? Niech mnie już pan nie męczy... Proszę powiedzieć, co tam pan znalazł?

— Proszę mi nie przerywać. Opowiem wszystko po kolei.

— Poddaję się, nie jestem już pańskim oponentem, a tylko słuchaczem. Proszę mi tylko pozwolić zapisywać to, co usłyszę.

— Jak już powiedziałem, poszukiwania z wykrywaczem min nic mi nie dały. Ponieważ ekspedycja dopiero zaczynała pracę, po rozejrzeniu się w rejonie wiatrołomu musiałem zgodnie z umową wybrać się z Siergiejem Antonowiczem na poszukiwania jego idiotycznej czarnoskórej kobiety, mieszkającej gdzieś w tajdze. Oczywiście nie myślałem wówczas, że potrafi ona obalić moją początkową hipotezę. Dostałem przewodników Ewenków i na ich renach wyruszyliśmy w drogę.

— Wybuch atomowy i czarnoskóra kobieta? Jaki w tym związek? — jęknąłem.

— Obiecał pan nie przerywać.

— Ale wy, naukowcy, powinniście się kierować jakąś logiką. No dobrze, już milczę.

— Około dwóch miesięcy niezmordowanie uganiał się za ostatnią kobietą z plemienia czarnoskórych Sybiraków. Dowiedzieliśmy się, że jeszcze żyła i chyba była gdzieś szamanką. Wreszcie znaleźliśmy ją w koczowisku koło miasteczka o zdumiewająco dźwięcznej nazwie Taimba, obcej zarówno dla Rosjan jak i Ewenków. Przyproceedził nas tu Ewenk Ilja Potapowicz Luczetkan, który kiedyś, nie zważając na zakaz szamanów, towarzyszył jako przewodnik samemu Kulikowi. Był to sędziwy starzec o brązowej pomarszczonej twarzy i tak wąskich oczach, że wydawały się stale zamknięte.

„Szamanka to dziwny człowiek — mówił Luczetkan gładząc goły podbródek. — Jakieś czterdzieści albo mniej lat temu przysłała do rodu Churchangyr. Była zepsuta”.

Wiedzieliśmy, że „zepsutymi” Ewenkowie nazywają zarówno kontuzjowanych jak i nienormalnych.

„Nie mogła mówić — kontynuował Ilja Potapowicz — krzyczała. Dużo krzyczała. Nic nie pamiętała. Umiała leczyć. Samymi oczami umiała leczyć. Została szamanką. Dużo lat z nikim nie mówiła. Dziwny człowiek. Czarny człowiek. Nie nasz człowiek, ale szaman, szaman... Tu jeszcze dużo starych Ewenków. Rosyjskiego cara dawno nie ma. Kupca, który od Ewenków skóry brał, dawno nie ma, a u nich ciągle jeszcze jest szaman. Inni Ewenkowie dawno już szamanów wygnali. Nauczyciela wzięli. Leśną gazetę pisać będziemy. A tu ciągle jest szamanką. Po co ją oglądać? Lepiej artel myśliwych pokażę. Tak wam powiem, baje”.

Siergiej Antonowicz na wszelkie sposoby dopytywał się, z jakiego rodu pochodzi szamanką, mając nadzieję, że dowie się czegoś o jej pochodzeniu. Udało się nam jedynie ustalić, że nikt nic o niej nie wiedział zanim zjawiła się w rodzie Churchangyr. Być może mowy i pamięci została pozbawiona podczas katastrofy meteorytu, i jak widać, stan jej zdrowia po dzień dzisiejszy przedstawia wiele do życzenia.

„Ewenkom za cara kazano się chrzczyć — mówił Luczetkan — a oni szamanów zostawili, nie chcieli słuchać cara. Wszyscy kłaniali się czarnemu nurowi, tajmieniowi i niedźwiedziowi. A teraz szamanów przepędzili”.

Powiedział nam również, że czarna szamanką miała jakieś własne dziwne obrzędy.

Odprawiała je wczesnym rankiem, kiedy wschodzi gwiazda poranna.

Luczetkan obudził mnie i Siergieja Antonowicza. Wstaliśmy cicho i wyszliśmy z czumu. Rozsypane na niebie gwiazdy zdawały mi się jakimiś odłamkami pozostałymi po atomowej katastrofie wszechświata.

W tajdze nie ma skraju lasu ani polan. W tajdze jest tylko bagno.

Stożkowaty czum szamanki stał przy samej topieli. Zbity mur modrzewi rozstał się i widać było niższe gwiazdy.

Luczetkan zatrzymał nas.

„Tu trzeba stać, baje”.

Widzieliśmy, jak z czumu wyszła wysoka, zgrabna postać, a w ślad za nią trzy stare Ewenki, które wydawały się całkiem malutkie w porównaniu z szamanką. Procesja ta gęsiego ruszyła po grząskim bagnie.

„Bierzcie żerdzie, baje. Zapadniesz się — trzymać będzie. Bokiem pójdziemy, jeśli patrzeć chcesz i śmiać się chcesz”.

Niczym linoskoczkowie, z żerdziami w rękach, szliśmy po żywym, wzdychającym pod nogami bagnie, a kępki z prawa i z lewa tak się ruszały, jakby chciały podskoczyć do góry. Nawet krzaki i

młode drzewa kołysały się, czepiały się naszych żerdzi i wydawało się, że chcą nam zastąpić drogę.

Skręciliśmy za młodniak i stanęliśmy. Nad czarną, zębatą linią lasu, otoczona małą aureolą świeciła gwiazda poranna.

Szamanka i jej towarzyszki stały pośrodku bagna z uniesionymi rękami. Potem usłyszałem niski, długi dźwięk. Jakby w odpowiedzi odezwało się dalekie leśne echo, powtarzające tę nutę o wiele oktaw wyżej. A potem echo zabrzmiało głośniejszą jakąś dziwną, niejasną melodią. Zrozumiałem, że to śpiewała ona, szamanka.

Tak zaczął się ten nie do opisanego duet głosu szamanki i leśnego echa, przy czym często słychać je było równocześnie, zlewały się ze sobą w niepojętej, ale czarownej harmonii.

Pieśń się skończyła, a ja nie chciałem, nie mogłem ruszyć się z miejsca.

„To pieśń prehistoryczna Moja hipoteza o ludziach przedlodowcowych jest słuszna” — entuzjastycznie wyszeptał Siergiej Antonowicz.

Potem w dzień siedzieliśmy w czumie szamanki. Przyprowadził nas tutaj Ilja Iwanowicz Churchangyr, pomarszczony starzec bez jednego wioska na twarzy. Nawet rzęs i brwi nie miał ten mieszkaniec lasu, nie znający kurzu.

Szamanką miała na sobie mocno znoszoną ewenkijską parkę, przyozdobioną kolorowymi szmatkami i wstążeczkami. Oczy miała zasłonięte naciągniętą na czoło czapką futrzaną, a nos i usta okutane podartym szalem, jakby od mrozu.

Siedzieliśmy w ciemnym czumie na podłodze, na śmierdzących skórkach.

„Po co przyszedł? Chory?” — spytała szamanka niskim, aksamitnym głosem. I od razu przypomniałem sobie poranną pieśń na błotach.

Kierując się nieświadomym porywem, przysunąłem się ku czarnej szamance i powiedziałem jej:

„Słuchaj, baje szamanko. Czy wiesz, co to jest Moskwa? Tam jest dużo kamiennych czumów. Zbudowaliśmy tam wielki szytik. Ten szytik może latać. Lepiej niż ptaki, do samych gwiazd może dolecieć — wskazałem ręką do góry — Jak wrócę do Moskwy, polecę tym szytikiem do nieba. Polecę na gwiazdę poranną, której pieśni śpiewasz?”

Szamanką pochyliła się w moją stronę. Zdaje się rozumiała, o czym mówię.

— „Polecę szytikiem do nieba — kontynuowałem gorąco — chcesz, żebym zabrał cię na gwiazdę poranną?”

Szamanka patrzyła na mnie błękitnymi, przestraszonymi oczami.

W czumie zapanowała martwa cisza. Ktoś z napiętą uwagą wpatrywał się we mnie z ciemności. Nagle zobaczyłem, że szamanka jakby się skurczyła i z wolna opadła na skórę. Wpiwszy się w nią zębami, zaczęła tarzać się po ziemi. Z gardła szamanki wydobywały się bełkotliwe dźwięki — ni to szloch, ni to jakieś niepojęte, nieznanne słowa.

„Aj, baje, baje — zawołał cienkim głosem stary Churchangyr — coś narobił, baje. ... Niedobrześ zrobił, baje, bardzo niedobrze... Idź stąd, baje, idź szybko. Święta gwiazda, a ty źle mówisz...”

„Czy można szargać ich w-w-wierzenia? Co pan narobił?” — ze złością szeptał Siergiej Antonowicz.

Pośpiesznie wyszliśmy z czumu. Luczetkan rzucił się biegiem po nasze reny. Nie spotkałem nigdy spokojniejszych, łagodniejszych ludzi niż leśni myśliwi Ewenkowie, ale teraz nie poznawałem ich. Odjeżdżaliśmy z osady odprowadzani ponurymi, wrogimi spojrzeniami.

„Udaremnił pan plany badawcze ekspedycji etnograficznej Akademii Nauk” — z trudem wydusił z siebie Siergiej Antonowicz, wstrzymując swego rena, żeby zrównać się ze mną.

„Pańska hipoteza jest nic niewarta” — odburknąłem i uderzyłem obcasami swego rogatego

rumaka.

Pokłóciliśmy się z Siergiejem Antonowiczem i przez następne trzy dni, kiedy oczekiwaliśmy na hydroplan z Krasnojarska, nie zamieniliśmy ani słowa.

Tylko Luczetkan był zadowolony.

„Zuch, baje — śmiał się, a oczy jego wyglądały jak dwie zmarszczki na brązowej twarzy. — Dobrze pokazał, że szamanka to tylko zepsuty człowiek. Będę pisać do leśnej gazety. Niech wiedzą wszyscy leśni ludzie”.

Dziwne myśli krążyły mi po głowie. Hydroplan znoszony silnym prądem szarpał już cumy, Juższytik dowiózł mnie do samolotu, ale ciągle nie mogłem oderwać wzroku od przeciwległego brzegu Podkamiennej Tunguzki.

Za urwistą, jakby toporem zrąbaną skałą rzeka skręcała w prawo, w stronę miejsca, gdzie doszło do katastrofy atomowej. Ale na tamtym brzegu nic nie można było wypatrzeć, prócz kołyszących się wierzchołków poźółkłych już i pokrytych śniegiem modrzewi.

Nagle dostrzegłem nad urwiskiem podskakującego człowieka. Rozległy się wystrzały. To jakiś Ewenk ze swym łosiem.

Bez chwili wahania wsiadłem do szytiku, chcąc popłynąć w tamtą stronę. Ku memu zaskoczeniu wskoczył również do łodzi potężny Siergiej Antonowicz. Miejscowy przewoźnik przyłożył się do wiosła. Ewenk przestał strzelać i zaczął schodzić nad rzekę.

Szytik z rozpędu niemal do połowy wyskoczył na kamienie.

„Baje, baje! — zawołał Ewenk. — Szybciej, baje! Czasu birda chok. Całkiem nie ma. Szamanka umiera. Kazała ciebie przyprowadzić. Coś chce mówić”.

Po raz pierwszy od czasu naszej sprzeczki spojrzeliśmy na siebie, Siergiej Antonowicz i ja.

Chwilę później łódź wiozła nas po pierwszym śniegu między urwistym brzegiem i złocistoszarą ścianą tajgi.

Słyszałem kiedyś, że łosie biegają z szybkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Ale przeżyć to samemu, trzymając się kurczowo sań, żeby nie spaść... Widzieć przelatujące obok, zlewające się w mętną ścianę poźółkłe modrzewie... Mrużyć oczy od siekącego twarz śniegu... Nie, nie mogę opisać panu tego niezwykłego wyścigu przez tajgę. Ewenk szalał. Poganiał rogacza dzikim wrzaskiem i gwizdem, Bryły śniegu siekły w twarz jak podczas zadymki. Od huraganowego wiatru drętwiał to jeden, to drugi policzek.

Oto już i koczowisko. Przecieram zaproszone oczy. Okulary zbiły mi się podczas tej opętańczej jazdy.

Czeka na nas tłum Ewenków. Na ich czele stary Churchangyr.

„Szybciej, szybciej, baje! Czasu całkiem mało!” — po jego policzkach toczą się wielkie łzy.

Biegniemy do czumu. Kobiety rozstępują się przed nami.

W czumie jest jasno. Potrzaskują smoliste pochodnie. Na środku, na jakimś stole czy wysokim łożu spoczywa czyjeś ciało.

Mimo woli drgnąłem i schwyciłem za rękę Siergieja Antonowicza. Skamieniały w przedśmiertnym majestacie, niczym nie okryty leżał przed nami przepiękny posąg; jakby odlany z żeliwa. Nieznane nam proporcje smolistoczarnej twarzy były zaskakujące i z niczym nie dawały się porównać. No bo czyż można porównać piękno czarnej skały ze wzniosłym pięknem greckiej świątyni?

O mężnej energii i skrytym smutku świadczył bolesny grymas zaciśniętych kobiecych warg. Z napiętym wysiłkiem uniosły się surowe brwi u wąskiej nasady nosa. Dziwnie wypukłe, łuki brwiowe nadawały zastygłej twarzy wygląd obcy, nieznany, nigdy nie spotykany.



Rozsypane na ramionach włosy połyskiwały zarazem miedzią i srebrem.

„Czyżby umarła?”

Siergiej Antonowicz pochylił się i zaczął słuchać serca.

„Nie bije” — powiedział z przestachem.

Rzęsy czarnej bogini drgnęły. Siergiej Antonowicz odskoczył.

„Ona ma serce po prawej stronie!” — wyszeptał.

Dokoła stały pochylone staruszki. Jedna z nich podeszła do nas.

„Baje, ona już nie będzie mówić. Będzie umierać. Kazała ci przekazać: jak będziesz lecieć na gwiazdę poranną, koniecznie weź ją ze sobą...”

Staruszka zapłakała.

Czarny posąg leżał bez ruchu, jakby rzeczywiście odlany z żeliwa.

Cicho wyszliśmy z czumu. Trzeba było jechać. Lód mógł skuć rzekę, a wtedy hydroplan nie wystartuje. Tak więc... jestem tutaj.

Fizyk skończył. Wstał i wyraźnie zdenerwowany przeszedł się po pokoju.

— Umarła? — spytałem niezdecydowanie.

— Wrócę, koniecznie wrócę do tajgi — powiedział mój gość — może jeszcze ją zobaczę.

Do jego hipotezy o wybuchu atomowym dopisaliśmy już kilką zdań, kiedy do pokoju wszedł również brodaty Siergiej Antonowicz.

— Opublikował pan moją hipotezę o czarnoskórej? — spytał nawet się ze mną nie witając.

Zamiast odpowiedzi podałem mu kartkę, na której zacząłem pisać pod dyktando fizyka. Oszołomiony Siergiej Antonowicz przez kilka chwil siedział bez słowa nie wypuszczając z rąk kartki. Potem wstał, poprosił, żebym mu dał jego artykuł, i metodycznie porwał go na równiutkie drobne kawałeczki.

A ja jeszcze raz przeczytałem uzupełnienie do hipotezy fizyka:

*Niewykluczone, że wybuch nastąpił nie w meteorycie z uranu, lecz w statku międzyplanetarnym napędzanym energią atomową. Być może po wylądowaniu w górnym biegu Podkamiennej Tunguzki podróżnicy rozeszli się w celu zbadania okolicznej tajgi, i wiośnie wówczas w ich statku nastąpiła jakaś awaria. Pojazd kosmiczny wyrzucony został na wysokość pięciu kilometrów i tam eksplodował. Przy czym reakcja stopniowego wydzielania energii atomowej przekształciła się w reakcję natychmiastowego rozpadu uranu lub jakiegoś innego radioaktywnego paliwa, znajdującego się na statku w ilości potrzebnej do powrotu na nieznaną planetę.*

*Przełożył Eugeniusz Piotr Melech*

*Ilja Warszawski*  
*Nazidanije dla pisatielej fantastiki*

# Uniwersalny poradnik dla pisarzy fantastów

Trudno ogarnąć całe bogactwo pomysłów współczesnej fantastyki. Możemy tam znaleźć i rozumne rośliny, i mówiące zwierzęta, i wiele jeszcze innych rzeczy, doskonale znanych psychiatrom leczącym ciężkie formy paranoi.

Liczba miłośników literatury fantastyczno–naukowej nieustannie rośnie. Wraz z kibicami piłkarskimi tworzą oni śmietankę intelektualną ludności naszego globu. Nic więc dziwnego, że fantastykę nazywa się „literaturą stulecia”.

Niestety brak jakiegokolwiek teorii fantastyki znacznie obniża produktywność autorów uprawiających ten gatunek i pozbawia krytyków możliwości obiektywnej oceny.

Zanim powstanie teoria uniwersalna, warto chociażby usystematyzować podstawowe trendy rozwojowe fantastyki i przynajmniej pobieżnie naszkicować naukowe kryteria oceny jakości utworów gotowych.

## A. Wybór imion

Imiona bohaterów winny odpowiadać ich charakterom. Jeżeli akcja toczy się w dalekiej przyszłości lub w innej galaktyce, to bohaterowie pozytywni winni nosić dobre imiona: Dar, Mir, Skarb, Miła itp. (dobrą inspiracją do wyboru imion żeńskich może stać się lektura katalogu środków piorących).

Bohaterom negatywnym nadaje się imiona w rodzaju: Mrok, Zły, Cuch, Ból. Nawet najbardziej obrzydliwym typom nie należy jednak nadawać imion brzmiących jak przekleństwa, bowiem takie wyrazy spotyka się w leksykonie naukowców, szczególnie młodych, co przy czytaniu sprawia pewne trudności semantyczne.

Przedstawicielom cywilizacji pogranicznych (przejściowych), które jeszcze mogą wstąpić na właściwą drogę, nadaje się imiona metodą gilotynowania. W słowniku wyszukuje się jakieś zwykłe wyrazy, powiedzmy „żwir” i „klamka”. Odcinamy pierwsze litery i otrzymujemy Wir Lamka. Prostota i elegancja!

## B. Miejsce akcji

Kosmos jest głównym chlebodawcą fantastów. Ale spożytkować go można jedynie w celach humanitarnych. Aby nie zatracić przy tym elementu sensacji, znakomicie uzbrojonych Ziemiaków obarcza się szlachetną misją nosicieli moralności ludzkiej, ustanawianej za pomocą broni promienistej, bomb jądrowych i anihilatorów przestrzeni. Wobec szczególnie podłych istot, pochłaniających plazmę gwiazdną niby galaretę z nówek cielecych, dopuszcza się stosowanie bardziej energicznych metod perswazji.

Fantasta ma prawo kreślić najbardziej nawet ponure obrazy, byle tylko bohater kręcił głową z

dezaprobatą i wygłaszał długie tyrady na temat tego, że na ojczystej Ziemi podobne paskudztwa są już niemożliwe. Nazywa się ten zabieg wprowadzaniem elementu pozytywnego do tematyki negatywnej. Często bohater tego typu jest słabo uzbrojony i wynosi się po angielsku ze wstrętnej planety, nie odczuwając przy tym żadnych wyrzutów sumienia. Wypełnił bowiem swą rolę, uświadomiwszy czytelnikowi, jak źle byłoby, gdyby... i tak dalej.

Aby nie narazić się na zarzut chwiejności pozycji, autor winien stosować oba tematy przemienne w różnych utworach. Jeśli na przykład w poprzednim dziele opowiadał się za całkowitą nieingerencją w obce sprawy, to w następnych powinien rozprawiać się z obcoplanetnikami wszystkimi środkami, jakie mu się pod rękę nawiną, łącznie ze szpiegostwem, dywersją i bronią masowej zagłady.

W żadnym z tych wariantów nie należy doprowadzać fabuły do szczęśliwego zakończenia, gdyż pozbawia to autora możliwości napisania dalszego ciągu. Najlepiej dać do zrozumienia, że happy end nastąpi, kiedy rak świśnie. Taka formuła urządzi wszystkich. Optymistów dlatego, że najsilniejszy akcent pada na nieuniknioną szczęśliwą konkluzję, pesymistów zaś dlatego, że wiedzą co raki są warte, znają ich dość szczegółowy sposób poruszania się, a nawet domyślają się, gdzie raki zimują.

### **C. Czas akcji i problemy z tym związane**

Fantaści z reguły unikają zagłębiania się w przeszłość, wymaga to bowiem znajomości historii, chociażby w zakresie szkoły średniej. Dlatego myśli pisarza wędrują zwykle ku przyszłości.

Tam, prawie zawsze, ziemskie problemy ograniczają się do dekoracji, natomiast zasadnicza akcja toczy się gdzieś tam w innych galaktykach.

Ale nawet co do sztafażu nie ma jednorodności.

Jak i przez kogo będzie rządzona nasza planeta? Niektórzy uważają, że znajomość wyższej matematyki sama przez się gwarantuje mądrość godną męża stanu. Nie wiem, czy można w pełni przychylić się do tego poglądu. Proszę zapytać, co myśli żona dowolnego uczonego o zmyśle praktycznym swego małżonka, a wtedy zrozumiecie, ile wart jest rząd światowy, składający się z samych profesorów i akademików. Dlatego też fantaści skłonni są zwać sprawy państwowe na barki maszyn matematycznych. Wtedy ludzkość nie musi już podejmować jakichkolwiek decyzji i może się całkowicie oddać lotom kosmicznym, tańcom i swawolom.

Ogromne znaczenie przypisuje się uszlachetniającemu oddziaływaniu sztuki, szczególnie muzyki.

Inna rzecz, że przeprowadzone przez nas wrywkowe badania wśród znajomych nie pozwoliły na razie wykryć różnic w obliczu moralnym między bywalcami sal koncertowych, a ludźmi, którym słoń nastąpił na ucho.

Wyliczone tu problemy wyczerpują w zasadzie futurologiczne wizje fantastów, jeśli nie liczyć tego, że samochód zostanie zastąpiony „mobilem”, teatr „tcheatrem”, do wszystkich środków lokomocji zastosuje się napęd antygravitacyjny, a prace domowe poruczy robotom–androidom.

### **D. Hipotezy naukowe**

Literatura fantastyczno–naukowa różni się od literatury popularnonaukowej tym, że ma uświęcone prawo do obalania podstawowych praw natury.

Konieczne i bezdyskusyjne jest obalenie pierwszej i drugiej zasady termodynamiki. (O istnieniu trzeciej zasady autor może nie wiedzieć).

Fantasta ma prawo dowodzić lub po prostu deklorować możliwość poruszania się z prędkością przewyższającą szybkość światła, pozyskiwania energii z materii w ilościach przewyższających te, które wynikają z równania Einsteina, związania przestrzeni siłą woli i tworzenia pól, których nazwy nie można rozszyfrować nawet przy pomocy słownika wyrazów obcych.

Fakt, że konieczną tego przesłanką musi być całkowity krach współczesnej nauki nikogo nie peszy, gdyż mamy do czynienia z fantastyką naukową, dziecięciem postępu naukowego.

Czyniono próby, aby pomniejszyć triumf wyobraźni nad prawami natury przez wprowadzenie do narracji różniczkowych równań cząstkowych — chwyt wyraźnie nie fair zarówno w stosunku do kolegów po piórze, jak i do czytelników. Tego rodzaju tendencje do chwalenia się wykształceniem należy w fantastyce zdecydowanie tępić.

## **E. Delfiny**

Przeciwnicy literatury fantastyczno—naukowej utrzymują, że ten rodzaj tematyki dawno już wyczerpał wszystkie możliwe wątki fabularne i istnieje jedynie dzięki wielokrotnemu przeżuwaniu jednego i tego samego. O tym, że opinia ta jest całkowicie pozbawiona podstaw, świadczy inwazja delfinów na utwory fantastyczne.

W trakcie całej swej historii ludzkość współistniała z delfinami, ale dopiero niedawno, kiedy ssaki te zostały niemal całkowicie wytępione, naukowcy odkryli, że stosunek masy mózgu do ciężaru ciała jest u tych zwierząt wyższy niż u człowieka. Wywołało to całą powódź spekulacji na temat życia wewnętrznego waleni uzębionych, a zwłaszcza delfinów śródziemno — i czarnomorskich.

Jeśli usystematyzować wszystko, co prasa pisze o delfinach, to ponad wszelką wątpliwość okaże się, że:

Po pierwsze, delfiny lubią ludzi. Chociaż miłości nie da się mierzyć wedle jakiegokolwiek skali absolutnej lub względnej, to jednak istnieją pewne podstawy do przypuszczenia, iż delfin czuje nieco mniejszą sympatię do człowieka niż pies i nieco większą niż świnia.

Po drugie, delfiny łatwo wytresować. Zdaje się niewiele trudniej niż lwy morskie (te ostatnie mają stosunkowo o wiele mniej mózgu niż delfiny i wobec tego nie interesują ani naukowców, ani fantastów).

Po trzecie, delfiny rozmawiają ze sobą gwiżdżąc. Wszystko wskazuje na to, że język delfinów pod względem bogactwa znaczeniowego i celności skojarzeń nie ustępuje językowi ptaków śpiewających. Jednak problem ten wymaga uściślenia, jako że nikt jeszcze nie sporządził słownika delfiniego ani ptasiego.

Niestety to już prawie wszystko, co przemawia za delfinami. Oczywiście w porównaniu z niedźwiedziami, rozbijającymi się w modnych spodniach na motocyklach, osiągnięcia delfinów wydają się być mniej niż skromne, ale fantaści powinni rozwijać waleniową tematykę, bo w przeciwnym razie mógłby ktoś zapytać, po co im taki potężny mózg, w który wyposażyła je natura? (Chodzi tu, rzecz jasna, nadal o delfiny).

## **F. Potwory**

Czytelnik lubi rzeczy niezwykłe. Im więcej potworów w tekście, tym lepiej.

Obecnie zostały już spożytkowane wszystkie postacie mitologiczne:

centaury, smoki, pegazy, cyklopy, a nawet anioły, zwykłe i sześcioskrzydłe.

Produkcję potworów na potrzeby utworów fantastycznych można zrealizować metodami

potokowymi. Istnieją dwie takie metody:

Hybrydyzacja. W tym wypadku sporządza się krzyżówkę najbardziej odległych przedstawicieli fauny i flory. Krzew róży z tygrysimi łbami zamiast kwiatów, dziewczyna z ciałem węża, latające meduzy, mieszaniec pająka z jastrzębiem. Im śmielszy zestaw cech takiej hybrydy, tym lepszy efekt artystyczny i silniejsze oddziaływanie emocjonalne na czytelnika.

Zmiana skali. Jeden z najprostszych i najskuteczniejszych sposobów, nie wymagający szczególnych wyjaśnień. Pluskwa wielkości konia lub dinozaur mieszczący się w pudełku po zapalniczkach otwiera niewyczerpane wprost możliwości konstruowania dynamicznej, pasjonującej fabuły.

To właściwie już wszystkie zasady kompozycji utworów fantastyczno—naukowych. Należy jedynie dodać, że tytaniczna praca, której wynikiem jest systematyzacja pomysłów fantastycznych, znacznie ułatwi pisarzom wybór tematów. Wystarczy wziąć na chybił trafił kilka pomysłów i zręcznie je połączyć. Liczba kombinacji jest przy tym tak wielka, że wystarczy jeszcze kilku pokoleniom fantastów.

*Przełożył Tadeusz Gosk*

*Ilja Warszawski*  
*Ekskursija w Pennfield*

# Wycieczka do Pennfield

— Lepiej chyba będzie, jeżeli napiję się jeszcze koniaku — powiedział Lynn Cragg.

Podająca herbatę pokojówka spojrzała wymownie na Mepha.

Meph wzruszył ramionami.

— Czemu tak dużo pijesz, Lynn? W twojej sytuacji...

— W mojej sytuacji, drogi Ezra, szklanka mniej czy więcej już nie gra roli. Wczoraj badał mnie Winthrow.

— Teraz już poradzimy sobie sami, Mary — powiedział Meph. — Proszę nam zostawić keks i koniak. Poczekaj, aż pokojówka wyszła.

— Cóż więc powiedział ci Winthrow?

— Wszystko, co lekarz mówi choremu w podobnych przypadkach. Nalać ci? — Cragg sięgnął po butelkę.

— Tylko trochę — powiedział Meph.

Przez kilka minut milcząc obracał szklankę w palcach.

— Wiesz przecież, Lynn, że najtrudniej znaleźć słowa pocieszenia. Zresztą nie zawsze są one potrzebne, szczególnie takim ludziom jak ty. Mimo to chciałbym, abyś mnie dobrze rozumiał. Przecież w podobnych przypadkach jest jeszcze zawsze nadzieja...

— Daj spokój, Ezra — przerwał mu Cragg. — Nie rozumiem, czemu przyjaciele zwykle starają się do cierpień fizycznych dodać jeszcze tortury nadziei.

— Dobrze, nie będziemy już ó tym mówić.

— Wiesz przecież, Ezra — powiedział Cragg — że życie mnie nie pieściło. Ale jeślibym mógł przeżyć raz jeszcze jedną jedyną chwilę z przeszłości...

— Masz na myśli tę historię?...

Cragg potakująco skinął głową.

— Nigdy mi o tym nie mówiłeś, Lynn. Wszystko, co wiem...

— Ja sam starałem się o tym zapomnieć. Niestety, nie potrafimy rozkazywać swojej pamięci.

— Zdaje się, że to się wydarzyło w górach?

— Tak, w Pennfield. Dokładnie czterdzieści lat temu. Jutro przypada czterdziestolecie mojego ślubu i mojego wdowieństwa. — Wypił duży łyk. — Właściwie byłem żonaty zaledwie pięć minut.

— I myślisz, że gdyby ci się udało powtórzyć te pięć minut?...

— Muszę się przyznać, że myślę o tym bez przerwy. Prześladowuje mnie myśl, że wtedy... Mówiąc po prostu nie zachowałem się wtedy najlepiej. Były możliwości, których nie wykorzystałem.

— Zawsze się tak wydaje — powiedział Meph.

— Możliwe. Ale to był chyba wyjątkowy wypadek. Od chwili, gdy Ingrid straciła równowagę, było zupełnie jasne, że polecą w przepaść. Dostatecznie dobrze jeździłem na nartach i mógłbym...

— Brednie! — obruszył się Meph. — To wszystko wymyśliłeś już potem. Takie już są właściwości psychiki ludzkiej. Nie jesteśmy w stanie...



— Nie masz racji, Ezra. Po prostu wtedy na moment owładnęło mną jakieś odrętwienie. Dziwne, fatalistyczne przeczucie nieuniknionej katastrofy. Teraz byłbym gotów sprzedać duszę diabłu, tylko za przywrócenie tej chwili. Tak dokładnie wyobrażam sobie, co należało wówczas zrobić!

Meph podszedł do kominka i stanął plecami do ognia.

— Bardzo mi przykro, Lynn — powiedział po długiej pauzie. — Według wszystkich zasad gry powinienem cię teraz zaprowadzić do swego laboratorium, posadzić w maszynę czasu i wyprawić w przeszłość. Niestety, tak bywa tylko w opowiadaniach fantastycznych. Strumień czasu jest nieodwracalny, ale nawet gdyby sam diabeł przeniósł cię w przeszłość, to wszystkie wydarzenia w nowym układzie czasowym byłyby ściśle uwarunkowane przez mającą dopiero nastąpić przyszłość. Pętli czasu nie można przedstawić inaczej jak tylko jako pętlę. Mam nadzieję, że mnie zrozumiałeś?

— Zrozumiałem — uśmiechnął się niewesoło Cragg. — Niedawno przeczytałem opowiadanie. Była tam mowa o człowieku, który wyprawił się w daleką przeszłość, rozdeptał tam motyla i ten drobiazg wywołał w teraźniejszości zmianę ustroju politycznego, ortografii i czegoś tam jeszcze. Czy to właśnie miałeś na myśli?

— Mniej więcej, chociaż fantaści są skłonni do przesady. Związki skutków i przyczyn mogą być bardzo różnie lokalizowane w czasie i przestrzeni. Trudno wyobrazić sobie następstwa śmierci Napoleona w niemowlęctwie, ale gdyby moja lub twoja praprzodkini wybrała sobie innego małżonka, świat, w którym żyjemy, doprawdy zmieniłby się bardzo mało.

— Dziękuję bardzo! — powiedział Cragg. — I to już wszystko, co mógł mi zakomunikować filozof i najwybitniejszy fizyk Donomagu Ezra Meph?

Meph rozłożył ręce:

— Przeceniasz możliwości nauki, Lynn, szczególnie jeżeli chodzi o zagadnienia związane z czasem. Im więcej myślimy o jego naturze, tym bardziej nasze poglądy stają się zagmatwane i sprzeczne. Przecież nawet teoria względności...

— W porządku — powiedział Cragg, opróżniając szklanekę — widzę, że rzeczywiście lepiej jest mieć do czynienia z Szatanem niż z uczonymi. Nie będę ci się już naprzykrzał.

— Odprowadzę cię — powiedział Meph.

— Nie warto. W ciągu dwudziestu lat zdołałem tak poznać drogę, że te dziesięć kroków mogę przejść z zamkniętymi oczami. Dobranoc!

— Dobranoc! — odpowiedział Meph.

Cragg nie mógł długo trafić kluczem w otwór zamka. Chwiał się mocno na nogach. W domu bez przerwy dzwonił telefon. Otworzywszy w końcu drzwi, podszedł po ciemku do aparatu.

— Słucham!

— Halo, Lynn! Mówi Meph. Wszystko w porządku?

— W porządku.

— Kładź się spać. Już dwunasta.

— Odpowiednia pora do sprzedawania duszy diabłu!

— Dobrze, dobrze, tylko nie sprzedaj zbyt tanio — Meph położył słuchawkę.

— Jestem do pańskich usług, doktorze Cragg!

Lynn włączył stojącą lampę. W fotelu, obok szafy z książkami, siedział nieznajomy mężczyzna w czerwonym garniturze przylegającym do szczupłej figury i w czarnym płaszczu zarzuconym na ramiona.

— Do usług — powtórzył nieznajomy.

— Pan wybaczy — powiedział zmieszany Cragg — ale wydaje mi się...

— Ze wyzwoliwszy się z jednego schematu literackiego wpadł pan w drugi? Prawda? — uśmiechnął się nieznajomy. — Niestety, poza tymi dwoma schematami problem podróży w czasie jest nierozwiązalny. Albo maszyna czasu, albo... ja. Czym więc mogę służyć?

Cragg usiadł na fotelu i potarł czoło.

— Niech pan się nie obawia, nie jestem zjawą.

— Tak, ale...

— Ach, to?! — poklepał ręką eleganckie, lakierowane kopyto, wystające z nogawki spodni. — Niech pan na to nie zwraca uwagi. Moda rodem z dawno minionego czasu. Znacznie wygodniejsze i bardziej eleganckie niż buciki.

Cragg odruchowo rzucił okiem na płaszcz, okrywający plecy nieznajomego.

— Znowu to samo! — zachmurzył się gość i podniósłszy się z fotela zrzucił płaszcz. — Cóż, pytanie zupełnie na miejscu, jeżeli weźmiemy pod uwagę wszelkie brednie, które księża w ciągu wieków o nas wygadywali. Zdaję sobie sprawę, drogi doktorze, z całej wulgarności i niewłaściwości podobnego rodzaju doświadczeń, ale jeżeli bym... To znaczy, że jeżeli by pan... Słowem, jeżeli takie doświadczenie byłoby dopuszczalne z punktu widzenia przyzwoitości, to na własne oczy mógłby się pan przekonać, że nie ma nawet śladu ogona. Wszystko to jest wierutne kłamstwo! Zapewniam pana.

— Kim pan jest? — zapytał Cragg.

— Takim samym człowiekiem jak i pan — powiedział gość, znowu narzucając płaszcz i siadając na poprzednim miejscu. — Czy zdarzało się panu słyszeć o cykliczności rozwoju wszelkich przejawów życia?

— Zdarzało się. Rozwój wzdłuż spirali.

— Niechaj będzie wzdłuż spirali — zgodził się gość — to nie zmienia istoty rzeczy. Tak więc pan i ja znajdujemy się na różnych gałęziach tej spirali. Jestem przedstawicielem cywilizacji, która poprzedzała waszą. To, co osiągnęła nasza nauka — nieśmiertelność poszczególnych ludzi, umiejętność kierowania czasem, jakieś triki z transformacją — wszystko to w sposób nieunikniony wywoływało, w ciemnych umysłach ludzi waszego cyklu, zabobonne przekonanie o istnieniu jakiejś siły nieczystej. Dlatego też niewielu zachowanych do dziś przedstawicieli naszej ery woli nie afiszować się ze swoim istnieniem.

— Głupstwo! — powiedział Cragg. — To niemożliwe!

— A gdyby na moim miejscu zjawił się przybysz z kosmosu — spytał gość — czy uwierzyłby pan w realność tych odwiedzin?

— Nie wiem, może bym i uwierzył. Jak pan zapewne wie, moją specjalnością jest filologia, a nie kosmogonia. Przybysz z kosmosu nie usiłowałby jednak kupić mojej duszy.

— Tfu! — na twarzy nieznajomego pojawił się wyraz wstrętu. — Czyżby pan wierzył w te bajeczki?! Ja — straszak wszystkich duchownych — miałbym zajmować się podobnymi mistyfikacjami i powtarzać ich kłamstwa?

— Czemu więc pan się tu znalazł? — spytał Cragg.

— Czysto naukowe zainteresowanie. Zajmuję się zagadnieniem przenoszenia w czasie. Ze zgodą i bez zgody obiektu. — To prawda?! — Cragg poderwał się o mało nie przewracając fotela. — Czy pan mógłby mnie przenieść czterdzieści lat wstecz?

Nieznajomy wzruszył ramionami.

— Dlaczego nie? Co prawda z pewnymi ograniczeniami. Determinizm związków skutkowo—przyczynowych...

— Już to dzisiaj słyszałem — przerwał mu Cragg.

— Wiem — uśmiechnął się gość. — Tak więc jest pan gotów?

— Jestem gotów!

— Doskonale! — Zdjął zegarek z ręki. — Dokładnie czterdzieści lat?

Cragg skinął głową.

— Proszę bardzo! — przesunął wskazówki i zapiął pasek na rękę Lynna. — W chwili, gdy pan zechce zacząć transformację, proszę nacisnąć ten sztyfcik.

Cragg spojrział na tarczę pokrytą niezrozumiałymi znakami.

— Co to jest?

— Nie wiem, czy potrafię panu dobrze to wytłumaczyć — zawahał się nieznajomy. — Człowiekowi zabobonemu powiedziałbym, że to jest czarodziejski zegarek. Fizykowi powiedziałbym, że to jest generator pola ujemnych prawdopodobieństw. Ten termin byłby chyba najbliższy prawdy, chociaż nie o to przecież chodzi. Ważne jest, że mechanizm, który pan ma na rękę, jest środkiem umożliwiającym przeniesienie w przeszłość. Mam nadzieję, że to pana zadowoli.

— Tak — niezbyt pewnym głosem odpowiedział Cragg.

— Zanim pana opuszczę — powiedział gość — muszę uprzedzić o istnieniu trzech dosyć zasadniczych okoliczności. Po pierwsze, przy całym moim szacunku dla arcydzieł literatury, nie mogę pominąć szeregu bardzo poważnych niedokładności, których dopuścił się pan Goethe. Faust, uzyskawszy z moją pomocą młodość, w żaden sposób nie mógł zachować życiowego doświadczenia starca, o czym zresztą świadczy jego bezsensowne zachowanie się podczas całej tej historii. W wyniku naszego doświadczenia odmłodzony o czterdzieści lat, jednocześnie utraci pan całą wiedzę nabytą w tym czasie. Jeżeli mimo to chce pan coś zatrzymać w pamięci, proszę o tym myśleć w chwili transformacji. Cragg kiwnął głową.

— Po drugie — kontynuował gość — wie pan chyba, że ciało fizyczne nie może jednocześnie znajdować się w różnych miejscach. Dlatego też proszę przystąpić do transformacji w tym punkcie przestrzeni, w którym znajdował się pan czterdzieści lat temu. W przeciwnym razie nie odpowiadam za skutki. Pan mnie zrozumiał?

Cragg kiwnął głową.

— I wreszcie — jeszcze coś o związkach przyczyn i skutków. W starej sytuacji może pan zachować się inaczej, niż zachował się pan pierwotnie. Jednak nie można przewidzieć, do czego to doprowadzi. Możliwe tu są... eee... różne warianty, określane przez stopień przestrzenno—czasowego zasięgu tychże związków. Zresztą już pan to wie. Mam więc zaszczyt... — Skłonił się nisko. — Ach, Diabli nadali! Zdaje się, że trochę panu nabrudziłem kopytami! Ale to chyba niewielki mankament...

— Drobiazg! — powiedział Cragg.

— Usilnie proszę o wybaczenie. Zaraz znikam. Obawiam się, że będzie pan zmuszony przewietrzyć potem pokój. Paliwo siarkowe. Niestety, współczesna chemia nie dysponuje żadnym innym środkiem dokonywania transformacji. Życzę powodzenia!

Cragg poczekał, aż rozwieje się obłoczek żółtego dymu, i podszedł do telefonu.

— Postój taksówek? Proszę przyjechać na ulicę Grenaud numer trzy. Co? Nie, za miasto. Muszę szybko dostać się do Pennfield.

— Wjeżdżamy do Pennfield — powiedział szofer. Cragg otworzył oczy.

To było inne Pennfield. Jasno oświetlone okna wielopiętrowych domów migwały po obu stronach ulicy.

— Do hotelu?

— Tak. Dobrze pan zna miasto?

Szofer popatrzył na niego ze zdziwieniem.

— Oczywiście! Już od wielu lat wożę tu narciarzy. Ze wszystkich ośrodków zimowych...

— Może pan pamięta, tu na górze mieszkał duchowny... Małeńki domek na samym szczycie.

— Umarł — powiedział kierowca. — Pięć lat temu. Teraz jest inny ksiądz, mieszka w mieście, obok kościoła. Zdarzało mi się przywozić pasażerów i do niego... W różnych sprawach — dodał po chwili milczenia.

— Chciałbym przejechać się po mieście — powiedział Cragg.

— Dlaczego nie? — zgodził się szofer.

Cragg patrzył w okno. Nie, to zdecydowanie było inne Pennfield.

— Wystarczy, niech pan zawiezie mnie do hotelu.

Obok przemknął stary budynek ratusza. Zegar na wieży wskazywał drugą godzinę. Cragg poznał to miejsce. Tuż obok, na prawo, powinien być hotel.

— Jesteśmy na miejscu — powiedział szofer, zatrzymując samochód.

— To nie ten hotel.

— Innego tu nie ma.

— Dawniej był — powiedział Cragg patrząc na budynek.

— Był drewniany, a potem na jego miejscu zbudowali ten.

— Jest pan o tym przekonany?

Szofer wzruszył ramionami.

— Czemu miałbym panu głowę zawracać?

— W porządku — powiedział Cragg. — Może pan wracać, ja tu zostanę. Wyszedł na chodnik.

— Przyjemnej jazdy — powiedział szofer chowając pieniądze do kieszeni. — Teraz jest świetny śnieg. Jeżeli pan potrzebuje dobrych nart, to radzę...

Cragg zrobił gest oznaczający, że nie potrzebuje żadnych rad i zatrzasnął drzwiczki.

...W pustym hallu za kontuarem drzemała recepcjonistka.

— Chcę pokój na pierwszym piętrze z oknami na plac — powiedział Cragg.

— Pan na długo do nas?

— Nie wiem. Może... — zawahał się Cragg. — Może na kilka dni.

— Pojeździć na nartach?

— Jakie to ma znaczenie? Recepcjonistka uśmiechnęła się.

— Absolutnie żadnego. Proszę wypełnić druczek. — Podała mu kartkę, na której Cragg napisał swoje nazwisko i adres.

— To wszystko?

— Wszystko. Proszę za mną, pokażę panu pokój. Gdzie pańskie rzeczy?

— Przyślą jutro.

Weszli na pierwsze piętro. Recepcjonistka zdjęła z tablicy klucz i otworzyła drzwi.

— To ten.

Cragg podszedł do okna. Budynek ratusza był widoczny bardziej na lewo niż powinien.

— Ten pokój mi nie odpowiada. A co jest obok?

— Numer obok jest wolny, ale jeszcze nie posprzątanym. Goście wyjechali dopiero wieczorem.

— To nieważne.

— Tak, ale teraz nie ma pokojówki.

— Powiedziałem, że to nie ma żadnego znaczenia!

— Dobrze — westchnęła recepcjonistka — jeżeli pan nalega, to zaraz zmienię pościel.

Zdaje się, że to było to, co potrzeba, ale łóżko stało pod inną ścianą. Cragg poczekał, aż recepcjonistka rozesłała prześcieradło.

— Dziękuję. Nic więcej nie trzeba. Kładę się spać.

— Dobranoc! Czy rano pana obudzić?

— Rano? — Wydawało się, że nie zrozumiał pytania. — Ach, rano! Jak pani sobie życzy, to już jest bez znaczenia.

Recepcjonistka parsknęła i wyszła z pokoju.

Cragg odsłonił okno, przesunął łóżko pod przeciwległą ścianę i zgasiwszy światło zaczął się rozbierać.

Długo leżał patrząc na wzory tapety, dopóki promień księżyca nie przesunął się do wezglowia łóżka. Wówczas, zmrużywszy oczy, nacisnął sztyft na zegarku...

„Jeśli chce pan coś zatrzymać w pamięci, proszę myśleć o tym w chwili transformacji...” Tak, omijając pień ostro zakreśliła w lewo i straciła równowagę. Gdy się jej udało postawić prawą nartę na śniegu, krzyknęła, urwisko było zaledwie o parę metrów. Zrozumiała, że na hamowanie jest już za późno i upadła na lewy bok. Wielki płat śniegu zaczął pod nią wolno osiadać...

Cragg obudził się z dziwnym uczuciem ciężaru w głowie. Promienie porannego słońca biły w oczy, przenikając przez zamknięte powieki. Przewrócił się na bok usiłując przypomnieć sobie, co wydarzyło się wczoraj.

Zdaje się, że wczoraj razem z Ingrid jeździł na nartach przy świetle księżyca do drugiej w nocy. Potem, w hallu, powiedziała... Cragg poderwał się i zaczął pospiesznie naciągać wilgotny jeszcze od wczoraj sweter. Ech, do diabła! Zaspać w taki dzień!

Zbiegając po schodach o mało nie przewrócił wchodzącej na górę gospodyni w nakrochmalonym czepcu i oślepiając ją białym fartuszku.

— Niech pan się spieszy, panie Cragg. — Na jej twarzy pojawił w dobrodusznym chytry wyraz.

— Panienska już dawno na pana czeka. Niech pan uważa, żeby...

Cragg dwoma skokami pokonał pozostałe stopnie.

— Ingrid!

— Radzę ci dobrze, do zaręczyn go nie całuj! — zaśpiewała Ingrid, poprawiając fryzurę. — Niech pan lepiej usiądzie i napije się kawy. Muszę się przyznać, że już zaczęłam myśleć, iż pan pożałował swego nierozsądku i uciekł do miasta zostawiając oszukaną Małgorzatę.

...Gdy się jej udało postawić prawą nartę na śniegu, krzyknęła...

— Nie wiem, co mi się stało — powiedział Cragg, mieszając cukier. — Zwykle wstaję tak wcześnie...

— Źle się pan czuje?

— Nnnie.

— Tęsknota za utraconą wolnością?

— Jak pani może, Ingrid!

— Proszę wobec tego nasmarować moje narty. Pojedziemy na górę wyciągiem i zjedziemy...

— Nie!! — Crag przewrócił filiżankę na obrus. — Nie trzeba jeździć na nartach!

— Co się z panem dzieje, Lynn?! — spytała Ingrid strząsając kawę z sukni. — Daję słowo, że pan jest chory. Od jak dawna?

— Tam... — Zasłonił twarz rękami.

... Omijając pień, ostro skręciła w lewo i straciła równowagę...

— Tam... sąpnie! Boję się... Ingrid. Błagam panią, zjeźdźmy drogą albo zjedźmy kolejką.

Ingrid odęła wargi.

— Dziwne, że wczoraj nie bał się pan żadnych pni — powiedziała wstając. — Nawet w nocy pan się nie bał. W ogóle dziwnie się pan dzisiaj zachowuje. Jeszcze nie jest za późno...

— Ingrid!

— Proszę dać spokój, Lynn! Nie mam najmniejszej ochoty wlec się trzy kilometry pod rękę ze swoim rozsądnym i tchórzliwym małżonkiem albo stać się pośmiewiskiem wszystkich zjeżdżając kolejką. Idę się przebrać. Ma pan dziesięć minut do namysłu. Jeżeli wszystko robi pan wbrew woli, to jest jeszcze możliwość...

— Dobrze — powiedział Cragg — zaraz nasmaruję pani narty.

— Czy zgadzasz się wziąć za żonę tę oto kobietę? ... Urwisko było zaledwie o parę metrów, zrozumiała, że na hamowanie jest już za późno...

— Tak.

— A czy ty zgadzasz się wziąć za męża tego mężczyznę?

— Zgadzam się.

— Podpiszcie akt...

Ceremonia skończyła się. Wyszli z domu proboszcza.

— No więc? — zakładając narty, Ingrid spojrzała na Cragga. W jej oczach błyszczało wyzwanie. — Jesteś gotów?

Cragg kiwnął głową.

— Jedziemy!

Ingrid odepchnęła się kijkami i pomknęła do przodu.

Craggowi wydawało się, że to wszystko widział już kiedyś we śnie: i niebieskawobiały śnieg, i fontanny pyłu wytryskujące spod nart Ingrid, i czerwony szalik powiewający na wietrze, i jaskrawe słońce rażące oczy.

W przedzie majaczyła samotnie stara sosna. Ingrid przemknęła obok niej. Dalej ze śniegu powinien sterczeć pień.

...Omijając pień ostro zakręciła w lewo i straciła równowagę...

Ingrid weszła w prawy zakręt. W prawy! Cragg westchnął z ulgą.

— Nie ma tych pni znów tak dużo — krzyknęła, ostro zakręcając w lewo. — Wszystkie twoje obawy... — Spojrzała na jadącego z tyłu Cragga i straciła równowagę. Prawa narta poderwała się do góry.

Cragg przysiadł i ze wszystkich sił odepchnąwszy się kijkami, pomknął chcąc jej przeciąć drogę.

Zderzyli się o kilka metrów od urwiska.

Już spadając w przepaść, usłyszał przeraźliwy krzyk Ingrid. Potem cały świat utonął w nieznośnie jaskrawej eksplozji światła.

— Pańska gazeta, doktorze Meph — powiedziała pokojówka.

Ezra Meph dopił kawę i założył okulary.

Przez kilka minut z obrzydzeniem przeglądał kronikę towarzyską. Potem przerzuciwszy artykuł o nowej metodzie leczenia reumatyzmu, zajrzał na ostatnią stronę.

Notatka była ujęta w czarną ramkę.

W numerze hotelowym w Pennfield zmarł znany uczyony, filolog, profesor Państwowego Uniwersytetu Donomagu, doktor Lynn Cragg. Nasza nauka utraciła w nim...

Meph złożył gazetę i poszedł do sypialni.

— Nie, Mary — powiedział do pokojówki — tę marynarkę proszę odwiesić do szafy, założę czarny garnitur.

— Już od samego rana? — zapytała Mary.

— Tak, dzisiaj mam żalobę. Trzeba dokonać jeszcze kilku formalności.

— Ktoś zmarł?

— Lynn Cragg.

— Biedaczysko! — Mary wyjęła garnitur z szafy. — Bardzo źle ostatnio wyglądał. A pan go nawet nie odwiedził!

— To zdarzyło się w Pennfield — powiedział Meph. — Zdaje się, że pojechał tam na narty.

— Boże drogi! W jego wieku! Na pewno na coś wpadł...

— Najprawdopodobniej. Jeżeli wyjdziemy z założeń continuum przestrzenno–czasowego... Ach, Diabli!

— Co się stało?

— Znowu gdzieś się zapodziała łyżka do butów. Nie masz pojęcia, jaka to męka naciągać te modne buciki na moje stare kopyta!

*Przełożył Tadeusz Gosk*

*Ilja Warszawski*  
*Pobieg*



# Ucieczka

— Heej raz! Heej raz!

Proste urządzenie — deska, dwa kawałki sznurka i oto ciężka bryła rudy leży na wózku.

— Jazda!

Ładunek nie jest cięższy niż zwykle, ale małeńki człowieczek w pasiaku wparty piersią w poprzeczkę nie może ruszyć wózka z miejsca.

— Jazda!

Któryś z więźniów próbuje pomóc ramieniem. Za późno! Podchodzi nadzorca.

— Co się stało?

— Nic się nie stało.

— Jazda! Prędzej!

Człowieczek znowu próbuje gwałtownym zrywem pociągnąć wózek. Daremnie. Nieludzki wysiłek wywołuje atak kaszlu. Człowieczek zasłania się dłonią.

Nadzorca czeka w milczeniu, aż atak minie.

— Pokaż rękę.

Wyciągnięta dłoń jest zakrwawiona.

— Tak... Odwróć się.

Na więziennej kurtce, na plecach, znak. Nadzorca przerysowuje znak do notesu.

— Do lekarza!

Inny więzień zajmuje miejsce chorego.

— Jazda! — To w jednakowym stopniu odnosi się do obu — do tego, który od tej chwili będzie ciągnął wózek, i do tamtego, który już nie jest do tego zdolny.

— Przepraszam, panie nadzorco, czy nie można...

— Powiedziałem, do lekarza!

Nadzorca patrzy na oddalające się przygarbione plecy i jeszcze raz sprawdza notatkę w notesie: AD 15/13264. Cóż, wszystko jest jasne. Trójkąt oznacza dezercję, kwadrat dożywotnie więzienie, piętnasty barak, więzień numer trzynaście tysięcy dwieście sześćdziesiąt cztery. Dożywotnie więzienie. Wszystko się zgadza, tylko że dla tego człowieka najwidoczniej zbliża się już koniec kary. Plantacje bawełny.

— Heej raz!

Lśniący nikiel, szkło, rozproszone światło luminescencyjnych lamp i jakaś nieomal materialna, sterylna czystość.

Szare, nieco zmęczone oczy człowieka w białym fartuchu patrzą uważnie przez grube szkła okularów. Tu, w podziemnych obozach koncentracyjnych Medeny, życie ludzkie ceni się nadzwyczaj wysoko. Jakżeby inaczej! Każdy więzień, zanim dusza jego stanie przed najwyższym trybunałem, musi odkupić swoją winę wobec tych, którzy w dalekich głębinach kosmosu toczą niebywałą w

historii bitwę o hegemonię macierzystej planety. Ojczyźnie potrzebny jest uran. Na każdego więźnia dany jest plan i dlatego życie człowieka jest równie cenne jak wydobyta przez niego ruda. Niestety, w tym wypadku...

— Ubieraj się!

Długie chude ręce pospiesznie wciągają kurtkę na kościste ciało.

— Stań tutaj!

Lekkie naciśnięcie pedału i sakramentalny znak przekreśla czerwony krzyż. Od tej chwili więzień AD 15/13264 ponownie może używać imienia i nazwiska — Arp Zumbi. Zrozumiały przejaw miłosierdzia dla tych, którym przyjdzie pracować na plantacjach bawełny.

Plantacje bawełny. Nikt o nich nie wie nic dokładnego, wyjąwszy fakt, że stamtąd się nie wraca. Chodzą plotki, że w gorącym, pozbawionym wilgoci klimacie ciało ludzkie zamienia się w suchy chrust — świetne paliwo dla pieców krematoryjnych.

— Idź już. Masz tu zwolnienie z pracy.

Arp Zumbi okazuje swoje zwolnienie wartownikowi, wchodzi do baraku i czuje niezmienny zapach karbolu. Barak przypomina wielki szalet kolejowy. Gęsty zapach karbolu i kafelki. Monotonie białych ścian urozmaica tylko ogromny plakat: Za ucieczkę — śmierć na torturach. Jeszcze jedno świadectwo, jak ceni się tu ludzkie życie — jeżeli już trzeba kogoś zabić, należy to zrobić możliwie najefektywniej.

Pod jedną ścianą znajduje się coś w rodzaju gigantycznego pszczelego plastra, to miejsca do spania, rozgrodzone na oddzielne komórki. Wygodnie i higienicznie. Na białym plastyku widać najmniejszą plamkę. Komórki zaś wymyślono nie dla komfortu. To przecież katonga, a nie sanatorium, jak lubi powtarzać głos, który przeprowadza codzienną psychoterapię. Podział na komórki wyklucza możliwość kontaktu między więźniami nawet w nocy, kiedy czujność wartowników nieco słabnie.

W ciągu dnia nie wolno kłaść się, więc Arp Zumbi siedzi na ławce. Arp Zumbi myśli o plantacjach bawełny. Transport zwykle kompletuje się raz na dwa tygodnie. W skład transportu wchodzi więźniowie ze wszystkich obozów. W dwa dni później przywieżą tu nową partię więźniów. Zdaje się, że ostatni raz przywieziono ich pięć dni temu, wtedy, kiedy obok Arpa w nocy pojawił się ten dziwaczny typ. Najwyraźniej stuknięty. Wczoraj przy obiedzie oddał Arpowi połowę swojego chleba. „Na — powiada — bo inaczej niedługo portki zgubisz”. Dziwak! Arp jeszcze nigdy nie słyszał, żeby ktoś oddał swój chleb. Tamten facet na pewno jest nienormalny. Wieczorem coś nuci przed snem. Też sobie znalazł miejsce do śpiewania.

Arp znowu powraca myślą do plantacji bawełny. Rozumie, że to już koniec, ale nie wiadomo dlaczego nie jest specjalnie zmartwiony. W ciągu dziesięcioletniej pracy w kopalni człowiek przyzwyczaja się do śmierci. Ale pomimo wszystko Arpa ciekawi, jak tam jest na tych plantacjach.

Od chwili, kiedy go zamknięto, dziś pierwszy dzień nie pracuje. Pewnie dlatego czas się tak dłuży. Arp z przyjemnością położyłby się spać, ale to wykluczone, nawet wtedy, kiedy ma się papier o zwolnieniu z pracy. To jest katonga, a nie sanatorium.

Wracają z pracy jego towarzysze i z zapachem karbolu miesza się zapach płynu odkażającego. Wszyscy, którzy pracują przy rudzie uranowej, biorą profilaktyczny prysznic. To jeden ze sposobów zwiększenia średniej długości życia więźnia.

Arp zajmuje swoje miejsce w kolumnie i maszeruje na obiad.

Śniadanie i obiad to czas, kiedy straż patrzy przez palce na łamanie zakazu rozmawiania. Z zapchanymi ustami człowiek wiele się nie nagada.

Arp w milczeniu zjada swoją porcję i czeka na komendę: „Wstać!”

— Na! — znowu ten stuknięty proponuje pół swojej porcji.

— Nie chcę.

Rozlega się komenda na zbiórkę. Dopiero teraz Arp widzi, że wszyscy wytrzeszczają na niego oczy. Pewnie z powodu tego czerwonego krzyża na plecach. Nieboszczyk zawsze budzi zainteresowanie.

— Prędej!

To do sąsiada Arpa. Jego szereg już się ustawił, a tamten wciąż jeszcze siedzi przy stole. Wstaje jednocześnie z Arpem. Idąc na swoje miejsce Arp słyszy jego ledwie dosłyszalny szept:

— Jest możliwość uciezki.

Arp udaje, że nic nie słyszał. W obozie jest pełno kapusiów, a Arp wcale nie ma ochoty umrzeć na torturach. Lepsze już plantacje bawełny.

Głos to się wznosi do krzyku, od którego w skroniach łomocze, to zniża się do ledwie dosłyszalnego szeptu, który sprawia, że człowiek mimo woli zamienia się w słuch. Głos płynie z głośnika wmontowanego w węzłowie pryczy. Wieczorna psychoterapia.

Do obrzydliwości znajomy baryton wyjaśnia więźniom całą głębię ich upadku. Przed tym głosem nie uciekniesz, nie schowasz się. Tego głosu nie można po prostu wyłączyć ze świadomości, jak wyłącza się wrzaski nadzorców. Wydaje ci się czasem, że już myślisz o czymś zupełnie innym, że zapomniałeś o obozie, kiedy nagle nieoczekiwana zmiana natężenia głosu znowu włącza uwagę. I dzieje się tak trzy razy dziennie — wieczorem przed snem, w nocy w czasie snu i rano, pięć minut przed pobudką. Trzy razy dziennie. To jest katorga, a nie sanatorium.

Arp leży z zamkniętymi oczami i stara się myśleć o plantacjach bawełny. Reedukacja już się skończyła, ale Arpowi przeszkadza rytmiczne stukanie w ściankę działową między komórkami. Znowu ten wariat.

— Czego chcesz?! — pyta przez złożone w trąbkę dłonie przyciśnięte do ścianki.

— Wyjdź do latryny.

Arp sam nie rozumie, co sprawia, że musi zejść na dół, a potem pójść w kierunku łukowatego sklepienia, skąd słyhać szmer lejącej się wody.

W latrynie gorąco, temperatura dokładnie taka, żeby nie można było wysiedzieć dłużej niż dwie minuty. Arp poci się jak ruda mysz i wreszcie zjawia się tamten.

— Chcesz uciec?

— A idź ty...

Arp Zumbi jest starym wróblem i zna na wrywki chwyt kapusiów.

— Nie bój się — znowu pośpiesznie szepcze tamten — jestem z Komitetu Wyzwolenia. Jutro będziemy próbowali wywieźć i przerzucić w bezpieczne miejsce pierwszą partię. Nie masz nic do stracenia. Dadzą wam truciznę. Jeśli uciezka się nie uda...

— No?

— Zażyjesz truciznę. To w każdym razie lepsze niż śmierć na plantacjach bawełny. Zgadzasz się? Nieoczekiwanie dla samego siebie Arp kiwa głową.

— Instrukcje otrzymasz rano w chlebie. Bądź ostrożny.

Arp znowu kiwa głową i wychodzi.

Po raz pierwszy od dziesięciu lat tak głęboko pogrążył się w marzeniach, że przepuszcza mimo uszu drugie i trzecie szkolenie psychoterapeutyczne.

Arp Zumbi stoi ostatni w kolejce po śniadanie. Teraz jego miejsce jest na końcu kolumny. Zawsze

ten, który jest zwolniony z pracy, dostaje jedzenie po wszystkich innych.

Ponury kryminalista rozlewający zupę uważnie patrzy na Arpa i z nieznacznym uśmiechem rzuca mu kawałek chleba leżący osobno.

Arp je zupę i ostrożnie łamie chleb. Jest! Ukrywa za policzkiem maleńką kulkę papieru.

Teraz trzeba poczekać, aż kolumna pójdzie do pracy.

Komenda: Wstać! Arp wychodzi ze stołówki, na końcu kolumny dochodzi do poprzecznej galerii i skręca w lewo. Reszta idzie prosto.

Tu, za węglem, Arp jest względnie bezpieczny. Dyżurni sprzątaję baraki, a na zmianę warty jeszcze za wcześniej.

Instrukcja jest bardzo lakoniczna. Arp czytają trzykrotnie, a kiedy jest już pewny, że wszystko zapamiętał, znowu zgniata paperek i połyka go.

Teraz, kiedy trzeba działać, Arpa ogarnia strach.

Waha się, śmierć na plantacjach bawełny wydaje się upragniona w porównaniu z torturami.

Trucizna!

Myśl o truciznie od razu go uspokaja. Rzeczywiście, koniec końców, co ma do stracenia?!

Strach, lepki, obrzydliwy, oślizły strach, nadchodzi znowu, kiedy Arp okazuje swoje zwolnienie z pracy wartownikowi na granicy strefy.

— Dokąd?

— Do lekarza.

— Idź!

Arp ma wrażenie, że jego nogi zrobione są z waty. Powoli wlecze się galerią, wyczuwając plecami niebezpieczeństwo. Zaraz rozlegnie się okrzyk i w ślad za okrzykiem seria z automatu. W takich przypadkach strzelają w nogi. Za ucieczkę grozi śmierć na torturach. Nie należy pozbawiać więźniów takiego pouczającego widowiska, to katorga, a nie sanatorium.

Zakręt!

Arp skręca za róg i opiera się o ścianę. Słyszy uderzenia własnego serca. Zdaje mu się, że za chwilę wyrzyga ten drgający kłębek razem z gorzką żółcią zgromadzoną w żołądku. Zimny pot oblewa ciało. Zęby szczękają. Właśnie tak, przy dźwięku werbli prowadzą schwytyanych uciekinierów na kaźń.

Cała wieczność mija, zanim wreszcie Arp decyduje się iść dalej.

Gdzieś tu w niszy powinny być pojemniki na śmiecie. Arp jeszcze raz powtarza w myśli instrukcję. Znowu nachodzą go wątpliwości. A jeśli to prowokacja? Wlezie do pojemnika, a oni tylko na to czekają! I żadnej trucizny przecież nie dostał. Dureń! Nie trzeba było się zgadzać, póki nie dostał do ręki trucizny. Bałwan! Arp gotów jest tłuc głową o mur. Tak dać się nabić w butelkę pierwszemu lepszemu prowokatorowi!

A otóż i pojemniki. Obok lewego ktoś postawił kozły dla malarzy. Wszystko jak w instrukcji. Arp stoi niezdecydowany. Chyba najrozsądniej będzie wrócić.

Niespodziewanie słyszy głośnie rozmowę i szczekanie psa. Obchód. Nie ma czasu na myślenie. Nadspodziewanie lekko włazi na kozły i wskakuje do pojemnika.

Głosy zbliżają się. Pies szarpie smycz, Arp słyszy ochryple szczekanie i stukot podkutych butów.

— Spokój, Gar!

— Ktoś jest w pojemniku.

— Pewnie szczur, tu jest pełno szczurów.

— Nie, na szczura pies szczeka inaczej.

— Zawracanie głowy! Idziemy! Uspokój go wreszcie!

— Cicho, Gar.

Kroki oddalają się.

Teraz Arp może obejrzeć swoją kryjówkę. Pojemnik jest napełniony mniej więcej do wysokości jednej czwartej. O tym, żeby się z niego wydostać, nie ma nawet co myśleć. Odległość od górnej krawędzi dwukrotnie przekracza wzrost człowieka. Arp przesuwa dłoń po ścianie pojemnika i natrafia na dwa niewielkie otwory, o których była mowa w instrukcji. Otwory znajdują się w wytłoczonych literach „Obozy pracy”. Napis opasuje pojemnik. Dzięki tym otworom Arp będzie mógł oddychać, kiedy zatrzaśnie się pokrywa.

Kiedy zatrzaśnie się pokrywa... Arp już i teraz czuje się schwyty w potrzask. Kto wie, czym to się wszystko skończy? Co to za Komitet Wyzwolenia? W obozie nikt o nim nie słyszał. Może to ci sami chłopcy, którzy pomogli Arpowi zdezerterować? Szkoda, że ich wtedy nie posłuchał i poszedł odwiedzić matkę. Ktoś doniósł i wzięto go u matki. A przecież, gdyby nie był takim bałwanem, wszystko mogłoby wyglądać inaczej.

Znowu głosy i skrzyp kół. Arp przywiera okiem do jednego otworu i uspokaja się. Dwaj więźniowie wiozą wiadro z odpadkami. Widocznie to dyżurni sektoru. Nie śpieszą się. Przysiedli na wózku i po kolei dopalają okurek papierosa wyrzucony przez któregoś strażnika. Arp widzi blade smużki dymu i ślina napływa mu do ust. Niektórzy to mają szczęście!

Z niedopałka wyciągnięto wszystko, co można było wyciągnąć, i kubel jedzie do góry. Lina od wiadra przerzucona jest przez kołowrót nad głową Arpa. Arp zasłania głowę rękami. Zawartość kubła spada na Arpa.

Dopiero teraz, kiedy więźniowie odeszli, Arp czuje, jak paskudnie śmierdzi w jego kryjówce.

Otwory do oddychania znajdują się nieco powyżej jego ust i Arp musi zgarnąć sobie pod nogi trochę odpadków.

Teraz trzeba być czujnym. Sprzątanie kończy się o dziesiątej. Po dziesiątej napełnione pojemniki wysyła się na górę.

Nie wiadomo skąd ona się tu wzięła, ta szeroka nie heblowana deska wymazana wapnem. Jeden jej koniec wparł się w dno pojemnika, drugi znalazł się nieco wyżej niż głowa Arpa. Deska, podobnie jak i kozły, jest świadectwem czyjejs troski o los uciekiniera. Arp odczuwa to szczególnie teraz, kiedy ostry pręt metalowy przebija warstwę śmiecia, trafia na deskę i starannie bada ją z góry na dół. Gdyby nie było tej deski... Wydaje się, że to sprawdzanie nigdy się nie skończy.

— No i co tam? — pyta ochrypy starczy głos.

— Nic, po prostu deska.

— Jazda!

Lekkie szarpnięcie, skrzyp kołowrotu i pojemnik kołysząc się rozpoczyna podróż do góry. Od czasu do czasu uderza o ściany szybu i Arp, który przywarł do ścianki pojemnika, czuje twarzą każde uderzenie. Między jego głową a deską jest przestrzeń wolna od śmieci. To pozwala odsunąć nieco głowę od otworów przy szczególnie gwałtownym chybotaniu pojemnika.

Stop! Ostatnie, najsilniejsze uderzenie, pokrywa unosi się z łoskotem. Znowu żelazny pręt bada wnętrze pojemnika. Znowu błogosławiona deska ukrywa skulonego, trzęsącego się ze strachu człowieka.

Teraz przed otworami pojemnika betonowy mur i cały świat wokół Arpa ogranicza się do szarej, szorstkiej powierzchni.

Jednak ten świat przepelniają dawno zapomniane dźwięki. Wśród nich Arp rozróżnia szelest opon samochodowych, głosy przechodniów i nawet ćwierkanie wróbli.

Rytmiczne, uporczywe stukanie o pokrywę pojemnika sprawia, że Arp znowu kuli się w swojej kryjówce. Stukanie jest coraz częstsze, coraz natrętniejsze, coraz niecierpliwsze i nagle Arp uświadamia sobie, że to deszcz. Dopiero wtedy zaczyna zdawać sobie sprawę z tego, jak bliska, jak upragniona jest wolność.

Tej nocy wszystko podobne jest do gorączkowych majaków. Od chwili kiedy wysypano go z pojemnika, Arp to traci przytomność, to budzi się od dotyku szurzących łap. Na wysypisku roi się od szurów. Gdzieś niedaleko jadą szosą samochody. Czasem ich reflektory wydobywają z ciemności górę śmieci, za którą przyczał się Arp. Szczury z piskiem uciekają w ciemność, drapią twarz Arpa ostrymi pazurami, gryzą, jeśli próbuje je spłoszyć, i znowu powracają, kiedy wysypisko pogrąża się w mroku.

Arp myśli o tym, że w obozie już na pewno zauważono jego ucieczkę. Próbuje wyobrazić sobie, co się teraz tam dzieje. Przychodzi mu do głowy, że psy mogły wywęszyć jego trop wiodący do pojemników, a wtedy...

Dwa ostre snopy światła działają jak uderzenie.

Arp zrywa się na nogi. Reflektory natychmiast gasną. Zamiast nich zapala się maleńka lampka w szoferce samochodu. To wojskowa furgonetka, która zwykle służy do przewozu amunicji. Człowiek za kierownicą daje znak Arpowi, żeby się zbliżył.

Arp wzdycha z ulgą. To samochód, o którym była mowa w instrukcji.

Arp podchodzi do tylnych drzwi. Drzwi się otwierają, Arp chwytą czyjeś wyciągnięte ręce i znowu pogrąża się w ciemnościach.

W furgonetce jest ciasno. Siedząc na podłodze Arp słyszy ciężki oddech ludzi, plecami i ramionami czuje dotyk innych ciał. Miętko kołysząc się na resorach furgonetka bezszelestnie pędzi w mrok.

Budzi go światło latarki świecącej mu prosto w oczy. Coś się stało! Znikło wrażenie ruchu, do którego tak już przywykł.

— Chwila odpoczynku! — mówi człowiek z latarką. — Na pięć minut możecie wyjść.

Arp wcale nie ma ochoty wychodzić z samochodu, ale z tyłu napierają inni i musi zeskoczyć na ziemię.

Wszyscy instynktownie stłoczyli się wokół szoferki, nikt nie ryzykuje odejścia od furgonetki.

— A więc tak, przyjaciele! — mówi ich zbawca oświetlając latarką postacie w pasiakach. — Na razie wszystko idzie dobrze, ale zanim dojedziemy na miejsce, może się jeszcze wszystko zdarzyć. Wiecie, czym grozi ucieczka?

Milczenie.

— Wiecie. Dlatego Komitet zaopatrzy was w truciznę. Po jednej tabletkę na głowę. Działa błyskawicznie. Zażywać tylko w razie ostateczności. Jasne?

Arp dostaje swój przydział, tabletkę zawiniętą w srebrzystą cynfolię i ponownie wdrapuje się do furgonetki.

Zaciśnięta w dłoni tabletkę daje mu poczucie siły. Teraz policja straciła nad nim władzę. Z tą myślą Arp zasypia.

Niebezpieczeństwo! Wyczuwa się je we wszystkim — w martwocie samochodu, w poblądłych, oświetlonych światłem przenikającym przez szpary w plandecie twarzach uciekinierów, w głośniejszej kłótni tam na drodze.

Arp robi ruch, żeby wstać, ale dziesiątki rąk machają na niego, pokazują, żeby się nie ruszał.

— Wojskowych ładunków nie wolno rewidować — to głos kierowcy.

— Powtarzam, że taki mam rozkaz. Dzisiejszej nocy...

Samochód zrywa się z miejsca i natychmiast w ślad za nim trzaskają serie z automatów. Sypią się kawałki drewna.

Kiedy Arp podnosi wreszcie głowę, dostrzega, że jego ręka ściska czyjąś małą dłoń. Ogolona głowa, patrzące spode łba czarne oczy okolone puszystymi rzęsami. Więzienny pasiak nie może ukryć dziewczęcych okrągłości. Na lewym rękawie zielona gwiazda. Niższa rasa.

Arp odruchowo cofa rękę i wyciera dłoń o spodnie. Prawa Medeny zabraniają kontaktów z przedstawicielami niższej rasy. Nie na darmo ci, którzy noszą gwiazdę, rodzą się i umierają w obozach.

— Nie złapią nas, prawda? Nie złapią?

Drżący głosik brzmi tak żałośnie, że Arp zapomina o prawach i przecząco kręci głową.

— Jak ci na imię?

— Arp.

— A mnie Getta.

Arp opuszcza głowę na pierś i udaje, że drzemie. Przecież nikt nie wie, jak potraktują podobną rozmowę tam, dokąd ich wiozą.

Samochód skręcił z szosy i nie zmniejszając szybkości podskakuje na wybojach. Arpowi chce się jeść. Głód i wstrząsy przyprawiają go o mdłości. Stara się zdławić kaszel, nie chce przeszkadzać innym, ale przez to skurcze stają się nie do opanowania. Arp zgina się w pół, z gardła wyrywa się kaszel i bryzgi krwi.

Atak tak wyczerpuje Arpa, że nie ma już sił, aby odsunąć rękę z zieloną gwiazdą na rękawie, rękę, która wyciera mu pot z czoła.

Gorące, nocne powietrze przepełnione zapachami egzotycznych kwiatów, ćwierkają cykady.

Nie ma już pasiaków. Długa do pięt płócienna koszula mile chłodzi rozparzone w łaźni ciało. Arp starannie oczyszcza łyżką miskę po kaszy.

Na końcu stołówki przed pomostem zbudowanym z pustych beczek i desek stoi troje ludzi. Wysoki siwy mężczyzna o opalanej twarzy oracza, widać najważniejszy ze wszystkich. Sympatyczny młody chłopiec w mundurze armii Medeny. I drobna kobieta z ciężkim rudym warkoczem owiniętym wokół głowy. Bardzo jej do twarzy w białym fartuchu.

Czekają, aż się skończy kolacja.

Wreszcie stuk łyżek ucicha. Najważniejszy zwinnie wskakuje na pomost.

— Witajcie, przyjaciele!

Radosny szum głosów jest odpowiedzią na to niezwykle powitanie.

— Przede wszystkim chcę wam zakomunikować, że jesteście tu całkowicie bezpieczni. Władze nie wiedzą, gdzie znajduje się nasz punkt ewakuacyjny.

Na szarych wycieńczonych twarzach pojawia się wyraz takiego szczęścia, że wydają się one nieomal piękne.

— Na tym punkcie ewakuacyjnym będziecie musieli spędzić pięć do dziesięciu dni. Mówiąc ściśle, termin ten będzie ustalony przez waszego lekarza, ponieważ przed wami trudny wielodniowy marsz. Miejscowość, do której was zaprowadzimy, oczywiście nie jest rajem. Trzeba tam będzie pracować. Każdą piędź ziemi w naszych osiedlach wrywamy dżungli. Ale tam będziecie wolni, będziecie mogli założyć rodziny i pracować dla własnego dobra. Kwatery na pierwszy okres przygotowali wam ci, którzy przybyli przed wami. Taka jest nasza tradycja. A teraz będę odpowiadał na pytania.

Póki zadają pytania, Arpa zadręcza wahanie. Bardzo się chce dowiedzieć, czy w tych koloniach

można się ożenić z dziewczyną niższej rasy. Jednakże kiedy się wreszcie zdecydował i nieśmiało podniósł rękę, wysoki mężczyzna o twarzy oracza zszedł już z pomostu.

Teraz do uciekinierów przemawia kobieta. Mówi cicho i śpiewnie i Arp musi natężyć słuch, żeby zrozumieć, o czym mowa.

Kobieta prosi, żeby wszyscy położyli się do łóżek i czekali na badanie lekarskie.

Arp znajduje swoje łóżko, na poręczy wisi tekturka z jego nazwiskiem, kładzie się na wykrochmalonym chłodnym prześcieradle i natychmiast zasypia.

Przez sen czuje, jak go przewracają z boku na bok, potem chłodny dotyk stetoskopu i kiedy unosi powieki, widzi drobną kobietę z rudym warkoczem zapisującą coś w notesie.

— Obudziłeś się? — uśmiecha się pokazując oślepiające, równe zęby.

Arp kiwa głową.

— Jesteś bardzo wycieńczony. Będiesz spać przez siedem dni. Zaraz cię uspiemy.

Dopiero teraz Arp dostrzega jakiś aparat przysunięty do łóżka. Kobieta naciska kilka guziczków na białym pulpicie i do mózgu Arpa przenika dziwny szum.

— Spać — mówi daleki, daleki melodyjny głos i Arp zasypia. Śni mu się zdumiewający sen, pełen słońca i szczęścia. Tylko we śnie możliwa jest taka upajająca powolność ruchów, całkowity brak poczucia ciężaru własnego ciała i takie cudowne szybowanie w powietrzu.

Ogromna łąka usiana olśniewająco białymi kwiatami. W oddali Arp widzi wysoką wieżę, lśniąca wszystkimi kolorami tęczy. Arp lekko odbija się od ziemi i powoli opada na dół. Niepowstrzymanie wabi go ku sobie lśniąca wieża, która emanuje nieopisaną błogością.

Arp nie jest sam. Ze wszystkich krańców łąki zdążają ku wieży ludzie ubrani tak jak i on w białe długie koszule. Jest pomiędzy nimi Getta z podołkiem pełnym białych kwiatów.

— Co to? — pyta Arp wskazując na wieżę.

— Obelisk Wolności. Chodźmy!

Biorą się za ręce i razem płyną w powietrzu przetkanym promieniami słońca.

— Poczekaj!

Arp również zbiera pełen podołek kwiatów i dalej płyną już wraz z Getta.

Składają kwiaty u stóp wieży.

— Kto zbierze więcej?! — woła Getta płynąc wśród szarych łodyg. — Goń mnie!

Ich przykład zaraża innych. Mija niewiele czasu i podnóże wieży zasypane jest kwiatami.

Potem rozpalają ogniska, pieką na ogniu wielkie kawały mięsa nasadzone na długie cienkie pręty. Cudowny zapach szaszłyka miesza się z zapachem płonących gałęzi, budzi jakieś wspomnienia, ogromnie odległe i ogromnie przyjemne.

Kiedy Arp zasypia przy dogasającym ognisku, w jego dłoni spoczywa mała, ciepła dłoń.

Gasną ogniska. Wyłączono różnokolorowe żarówki. Na samym dole tuż przy ziemi otwierają się drzwi i dwie gigantyczne mechaniczne łapy zgarniają bawełnę do środka.

Pod oszkloną kopułą stary opalony mężczyzna patrzy na wskazówkę automatycznej wagi.

— Pięć razy więcej niż wszystkie poprzednie partie — mówi wyłączając transporter. — Obawiam się, że przy takim szalonym tempie nie wytrzymają nawet tygodnia.

— Trzymam zakład o dwie butelki — wesoło uśmiecha się sympatyczny chłopiec w wojskowym mundurze. — Pociągną normalne dwadzieścia dni. Hipnoza to wielka rzecz! Można było zdechnąć ze śmiechu, kiedy żarli tę pieczoną brukiew! Pod hipnozą każdy zrobi wszystko, co się zechce. Prawda, pani doktor?

Drobna kobieta z ciężkim rudym warkoczem owiniętym wokół głowy nie śpieszy się z



odpowiedzią. Podchodzi do okna, włącza reflektor i uważnie patrzy na obciągniętą skórą twarz, przypominając trupie czaszki.

— Pan nieco przecenia możliwości elektrohipnozy — mówi obnażając w uśmiechu ostre zęby wampira. — Potężne promieniowanie pola może tylko nakazać rytm pracy i określić pewien ogólny kierunek działania. Ale podstawową sprawą jest odpowiednie psychiczne zaprogramowanie. Imitacja ucieczki, rzekome niebezpieczeństwo — wszystko to stworzyło u nich poczucie wolności zdobytej za wysoką cenę. Trudno przewidzieć, jakie kolosalne rezerwy organizmu mogą wyzwolić uczucia wyższego rzędu.

*Przełożyła Irena Lewandowska*

*Ilja Warszawski*  
*Pietla gistieriezisa*

# Pętla histerezy

Opiekun Czasu był chudy, łysy i wyniosły. Jego twarz na zawsze już zastygła w grymasie nagle przebudzonego człowieka.

Teraz patrzył z wyraźną dezaprobatą na mniej więcej trzydziestoletniego mężczyznę siedzącego w fotelu po przeciwnej stronie biurka. Grube soczewki kontaktowe z błękitnawego szkła sprawiały, że oczy nieznajomego były niezwykle niebieskie i błyszczące. Opiekuna wyraźnie to irytowało — nie znosił niczego niezwykłego.

Petent, słysząc odgłos otwieranych drzwi, odwrócił się i... dwa rozbłyski — odbicia światła stojącej na biurku lampy — zapłonęły na soczewkach szkieł kontaktowych.

Opiekun wycedził nie odwracając głowy:

— Proszę mi przynieść podanie... eee...

— Kuroczkina — odpowiedział petent. — Kuroczkina Leontija Kondratiewicza.

— Kuroczkina — skinął głową Opiekun. — Otóż to; Kuroczkina. To właśnie miałem na myśli.

— Za chwileczkę! — Sekretarka delikatnie zamknęła drzwi. Kuroczkin z kieszeni kurtki wyjął paczkę papierosów i zapalniczkę.

— Pozwoli pan?

Opiekun bez słowa wskazał popielniczkę.

— Może pan?...

— Nie palę.

— Nigdy dotąd pan nie próbował? — zapytał Kuroczkin, by po prostu przerwać milczenie.

— Nie. To idiotyczny nawyk.

— Hm... — gość zakrztusił się dymem. Opiekun ostentacyjnie zagłębił się w jakieś papiery. Purchawa, pomyślał Kuroczkin. Zapleśniała skamielina. Mógłby nieco uprzejmiej traktować petenta.

Przez parę minut z przesadnym skupieniem puszczał kółka dymu.

— Bardzo proszę. — Sekretarka położyła na biurko Opiekuna niebieską teczkę z napisem L. K. Kuroczkin. — Czy będę panu jeszcze potrzebna?

— Nie — odparł Opiekun nie unosząc głowy, — Ktoś jeszcze jest w poczekalni?

— Staruszka, ta z ubiegłego tygodnia. Ma pan jej podanie.

— Wycieczka w dwudziesty wiek?

— Tak.

Opiekun skrzywił się, jakby nagle rozbolał go ząb.

— Proszę jej powiedzieć, że obecnie nic nie możemy zrobić. Niech przyjdzie się dowiedzieć za miesiąc.

— Ona mówi... — niepewnie zaczęła sekretarka.

— Dobrze wiem, co mówi... — Opiekun przerwał jej poirytowanym tonem. — Proszę jej wytłumaczyć, że spotkania ze zmarłymi krewnymi Zarząd realizuje wyłącznie w wypadku zaistnienia wolnych mocy. Poza tym, jestem zajęty. Tu — uderzył dłonią w teczkę — mam ważniejsze sprawy.

Może pani iść.

Sekretarka spojrzała z zaciekawieniem na Kuroczkina i wyszła. Opiekun otworzył teczkę.

— A więc — powiedział po przerzuceniu kilku kartek — prosi pan o zezwolenie na udanie się w... eee... w pierwszy wiek?

— Tak jest.

— Ale dlaczego właśnie w pierwszy?

— Przecież tam jest napisane. Opiekun znowu się nachmurzył.

— Co napisane, to napisane, zgodnie zaś z instrukcją należy przeprowadzić rozmowę indywidualną. Teraz — spojrzawszy wymownie na Kuroczkina — teraz właśnie sprawdzimy, czy istotnie napisał pan wszystko jak należy.

Kuroczkin zrozumiał, że popełnił błąd. Nie powinien był już na samym początku zrażać do siebie Opiekuna. Należało spróbować zainteresować go swoją ideą.

— Widzi pan — rzekł, dokładając starań, by głos jego brzmiał jak najserdeczniej — zajmuję się historią wczesnego chrześcijaństwa.

— Czego?

— Chrześcijaństwa. Jednej z odmian religii, niegdyś bardzo rozpowszechnionej na Ziemi. Pan oczywiście pamięta — inkwizycja, Giordano Bruno, Galileusz...

— Aha! — zawołał Opiekun — oczywiście, oczywiście! To znaczy, że oni wszyscy żyli w pierwszym wieku?

— No, niezupełnie — odparł oszołomiony Kuroczkin. — Po prostu w pierwszym wieku powstały podwaliny tego wyznania.

— Giordano Bruno?

— Nie, chrześcijaństwa.

Opiekun siedział przez chwilę bębniąc palcami po krawędzi biurka. Wyraźnie wahał się.

— Z kim więc w końcu ma pan zamiar się zobaczyć? — przerwał wreszcie milczenie.

Kuroczkin drgnął. Dopiero teraz, gdy zbliżał się do najważniejszego momentu swego przedsięwzięcia, uzmysłowił sobie zuchwałstwo tego pomysłu.

— Prawdę mówiąc, z nikim konkretnym.

— Co?! — Opiekun wytrzeszczył oczy. — Cóż więc u diabła...

— Pan mnie źle zrozumiał! — Kuroczkin zerwał się i podszedł do biurka. — Chodzi o to, że postanowiłem zebrać niezbite dowody... no, innymi słowy, skompletować przekonujące materiały, które zaprzeczałyby istnieniu Jezusa Chrystusa.

— Czyjemu istnieniu?

— Jezusa Chrystusa. To fikcyjna postać, którą uważa się za twórcę religii chrześcijańskiej.

— Przepraszam. — Opiekun zmarszczył brwi. Jego czoło pokryło się siateczką drobnych zmarszczek. — To przecież niemożliwe. Skoro ten, o którym pan mówi, nigdy nie istniał, to jakież mogą być tego dowody?

— A dlaczegóż by nie?

— Dlatego, że nie istniał. Na przykład siedzimy obaj u mnie w gabinecie. Jest to fakt, który można udowodnić. Gdyby nas tu nie było, nie mielibyśmy co udowadniać.

— Jednakże... — próbował oponować Kuroczkin. — Jednakże pan do mnie przyszedł — ciągnął dalej Opiekun. — Zgodnie z instrukcją prowadzę z panem rozmowę indywidualną, tracimy cenny czas. To również fakt. Gdyby pana nie było, toby pan nie przyszedł. Czy mógłbym w takim razie twierdzić, że pan nie istnieje? Ja bym pana nie znał, ale być może siedziałby pan w innym gabinecie.

— Chwileczkę, chwileczkę! — zawołał Kuroczkin. — Przecież tak nie można, to jakaś sofistyka!

Spójrzmy na to zagadnienie inaczej.

— Jak to, inaczej? — uśmiechnął się Opiekun. — Przecież inaczej nie można.

— A na przykład — Kuroczkin znów wyciągnął papierosa i tym razem zapalił nie pytając o pozwolenie — przyszedłem tu i zastałem pana w gabinecie. Zgadza się?

— Zgadza — skinął głową Opiekun.

— Ale przecież mogło być inaczej. Mogłem pana nie zastać.

— Gdyby pan przyszedł poza godzinami przyjęć — przytaknął Opiekun. — Pod tym względem panują u nas żelazne zasady.

— Skoro tak, to jeżeli pan istnieje, sekretarka powiedziała by mi, że pan po prostu wyszedł.

— Owszem...

— Ale gdyby pana w ogóle nie było, to nie miałyby pojęcia o pańskim istnieniu.

— No i sam pan sobie zaprzeczył — oznajmił złośliwie Opiekun. — Gdyby mnie w ogóle nie było, nie istniałyby również żadna sekretarka. Po co byłaby sekretarka, skoro nie ma Opiekuna.

Kuroczkin wytarł chustką spocone czoło.

— To nieistotne — oznajmił zmęczonym głosem. — Byłby inny Opiekun.

— Aha! — W oczach jego rozmówcy błysnął triumf. — Sam pan przyznaje! Jakże więc będzie pan mógł udowodnić, że Opiekun Czasu nie istnieje?

— Niechże pan zrozumie — powiedział Kuroczkin błagalnie — że to zupełnie co innego. Tu nie chodzi o stanowisko, ale o konkretną osobę. Są przekazy w Ewangeliach, w miarę dokładnie określone zostały czasy, w których rozgrywają się opisywane w nich wydarzenia,

— No więc, czego pan jeszcze potrzebuje?

— Sprawdzić ich wiarygodność. Porozmawiać z ludźmi, którzy wtedy żyli. Ważne, abym trafił dokładnie w te lata. Przecież nawet Józef Flawiusz...

— Ile dni? — przerwał mu Opiekun.

— Przepraszam, nie bardzo rozumiem...

— Ile dni pan potrzebuje? Kuroczkin westchnął z ulgą.

— Sądzę, że dziesięć — powiedział prosząco. — Muszę dotrzeć do wielu miejsc, i choć rozmiary Palestyny...

— Pięć dni.

Opiekun otworzył teczkę, napisał coś zamasyście i pochylił się do mikrofonu.

— Proszę odprowadzić na instruktaż do naczelnego chronometrysty.

— Dziękuję! — zawołał radośnie Kuroczkin. — Bardzo dziękuję!

— Tylko bez różnych takich sztuczek — mentorskim tonem oznajmił Opiekun podając Kuroczkinowi teczkę. — Wyprawiacie tam licho wie co, a my musimy za to odpowiadać. W ogóle radzę być wstrzemięźliwym.

— W jakim sensie?

— Sam pan powinien wiedzieć. O, na przykład niedawno jeden typ w dziewiętnastym wieku spłodził własnego pradziadka. Wyobraża pan sobie, jaki był skandal?

Kuroczkin przycisnął ręce do piersi, co najwidoczniej miało oznaczać jego wolę bezwzględного wypełniania wszelkich przepisów, i ruszył w stronę drzwi.

— Dlaczego od razu pan nie powiedział, że skierował pana do nas towarzyszu Flawiusz? — w ślad za nim zawołał Opiekun.

Stwórca potraktował głównego chronometrystę zupełnie inaczej niż Opiekuna Czasu. Obdarzył go taką ilością włosów, że ich część nie zmieściła się na swym właściwym miejscu i kielkowała na

uszach, a nawet na czubku nosa. Chronometrysta był przeuroczym człowiekiem, wprost tryskającym humorem i życzliwością.

— Bardzo się cieszę. Bardzo! — oznajmił, podając rękę Kuroczkinowi. — Pan pozwoli, że się przedstawię. Wissarion Nikodemowicz Plewako. Kuroczkin również się przedstawił.

— Postanowił pan nieco popodróżować? — zapytał Wissarion Nikodemowicz wskazując Kuroczkinowi miejsce na sofie. Kuroczkin usiadł i podał Plewace niebieską teczkę.

— Nieważne! — oznajmił główny chronometrysta i niedbale cisnął teczkę na biurko. — Formalności mogą poczekać! Dokąd się pan wybiera?

— W pierwszy wiek.

— Pierwszy wiek! — Plewako marzycielsko przymknął oczy. — Ach, pierwszy wiek! Rozkwit rzymskiej kultury, kurtyzany, walki gladiatorów! No, ma pan głowę na karku!

— Obawiam się, że pan mnie trochę źle zrozumiał — ostrożnie przerwał mu Kuroczkin. — Nie mam zamiaru odwiedzać Rzymu, moim celem jest przeprowadzenie badań naukowych w Judei.

— Co?! — Plewako podskoczył w krześle. — Wybiera się pan w pierwszy wiek i nie chce pan znaleźć się w Rzymie?! Dziwne!... Zresztą — dodał po namyśle — może ma pan rację. Nie warto robić sobie apetytu. Przecież za tych kilka marnych sestercji, które pan tu otrzyma, trudno poszaleć. Między nami mówiąc — zaczął mówić szeptem — niech się pan postara wziąć ze sobą parę butelek żytniej. Ogromny popyt we wszystkich epokach. Ale... — Plewako położył palec na wargach. — Rozumie pan?

— Rozumiem — odparł Kuroczkin. — Chciałbym jednak wiedzieć, czy mogę spodziewać się pewnej sumy na zakup różnych materiałów, które przedstawiają niezwykłą wartość historyczną?

— Na przykład?

— No, choćby stare rękopisy.

— W żadnym wypadku! W żadnym wypadku! Jest to właśnie coś, przed czym w czasie instruktażu powinienem pana przestrzec.

Na twarzy Kuroczkina malowało się tak wielkie rozczarowanie, że Plewako uznał, iż powinien uśmiechem dodać rozmówcy otuchy.

— Zapewne wybiera się pan w taką podróż po raz pierwszy?

Kuroczkin skinął głową.

— Aha — rzekł Plewako. — I o pętli histerezy pan nie słyszał?

— Nie, nie słyszałem.

— Hmm... A więc chyba od tego trzeba będzie zacząć. — Plewako wziął ze stołu notes i odszukawszy czystą stronę, narysował na niej dwie wyraźne kropki. — To — oznajmił, wskazując ołówkiem jedną z kropek — stan świata w danym momencie. Rozumie pan?

— Rozumiem — skłamał Kuroczkin. Nie chciał od razu, na samym początku, sprawiać przykrości temu sympatycznemu instruktorowi.

— Wspaniale! Druga kropka charakteryzuje sytuację w epoce, którą ma pan odwiedzić. Zgadza się?

Kuroczkin skinieniem głowy zaakceptował tę tezę.

— Można więc uważać — ołówek Plewaki nakreślił linię łączącą obie kropki — można uważać, że prawdopodobieństwo wszystkich wydarzeń między tymi interwałami czasu leży na tej właśnie prostej. Mówiąc obrazowo, jest to droga, po której wyrusza pan tam i wraca pan tutaj. A teraz niech pan spojrzy: założmy, że nabył tam pan jakiś rękopis, nawet zupełnie nieważny i przywiózł go pan tutaj. Zgadza się?

— Tak — odparł Kuroczkin, którego nagle to zainteresowało — i co z tego?

— A to, że rękopis ten archeolodzy mogli znaleźć, powiedzmy, sto lat temu. — Plewako postawił krzyżyk na linii prostej. — Napisano o nim prace naukowe, umieszczono go w jakimś muzeum i tak dalej. A tu nagle — bęc! Wrócił pan i przywiózł go ze sobą. Co to oznacza?

— Chwileczkę! — powiedział Kuroczkin. — Zastanowię się.

— Nie ma się nad czym zastanawiać. Cały łańcuch wydarzeń, który towarzyszył znalezieniu rękopisu szlag trafił i cały obecny stan świata uległ zmianie. Choćby tylko w takim stopniu — Plewako narysował trzecią kropkę tuż obok pierwszej. — Jak się to nazywa?

— Zaraz, zaraz! — Kuroczkin był wyraźnie zbity z tropu. Do tej pory nie miał okazji zastanawiać się nad takimi sprawami.

— To się nazywa pętla histerezy — ciągnął dalej Plewako łącząc krzyżyk i nową kropkę kolejną linią. — Tu właśnie, wewnątrz tej pętli, istnieje jakaś nieokreślona rzeczywistość, która może płać różne brzydkie figle. No i co, przekonał się pan?

— Przekonałem — zrezygnowanym głosem przytaknął Kuroczkin. — Cóż więc radzi mi pan zrobić? Przecież powinienem przedstawić jakieś dowody, ale w świetle tego, co mi pan powiedział, widzę, że nie mogę się tam ruszyć ani na krok.

— Może pan, może — odparł Plewako. — Może się pan ruszyć, ale należy działać bardzo rozważnie. Dlatego właśnie kategorycznie zabraniamy przenosić w przeszłość broń i ograniczamy subwencje dewizowe dla podróżników, bo, sam pan rozumie, różne pomysły mogą ludziom przychodzić do głowy. Ktoś tam wykupi i wyzwoli niewolników, kto inny zastrzeli Czyngis-chana w kwiecie wieku, jeszcze ktoś kupi jakieś rękopisy i tak dalej. Zgadza się pan?

Kuroczkin zgadzał się, ale nie przynosiło mu to żadnej ulgi. Ekspedycja, którą wyobrażał sobie z takim entuzjazmem, ukazywała mu się z zupełnie innej strony. Bez broni, bez pieniędzy w tak odległej od współczesnej cywilizacji epoce...

Plewako najwidoczniej odgadł jego myśli. Wstał z krzesła i usiadł na sofie obok Kuroczkina.

— To nic, to nic — rzekł, kładąc mu dłoń na kolanie — to nie takie straszne. Gwarantujemy panu całkowite bezpieczeństwo.

— Jakim cudem?

— W bardzo prosty sposób. Cokolwiek się z panem stanie, wróci pan cały i zdrowy, to wynika z prawa przyczynowości. Pętla histerezy nie może być większa od pewnej granicznej wielkości, bo w przeciwnym razie cały świat szlag by trafił. Skoro pan istnieje w danej chwili, to niezależnie od tego, co wydarzyło się w przeszłości, musi pan istnieć nadal. Zrozumiał pan?

— Nie bardzo. A jeżeli mnie tam zabiją?

— Wróci pan nawet w takim przypadku, jeśli nie zaistnieją jakieś szczególne okoliczności. W ubiegłym roku zdarzyła się taka historia. Pewien natrętny staruszek, paleontolog zdaje się, żądał, by go wysłać w okres jurajski. Gdzież on nie interweniował! Wreszcie udzielono mu pozwolenia, a następnego dnia zeżarł go... ten... jak mu tam? — Plewako wytrzeszczył oczy i przyłożywszy złożone dłonie do ust, zrobił gest naśladujący zatrząskanie się paszczy.

— Czyżby dinozaur? — zapytał drżącym głosem Kuroczkin.

— Otóż to, właśnie dinozaur. — No i co się stało?

— Nic. W takich przypadkach urządzenie decyzyjne powinno było dać impuls na kilka minut przed tą sytuacją i wycofać podróżnika, ale zamiast tego wycofało go razem z dinozaurem. Że tak powiem, w dinozaurze... — Straszne! — zawołał Kuroczkin. — I jak się to wszystko skończyło? — Dinozaur był zbyt duży i nie zmieścił się w kabinie chronoportacji. Błąd został zlikwidowany przez automatyczną aparaturę korygującą, która odrzuciła zwierzę z powrotem w przeszłość, staruszka zaś wyciągnięto, ale za jaką cenę? Trzeba było wymienić wszystkie cewki depolaryzatora. Nie

wytrzymały szczytowego obciążenia.

— Przecież mogło być gorzej! — rzekł wstrząśnięty Kuroczkin.

— Oczywiście — przytaknął mu Plewako. — Mógł się przepalić główny transformator. Nie ma tak dużego marginesu bezpieczeństwa.

Instruktor i kandydat na podróżnika milczeli przez parę minut, rozmyślając, jakie mogły być konsekwencje tego wydarzenia.

— No cóż — rzekł Plewako — teraz, w ogólnych zarysach, orientuje się pan, jak wygląda technika tego procesu. Widzi pan, że to nie takie skomplikowane. Prawda?

— Tak — odparł niepewnie Kuroczkin, próbując wyobrazić sobie jak, w razie potrzeby, będą go wrywać z paszczy lwa. — Ale w jaki sposób wrócę?

— To już nie pańskie zmartwienie. Wszystko odbędzie się automatycznie z chwilą, gdy upłynie wyznaczony czas. Chyba że narobi pan jakichś głupstw, które zagrażą katastrofalnym powiększeniem pętli histerezy. W takim przypadku pański pobyt w przeszłości zostanie przerwany natychmiast. A przy okazji, na ile dni dano panu zezwolenie? — Tylko na pięć — oznajmił zmartwiony Kuroczkin. — Nie wyobrażam sobie, jak w tak krótkim czasie zdołam zrealizować cały program.

— A o ile pan prosił?

— O dziesięć.

— Święta naiwności! — uśmiechnął się Plewako. — Powinien pan prosić o miesiąc, wtedy dostałby pan dziesięć dni. U nas tak zawsze. No, trudno, już za późno, by temu zaradzić. Niech pan stanie na wadze.

Kuroczkin wykonał polecenie. Strzałka nad pulpitem maszyny liczącej wskazała 75 kilogramów.

— Tak! — Plewako wcisnął dwie cyfry na klawiaturze. — Jaka data?

— Słucham? — Kuroczkin nie zrozumiał..

— W jaką datę chce pan trafić?

— Trzydziesty rok naszej ery.

— Trzydziesty, trzydziesty — mrucał Plewako naciskając klawisze. — Koordynaty?

— Koordynaty? — Kuroczkin wyjął kieszonkowy atlasik. — Chyba coś około trzydziestu dwóch stopni pięćdziesięciu minut szerokości północnej i... — w niezdecydowaniu wodził palcem po mapie. — I trzydzieści pięć stopni czterdzieści minut długości wschodniej. Tak, właśnie tak! — Jakiej długości?

— Wschodniej.

— Według Greenwich czy Pułkowa?

— Greenwich.

— Wspaniale. Koordynaty z gwarancją do trzech minut. W fazie czego trzeba będzie na piechotkę. Zrozumiał pan?

— Zrozumiałem. Plewako nacisnął czerwony klawisz z boku maszyny i schwycił w locie pokryty niezrozumiałymi znakami kartonowy, żeton, który wyskoczył nie wiadomo skąd.

— Życzę powodzenia! — powiedział podając żeton Kuropzkinowi. — Teraz niech pan pójdzie na jedenaste piętro, wydział piąty, do towarzysza Kazanowaka. Tam skompletują panu rekwizyty. A później na parter do sektora chronoportacji. Tam odda pan żeton. Pytania są?

— Pytań nie ma! — dziarsko odparł Kuroczkin.

— No, to niech pan idzie.

Kuroczkin długo błąkał się po labiryncie korytarzy, zanim dostrzegł wreszcie drzwi z napisem



— Towarzysz Kazanowak? — zapytał człowieka, który ze smutkiem przyglądał się jakiejś szmatce. — Skierował mnie...

— Dziwne! — rzekł Kazanowak. — W żaden sposób nie mogę pojąć, dlaczego wszystkie wydziały mogą pracować rytmicznie, a jedynie do Czasów i Obyczajów interesanci sypią się jak do rogu obfitości. I nikt nie ma ochoty przyjąć do wiadomości, że Kazanowak ma nie dwie głowy, ale tylko jedną!

Kuroczkina zaskoczyła ta całkiem dla niego nowa interpretacja rogu obfitości i nie mógł wymyślić żadnej sensownej odpowiedzi. Tymczasem Kazanowak przestał na niego patrzeć i zwrócił się do siedzącej przy pulpicie siedemnastoletniej pannicy.

— Masza! Czyż to jest przepaska biodrowa starożytnego Polinezyjczyka? Przecież to kąpielówki męskie, elastyczne, wiek dwudziesty. Powinna się pani wreszcie zacząć w tym orientować!

— Orientuję się nie gorzej niż pan! — odparła bezczelnie pannica.

— No i jak się to panu podoba? — Kazanowak zwrócił się bezpośrednio do Kuroczkina. — Ta dzisiejsza młodzież! Kuroczkin zrobił współczującą minę.

— Proszę ponownie zaprogramować indeks — ciągnął dalej Kazanowak. — Trzyście em łamane przez czterysta trzydzieści jeden.

— Nie mam dziesięciu rąk! — odgryzła się Masza. — Jak zaprogramuję dla pana włócznię, to zajmę się przepaską.

Najwidoczniej zadaniom, które wchodziły w zakres obowiązków wydziału Czasy i Obyczaje podołać mogły jedynie mityczne, dziesięciorekie i dwugłowe istoty. Nie minęły jednak trzy minuty, gdy Kazanowak, który otrzymał wreszcie włócznię i przepaskę, znów odezwał się do Kuroczkina:

— Czym mogę służyć?

— Potrzebne mi są rekwizyty.

— Gdzie konkretnie?

— Judea, pierwszy wiek.

W obojętnych oczach Kazanowaka przez ułamek sekundy rozjarzyła się iskierka aprobaty. Przysunął do siebie gruby tom leżący na stole i poślinionym palcem zaczął przewracać kartki. — O, to!

Kuroczkin podszedł do stołu i przez ramię Kazanowaka spojrział na wyblakły rysunek przedstawiający człowieka w długim chałacie, jarmułce na głowie i obutego w staroświeckie sztyblety z gumkami.

— No i co, pasuje? — zapytał zadowolony z siebie Kazanowak.

— Obawiam się, że niezupełnie — ostrożnie zaprotestował Kuroczkin. — Wydaje mi się, że... że to nieco późniejsza epoka.

— Aha! — Kazanowak znowu poślinił palec. — Już wiem, co panu potrzeba. Proszę spojrzeć.

Tym razem rysunek przedstawiał strój Żyda z Buchary. Ten wariant również został odrzucony.

— Nie rozumiem! — W głosie Kazanowaka zadźwięczała uraza. — To w końcu jakie ubranko pan sobie życzy?

— Cokolwiek... — Kuroczkin zamyślił się. — Coś, że tak powiem, w biblijnym stylu. No, powiedzmy, długa, biała koszula z płótna.

— Płóciennych brak — sucho odparł Kazanowak. — Tylko syntetyki...

— Niech będą syntetyki — ze smutkiem zgodził się Kuroczkin.

— Co jeszcze?

— Poza tym chiton, też najlepiej biały.

— Co to takiego ten chiton? — zainteresowała się Masza.

— Chiton to... Jak to pani wytłumaczyć? To taki ubiór podobny do płaszcza, ale luźniejszy.

Po długich poszukiwaniach, w jednym z katalogów odnaleziono coś białego z kapturem zakrywającym twarz i zaopatrzonemu w otwory na oczy.

— Pasuje?

— Chyba tak... — niepewnie przytaknął Kuroczkin.

— Masza, zaprogramuj!

Masza wystukała indeks i taśma transportera dostarczyła skądś z dołu starannie zawiązaną paczkę.

— Proszę przymierzyć! — powiedział Kazanowak przecinając sznurek scyzorykiem.

Ocienione kapturem oczy ze szklami kontaktowymi wyglądały tak niezwykle, że Masza roześmiała się.

— Oj, nie mogę! Padnę!

— Nie ma w tym nic śmiesznego! — ofuknął ją Kazanowak. — W tamtym klimacie była to nader praktyczna odzież. Nie trzeba nakrycia głowy, kaptur chroni przed promieniami słonecznymi. A kiedy jest niepotrzebny, można go odrzucić na plecy. Chitonik pierwsza klasa, zupełnie nowy. Metkę można oderwać.

Kuroczkin pochylił się i z dolnego obrąbka oderwał tekturkę z napisem — Pracownie teatralne. *Strój magika. Rozmiar 50, wzrost 3. 100% nylon.*

— Tak... — Kazanowak zlustrował go od stóp do głów — Jakiego obuwie?

— Sandały.

Wybór sandałów nie był trudny. Ostatecznie przy pomocy Maszy zdecydowali się na grube, plastikowe podeszwy ozdobione złożonymi paskami.

— Skarpeteczki będą swoje, czy dopasować? — zapytał Kazanowak.

— Nie, nie. Sandały nosi się na bosą nogę.

— Kalesony, majtki czy kąpielówki? — zainteresowała się Masza.

— Nie wiem — odparł z wahaniem Kuroczkin. — Może lepsza byłaby przepaska biodrowa?

— Załatwimy przepaskę. A wiązać ją pan umie?

— To lepiej kąpielówki — szybko odparł Kuroczkin, przerażony perspektywą instruktażu prowadzonego przez tak zdecydowaną osobę.

— Jak pan sobie życzy.

— Proszę się przebrać — Kazanowak wskazał mu kabinę umieszczoną w końcu pokoju. — Swoje rzeczy należy związać razem w węzełek. Otrzyma je pan po powrocie.

Kilka minut później Kuroczkin wyszedł z przebieralni w całej okazałości swych nowych szat.

— No i jak? — zapytał, obracając się wkoło.

— Bomba! — stwierdziła Masza. — Gdybym takiego zobaczyła w nocy, to, słowo honoru, urodziłabym ze strachu.

— Cóż — powiedział Kazanowak. — Teraz jeszcze indywidualna apteczka i śmiało może pan ruszać. — Pogrzebał przez chwilę w szufladzie biurka i wyciągnął czarne pudełko. — Proszę.

— Co to takiego? — zaniepokoił się Kuroczkin.

— Uniwersalny zestaw. Strzykawkoampułka z multiantybiotykiem, maść przeciwko insektom i jedna ampułka szczepionki przeciwwstrząsowej. Na wszystkie życiowe przypadki. To wszystko!

— Jak to, wszystko? A pieniądze? — zapytał zdetonowany Kuroczkin.

— Jakiego znowu pieniądze?

— Przecież należą mi się jakieś diety na najniezbędniejsze wydatki.

— Diety?

Kazanowak podrapał się w głowę i zaczął studiować jakieś księgi. Długo obliczał coś na skrawku papieru, gmerał w szufladzie, wzdychał głęboko i znowu wypisywał kolumny cyfr. Wreszcie szerokim gestem cisnął na biurko garść monet.

— Proszę! Na cztery dni — dwadzieścia denarów.

— Dlaczego tylko na cztery?

— Dzień wyjazdu i dzień przyjazdu liczą się jako jedna doba — wyjaśnił Kazanowak.

Kuroczkin nie miał zielonego pojęcia, co oznacza ta suma.

— Przepraszam — wybąkał nieśmiało — te dwadzieścia denarów to dużo czy mało? To znaczy, chciałem zapytać... w ogóle nie orientuję się...

— Cóż, kopalni króla Salomona pan za to nie kupi, ale z głodu pan nie umrze — odparł Kazanowak, zdradzając w ten sposób swą niebagatelną znajomość systemu ekonomicznego na Bliskim Wschodzie w epoce panowania rzymskiego. — To wszystko?

— Jeszcze dwie butelki wódki — poprosił Kuroczkin przypominając sobie radę Plewaki. — Jeżeli można, żytniej. — A to po co?

Kuroczkin zmieszał się.

— Widzi pan — oznajmił — ubiór mam lekki, a noce są tam chłodne.

— Masza, jedną butelkę!

— Dlaczego tylko jedną? — zaczął oponować Kuroczkin.

— Noce tam wcale nie są takie chłodne — odparł Kazanowak.

Obrotna Masza przyniosła i wódkę.

Kuroczkin wstał i spłoszonym wzrokiem rozejrzał się wokoło.

— Przepraszam, jeszcze jedno pytanie. Do czego mógłbym to wszystko włożyć?

— Masza, daj walizkę.

— Nie, nie — szybko zaprotestował Kuroczkin. — Walizka jest nie z tej epoki. Czy nie znalazłoby się coś bardziej odpowiedniego?

— Na przykład?

— No, choćby torba.

— Torba? — Kazanowak przysunął informator. — Może być i torba. Asortyment torebek był nader szeroki — od pojemnych, skórzanych sakwojaży, używanych swego czasu przez leciwe guwernantki, do współczesnych torebek teatralnych, wykonanych z pachnącego plastiku.

Kuroczkin wybrał niewielką, nieprzemakalną torbę z długim paskiem, którą ozdabiały rysunki strzelistych budynków i napis „Aeroflot”. Niczego bardziej odpowiedniego nie znaleźli.

— Teraz chyba już wszystko — westchnął z ulgą.

— Zaraz — krzyknęła Masza. — A charakteryzacja? Co pan, z taką mordą w pierwszy wiek?

— Masza! — Kazanowak z wyrzutem pokręcił głową. — Przecież tak nie można do klienta.

Jednakże wszyscy zgodnie uznali, że, charakteryzacja istotnie jest niezbędna. Kazanowak zalecał skromne pejsy, Masza nalegała, by przykleić długą, prostokątną asyryjską brodę ufryzowaną w zgrabne pierścienie, ale Kuroczkin zdecydowanie zażądał, by była to bródka i długie włosy opadające lokami na ramiona. Te atrybuty męskiej urody lepiej harmonizowały z jego odzieżą.

Masza umoczyła pędzelek w jakiejś puszczone, obficie wysmarowała klejem twarz i głowę Kuroczkina, a w końcu przyklepała pachnące myszami perukę i brodę.

— Istny aniołeczek! — oznajmiła, cofnąwszy się o dwa kroki.

— Czy one... tego... nie odkleją się? — zapytał Kuroczkin wypluwając zabłąkane włosy.

— Niech się pan nie obawia! — uśmiechnął się Kazanowak. — Oderwać je można chyba tylko razem z głową. Jak pan wróci, Masza je panu odklei.

— W takim razie dziękuję! — Kuroczkin zarzucił torbę na ramię i skierował się w stronę drzwi.

— Chwileczkę! — zatrzymał go Kazanowak. — Nie potrzebuje pan słowników, rozmówek?

— Nie — odparł z dumą Kuroczkin. — Biegle władam aramejskim i hebrajskim okresu pobiblijnego.

— No to proszę pokwitować odbiór rekwizytów. O, tu i tu, w dwóch egzemplarzach.

— O niczym pan nie zapomniał? — zapytał laborant wysuwając głowę przez okienko, jakie dawniej oddzielały kasjera od pozostałych przedstawicieli grzesznej ludzkości.

— Zaraz sprawdzę — Kuroczkin otworzył torbę i namacał w ciemności paczkę papierosów, zapalniczkę, apteczkę oraz butelkę wódki. — Chwileczkę! — Próbował odszukać rozsypane monety. — Chyba wszystko!

— No to zaczynamy. Niech pan leży spokojnie.

Do uszu Kuroczkina dobiegł odgłos zamykanych drzwi. Na ścianie kabiny zapłonęło mnóstwo różnokolorowych światełek.

Kuroczkin wygodnie wyciągnął się na gładkiej i chłodnej leżance. Ze strachu, a może z innego powodu, zaczęło mu się robić niedobrze. Gdzieś nad głową, powoli, nieubłaganie narastał mrozący krew w żyłach świst. Światełka zamigotały szaleńczo. Zapłonął napis:

*Spokojnie! Nie ruszać się! Zamknąć oczy!*

Leżanka zadygotała w męczącej, drobnej vibracji. Kuroczkin machinalnie przycisnął torbę do piersi i w tej samej chwili coś huknęło ogłuszająco, rozsypało się z trzaskiem, przez zamknięte powieki oślepił go fioletowy rozbłysk, jakaś siła przewróciła go na brzuch i cisnęła w niebyt...

Kuroczkin otworzył oczy i rozkaszłał się, wypluwając piasek, którego miał pełne usta. Stał na czworakach i rozejrzał się wokoło.

Przed nim rozpościerała się martwa, wypalona słońcem pustynia. Z lewej strony, daleko, widniał łańcuch górski, z prawej — jezioro. Kilku ludzi, maleńkich z tej odległości, krzątało się na brzegu.

Kuroczkin wstał, otrzepał się i zarzuciwszy torbę na ramię, ruszył w stronę jeziora.

Chodzenie po gorącym piasku w sandałach założonych na bosą nogę okazało się o wiele mniej przyjemne, niż można to było sobie wyobrazić siedząc w przytulnym pomieszczeniu wydziału Czasy i Obyczaje. Piasek parzył, wciskał się pomiędzy podeszwy stóp i sandały, przylepiał się do rozmiękłych pod wpływem gorąca pasków, które dzięki temu natychmiast nabierały właściwości papieru ściernego.

Kuroczkin musiał kilkakrotnie siadać, wytrząsać piasek z sandałów i wycierać stopy połą chitonu, zanim wreszcie udało mu się dobrnąć do mniej więcej twardego gruntu na brzegu jeziora.

Dostrzeżono go. Widok człowieka w dziwnej odzieży, z torbą przerzuconą przez ramię, który szedł unosząc nogi wysoko jak bocian, był tak niezwykły, że trzech rybaków, naprawiających wyciągniętą na brzeg sieć, porzucili pracę i, z zaciekawieniem przypatrywali się nadchodzącemu nieznanemu.

— Uff! — Kuroczkin z rozmachem usiadł obok nich na piasku i zrzucił z nóg przekłete sandały. — Ależ upał!

Zdanie to wypowiedziane było po rosyjsku i dlatego też nie wywołało żadnej reakcji u rybaków, którzy wciąż przypatrywali się wyposażeniu podróżnika w czasie.

Kuroczkin nie na próżno jednak był przedstawicielem nauki, która radość zdobywania wiedzy

stawia ponad osobiste niewygodę.

— Pokój wam, dobrzy ludzie! — rzekł przechodząc na hebrajski. Miał nadzieję, że ów typowo biblijny zwrot nieco przesłoni błędy wymowy. — Szolom alejchem!

— Szolom! — odparli chórem rybacy.

— Rybki łowicie? — zapytał Kuroczkin zastanawiając się, w jaki sposób skierować rozmowę na interesujący go temat.

— Łowimy! — przytaknął wysoki, barczysty rybak.

— I jak połowy? Plan wykonujecie?

Rybak nic nie odpowiedział i znowu zajął się siecią.

— Jakubie! Janie! — zwrócił się do synów. — Pracujcie, bo inaczej nie skończymy do zmroku.

— Zaraz, ojcze! — odparł ten, którego nazywali Jakubem. — Widzisz, że rozmawiamy z człowiekiem.

— Na litość boską, proszę nie zwracać na mnie uwagi — zmieszał się Kuroczkin. — Proszę zajmować się swoimi sprawami, ja zaś po prostu posiedzę sobie obok.

— Nic nie szkodzi, poczeka — oznajmił Jan. — My, synowie Zebedeusza, i tak harujemy od świtu do nocy. A skąd ty jesteś?

— Ja? Hm... — Kuroczkin był zupełnie nie przygotowany na takie pytanie. — Ja... Ogólnie rzecz biorąc... z Nazaretu — wypalił nieoczekiwanie.

— Z Nazaretu? — w głosie Jana dało się słyszeć rozczarowanie. — Znam Nazaret. Nic tam nie ma ciekawego. To też kupiłeś w Nazarecie? — szturchnął palcem nylonowy chiton.

— To? Nie, gdzie indziej, daleko stąd;

— W Jerozolimie?

— Tak.

Jan pomacał tkaninę i przyłączył się do ojca. W ślad za nim niechętnie podążył Jakub.

Kuroczkin popatrzył na łodzie na jeziorze, na pokryte winnicami wzgórze i nagle poczuł, że się boi. Od świata, do którego przywykł i który wydawał mu się teraz tak ponętny, dzieliła go niewyobrażalna przepaść dwóch tysięcy lat. Cóż go czeka w tym na wpół dzikim, niewolniczym kraju? Czy potrafi znaleźć wspólny język z tymi prymitywnymi ludźmi? Czy w ogóle cały ten pomysł wart był związanego z nim ryzyka? Przypomniał sobie staruszka, którego połknął dinozaur. Kto wie, może oczekują go tu jeszcze trudniejsze doświadczenia? Mogą go ukamienować, ukrzyżować. Brr! Sama myśl o tym przyprawiła go o dreszcze. Teraz jednak trudno się wycofywać. Wyznaczony mu przez Opiekuna okres musi wykorzystać w całości.

— Powiedźcie, przyjaciele — zwrócił się do rybaków — czy nie zdarzyło się wam słyszeć o człowieku imieniem Jezus?

— A skąd on jest? — nie unosząc głowy zapytał Zebedeusz.

— ;Z Nazaretu.

— Twój rodak? — zainteresował się Jan.

— Rodak — niechętnie przytaknął Kuroczkin. Nie mógł sobie darować, że na swe miejsce urodzenia wybrał tę właśnie miejscowość.

— Czym się zajmuje?

— Jest kaznodzieją.

— Nie słyszałem — odparł Zebedeusz.

— Poczekaj! — Jakub przegryzł sznurek i wstał. — Chyba Judasz coś mówił. W ubiegłym roku chodził taki jeden — i nauczał.

— To prawda! — przytaknął Jan. — Mówił. Może to właśnie był twój rodak.

Kuroczkin poczuł, jak ogarnia go fala szczęścia. Nawet nie śmiał marzyć o tym, że jego poszukiwania tak szybko zostaną uwieńczone powodzeniem i choć całkowicie obalało to jego koncepcję, poczuł jak budzi się w nim duch badacza.

— Judasz? — zapytał drżącym ze zdenerwowania głosem. — Powiedźcie, gdzie mogę go spotkać. Proszę mi wierzyć, jego opowiadanie ma olbrzymie znaczenie!

— Dla kogo? — zainteresował się Zebedeusz.

— Dla przyszłości. Ludzie przez dwa tysiące lat interesują się tym zagadnieniem. Zaprowadźcie mnie do tego człowieka, proszę!

— O, tam jest — Jakub wskazał łódkę na jeziorze. — Stawiaj sieci. Może wróci pod wieczór.

— Nie — odparł Jan. — Mieli wczoraj dobry połów i pewnie popłyną do Kafarnaum, żeby się zabawić.

— Wyświadczyć mi przysługę! — Kuroczkin złożył dłonie jak do modlitwy. — Zawieźcie mnie do niego, zapłacę!

— Za co tam płacić! — Zebedeusz wstał z piasku. — Zaraz będziemy wywozić sieć, możemy trochę nadłożyć.

— Dziękuję! Ogromnie dziękuję. Nawet sobie nie wyobrażacie, jak wielką przysługę wyświadczyście nauce! — Kuroczkin zaczął wkładać sandały krzywiąc się przy tym z bólu. — Ooo, przekłete! — Z wściekłością odrzucił karbowaną podeszwę ze złożonymi paskami. — Ponacierały, pali mnie teraz jak pokrzywą! Będę musiał na bosaka...

Wziął sandały oraz torbę pod pachę i skierował się w stronę łodzi, którą Zebedeusz spychał na wodę.

— Zostaw to tutaj — poradził mu Jakub. — Torbę też zostaw, nikt ci ich nie zabierze, a w łódce możesz je niechcący zamoczyć.

Rada była słuszna. W łódce nie było ławek, za to na dnie pluskała woda. Kuroczkin przypomniał sobie, że w torbie ma jedyną paczkę papierosów, i ułożył swój dobytek obok łachów rybaków.

— No, z Bogiem!

Jakub wiosłem odepchnął łódź od brzegu i skierował ją na środek jeziora.

— Hej. Judaszu! — zawołał, gdy znaleźli się obok czółna, w którym siedziało dwóch rybaków. — Chce się tu z tobą widzieć jeden taki... z Nazaretu.

Kuroczkin skrzywił się. Określenie „nazaretanin” przylgnęło doń widać na stałe. Zresztą teraz nie to było dla niego ważne.

— Po co? — zawołał Judasz złożywszy dłonie wokół ust.

— Podpłyńcie bliżej! — ze zniecierpliwieniem nalegał Kuroczkin. — Przecież nie mogę tak, na odległość...

Jan kilkoma silnymi pchnięciami wiosła doprowadził łódź do samej burty czółna.

— Szuka rodaka, kaznodziei. Podobno widziałeś takiego...

— Widziałem, widziałem! — z radością skinął głową Judasz. — O, Tomasz też widział — wskazał swego towarzysza. — Prawda?

— Też widziałem — potwierdził Tomasz. — Chodził tu jeden taki i głosił.

— A jak się nazywał? — zapytał Kuroczkin. Ze zdenerwowania zapierało mu dech w piersi. — Może Jezus Chrystus?

— Jezus? — powtórzył Judasz. — Nie, jakoś inaczej. Tomasz, może ty pamiętasz?

— Jan się nazywał — powiedział Tomasz. — Jan Chrzciciel, a nie Jezus. Wciąż kazał się myć w rzeczce. Wkrótce, powiadał, Mesjasz przyjdzie, a wy wszyscy jesteście brudni, śmierdzący, zawszeni. Jakże przed obliczem Pana, Boga waszego, tacy niechlujni staniecie?

— Słusznie mówił! — Kuroczkin wciągnął powietrze nosem. Zapachy, jakie dolatywały od jego rozmówców, niezbyt przypominały legendarne arabskie wonności. — Słusznie powiadał Jan — powtórzył żalując, że maść przeciw insektom została w torbie na brzegu. — O czym jeszcze mówił?

— Najwięcej, to o Mesjaszu. A ten twój Jezus o czym naucza?

— Jak by to wam powiedzieć... — Kuroczkin zmieszał się. — No cóż, ogólnie rzecz biorąc głosił on miłość bliźniego, pokorę na tym świecie, po to, by zasłużyć na szczęśliwość wieczną w niebie.

— Szczęśliwość! — uśmiechnął się Tomasz. — Bogatego wszędzie czeka szczęśliwość, czy to na ziemi, czy w niebie, ale biedakowi wszędzie źle. Głupi ten twój kaznodzieja. Ja bym go nawet słuchać nie chciał.

Kuroczkin nie wiedząc czemu poczuł się urażony.

— Nie taki znów głupi — odparł, podrażniony tonem Tomasza. — Gdyby był głupi, nie poszłyby za nim miliony ludzi, najlepsze umysły ludzkości nie prowadziłyby sporów z teologami na temat jego nauki. Nie można wszystkie go tak upraszczać. O biedakach zaś powiedział: „Błogosławieni ubodzy, albowiem ich jest królestwo niebieskie”.

— Jak to rozumieć? — zapytał Jakub.

— Bardzo prosto. Wyjaśnił, że łatwiej wielbłądowi przejść przez ucho igielne, niżli bogaczowi wstąpić do królestwa niebieskiego.

— A to dobre! — Jan z radości klepnął się po łydkach. — Jak, powiadasz? Przez ucho igielne? To ci się udało! Takiego kaznodzieję na rękach bym nosił, nogi bym mu umywał.

Bogate doświadczenie historii naukowego ateizmu podpowiedziało Kuroczkinowi, że ten wykład o podstawach chrześcijaństwa został odebrany w sposób odbiegający od jego intencji. Spróbował więc naprawić sytuację.

— Widzi pan — zwrócił się do Jana. — Filozofia Chrystusa była nader reakcyjna. Stanowiła kontynuację ustroju niewolniczego. Wyrzeczenie się walki o swe ludzkie prawa prowadziło do utrwalenia podstaw legislacyjnych stosunków pomiędzy panem a niewolnikiem. Nieprzypadkowo Chrystus mówił: „Gdy uderzą cię w lewy policzek, nadstaw prawy”.

— A to dlaczego? — zapytał Zebedeusz. — Cóż za dureń podstawii drugi policzek? Bo ja jakbym się odwinął...

— Niesprzeciwianie się złu — wyjaśnił Kuroczkin — było jedną z fundamentalnych zasad chrześcijaństwa. Uważa się, że człowiek, który nie odpowiada na zło złem, tym samym zbawia swoją duszę. Nic więc dziwnego, że zaślepieni tą wiarą ludzie szli na śmierć w imię Boże.

— Na śmierć? — z powątpiewaniem w głosie odezwał się Tomasz. — Tu, bracie, trochę... tego... przesadziłeś!

— Nic nie przesadziłem! — odparł zapalczywie Kuroczkin. — Ileż ludzi zginęło na arenach Rzymu! Jeżeli nie wiesz, to lepiej nie gadaj!

— Dlaczego szli na śmierć?

— Dlatego, że przez wszystkie czasy człowiek nie mógł się pogodzić z myślą o przemijaniu wszystkiego co żyje, Chrystus zaś obiecał każdemu sprawiedliwemu szczęśliwość wieczną, głosił, że nasz żywot na ziemi to tylko przygotowanie do innego żywota, tam, w niebie.

— Hmm... — powiedział Judasz. — Rzecz warta zachodu! A ten twój Chrystus czynił jakieś cuda?

— Czynił. Zgodnie z przekazami wskrzeszał z martwych, zamieniał wodę w wino, chodził po wodzie jak po lądzie, wypędzał diabły. Wszystko to są oczywiście reminiscencje innych, wcześniejszych wierzeń.

— Czego? — zapytał Judasz. — Jak powiedziałaś? Rime...

— Reminiscencje.

— Aha! Znaczy się, z Rzymu?

— Chrześcijaństwo częściowo przejęło niektóre elementy greckiej i rzymskiej mitologii, częściowo kultów egipskich, ale przede wszystkim ukształtowało się ono pod wpływem zakonu mojżeszowego, który również jest niczym innym jak mistyfikacją, próbą odciążenia prostego ludu od...

— Czy twój Chrystus wyznaje zakony Mojżesza? — przerwał mu Jakub.

— Wyznaje.

— A więc to prawowierny człowiek.

Minęła przynajmniej godzina, zanim Kuroczkinowi udało się zaspokoić ciekawość słuchaczy, którzy zapomnieli, że powinni postawić sieci.

Purpurowa tarcza słońca już do połowy ukryła się za pociemniałe szczyty gór. Kuroczkin spojrzał na zachód i dwa jaskrawe, ogniste rozbłyski zapłonęły na jego szklach kontaktowych. Jakub, który siedział naprzeciwko niego, zachnął się i cofnął gwałtownie. Pod wpływem tego gwałtownego ruchu wątła łódź przechyliła się i zaczerpnęła burtą wodę.

Z okrzykiem „Wiedziałem, że tak będzie!” Kuroczkin skoczył na równe nogi, ale zaplątał się w swojej opończy, bodnął w brzuch Zebedeusza, który usiłował wyprostować łódkę, i wszyscy znaleźli się w wodzie. Straszliwe przerażenie obezwładniło nie umiejącego pływać Kuroczkina. Ale nie na próżno rekwizyty Kazanowaka były najlepszymi produktami przemysłu odzieżowego. Ogromna nylonowa opończa wyduła się jak gigantyczny bąbel i utrzymywała swego właściciela w pionowej pozycji.

Wkrótce Kuroczkin, którego to cudowne zrządzenie losu wyraźnie ośmieliło, zaczął nawet wymachiwać rękami i dawać rybakom rady, jak odwrócić pływającą do góry dnem łódkę. Wreszcie, przyciągnięty bosakiem przez Tomasza, wgramolił się na łódkę, która skierowała się w stronę brzegu.

Ostatecznie wszystko skończyło się szczęśliwie, jeżeli nie brać pod uwagę utraconej sieci. Zebedeusz szczególnie nad tym ubolewał.

— Powiedz mi — zapytał chmurząc brwi — jeżeli wiedziałeś, że łódź się przewróci, to dlaczego nas nie uprzedziłeś? Przełożyłbym sieć do łodzi Judasza.

— Nie wiedziałem! Słowo honoru, że nie wiedziałem! — zaczął usprawiedliwiać się Kuroczkin.

— Przecież sam powiedziałeś — wtrącił się Jan. — Krzyknąłeś: „Wiedziałem, że tak będzie!”

Kuroczkin zerknął na solidne pięści rybaków i poczuł, jak zakłuło go w dołku.

— Widzisz — zaczął dyplomatycznie, starając się tymczasem wymyślić jakieś wyjaśnienie. — Nie mogłem cię uprzedzić. — Dlaczego?

— Dlatego że... dlatego że to Bóg chciał cię doświadczyć — bezczelnie wykręcił się Kuroczkin. — Doświadczyć nieszczęściem.

— Bóg? — Zebedeusz podrapał się w głowę. Argument chyba podziałał.

— Bóg! — przytaknął Kuroczkin, który wyraźnie nabrał tupetu. — Mnie również doświadczał. Nie umiem pływać, ale nie zwątpiłem i nie dał mi utonąć.

— To prawda! — potwierdził Jakub. — Sam widziałem, jak ten Nazaretanin szedł po wodzie i nawet rękami machał; a wiesz, jak tam głęboko?

— Hmm... — Zebedeusz pokiwał ze skruchą głową i zaczął zbierać gałązki, by rozpalić ognisko.

Słońce zaszło i od strony jeziora zaczął wiać chłodny wiatr. Przemoknięci rybacy szczękali zębami, tylko Kuroczkin czuł się mniej więcej znośnie. Zbawienna, syntetyczna tkanina zupełnie nie



namokła.

Zebedeusz rozpałił ognisko, wbił przed nim uschniętą gałąź i rozwiesił na niej przemokniętą odzież. Jan i Jakub poszli za jego przykładem.

— A ty na co czekasz?

— Dziękuję! — odparł Kuroczkin. — Jestem suchy.

— Jak to, suchy? — Jan podszedł do niego i dotknął opończy. — Rzeczywiście, suchy! Jakże to? Kuroczkin milczał.

— No nie, powiedz, dlaczego nie przemokłeś? — nalegał Jan. — My przemokliśmy, a ty nie. Co, może z innej gliny jesteś ulepiony?

— A jeżeli z innej, to co? — odparł poirytowany Kuroczkin; Jeszcze nie minęło podniecenie wywołane cudownym ocaleniem. — Czego się czepiacie?

— Przecież to cud!

Kuroczkin wcale nie miał ochoty wdawać się w wyjaśnienia. Włożył rękę do torby, namacał butelkę wódki, odkręcił korek, pociągnął solidny łyk i podał ją Janowi.

— Masz, lepiej się napij!

Jan uniósł butelkę pod światło i mruknął, rozczarowany.

— Woda... Wina by teraz!

— Pij! — uśmiechnął się Kuroczkin. — Zobaczysz, co to za woda. Jan pociągnął łyk, wytrzeszczył oczy i rozkaszał się.

— No, no! — powiedział, podając butelkę Jakubowi. — Spróbuj! Jakub spróbował.

— Eee, to lepsze od starego tyberiadzkiego!

Wykończył butelkę Zebedeusz.

Wkrótce nadpłynęło czółno z Tomaszem i Judaszem, którzy również przysiedli się do ogniska.

Po wódce Kuroczkina zaczął morzyć sen. Leżał z przymkniętymi oczyma napawając się nie dającym się z niczym porównać uczuciem szczęśliwie zakończonej niebezpiecznej przygody.

W oddali naradzali się nad czymś rybacy.

— To on! — szeptał z podnieceniem Jan. — Mówię wam, to on! Po wodzie jak po lądzie, to raz! Prorokuje, to dwa! Wodę w wino zmienia, trzy! Czegóż wam jeszcze trzeba?

— A spojrzenie jego jest płomienne i straszne — dodał Jakub. — Zaprawdę, to on, Mesjasz!

Tymczasem lekko podchmielony obiekt ich rozmowy pochrapywał słodko, odwróciwszy się plecami do ogniska. Przez sen widział, jak stojąc na katedrze, zadaje teologom śmiertelny cios. W tym maleńkim kraiku żadnych śladów pobytu Jezusa Chrystusa nie odnalazł.

Następnego ranka, skoro świt, Tomasz i Judasz wyruszyli do Kafarnaum. Zebedeusz z synami zostali, by oczekiwać na przebudzenie Kuroczkina.

Ten zaś, gdy tylko otworzył oczy, poprosił o herbatę, ale rybacy o niczym takim nawet nie słyszeli. Musiał więc zadowolić się łykiem wody.

Przez noc poobcierane nogi opuchły i pokryły się strupami. Kuroczkin idąc po rozpalonym piasku, co chwila kłął i pojękiwał.

Trzeba było zrobić z wiosel coś na kształt noszy, na których Jan i Jakub ponieśli nieszczęśnika.

Wiść o nowym kaznodziei z Nazaretu rozeszła się po całym mieście, i w synagodze, do której zaniecono Kuroczkina, zebrał się wielki tłum ciekawskich. Natychmiast zasypano go pytaniami.

Minęło niespełna pół godziny, a Kuroczkin całkowicie opadł z sił. Było mu niedobrze z głodu, ale najwyraźniej wszystko wskazywało na to, że o śniadaniu nikt nawet nie pomyślał.

— Powiedzcie, proszę — zapytał, spoglądając na otaczających go ludzi — czy nie znaleźlibyście

czegoś do przegryzienia? Może macie tu jakiś bufecik?

— Jakże to tak? — spytał leciwy Żyd, który już od dawna spoglądał z ironią na kaznodzieję. — Czyż nie przestrzegasz prawa mojeszowego, które zabrania spożywania posiłków w świątyni? A może nie masz jeszcze trzynastu lat?

Gdzież jednak było mierzyć się staremu dogmatykowi z kandydatem nauk historycznych.

— A czyż nie wiesz, co uczynił Dawid, gdy łaknął sam i ci, którzy z nim byli? — zrećcznie zareplikował Kuroczkin. — Jako wszedł do domu Bożego, a wziął chleby pokładne i jadł, a dał i tym, którzy z nim byli i którym się nie godziło jeść, tylko samym kapłanom. Izajasz, rozdział szósty, werset szósty — dodał bez zająknięcia.

Olśniewająca erudycja przyniosła owoce. Młody sługa przez chwilę z niezdecydowaniem skubał brodę, po czym zniknął gdzieś na chwilę i pojawił się z pajdą chleba.

Podczas gdy Kuroczkin połykał z mlaskaniem całe kęsy zaspokajając swój głód, tłum z zaciekawieniem oczekiwał, że za chwilę rozstąpią się niebiosa i grom porazi grzesznika.

— No tak! — Kuroczkin zebrał okruchy i włożył do ust. — A teraz możemy kontynuować naszą rozmowę. Na czym stanęliśmy?

— Na niewolnikach i wojnach — odpowiedział ktoś.

— Zupełnie słusznie. Niewolnictwo, jak również i wojny są barbarzyńskimi przeżytkami. Kiedyś, w przyszłości, ludzkość uwolni się od tych jątrzących ją wrzodów i na ziemi zapanuje prawdziwy raj. Nie ten, o którym opowiadają wam uczeni w Piśmie i faryzeusze, ale prawdziwa równość wolnych ludzi, wiek szczęśliwości i dostatku.

— Ale kiedy to będzie? — zapytał rudowłosy osiłek. Kuroczkina nawet to nie zdołało zmieszać. Bardzo nie chciał zasmucać swych słuchaczy perspektywą dwudziestu stuleci oczekiwania.

— To zależy od nas wszystkich — zastosował znany chwyt. — Im prędzej ludzie dokonają niezbędnych przekształceń społecznych, tym prędzej nastąpi szczęśliwe życie.

— A co wtedy będzie? — wciąż dopytywał się rudzielec.

— Wszystko będzie. Zostaną wybudowane wygodne domy z zimną i gorącą wodą. Nie trzeba będzie rąbać drwa na opał, bo w każdej kuchni będą takie palniki, że pstryk! — i ogień się pali.

— A co. Duch Święty będzie się w nich palić? — zainteresował się stary Żyd.

— Duch, nie duch, ale gaz.

— Co? — wtrącił się rudy.

— No, gaz. Coś w rodzaju powietrza, z tą różnicą, że się pali. Słuchacze milczeli, nie dowierzając.

— To nie wszystko — ciągnął Kuroczkin. — Ludzie nauczą się latać w powietrzu, i nie tylko w powietrzu, ale nawet do gwiazd.

— A niech to! — westchnął ktoś. — Prosto do nieba! No, no...

— Zwyciężona zostanie starość, uleczone wszystkie choroby, nawet martwych zaczną wskrzeszać.

— Skąd ty to wszystko wiesz? — znów zapytał rudzielec. — Co, może tam byłeś?

Tłum ryknął śmiechem.

— Dobra, Szymonie! — rozległy się okrzyki. — Jeszcze go raz! Jak nie wie, to niech nie łże!

Głośny śmiech, okrzyki i kpiny sprawiły, że Kuroczkin poczuł, jak krew uderza mu do głowy.

— Oczywiście że byłem! — zawołał, starając się przekrzyczeć hałas. — Gdybym nie był, tobym wam nie opowiadał!

— Sza! — Stary Żyd podniósł rękę i śmiech stopniowo ucichł. — A więc byłeś tam?

— Byłem — potwierdził Kuroczkin.

— I wiesz, jak leczyć choroby? — Wiem.

— Rabbi! — Żyd zwrócił się do siedzącej na ławie starszyny. — Ów człowiek był w raju i wie, jak leczyć wszystkie choroby. Dlaczegoż więc nie miałby wyleczyć córki naszego szacownego Jaira, która kona już od siedmiu dni?

Siwy patriarcha, który zasiadał na najbardziej honorowym miejscu, skinął głową.

— Niech i tak będzie.

— No, to już bezczelność — oburzył się Kuroczkin. — Przecież nie można wszystkiego rozumieć tak dosłownie, przecież ostatecznie nie jestem lekarzem!

— Oszust! Wydrwigrosz! Żaden z niego prorok! Ukamienować go! — rozległy się głosy. Sytuacja zaczęła wyglądać niesympatycznie.

— No, dobrze! — rzekł Kuroczkin zarzucając torbę na ramię. — Spróbuję, ale w razie czego biorę wszystkich na świadków, że zostałem do tego zmuszony.

W domu starego Jaira panowała żałoba. Drzwi prowadzące na ulicę otwarte były na oścież, sam gospodarz zaś siedział na podłodze w podartej odzieży. Jego głowa była obficie posypana popiołem. W kącie zawodziły kobiety.

Rudy Szymon wepchnął Kuroczkina do izby. Pozostali tłoczyli się na ulicy, nie decydując się wejść do środka.

— Przeprowadziłem uzdrowiciela. Gdzie twoja córka?

— Umarła moja córeczka, moje słoneczko! — jęknął Jair. — Przed godziną oddała duszę Jahwe!  
— Zacerpnął z misy nową garść popiołu.

— To nic! — odparł Szymon. — Ten prorok umie wskrzeszać z martwych. Gdzie ona leży?

— Tam! — Jair wskazał zamknięte drzwi. — Tam leży moja gołąbeczka, moja najdroższa Rachela!

— Idź! — Kuroczkin, popchnięty lekko przez Szymona, wleciał do sąsiedniego pokoju. — Idź, i tylko spróbuj jej nie wskrzesić! Kuroczkin przymknął za sobą drzwi i zrozpaczony usiadł na niziutkiej ławie stojącej obok łóżka. Od dziecka bał się nieboszczyków i w chwili obecnej nie mógł się przemóc i oderwać spojrzenia od podłogi.

Szymon obserwował go przez szparę w drzwiach.

Zdaje się, że wpadłem, pomyślał Kuroczkin. Wpadłem zupełnie bezsensownie. Że też mnie podkusiło!

Minęło pięć minut. Zgromadzony na ulicy tłum zaczął już okazywać zniecierpliwienie.

— No i co tam? — krzyczeli oczekujący na cud. — Prędko skończy?

— Siedzi! — Szymon na bieżąco komentował wydarzenia. — Siedzi i myśli.

— O czym tu myśleć? Wyciągaj go stamtąd, ukamienujemy go! — zaproponował ktoś z tłumu.

Kuroczkin poczuł, że zbliża się jego ostatnia godzina. Trzeba coś zrobić, by oddalić straszną chwilę kaźni.

— Ach, raz kozie śmierć! — Zapalił papierosa i drżącą ręką odrzucił całun okrywający spoczywające na łożu ciało.

— Oj! — krzyknął Szymon, widząc błękitny płomyk zapalniczki gazowej. — Duch Święty! Duch Święty, prosto w jego ręce, sam widziałem.

Tłum zamarł, przejęty czią.

Dziewczyna spoczywająca na łożu była bardzo piękna. Gdyby nie woskowa bladość jej twarzy i zaciśnięte w przedśmiertnym skurczu ręce, można by sądzić, że po prostu śpi.

Kuroczkin odniósł nawet wrażenie, że powieki zmarłej drgnęły lekko, gdy przypadkowo dotknął jej piersi papierosem.

Nagle olśniło go...

Gdy Kuroczkin po kilku minutach wyszedł z pokoju, w którym leżała Rachel, wyglądał na krańcowo wyczerpanego. Dłonią z zaciśniętą w niej pustą ampulką, ocierał zimny pot z czoła.

— Będzie żyła! — powiedział i usiadł bezsilnie na podłodze. — Już otworzyła oczy!

— Łzesz! — Szymon zajrzał do sąsiedniej komnaty i rzucił się Kuroczkinowi do nóg. — Rabbi! Wybacz mi moją niewiarę!

— Bóg ci wybaczy! — uśmiechnął się Kuroczkin. Zaczął sobie już przyswajać nowe słownictwo.

Sobotnią wieczerzę w domu Jaira Kuroczkin wspominał przyjemnie, choć nieco jak przez mgłę. Uszczęśliwiony gospodarz nie żałował ni jadła, ni wina.

Żona Jaira na tę uroczystość wydobyła z ukrytej skrzyneczki srebrne lichtarze.

Kuroczkin leżał na honorowym miejscu i nadrabiał przymusowy post. Co prawda noc spędzona na brzegu sprawiła, że strasznie dręczył go reumatyzm, to zaś, że nie przywykł jeść leżąc, zmuszało go do unoszenia się, by przełknąć każdy kęs. Od tej gimnastyki plecy bolały go jeszcze bardziej.

Złożywszy hołd kulinarnej sztuce gospodyni i tyberiadzkiemu winu, Kuroczkin odsunął się od stołu i uśmiechnął błogo. Zachciało mu się prorokować. Wszyscy obecni tylko na to czekali.

Zaczął od cudów nauki i, zupełnie mimowolnie, stopniowo przeszedł do propagandy antywojennej. Tak się przy tym podniecił opisywaniem potęgi broni termonuklearnej i nieszczęść, jakimi grozi wojna atomowa, że wstrząśnięci słuchacze mieli łzy w oczach.

— Powiedz! — zapytał Jair drżącym głosem. — Czyż Jahwe dopuści, by zniszczone zostało wszystko, co żyje na ziemi? Jakże się uratować?

— Nic się nie bój, staruszkule! — uspokoił go porządnie już podchmielony Kuroczkin. — Rób to co mówię, i wszystko będzie w porządeczku!

Wszyscy zaczęli namawiać kaznodzieję, by na zawsze pozostał w Kafarnaum, ten jednak uparcie twierdził, że rankiem powinien wyruszyć do Jeruzalaim, bowiem, jak to określił, „Chrystus nie może czekać”.

Rankiem Jan i Jakub obudzili Kuroczkina, który jednak długo nie mógł zrozumieć, czego chcą od niego.

— Niech was licho! — mrucał i, wierzgając, owijał się z głową w prześcieradło. — Nie pójdę do żadnego instytutu, dziś mam wolne.

Świadomi swych obowiązków apostołowie byli zmuszeni ściągnąć go na podłogę.

Kuroczkin czuł się fatalnie. Krzywił się i co chwila prosił pić. Trzeba było zastosować wypróbowany sposób, potocznie zwany „klinem”.

Przed domem Jaira ustawiła się wkrótce cała procesja. Na jej czele stali synowie Zebedeusza oraz Judasz i Tomasz. Dalej, na osiołku, którego podarował mu Jair, siedział Kuroczkin z przewieszoną przez ramię nieodstępną torbą. Obok niego stał nawrócony Szymon, który pełnym zachwytu spojrzeniem śledził każdy ruch nauczyciela. W pewnej odległości tłoczyło się mnóstwo gapiów, zwabionych tym wspaniałym spektaklem.

Powiedziano wreszcie słowa pożegnania i wspaniały orszak ruszył ulicami Kafarnaum. Po drodze przyłączało się do niego coraz więcej osób.

Sława Kuroczkina rozprzestrzeniała się jak pożar. Jednakże on sam, bez reszty pochłonięty poszukiwaniami Chrystusa, był całkowicie obojętny na okazywane mu hołdy.

No cóż, myślał kołysząc się miarowo na osiołku, niech i tak będzie. Trzeba zdobyć zaufanie tych prostych ludzi. Jeden kaznodzieja poszukuje drugiego — taka sytuacja jest dla nich o wiele bardziej

zrozumiała niż pojawienie się przybysza z przyszłości.

Tłumy kalekich, kulawych i trędowatych wychodziły na drogę, by dotknąć jego szat.

W tym momencie dały o sobie znać nowe właściwości wspaniałego chitonu. Nylonowa tkanina, trąc o oślą sierść, uzyskiwała tak silny ładunek elektryczny, że pragnący ozdrowienia tylko się krzywili i zapewniali, że czują spływającą na nich łaskę Bożą.

Jednakże zainteresowanie jego osobą zaczęło wkrótce męczyć Kuroczkina. Chciwy sensacji tłum wciąż domagał się cudów. Najbardziej irytowały Kuroczkina aluzje na temat manny niebieskiej, w którą swego czasu Pan Bóg obficie zaopatrywał Żydów na pustyni. Pojawiła się groźba buntu głodowego. Nawet apostołowie zaczęli szemrać.

Ostatecznie musiał odzłować owe dwadzieścia denarów, które wyasygnował mu Kazanowak na bieżące wydatki. Pieniądzy starczyło zaledwie na siedem chlebów i kosz smażonych ryb. W tym przypadku kierownik wydziału Czasy i Obyczaje miał absolutną rację — zasoby finansowe jego podopiecznego istotnie nie pozwalały na zakupienie kopalni króla Salomona.

Jan, gdy wracał z zakupów, o mały włos nie został zdeptany przez zgłodniałą świtę, która w mgnieniu oka rozszarpała całą żywność. Przy okazji oberwał również po karku.

— Co zrobić, rabbi? — Jan był kompletnie oszołomiony. — Ci ludzie żądają chleba.

— Należy uznać, że wszyscy zostali nakarmieni — odparł Kuroczkin. — Pieniądzy już nie ma!

W jednej z osad drogę procesji zagrodziło kilku śmiejących się na całe gardło młodzieńców, którzy wlekli kobietę w poszarpanej odzieży.

— Co chcecie z nią zrobić? — zapytał Kuroczkin.

— Ukamienować! To znana dziwka Maria Magdalena. Nakryliśmy ją tu, w rowie. Wrażliwy na kobiecą urodę Kuroczkin zmarszczył brwi.

— Dobrze — rzekł, bez najmniejszego skrępowania popełniając bezczelny plagiat. — Kto z was jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci w nią kamieniem.

Poskutkowało. Wojujący moralisci rozeszli się niechętnie. Tylko pięcioletnia dziewczynka, która stała na uboczu, podniosła z drogi kamień i cisnęła nim w oślą.

Na tym incydent został zakończony.

Teraz do świty Kuroczkina przyłączyła się jeszcze i jawnogrzesznica.

Tak więc w roku od stworzenia świata 3790, w wigilię czternastego dnia miesiąca nisan, Leontij Kondratiewicz Kuroczkin, kandydat nauk historycznych, wjechał na osiołku, otoczony tłumem rozentuzjasmowanej czerni do świętego miasta Jeruzalaim.

— Kto to taki? — spytała kobieta z dzbanem starego żebraka siedzącego pod murem cmentarnym.

— To będzie król żydowski! — wymamrotał szalony starzec.

W Dolnym Mieście procesja zatrzymała się. Szymon i Tomasz proponowali, by natychmiast ruszać do świątyni, ale zmęczony upałem Kuroczkin stanowczo odmówił dalszej wędrówki.

Położył się w ogródku pod drzewem figowym i oznajmił, że do wieczora nie ruszy się z tego miejsca.

Wierni rozeszli się w poszukiwaniu pożywienia.

O chlebie powszednim musiał pomyśleć i kaznodzieja wraz ze swymi apostołami. Po krótkiej naradzie postanowiono wysłać Judasza na bazar, by sprzedał tam oślą.

Jan i Jakub poszli na ulicę Garnarzy, gdzie mieszkała siostra Zebedeusza, od której mieli nadzieję pożyczyć kilka denarów.

Judaszowi poszcęściło się. Nie zdążył przejść nawet trzech kwartałów, gdy idący za nim trop w trop człowiek zatrzymał go i zapytał, czy przypadkiem nie sprzedaje on oślą.

Judasz odparł, że owszem, sprzedaje i nie wiedząc, jak na rynku kształtują się ceny osłów, zażądał niewiarygodnej sumy dwudziestu pięciu srebrników.

Ku jego zdumieniu kupiec nie tylko natychmiast się zgodził, ale nawet obiecał postawić litkup — dzban wina.

Prostoduszny apostoł zawahał się. Nie miał najmniejszego zamiaru sprzedawać zwierzaka za bezcen. Podrapał się więc w głowę i wyjaśnił, że osioł jest niezwykły, bowiem jechał na nim ni mniej, ni więcej tylko znakomity kaznodzieja z Nazaretu i że grzechem byłoby rozstać się za sumę dwudziestu pięciu srebrników z tak wspaniałym, pokornym stworzeniem, na które niewątpliwie również spłynęła jakaś odrobina chwały bożej.

Kupiec podniósł nieco proponowaną cenę.

Po zaciekłych targach, w czasie których nieraz ciskano czapką o ziemię, wznoszono ręce ku niebu i wzywano Jehowę na świadka, ostatecznie uzgodnili sumę trzydziestu srebrników.

Judasz, gdy otrzymał pieniądze, przekazał osła jego nowemu właścicielowi i obie strony udały się do piwniczki, by oblać ten szczęśliwy zakup.

Po drodze nieznamy opowiedział, że służy jako zarządca w domu arcykapłana Kajfasza i że zakupił osła na jego osobiste żądanie.

— Po co mu osioł? — zdziwił się Judasz. — Czy mało ma koni w stajni?

— Pełno! — odparł zarządca. — Pełno koni, ale jego ekscelencja bardzo lubi osły. Po prostu obok żadnego nie umie przejść spokojnie.

— Niezbadane są twe drogi, Panie! — westchnął Judasz. — Na cóż to ludzie nie wydają pieniędzy! Wypili już drugi dzban, gdy zarządca zapytał ostrożnie:

— Czy ten twój kaznodzieja to — rzeczywiście święty człowiek?

— Święty? — Judasz wypluł pestkę oliwki i sięgnął po dzbanek. — Nawet sobie nie wyobrażasz, jaki święty.

— A o czym naucza? — zainteresował się zarządca napełniając kubek swego rozmówcy.

— O wszystkim. Aż spamiętać trudno.

— Na przykład?

— Przede wszystkim o niewolnikach i bogatych. Nie wolno, powiada, mieć niewolników, bo inaczej nie dostaniesz się do królestwa niebieskiego.

— Naprawdę?

— Jasne! — Judasz pociągnął solidny łyk. — Bogaci zaś będą u Jehowy wozic ciężary zamiast wielbłądów. A za karę będzie ich Jahwe przewlekać przez ucho igielne.

— Kiedy to będzie?

— Wkrótce nastąpi koniec świata, ukaże się jeden taki anioł... termo... termo... nie pamiętam jak się nazywa, ale pamiętam, że jak palnie! Wszystko zgorzeje, ale ocaleją ci, którzy podstawiają lewy policzek, gdy biją ich w prawy.

— Ciekawie naucza ten twój prorok.

— A coś ty myślał? Nawet wskrzeszać z martwych potrafi. Czy ty wiesz, jak pierwszorzędnie wskrzesił w sobotę jedną dziewicę, córkę Jaira?

— Tak... Powiedz, czy to prawda, co mówią — że to król żydowski?

— A jakże! Taki mądry! Któż inny mógłby być królem, jak nie on? Judasz pożegnał się z zarządcą zapewniając go o swej dozgonnej przyjaźni i ruszył na spotkanie z Kuroczkinem. Jego handlowy sukces sprawiał, że czuł się niezwykle dumny ze swoich umiejętności. Zagadywał przechodniów i kilkakrotnie zatrzymywał się przy kramach, z których energiczni młodzieńcy wynosili towary. Postanowił kupić worek mąki, ale tylko machnięto nań ręką.

— Nie wiesz, że zbliża się koniec świata? Komu teraz są potrzebne twoje pieniądze?

— Pieniądze to zawsze pieniądze — odparł roztropnie Judasz i poszedł w stronę ogródka, w którym czekali towarzysze.

Na ulicy Tkaczy napotkał idącą mu naprzeciw zbrojną eskortę dowodzoną przez jego nowego znajomego. Między strażnikami szedł Kuroczkin. Ręce miał skrepowane.

Arcykapłan Kajfasz był od świtu w podłym humorze.

Wczoraj miał wyjątkowo nieprzyjemną rozmowę z Poncjuszem Piłatem. Rzym domagał się pieniędzy. Zaproponowany przez prokuratora nowy podatek od oliwy z oliwek groził wybuchem zamieszek w całym kraju, pełnym najrozmaitszych pseudoproroków, podjudzających lud do zbrojnego powstania.

Jacyś osobnicy, którzy nie wiadomo skąd znaleźli się w Jerozolimie, grabili kramy, powołując się przy tym na zbliżający się dzień Sądu Ostatecznego.

I na domiar złego ten kaznodzieja, który mianuje się królem żydowskim! Podstępny Tyberiusz tylko czeka na coś w tym rodzaju, by rzucić na Judeę swe legiony i raz na zawsze zlikwidować te żalosne resztki dawnych swobód, które jego poprzednik pozostawił synom Izraela.

Otwarły się drzwi i wszedł zarządca.

— No i co? — zapytał Kajfasz.

— Przywiodłem go. Musieliśmy go związać, bo w żaden sposób nie mogliśmy go obezwładnić. Każesz go wprowadzić, panie?

— Poczekaj! — Kajfasz zamyślił się. Byłoby niewybaczalną lekkomyślnością przesłuchiwać tego samozwańca w swoim własnym domu. W Rzymie dowiedzą się i nie wiadomo jak to zinterpretują...

— Wiesz co, odprowadź go do Annasza — oznajmił. Uznał, że lepiej narazić teścia, niż ryzykować samemu.

— Tak jest, panie!

— I poślij po Ben Zarcha i Hur Aria, niech też tam przyjdą. Kajfasz nie miał ochoty zwoływać Sanhedrynu. Na samą myśl o dyskusji bez końca, którą będzie prowadzić tych siedemdziesięciu ludzi, zrobiło mu się niedobrze. Poza tym nadawanie sprawie tak wielkiego rozgłosu nie miało sensu.

— Idź! Powiedz Annaszowi, by rozkazał czekać na mnie!

Kuroczkin, gdy wprowadzono go w więzach do komnaty, w której znajdowała się śmietanka judejskich teologów, nie posiadał się z wściekłości.

— Co to ma znaczyć? — wrzasnął do Kajfasza, domyślając się, że to on jest tu najważniejszy. — Pamiętajcie, że ta samowola nie ujdzie wam płazem!

— Nie wiesz, jak masz rozmawiać z arcykapłanem? — zarządca wymierzył mu siarczysty policzek. — Ja cię nauczę, jak masz się zwracać do godniejszych od siebie!

Drugi cios sprawił, że Kuroczkinowi zawirowało przed oczyma. Chcąc uniknąć trzeciego uderzenia w ten sam, krwawiący już policzek, odwrócił się drugim bokiem.

— Spójrz, panie! — zawołał zarządca do Kajfasza. — Biję go w jeden policzek, a on podstawia drugi! Tego właśnie naucza!

— Gdybyś był na moim miejscu, nie tylko to byś podstawiał, bałwanie! — mruknął Kuroczkin. — Też mi się tołstojowiec znalazł.

Kajfasz rozpoczął przesłuchanie.

— Coś za jeden?

Kuroczkin popatrzył na sędziów. Tym razem miał przed sobą nie prostych rybaków i chłopów,

lecz biegle w sofistyce kapłanów. Zrozumiał, że czas już odkryć karty.

— Przybyłem tu z misją naukową — zaczął. Nie przychodził mu do głowy pomysł, w jaki sposób ma wytłumaczyć owym ludziom swoje cudowne pojawienie się w tym świecie. — Rzecz w tym, że Jezus Chrystus, którego jakoby mieliście ukrzyżować...

— Co on mówi? — zapytał przygłuchy Icchak Ben Zarch, przykładając dłoń do ucha.

— Twierdzi, że on to Mesjasz i że nazywa się Jezus Chrystus.

— Jeżeli który prorok odważy się mówić w moim imieniu to, czego mu nie rozkazałem, albo wystąpi w imieniu bogów obcych, taki prorok musi ponieść śmierć. Księga Powtórzonego Prawa, rozdział osiemnasty, werset dwudziesty — wymamrotał Ben Zarch.

— A więc nie jesteś zrodzony z niewiasty? — Kajfasz zadał następne pytanie.

— Skąd ci to przyszło do głowy? — uśmiechnął się Kuroczkin. — Jestem takim samym synem człowieczym jak wszyscy.

— Świącisz sobotę?

— Tam, skąd przybyłem, są dwa dni wolne. W soboty również nie pracujemy.

— Cóż to za królestwo?

— Jak by to wytłumaczyć? W każdym razie nie ma ono nic wspólnego ze światem, w którym żyjecie.

— Co? — zapytał Ben Zarch.

— Mówi, że królestwo jego nie z tego jest świata. Jak więc się tu dostałeś?

— Cóż! Nie umiem wam wyjaśnić zasad technicznych tego procesu. Znają je tylko ci, którzy mnie tu przenieśli.

— Któż to taki? Aniołowie?

Kuroczkin nie odpowiedział. Kajfasz spojrział na zebranych.

— Czy ktoś ma jeszcze pytania? Głos zabrał Józef Hur Arij.

— Powiedz, jakim prawem twierdzisz, że świętujesz sobotę, skoro właśnie tego dnia zajmowałeś się uzdrawianiem?

— A co? Waszym zdaniem lepiej by było, gdyby człowiek wyciągnął kopyta tylko dlatego, że to sobota? — Kuroczkin odpowiedział pytaniem na pytanie. — My na przykład uważamy, że sobota jest dla człowieka, a nie człowiek dla soboty.

Kajfasz dalej prowadził przesłuchanie.

— Czy nazywałeś się królem żydowskim?

— A to dobre! — Kuroczkin znowu zaczął się irytować. — Na większy idiotyzm cię nie stać?

Zarządca wymierzył mu kolejny policzek.

— Więc to tak?! — ryknął Kuroczkin. — Skoro stosuje się tu takie metody przesłuchania, to kategorycznie odmawiam odpowiedzi na pytania!

— Wyprowadzić go! — rozkazał Kajfasz.

Poncjusz Piłat rozmawiał w pretorium z gościem, który przybył z Aleksandrii.

Brat żony prokuratora — Gajusz Prokullus, historyk, astronom i lekarz, przybył do Jerozolimy, by zapoznać się ze starymi rękopisami znajdującymi się w Świątyni.

Usługujący niewolnicy zebrali resztki posiłku i odeszli, pozostawiając jedynie amfory z winem: Teraz, gdy już nie trzeba było obawiać się ciekawskich uszu, rozmowa przybrała bardziej szczerzy charakter.

— Klaudia powiedziała mi, że chcesz prosić cesarza, by przeniósł cię do Rzymu. Dlaczego? — zapytał Prokullus. Piłat wzruszył ramionami.



— Składa się na to wiele przyczyn — odparł po krótkiej pauzie. — Pobyt w tym przeklętym kraju przypomina życie na wulkanie. Nie wiesz dziś, co zdarzy się jutro. Tylko czekają na dogodny moment, by ci wbić nóż w plecy.

— Jednakże władza prokuratora...

— To tylko pozory. Gdy stłumię powstanie, całą sławę przypisuje sobie Lucjusz Witeliusz, kiedy zaś próbuję znaleźć wspólny język z Judejczykami, wysyła do Rzymu gońców z donosami na mnie. Coraz trudniej zbierać daniny. Celników po prostu biją, a czasami i odbierają im pieniądze. Rośnie deficyt i Witeliusz, który chce na moim miejscu umieścić kogoś swojego, zrzęcznie to wykorzystuje.

— Mimo to jednak... — zaczął Prokullus, ale zakończyć już nie zdołał. Przeszkodził mu ryk tłumu za oknami.

— Proszę, możesz podziwiać! — rzekł Piłat podchodząc do okna. — Ani we dnie, ani w nocy nawet chwili spokoju. Cóż, będę musiał wyjść do nich. Taki to los prokuratora. Chodź ze mną, sam zobaczysz, dlaczego chcę prosić, by mnie przeniesiono do Rzymu.

Tłum szalał.

— Ukrzyżuj go! — wrzeszczeli na widok Piłata ci, którzy niedawno całowali rąbek chitonu Kuroczkina. Ukrzyżowanie było dla nich o wiele ciekawszym zajęciem niż wszelkie kazania, których mieli już powyżej uszu. — Ukrzyżuj!

— O co oskarżacie tego człowieka? — zapytał Piłat spojrzawszy na zakrwawionego Kuroczkina, który stał ze spuszczoną głową.

Z tłumu wysunął się Kajfasz.

— To bezczelny oszust, bluźnierca i podżegacz.

— Czy prawdą jest to, o co cię oskarżają?

Łagodny, pełen wyrozumiałości głos prokuratora podniósł na duchu Kuroczkina, który zupełnie stracił już jakąkolwiek nadzieję.

— To straszna pomyłka — oznajmił patrząc błagalnie na Piłata. — Oni wzięli mnie za kogoś zupełnie innego. Pan, jako człowiek inteligentny, na pewno zdoła to wyjaśnić.

— Kimże więc jesteś?

— Uczonym. Jedynie zbieg okoliczności...

— Dobrze! — przerwał mu Piłat. — Proszę — zwrócił się do Prokullusa — sprawdź, czy ten człowiek istotnie jest uczonym.

Prokullus podszedł do Kuroczkina.

— Powiedz, jakie wydarzenia zwiastuje przejście gwiazdy Gniewu koło Skorpiona owianego ogniem Ołtarza?

Kuroczkin milczał.

— No cóż — uśmiechnął się Prokullus — tego istotnie możesz nie wiedzieć. Przypomnij więc sobie, ile organów znajdujących się w ludzkim ciele mógłbyś wyliczyć?

Jednakże Kuroczkin nie umiał odpowiedzieć i na drugie pytanie.

— A więc to tak? — zmarszczył brwi Prokullus. — Przynieście amforę.

Dostarczono ją natychmiast.

Prokullus zbliżył ją do twarzy Kuroczkina.

— Jak określisz, ile wina można wlać do tego naczynia?

— Podstawa... razy... jedna druga kwadratu wysokości... — zaczął mówić Kuroczkin. Jak prawie każdy humanista, niezbyt pamiętał takie rzeczy.

— Ten człowiek jest całkowitym ignorantem — oznajmił Prokullus Piłatowi — ale niewiedza nie może być powodem skazania na ukrzyżowanie. Na twoim miejscu kazałbym go publicznie

wychłostać i wypuścić.

— Nie, ukrzyżuj go! — tłum znowu zaczął szaleć.

Kuroczkina ponownie ogarnęła czarna rozpacz.

— Te pytania były nie z mojej specjalności! — zawołał, zwracając się bezpośrednio do Piłata.

— Przecież ja jestem historykiem!

— Historykiem? — zapytał Prokullus. — Ja również jestem historykiem. Może mi przypomnisz, jak wyglądały umocnienia Atlantydy?

— Nie zajmowałem się Atlantydą. Moje badania związane były z inną epoką.

— Z jaką?

— Z pierwszym wiekiem.

— Wybacz, ale nie rozumiałem — uprzejmie oświadczył Prokullus. — O którym wieku mówisz?

— No, o obecnych czasach.

— Aha! Jesteś więc człowiekiem, który opisuje wydarzenia, jakie miały miejsce całkiem niedawno?

— Otóż to — ucieszył się Kuroczkin. — To właśnie starałem się wyjaśnić.

Prokullus zamyślił się.

— Dobrze — rzekł i mrugnął do Piłata — powiedz, ile legionów i ilu żołnierzy w każdym miał Gajusz Juliusz Cezar w czasie pierwszej wyprawy galijskiej?

Kuroczkin ze wszystkich sił starał się przypomnieć sobie wykłady z historii Rzymu. Pod wpływem niesłychanego napięcia nerwowego na jego czole wystąpiły grube krople potu.

— Dość — oznajmił Piłat. — I bez tego widać, że nigdy niczego się nie uczył. O co jeszcze go oskarżasz?

Kajfasz znów wysunął się do przodu.

— Namawiał lud do nieposłuszeństwa wobec Rzymu i głosił, że jest królem żydowskim.

Prokurator skrzywił się. Sprawa była o wiele poważniejsza, niż początkowo przypuszczał.

— Czy to prawda? — spytał Kuroczkina.

— Kłamstwo! Bezczelne kłamstwo! Niech przedstawią świadków.

— Dlaczego wierzysz jemu, a nie wierzysz mnie? — wrzasnął Kajfasz. — Przecież ja jestem bądź co bądź arcykapłanem, a on włóczęgą, żebrakiem, wędrownym kaznodzieją!

Piłat rozłożył ręce.

— Takie oskarżenie powinni potwierdzić świadkowie.

— Więc to tak? — Kajfasz z wściekłością zgrzytnął zębami. — Widzę, że nie doczekam się tu sprawiedliwości. Trzeba będzie zwrócić się do Witeliusza!

Cios był celny. Piłat nie miał najmniejszej ochoty wplątywać namiestnika Syrii w całą tę aferę.

— Weźcie tego człowieka! — rozkazał straży, unikając błagalnego spojrzenia Kuroczkina.

Judasz całą noc spędził pod wrotami pretorium. Szedł za Kuroczkinem do domu Kajfasza, sterczał pod oknami Annasza i towarzyszył procesji do rezydencji prokuratora. Ani razu jednak nie udało mu się przecisnąć przez tłum do nauczyciela.

Ostatecznie wypite wino, przeżycia całego dnia i zmęczenie sprawiły, że Judasz zupełnie opadł z sił. Ułożył się w przydrożnym rowie i zasnął.

Obudziły go promienie słońca. Judasz przeciągnął się, przeczesał palcami brodę, by nadać jej bardziej dostojny wygląd, i poszedł na podwórzec pretorium w nadziei, że uda mu się tam czegoś dowiedzieć.

W cieniu rzucanym przez ścianę budynku siedział potężnie zbudowany legionista i czyścił miecz kredą. :

— Wynoś się! Wynoś się stąd! — powitał apostoła. — Tu nie dajemy jałmużny.

Judasz na widok miecza spokorniał i z szacunkiem wytłumaczył legioniście swoją sprawę.

— He! — odparł wojak. — Późno sobie o nim przypomniałeś! Teraz on już... — Legionista roześmiał się na całe gardło i przybrał pozę, która na długo stała się symbolem odkupienia grzechu pierworodnego.

Wstrząśnięty Judasz popędził na Golgotę.

Na szczycie wzgórza stały trzy krzyże. Pod środkowym, opatrzonym napisem Król żydowski, leżał płaczący Szymon. Judasz upadł obok niego.

— Rabbi!

— Cienko przedzie twój rabbi — odezwał się jeden ze strażników, oglądając zdjęte z Kuroczkina oporządzenie. — Nawet go porządnie przybić nie zdążyli, a on już — strażnik postawił oczy w słupek — się przekreślił.

— Może ze strachu? — rzekł drugi i wyciągnął kości do gry. — No co, zagramy?

— Dobra.

Judasz spojrzał na wykrzywioną w przedśmiertnej męce twarz nauczyciela i zaczął zawodzić na cały głos.

— Patrzcie go, jak rozpacza! — powiedział strażnik. — Pewnie krewniak, co?

— Posłuchajcie, panie — Judasz wstał i złożył ręce w błagalnym geście. — On i tak już umarł, pozwólcie nam go pochować.

— Nie można. Nie wolno zdejmować aż do wieczora.

— Proszę! Weźcie wszystko, panie, ale pozwólcie! — Judasz rozsypał u stóp strażników pieniądze, które otrzymał za osła.

— Może by im pozwolić, co? — zapytał jeden z wartowników.

— A jeżeli on jeszcze nie umarł? — drugi strażnik podszedł do krzyża i dźgnął włócznią w bok Kuroczkina. — E, chyba umarł, nawet nie drgnął. Zabieraj tego twojego krewniaka!

Tymczasem pozostali wciąż oglądali chiton.

— Dobra rzecz! — chwalił się szczęściarz, któremu powiodło się w grze. — Nie do zdarcia!

Apostołowie, wstrząśnięci śmiercią nauczyciela, pospiesznie zdejmowali go z krzyża. Gdy Judasz zaczął niezręcznie wyszarpywać gwoździe ze stóp, Kuroczkin lekko rozchylił powieki i zaczął.

— Widzisz? — Judasz szepnął Szymonowi do ucha. — Żyje!

— Cicho! — Szymon zerknął na strażników. — Tu niedaleko jest jaskinia, nieśmy go, póki się nie spostrzegli.

Strażnicy nic nie zauważyli. Byli całkowicie pochłonięci podziałem trzydziestu srebrników, które spadły im jak z nieba.

Judasz pozostawił Kuroczkina w pieczarze pod opieką wiernego Szymona i popędził podzielić się radosną wieścią z pozostałymi apostołami.

Kuroczkin nie odzyskiwał przytomności.

W malignie brał Szymona za swego asystenta, którego pozostawił w dwudziestym pierwszym wieku, ale mówił do niego po hebrajsku.

— Pietia! Piotrze! Wrócę, na pewno wrócę, przecież Opiekun nie byłby taki wredny! W razie czego polecam ci...

Wyznaczone przez Opiekuna pięć dób minęło...

Gdzieś w podziemiach dwudziestopiętrowego budynku mignęło zielone oko indykatora. Bezszelestnie włączyły się obwody przekaźników.

Niesamowity wicher przyczyn i skutków, urodzin i śmierci, przypadków i prawidłowości owionął ciało leżące na kamiennej podłodze, rozjaśnił pieczarę blaskiem wyładowań elektrycznych i pchnął Kuroczkina jak korek z dna oceanu z powrotem w daleką, lecz nieuchronną przyszłość.

— Mesjasz!!! — Jan, Jakub, Judasz i Tomasz, oślepieni cudownym zjawiskiem, stali w wejściu do pieczary.

— Wniebowstąpił! — Szymon wznosił ręce ku niebu. — Wniebowstąpił, ale powróci! Nazwał mnie Piotrem i wyznaczył swoim namiestnikiem.

Apostołowie uklękli w pokorze.

Tymczasem Kuroczkin leżał już w samych kąpielówkach na tapczaniku w gościnnym dziale Kazanowaka. Na jego twarzy i czole leżały tampony nasyczone rozpuszczalnikiem.

— No, jak się panu podróżowało? — zapytała Masza ostrożnie oddzierając brzegi bródki.

— Nieźle.

— Może wygłosiłby pan u nas wykładzik? — zapytał Kazanowak. — Wiele osób z personelu bardzo interesuje się tymi sprawami.

— No, nie wiem... W każdym razie nie teraz. Zgromadzone przeze mnie fakty jeszcze wymagają starannego opracowania, tym bardziej że okazało się, iż ewangeliści interpretowali je nader opacznie.

— No cóż, koń ma cztery nogi i też się potknie — stwierdził sentencjonalnie Kazanowak. Westchnął, starannie rozprostował kopię i przystąpił do sporządzania protokołu na okoliczność braku rekwizytów.

— Co tam się nosi? — zapytała Masza.. — Długie czy krótkie?

— Długie.

— O, właśnie mówiłam Nince, że trzeba szyć dłuższe! Ojej! Co to takiego? — szturchnęła palcem rany na przegubach pokryte różowym naskórkiem. — I tu, i tu, i bok przebity! Co, może pana tam bili?

— Nie, pewnie się podrapałem po drodze.

Kazanowak odwrócił arkusz papieru.

— Jaką podać przyczynę niedoboru?

— Niech pan napisze „pętla histerezy”! — odparł otrząskany już z terminologią Kuroczkin.

*Przełożył Stanisław Kamiński*

*Anatolij Dnieprow*  
*Licom k stienie*

# Twarzą do ściany

Promień komory dwadzieścia metrów, promień komory sto siedemdziesiąt metrów... Trzysta pięćdziesiąt metrów, tysiąc czterysta metrów...

— Co za monstra!

Ileż czasu i mrówczej pracy pochłaniała budowa takich akceleratorów–dinozaurów! Oglądałem schematy i zdjęcia” starych akceleratorów cząstek elementarnych i za każdym razem z politowaniem i współczuciem myślałem o ludziach, którzy do poznania struktury materii dochodzili tak wyboistą drogą.

W nauce jest zresztą tak zawsze. Ujrzawszy pierwszy niezgrabny model radioodbiornika uśmiechamy się pobłaźliwie nie myśląc o tym, że bez tego pionierskiego aparatu nie byłoby miniaturowej kruszynki, która teraz śpiewa w zegarku elektronicznym na mojej ręce.

Uczeni tamtych czasów byli prawdziwie dumni ze swych dzieł. Tony metalu i imponująco geometryczne wymiary urządzeń były dla nich dowodem dojrzałości naukowej wykonawców i konstruktorów.

— Śmieszne, prawda? — powiedział Walentin Kamienin, pochylając się nad schematem synchrofazotronu na sto miliardów elektronowoltów.

— Ani trochę. Bez tych urządzeń nigdy by się nie narodził pomysł doktora Gromowa. Właśnie dzięki nim odkryte zostały cząstki o ujemnej energii, które wykorzystał Gromow.

— Cząstki o ujemnej energii były teoretycznie znane już dawno. Trzeba było tylko dobrze pomyśleć...

Walentin zawsze twierdził, że „trzeba było tylko dobrze pomyśleć”, a cała nasza współczesna cywilizacja byłaby stworzona jeszcze w epoce kamiennej.

— Wiesz, czym zajmowałem się przez ostatni rok?

— Czym? — spytał Walentin bez specjalnego zainteresowania.

— Przejrzałem czasopisma z zakresu fizyki teoretycznej z ostatniego ćwierćwiecza. Okazało się, że dziewięćdziesiąt dziewięć procent zamieszczonych w nich artykułów to najczystsza fantastyka naukowa, fantastyka, której fizycy tak nie lubią i którą tak krytykują.

Walentin spojrzał na mnie ze zdumieniem.

— Tak, tak. Najprawdziwsza fantastyka naukowa, tyle że zamaskowana matematycznymi wzorami i równaniami. Każdy artykuł to wymyślony przez teoretyka model zjawiska fizycznego. Opracowuje go matematycznie, otrzymując różnorakie wyniki... i tak dalej. Każdy z nich uważa się za reprezentanta nauki ścisłej, gdyż fantazjuje używając aparatu matematycznego. Ale przecież ze wszystkich teoretyków, którzy rozpatrują to samo zjawisko, tylko jeden będzie miał rację, a pozostali to zwykli fantaści.

— Ciekawe! — Walentin uśmiechnął się. — Ale do czego właściwie zmierzasz?

— Do tego, że teoretyk może dowieść na papierze wszystkiego, czego tylko zechce. Ale to za mało. Jego przepowiednia musi się sprawdzać. Trzeba było na przykład nie tylko przepowiedzieć,

ale i znaleźć cząstki do ujemnej energii.

Zeszliśmy do szybu, gdzie nasi koledzy kończyli montaż akceleratora na dziesięć tysięcy miliardów elektronowoltów. W porównaniu z dinozaurami było to małe urządzenie, stojące pośrodku okrągłej wybetonowanej sali. Zakończona ostrym szpicem wtryskiwacza grafitowa dysza skierowana była na grubą ścianę, za którą rozpościerała się warstwa ziemi.

— Jaką weźmiemy tarczę? — zapytałem profesora Gromowa.

— Klasyczną. Parafinę.

— Dlaczego?

— Zobaczymy, jak będą się rozpraszaly elektrony na elektronach. Ciekawe, czy elektron ma strukturę wewnętrzną.

Obliczyłem sobie z grubsza w pamięci, jaka do tego potrzebna jest energia, i zrobiło mi się nieswojo.

— Chłopcy! Nasza maszyna zadziała i za kilka milionów lat gdzieś w gwiazdozbiorze Herkulesa astronomowie z nieznanej planety zarejestrują pojawienie się karła–supernowej!

Powiedziawszy to, nasz technik próżniowy Feliks Krymów zeskoczył z komory na podłogę i wycierając gazą ręce podszedł do Gromowa.

— Aleksieju Jefimowiczu, czy to możliwe?

Profesor Gromow w zamyśleniu pokręcił przecząco głową.

— Skąd ta pewność? Przecież nikt jeszcze nie próbował przeniknąć w przestrzeń o wymiarach liniowych mniejszych niż kwant!

— Będziemy zwiększać energię cząsteczek stopniowo. A propos, jak działa system płynnej regulacji energii?

— Znakomicie. Ale skąd pan będzie wiedział, gdzie należy się zatrzymać? Boja sobie tego nie wyobrażam. Powiedzmy szczerze: pracujemy metodą prób i błędów. A kto wie, do czego mogą doprowadzić nasze błędy.

Gromow w milczeniu opuścił szyb. Nawet jemu po tej rozmowie zrobiło wyraźnie nieswojo. A potem rzucił nieostroźnie:

— Fizycy jądrowi to naród ryzykantów.

Ta romantyka ryzyka nie wywołała najmniejszego entuzjazmu w młodych pracownikach laboratorium. Więcej nawet, jeden z nas, Wołodia Szarkoy następnego dnia złożył podanie o zwolnienie „w związku z przejściem do innej pracy”.

— Nie chcę mieć nic wspólnego z waszą diabelską kuchnią. Wybuchajcie sobie sami, jeśli chcecie.

Nie urządziliśmy mu żadnych uroczystych pożegnań, ponieważ był zwykłym tchórzem. Od wielu lat fizycy przenikają coraz głębiej w samo serce materii i zatrzymanie się w pół drogi oznaczałoby haniebną kapitulację. A po jego odejściu wszyscy staliśmy się poważni, skoncentrowani jak alpiniści idący po wąskiej, śliskiej półce nad przepaścią. Dlatego właśnie Walentin Kamienin uparcie rozwiązywał swoje równania, starając się znaleźć optymalne warunki, Feliks, jak mówił, „ścierał ze ściany komory próżniowej wszystkie zbędne atomy”, Halina Samojłowa i Fiodor Złotow codziennie raz po raz sprawdzali niezawodność systemu kierowania i blokady, nazywając swoją skrupulatną pracę „gimnastyką poranną”, ja zaś dokładnie przeglądałem opisy doświadczeń, wykonanych na starych akceleratorach, starając się wykryć choćby cień zagrożenia.

Czy ono w ogóle istniało? Wydawało mi się, że tak... Ze wzrostem energii cząsteczek rosła lawinowo liczba antycząstek, rodzących się na tarczy. Ich dematerializacji towarzyszyło gwałtowne wydzielanie się ogromnych ilości energii. Jakby przyspieszone do potwornej energii elektrony i

protony złościły niewidzialną ścianę i odrywały od niej kawałki potężnego materiału wybuchowego. Może ta niewidzialna ściana to właśnie antyświat?

W miarę zbliżania się montażu akceleratora ku końcowi przestaliśmy niemal ze sobą, rozmawiać. Wszyscy zamknęli się w sobie, starając się odgadnąć rezultat doświadczenia. Tylko Feliks ciągle doskwierał nam swoimi żarcikami:

— Chłopcy, nie bądźcie tacy posepni! Wszystko dokona się w ciągu ułamka mikrosekundy. Uczucie strachu w człowieku powstaje minimum po jednej dziesiątej sekundy, a bólu po pięciu dziesiątych. Oznacza to, że jeśli się coś stanie, i tak nie zdążycie niczego poczuć. Hala, czy ty się bardzo rozzłościś, jeśli ktoś ciebie uszczypnie w nos, a ty to poczujesz dopiero za dziesięć lat?

— Znowu żartujesz? Lepiej włącz jeszcze raz płynną regulację!

— Aha, boicie się, atlasi! Herkulesy myśli. Mam was wszystkich w garści! A nuż niechcący się pomylę i maszyna da od razu całe dziesięć tysięcy miliardów? To dopiero będzie fajerwerk!

Punktualnie o piątej Feliks szedł na basen popływać, a my zostawaliśmy, żeby jeszcze raz sprawdzić działanie wszystkich systemów konstrukcji.

W dniu próby zebraliśmy się w laboratorium wokół profesora Gromowa. On sam kilka razy włączył i wyłączył przekaźnik elektronowy, sprawdził aparaturę pomiarową i blokadę, po czym powiedział z westchnieniem:

— Można zaczynać.

Powiedział to takim tonem, że dla wszystkich stało się jasne: nie mamy już odwrotu. Trzeba zaczynać. Musimy koniecznie przejść przez to doświadczenie. Jeśli my tego nie uczynimy — zrobią to za nas inni. Każdy z nas poczuł to nagle z całą ostrością — taka już jest logika badań naukowych...

Siedliśmy na swoich miejscach wzdłuż głównego pulpitu rozdzielczego.

— Pamiętacie instrukcję komisji Akademii Nauk? — zapytał profesor Gromow.

— Tak.

— Powtórzę jeszcze raz: Jeśli strumień antycząstek przekroczy dziesięć do piątej na sekundę na centymetr kwadratowy, przerywamy doświadczenie. Dotyczy to przede wszystkim pana, Wiktorze — zwrócił się do mnie — pan uważa na licznik scyntylescencji i na komorę pęcherzykową.

Skinąłem głową.

— Zaczynamy.

Rozpędzanie elektronów zaczęło się od stu miliardów elektronowoltów. Transformatory mocy znajdowały się poza dyspozytornią, dlatego nie słyszeliśmy zwykłego w podobnych wypadkach szumu. W miarę przyrostu energii co dziesięć miliardów cicho szczykały przełączniki. Przy pięciuset GeV drgnęła strzałka licznika mezonów, potem poruszyły się wskaźniki ilości rodzących się hiperonów, niedługo zaczęła migotać neonówka liczniku antycząstek.

— Zaczęło się — wyszeptalem. Gromow zastygł przy energometrze.

— Co tak powoli, Feliksie?! — wykrzyknął z rozdrażnieniem, — Przecież ten przedział energii został już dawno zbadany. Nic ciekawego tu nie ma. Niech pan da od razu tysiąc GeV.

— Niech się dzieje co chce! — powiedział Feliks i przeskoczył od razu przez kilkaset miliardów elektronowoltów.

— Stop! — rozkazał Gromow. — Wiktorze, co u pana?

— Sto czterdzieści antycząstek na sekundę.

— Dobrze. Idziemy dalej. Tylko płynnie. Zwiększajcie energię jak najpłynniej.

To już był nie znany przedział. Tysiąc pięćset... Tysiąc pięćset dwadzieścia... dwadzieścia pięć...



— Wiktorze, proszę stale podawać wskazania!

— Dwieście pięć na sekundę... Dwieście dziesięć... Oho, pojawiły się antyhiperony!

— Ile?

— Na razie... Na razie tylko czterdzieści, czterdzieści siedem!

— Stop!

Przyrządy zamarły na wskazywanych liczbach.

— Jaka energia? — ochryple zapytał Walentin.

— Tysiąc sześćset czterdzieści GeV... No i co, żyjemy?

Gromow obszedł wszystkie przyrządy, po czym znowu zatrzymał się przy energometrze i powiedział:

— Idziemy dalej, Feliksie. Tylko proszę bez żartów.

Ostatnia zarejestrowana wielkość potoku antycząstek wynosiła tysiąc osiemset dziewięćdziesiąt. Potem rozległ się głośny szcęk przełącznika blokady i strzałki wskaźników powoli zaczęły zbliżać się do zera. Akcelerator się wyłączył.

— Co się dzieje?

Gromow zaczął nerwowo zacierać ręce.

— Co się stało, Aleksieju Jefimowiczu?

Gromow pochylił się nad metalową siatką zakrywającą przełącznik blokady i wycedził przez zęby:

— Nie mam pojęcia... Dziwne... Zaczniemy jeszcze raz, od początku. Feliks przekręcił gałkę regulatora dopływu energii na sto GeV i włączył moc. Ale aparat nie zadziałał, choć blokada była wyłączona.

— Wygląda na to, że akcelerator się zepsuł.

Włożyliśmy skafandry ochronne i po kilku minutach wszyscy byliśmy już na dnie szybu. Jasne lampy oświetlały zewsząd czarną bryłę akceleratora. Jego ostry dziób, otoczony ze wszystkich stron kamerami i licznikami, urywał się przed betonową ścianą. Wszystko wyglądało tak, jak przed godziną. Nie czekając na rozkaz, Feliks odkręcił boczne śruby i zdjął osłonę.

— Tu wszystko w porządku. Próżnia dziesięć do minus trzynastej... Kilka razy obeszlśmy wokoło groźną maszynę, starając się wykryć choćby najdrobniejszą usterkę w jej konstrukcji.

— A może to... — zaczął już Gromow, lecz przerwał mu głos Haliny Samojłowej, pochylającej się nad dyszą wtryskiwacza:

— Mam, mam! Patrzcie!

To, co zobaczyłem, przyprawiło mnie o dreszcze. Na końcu wypolerowanego grafitowego stożka wisiała wielka czarna kropla. Zastygła jakby na cieniutkiej nitce, nie zdążywszy oderwać się i spaść. Nigdy dotąd nie widziałem stopionego grafitu.

— Zdumiewające — wyszeptał profesor Gromow. — To coś nowego.

Długo milczeliśmy, patrząc na błyszczący skrzep, zwisający z końca dyszy. W końcu nie wytrzymałem i spytałem:

— No i co zrobimy?

Gromow spojrzał na mnie ze zdziwieniem:

— Jak to co? Powtórzmy doświadczenie. Szybko wymieńcie dyszę i wtryskiwacz.

Dokładnie w ten sam sposób zepsuliśmy tego dnia jeszcze trzy dysze. Wszystkie zaczynały się topić przy energii tysiąc dziewięćset miliardów elektronowoltów...

— Gdybyż tak dociągnąć do dwóch tysięcy miliardów... — szeptał marzycielsko Feliks. —

Ciekawe, jak wygląda stop z betonu, stali, niklu, kwarcu, ceramiki i grafitu?

Profesor Gromow spojrzał na niego surowo:

— Zabroniłem panu dowcipkować, panie Feliksie. Niech pan tu wstawi kamerę telewizyjną.

Wznowiliśmy doświadczenia dopiero po dwu dniach. Nie przewidywaliśmy wcześniej możliwości umieszczenia w szybie kamery telewizyjnej, gdyż nikt z nas nie spodziewał się jakichkolwiek efektów wizualnych. Przez te dwie doby porządnie się napracowaliśmy, ustawiając kamerę tak, żeby można było obserwować, co dzieje się wokół dyszy, kiedy energia cząsteczek osiąga wielkość krytyczną.

W czasie następnego doświadczenia Feliks przeskoczył cały zakres niskich, średnich i wysokich energii i zaczął od razu od tysiąca GeV. W miarę jak strzałka energometru zbliżała się do dwu tysięcy, na monitorze zaczął pojawiać się zdumiewający obraz. Najpierw na końcu dyszy ukazała się mała iskra, jak przy wyładowaniu elektrycznym. Iskra stawała się coraz jaśniejsza, aż zapłonęła jak łuk Volty. Świeciła tak silnie, że — jak zwykle przy przekazywaniu obrazu jasnych źródeł światła — na ekranie powstała wokół niej czarna aureola, zasłaniająca wszystkie szczegóły obrazu. Żeby ją usunąć, profesor Gromow kazał ustawić przed obiektywem kamery gęsty neutralny filtr świetlny.

Zdarzyło się to, kiedy zaczęliśmy dziesiąte z kolei doświadczenie. W kącie dyspozytorni, koło przełącznika blokady, leżał już cały stos nadtopionych grafitowych dysz.

Nigdy nie zapomnę widoku, jaki ujrzeliśmy na ekranie monitora w czasie tego eksperymentu.

— Zwróćcie uwagę — wyszeptał Gromow — czarna aureola wokół łuku nie znikła!

— Na odwrót, zrobiła się wyraźniejsza i nawet... Patrzcie, patrzcie! Kamienin objął rękami ekran, po czym podniósł dłoń i drżącym palcem przejechał po ciemnoszarym paseczku, przecinającym jak średnica czarną plamę wokół migoczącego płomienia. Z początku nikt nic nie rozumiał. Potem Feliks wykrzyknął:

— Dziura! I coś w dziurze...

— Nie, to nie dziura! To lustro! W nim odbija się dysza i... W tej chwili znów zadziałała blokada i wszystko znikło. Spojrzeliśmy po sobie z niedowierzaniem. Czy to możliwe? Czyżby to było właśnie to „okno”, o którym tyle pisali fanteści?

Nawet Gromow był blady i wzruszony, lecz pierwszy wziął się w garść.

— Trzeba zbudować wtryskiwacz i dyszę z trudniej topliwego materiału. Niezbędne jest też sfilmowanie wszystkiego, co zachodzi na ekranie monitora.

Jeszcze dwa dni minęły na gorączkowych przygotowaniach do kolejnego doświadczenia. Teraz dysza, z której były wyrzucane cząsteczki, została wykonana ze specjalnie trudno topliwego stopu. Przed ekranem zjawiał się wielozdjęciowy aparat filmowy z czułą kontrastową błoną. Kamera została ustawiona w ten sposób, że jej obiektyw skierowany był na dyszę akceleratora i jej najbliższe sąsiedztwo.

Termin kolejnego doświadczenia został wyznaczony na wczesny ranek, — a w poprzedzający je wieczór pozostałem w laboratorium sam, pod pretekstem, że chcę raz jeszcze sprawdzić schemat urządzenia. Kiedy wszyscy się rozeszli, zszedłem do szybu.

Martwa cisza, ukrywająca tajemnice natury. Fantastyczna armata, wycelowana w pustą przestrzeń. Czy to nie tu rozgrywa się dramat między przestrzenią, którą przywykliśmy wyobrażać sobie jako pustkę, a cząsteczkami materii, przesywającymi ją z fantastyczną szybkością? Czy ta pozornie pusta przestrzeń nie okaże się ową ścianą, za którą ukryty jest inny świat, podobny do naszego, lecz dla nas nieosiągalny? Czy nie balansujemy teraz na krawędzi przepaści, usiłując otworzyć drzwi do tego tajemniczego, zamkniętego świata? Antycząstki... Skąd się one biorą? Na

czym polega tajemnica ich powstawania? Skąd przenikają do naszego świata? Czy nie stamtąd?

Stojąc twarzą do ściany z betonu, za którą rozpościerały się dziesiątki kilometrów ziemi, próbowałem wyobrazić sobie, co się właściwie dzieje. Jeśli wierzyć teorii, to może właśnie teraz, dokładnie w tej samej chwili, tam stoi człowiek dokładnie taki sam jak ja i myśli o tym samym? A może ten człowiek i ja stanowimy jedną całość?...

Myśl ta przejęła mnie taką zgrozą, że już chciałem opuścić szyb — i w tym momencie doznałem olśnienia. Zastanowiwszy się, doszedłem do wniosku, że jest to jedyne prawidłowe rozwiązanie. Wziąłem arkusz papieru i napisałem na nim kilka słów...

— Zaczynamy. Dajcie od razu tysiąc sześćset miliardów — zarządził profesor Gromow cicho, lecz triumfalnie.

W dyspozytorni pogaszone były wszystkie światła i tylko błyszczący ekran i lampki sygnałowe na urządzeniach rozpraszały gęstą mgłę. Zaszumiała cicho kamera, przepuszczając przez obiektyw tysiące kadrów na sekundę.

— Pojawiła się iskra — wyszeptałem.

— Dalej. Tu już nie ma nic ciekawego. Aha, oto i aureola. Wielkość energii zbliżała się do tysiąca dziewięciuset GeV. Na końcu dyszy błyszczał olbrzymi łuk, ale metal wytrzymał. Aureola rozszerzyła się na tyle, że można było spojrzeć w jej głąb. I to, co tam zobaczyliśmy, wywołało wśród nas popłoch. Tam, w czarnej pustce, odbijała się dysza naszego akceleratora... Ostry koniec dyszy naszego aparatu stykał się z ostrym końcem dyszy jego odbicia w ciemności, a w punkcie ich styku szalał płomień...

— Zwiększyć energię! — ledwie słyszalnym głosem przykazał Gromow.

Bardziej poczułem niż zobaczyłem, że Feliks przekręcił gałkę zaledwie o ułamek stopnia. Ale to wystarczyło, żeby czarna aureola wokół płomienia rozszerzyła się tyle, że ukazała się w niej nie tylko dysza, lecz i cały akcelerator — dokładna kopia tego, który stał u nas w szybie... Stało się to tak nagle, aż krzyknąłem.

— Śmiało, śmiało! — gorączkowo szeptał Gromow. — Bo i ta dysza się roztopi! No, nie bójcie się!

Feliks ostro przekręcił gałkę regulatora.

Na mgnienie czarna aureola wokół płomienia rozszerzyła się na całą ścianę i ujrzeliśmy w niej, jak w olbrzymim lustrze, nasz szyb, jasne lampy elektryczne na ścianach, cały akcelerator, kable i uchodzące ku górze spiralne schody, prowadzące na podest przed windą. Zobaczyliśmy cały świat, odbity w wyrwie, przebitej w pustej przestrzeni przez cząsteczki, pędzące z szybkością światła...

— Oto i okno w antyświat... — szeptał zachwycony Walentin — A na granicy materia naszego świata anihiluje z antyma...

Nie zdążył dokończyć zdania. Ekran jasno rozbłysnął i przełącznik blokady zadziałał z ogłuszającym grzotem.

Długą chwilę staliśmy w bezruchu, wstrząśnięci tym, co widzieliśmy.

— Chyba żyjemy... — wymamrotał Feliks, lecz już nie tak wesoło, jak zwykle. — Spróbujemy jeszcze?

— Nie — sprzeciwił się Gromow. — Najpierw obejrzymy film.

Rzucając film na wielki ekran mogliśmy obejrzyć w najdrobniejszych szczegółach wszystko, co działo się w szybie w czasie poświadczenia.

Ujrzeliśmy teraz, że promień czarnej aureoli dookoła centrum anihilacji nie był stały. Okno w nic

to rozszerzało się, to zwiężało w takt migotania płomieni. Przy wzroście dopływu energii jego brzegi kołysały się. Potem zobaczyliśmy, jak przy kolejnym wzroście aureola, jak przesłona jakiegoś gigantycznego obiektywu, gwałtownie rozszerzyła się we wszystkich kierunkach, odsłaniając ściany laboratorium. Trwało to tylko moment. Nagle rozbłysnął płomień i ekran wypełniły bryzgi topiącego się metalu.

— Chwileczkę, cofnijcie film o siedemset tysięcy klatek! — rozległ się przerażony głos Gromowa.

Czekałem, wstrzymując oddech. Feliks przewijał taśmę... Na ekranie znów pojawiło się lustrzane odbicie naszego laboratorium.

— Zatrzymajcie film. Tak. Teraz patrzcie uważnie. Na przeciwległej ścianie widać coś białego... — Gromow podniósł się i podszedł pod sam ekran. — To papier... Arkusz papieru z jakimś napisem... Jakiś plakat czy coś w tym rodzaju. Nie przypominam sobie, żebyśmy tam rozwieszali jakieś plakaty. Panie Feliksie, proszę zrobić większe zbliżenie. Jeszcze, jeszcze...

Serce waliło mi jak młotem. Nareszcie biały pas zajął cały ekran. Teraz już wszyscy widzieliśmy, że na papierze był niezrozumiały napis.

Gromow przyłożył do ekranu arkusz papieru i skopiował napis ołówkiem. Feliks zapalił lampę i wszyscy skupiliśmy się wokół profesora, żeby przeczytać w stożku światła odbity w lustrze tekst:

*Nie przekraczajcie progu dwu tysięcy miliardów elektronowoltów. W przeciwnym wypadku powstanie nowa gwiazda.*

Gromow kilka sekund stał nieruchomo, po czym pobiegł do szybu. Rzuciliśmy się za nim, ale on zatrzymał się przy luku wejściowym jak wryty:

— Cofnijcie się, tam wszystko płonie!

Był to najzwyczajniejszy ziemski pożar, ugaszony najzwyczajszą wodą. Kiedy dym się rozwiął, zszedłem na dół w kombinezonie i z latarką w ręce. Człapiąc po wodzie, obejrzałem pogorzelisko. Swąd palony gumy i zwęglonych smarów był nie do wytrzymania. Ściany były zakopcone, z sufitu zwisały porwane przewody. A pod samymi schodami na powierzchni wody pływał poczerniały strzęp spalonego papieru.

Ostrożnie wziąłem go w ręce i zacząłem z całej siły rozcierać, zmieniając go w czarny proszek. Przez chwilę z całą ostrością czułem, że zupełnie blisko to samo robi inny człowiek. Szybkim ruchem podniosłem latarnię nad głowę i dokładnie obejrzałem szyb. Nikogo, pusto, tylko zakopcone ściany. Może ten drugi człowiek to też ja?

Na górze czekał na mnie, uśmiechając się kwaśno Walentin Kamienin.

— Możesz nam pogratulować, mam na myśli ciebie, siebie, Feliksa profesora Gromowa i całe nasze laboratorium.

— Pogratulować?... Czego?

— Ostatniego eksperymentu w fizyce jądrowej.

— Dlaczego ostatniego?

— Przyrządy zarejestrowały, że potok antycząstek przekroczył wymienioną w instrukcji Akademii Nauk liczbę o cały rząd wielkości. Zabrania się prowadzenia dalszych doświadczeń w tym kierunku.

— A co z oknem w antyświat?

— Trzeba szukać okrężnej drogi. Prosta droga jest niebezpieczna...

*Przełożył Jacek Izworski*

*Sewer Gansowski*  
*Idiot człowiek*

# Idzie człowiek

Nad szeroką równiną przy skraju ząbkowanych gór krążyły obłoki i wreszcie po raz pierwszy od wielu dni, a nawet miesięcy, wyjrzało słońce. Prześwit na niebie stale się zwiększał, pojaśniały bukowe i grabowe lasy, posplatane lianami i winoroślami dębowe gaje, polany zarośnięte gęstą, niską trawką, i step, gdzie trawa sięga człowiekowi do pasa.

Konie, zebry i kozły w pomieszanych stadach otrząchały krótką sierść i parskały kręcąc łbami. Ponury nosorożec, żywy, rozwścieczony taran, wyszedł z zarośli na odkryty teren, głośno wciągnął powietrze w szerokie piersi i z zadowoleniem chrząknął.

W stadzie leśnych słoni przywódca — całe brzuszysko miał porośnięte gęstym, długim włosiem — donośnie zatrąbił, rozkazując swoim pobratymcom przegrupowanie się ułatwiające wyjście na polanę. Wydry i lisy wylażyły z nor. Gigantyczny bóbr, dorównujący wzrostem współczesnemu wilkowi, z błogością mrużył oczy na brzeżku głuchej, leśnej, czarnej rzeczki.

Promień słońca przedarł się przez kilka okapów zielonych liści i padł na czoło lamparta. Zwierzę otworzyło jedno oko, potem zamknęło je. Nie chciało mu się poruszać, tak przyjemnie było czuć ciepło.

Hipopotam w prostym nurcie błotnistej rzeki również radośnie zaparskał. Marzył w ciągu długich miesięcy, nie rozumiejąc, co się dzieje i dlaczego jest mu ciągle zimno. Był ostatnim hipopotamem w tych stronach. Jego ród powinien wymrzeć na skutek postępującego od północy ochłodzenia, ale on nie wiedział o tym i tylko się dziwił, że nie spotyka nigdzie ani samic, ani młodziaków, ani takich samych starych, otrząskanych samców, jak on sam.

Słońce świeciło, krople dopiero co spadłego deszczu błyszcząły w listowiu i trawach, wszystkie zapachy na równinie uległy metamorfozie — stały się intensywniejsze i mocniejsze.

I wówczas w przedgórzu, na polance niedaleko strumienia, przebudził się Jego Królewska Mość Lew Jaskiniowy. Z początku zadrgał koniuszek ogona, następnie zafalowała skóra na grzbiecie, zatrzepotały nozdrza szerokiego, czarnego nosa, odemknęły się żółte ślepia. Lew podniósł mocny łeb, podźwignął nieco swe cielsko, przeciągnął się, wyginając grzbiet i drapiąc ziemię pazurami przednich łap. Potrząsnął grzywą, głęboko nabrał powietrza, hałaśliwie wyrzucił je z płuc i podreptał w miejscu. Tuż przy nim leżały resztki dzika zagryzionego poprzedniego dnia. Na grzbiecie i tylnych łapach miał jeszcze szerniałe mięsiwo — nie zjadły go wymęczone głodem hieny, nie odważyły się podejść blisko do śpiącego władcy.

Lew leniwie dotknął objedzonego łba odyńca, postąpił chwilę obok, nieco przysiadł, z niespodzianą lekkością wyrzucił w powietrze swe czterystukilogramowe ciało, przeleciał dziesięć metrów i łagodnie, jakby przelewając się, opadł na trawę przy strumyku. Nie drgnęła, a tylko płynnie zakołysała się główka rumianku o centymetr od jego łapy.

Lew jaskiniowy opuścił głowę, napił się wody, mlaszcząc przy tym. Szeroki, różowy płat języka przesunął się po wargach szarej małpie, która wtuliła się wysoko nad ruczajem w pień drzewa, dziwny się wydał ten język, taki bezbronny wśród niesamowitych, białych kłów.

Następnie najjaśniejszy pan jeszcze raz przeciągnął się, zamruczał dwukrotnie, jakby się przymierzając i wypróbując swój głos, na wpół przysiadł wsparty na tylnych łapach, zaczerpnął powietrza, a potem z głębi swych trzewi wypuścił potężny, wszechogarniający ryk.

Dźwięk poszedł po trawach, zabłądził między drzewami lasu, przemknął nad bagnami, łąkami i popłynął stepem.

I wszystko, co żyje, na kilometry dokoła zamarło, zastygło w bezruchu na moment. Stada zebr i koni zatrzymały się, jak gdyby natrafiły na niewidzialny mur, lampart w mateczniku uniósł się nieco i skamieniał, przywódca stada słoni nastawił uszu.

Dźwięk właczał się falami, wywołując smutek, zapowiadając śmierć i rzucając urok. Po chwilowym odrętwieniu skoczył do wody bóbr, z wielkim rozmachem runął w głąb gęstwiny leśnej lampart — sam zażarty wojownik, mimo wszystko nie chciał się znaleźć oko w oko na jednej ścieżce z cętkowanym, żółtookim carem. Słonie pociągnęły na otwartą przestrzeń, skręciło w bok od nadrzecznych zarośli stado bawołów, rzucił się jak oszalały na łeb na szyję nosorożec. Ziemia zadrżała od tysięcy kopyt — popędziły konie i zebry.

Wszechmogący wiedział, że ostrzega swoją przyszłą ofiarę, ale wiedział również i to, że nie ucieknie od niego. Słoń, bawół, antylopa tak czy inaczej żyją tam, gdzie żyją, i gdzie znają okolice. Strach nie zmusi ich do porzucenia granic rzeczy znajomych — przecież tam, za tymi granicami, czeka jeszcze większy strach. Koń nie rzuci się do ucieczki przed wilkiem po nieznanym terenie — musi się orientować, na jakiej łysinie między trawami raptownie skręci on w bok, zmuszając prześladowcę do pomknięcia naprzód. I jeleń nie popędzi, gdzie oczy poniosą, lecz pogalopuje znaną mu ścieżynką, aby nie uwięznąć rogami w gałęziach młodego lasu.

Władca czuł, że zwierzęta jedynie przegrupowują się, ale nie odejdą daleko, i tego właśnie przegrupowania życzył sobie, licząc na znalezienie swojej ofiary tam, gdzie być powinna. Jak szachista rozgrywający partię w epoce człowieka i szachów, pragnął, aby przeciwnik prawidłowo realizował określony debiut — tak mu było wygodniej.

I rzeczywiście, na granicy swojego terytorium stada kopytnych zatrzymały się, powstały i zawróciły, lampart zatoczył olbrzymie koło i przyszedł z powrotem prawie dokładnie tam, gdzie był przedtem. Wszystkie zwierzęta zaczęły się paść, polować, węszyć, oswajać się z sytuacją. Jednakże napięcie pozostało. Wszystkie zwierzęta czekały, aż nowy, pełen zadowolenia ryk oznajmi im: „Złapałem, jestem syty. Żyćcie”.

Lew jaskiniowy jeszcze raz się przeciągnął i usiadł, to wypuszczając, to chowając pazury.

Stanowił on wspaniałe urządzenie służące do zabijania. Najbardziej doskonale spośród tych, jakie znała do tej pory historia Ziemi. Gdyby mu wypadło spotkać się z tyranozaurom, największym z drapieżnych jaszczurów, od którego lwa oddzielały co prawda miliony lat, to żółty monarcha pokonałby z pewnością nawet tyranozaura. Jaszczur był olbrzymi, ale tępy, nieruchawy. Lew miał nie tylko stalowe muskuły, lecz odznaczał się ponadto chytryością i posiadał błyskawiczny refleks.

W nim przyroda osiągnęła swój szczyt. Taką piersią z przetaczającymi się mięśniami, takimi pazurami i kłami, taką siłą w tylnych łapach podrzucających jego ciało na dziesięć—piętnaście metrów, nie mógł pochwalić się nikt. Każdy jego ruch był wyczelowany, niemal artystyczny. Śpiewała w nim muzyka, był też malowniczy, cała jego postać przypominała rzeźbę. Przez niego, jego królewską mość lwa jaskiniowego, przyroda jak gdyby wypowiedała to, co w przyszłości miała wyrazić językiem ludzkiej sztuki.

Lew przeskoczył przez strumień i na razie jeszcze się nie kryjąc, szedł na polowanie. Strach toczył się przed nim, jak przygotowanie artyleryjskie:

wszystko, co żyje, z wyjątkiem takiej drobnicy jak ptaki, wiewiórki i rozmaite żuki, rozbiegało

się, pozostawiając za sobą martwą strefę.

Człowiek o imieniu Uc, stary, ale krzepki, stojący na pagórku o parę kilometrów od legowiska lwa, usłyszał głos żółtego króla już nie tak donośny. Przygniatający, wszystko zapelniający ryk doszedł właśnie do uszu Uca tylko dlatego, że on również miał prawie zwierzęcy słuch. Człowiek rozumiał, że to mało prawdopodobne, aby władca przyszedł po zdobycz tak daleko, ale ramiona mu zadrżały. Pojął, że na polowanie trzeba będzie się wybrać dzisiaj w inną stronę.

Ścisnąwszy drewnianą dzidę z kamiennym grotem — zbyt licha ona była przeciwko wszechmogącemu lwu, a nawet przeciw młodemu, rozdziawiającemu wielkie kły odyńcowi w lesie — Uc obejrzał się na koczowisko.

Urwisko nad rzeką było podziurawione głębokimi pieczarami, w których osiedlili się ludzie hordy; starszym w niej był Uc. Pełne pół roku — od najniższego słońca do najwyższego — prawie całe życie przebiegało tam, wewnątrz. Z powodu deszczu. Tam dostarczano zdobycz, tam ją pieczono. Tam kobiety i dzieci przynosiły miękkie, słodkie korzenie i cebulki, jeśli udawało je się znaleźć. Tam spano przy ogniskach i siedziano dniem, patrząc na potoki wody, jak zasłona spadające z niebios.

Ale dzisiaj wyszło słońce i wówczas horda wydostała się z wilgoci i zimna kamiennych schronisk na zewnątrz.

Na trzech wielkich ogniskach pieczono resztki zagryzonego przez lamparty młodego nosorożca — zwierzęta zeżarły jedynie łeb i brzuch i odeszły. Brodaci mężczyźni przygotowywali broń — obtłupywali krzemienne noże i tłuki, obtłukiwali groty do włóczni. Kobiety, rozciągnąwszy na ziemi jelenie skóry i przybiwszy je przy brzegach sęczkami, odskrobywały z wewnątrz mięso i tłuszcz. Jedna z nich, młodzianka dziewczyna z czapą jasnych włosów, z przepaską z wiewiórczych skórek wokół pasa — zwali ją Ru — popatrzyła na wzgórze i uśmiechnęła się. Nie opodał w rzece, stojąc po pas w wodzie, kilka osób łowiło ryby gołymi rękami. Gdy ktoś złowił rybę, wyrzucał zdobycz na brzeg, tam dzieci podnosiły ją i zносиły do ogniska. Akurat rozpoczęła się wędrówka ryb.

Wszystko szło do wspólnego kotła — było to prawo nie wypowiedziane przez nikogo, lecz samo przez się zrozumiałe. Z prawem tym rodzono się i umierano. Nawet małe dziecko, chociaż, i osłabione przez długotrwały głód, ciągnęło do koczowiska jadalny korzeń, a nie wpychało sobie do ust.

Ludzie hordy byli nieduzi — sto sześćdziesiąt, sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu. Kobiety były nieco mniejsze, mężczyźni trochę więksi. Nie odznaczała się oni również siłą. Przynajmniej byli słabsi od wszystkich zwierząt, mających takie same rozmiary i wagę, jak oni. Najsilniejszy myśliwy, nie mając noża, nie zdołałby poradzić sobie nawet z antylopą.

Mieli oni wyprostowane postacie, długie ręce i nogi. Wysokie, proste, a nie skrzywione czoła, i szczęki, które nie były wysunięte do przodu.

Ludzie ci bardzo rzadko spotykali innych takich samych, podobnych do siebie. Nie wiedzieli, skąd przyszli tutaj, ale teraz zaczęło im się całkiem źle dziać na przedgórzu. Owoce i mączne korzenie w pobliżu zostały zjedzone. Drobną dziczyznę porozbiegała się, a chodzić po nią daleko w step nie decydowali się w obawie przed lampartami i innymi drapieżnikami.

Należało stąd odejść, ale ludzi ogarniał strach na myśl o porzuceniu wygodnych jaskiń, gdzie nie było tak zimno podczas deszczy i burz, oraz o opuszczeniu wejść, które można było zawalić kamieniami na noc.

Uc popatrzył na koczowisko, potem na niebo. Znowu nadciągały chmury gotowe połknąć słońce. Zabolały go kości — tak się chciało ciepła i światła. Babka opowiadała mu, że przedtem było



znacznie lepiej. On nawet sam niewyraźnie pamiętał upalne lata, jedno, a może i dwa. A potem tak właśnie się stało: deszcz i deszcz. Była nawet zima, szczególnie chłodna, kiedy z nieba posypało się coś białego. Dziesiątki hipopotamów padło wówczas nad rzeką. Ucztowały hieny, ale horda prawie nie skorzystała z mięsa olbrzymich, ociężałych zwierząt. Za zimno było. Ludzie ukryli się w pieczarach, poopatulali się w skóry, lecz mimo wszystko i tak wielu zginęło do wiosny.

Obok Uca siedział na trawie kulawy Jaro, młody myśliwy, któremu odyniec niedawno przebił kłębem nogę. Teraz Jaro nie był w stanie polować na równi z innymi mężczyznami i prawie całe dni spędzał przy ognisku, sporządzając noże i groty do kopii.

Trzymał w rękach gruby konar, dorównujący długością wzrostowi człowieka. Gałąź była wilgotna, dawno odpadła, drzewo wewnątrz zgniło i wysypało się, pozostała sama tylko kora. Gdy się zajrzało do otworu z jednej strony, można było zobaczyć przez drugi otwór niebo i las.

Jaro przekręcał konar na wszelkie sposoby. Zatkał węższą dziurę trawą, zabrał się do wsypywania tam piasku. Potem go wysypał i przedmuchał otwór.

— Po co to, Jaro? — spytał Uc. — To lekkie, nie da się tym uderzyć.

— Jaro sam nie wie — odpowiedział kulawy. Mówił, trzymając przy ustach brzozową trąbę i jego głos stał się niespodzianie niski i donośny.

W owych czasach jeszcze nie znano słowa „ty”. Ludzie mówili o sobie i zwracali się do siebie nawzajem jedynie po imieniu. Dziewczyna Ru, pozostawiwszy swoją skórę, weszła na wzgórze.

— Będzie deszcz — powiedziała. — Ru chce zabrać ognisko do pieczary. Lic pokręcił głową.

— Nie. Gałęzie są wilgotne i będzie walił mocny dym. Niech ogniska płoną tutaj.

Dziewczyna zbliżyła się do Jaro. Przyszła właśnie ze względu na niego. Mężczyzna podniósł się, trzymając w ręku trąbę. Stali obok siebie, dwoje młodych ludzi. Step i las rozpościerały się przed nimi. W oddali widać było grupę słońi, za nimi zaś ciemną masą majaczyły stada koni. Chmury gęstniały, jedna wpełzała na drugą. Tylko nad pasmem górskim było czyste niebo.

Starzec Uc patrzył na nie.

— Jaro nie idzie na polowanie? — spytała dziewczyna.

— Nie. Jaro będzie tutaj — odrzekł kulawy i to tak głośno zabrzmiało przez brzozową trąbę, że dziewczyna uskokzyła w bok, a potem, zaśmiawszy się, położyła rękę na konarze.

— Drzewo krzyczy...

O pół dnia drogi od koczowiska, gdzie zwierzęta nie były tak zastraszone, trzej myśliwi hordy podkradali się do koni. Było to długotrwałe i trudne zadanie. Zwierzęta stały na otwartej polanie — cztery samice i samiec. Kobyły opuściły pyski w trawę, pały się, a samiec oglądał się na wszystkie strony. Węszył, nasłuchiwał poruszając uszami.

Podrzuciwszy w powietrze trawkę, myśliwi określili kierunek słabiutkiego wietrzyka, następnie zaczęli pełzać w taki sposób, aby wiał on od zwierząt w ich stronę. Noże i worki z grotami zostawili w krzakach i poruszali się bez obciążenia, tylko z kopiami. Nieraz zastygali w bezruchu, potem pełzli dalej tak powoli, że nie przestraszyły się ich nawet młode króliki w pobliżu.

Przezołgali się dwie trzecie potrzebnej odległości, kiedy wiatr się zmienił. Musieli wrócić w krzaki, zatoczyć wielkie koło, obchodząc zdobycz, i zacząć podkradać się z drugiej strony.

Kiedy do zwierząt pozostało tylko dwadzieścia kroków, ale rzucać kopią jeszcze nie było sensu, ogier zaniepokoił się. Wydawszy z siebie krótkie rzenie, zaczął wpatrywać się w trawę, w której ukryli się Og Długoręki, Maw Szybki i jeszcze jeden myśliwy zwany Ramem.

Samiec nastroszył uszy, długo, długo patrzył w trawę, potem odwrócił się.

Ale ludzie ani drgnęli. Było to przecież współzawodnictwo w chytrłości, a zwycięzca wygrywał

zycie. Ogier znowu popatrzył w ich stronę i dopiero później opuścił głowę, obwąchując zielone pędy.

Wówczas ci trzej poczołgali się jeszcze pięć kroków, jednocześnie poderwali się z miejsca i cisnęli ciężkie, niezdarne dzidy. Tylko jedna trafiła samca między żebra.

Małe stado rzuciło się do ucieczki, ogier również pogalopował. Myśliwi, którym muskuły osłabły z napięcia, nie ruszyli za nim w pogoń. Z radosnymi okrzykami rozsiedli się na trawie, potem, po chwili odpoczynku, wrócili w zarośla po noże i po inny dobytek, a dopiero później podążyli po krwawych śladach.

Ogier upadł o jakieś pół setki kroków od nich. Na wargach wystąpiła mu krwawa piana. Na widok zbliżających się myśliwych zerwał się na równe nogi, podskoczył, jakby grożąc im, i resztkami sił pobiegł w dół po kamienistym parowie. Dzi ryt chwiał się w jego boku.

Myśliwi poszli za nim. Wądoł ostro zakręcał. Za zakrętem wszyscy trzej znowu zobaczyli leżące zwierzę. To była wspaniała zdobycz. Taka, jaka rzadko przypadała im w udziale. Ciepłe, świeże mięso, na tyle miękkie, że dobrze je było jeść nawet nie pieczone.

Og Długoręki wyjął z woreczka tłuk.

Ale Ram nagle zatrzymał się. Jakiś szczególny zapach zaniepokoił go.

Popatrzył w bok i ujrzał człowieka. Ścisłej mówiąc, ludzkie dziecko. Chłopca. Smagłego, bardzo przysadzystego, szerszego w ramionach od nich samych, chociaż daleko mu było do dorosłości. Włosy rosły mu na głowie nie takie, jak u trzech myśliwych, a proste, twarde jak końska grzywa. Ręce miał pokryte pagórkowatymi węzłami mięśni, a spojrzenie prawie zwierzęce, wystraszone, lecz badawcze i okrutne.

Przez moment młode dzikiego człowieka patrzyło na myśliwych, następnie rzuciło się w krzaki.

A o sto kroków w parowie płonęło ognisko, przy którym stało kilka gigantycznych istot z opaskami ze zwierzęcych skór i z kamiennymi toporami w rękach.

Wówczas trzej myśliwi, nie myśląc ni sekundy, nie umawiając się i od razu zapomniawszy o swojej zdobyczy, zawrócili i w nogi. Rzucili dzidy, aby im nie przeszkadzały i, wydostawszy się z wądołu, popędzili długimi susami. Wszystko im już zobojętniało. Śmierć zajrzała im w oczy i zagłada zawisła nad całym koczowiskiem. Natknęli się na horde włóczędzów, których głównym zajęciem było polowanie na ludzi.

Z tyłu usłyszeli krzyki. Włóczędzy rozpoczęli pogoń.

Okolo czterech dziesiątków mężczyzn, kobiet i dzieci rozciągnęło się w szerokim półkřęgu. Wiedzieli, że dogonią — po zwierzęcemu wytrzymali i trzy–cztery razy silniejsi od niewielkich myśliwych.

Było to dziwne odgałężenie gatunku ludzkiego — włóczędzy. Ludzie, a może półludzie, których rozwój przebiegał w kierunku siły. Ogromni, o wzroście dwóch i pół metra, mogli rękoma zadusić konia, a nawet tygrysa, ale umieli także zdobywać ogień i robić sobie broń z kamienia. Rozum tlił się pod wąskim czołem, ale niskie, przytłoczone sklepienie czaszki nie pozwalało mózgowi powiększać się. Mieli wyraźne, jak u goryli, nadoczne wałki, wysunięte do przodu szczęki, krótką, tłustą, zarośniętą szyję. Chodzili na nieco zgiętych nogach, przygotowywali sobie na noc gniazda z gałęzi lub trawy albo po prostu spali przy ognisku siedząc, objąwszy nogi rękoma i położywszy głowę na kolana. Stawali się coraz silniejsi i muskularniejsi z pokolenia na pokolenie, bojąc się na ziemi jedynie władcy — lwa jaskiniowego. Ale stopniowo gigantyczne ciało z małym mózgiem zaczęło wymagać zbyt wiele pożywienia. Odeszli już od zwierząt, było im trudno mierzyć się z nimi w zręczności, a kałdun przy grubych kościach i ciężkim stosie mięśni był nienasycony. Był to człowiek silny, a nie człowiek rozumny.

Zawsze cierpiąc głód, uczynili swoją zdobyczą tych, którzy nie mieli ani zwierzęcego węchu, ani siły, ani zręczności. Włóczący się tępili hordy takich samych, jak oni, ludzi, przysadzistych, o niskich czołach, zarośniętych, różniących się tylko mniejszym wzrostem. Szczupłych i zgrabnych myśliwych spotkali po raz pierwszy i zrozumieli, że czeka ich ucza.

Na chwilę wyjrzało słońce i oświetliło całą scenę. Step ze stadami koni i kozłów, las, na którego skraju słonie obłamywały gałęzie z drzew, trzy maleńkie sylwetki uciekających myśliwych i szerokie półkole włóczęgów.

Z początku ta trójka zostawiła prześladowców daleko za sobą w tyle. Byli szybsi, lecz wiedzieli, że to ich nie uratuje, gdyż nie mieli wytrwałości włóczęgów. Za ich pamięci miał już miejsce jeden taki napad na koczowisko, kiedy jedynie przypadkowy leśny pożar odciął od ludożerców gromadkę szczęśliwców, którzy się uratowali.

A włóczędzy nie za bardzo się spieszyli. Nie tylko polowali w tym momencie, ale i przesiedlali się. Wszystko, co posiadali, mieli przy sobie. Kobiety niosły dzieci i skóry, u mężczyzn na pasach, mając się w biegu, wisały noże i tłuki. A kamienne topory trzymali w rękach. Było im wszystko jedno, gdzie się zatrzymają na noc. Wiedzieli teraz, że gdzieś jest koczowisko myśliwych, że wybiją tam wszystkich co do nogi i tam właśnie zostaną, zaopatrzywszy się w prowiant na dwa—trzy dni.

Wyprzedziwszy włóczęgów o kilkaset kroków, Og, Ram i Maw Szybki, jak gdyby ich zespałał wspólny organ zmysłów, upadli w trawę, zręcznie doczołgali się do pasma krzaków, tam powstali i zasłonięci zaroślami dąbrowy przed prześladowcami pobiegli pod pewnym kątem w poprzednim kierunku.

Trzeba było, aby myśliwi dotarli do rzeki, rzucili się w nią i urwali tam swój ślad.

Ale jeszcze wiele kilometrów dzieliło ich od zarośniętego trzciniami koryta rzeki. Biegli godzinę, równomiernie, milcząc, nie oglądając się, ponieważ wiedzieli, jak wiele sił pochłania i skręt głowy, i nawet jedno tylko w biegu wypowiedziane słowo.

Jednak włóczędzy nie zgubili tropu. Nierówny step zasłonił przed nimi myśliwych, lecz obok przywódcy plemienia rączym kłusem pędzili tropiciele śladów, wężąc w biegu. Obmacali krzaki, wskazali nowy kierunek, horda skręciła na wschód. Rozpadła się stopniowo na dwa rzuty: mężczyźni i większe dzieci na przedzie, kobiety z tyłu.

Włóczędzy nadciągali nieubłaganie, jak powódź albo lawina, wszystko wskazywało na to, że muszą w końcu dogonić swoją zdobycz.

Przy nowej wstędze zarośli ścigani myśliwi znowu zatrzymali się. U dwóch zaczęło już występować wyraźne zmęczenie. Piersi i ramiona Oga i Rama pokryły się potem, ciężko dyszeli obaj. Tylko Maw był rześki.

Cała trójka rzuciła się na trawę, nabrała tchu. Potem Maw powiedział:

— Og pójdzie tam — wskazał ręką. — Ram pobiegnie tędy. A Maw Szybki popędzi do koczowiska. Og i Ram pokażą się włóczęgom.

Dwóch myśliwych zgodziło się i kiwnęło głową. Poczucie więzi ze swoim rodem było u nich silniejsze od instynktu samozachowawczego. Rozumieli, że muszą się poświęcić, aby Maw mógł ostrzec koczowisko. Og i Ram podnieśli się i pobiegli do widniejącego w oddali lasu. A Maw przeczekał jeszcze trochę, popęztał wzdłuż zarośli i, pozostawiając między sobą a włóczęgami niewysoki pagórek, puścił się pędem ku rzece.

I znów ścigający nie dali się nabrać. Znany im był ten spotykany także u zwierząt zwyczaj, kiedy to dorośli przedstawiciele usiłovali skierować na siebie myśliwych, aby uratować młode. Tylko dwóch gigantów popędziło za Ramem i Ogiem, a pozostali pobiegli z krzykami i z jazgotaniem śladami Mawa — właśnie dlatego, że on się ukrywał.

W połowie odległości do lasu Og i Ram rozdzielili się. Jeden skręcił w lewo, drugi skierował się bardziej na prawo. I dwóch prześladowców również się rozdzieliło, każdy z nich wybrał sobie ofiarę.

Ram usłyszał zbliżające się kroki i podniósł głowę. Zdziwiło go, że śpieszyła ku niemu, młoda kobieta czy młoda samica. Wymachiwała grubą pałąką z osadzonymi w niej niedźwiedzimi kłami. Niemal cała była pokryta rudawą sierścią i długie kosmyki nigdy nie czesanych włosów zwisały po obu stronach półzwierzęcej twarzy. Muskularne ręce miała dwukrotnie grubsze, niż Ram.

Kobieta poderwała do góry pałę, rycząc. Smutkiem zasnuły się oczy Rama. Nadszedł koniec wszystkiego.

Ogowi Długorękiemu z początku poszczęściło się. Był ścigany przez nie zanadto rączego mężczyznę i prawie dotarł do lasu, kiedy zrozumiał, że już nie może biec. Nawinęło mu się na oczy osypisko obnażone przez potok deszczu. Chwycił kamień i kiedy prześladowca podszedł bliżej, rzucił w niego, trafił w ramię. Ale włóczęga nawet się nie zatrzymał — było to tak samo, jakbyśmy rzucali kamieniami w nosorożca. Og wkroczył do lasu i wtem uświadomił sobie, że mimo wszystko on, Długoręki, jest najsilniejszy z ludzi koczowiska. I że nie może tak po prostu oddać swojego życia.

Gigant naparł na niego. Szczepili się i upadli, łamiąc zarośla. Rozpierzchły się spod nich w różne strony warchlaki. Ogowi udało się uderzyć wroga w głowę drugim chwyconym w osypisku kamieniem. Włóczęga osłabł, ale tylko na chwilę. Żółtymi zębiskami gryzł Ogowi ramię, dobierając się stopniowo do gardła.

Potężny odyniec, towarzyszący w lesie swojej rodzinie, usłyszał trzask gałęzi i zobaczył coś wielkiego toczącego się po ziemi. Strach i złość od razu w nim wybuchły. Runął na to wielkie, poderwał je kłem. Coś wielkiego rozpadło się na, dwie części. Dzik znowu uderzył w jedną i drugą połowę i bił, dopóki nie przestały one ryczeć, zamierając w bezruchu, przekształciwszy się w kupę zakrwawionego mięsa...

Tymczasem Maw Szybki po długim biegu jeszcze raz oderwał się od hordy gigantów. Ale i jemu zaczęły drętwieć nogi, a oddech stawał się coraz krótszy. W ustach mu zaschło, chciało się pić.

Tam gdzie step zaczął opadać, łagodnie obniżając się ku rzece, pozwolił sobie na małe odpoczynek, następnie, uniósłszy się nieco, spojrzał do tyłu i zobaczył, że horda włóczęgów podąża mimo wszystko właśnie za nim. Nie zdziwiło go to. Rozumiał, że u włochoch półludzi ludzka, chytrość zespala się ze zwierzęcym węchem i mogą tak iść po śladach nie gubiąc tropu, prawie dorównując w tym wilkom.

Narwał mokrej trawy, possał ją, a odświeżywszy usta podniósł się i popędził ku rzece. Biegł i biegi, usiłując oddychać równomiernie, ale w głowie mu się mąciło, krew mocno waliła w skroniach i paliło coś w piersi. Szara wstęga rzeki ukazała się wreszcie przed nim, ostatni raz przyśpieszył bieg, wszedł w gęste przybrzeżne trzciny, łapczywie napił się, wchlapując sobie do ust wodę dłonią, a potem zaczął brnąć po kolana w wodzie, często zmieniając kierunek. Tam, gdzie zarośla były szczególnie gęste, przykucnął i dopiero wówczas w pełni poczuł, jak śmiertelnie jest znużony. Biegł prawie pół dnia bezustannie. Własne ciało wydawało mu się puste i wyschnięte. Tylko umysł pracował w napięciu, słuchały uszy i patrzyły oczy.

Po jakimś czasie krzyki rozległy się w pobliżu, potem kroki zachlupotały po błotnistym gruncie. Trzech włóczęgów przeszło całkiem blisko, później zatrzymało się, zamieniając ze sobą krótkie zdania. Wąchali powietrze i Maw ucieszył się, że wiatr wieje od nich, a nie w ich kierunku. Zjawiała się kobieta z dzieckiem na plecach, schyliła się i napiła, jak zwierzę, bezpośrednio ustami.

Następnie ktoś zajazgotał na przedzie. Całą gromadą giganci pobiegli obok Mawa na drugi brzeg. Śpieszyli się teraz, nie rozglądając się na boki, jakby postanowili go więcej nie szukać.

Długo siedział w wodzie, nie mogąc się zdecydować na powstanie, ledwie wierząc w swoje zwycięstwo. Kiedy gwar hordy ucichł w oddali, wstał wreszcie. Zaparło mu dech w piersiach na moment, potem podniósł rękę do ust, aby stłumić krzyk.

Zapadał już wieczór. Daleko z lewej strony nad brzegiem rzeki unosiły się ku niebu trzy słupki dymu. Było je wyraźnie widać. Tam to właśnie ruszyli polujący na ludzi.

Maw czuł się całkiem rozbity. Pozostawało mu teraz tylko jedyne wyjście — prześcignąć na tamtym brzegu tłum włóczędzów i jeszcze przed nimi przeciąć rzekę naprzeciwko koczowiska.

Wy dostał się na suche miejsce. Ręce i nogi były dziwnie lekkie. Zmęczenie i odrętwienie jakby przeszły, tylko po prostu ciało odmawiało mu posłuszeństwa.

Chwiejąc się na nogach, pobiegł.

Koczowisko przygotowywało się do nocy. Ogniska jeszcze płonęły na zewnątrz, ale kobiety wносиły do wnętrza pieczar naręcza chrustu. Mężczyźni, zebrawszy się, zachodzili w głowę, dlaczego nie wrócili ludzie ze stepu. Coś takiego zdarzało się w ogóle rzadko. Noc należała do drapieżnych zwierząt, a nie do człowieka, należało ją spędzać przy ognisku wśród swoich.

Dzieci, przygotowując się do snu, rozścielały podsuszoną trawę w ciemnych grotach.

Dziewczyna Ru siedziała na kamieniu obok młodego Jaro. Przy nich leżał pusty brzozy konar. Jaro przewiercał ostrym kamieniem dziurkę w niedźwiedzim zębie — miał to być kobiecy naszyjnik.

Stary Uc na wzgórzu niespokojnie wpatrywał się w dal. Trzej myśliwi, którzy wyruszyli rano, byli młodzi i silni. Ich śmierć mocno osłabiłaby horde.

Mgła powstawała nad rzeką. Dookoła rozchodził się zapach pieczonej ryby, górując nad wszystkimi innymi. Z polany, na której płonęły ogniska, dochodził gwar, śmiech, słychać było okrzyki.

Następnie krzyk rozległ się od strony lasu i ludzie zobaczyli, jak z wody po pas we mgle wyszedł człowiek.

Wszyscy odczuli zaniepokojenie.

Całkiem nagi, bez broni, wyszedł na oświetlone miejsce, runął na kolana, chwytając ustami powietrze, potem pokazał ręką:

— Włóczęgi! Blisko!

Jęk rozległ się nad koczowiskiem. Zawyły, zaniósł się lamentem kobiety, zbierając dzieci. Mężczyźni chwyтали za broń — topory, włócznie. Kilku rzuciło się do wielkich kamieni, którymi na noc tarasowali od wewnątrz wejścia do pieczar.

W hordzie było około czterdziestu mężczyzn, ale wszyscy rozumieli, że gdyby nawet wrogów było mniej, to i tak ratunku nie było. Obok włochatych gigantów nawet najsilniejsi wojownicy wyglądali jak dzieci. Ale i uciekać również nie było dokąd, ponieważ włóczędzy dopędziliby ludzi z koczowiska równie dobrze w lesie.

Przez kilka chwil panował zamęt na polanie, następnie wszyscy przenieśli się do dwóch największych jaskiń. Zrobiło się cicho. Potrzaskiwały tylko porzucone ogniska.

I wówczas pojawili się włóczędzy.

Pierwsze cienie mignęły poza granicami oświetlonej przestrzeni i stanęły w miejscu. Stopniowo ludożercy gromadzili się w zbity tłum. Już się zmęczyli, lecz nie tak, jak Szybkonogi. Przedstawiciele plemienia człowieka silnego byli bardziej wytrzymali, a ponadto w tych zawodach należeli do ścigających, a nie uciekających. Myśliwego Mawa przez cały dzień przygniatał strach, a im, na odwrót, dodawała siłę żądza dopędzenia i zdobycia.

Wreszcie wyszedł na polanę przywódca — kosmaty, o wzroście dwóch i pół metra, z ramionami

jak skała. Natychmiast na jego wezwanie podbiegli węsząc dwaj tropiciele śladów, a następnie całą oświetloną przestrzeń zapełnił radośnie wyjący tłum.

Z krzaków wyciągnięto obumarłego z przerażenia starca, który nie zdążył się schować. Skręcono mu kark, rzucono ciało na ognisko. Nienasycone brzuchy włóczędzów już wymagały pokarmu, ale czując, że zdobyczy będzie mnóstwo, chcieli oni najpierw zabić wszystkich.

Przywódca rozejrzał się, a potem pobiegł ku zboczowi wzgórza. Kamień, zagradzający wejście do najbliższej jaskini, był nie bardzo duży. Na górze między jego powierzchnią i wapiennym sklepieniem pozostawała szeroka szczelina. Stamtąd poleciały dzidy. Jednakże oblężeni nie mieli gdzie się zamachnąć jak należy. Tylko jeden myśliwy zdołał zaledwie zadrasnąć rękę olbrzyma.

Zawrzała walka. Włóczędzy natarli na kamień. Od wewnątrz przytrzymywano go, ale siły były nierówne. Ogromna pół kobieta, pół zwierzę wyciągnęła przez szczelinę jednego z myśliwych koczowiska pochwyciła go oburącz i nie odwracając się, rzuciła do tyłu. Przeleciał nad tłumem, upadł na ziemię i tam na niego naskoczyły dzieci.

Po minucie włóczędzy wdarli się do jaskini. Ogień zgasł w środku, zdeptano go. W ciemności rozbrzmiewały ryki i jęki. Jednakże druga wielka jaskinia jeszcze się trzymała. Tam Ucowi silnym uderzeniem topora udało się powalić jednego z napastników. Potężne cielsko zaklinowało otwór między kamieniem a ścianą.

Włóczędzy usiłowali przepchnąć ciało do przodu, ale martwy kolos nie dawał się ruszyć z miejsca. Starcie zamarło na moment.

I nagle powoli i cicho z początku, a potem przybierając na sile, rozległ się nie opodal ciężki, niski dźwięk. Groźny, pierwszy ostrzegawczy ryk — głos jaskiniowego lwa.

Monarcha był tuż-tuż, obok nich. Całkiem blisko.

Wszystko ucichło i w ciszy lew wydał z siebie swój drugi ryk. Nisko popłynął on po polanie, uniósł się wyżej ogłuszając, zapełniając całą przestrzeń, powodując, że trzęsły się drzewa, i kamienie, i ludzie, nie pozwalając słyszeć własnego oddechu, odbierając siły, wywołując śmiertelny smutek. Dźwięk osiągnął swą największą donośność i urwał się raptem.

Był już bliżej. I nikt nie miał złudzeń, że władca zmierza w kierunku jaskiń.

Bój, skończył się. Włóczędzy z lamentem uciekali, porzucając topory, pały — wszystko co mieli.

Tylko jeden olbrzym, któremu włócznia przebiła brzuch, miotał się po polanie, wyginając swe ciało.

Nazajutrz resztki hordy wyruszyły w drogę pod górę. Nie wolno było pozostać — włóczędzy, wróciliby, aby zgładzić wszystkich.

Uc prowadził swoich ludzi w góry. Niesiono dzieci, zapas żywności, broń i skóry. Instynktownie starszego koczowiska ciągnęło coś na południe, nie wiedział, że uchodzi od mrozów nadciągającego lodowca.

Ludzie byli na nogach dwa dni, zanocowali w kucki, jak małpy, przytulając się do siebie i nie rozpalając ognia. Dopiero trzeciego ranka dotarli do przełęczy i rozejrzeli się.

Było wietrznie. Za nimi leżała rozległa równina, cała zasnuta chmurami. Deszcz lał, kontury znajomych lasów i zagajników ginęły we mgle. Ale na przedzie nad nimi niebo jaśniało błękitem — wydawało się, że stoją na granicy oddzielającej od siebie dwie pogody.

W stronę południa łagodnie, okrągło obniżały się góry, leżały łąki i porośnięte zaroślami doliny. Promienie słoneczne oświetliły ludzi. Stali w milczeniu, od razu zrobiło im się cieplej. Deszcz padał niemal tuż przy nich, ale już wyszli spod niego.

Uc dał sygnał i zaczęli schodzić w dół.

Ru szła przy utykającym na jedną nogę Jaro. Niósł z sobą stale tę samą brzoźową gałąź. Maw

Szybkonogi, który pozostał przy życiu, dotknął palcem trąby.

— Człowiek Jaro przemówił jak lew.

Za hordą, nad zatopionym w deszczu stepem, zaczęła się burza. Błyskawice z ukosa przecinały wielowarstwowe chmury, rozlegał się huk piorunów.

Ruszało w świat coś nowego, zdolnego do bezgranicznego doskonalenia się był to rozum. Rozpoczęła się historia Człowieka.

*Przełożył Eligiusz Madejski*

*Aleksander Miner*  
*Obsydianowyj noż*



# Obsydianowy nóż

— Zazdroszczę panu zdrowia — powiedział sąsiad nie podnosząc głowy.

Siedzieliśmy we dwóch na brudnej ławce w parku. Bulwar, zalany wodą ze stającego śniegu, był pusty. Sąsiad obcasem drążył w zlodowaciałym śniegu dołek, nalana twarz ze złamanym nosem troszkę drgała. Dłoń w rękawicze opierała się o listewki siedzenia.

— Ach, zdrowie to wspaniała rzecz — powiedział sąsiad nie rozwierając warg.

Na wszelki wypadek obejrzałem się jeszcze raz, czy ktoś nie stoi za ławką. Nikogo nie ma. Zeszłoroczne liście czernieją na szarym śniegu, wzdłuż bocznej alejki szemrze strumyk.

— Czy pan to mówi do mnie? — wymamrotałem.

Przygodny rozmówca uklonił się kapeluszem, nadal wiercąc śnieg obcasem. W jamce już ukazała się woda.

Jeszcze przez parę minut patrzył na swe trzewiki z uzebrowanymi podeszwami, a ja przyglądałem mu się, czekając na ciąg dalszy.

Do diabła, ależ to był przedziwny człek! Twarz emerytowanego boksera — złamany nos, rozmiążdżone ucho i opętane oczy, zwariowane, nieruchome. Takie oczy powinny należeć do uczonego albo do zakochanego, który utracił nadzieję. Nigdy nie widziałem człowieka mniej podobnego do któregoś z tych dwóch — mówił mi o tym cały jego wygląd, prócz oczu... A jego słowa? „Zazdroszczę panu zdrowia, to wspaniała rzecz...” A jego poza, poza! Siedział wsparty łapskami o ławkę, biceps lewej ręki rozpychał mu palto, wyglądał tak, jakby był gotów wstać i pomknąć dokądkolwiek, ale obcas miarowo drążył śnieg i już woda, stajała z lodowatych bryłek, wąską strugą spływała pod ławkę — do potoku na dróżce za naszymi plecami.

— A pan jest niezdrowy? — Nie zniosłem milczenia.

— Jestem niedostatecznie zdrowy. — Przelotnie popatrzył na mnie, jakby mnie oparzył. I bez jakiegokolwiek pauzy zapytał: — Chorował pan na coś w dzieciństwie?

Omal nie fuknąłem — taki atleta wszczyna rozmowę o chorobach. Odpowiadając mu: „odra, świnka, koklusz” myślałem, że jest on podobny do Jurka Abramowa, chłopaka z naszego podwórka, który w przedszkolu już nie płakał, a w szkole atamanił i patrzyliśmy w niego jak w tęczę. Jurkowi złamano nos w ósmej klasie. Nauczycielom mówił, że uprawia boks, lecz my wiedzieliśmy, że pobił się na ulicy. W ogóle wszyscy ludzie ze złamanymi nosami są podobni do siebie jak dwie krople wody.

— Serce ma pan zdrowe? — kontynuował sąsiad z ławki niemal obojętnym tonem, ale tak, że nie mogłem wykić się żartem ani powiedzieć: „Nie pana interes!” Wypadło mi odpowiedzieć na w pół serio:

— Jak pompa.

— Sportowiec?

— Pierwsza kategoria w boksie, druga we florecie, piłka nożna, pływanie.

— Na jakich dystansach? Sprinter? Oczywiście, sprinter... — Popatrzył na moje nogi.

En face był całkiem niczego sobie — w miarę szerokie kości policzkowe, czoło jak hełm, tylko oczy napawały mnie strachem. Dosłownie świeciły się od wewnątrz, wypukłe takie ślepia i czoło jak skała.

— Pali pan?

— Czasami, a bo co?

Nagle rozgniewałem się i poczułem ogarniającą mnie nudę. Czy pan pali, niech pan nie pali... Każdy trener od tego zaczyna. Ataman... Zapragnąłem odejść, chłodno robiło się pod wieczór. Nawet nie liczyłem na to, że Natasza zaraz się zjawi, powiedziała przecież, że przyjdzie, jeśli uda jej się urwać z wykładu, ale w ogóle to raczej nie przyjdzie.

Powiedziałem: „Przepraszam. Na mnie już czas” — i wstałem.

Nieznajomy uchylił kapelusza. Spod obcasa tryskała woda na całą dróżkę.

— Do widzenia — powiedziałem bardzo grzecznie.

Długonoga dziewczynka ze skakanką obejrzała się na nas przebiegając dróżkę.

— Szkoda — odrzekł spacerowicz. — Chciałem zaproponować panu coś ciekawego.

Jego nos i uszy bardziej wyraziście, niż jakikolwiek szyld, mówiły, co on może zaproponować.

Odpowiedziałem:

— Dziękuję. Nie trenuję teraz. Mam dyplom na głowie.

Skrzywił się.

Zrobiłem już krok przez kałużę na ścieżkę, kiedy dodał leniwym głosem:

— Chciałem panu zaproponować podróż w czasie...

Z przestachem obejrzałem się. Siedział nie zmieniając pozy.

— Podróż w czasie. W przeszłość... W przeszłość, znaczy, myślałem. Otóż właśnie mamy to niedostateczne zdrowie...

— Nie jestem wariatem — rozległo się spod kapelusza. — Wariat zaproponowałby podróż w przyszłość.

Usiadłem na ławce, na poprzednim miejscu. Ta zwariowana logika wstrząsnęła mną. Wyraźnie był stuknięty, — teraz widziałem to po jego ubraniu — nad miarę starannym, zimno starannym. Wszystko było solidne, niezbyt znoszone, lecz od dawna niemodne. Zapewne żona dba o jego ubiór, aby porządnie wyglądał, tylko niczego nowego nie kupuje — donasza, biedaczysko, swą garderobę z lepszych czasów. Takie palta noszono w latach pięćdziesiątych i trzewiki również. I kapelusze, sam pamiętam, choć byłem małutki, kapelusz jak patelnia z babką rumową pośrodku.

Musnął mnie swymi ślepiami i jakby uśmiechnął się, ale oczy pozostawały te same.

— Ja rzeczywiście rzadko bywam na ulicy. Czy pan o tym pomyślał? Brak czasu, chore serce... Proszę posłuchać — ciężko odwrócił się na ławce — mnie rzeczywiście potrzebny jest całkowicie zdrowy człowiek do podróży w dwudzieste tysiąclecie przed naszą erą.

Powiedział to i wpił się we mnie swym niezwykłym wzrokiem. Spode łba. Jakby hipnotyzował. Ale to było już zbyteczne. Postanowiłem: pójdę. Odezwała się we mnie żyłka sportowca — przestraszyłem się i chciałem pokonać strach. Ponadto wszystko było bardzo dziwne,

Za tym wszystkim majaczyła przygoda, jej pełna napięcia trwoga szemrała w szeleście opon za drzewami, dźwięczała w zapachu słońca i tającego śniegu, w rytmicznym pokrzykiwaniu wrony przy starym gnieździe. Nie wiadomo dlaczego spytałem go jeszcze:

— Co pan, wehikuł czasu... zbudował? Odpowiedział od niechcienia:

— Tak, coś w tym rodzaju, ale nie całkiem.

Wychodząc z bulwaru pogłaskał po niebieskiej czapeczce dziewczynkę — stała, wsunąwszy do ust gumowy sznur od skakanki. Według mnie, słyszała naszą nedorzeczną rozmowę, bo poszła za

nami, drobno przebierając nóżkami, jak kurczak podlotek, i została w tyle dopiero na trzecim zakręcie, przy cukierni. Tutaj stały budki telefoniczne, więc zapytałem, czy na długo planowana jest ta... podróż, bo może bym zadzwonił, uprzedził w domu, że trochę zbalamucę. Powiedział:

— Niech się pan nie martwi. Pierwsze doświadczenie zajmie z pół godziny, godzinę. Zależy w jakich współrzędnych prowadzi się odliczanie.

Szedł brzeżkiem chodnika z rękoma włożonymi do kieszeni, tak samo jak na bulwarze, demonstrując wyglądem swą nieobecność. Zauważyłem, że prawie wszyscy przechodnie ustępują nam drogi.

Przy bramie szarego, kamiennego domu zatrzymał się, zaczął szperać po kieszeniach i akurat w tej sekundzie z bramy wybiegła dziewczyna. W rozpiętym płaszczu, kędzierzawa główka lekceważąco podniesiona do góry, na ślicznej twarzyczce wyraz obrazy. Coś szeptała do siebie i nagle zatrzymała się, wbijając wzrok w tęponose trzewiki mojego towarzysza. Uniósł ramiona. Na twarzy dziewczyny nie było już obrazy, ale pojawiło się takie wyraźne zdumienie, że nie mogłem powstrzymać uśmiechu. Raptem machnęła ręką, zerwała się z miejsca i pobiegła dalej. Uliczny tłum opływający nas od razu skrył ją i mój dziwny współtowarzysz skierował się ku bramie.

Stojąc ramię w ramię w ciasnej windzie, wjechaliśmy na piąte piętro. Kiedy się stoi całkiem blisko obok jakiegoś człowieka, niewygodnie jest z nim rozmawiać. Trzeba wtedy patrzeć na wszelkie przepisy korzystania z windy albo na ścianę i zachowywać milczenie z uczuciem niezręczności. W windzie tej obok dyspozytorskiego głośnika elektrodynamicznego ktoś wydrapał na ścianie: JESIOTR. Drukowanymi literami. Dlaczego jesiotr? Rozśmieszyło mnie to i nagle przypomniałem sobie. Powiedział: „Byłbym wariatem, gdybym zaproponował panu podróż w przyszłość”.

Stałem z uśmiechem zastygłym na mej fizjonomii i czułem, że sam jestem wariatem. Dlaczego uwierzyłem, po co poszedłem? Przecież studiowałem teorię względności, a tam jest powiedziane, że podróż w przyszłość jest realna, w przeszłość — niemożliwa... Wszystko na odwrót... Wrócić w przeszłość niepodobna, ponieważ przyszłość nie może wpływać na przeszłość. Z niego to taki jesiotr. Po prostu kipiałem ze złości. — Kiedy mu otworzą drzwi,

pożegnaj się i pójdę sobie. Koniec. Wyraźnie stuknięty, oczywiście, najwyraźniej.

— Chodzi o to — powiedział, otwierając drzwi windy — że podróż w przyszłość jest możliwa przy prędkościach zbliżonych do szybkości światła. W kosmosie. Obawiam się, że ludzkość nigdy nie osiągnie takich prędkości. Winda z warkotem odjechała na dół. Pokornie poszedłem za nim do mieszkania i pozwoliłem zdjąć z siebie palto.

— Wycierajcie nogi — wymamrotał gdzieś w bok. — Myjcie ręce przed jedzeniem — roześmiał się. Twarz do złudzenia przypominała teraz blin, nos całkiem mu się spłaszczył. — Proszę...

Przed nami, jak stróż, kroczył czarny kot z rozedrganym ogonem, wygiętym jak pogrzebacz.

— Waśka, ach ty, kocie — gospodarz pochwyił go na ręce. Kot zamruczał. — Proszę, proszę...

Teraz, w za ciasnej marynarce i zbyt wąskich spodniach, był całkiem podobny do sportowca. Klatka piersiowa wprost potworna, jak beczułka — pierś goryla. Trzewiki jakoś niepostrzeżenie zamienił na bambosze i całym swym wyglądem kontrastował z umeblowaniem. Olbrzymie biurko, fotele, biblioteczki. Taki sam gabinet widziałem u naszego Danilina, profesora wykładającego wytrzymałość materiałów, kiedy mając u niego „tyły” przychodziłem zaliczać zaległości.

Usiedliśmy w profesorskich fotelach i gospodarz znowu zamilkł. Kot siedział mu na kolanach. Kot mrucał coraz głośniejsze i nagle zaryczał ochrypłym basem: miaaaaauuuuuuuu... zerwał się z kolan i pomknął za drzwi. To Jegor wrzeszczy. Ważkę straszy. Może pan podziwiać.

Między kolumnienkami biurka była naciągnięta druciana siatka, a za nią, jak w klatce, stał kocur,

wygiąwszy czarny grzbiet, i świecił żółtymi ślepiami.

— Jegorku — powiedział gospodarz — ty mój biedny...

— Uaaauuuu — odpowiedział kot i zasyczał.

— To jest bliźniaczy brat Wasi — wyjaśnił gospodarz jakby nigdy nic. Jak gdyby w każdym domu buszowało na wolności po jednym kocie, a jego bliźniaka Jegora trzymano pod stołem w klatce. — Zresztą zapoznajmy się. Romuald Pietrowicz Griszyn.

— Bardzo mi miło — wymamrotałem. — Bierbieniew, Dimek.

— Dimek, Dimek... Kogoś znałem... Dimek. Zresztą to nieważne. Chce pan kawy?

— Nie. Dziękuję, nie chce mi się.

— Tym lepiej — powiedział Griszyn.

Jeśli chciał mnie nastraszyć, to osiągnął swoje. Siedziałem jak mysz przed kotem i patrzyłem mu w oczy. Oderwać od nich wzrok było rzeczą całkowicie niemożliwą, ale i nie sposób było patrzeć — przygnębiająca zgroza ścisła serce. Oczy płonęły od napięcia myśli. Męcząco wytężonym spokojem wszechwiedzy. Właśnie tak. Inaczej nie da się tego wytłumaczyć.

— Tym lepiej. Ostatnie pytanie, a potem jestem do pańskiej dyspozycji. Jest pan studentem dyplomantem. Pański instytut?

— Inżynieryjno-fizyczny.

— Wspaniale. Kontakt ułatwiony. Teraz proszę pytać.

— Nie wiem, o co mam właśnie zapytać.

— Rozumiem. Jest pan zaskoczony i czeka na wyjaśnienia. Zaraz je pan otrzyma. Fizyka klasyczna mówi, że przyszłość nie może wpływać na przeszłość. Jest to w pełni logiczne, jak się wydaje, ale sformułowaniu brakuje dostatecznego uogólnienia. W najogólniejszej postaci tak: informacja może przemieszczać się jedynie po wektorze czasu, natomiast nie w odwrotnym kierunku tego wektora. Na przykład: Jeśli podstawimy zamiast obiektu istniejącego w przeszłości jakiś obiekt z terażniejszości, ale dokładnie taki sam, to przekazanie informacji nie odbędzie się. Taka zamiana odpowiada informacji zerowej — materialne przedmioty ściśle sobie nawzajem odpowiadają. Inaczej... Inaczej wychodzi otóż to... Nasz materialny przedmiot: czarny kot Jegor. Dwadzieścia tysięcy lat temu nie było kotów czarnej maści. Były pasiaste koty będące krótkoogoniastymi myśliwymi. Dzikie lub półdzikie. Dlatego pojawienie się w przeszłości tego oto Jegora lub Wąski jest niemożliwe, byłaby to informacja z przyszłości. Gdybyśmy mieli dzikiego kota, to co innego. Zrozumiał pan?

Odpowiedziałem:

— Nie zrozumiałem.

To było całkiem nieuczciwe, tylko że ja nie mogłem odpowiedzieć inaczej. Przede wszystkim on miał na myśli, że istnieje pewna szansa przeniknięcia w przeszłość tak samo zwyczajnie, jak się schodzi po schodach z szóstego piętra na parter i dlatego cała jego dalsza logika traciła sens. Przeniknąć do przeszłości... Przecież przeszłość minęła, dlatego to właśnie jest ona przeszłością, drzewa wyrosły i wywróciły się, ludzie zgnili i trawy pogniły... Przeszłość!

— Granit — rzek Romuald Pietrowicz. — Kawałek granitu leży przed panem na stole. Ten kawałek to nie zmieniona przeszłość. Jest calusieńki z przeszłości. Drzewa umierają, ale granit pozostaje...

Z tym niczego nie można było zrobić. Po raz dziesiąty wyprzedzał moje sprzeciwy. Pozostawało mi tylko wzruszyć ramionami.

— Ale zboczyliśmy z tematu. A więc, Jegor nie może pojawić się w przeszłości. To nie oznacza, że jego nie można wysłać w przeszłość. Niejasne? Hm. Niech pan popatrzy na Jegora dokładniej. Oto

lampa.

Wziąłem lampę z biurka i schyliłem się. Spodziewałem się zobaczyć diabła z rogami, wszystko, co może tylko przyjść do głowy, lecz nie to, co zobaczyłem.

Przy świetle okazało się, że Jegor jest pasiasty i krótkoogoniasty. Maciupęńkie frędzelki sterczały na uszach.

Aż jęknąłem. Jegor zasyczał i wczepił się pazurami w siatkę. O mało co nie wypadła mi lampa.

— Cóż to za zwierzak?

— Czarny kot Jegor — wyraźnie wymówił gospodarz. — Piętnastego lutego roku bieżącego został przerzucony w sto dziewięćdziesiąty wiek przed naszą erą. Po godzinie umożliwiono mu powrót w takim oto stanie. Biedne kocisko! W jego systemie odliczania minęło zaledwie dwanaście — siedemnaście minut.

— Do widzenia — po raz trzeci w ciągu ostatniej godziny pożegnałem się. — Nie lubię, kiedy się z tata robi wariata.

Gospodarz ociężale wstał. Wydawało się, że nie słyszał moich ostatnich stów. Słowa odbijały się od niego jak piłki tenisowe od betonowe) ścianki.

— Wielka szkoda. Zresztą... Nie śmiem zatrzymać... Bardzo, bardzo szkoda. A kot... Stamtąd informacja przechodzi bez przeszkód. Nie pomyślałem, że genotyp kota uległ zmianie. Różnic nie ma zbyt dużo, ułamki procentu, w ramach mutacji. — Boczkiem przesuwając się ku drzwiom z opuszczoną głową.

Widocznie ostatecznie pogodził się z moim odejściem. Nawet chciał, żebym odszedł jak najprędzej, ale diabeł mnie podkusił i obejrzałem się na pożegnanie. Na biurku, obok kawałka granitu, leżał wielki, obsydianowy nóż, jakich jest wiele w muzeach. Nóż wyglądał na zupełnie nowy. Błyszczący, ze świeżymi odpryskami. Do rękojeści przylepiła się grudka rudej gliny.

Zrobiwszy dwa kroki podszedłem do biurka i zatrzymałem się, nie śmiejąc wziąć noża. Rzeczywiście, był on zupełnie nowy, a nie tylko odmyty — glina gąbczasta, nie rozmazana. Na wpół przezroczysta klinga wydawała się ostra, ostrzejsza niż skalpel. Przede wszystkim pomyślałem — imitacja. Sprytny, mistrzowski falsyfikat. A mimo wszystko wziąłem nóż do ręki. Klinga błyszczała niezwykle delikatnymi, półokrągłymi odpryskami, w jednym miejscu większymi, w drugim — drobniejszymi, a przy samym koniuszku prawie niewidocznymi, malutkimi sierpami. Popatrzyłem wzdłuż ostrza — doskonała, idealnie symetryczna linia. Nie, dzisiejsze ręce tego by nie wykonały. Takich rzeczy nie robi się na chybcika.

Jak gdyby reagując na mą myśl, Romuald Pietrowicz ni to zajęczał, ni to zastękał. Odniosłem wrażenie, że z niecierpliwością. Odwróciłem się; Stał pośrodku pokoju z zamkniętymi oczami, opuściwszy ręce, i dyszał jak bokser po nokdaunie.

— Jedną chwileczkę, ja zaraz... — Nie otwierając oczu usiadł w fotelu przy biurku.

Jegor pazurami rwał siatkę, próbując dostać się do jego bamboszy, nie zgaszona lampa świeciła się w biały dzień, a ja całkiem zbity z pantałyku patrzyłem, jak Romuald Pietrowicz sztywnymi palcami otwiera flakonik i wysypuje z niego pigułkę. Połknął i znowu zaczął oddychać. Wdech, wydech, wdech, chrypiąco, ciężko. Wreszcie otworzył oczy i przemówił z wysiłkiem:

— Serce nawala. Proszę mi wybaczyć. Czy pan zainteresował się nożem? To moje trofeum. Stamtąd. Trzy dni temu byłem przez pięć minut w przeszłości. Według tego budzika.

— Romualdzie Pietrowiczu! — Wrzasnąłem tak rozpaczliwie, że przeklęty kocur zasyczał i zaszył się w kąt. — Niech pan przestanie się ze mnie nabijać! Niechże pan powie, że to tylko żarty!

Ledwie dostrzegalnie pokręcił głową:

— Ach, Dimku... Uważa mnie pan za wariata, a odwołuje się do mojej szczerości. To

nieologiczne.

Na zawsze zapamiętałem — niech to będzie banalne czy sentymentalne — ale ja właśnie zapamiętałem na całe życie, jak on siedział, opuściwszy swoje bokerskie ręce na biurko przy nożu, i patrzył na maleńki obrazek wiszący nieco dalej na prawo, nad rogiem biurka. Lipcowe niebo z samotnym białym obłoczkiem, a pod nim mocno malinowe pole koniczyny i dziewczyna w białej chusteczce...

Patrzył i patrzył na ten obraz, a ja nie mogłem już odejść, aż wreszcie delikatnie usiadłem w wolnym fotelu, bokiem, aby nie widzieć kota, który zwiedził przeszłość, ani noża przyniesionego z przeszłości. Griszyn odwrócił się do mnie z uśmiechem i nagle mrugnął porozumiewawczo.

— Czekają pan mimo wszystko na wyjaśnienia?

— Czekam.

— Spróbujemy jeszcze raz? Proszę bardzo. Podam bezpośrednią analogię. Często się mówi: Dzieci to nasza przyszłość. Pan jest jeszcze młody, ale dla człowieka w moim wieku dzieci to nadzieja nieśmiertelności. Potomkowie... Dzieci i dzieci naszych dzieci... Teraz proszę sobie wyobrazić, że w przeszłości istniejemy jako swoi przodkowie. To w istocie jedno i to samo, czyli w przyszłości potomkowie, a w przeszłości przodkowie. Przekształcenie w potomków to naturalny proces. Reprodukacja i śmierć. Jest to nieodwracalne. A do przejścia z powrotem potrzebne są specjalne urządzenia i proces ten staje się odwracalny. — Roześmiał się. — Słowo honoru, ja sam ledwie wierzę. Niebezpieczne to odkrycie! Pamięta pan, w Tomku Sawyerze piesek znalazł w kościele kąśliwego żuka i położył się nań brzuchem? Żuk wpił się w piaska. Zresztą... Najważniejsze to przejście powrotne: życie—śmierć—życie. Rozumie pan?

Wzruszyłem ramionami, miałem pietra, więc byłem ostrożny.

— Powiedzmy tak: kamienny nóż przemieszcza się poprzez czas bez przechodzenia życie—śmierć—życie. On sam jest zarazem i przodkiem, i potomkiem. Z żywymi jest to nieco bardziej skomplikowane, ale i to udało się pokonać. Za cenę strat i ubytków, lecz mimo wszystko...

— Jegor? Straty i ubytki?

— Otóż właśnie to! — Bardzo się ucieszył — Otóż to! Wreszcie ruszyliśmy z martwego punktu! Okazuje się, że dwadzieścia tysięcy lat temu przodek naszych kotów był jeszcze dziki. Może półdziki, ale jeszcze daleko mu było do łagodności jego potomków. Był to prądkowany, drapieżny zwierz z mnóstwem innych cech. Hm, tak... Pierwsze doświadczenie. Nie umiałem jeszcze, wie pan, wszystko jest takie skomplikowane. Pierwsze kroki... Zawróciłem go stamtąd na ekspresowej prędkości i zapomniałem, że informacja z przeszłości przedostaje się bez przeszkód. Wie pan, co jest ciekawe? On w jakiś sposób pamięta mnie, a Waškę pamięta całkiem dobrze. Złości się z pana powodu, Jegorcio, biedaczek, biedny kot! Wrócił prądkowany, biedaczysko...

Kot zamruczał i jakby zreflektowawszy się, zawył: Uuuuu!

— Widzi pan? Rozdwojenie jaźni. Teraz nauczyłem się zawracać z przeszłości jak należy.

Czekałem, aż doda: Jak pan widzi”, lecz omyliłem się. Z pewnością postanowił nie powoływać się na swe doświadczenie, dopóki nie uwierzę ostatecznie.

Popatrzyłem na jego kark, ostrzyżony krótko najeża, na jego mocarne ręce, pierś goryla i. Boże drogi, idiotyczna myśl przyszła mi do głowy, mąciło mi się we łbie od wszystkich tych rzeczy.

— Romualdzie Pietrowiczu, chcę pana spytać. Dwadzieścia tysięcy lat temu człowiek był również inny, a więc ca z tego wynika? Jeśli pan tam był...

— Dlaczego ja nie jestem synantropem? — Wybuchnął śmiechem, nie odwracając się. Niewiele było wesela w tym śmiechu. — Chodzi o to, że gatunek homo sapiens istnieje siedemdziesiąt tysięcy lat. A gatunek sapiens to gatunek sapiens, Dimku. Mózg się nie zmienił, praktycznie nic się nie

zmieniło. Inna sprawa, to jak zdołał dziki małpolud ukształtować sobie taki mózg, oto zagadka... Zresztą to wykracza poza nasz temat. Człowiek się nie zmienił. Panie Dimku, proszę wziąć z drugiej półki na dole czerwony tomik Willy'ego „Paradoks mózgu”, strona dwieście siódma, niech pan przejrzy. Albo dowolną książkę z tego rzędu.

— Nie, nie, ja wierzę. Znaczący homo sapiens?

— Niech pan rozważy sam. Człowieka dzieli od tamtych czasów zaledwie czterysta–pięćset pokoleń. Nie zdążył się zmienić w sensie ewolucyjnym.

— Przepraszam — powiedziałem — a cechy indywidualne, wygląd zewnętrzny, przyzwyczajenia, no, wykształcenie? W świetle prawa, wpływu przeszłości na przyszłość?

Nagle zaśpiewał po cichutku: „O, nie budź we mnie cudnych wspomnień minionych dni, minionych dni” i sięgnął w głąb biurka.

— Zuch, zuch — z zadowoleniem kiwał głową, szperając w szufladzie. — Będę musiał pokazać, nie ma rady... Oto znalazłem! „Już pragnień czar nie wróci do mnie...” — zaśpiewał znowu.

Miałem w rękach fotografię. Chwacki sierżant w kaszkiecie z kokardą patrzył wprost przed siebie, wyprężając mocarną pierś przyozdobioną orderami sławy. Złamany nos zwycięsko sterczał nad gęstymi wąsami.

— To bardzo interesujące — położyłem fotografię na biurku. — To pan jest uczestnikiem wojny narodowej Związku Radzieckiego? Śpiew urwał się.

— O Boże! Gdzie pan ma oczy? Do czego to podobne? — Teraz rozmawiał ze mną inaczej, bez ostrożności, jak ze swoim.

— A to, a to co takiego? — Wskazał palcem. — Jest to „Znak orderu wojskowego”, „Jerzy”. Mój dziadek był kawalerem pełnej kokardy Krzyża Świętego Jerzego.

— Pański dziadek? Maskarada... Przecież to pan!

— Oczywiście ja. — Fuknął drwiąco. — Proszę patrzeć. Niech pan patrzy jak należy.

Wziąłem kartonik z jego rąk. Kartonik, rzeczywiście! Jak ja mogłem nie zauważyć od razu? Twarda tektura o kakaowej barwie, winietka i napis: *Fotografia N. L. Sokołow. Smoleńsk.*

— Niech pan popatrzy na odwrocie...

Przeczytałem: *Podoficyjer kozacki Nikifor Griszyn, 19 22 III 06 r. Zdumiewające podobieństwo!*

Znowu sarknął, wymamrotał coś i wyjął z kieszeni książeczkę bordo. Przepustkę.

— Niech pan otworzy!

*Griszyn Romuald Pietrowicz. Pieczęć.* Wszystko w porządku. Ale fotografia była całkiem inna — dosyć szczupły człowiek w okularach, o inteligentnym wyglądzie, młody, przypominający czymś mojego gospodarza, ale wyraźnie nie on tylko czoło i oczy podobne. Inny podbródek, kości policzkowe... I uszy nie rozpląszczone, sterczały sobie w różne strony, i nos nie złamany.

— Któż by pana zrozumiał? — powiedziałem z całą dostępną mi stanowczością. — Nie wiadomo dlaczego pan mnie zwodzi. Kim pan jest? Jaki z pana Griszyn? Na dokumencie figuruje całkiem inny człowiek. Kim pan jest naprawdę?

— Griszyn. Romuald Pietrowicz. Lekarz psychiatra, za pańskim pozwoleniem.

— Nie wierzę.

— Jak pan chce. Kimże więc jestem według pana?

— Właśnie pragnę to wyjaśnić. Dlaczego podaje się pan za kogoś innego?

— Ach, Dimku, Dimku! Fotografia została poświadczona urzędową pieczęcią. Jakiś tam pułk kozacki. A ten to Griszyn, jak pan myśli? Podobieństwa pan nie neguje?

— Nie wierzę — upierałem się. — Falsyfikat.

— Zgubne przyzwyczajenie — gderał cichutko — wierzyć dokumentowi bardziej niż człowiekowi. Fatalny nawyk. Jak na śledztwie, nic do pana nie przemawia, nawet dokument.

Puściłem to mimo uszu i zadałem główne pytanie:

— Po co pan to wszystko wymyślił? Proszę odpowiadać! Tylko niech pan przestano udawać, że ma pan fioła!

Przygotowałem się do tego, by zwalić go z nóg, jeśli spróbuje zerwać się nagle i, zaatakować mnie. Był cięższy ode mnie, za to ja byłem młodszy o jakieś dwadzieścia lat i w doskonałej formie. Powziąłem stanowczą decyzję: nie dam mu się nawet odwrócić.

I znowu odbił moją myśl. Tak bramkarz odbija piłkę — jeszcze z rogu pola karnego. Powiedział:

— Dimku, nie zamierzam napadać na pana. Broni nie posiadam. Oto moje ręce, na biurku.

— Dlaczego pan czyta cudze myśli? Kto...

— ...mi pozwolił? Wszystko przebiega prawidłowo. Boże prawy, to pan mi pozwala, a któż by jeszcze? Stereotypowo pan myśli i wszystko ma pan wypisane na twarzy. Od fizyka oczekiwałem większego... hm... większej bystrości. Zgodnie z logiką powieści detektywistycznej powinienem teraz spróbować pana zlikwidować, zdaje się, że tak?

— No tak...

— Kiepsko was uczą w waszym instytucie — powiedział rozwścieczony — logiki nie uczą! Takim, jak na przepustce, byłem przed doświadczeniem. — Podniósł przepustkę za rozek. — Takim właśnie, rozumie pan?

Drgnąłem cały, przepustka upadła na biurko i zamknęła się ze słabym trzaskiem, a Romuald Pietrowicz wymamrotał nagle coś niezrozumiałego i żalosego i obejrzał się. Oczy patrzyły jak z maski.

Ogarnęło mnie najprawdziwsze przerażenie. Tak przeżywałem coś podobnego na maskaradzie w przedszkolu. Wilcze maski z wyszczerzonymi zębiskami zasłaniają miłe, dobrze znane twarze i trzeba było naprężyć się i zacisnąć pięści, aby zobaczyć te twarze, a dokoła wilki, lisy, zające kosookie...

Żywa maska poruszała się wokół bezradnych oczu... Krzyknąłem:

— Nie!

Znów popatrzył na obraz. Dziewczyna wśród koniczyny pod szerokim niebem. Odpowiedział:

— Nie ma się czego oba wiać. Moje doświadczenie, moje ryzyko. Jak pan widzi, proponując panu eksperyment, niczego nie ukrywam.

— Nie, nie pójdę...

— Tak się pan lęka? Milczałem.

— Rozumiem pana. Oczywiście, strach człowieka oblatuje. Teraz bezpieczeństwo jest zagwarantowane. Znalazłem metodę powrotu po wypadku z Jegorem. Już Waska powracał dyskretnymi skokami w czasie. Kroczkami, rozumie pan? Po całej drabinie przodków. Wyszło nieźle. Kot jak kot Widział pan. Następnie przygotowałem dużą bransoletę i poszedłem sam, ale zakończyło się to niedobrze. W naszym rodzie choroby serca są dziedziczne.

Stale patrzył na obrazek. Może jego dziadek kochał tę dziewczynę. Albo ojciec? Może to była całkiem obca dziewczyna? Nie wiem.

— Widzi pan, Dimku. Podczas ruchu czas jest rozmazany, jak podkłady kolejowe, gdy patrzy się na nie z wagonu w biegu. Przez jakieś mikrosekundy byłem jednocześnie w drugim pokoleniu, i w pierwszym, i w zerowym, w swoim. Trzeba było takiego trafu, aby właśnie wewnątrz tych mikrosekund zaczął się u mnie silny atak, z konwulsjami, runąłem z krzesła, a bransoleta zerwała się. Proces stanął w miejscu. Na szczęście, odbiło się to jedynie na wyglądzie zewnętrznym. — Dotknął dłonią swego okaleczonego ucha. — Nigdy nie uprawiałem boksu. Nigdy. Dziadek Nikifor był



zapaśnikiem cyrkowym i bokserem.

Spytałem idiotycznie:

— A jakże w pracy? Poznano pana? Położył dłoń na piersi:

— A jaka teraz może być praca?! Według moich obliczeń, zostało mi niewiele. Żeby tylko zdążyć dokończyć to dzieło i koniec. Wstał, masywny jak hipopotam, i podniósł poty marynarki.

— Niech pan popatrzy, Dimka. Nie mam czasu, żeby kupić nową odzież. Koszula, ta sama, co na przepustce, została na plecach niestarannie rozcięta i rozlazła się, odsłaniając niebieski podkoszulek. Stojąc przede mną z zadartą do góry marynarką, wychrypiął:

— Serce nie wytrzyma doświadczenia. Obciążenie na serce pokaźne. A pan jest zdrowym człowiekiem, Dimka.

Nie mogłem teraz uwierzyć, że kłamię, że nie jest Romualdem Griszynem, a kimś innym, kto ukradł jego ubranie i jego przepustkę. Nie, wszystko tu było nie takie proste i jego ciężki oddech był prawdziwy, tego nie da się udawać. Patrząc, jak siada na swe miejsce, czułem przygnębiający strach, jak po niepowetowanym nieszczęściu. Po co wyznaczyłem Nataszy spotkanie, przecież była zajęta, po co wyznaczyłem spotkanie nie w kawiarni, a na bulwarze, po co zacząłem z nim rozmawiać, po co, po co... Zrobiło mi się wstyd. Tak bagatelnie wyglądał mój kłopot przy jego nieszczęściu. Przecież mogłem zaraz odwrócić się i pójść, dokąd zechcę.

A mimo wszystko tchórzostwo zepchnęło mnie na poprzednią drózkę myśli i wymamrotałem z ostatnią nadzieją:

— Oni umarli. Wszyscy oni umarli. I zostali pochowani — dodałem nie wiadomo po co. Chyba tak było pewniej. — Umarli i pochowani.

— A gwiazdy? — spytał człowiek za biurkiem. — A gwiazdy — one także umarły? A niewidzialne gwiazdy kurczące się przez piętnaście minut według swojego czasu, a miliony lat według naszego, także są pogrzebane? Lenin umarł? Einstein został pochowany? A Tolstoj? Któż wobec tego żyje? Generał Franko?

Uderzył w biurko dwiema pięściami i zapytał, przekrzykując swoim basem zwierzęce wycie wydzierające się spoza siatki:

— Czemu pan wierzy, pan, fizyk? Jakiemu zegarowi? Kolapsująca gwiazda istnieje piętnaście minut, a będzie świeciła nawet wówczas, kiedy Słońce nie wzejdzie nad ziemską pustynią! Za miliony lat! Czemu pan wierzy?

— Nie wiem! — krzyknąłem w odpowiedzi. — Nie jestem uczonym! Czego pan ode mnie chce?

— Aby pan uwierzył.

— W co?

— Przeszłość jest obok teraźniejszości. We wszystkich czasach.

— Ale nie można jej powrócić!

— Cicho, Jegor! — wrzasnął Griszyn.

Kot przycichł. Griszyn wygramolił się spoza biurka i wrósł w podłogę jak monument pośrodku pokoju.

— Zawrócić przeszłość niepodobna. Można dowiedzieć się czegoś o przeszłości, co właśnie proponuję. Jest to w pełni bezpieczne. Żaden wypadek panu się nie zdarzy, jest pan zdrowy. Niech się pan zdecyduje wreszcie albo odejdzie. Ja również pójdę, szukać innego.

— Aaa... — Wyrwał mi się nagle jakiś chwacki okrzyk, coś w rodzaju „Haaaaai! czy „Uuuuuch!” Bywa tak, kiedy mkniesz z góry na ciężkich nartach na fest przymocowanych pasami do nóg. — Ha! Jazda! Zróbmy sobie slalom w czasie! Jazda, Romualdzie Pietrowiczu!

— Jazda! — Griszyn klepnął mnie w ramię. A zrobił to nielicho, opadłem w fotel, a on stał nade

mną i uśmiechał się całą gębą.

Przed „schodzeniem w dół w otchłań Czasu” popiłem kawy. Romuald Pietrowicz przyniósł dzbanek do kawy i maleńkie filiżanki, ale ja poprosiłem o szklankę, rozmieszałem cukier i zacząłem pić, a Griszyn tłumaczył w tym czasie, jakie blokowania mnie ubezpieczają.

— Dwie bransolety — cewki indukcyjne. Podstawowa i dodatkowa. Sygnał powrotu zostanie podany przez dwa zegary przerobione z szachowych.

Oto one, tykają. Nakręceni i nastawiam na pół godziny. Wystarczy? Tam czas kurczy się...

— Przydałoby się więcej — powiedziałem. Jakże mi się zrobiło błogo! Przewyciężyłem strach, poczułem, jaki jestem ważny i mężny! Pomyśleć tylko! Obić mordy chuliganom albo stoczyć się ze stromego Wąwozu Atona to bzdura, dziecięce igraszki. Siedziałem jak jakiś kosmonauta przed startem, popijałem mocną kawę i myślałem, jak będzie potem i że wreszcie jest takie przedsięwzięcie i można siebie poważnie wypróbować. A Griszyn porządnie się denerwował, chociaż też nie dawał po sobie poznać. Kiedy już siedziałem w fotelu z bransoletami na rękach, przyniósł kota Waśkę i miętosząc go w swoich łapskach, powiedział, że kot nie dalej jak wczoraj wędrował w przeszłość.

— Jak pan widzi, szczęśliwie. No, to powodzenia, Dimka. Jest pan dzielnym człowiekiem.

Nie potrafiłem się uśmiechnąć, miałem pietra. Czuję na nadgarstkach ciepłe bransolety i nagle zniknęły, znikło gdzieś poczucie życia, straciłem oddech, jakby wymierzono mi cios w splot słoneczny. Młot czasu walił mnie w samo serce i w śmiertelnym przerażeniu pomyślałem, że zapomniałem się zapytać, jak wygląda ten, kto odszedł w otchłań czasu.

Obcy. Zapach obcy. Niebywały.

Leżę. Krzyczy ptak, bliżej, bliżej. Sfrunął z gniazda. Zapach obcy, okropny. Leżę w wielkich liściach. Sam jeden. Z czoła kapie.

Jaka zgroza.

Wiatr wieje od nich. Podchodzą, jest ich wielu. Obcy. Idą cicho, jak Wielkozęby. Wyszli, obejrzeni się. Idą. Chowają się przed Wielkim Ogniem. Idą. Na skraju bagna. Zapach ściska mi brzuch.

Idzie myśliwy. Jeszcze idzie myśliwy. Jeszcze. Dużo ich. Ale palców rąk więcej. Niosą tłuki. Jak my. Ale zapach obcy. Ohydny. Woda kapie z czoła, pachnie, lecz wiatr wieje od nich. Nie czują.

Przywódca skacze, bije tłukiem. Zabił węża. Zapach bardzo mocny. Boją się. Boją się węży jak my. Zapach skręca mi brzuch.

Przechodzą. Zapachu nie ma. Pełnę za nimi. Łuk wlokę po liściach.

Obcego trzeba zabić. Obcych trzeba zabić. Obcy są straszniejsi od węzów, od nocy i Wielkozębnych. Pachną nie tak jak my. Trzeba zabić. Jeden nie da rady, ich jest dużo. Swoi nie słyszą mnie. Daleko.

Dopędziłem. Obcy siedzą w ukryciu. Oglądają się. Wielki Ogień pokrył ich plamami. Kładą się. Przywódca siedzi; ogląda się, węszy. Obcy. My tak nie węszymy. My podnosimy głowę.

Leżę w bagnie. Odrywam pijawki. Łuk leży na suchych liściach. Obcy wąża wiatr, w brodzie rybie ości. Broda jak nocny wiatr. Czarną brodę miał Paa. Ojcowie zabili Paa, on robił coś takiego, że po ścianie biegali leśni. Malutcy: brat Wielkorogi, ale maleńki. Biegi i nie biegł. Na ścianie. I bracia Nosaci na ścianie. Ojcowie zabili Paa. Powiedzieli — to straszne. Z jaskini odeszli. Zostawili leśnym jaskinię.

Trzeszczy. Czarnobrody obcy kładzie się. Po lesie idą Nosaci bracia. Idą ku rzece pić wodę. Przechodzą tak, jak zrobił Paa na ścianie. Na przedzie wielki-wielki-wielki. Las trzeszczy.

Pełzam do tyłu, do maleńkiej rzeczki. Biegnę po wodzie. Zapach obcych biegnie za mną. Obcych

trzeba zabić. Są obcy — dlatego. Oto jaskinia. Ojcowie siedzą za kamieniami. Trzymają łuki, oglądają się. Biegnę po kamieniach. Widzę, że matki i siostry chowają się w jaskini. Mnie jest dobrze. Oni są swoi, oni mnie słyszą. To, co mówię wewnątrz siebie, kiedy jesteśmy blisko. Starzec Kicha i starsze matki biją małych, przepędzają do jaskini. Malutki brat Zaa odrywa pijawkę od mojej nogi, je. Nasza matka przegania go do jaskini.

Biorę strzały. Kobiety zakrywają wejście kamieniami. Staje się ciemno, jak przed śmiercią Wielkiego Ognia. Siostra Tim dotyka mnie, strach mija. Mówię: „Teraz nie wolno, biegniemy zabijać”. „Można”. Pochyla się, chwytam ją mocno. Matka Kii daje mi kopniaka. Kopie Tim. Mężczyznę zabiłbym tłukiem pięściowym, ale Kii nie mogę nawet tknąć palcem. Tim wyje w kącie, jak samica Wielkozębego. Dzieci wrzeszczą. Starzec Kicha syczy jak żmija: „Milczcie! Obcy!”

Biegniemy po wodzie. Tam, gdzie woda spada, wbiegamy do lasu. Pkaapkap z braćmi biegnie dalej, do bagna. Pkaapkap sześciopalczy. Jest mocarny. Matka Kii nie pozwoliła mężczyznom go zabić. Sześciopalczego trzeba było zabić. Dobrze, że go nie zabito.

Wiatr przynosi zapach obcych. Wybiegamy z wielkich liści — jest nas bardzo, bardzo dużo. Wybiegamy. Obcy zrywają się na nogi, krzyczą piskliwie jak ptaki. Szybko biegną, tłuki na ramionach. Bardzo szybkie nogi mają obcy. Ale Juli krzyczy: „lichaaaa!” Dużo strzał. Przywódcę dosięgają strzały, ale biegnie dalej. Inni padają. Przywódca trzęsie się, wyjmując z siebie strzałę. Patrzy. Pada. Broda podniosła się do Wielkiego Ognia. „Iichachaa!” krzyczy Juti.

Biegnę i zamierzam się tłukiem w przywódcę, i widzę, jak nasi biją i miażdżą tłukami, ale coś ściska moją pierś i jak z boku, albo przez mgłę widzę szary tłuk, który pada i wisi nad czarnobrodym, a on wyje jak sowa, i na tym właśnie koniec, otóż i koniec.

Siedziałem w czymś miękkim, drżałem i traciłem oddech z okrutnego bólu w piersi i biodrach. Był to fotel, to znowu było teraz, i na rękach bransolety, a gardło ściska krawat. Coś skakało w piersiach jak szary kamień. Z zewnątrz dochodził głos, znany mi głos i znajomy zapach, ale ja nie pojmowałem niczego.

Potem wstałem. Ból minął, tak że można było oddychać i otworzyć oczy, a ja wchłonałem zapach terażniejszości — kurz, benzyna, kocia sierść — i zobaczyłem błyszczącą kratkę mikrofonu i białą, bezwłosą twarz i nie poznałem go. Obcy stał przede mną, zaciskając skaczące wargi, i podsuwał mi błyszczący przedmiot, który — wiedziałem to — nazywa się mikrofonem.

Obcy wpatrywał się, coś mamrotał uspokajającego. Coś niezrozumiałego. Obcego.

Stałem i śledziłem swój ból, jakby było nas dwóch. Ja — ten, który zna słowo „mikrofon” i wiele innych rzeczy, niepotrzebnych teraz, i śledzi drugie ja”, które nie wie nic, zna tylko) ból i przerażenie, umie zabijać i jest gotowe do zabijania, aby obronić swój ból i swe przerażenie.

— Dimka, co z panem?

Chciałem odpowiedzieć. Ale drugi we mnie zawołał: — Ki-cha-it-chi! — niezrozumiały krzyk bólu i strachu. Bezwłosa twarz odsunęła się i moja ręka wystrzeliła w górę i uderzyła. Twarz zniknęła.

To było okropne. Bił drugi, ten, który ucieleśniał się w ból, ale cios zadała moja ręka, ciężki upper-cut prawej w szczękę, i rozumiałem, że na szczęście jeszcze — ból nie pozwolił podnieść łokcia jak należy i cios został zadany nie z pełnym zamachem.

Człowiek rzeził gdzieś na dole, u moich nóg. Ból odpłynął jak ciemna woda. — Nazywa się Romuald — przypomniał sobie jeden z nas, a drugi znowu krzyknął: It-chi! — i wtedy zrozumiałem: Obcy.

Obcy leżał na podłodze i rzeził.

Nachyliłem się ku białej twarzy. Od razu ból wybuchł jak nie dopalone do końca ognisko, ale ja

już walczyłem. Tamten, drugi, chciał uderzyć leżącego nogą w skroń, ale ja skierowałem kopnięcie w bok, noga trafiła w siatkę. Zaryczał pasiasty kocur.

Nazwałem go po imieniu: „Tszczaas”. Wyprostowałem się. Ból zelżał, kiedy się wyprostowałem. Żeby pomóc Romualdowi, trzeba było jeszcze raz nachylić się, ale ja już wiedziałem — ból tylko na to czeka. Ból i to, co nadchodzi z bólem — drugie ja.

Za nic na świecie. Nie mogłem się schylić. Romuald leżał na podłodze — mikrofon w jednej ręce, bransolety w drugiej. Przestał rzeźnić i jak gdyby ucieszyłem się i od razu zapomniałem o nim.

Zza moich pleców, z przedpokoju doleciał nowy zapach. Zamarłem. Nie odwracając się, czekałem.

W przedpokoju zadźwięczał dzwonek. Krótko, natarczywie. I zapach stał się silniejszy i bardziej natarczywy. Odepchnąłem fotel, przekradłem się do drzwi. Czarny kot rzucił się w ciemną jamę korytarza.

Ja terażniejszy wyciągnąłem rękę w nylonowym mankiecie i odsunąłem w prawo główkę zasuw, ale tylko tamten, z przeszłości, długoręki zabójca, wiedział, po co ja to robię. Zza drzwi wkroczyła dziewczyna. Ta sama, kędzierzawa, wysmukła, pyszałkowata osoba. Popatrzyła na mnie. Niezrozumiałym spojrzeniem, ze swego świata, spojrzała na mnie i jak gdyby uprzystępniła mi coś. Wyprężyłem się całkiem, westchnąłem i pomyślałem ze zdziwieniem — jak on mógł rozpoznać zapach kobiety, wyodrębnić go ze zmieszanego bukietu pudru, mydła, syntetycznej odzieży? Spoza grubych drzwi, spośród benzynowego, miejskiego fetoru...

— Dzień dobry — wyniośle i ze skrepowaniem przemówiła dziewczyna. — Potrzebny mi jest towarzysz Griszyn.

Pod palcami zatrzeszczała futryna — długoręki ujrzał jej szyję i domyślił się pod bluzą ostrych sutek. Jeszcze patrzyła na mnie, czekając na odpowiedź, i nagle oczy przeskoczyły raz, drugi, cofnęła się o krok i stuliła poły płaszcz. Torebka zakołysała się na jej ręku.

Futryna gięła się i oddzierała od ramy drzwi. Stałem, nabzdyczony, cały nalany złą krwią, i słyszałem, co myśli dziewczyna. „Ja się ciebie nie boję. Nie boję się. Nie. Nie boję się mimo wszystko! — krzyknęła ona w sobie i zaraz po tym: — Mamusiu... Co on zrobił z Romem?”

Tam coś się miało. Tam mówiły dziesiątki głosów i migotały okrzyki, jakby migaly gałęzie na wietrze w biegu przez las. On szarpnął się do przodu, aby schwycić ją, przycisnąć do swego bólu, ale ja stałem, wisiałem na zaciśniętych palcach, a dziewczyna poprawiła torebkę i zapytała, wymawiając dobitnie każde słowo:

— Gdzie jest Romuald Pietrowicz?

Natychmiast z gabinetu rozległo się:

— On tu więcej nie mieszka!

Dziewczyna spłonęła brązowym rumieńcem. Odwróciła się, zastukała obcasikami po schodach. Pociągnąłem na siebie drzwi i przylgnąłem do chłodnego drzewa. Marynarka i koszula przykleiły się do ciała, cały płonąłem, ale odczuwałem niewypowiedzianą ulgę. Koniec. A jednak go złamałem. A niech to diabli porwą, pokonałem go wreszcie...

— Drzwi szczelnie pan zamknął? — półgłosem zapytał Griszyn. Skinąłem głową, nie ruszając się z miejsca. — Drzwi zamknięte? — zaczął się złościć.

— Zamknięte...

— Niech no pan tu przyjdzie, zrobię panu analizy.

Mimo wszystko on był z żelaza. Z obrzmiałą kością policzkową krzątał się przy biurku — ustawiał mikroskop, rozkładał rurki, szkiełka, jakby nigdy nic. Usiadłem w fotelu, wyciągnąłem nogi. Wszystko huczało jak po nokdaunie, Delikatny ból jeszcze skowyczał gdzieś w głębi. Ach, przeklęty!

... Nie pozwalając sobie na to, aby rozeźlić się na Griszyna i na całą tę historię, pokornie przeprosiłem:

— Proszę mi wybaczyć, Romualdzie Pietrowiczu.

— Nie ma o czym mówić. Między nami kwita. — Pomacał kość policzkową, poruszył szczęką, z ukosa spoglądając na mnie. Zamknąłem oczy, nabrałem odwagi.

— Nie ma pan gdzieś tu lustro?

Nie zdziwił się. Słyszałem, jak wysuwa szufladę biurka. Trudno było otworzyć oczy. Trudno było ustawić okrągłe lustro i umieścić swą twarz w ramce. Ale okazało się, że jest to moja twarz. Obecna moja, masywna, okrągła, tylko że zielonkawa, blada.

Griszyn, nie poruszywszy nawet brwią, schował lustro z powrotem do szuflady — szklę w dół — i jednym pchnięciem zasunął szufladę. Z nienawiścią.

— Pan da mi rękę. Lewą. Proszę się odwrócić!

Odwrociłem się. Griszyn pobierał krew do analizy — miętosił mój palec serdeczny, wyciskał krew. Nie patrzyłem. Po jakimś czasie zagadałem do niego, aby odwrócić swoją uwagę — wydawało mi się, że mdlący zapach krwi wypełnia cały pokój.

— Pan o nic nie pyta, Romualdzie Pietrowiczu?

— To dla mnie zbyteczne. Jestem lekarzem. Przeszłość mnie nie interesuje — wypuścił moją rękę i odwrócił się do mikroskopu.

Z trudem hamowałem się — ból powracał znowu. Rozbudził go zapach krwi. Analizy, szkiełka, cholerne wymysły...

— A co pana interesuje?

— Reakcja psychiki — niezrozumiale odpowiedział Griszyn. — Zgodność reakcji. Znowu wczepiłem się rękoma, tym razem w oparcie fotela.

— Niech pan otworzy okno. Szybciej. Wymamrotał:

— Oczywiście, oczywiście...

Stuknęły ramy. Łapczywie oddychałem, wydalając, wydmuchując ból. Oddychałem tak intensywnie, że trzeszczały żebra.

— Proszę się uspokoić — powiedział Griszyn — zaraz pan dojdzie do normy. Wszystko płynęło, drgało, drżało. Gęsta kasza dźwięków i zapachów włąziła przez okno. Zapach mydła i dziewczęcego potu jeszcze nie uleciał z przedpokoju. Jakiś niezrozumiały zapach dochodził od strony obsydianowego noża, leżącego nie wiadomo dlaczego obok mikroskopu.

— Niech się pan uspokoi, wszystko minie. Krew w normie. Wszystko minie. Pośni pan z godzinę i wszystko przejdzie. Czy chce pan spać?

— Ja nie chcę spać.

— Pan chce spać. Pan już zasypia. Zasypia pan. Oczy się zamykają, Pan bardzo chce spać.

— Pomówmy — nie poddawałem się. — Naprawdę zachciało mi się spać, ale najpierw pogadajmy...

Siedziałem z zamkniętymi oczyma. Ból teraz ucichł, ale bałem się, że jeszcze może wrócić. Czas stał się senny i długi jak przeciągłe ziewanie. Rozmawialiśmy. Bez ogródek, jak we śnie.

„Pan również tego doświadczył?” „Tak, było i to”. „Cóż teraz?” „Teraz zapomni pan o mnie”. „Boję się, że nie potrafię”. „Będzie pan musiał zapomnieć. To moja prośba. Kategoryczna prośba”. „Kategorycznych próśb nie bywa”. „Nieważne. Będzie pan musiał zapomnieć”. „A jeśli nie posłucham pańskiej prośby?” „Posłucha pan. Jest pan dobrym chłopcem”, „Dziwny dowód”. „Ani trochę. Odkryję karty. Doświadczenie przeprowadzono w jednym celu — dla sprawdzenia reakcji psychologicznej. Pan potwierdził moje obawy w dostatecznie ważkiej mierze. Budzą się

wspomnienia, najgorsze wspomnienia, atawistyczne okrucieństwo. Nieraz wydaje mi się, że oprawcy i mordercy od dawna są w posiadaniu mojego sekretu. Ten wynalazek jest bezużyteczny. Szkodliwy. Z tego wynika, że ludzkość nie powinna o nim wiedzieć, a więc i pan zapomni. Na zawsze”.

— Nieprawda — zaoponowałem. — Mówił pan niedawno o Leninie, o Einsteinie. Przecież oni są również w przeszłości, ich można odwiedzić, dowiedzieć się... Pan przeczy sam sobie.

— Ani trochę — powiedział. — Nic a nic. Tacy ludzie wyprzedzali swoją epokę, oni są tutaj i długo jeszcze będą z ludźmi. I oto co jeszcze: Oni byli całkiem niedawno. Wczoraj. Godzinę temu. W tej chwili. Mój aparat działa w teraźniejszej przeszłości — może po upływie tysiąclecia ktoś potrafi powrócić do Einsteina i pomówić z nim. I kto wie! Naszemu szczęśliwemu potomkowi wielki Albert wyda się okrutnym starcem i w dodatku niezbyt mądrym...

— Bzdura — powiedziałem zaspanym głosem. — O, bzdura!

— Wszystko się zmienia — oznajmił Griszyn. — Wszystko się zmienia. Czy obiecuje pan milczeć?

— Jeśli trzeba?

— Trzeba. Teraz proszę iść spać. Niech pan idzie za mną. Wstałem, z trudem rozkleiłem powieki. Zrzuciłem z biurka filiżankę od kawy. Popatrzyłem na kota Waśkę statecznie siedzącego przy drzwiach. Kot mył pysk zgiętą łapą. Było słychać, jak na dole autobus, warcząc, ruszył z przystanku, potem zazgrzytały przełączane biegi i dźwięczny huk silnika zaczął szybko oddalać się po przedwieczornej ulicy.

Przytrzymując za rękę Griszyn powiódł mnie po korytarzu i ułożył na kanapie w maleńkiej, chłodnej sypialence. Całkiem już przez sen wymamrotałem:

— Co to za dziewczyna przychodziła? Odważna dziewczyna... Muszę się obudzić najdalej za godzinę...

— Obudzę — powiedział Griszyn i zamknął drzwi. Zasnąłem.

Siedziałem na kanapce. Było całkiem ciemno, cicho. Z lufcika pachniało tającym śniegiem, trochę zmarzłem — z nadejściem ciemności na pewno ochłodziło się. Popatrzyłem na zegarek, minęła godzina, prawie dokładnie. Położyłem się dziesięć po siódmej, a obudziłem kwadrans po ósmej. Brawo. W myślach zrugąłem Romualda: obiecał obudzić i zapomniał, a ja mogłem zasnąć. Przecież nie uprzedziłem swoich domowników, denerwują się z pewnością. Poza tym Nataszka już jest w domu. Trzeba by do niej zadzwonić, do Natalii Siergiejewny. Z tą myślą otworzyłem drzwi gabinetu.

Lampa paliła się na brzeżku biurka i od razu rzuciła mi się w oczy włochata ręka Griszyna, spokojnie leżąca na poręczy fotela, i odpryski rozbitej filiżanki bielejące na podłodze. Gdy podszedłem bliżej, zrozumiałem, że została rozbita jeszcze jedna filiżanka i oprócz tego rozsypały się pigułki z flakonika. Widziałem to wszystko, jak kolejne kadry w kinie — rękę, bransoletę na rękę, potem odpryski filiżanek, pigułki, flakonik. Na pewno nie byłem w pełni rozbudzony, bo nie od razu powiązałem wszystko w jedną całość i nie pojąłem w pierwszej chwili, co zaszło. Kiedy się schyliłem i zobaczyłem, że Jegora nie ma pod biurkiem, a przepiękny mikroskop poniewiera się na podłodze z wykrzywionym okularem, odniosłem wrażenie, że oberwałem w łeb obuchem i rzuciłem się do Griszyna.

Jego twarz w cieniu zielonego abażuru była trupio zielona. Lewa ręka w bransolecie leżała na skórzanej poręczy, a prawa ścisnęła rękojeść obsydianowego noża. Klinga po przecięciu podwójnego przewodu bransolety weszła w obicie bocznego oparcia z boku, nad samym siedzeniem. Ręka była jeszcze ciepła. Nóż zaszeleścił w fotelu, gdy usiłowałem znaleźć puls na prawej ręce.

Pulsu nie było.

Druga bransoleta wisiała na tylnym oparciu fotela i spadła stamtąd, podczas gdy próbowałem

odnaleźć puls na ciężkim rękę. Potem zobaczyłem notatkę pod lampą.

*Drogi Dimka! Złapało mnie, koniec ze mną. Usiłuję odejść tam. Przewód zostanie przecięty, kiedy stracę przytomność. Niech pan wezwie karetkę pogotowia. Przeprowadził pan nieznanego z ulicy, chorego. Przypominam: obiecał pan milczeć. Niech pan zdejmie bransoletę i schowa nóż. Bardzo proszę. Żegnaj pana. Telefon w sąsiednim pokoju.*

Wezwawszy pogotowie, wróciłem do gabinetu i przez kilka minut siedziałem w całkowitym odrętwieniu i podniosłem się dopiero wówczas, gdy usłyszałem bulgoczące wycie syreny. Zmrużywszy oczy, zerwałem bransoletę i z ulgą ujrzałem, że druga ręka ześliznęła się z noża. Włożyłem nóż do bocznej kieszeni, a bransolety owinąłem w przewody. Ciągnęły się z parapetu, zza story. Stało tam malutkie pudełko przypominające grubą papierośnicę. I to wszystko. Uniosłem pudełko do góry i przekonałem się, że ono do niczego więcej nie jest podłączone — ani do żadnego akumulatora, po prostu głuche, białe pudełko z dwoma przewodami i bransoletą.

Syrena zawyła znowu, przesuając się po ulicy coraz bliżej. Przechyliłem się przez parapet i zobaczyłem, jak karetka powoli jedzie po ciemnej ulicy, błyskając światłem, jak autobus stoi na przystanku, reflektor karetki obmacuje ściany domów, a przechodnie zatrzymują się i patrzą w ślad za nią. Syrena umilkła. — Było słychać, jak kierowca autobusu ogłosił: „Następny Maksyma Gorkiego”. Promień reflektora utkwiał w ścianie pod oknem i zgasł. Karetka ostro skręciła i zatrzymała się przy trotuarze. Wówczas wepchnąłem pudełko do zewnętrznej kieszeni marynarki i poszedłem do przedpokoju, nie oglądając się więcej.

— Porażenie serca — powiedziała dziewczyna. Była zupełnie młoda, nieco starsza ode mnie.

Dwóch chłopaków w czarnych uniformach pogotowia ratunkowego weszło w ślad za nią, nie zdejmując czapek. Jeden stał z walizką, drugi pomagał lekarce.

Krzętałi się jeszcze kilka minut — zaglądali w twarz, słuchali serca, potem lekarka stwierdziła: „Wszystko to daremne. On już ostygł” i chłopak z walizką zapytał:

— Czy pan jest krewnym?

Odpowiedziałem:

— Nie. On... Przeprowadziłem go z ulicy. Pomogłem...

— Pańskie nazwisko, adres.

Podąłem.

— Będzie pan musiał poczekać na milicję.

— Dobrze — odrzekłem.

Ale lekarka popatrzyła na mnie i poleciła:

— Niech idzie. Niech pan idzie, nacierpiał się pan za nic. Glebie Borysowiczu, niech pan wezwie milicję. — Ciągle jeszcze trzymała Griszyńkę za rękę.

— Dziękuję — powiedziałem. — Telefon jest w pokoju za ścianą. Z przedpokoju usłyszałem głos chłopaka z walizką:

— Zaraz, doktorze. Bodaj że widziałem tego chorego na serce w Pierwszym Psychiatrycznym...

Ściągnąłem z wieszaka palto, zszedłem po schodach i nie oglądając się przeszedłem obok karetki. Wydało mi się, że naprzeciwko domu stoi kędzierzawa dziewczyna, a obok niej jeszcze dziewczynka ze skakanką, ale jak w takim wypadku można pomóc? Nie zatrzymałem się. Powlokłem się do domu, machinalnie skręcając tam, gdzie trzeba, przechodząc przez place i ulice i jak gdybym słyszał: „O, nie budź we mnie cudnych wspomnień minionych dni — minionych dni”, Z pewnością mamrotałem te słowa, bo koło kina „Gigant” odskoczyły ode mnie dwie pannice w jednakowych, jaskrawoczerwonych paltach.

Mama otworzyła mi drzwi, zbladła i zapytała: „Nokaut?” Żyje w bezustannym strachu, że

wykończą mnie na ringu. Odpowiedziałem:

— Wszystko w porządku. Zmęczyłem się trochę, to wszystko.

— Natasza dzwoniła dwa razy — powiedziała mama, pogłaskała mnie po rękę i poszła do siebie, zostawiwszy mnie w korytarzu, przy telefonie.

Było oczywiste, że jeśli nie zatelefonuję do Nataszy w tej chwili, to mama poważnie się zatrwoży i będzie wiele gadaniny. Wykręciłem numer Nataszy, chociaż czułem, że nie powinienem tego robić, gdyż „Nie budź we mnie wspomnień” przewierciło mi głowę na wylot.

— Słucham... powiedziała Natasza. — Słucham pana, halo!

— To ja, Nateńko.

Zamilkła. Słyszałem, jak oddycha w słuchawkę. Potem przemówiła:

— Nigdy więcej tak nie rób, nigdy. Myślałam, myślałam... — I rozplakała się, a ja stałem, przyciskając słuchawkę do ucha i nic wiedziałem, co powiedzieć, ale było mi przyjemnie, że ona płacze i że jestem wreszcie w domu. Na ułamek sekundy wydało mi się, że niczego nie było, że wszystko mi się przywidziało, gdy siedziałem na bulwarowej ławeczce i znowu wszystko jest takie jak przedtem — telefon, Natasza i żółte światło maleńkiej lampki na korytarzu. — Wszystko jak przedtem — powiedziałem poza słuchawkę i raptem usłyszałem słabe uderzenie o podłogę, przy lewej nodze.

Obsydianowy nóż przeciął kieszeń i upadł, wbiwszy się w podłogę, i gdy zobaczyłem jego grubą rękojeść, nie wiadomo dlaczego zrozumiałem coś niecoś. Jeśli wszystko, co było i mówiło się, jest prawdą, a nie hipnozą, nie majaczeniem genialnego paranoika, to wreszcie rozumiałem. Dlaczego on milczał o swojej przeszłości, dlaczego nie powiedział niczego — jak wszedł w posiadanie obsydianowego noża, dlaczego ja wówczas, w gabinecie, po powrocie, czułem niewyraźny, paskudny zapach dolatujący od noża. To było tak samo, jakbym ja przyniósł z przeszłości swój tłuk, ale jak on przyniósł nóż? Co on robił tym nożem?

Natasza powiedziała: „Och, jaka ze mnie beksa...” — i jak zwykle zaczęła opowiadać o swoich uczelnianych sprawach i przyjaciółce Wari, a ja delikatnie opuściłem rękę i pomacałem w wypchanej kieszeni przewody i pudełko. Jeśli to nie hipnoza, to co wtedy? Mimo wszystko to dziwne — dlaczego pudełko nigdzie się nie podłącza? A więc tak się sprawy mają — nigdzie nie trzeba podłączać...

Głęboko westchnąłem i wziąłem się w garść, pokonując lekkie drzenie w plecach i w ramionach. Tak bywa w szatni przed wyjściem na ring — dreszcze w plecach, a myśli powolne i jasne. Natasza szczebiotała i śmiała się gdzieś w drugim końcu miasta.

Odłożyłem słuchawkę.

*Przełożył Eligiusz Madejski*



*Wadim Szefer*  
*Skromnyj genij*

# Skromny geniusz

Sergiusz Kładziejew urodził się na Wyspie Wasilewskiej. To było dziwne dziecko. Kiedy inne dzieci bawiły się w piasku, budowały z niego zamki i lepily babki, on kreślił na piasku części jakichś nieznanych, niepojętych maszyn. W drugiej klasie szkoły podstawowej skonstruował przenośny aparat zasilany baterijką od latarki. Ten aparat potrafił przepowiedzieć każdemu uczniowi, ile dwójek dostanie w danym tygodniu. Aparat został uznany za niepedagogiczny i dorośli odebrali go dziecku.

Po ukończeniu szkoły Sergiusz poszedł do technikum elektrotechnicznego. W tym technikum uczyło się całe mnóstwo ładnych dziewcząt, ale Sergiusz jakoś na żadną z nich nie zwracał uwagi — może dlatego, że widział je codziennie.

Aż kiedyś w czerwcu wypożyczył łódkę na przystani i spłynął Małą Newą do zatoki. Koło Wyspy Wolnej zauważył łódkę z dwiema nieznanymi dziewczętami. Dziewczęta ugrzęzły na mieliźnie i w dodatku złamały wiosło, usiłując zepchnąć łódkę z owej melizny. Pomógł im wrócić na przystań, zaprzyjaźnił się z nimi i zaczął chodzić do nich w gościnę. Obie przyjaciółki też mieszkały na Wasilewskiej — Swietłana przy Szóstej linii, a Lusia przy Jedenastej.

Lusia w tym czasie uczęszczała na kursy maszynopisania, a Swieta nigdzie się nie uczyła, gdyż uważała, że dziesięć klas zupełnie jej wystarczy. W dodatku miała zamożnych rodziców, którzy często jej powtarzali, że już najwyższy czas wydać się za mąż. W głębi serca zgadzała się z nimi, ale była zbyt wybredna i nie zamierzała wychodzić za pierwszego lepszego.

Z początku Sergiuszowi bardziej podobała się Lusia, ale nie wiedział, jak ma do niej podejść, jak ją sobie pozyskać. Lusia była tak piękna i skromna, tak bardzo krępowała się i starała pozostać na uboczu, że i Sergiusz zaczął się jej krępować. Natomiast Swieta była dziewczyną wesołą i pełną radości życia, była co się zowie swoją dziewczyną i Sergiusz czuł się przy niej dobrze i swobodnie, chociaż z natury, był nieśmiały.

Kiedy więc następnego roku w lipcu Sergiusz pojechał na wakacje do swego kolegi w Roźdiestwience, okazało się, że Swieta też tam przyjechała w odwiedziny do jakiegoś krewnego. To był szczęśliwy przypadek, ale Sergiuszowi wydało się, że jest to zrzędzenie losu. Teraz codziennie chodził ze Swietą do lasu i nad jezioro i wkrótce nabrał przekonania, że bez Swiety nie może dłużej żyć.

On sam jednak niezbyt się podobał Swietłanie, która uważała go za człowieka do obrzydliwości zwyczajnego, a marzyła przecież o niezwykłym mężu. Z Sergiuszem chodziła do lasu i nad jezioro ot tak sobie, po prostu dlatego, że trzeba było przecież jakoś zabić czas, a we dwoje zrobić to łatwiej. Dla Sergiusza były to natomiast dni pełne szczęścia, gdyż wydawało mu się, że i on trochę się tej dziewczynie podoba.

Któregoś wieczoru stali razem nad brzegiem jeziora. Smuga księżycowego blasku, niczym chodnik utkany przez rusałki, leżała na gładkiej wodzie. Panowała niczym nie zmałona cisza, w której rozlegał się śpiew słowików, buszujących w krzewach dzikiego bzu na przeciwległym brzegu.

— Jak pięknie i cicho! — powiedział Sergiusz.

— Tak, całkiem przyzwoicie — odparła Swietłana. — Bombowy widok. Dobrze byłoby narwać bzu, ale brzegiem za daleko, a łódki nie mamy. Przez jezioro nie da się przejść suchą nogą.

Wrócili do osiedla i udali się każde do swego domu. Sergiusz jednak nie spał przez całą noc, tylko coś kreślił i liczył. Rano wyjechał do miasta i spędził tam dwa dni. Z miasta przywiózł jakieś zawiniątko.

Kiedy późnym wieczorem wybierali się nad jezioro, zabrał to zawiniątko ze sobą. Nad samą wodą rozwinął papier i wydobyl z niego dwie pary specjalnych łyżew, na których można było ślizgać się po wodzie.

— Masz, włóż te łyżwy wodne — zwrócił się do Swietłany. — Wynalazłem je dla ciebie.

Włożyli te łyżwy i lekko pomknęli na nich po jeziorze w stronę przeciwległego brzegu. Dotarli tam, nałamali wielkie bukiety bzu i długo, długo ślizgali się z nimi po jeziorze zalanym księżycowym blaskiem.

Od tej pory co wieczór chodzili nad jezioro. Biegali; po lustrze wody na posuwistych wodnych łyżwach, które na srebrzystej toni zostawiały szybko rozplywające się wąziutkie ślady.

Kiedyś na samym środku jeziora Sergiusz powstrzymał swój bieg. Swietłana również zahamowała i podjechała do niego.

— Swieta, wiesz co? — powiedział Sergiusz.

— Nie wiem — odparła Swietłana. — O co chodzi?

— Rozumiesz, Swieta, kocham cię.

— No tak, tego tylko brakowało! — powiedziała Swieta.

— To znaczy, że zupełnie ci się nie podobam? — zapytał Sergiusz.

— Nie, dlaczego, jesteś chłopak całkiem do rzeczy, ale ja mam inny ideał. Pokocham tylko człowieka niezwykłego. A ty jesteś zwyczajny, uczciwie ci to mówię.

— Wiem, że mówisz uczciwie — powiedział smutnym tonem Sergiusz. W milczeniu wrócili na brzeg, a następnego dnia Sergiusz wyjechał do miasta. Przez jakiś czas wyglądał jak z krzyża zdjęty, wychudł i wiele spacerował po ulicach, a czasami wyjeżdżał za miasto i tam włóczył się bez celu. Wieczorami natomiast do późna krzątał się w swoim malutkim warsztaciku—laboratorium.

Pewnego razu na bulwarze koło sfinksów spotkał Lusię, która ucieszyła się na jego widok. Od razu to spostrzegł.

— Sierioża, co ty tu robisz? — zapytała.

— Po prostu spaceruję sobie. Bądź co bądź mamy wakacje. — Ja też po prostu spaceruję — wyznała Lusia. — Może wybierzemy się razem do Parku Kultury? — dodała i zaczerwieniła się.

Pojechali na Wyspę Jełagina i tam długo spacerowali alejami parku. Potem spotykali się jeszcze kilkakrotnie i włóczyli się razem po mieście. Dobrze im było ze sobą.

Któregoś dnia Lusia wpadła do Sergiusza, bo zamierzali pojechać do Pawłowska.

— Ależ u ciebie bałagan! — powiedziała Lusia. — Tyle rozmaitych kolb, aparatów... Po co ci to wszystko?

— W wolnych chwilach zajmuję się drobną wynalazczością — odparł Sergiusz.

— Tak? Nic mi o tym nie mówiłeś — zdziwiła się Lusia. — A może potrafisz naprawić moją maszynę do pisania? To taki stary grat kupiony w komisie... Czasami taśma się w niej zacina.

— Dobrze, wpadnę do ciebie i zobaczę, co się da zrobić.

— A co to jest? — zapytała Lusia. — Nigdy nie widziałam takiego dziwnego aparatu fotograficznego.

— To zwyczajny fed, tyle że z przystawką, którą niedawno skonstruowałem. Dzięki temu

urządzeniu można fotografować przyszłość. Moja przystawka jest jednak bardzo niedoskonała, bo chwyta obraz najwyżej na trzy lata w przód.

— Ale i trzy lata to bardzo wiele! Dokonałeś wielkiego odkrycia!

— Nie przesadzaj! — machnął ręką Sergiusz. — To bardzo prymitywna zabawka.

— A masz już jakieś zdjęcia?

— Mam. Niedawno byłem za miastem i tam fotografowałem.

Sergiusz wyjął z szuflady biurka kilka zdjęć formatu dziewięć na dwanaście.

— Spójrz, tutaj sfotografowałem brzoškę na łące w jej dzisiejszym stanie; bez przystawki. A na tej fotografii masz tę samą brzoškę o dwa lata starszą.

— Trochę podrosła — powiedziała Lusia. — I gałązek jej przybyło.

— A tutaj widzisz ją w trzy lata później — Sergiusz pokazał Lusi kolejne zdjęcie.

— Ależ jej tu nie ma! — zdziwiła się Lusia. — Tylko jakiś pieniek, a obok niego jakiś lejowaty dół. A tam dalej, popatrz, biegną jacyś żołnierze. Są nisko pochyleni i ubrani w dziwne mundury... Nic nie rozumiem!

— Sam się zdziwiłem, kiedy wywołałem to zdjęcie — powiedział Sergiusz. — Prawdopodobnie, tak przynajmniej sędzę, w tym miejscu będą manewry wojskowe.

— Wiesz co, Sergiuszu, spal to zdjęcie. W tym kryje się jakaś tajemnica wojskowa. Co będzie, jeżeli zdjęcie trafi do rąk zagranicznego szpiega?!

— Masz rację, jakoś o tym nie pomyślałem.

Podarł zdjęcie, wrzucił do pieca, gdzie leżało już całe mnóstwo rozmaitych śmieci, i podpalił.

— Teraz będę spokojna — powiedziała Lusia. — A teraz sfotografuj mnie, jaka będę za rok. W tym fotelu pod oknem.

— Przystawka łapie tylko teren i to, co się na nim znajduje. Jeśli za rok nie będziesz siedziała w tym fotelu, to nie wyjdiesz na zdjęciu.

— Jednak spróbuj mnie sfotografować. A nuż za rok, dokładnie tego samego dnia i o tej samej godzinie będę siedziała w tym fotelu.

— Dobrze — odparł Sergiusz. — Mam akurat w aparacie błonę z jedną wolną klatką.

I sfotografował Lusię w fotelu z jednorocznym wyprzedzeniem.

— Wiesz co? — powiedział. — Od razu wywołałem błonę i zrobię odbitkę. Dziś nasza łazienka jest wolna, bo nikt nie robi wielkiego prania. Poszedł do łazienki, przewinał błonę, załadował ją do ebonitowego koreksu i wywołał, po czym przyniósł błonę do pokoju, aby wyschła na sznurku pod oknem.

Lusia wzięła błonę za brzeg i obejrzała pod światło ostatnią klatkę. Na negatywie trudno się rozpoznać — ale mimo to wydało się jej, że na zdjęciu w fotelu siedzi nie ona, a bardzo pragnęła, żeby w fotelu za rok siedziała właśnie ona. Nie — pomyślała wreszcie — to chyba jednak ja, tylko źle wyszłam na fotografii.

Kiedy błona wyschła, poszli oboje do łazienki, gdzie paliła się czerwona żarówka, Sergiusz włożył błonę do powiększalnika, włączył światło i obraz zogniskowany w obiektywie przyrządu padł na papier fotograficzny. Szybko wrzucił zdjęcie do wywoływacza i papierze zaczął ukazywać się zarys postaci kobiecej w fotelu. To była zupełnie nieznaną kobietą, która trzymała na kolanach kawał sukna, na którym wyszywała wielkiego kota. Kot był prawie gotowy. Brakowało mu tylko ogona.

— To nie ja tu siedzę — powiedziała Lusia z rozczerwaniem w głosie. — Jakaś zupełnie inna kobieta!...

— Tak, to nie jesteś ty — powiedział Sergiusz. — Ale nie wiem, kto to jest. Ja tej kobiety nigdy

w życiu nie widziałem.

— Wiesz co, Sergiuszu, muszę już iść do domu — powiedziała Lusja. — Możesz do mnie nie przychodzić. Swoją maszynę oddam do naprawy mechanikowi.

— Wobec tego pozwól przynajmniej, żebym cię odprowadził!

— Nie, Sergiuszu, nie trzeba. Nie chcę wtrącać się do twojego życia.

I wyszła.

Moje wynalazki jakoś nie przynoszą mi szczęścia, pomyślał Sergiusz, po czym wziął młotek i rozbił pechową przystawkę.

W jakieś dwa miesiące później Sergiusz Kładziejew spacerował Wielkim Bulwarem. W pewnej chwili zobaczył młodą kobietę siedzącą na ławce i rozpoznał w niej tę nieznaną, która wyszła na jego zdjęciu.

— Przepraszam, która teraz może być godzina? — zwróciła się do niego nieznaną.

Sergiusz udzielił na to pytanie precyzyjnej odpowiedzi i przysiadł się do młodej kobiety. Nawiązał z nią rozmowę o leningradzkiej pogodzie, a następnie przedstawił się. Dziewczyna też się przedstawiła. Miała na imię Tamara. Zaczęli się spotykać i wkrótce pobrali.

Niebawem urodził się syn, któremu Tamara nadała imię Alfred.

Tamara okazała się niewiastą dość nudną. Właściwie niczym się nie interesowała, tylko wciąż siedziała w fotelu pod oknem i wyszywała na kilimkach koty, łabędzie i jelenie, które potem dumnie rozwieszała na wszystkich ścianach. Sergiusza nie kochała i wyszła za niego za męża tylko dlatego, że miał własny pokój, a poza tym dlatego, że ukończyła wyższą szkołę hodowli koni i nie chciała jechać na prowincję. Kobiety zamężnej nikt nie miał prawa na prowincję wysłać.

Skoro Tamara była kobietą nudną, to Sergiusza uważała za człowieka nudnego, nieinteresującego i tuzinkowego. Nie podobało się jej, że mąż w wolnych chwilach zajmuje się wynalazczością, co jej zdaniem było zwyczajnym marnotrawieniem czasu. Nieustannie gderała i wymyślała mu za to, że zagraca pokój swoimi aparatami i narzędziami.

Aby rozluźnić pokój, Sergiusz skonstruował AUDL — niewielkie Antygravitacyjne Urządzenie o Działaniu Lokalnym. Teraz dzięki AUDL-owi mógł pracować na suficie. Nakleił na suficie dębowy parkiet, postawił tam swój stolik warsztatowy i umieścił wszystkie narzędzia. żeby nie brudzić ściany przy wchodzeniu na sufit, Sergiusz zrobił na niej wąski chodniczek z linoleum. Po takim przemeblowaniu dół pokoju należał do żony, a góra stała się pracownią i laboratorium Sergiusza.

Ale Tamara wciąż była niezadowolona. Zaczęła się teraz obawiać, że o wszystkim dowie się kwaterunek i ze względu na zwiększenie powierzchni mieszkalnej podwyższą komorne. Poza tym nie podobało się jej, że Sergiusz jak nigdy nic chodzi sobie po suficie. Uważała to po prostu za nieprzyzwoite.

— Choćby przez szacunek dla mojego wyższego wykształcenia mógłbyś nie chodzić do góry nogami — mówiła do niego z dołu, siedząc na fotelu. — Wszystkie żony mają za mężów normalnych ludzi i tylko mnie taki felerny się trafił!

Po powrocie z pracy (pracował teraz jako technik rewident w elektrowni) Sergiusz jadł szybko obiad i szedł po ścianie do siebie na górę, do pracowni — laboratorium, a czasami wyruszał na miasto i w okolice, gdzie spacerował, żeby tylko nie wysłuchiwać ciągłego gderania Tamary. Nabral takiej wprawy w pieszych marszach, że bez najmniejszego trudu docierał do Pawłowska albo do Lisiego Nosa. Któregoś dnia na rogu Ósmej linii i Średniego Prospektu spotkał Świetlanę.

— A ja wyszłam za męża za niezwykłego człowieka — oświadczyła bez żadnych wstępów Świetłana. — Mój Pietia jest prawdziwym wynalazcą. Na razie zajmuje stanowisko młodszego

wynalazcy w kombinacie naukowo-badawczym „Wszystko dla domu”, ale wkrótce awansuje na średniego wynalazcę. Pietia ma już na swym koncie samodzielny wynalazek. Jest nim mydło „Nie kradnij!”

— A co to za mydło? — zapytał Sergiusz.

— Jest to mydło niezwykle proste w zamyśle, wszak każda genialna idea jest prosta. „Nie kradnij!” jest zwyczajnym mydłem toaletowym, w którego środku znajduje się kostka niezmywalnego tłuszczu. Jeśli ktoś, na przykład sąsiad ze wspólnego mieszkania, ukradnie nam mydło i spróbuje go użyć, to natychmiast zbruka się cały fizycznie i moralnie.

— A jeśli tego mydła nikt nie ukradnie? — zapytał Sergiusz.

— Nie zadawaj głupich pytań! — zirytowała się Swietłana. — Chyba po prostu zazdrościsz Pieti.

— A Lusię widzisz? — zapytał Sergiusz. — Co tam u niej?

— U Lusi wszystko po staremu. Radzę jej, żeby znalazła sobie jakiegoś odpowiedniego niezwykłego człowieka i wyszła za niego za mąż, ale ona na to nic nie odpowiada. Widocznie chce zostać starą panną.

Wkrótce zaczęła się wojna.

Tamara z synem została ewakuowana, a Sergiusz Kładieżew poszedł na front. Z początku był młodszym lejtnantem piechoty, a wojnę zakończył w randze starszego lejtnanta. Był dwukrotnie ranny, ale na szczęście lekko. Również na froncie zastanawiał się nad różnymi wynalazkami, ale nie miał ani materiałów, ani laboratorium, w którym mógłby swoje pomysły zrealizować. Po zakończeniu wojny wrócił do Leningradu, zmienił mundur na cywilne ubranie i ponownie zaczął pracować w elektrowni. Wkrótce też powróciła z ewakuacji Tamara z synem Alfredem, i życie popłynęło po staremu. A lata biegły.

Tak, lata biegły.

Syn Alfred dorósł, ukończył szkołę średnią i zapisał się na przyspieszony kurs hotelarski. Niebawem wyjechał na Południe i znalazł sobie pracę w hotelu.

Tamara nadal wyszywała atłaskiem koty, łabędzie i jelenie. Zrobiła się jeszcze nudniejsza i gderliwsza. Poza tym poznała pewnego emerytowanego dyrektora stanu wolnego i wciąż odgrażała się, że rzuci Sergiusza i odejdzie do tego dyrektora, jeśli Sergiusz nie zmądrzeje i nie przestanie tracić czasu na swoją wynalazczość.

Swietłana nadal była bardzo zadowolona ze swojego Pieti. Pietia awansował i teraz zajmował już stanowisko średniego wynalazcy. Skonstruował nawet czworokątne szprychy rowerowe, które miały zastąpić stosowane dotychczas szprychy okrągłe. Swietłana była z niego bardzo dumna.

Lusia, jak przed wojną, mieszkała na Wyspie Wasilewskiej i pracowała jako maszynistka w instytucji zajmującej się planowaniem produkcji i projektowaniem części zapasowych do fortepianów. Nie wyszła za mąż i często wspominała Sergiusza. Pewnego razu zobaczyła go z daleka na ulicy, kiedy szedł Siódmą linią do kina „Bałtyk” z żoną pod rękę. Lusia od razu poznała tę kobietę z pamiętnej fotografii.

Sergiusz też bardzo często wspominał Lusię i żeby myśleć o niej jak najmniej, jeszcze intensywniej zajmował się wynalazczością. Ponieważ nie posiadał żadnego stopnia naukowego, to nikt na jego odkrycia nie zwracał szczególnej uwagi. Sam Sergiusz zresztą nie usiłował forsować własnych wynalazków, bo uważał je za niedojrzałe, niewiele warte, a jak wiadomo — jeśli nie potrafisz, nie pchaj się na afisz. Wynalazł na przykład kótńniomierz przerywacz i zainstalował go w kuchni wielorodzinnego mieszkania, w którym miał pokój. Przyrząd ten miał dwudziestostopniową

skalę i mierzył nastroje mieszkańców oraz intensywność kłótni, jeśli takowa wybuchała. Na dźwięk pierwszego ostrzejszego słowa wskazówka aparatu zaczynała drgać i stopniowo przesuwając się w kierunku czerwonej kreski. Kiedy do niej docierała, włączał się przerywacz kłótni: Rozlegała się cicha, uspokajająca muzyka, automatyczny rozpylacz wyrzucał z siebie mieszaninę waleriany i perfum „Biała noc”, a na ekranie ukazywał się śmieszny człowieczek, który kłaniał się publiczności i wołał: „Obywatele, żyjcie w zgodzie!” W ten sposób kłótnie były likwidowane w zarodku, a wszyscy mieszkańcy byli wdzięczni Sergiuszowi za jego skromny wynalazek.

Sergiusz wynalazł też płaską soczewkę. W sobie tylko znany sposób przekonstrował kawałek szyby i nadał jej właściwości niezmiernie silnego teleskopu. Wstawił tę szybę w okno swego pokoju i dzięki temu mógł obserwować kanały na Marsie, kratery na Księżycu i burze na Wenus. Kiedy Tamara zaczynała go piłować, wtedy patrzył na odległe światy i odzyskiwał spokój.

Wszystkie te wynalazki nie przynosiły jednak żadnej korzyści praktycznej. Poza jednym. Sergiusz odkrył sposób przekształcania wody w benzynę, którą to benzyną napełniał zapalniczkę, a ponieważ dużo palił, to w ten sposób oszczędzał sobie poważnych wydatków na zapalniczki. Tak w ogóle, to żyło mu się niezbyt wesoło — ani Tamara, ani syn Alfred nie dawali mu żadnych powodów do radości.

Kiedy Alfred przyjeżdżał do Leningradu, to rozmawiał przede wszystkim z Tamarą.

— No i jak ci się żyje? — pytał ją.

— Co to za życie... — odpowiadała Tamara. — Moją jedyną pociechą jest sztuka. Popatrz, jakiego jelenia wyszywam.

— Jeleń jak trza! — wykrzykiwał Alfred. — Jak żywy! I rogi jak u byka. Gdybym ja miał takie rogi, daleko bym zaszedł!

— A twój ojciec zupełnie nie rozumie sztuki. Ciągłe by tylko coś wynajdywał i wynajdywał. Żadnego pożytku z człowieka.

— Za to niepijący, a to trzeba cenić — pocieszył ją syn. — Wprawdzie niewiele w życiu osiągnął, ale może jeszcze pójdzie po rozum do głowy. Kiedy się popatrzy na tych, co to mieszkają po hotelach, aż przykro się robi, że z ojca taki ciapa. Ten jest kierownikiem zaopatrzenia, tamten cudzoziemcem, ów pracownikiem naukowym. Niedawno pewien docent mieszkał u nas w apartamencie... To jest człowiek! Napisał biografię Puszkina. Ma podmiejską willę, samochód.

— Gdzie mi tam z takim mężem marzyć o willach — narzekała dalej Tamara. — Znudził mi się! Chcę się rozejść.

— A masz kogoś na oku?

— Mam tu jednego emerytowanego dyrektora. Kawaler, który ceni sztukę. Podarowałam mu wyhaftowanego łabędzia, to ucieszył się jak dziecko. Z takim człowiekiem nie zginie.

— A czego on był dyrektorem? Może hotelu?

— On był dyrektorem cmentarza. To człowiek poważny, delikatny.

— Stanowisko zobowiązuje — powiedział ze zrozumieniem syn.

Któregoś czerwcowego dnia Sergiusz Kładieżew przez cały wieczór pracował na swoim suficie nad pewnym nowym wynalazkiem. Nie zdawał sobie sprawy z upływu czasu, a kiedy zerknął wreszcie na zegarek, stwierdził, że jest już późno. Wówczas położył się spać, ale przed snem zapomniał nakręcić budzik i zasnął, postanowił więc tego dnia nie iść do pracy. To była jego pierwsza i ostatnia nieobecność.

— Doigrasz się z tą swoją wynalazczością! — zbeształa go Tamara. — Żebyś przynajmniej zbumelował jak ludzie, dla interesu, dla zarobku! Ale nie. Tyle z ciebie pożytku, co z psa gnoju.

— Nie denerwuj się, Tamaro, wszystko będzie dobrze — powiedział miękko Sergiusz. —

Niedługo dostanę urlop i pojedziemy nad Wołgę, popłyniemy statkiem.

— A na co mi twoje groszowe podróże! — krzyknęła Tamara. — Lepiej byś się wybrał za swoje plecy i posłuchał, co ludzie o tobie gadają za twoimi plecami! Wszyscy się z ciebie śmieją, wszyscy uważają za kompletnego idiotę.

Ze złością zdarła ze ściany kilimek z wizerunkiem kota i wyszła z domu.

Sergiusz został w pokoju i zaczął się zastanawiać nad jej słowami. Długo tak rozmyślał, a potem postanowił wybrać się w podróż za własne plecy, jak radziła mu żona.

Mógł to zrobić bez najmniejszego trudu, bo dawno już wynalazł Agregat Niewidocznej Obecności — ANO o zasięgu zaledwie trzydziestu pięciu kilometrów. Sergiusz nie używał tego aparatu do obserwacji życia w mieście, gdyż uważał to za nieetyczne — zaglądać do cudzych mieszkań, podpatrywać cudze życie. Czasami jednak dostrajał się do najbliższych okolic podmiejskich i słuchał śpiewu ptaków, patrzył, jak powstają ich gniazda.

A teraz postanowił użyć ANO na terenie miasta. Włączył zasilanie, a następnie delikatnie, o jedną podziałkę, obrócił gałkę odległościomierza, zaś antenę—szperacz skierował w stronę kuchni wielorodzinnego mieszkania, w którym zajmował pokój. Dwie sąsiadki stały przy kuchence gazowej i rozmawiały o różnych obojętnych sprawach. Potem jedna z nich powiedziała:

— A Tamara znów poszła do dyrektora. Nie ma baba wstydu!

— Żal mi Sergiusza Władimirowicza! — powiedziała druga sąsiadka. — Taki porządny człowiek i marnuje się przez żonę. On przecież jest bardzo mądry.

— Zgadza się z panią — odparła na to pierwsza. — Od razu widać, że człowiek porządny i bardzo mądry, tylko życie mu się nie układa.

Sergiusz odstroił się od kuchni i skierował antenę na biura elektrowni. Długo błądził po obcych mieszkaniach, biurach i sklepach, aż wreszcie znalazł swoją instytucję. Na ekranie ukazał się pokój, w którym zazwyczaj pracował. Koledzy z pracy pili akurat herbatę i jedli kanapki, gdyż trwała właśnie przerwa obiadowa.

— Czy aby naszemu Sergiuszowi Władimirowiczowi coś złego się nie stało? — powiedział jeden z kolegów. — Taki porządny i solidny człowiek nie mógł przecież bez powodu zbumelować! Na pewno zachorował. Szkoda, że w jego mieszkaniu nie ma telefonu i nie można do niego zadzwonić.

— Bez niego jakoś tu u nas pusto — powiedział drugi. — To bardzo przyzwoity człowiek, nie ma dwóch zdań. — Bardzo przyzwoity i dobry — zgodził się trzeci. — Szkoda tylko, że trafiła mu się taka paskudna żona. Typowa mieszczańka. A on za nią świata bożego nie widzi.

Sergiusz wyłączył ANO i znów się zamyślił. Wspomnił Lusię i bardzo zapragnął ją zobaczyć, chociaż na moment.

Wtedy znów uruchomił aparat i zaczął szukać Lusi, szukać jej pokoju na piątym piętrze domu przy Jedenastej linii Wyspy Wasilewskiej. Ale może ona już tam nie mieszka? zastanawiał się. Może już dawno wyszła za mąż i przeprowadziła się? Albo zwyczajnie przeniosła się do innego mieszkania?

Na ekranie ukazywały się cudze pokoje, nieznanymi ludźmi, wyrwane z przestrzeni strzępki cudzego życia... Aż wreszcie odnalazło się mieszkanie Lusi. Nie było jej w pokoju, ale to z pewnością był właśnie jej pokój. Meble były te same — i ten sam obraz wisiał na ścianie, a na stoliku stała maszyna do pisania. Sergiusz uspokoił się. Lusia po prostu była w pracy.

Wówczas zaczął nastrajać ANO na dom Swietłany: ciekawe, co tam u niej? Odszukał ją dość szybko. W mieszkaniu było wiele nowych sprzętów, Swietłana zaś zestarzała się i jej promienne imię zupełnie teraz do niej nie pasowało. Wyglądała jednak na osobę zdrową i zadowoloną z życia.

Nagle rozległ się dzwonek do drzwi. Swietłana poszła otworzyć.



— Witaj, Lusieńko! — wykrzyknęła. — Dawno już u mnie nie byłaś!

— Wpadłam tylko na chwilę, żeby zobaczyć, co u ciebie słychać. Mam akurat przerwę obiadową — powiedziała Lusia, i Sergiusz zobaczył ją wchodzącą do pokoju. Lusia też nie odmłodziła przez te lata, ale nadal była sympatyczna i przystojna.

Kobiety usiadły i zaczęły rozmawiać o różnych sprawach.

— A za mąż nie wychodzisz? — zapytała nagle Swietłana. — Przecież możesz sobie jeszcze znaleźć całkiem niezłego, starszego wiekiem męża.

— Nie, nie mam zamiaru nikogo szukać — odparła smutnym głosem Lusia. — Przecież ten, który mi się podoba, już od dawna jest żonaty.

— Mówisz wciąż o tym Sergiuszu?! — wykrzyknęła Swietłana. — I co ty w nim widzisz? To przecież zupełnie zwyczajny człowiek. Taki prochu nie wymyśli... Inna rzecz, że kiedyś był z niego całkiem miły chłopak. Pamiętam, że podarował mi łyżwy wodne. Jeździłam z nim na tych łyżwach po jeziorze. Na brzegu gwizdzą słowiki, ludzie chrapią w swoich letniskach, a my pędzimy po wodzie, pokazujemy klasę.

— Nie wiedziałam nawet, że on takie łyżwy wymyślił — powiedziała Lusia w zadumie. — Masz je może jeszcze w domu?

— Nie, coś ty! Mój Pietia dawno już sprzedał je na złom. Powiedział, że to nic niewarte. Pietia jest przecież prawdziwym wynalazcą i zna się na takich rzeczach.

— A jak tam u niego w pracy? — zapytała Lusia.

— Wszystko w najlepszym porządku. Skonstruował niedawno Uniwersalny Aparat do Otwierania Konserw. To niesłychanie błyskotliwy wzlot myśli technicznej. Teraz gospodynie domowe i samotni kawalerowie nie będą musieli się męczyć z otwieraniem puszek.

— Nie masz przypadkiem tego aparatu? — zapytała Lusia. — Ciekawa jestem, jak wygląda.

— Nie mam go i nie będę miała. To urządzenie będzie ważyło pięć ton i musi stać na betonowym fundamencie. A kosztować będzie czterysta tysięcy nowych rubli.

— No to która gospodyni będzie mogła sobie pozwolić na kupno takiego aparatu? — zdziwiła się Lusia.

— Mój Boże, ale ty jesteś nierozgarnięta! — wykrzyknęła Swietłana. — Żadna gospodyni nie musi kupować tego aparatu, bo jeden wystarczy na całe miasto. Zainstaluje się go gdzieś w śródmieściu, na przykład na Newskim Prospekcie. Powstanie tam COMOK — Centralny Ośrodek Miejski Otwierania Konserw. To bardzo wygodne rozwiązanie. Powiedzmy, że przyszli do ciebie goście, i musisz im otworzyć puszkę szprotek. Nie musisz mieć w domu nożyka do konserw ani żadnego innego narzędzia. Po prostu bierzesz swoją puszkę, szybko wychodzisz na ulicę i jedziesz do COMOK-u. Tam oddajesz puszkę rejestratorce, płacisz pięć kopiejek i otrzymujesz pokwitowanie. Rejestratorka nakleja na puszkę etykietkę i stawiają na przenośniku, a ty idziesz sobie do poczekalni, siadasz w fotelu i oglądasz krótkometrażowy film na tematy konserwowe. Wkrótce wzywają cię do okienka, gdzie po okazaniu pokwitowania otrzymujesz otwartą puszkę i spokojniutko jedziesz do domu na Wyspę Wasilewską. Wygodne, nieprawdaż?

— Czyżby ten projekt naprawdę miał zostać zrealizowany? — zapytała Lusia.

— Pietia bardzo na to liczy — odparła Swietłana. — Ale ostatnio dorobił się wielu wrogów i zawistników, którzy przeszkadzają w urzeczywistnieniu jego wynalazków. Po prostu mu zazdroszczą. A Pietia nikomu nie zazdrości, bo wie, że jest człowiekiem niezwykłym i to w dodatku człowiekiem sprawiedliwym. Przecież niezmiernie szanuje pewnego wynalazcę, tego, który wynalazł i wprowadził do przemysłu korek „Pij do dna”.

— A co to za korek?

— Nie widziałaś, jak teraz korkuje się wódkę? Tak jest, taki kapselek z jęczyzkiem. Wystarczy pociągnąć za jęczyzek, żeby miękki metal rozdarł się — i butelka jest już otwarta. Z powrotem nie da się już zatkać, więc chcąc nie chcąc trzeba ją wypić do dna. To również jest wspaniałe osiągnięcie myśli technicznej.

— A mnie łyżwy wodne bardziej się podobają — powiedziała Lusia. — Jak ja bym chciała białą nocą pomknąć na takich łyżwach przez zatokę!

— Ale ci się udało z tymi łyżwami — uśmiechnęła się pobłaźliwie Swietłana. — Mnie i Pieti coś takiego nie jest potrzebne do szczęścia.

Sergiusz wyłączył ANO i znów się zamyślił. Po chwili powziął pewne postanowienie.

Tego samego wieczoru Sergiusz Kładieżew odnalazł na dnie starej walizki swoją parę łyżew wodnych, a potem nalał wody do wanny i wypróbował w niej ich działanie. Łyżwy nie utraciły swoich cudownych właściwości i ślizgały się po wodzie równie lekko, jak wiele lat temu.

Potem do późna w noc w swojej pracowni–laboratorium na suficie robił drugą parę łyżew wodnych dla Lusi.

Następnego dnia, a była to niedziela, Sergiusz wybrał się na poranny spacer, a gdy z niego wrócił, Tamary już w domu nie było, a na ścianie brakowało następnego kilimka — tym razem z jeleniem. Tamara poszła z nim do emerytowanego dyrektora.

Sergiusz włożył odświętny szary garnitur i zawinął w gazetę obie pary łyżew. Następnie wsunął do kieszeni rozpylacz i flakonik płynu WWNP (Wielokrotny Wzmacniacz Napięcia Powierzchniowego). Ubranie skropione tym płynem swobodnie utrzymuje człowieka na wodzie.

Wreszcie Sergiusz Kładieżew otworzył wielką szafę i wydobył z niej SEPO–X (Słoneczno–Energetyczny Przyrząd Optyczny szczególnego przeznaczenia). W swoim czasie przyrząd ten kosztował go wiele wysiłku, ale też był to jego najważniejszy wynalazek. Ukończył go dwa lata temu, ale do tej pory ani razu nie użył. Chodzi o to, że SEPO–X mógł przywrócić człowiekowi młodość, a przez wszystkie te lata Sergiusz wcale nie pragnął powrotu młodości, gdyż musiałby przywrócić młodość również i Tamarze i rozpocząć z nią nowe życie. A zupełnie wystarczyło mu jedno życie z nią. Poza tym obawiał się niezmiernej energochłonności tego urządzenia. Wskutek owej energochłonności — pracy SEPO–X winny towarzyszyć pewne zjawiska natury kosmicznej, a Sergiusz nie uważał się za dość ważną osobę, aby wywoływać takie zjawiska.

Jednak teraz, zważywszy wszystkie za i przeciw, postanowił użyć przyrządu. Wziął więc SEPO–X pod pachę razem z łyżwami wodnymi i opuścił dom.

Ruszył swoją ulicą i wkrótce dotarł do Średniego Prospektu Wyspy Wasilewskiej. Na rogu Piątej linii wszedł do sklepu ze słodyczami, kupił butelkę szampana i pudełko czekoladek, po czym poszedł dalej. Skręcił w Jedenastą linię i wkrótce znalazł się koło domu, w którym mieszkała Lusia. Wdrapał się na piąte piętro i zadzwonił. Dwa razy długo i raz krótko.

Drzwi otworzyła mu Lusia.

— Dzień dobry, Lusi! — powiedział. — Jak dawno się nie widzieliśmy!...

— Bardzo dawno!... — odpowiedziała Lusia. — Ale nie wiedzieć czemu czekałam i wierzyłam, że kiedyś przyjdiesz.

Weszli do jej pokoju, pili szampana i wspominali to, co było przed wieloma laty.

— Ach, chciałabym teraz przywrócić młodość i zacząć życie od początku! — wykrzyknęła nagle Lusia.

— Możemy to zrobić — powiedział Sergiusz i postawił na stole SEPO–X, który był nie większy od przenośnego radia zaopatrzonego w dość gruby przewód.

— On ma zasilanie sieciowe? — zapytała Lusia. — Uważaj, żeby się nie przepalił, bo w naszym domu od niedawna jest napięcie dwieście dwadzieścia woltów.

— Nie. SEPO-X nie ma zasilania sieciowego — odparł Sergiusz. — Nie wystarczyłoby mu nawet tysiąca Dnieprogesów. On bierze energię wprost ze Słońca. Otwórz, z łaski swojej, okno.

Lusia otworzyła okno na oścież, a Sergiusz rozciągnął przewód zakończony niewielkim wklęsłym lusterkim. Położył je na parapecie w ten sposób, że było skierowane na Słońce.

Potem podszedł do SEPO-X i nacisnął klawisz.

W aparacie zaczęło potrzaskiwać i natychmiast Słońce osłabiło blask jak żarówka, gdy spada napięcie w sieci. W pokoju zapadł półmrok.

Lusia podeszła do okna i spojrzała na miasto.

— Sergiuszu, co to?! — zdziwiła się. — Wydaje mi się, że zaczyna się zaćmienie Słońca. Cała Wyspa Wasilewska kryje się w mroku. Dalej też zaczyna robić się ciemno.

— Teraz zmierzcha się na całej Ziemi i na Marsie, i na Wenus — odparł Sergiusz. — Przyrząd pochłania wiele energii.

— Takiego aparatu raczej nie należy produkować — powiedziała Lusia. — Bo inaczej wszyscy zaczęliby przywracać sobie młodość i wciąż byłoby ciemno.

— Tak — potwierdził Sergiusz. — Jest to przyrząd indywidualnego jednorazowego użytku. Skonstruowałem go tylko dla ciebie i z myślą o tobie. A teraz usiądźmy i posiedźmy spokojnie przez chwilę.

Usiedli na starej pluszowej kanapce, wzięli się za ręce i zaczęli czekać. Za oknem i w pokoju robiło się coraz ciemniej. Samochody na ulicach włączyły reflektory.

— Aż trudno uwierzyć, że teraz jest pierwsza po południu — powiedziała w zadumie Lusia. — Dziwne...

— Tak, to z pewnością może wydać się dziwne — odparł Sergiusz. — Mnie nie, ale wszystkim pozostałym ludziom musi to wydawać się dziwne. Żeby przywrócić młodość, potrzebne są bardzo duże nakłady energetyczne.

Tymczasem dokoła ściemniło się tak, jakby zapadała noc. W mieście zapłonęły światła w oknach, zapaliły się latarnie uliczne. W pokoju zrobiło się zupełnie ciemno, tylko przewód łączący lustro leżące na parapecie z SEPO-X świecił błękitnym blaskiem i wibrował jak wąż gumowy, przez który z ogromną prędkością przeciska się jakiś płyn.

Nagle w aparacie coś głośno trzasnęło i na jego przedniej ścianie otworzyło się kwadratowe okienko. Wysunęła się z niego sztabka zielonkawego światła, która wyglądała jak odrębna i wisiała swobodnie w powietrzu. Ta sztabka światła, przypominającego ciało stałe, zaczęła po chwili wolno się wydłużać, aż oparła się o ścianę, na której wisiał obraz przedstawiający wieprza pod dębem — ilustracja do bajki Kryłowa. Wieprz na obrazku natychmiast zamienił się w prosiaczka, a rozłożysty dąb — w młodziutkie drzewko.

Promień światła powoli i niepewnie zaczął przesuwac się po pokoju, jakby szukał na ślepo Lusi i Sergiusza. Tam, gdzie dotykał ścian, stare wypłowiałe tapety odzyskiwały dawną barwę i wyglądały jak nowe. Sędziwy szary kot drzemący na komodzie zamienił się w kociaka i zaczął bawić się własnym ogonem. Mucha, która znalazła się na drodze promienia, przekształciła się w larwę muchy i spadła na podłogę.

Wreszcie promień-sztabka zbliżył się do Sergiusza i Lusi. Prześliznął się po ich głowach, twarzach, nogach i reszcie ciała. Nad ich głowami wyrosły dwa świetliste półkola przypominające aureole świętych.

— Aj, łaskocze mnie w głowę! — roześmiała się Lusia.

— Nie przejmuj się — powiedział Sergiusz. — To tylko siwe włosy odzyskują dawny kolor. Mnie też łaskocze w głowę.

— Ach! — wykrzyknęła Lusia. — Mam w ustach coś gorącego!

— Pewnie masz złote korony na zębach? — zapytał Sergiusz.

— Tylko dwie — odparła Lusia.

— Koronki młodym zębom są niepotrzebne i dlatego rozpadają się na proszek — wyjaśnił Sergiusz. — Wydmuchnij ten kurz.

Lusia złożyła wargi w trąbkę, jak to robią początkujący palacze, i wydmuchnęła z ust złoty pył.

— Wydaje mi się, że kanapa się pod nami unosi — powiedziała nagle.

— Sprężyny się prostują, bo robimy się lżejsi. Trochę przecież przez te lata utyliśmy.

— Masz rację, Sierioża — zgodziła się Lusia. — Ale teraz czuję się lekka jak wówczas, kiedy miałam dwadzieścia lat.

— Bo masz teraz dwadzieścia lat — powiedział Sergiusz. — Powróciliśmy do czasów młodości.

W tym samym momencie SEPO-X gwałtownie zadygotał, zadudnił i zapłonął. Zniknął, a na stole została tylko garstka niebieskiego popiołu. Zaraz potem zaczęło się rozwidniać. Kierowcy wyłączyli reflektory, zgasły latarnie na ulicach i światło w oknach, bo nie było już teraz potrzebne. Słońce znów świeciło pełnym lipcowym blaskiem.

Lusia wstała, przejrzała się w lustrze i uśmiechnęła się.

— Sierioża, chodźmy gdzieś na spacer — powiedziała. — Na przykład na Wyspę Jełagina.

Sergiusz wziął zawiniątko z łyżwami wodnymi, ujął Lusię pod rękę i wyszedł z nią z mieszkania. Lekko zbiegli po schodach na dół, na ulicę. Na Średnim Prospekcie wskoczyli do tramwaju i pojechali do Parku Kultury. Tam spacerowali alejkami, jeździli na karuzeli, huścili się na huśtawce i zjedli po dwa obiady w barze na świeżym powietrzu.

Kiedy zapadła cicha biała noc i park opustoszał, wtedy poszli na brzeg zatoki. Na morzu był sztil i żagle jachtów nieruchomo majaczyły w oddali, koło Wyspy Wolnej. Na wodzie nie było jednej choćby zmarszczki.

— Znakomita pogoda — powiedział Sergiusz i rozpakował łyżwy wodne. Pomógł Lusi przymocować je do pantofelków, a potem włożył swoje.

Stanęli na wodzie zatoki i lekko pobiegli w morze. Minęli jachty, na których żeglarze czekali na wiatr, pomachali im rękami i wybiegli za Wyspę Wolną, na otwartą przestrzeń. Długo pędzili przez tę przestrzeń, a potem Sergiusz nagle zwolnił bieg. Lusia też zahamowała i podjechała do niego.

— Wiesz, Lusi, chcę ci coś powiedzieć... — zaczął nieśmiało Sergiusz.

— Wiem — odparła Lusia. — Ja też cię kocham. Teraz już zawsze będziemy razem.

Objęli się, ucałowali i ruszyli w stronę brzegu.

Tymczasem zerwał się wiatr i rozfalował wodę, po której trudno już było biec na łyżwach.

— Co będzie, jeśli się potknę i wpadnę do wody? — zapytała Lusia.

— Zaraz podejmę odpowiednie kroki, żebyśmy nie utonęli — roześmiał się Sergiusz.

Wyjął z kieszeni rozpylacz i flakonik płynu WWNP, a następnie spryskał odzież Lusi i swoją tym preparatem.

— Teraz możemy nawet usiąść na fali.

Usiedli więc na fali jak na kryształowej ławie, i fala poniosła ich ku brzegowi.

**OBYWATELE! CZEKAJĄ WAS WIELKIE ODKRYCIA!**



*Arkadij Strugacki*  
*Borys Strugacki*  
*Wstriezca*

# Spotkanie

Aleksander Kostylin stał przy swoim ogromnym biurku i przeglądał lśniące fotogramy.

— Witaj, Lin — powiedział Łowca. Kostylin uniósł łysą głowę i zawołał:

— O! Home is the sailor, home from sea!

— And the hunter is home from the hill — odpowiedział Łowca. Uścisnęli się.

— Co masz dla mnie ciekawego tym razem? — rzeczowo zapytał Kostylin. — Przyleciałeś prosto z Jajły?

— Tak, z Tysiąca Oparzelisk. — Łowca zasiadł w fotelu i wyciągnął nogi przed siebie. — A ty wciąż tyjesz i łysiejesz, Lin. Zgubi cię ten siedzący tryb życia, wspomnisz jeszcze moje słowa. Następnym razem zabiorę cię z sobą.

Kostylin z zatroskaną miną obmacał swój wielki brzuch.

— Tak — powiedział. — Baronowie starzeją się, baronowie tyją... Więc co mi przywiozłeś?

— Nic szczególnego, Lin. Żadnych rewelacji. Z dziesięć węży dwustrunowych, kilka nie znanych gatunków wielomuszlowych mięczaków... Mogę przejrzeć? — Łowca wziął z biurka plik fotografii.

— Przywiózł to jeden debiutant. Znasz go?

— Nie. — Łowca oglądał zdjęcia. — Zupełnie nieźle. To, oczywiście, Pandora?

— Masz rację, Pandora. Gigantyczny rakopajak. Wyjątkowo wielki egzemplarz.

— Tak — powiedział Łowca wpatrując się w ultradźwiękowy karabin wsparty dla porównania rozmiarów o nagi żółty brzuch rakopajaka. — Nieźle jak na początkującego. Ale widywałem już większe sztuki. Ile razy strzelał?

— Mówi, że dwa razy. I za każdym razem w centralny splot nerwowy.

— Należało strzelać igłą anestetyczną\*. Chłopczyk troszkę się zdenerwował. — Łowca z uśmiechem patrzył na zdjęcie, na którym przejęty myśliwy dumnie wspierał nogę na martwym potworze. — No dobrze, a co słychać u ciebie w domu?

Kostylin machnął ręką.

— Istny urząd stanu cywilnego. Wszyscy się żenią. Marta wyszła za mąż za hydrologa.

— Która Marta? — zapytał Łowca. — Wnuczka?

— Prawnuczka, Paul! Prawnuczka!

— Tak — powiedział Łowca. — Baronowie się starzeją, — Odłożył zdjęcia na biurko i wstał. — No cóż, ja już chyba sobie pójdę.

— Znowu? — z niezadowoleniem zapytał Kostylin. — Może już starczy?

— Nie, Lin. Tak trzeba. Spotkamy się tam gdzie zawsze. Łowca kiwnął głową i wyszedł. Zszedł do parku i skierował się w stronę pawilonów. Jak zwykle w Muzeum było bardzo tłumnie. Ludzie spacerowali po alejkach obsadzonych pomarańczowymi palmami z Wenus, gromadzili się wokół terrariów i przy wypełnionych przezroczystą wodą basenach, w wysokiej trawie pomiędzy drzewami biegały dzieci — bawiły się w „ciepło–zimno–Mars”. Łowca przystanął, by na nie popatrzeć. Była to ogromnie pasjonująca zabawa. Bardzo dawno temu z Marsa przywieziono na Ziemię mimikrodony,

ogromne jaszczury o melancholijnym usposobieniu, wspaniale przystosowane do nagłych przemian w otaczającym je środowisku — idealnie opanowały umiejętność mimikry. W parku Muzeum korzystały z całkowitej swobody. Dzieci zabawiały się odnajdywaniem mimikrodonów — wymagało to niemałej spostrzegawczości i zręczności — a następnie przeciągały zwierzaki z miejsca na miejsce, żeby zobaczyć, jak mimikrodony zmieniają kolor. Jaszczury były wielkie i ciężkie. Dzieci wlokły je po ziemi trzymając za skórę na karku. Mimikrodony nie protestowały. Wyglądało na to, że zabawa sprawia im przyjemność.

Łowca minął ogromną przezroczystą kopułę chroniącą terrarium „Łąka z planety Rużena”. Pod kopułą na bladej niebieskawej trawie skakały i walczyły z sobą zabawne remby, gigantyczne, olśniewająco kolorowe owady, trochę podobne do ziemskich koników polnych. Łowca przypomniał sobie, jak to dwadzieścia lat temu po raz pierwszy polował na Rużenie. Siedział w zasadzce przez trzy doby oczekując na pojawienie się jakiegokolwiek zwierzęcia, a ogromne tęczujące remby skakały dokoła i siadały na lufie jego karabinu. Przy „Łące” zawsze pełno było ludzi, ponieważ remby są prześliczne i ogromnie pocieszne.

Nie opodal wejścia do centralnego pawilonu Łowca zatrzymał się przy balustradzie okalającej głęboki okrągły basen–studnię. W basenie, w świecącej liliowym światłem wodzie, bezustannie krążyło długie kudłate zwierzę — ichtiomammal, jedyny znany przedstawiciel ciepłokrwistych, oddychający skrzelami. Ichtiomammal bez przerwy był w ruchu, pływał zataczając koło i przed rokiem, i przed pięcioma laty, i przed czterdziestoma, kiedy Łowca zobaczył go po raz pierwszy. Ichtiomammala z ogromnym trudem schwytał sławny Saillieu. Saillieu od dawna jest trupem, śpi wiecznym snem gdzieś w dżunglach Pandory, a jego ichtiomammal ciągle jeszcze zatacza kręgi w liliowej wodzie basenu.

W westybulu pawilonu Łowca znowu zatrzymał się i przysiadł na chwilę w lekkim foteliku stojącym w kącie. Środek jasno oświetlonej sali zajmowała wypchana latająca pijawka — „sora–tobu chiru” (świat zwierzęcy Marsa, System Słoneczny, typ wielostrunowce, gromada skórodyszne, rząd, rodzina, gatunek — „sora–tobu chiru”). Latająca pijawka była jednym z pierwszych eksponatów w Muzeum Kosmozoologii. Już od półtora wieku ten obrzydliwy potwór szerzył paszczę przypominającą wieiołupinową szczękę koparki, witając każdego, kto wchodził do pawilonu. Dziewięciometrowy, pokryty twardą lśniącą sierścią, beznogi, bezoki... Niegdyś władca Marsa.

Tak, różnie bywało na Marsie, myślał Łowca. Tego się nie zapomina. Pięćdziesiąt lat temu te bestie prawie całkowicie już wytepione, nieoczekiwanie znowu się rozmnożyły i zaczęły jak za dawnych lat uprawiać korsarstwo na szlakach komunikacyjnych łączących marsjańskie bazy. Wtedy właśnie przeprowadzono totalną obławę. Trząśłem się w crawlerze i prawie niczego nie widziałem w tumanach piasku, który wzbijały żelazne gaśienice. Z prawa i z lewa pędziły pustynne czołgi, wszyscy, którzy w nich siedzieli, zgłosili się na ochotnika. Jeden z czołgów wjechawszy na wydnię nagle się przewrócił i ludzie błyskawicznie wysypali się na piach, wtedy i my właśnie wyskoczyliśmy z chmury kurzu, a Ermier złapał mnie za ramię i wrzeszczał coś, wskazując przed siebie. Spojrzałem i zobaczyłem pijawki, setki pijawek — krążyły nad słonym jeziorem w dolinie między wydmi. Zacząłem strzelać, inni też zaczęli strzelać, a Ermier ciągle jeszcze nie mógł się uporać z raketomiotem własnej konstrukcji. Wszyscy na niego krzyczeli, wymyślali mu i nawet odgrażali się, że go pobiją, ale nikt nie mógł się oderwać od karabinu. Pierścień obławy zacieśniał się i widzieliśmy już błyski wystrzałów z crawlerów idących z przeciwnej strony, a wtedy Ermier przesunął pomiędzy mną a kierowcą zardzewiałą rurę swojej armaty, rozległa się potworna detonacja i ogłuszony i oślepiiony upadłem na dno crawlera. Jezioro zasnuł gęsty czarny dym,



wszystkie maszyny stanęły, ustała strzelanina, a ludzie tylko wrzeszczeli i wymachiwali karabinami. Ermier w ciągu pięciu minut zużył całą posiadaną amunicję, cawlery podjechały do jeziora, a my wysiedliśmy, żeby podobiać wszystko, co jeszcze ocalało po raketach Ermiera. Pijawki wiły się między czołgami, rozgniatały je gąsienice, a ja ciągle strzelałem, strzelałem... Byłem wtedy młody i bardzo lubiłem strzelać. Niestety, zawsze byłem świetnym strzelcem i nigdy nie chybiałem. A strzelałem nie tylko na Marsie i nie tylko do groźnych drapieżników. Lepiej by było, gdybym nigdy w życiu nie brał do ręki karabinu.

Łowca wstał, przeszedł obok wypchanego potwora i powlókł się wzdłuż galerii. Musiał wyglądać nieszczęśliwie, bo ludzie zatrzymywali się i patrzyli na niego zaniepokojeni. Wreszcie podeszła doń jakaś dziewczyna i nieśmiało zapytała, czy może mu być w czymś pomocna. „Zastanów się, co mówisz, dziewczyno” — powiedział Łowca. Uśmiechnął się z wysiłkiem, wsunął dwa palce w kieszonkę kurtki i wyciągnął precudowną muszlę z Jajły. „To dla ciebie — powiedział — przywiozłem ją z bardzo daleka”. „Bardzo źle pan wygląda” — powiedziała dziewczyna. „Nie jestem już miody, córeczko — odparł Łowca. — My, starzy, rzadko kiedy dobrze wyglądamy. Zbyt wielki ciężar muszą dźwigać nasze dusze”.

Dziewczyna z pewnością go nie zrozumiała, ale też Łowca bynajmniej tego nie pragnął. Poglaskał ją po głowie i poszedł dalej. Tylko że teraz wyprostował ramiona, starał się trzymać prosto i ludzie więcej się za nim nie oglądali.

Tego mi jeszcze brakuje, żeby dziewczęta się nade mną litowały, myślał. Zupełnie się rozkleiłem. Chyba już nie powinienem wracać na Ziemię. Powinienem na zawsze pozostać na Jajle, zamieszkać na brzegu Tysiąca Oparzelisk i zastawiać żaki na rubinowe węgorze. Nikt nie zna lepiej ode mnie Tysiąca Oparzelisk, tam byłbym na swoim miejscu. Jest tam wiele zajęć dla myśliwego, który nigdy nie strzela.

Łowca stanął. Zawsze zatrzymywał się w tym miejscu. W podłużnej szklanej skrzynce na kawałkach szarego piaskowca stała na trzech parach rozcapierzonych krzywych nóg pomarszczona, niepozorna, szarawa jaszczurka. Wśród zwiedzających szary sześcionóg nie wywoływał żadnych emocji. Tylko niewielu znało niezwykłą historię pomarszczonego gada. Ale Łowca ją znał i ilekroć tu przystanął, zawsze ogarniał go religijny nieomal zachwyty dla niepokonanej siły życia. Jaszczurka ta została upolowana w odległości dziesięciu parseków od Słońca, następnie spreparowana, wypchana i ustawiona tu, w Muzeum. Stała tak w gablocie przez dwa lata. I nagle pewnego pięknego dnia na oczach tłumu zwiedzających z pomarszczonej szarej skóry wylażyły dziesiątki maleńkich zwinnych sześcionogów. Co prawda w ziemskiej atmosferze wszystkie natychmiast poginęły, spaliły się w nadmiarze tlenu, ale szum się podniósł ogromny i zoologowie do dziś ciągle jeszcze się głowią, jak w ogóle mogło do tego dojść. Zaprawdę, życie jest tym jedynym, przed czym warto schylić czoło...

Łowca spacerował po galeriach przechodząc z pawilonu do pawilonu. Ostre afrykańskie słońce, dobre, gorące słońce Ziemi oświetlało oblane szklistym plastykiem zwierzęta zrodzone pod innymi słońcami, o setki miliardów kilometrów stąd. Łowca znał prawie wszystkie, widywał je wiele razy i nie tylko w Muzeum. Niekiedy zatrzymywał się przed nowymi eksponatami, odczytywał dziwaczne nazwy dziwacznych zwierząt i znajome nazwiska myśliwych. „Maltańska szpada”, „Kropkowany Jo”, „Wielki tsin–lin”, „Mały tsin–lin”, „Kapucyn błonkonogi”, „Czarne straszycło”, „Łabędź królowa”... Simon Kreutzer, Władimir Babkin. Bruno Belliard, Nicolas Drouot, Jean Saillieu–junior... Łowca znał ich wszystkich i był teraz spośród nich najstarszy, choć nie miał może najwięcej szczęścia. Ale szczerze się ucieszył, kiedy Saillieu–junior złowił wreszcie łuskowatego skrytoskrzela, kiedy Wołodia Babkin dostarczył na Ziemię żywego mięczaka szybownika, a Bruno Belliard ustrzelił w końcu na Pandorze nosogarba z białą błoną, na którego polował od wielu lat...

Wreszcie Łowca dotarł do dziesiątego pawilonu, w którym było niejedno jego własne trofeum. Zatrzymywał się teraz przy każdej prawie gablocie, wspominał. Oto „Latający dywan”, niekiedy zwany również „Spadającym liściem”. Przez cztery dni nie mogłem wpaść na jego trop. To było na Rużenie, gdzie tak rzadko padają deszcze, gdzie dawno, dawno temu zginął znakomity zoolog Ludwik Porta. „Latający dywan” porusza się bardzo szybko i ma wyśmienity słuch. Nie można na niego polować z pojazdu, trzeba go tropić dniem i nocą, szukając ledwie widocznych oleistych śladów na liściach drzew. Wytropiłem go i od tej pory nikomu innemu już się to nie udało. Saillieu, który bardzo mi tego zazdrościł, często później mawiał, że to był czysty przypadek. Łowca z dumą dotknął wygrawerowanych na tabliczce liter:

Schwycił i spreparował P. Gniedych. Strzelałem do niego cztery razy i ani razu nie chybiłem, ale on żył jeszcze, kiedy spadał na ziemię łamiąc gałęzie zielonopiennych drzew. To było za czasów, kiedy jeszcze strzelałem...

A oto ślepy potwór z przesyconych ciężką wodą bagien Władysławy. Ślepy i bezkształtny. Nikt nie wiedział naprawdę, jaki mu nadać kształt, kiedy wypychano skórę, wreszcie posłużono się najbardziej udaną fotografią. Goniłem go przez bagniska do brzegu, na którym zastawiłem kilka pułapek, wpadł do jednej z nich i długo potem ryczał wijąc się w czarnej cieczy. Trzeba było aż dwóch wiader beta–nowokainy, żeby go wreszcie uspić. To było całkiem niedawno, może dziesięć lat temu, wtedy już nie strzelałem... To jest przyjemne spotkanie.

Im dalej zagłębiał się Łowca w galerie dziesiątego pawilonu, tym powolniejsze stawały się jego kroki. Dlatego, że bardzo nie chciał iść dalej. Dlatego, że nie mógł nie iść dalej. Dlatego, że zbliżało się spotkanie najważniejsze. I z każdym krokiem przybierało na sile uczucie beznadziejnego niepokoju. A zza szkła już mu się przyglądały okrągłe białe oczy.

Jak zwykle podszedł do niewielkiej gabloty i przede wszystkim przeczytał napis na tabliczce, napis, który od dawna znał na pamięć: Zwierzęcy świat planety Crookesa, system Gwiazdy EN 92, typ — kręgowce, gromada, rząd, rodzina, gatunek — trójpalczak czteroręki. Upolował P. Gniedych. Spreparował dr A. Kasty lin. Potem Łowca podniósł oczy.

W przeszklonej gablocie na pochyło ustawionej, gładko wypolerowanej desce leżała mocno spłaszczona wzdłuż osi poziomej głowa, naga i czarna, z płaskim owalem twarzy. Skóra na przedniej części głowy była gładka i napięta jak na bębnie, nie było warg, nie było czoła, nie było nozdrzy. Były tylko oczy. Okrągłe, białe, o niezwykle szeroko rozstawionych maleńkich czarnych źrenicach. Prawe było lekko uszkodzone i to nadawało martwemu spojrzeniu dziwaczny wyraz. Lin był znakomitym fachowcem — dokładnie taki sam wyraz oczu miał trójpalczak, kiedy Łowca po raz pierwszy pochylił się nad nim w gęstej mgłę. To było dawno temu...

To było przed siedemnastu laty. Dlaczego to się musiało stać? pomyślał Łowca. Przecież wcale nie zamierzałem tam polować. Crookes stwierdził przecież, że na planecie nie ma wyższych form życia, znaleziono tylko bakterie i raczki lądowe. Niemniej kiedy Saunders poprosił mnie, żebym zbadał okolicę, zabrałem na wszelki wypadek karabin...

Nad kamiennymi osypiskami wisiała mgła. Wschodziło właśnie maleńkie czerwone słońce — czerwony karzeł EN 92 — i wydawało się, że mgła jest purpurowa. Pod miękkimi gąsienicami łazika osypywały się kamienie, z mgły wynurzały się po kolei niewysokie ciemne skałki. Potem coś się na szczycie jednej takiej skałki poruszyło i Łowca zatrzymał łazika. Z tej odległości trudno było zobaczyć zwierzę, a do tego jeszcze ta mgła i to niesamowite oświetlenie. Ale Łowca miał znakomite oko i był doświadczonego myśliwym. Było dla niego oczywiste, że po skałce maszeruje jakieś spore zwierzę, i Łowca ucieszył się, że zabrał ze sobą broń. „Zrobimy z Crookesa balona” — pomyślał wesoło. Otworzył klapę wjazdu, ostrożnie wysunął lufę karabinu na zewnątrz, wycelował. W chwili

gdy mgła nieco przerzedła i garbata sylwetka zwierzęcia ostro zarysowała się na tle czerwonego nieba — strzelił. I natychmiast z miejsca, w którym znajdowało się zwierzę, buchnął oślepiający fioletowy błysk. Rozległ się głośny trzask, a potem jakiś przeciągły syk. Potem zza żlebu uniosły się kłęby szarego dymu i przyciemniły różową mgłę.

Łowca bardzo się zdziwił. Doskonale pamiętał, że załadował karabin igłą anestetyczną, która w żadnym razie nie mogła spowodować takiego wybuchu. Po kilkuminutowym namyśle wyszedł z tankietki i udał się na poszukiwanie zdobyczy. Znalazł ją tam, gdzie spodziewał się ją znaleźć — na kamiennym osypisku pod skałą. Było to istotnie czworonożne albo czwororękie zwierzę wielkości dużego doga, ale tak straszliwie poparzone i okaleczone, że Łowca znowu się zdumiał na widok masakry, którą spowodowała zwykła anestetyczna igła. Trudno było sobie teraz nawet wyobrazić, jaki mógł być pierwotny wygląd zwierzęcia. Stosunkowo mało uszkodzona była tylko przednia część głowy — płaski owal, obciągnięty gładką skórą, i białe zagaste oczy.

Na Ziemi upolowanym zwierzęciem zajął się Kostylin. Po tygodniu zawiadomił Łowcę, że jego zdobycz jest bardzo uszkodzona i nie stanowi żadnej rewelacji — chyba że będzie się ją traktowało jako dowód istnienia wyższych form życia w systemach planetarnych czerwonych karłów — i poradził Łowcy, aby w przyszłości z termitowymi nabojami obchodził się ostrożniej. „Można by pomyśleć, że strzelałeś do niego ze strachu — powiedział rozdrażniony — zupełnie jak gdyby zamierzało na ciebie napaść”. „Ależ ja świetnie pamiętam, że strzelałem do niego igłą” — upierał się Łowca. — „A ja świetnie widzę, żeś je trafił termitową kulą w kręgosłup” — odpowiedział mu Lin. Łowca wzruszył ramionami i nie przeczył dłużej. Oczywiście, ciekawe byłoby dowiedzieć się, co spowodowało taką eksplozję, ale w końcu nie to jest przecież najważniejsze.

Tak, wtedy się wydawało, że to zupełnie nie ma znaczenia, rozmyślał Łowca. Wciąż jeszcze stał zapatrzony w płaską głowę zwierzęcia. Pośmiałem się z Crookesa, posprzeczałem się z Linem i zapomniałem o wszystkim. A potem przyszło zwątpienie, a w ślad za nim — nieszczęście.

Crookes zorganizował dwie wielkie ekspedycje. Przeszukał na swojej planecie olbrzymie przestrzenie. I nie znalazł ani jednego zwierzęcia, które przekraczałoby rozmiarami małego raczka. Za to na południowej półkuli, na skalistym płaskowzgórzu odkrył nie wiadomo czyje pole startowe — okrągłą płaszczyznę stopionego bazaltu o średnicy mniej więcej dwudziestu metrów. W pierwszej chwili to odkrycie wzbudziło zainteresowanie, ale później okazało się, że gdzieś w tym rejonie lądował Saunders na gwiazdolocie, który wymagał niewielkiego remontu, i wszyscy o odkryciu Crookesa zapomnieli. Wszyscy oprócz Łowcy. Ponieważ już w tym czasie zrodziły się pierwsze wątpliwości.

Kiedyś, przypadkiem, w leningradzkim Klubie Astronautów Łowca usłyszał historię o tym, jak to na planecie Crookesa omal nie spłonął żywcem inżynier pokładowy. Wyszedł na powierzchnię planety z uszkodzoną butlą tlenową. W butli był przeciek, a atmosfera planety Crookesa nasycona jest lekkimi węglowodorami, które gwałtownie reagują z tlenem. Na szczęście zdołali zerwać z chłopaka płonąca butlę i skończyło się tylko na lekkich poparzeniach. Łowca słuchał tej opowieści i przed jego oczyma pojawił się fioletowy błysk nad czarną skałą.

Kiedy na planecie Crookesa odkryto to nieznane pole startowe, wątpliwości przerodziły się w straszną pewność. Łowca popędził do Kostylina. „Kogo ja zabiłem?! — krzyczał. — To było zwierzę, czy człowiek? Lin, kogo ja zabiłem?” Kostylin słuchał i twarz nabiegała mu krwią, wreszcie ryknął:

„Siadaj! Przestań histeryzować jak stara baba! Jak śmiesz tak do mnie mówić? Myślisz, że ja, Aleksander Kostylin, nie jestem w stanie odróżnić istoty rozumnej od zwierzęcia?” „Ale to pole startowe!” „Sam lądowałeś na tym płaskowzgórzu razem z Saundersem”. „Eksplozja! Przestrzeliłem

mu butlę z tlenem!” „Nie trzeba było strzelać termitowymi nabojami w węglowodorowej atmosferze” „Nawet gdyby było tak, jak mówisz, to przecież Crookes nie znalazł tam ani jednego więcej trójpalczaka! Teraz wiem, to był obcy astronauta!” „Baba! — wrzeszczał Lin. — Histeryczka! Na planecie Crookesa mogą jeszcze przez najbliższe sto lat nie znaleźć ani jednego trójpalczaka! Ogromna planeta, pełna grot i pieczar, dziurawa jak ser szwajcarski! Miałeś po prostu szczęście, głupi durniu, tylko że nie umiałeś go wykorzystać, i zamiast zwierzęcia przywiozłeś mi trochę zwęglonych kości!”

Łowca zacisnął pięści, aż zatrzeszczały stawy.

— Nie, Lin — wymruczał. — Ja ci nie przywiozłem zwierzęcia, przywiozłem ci kości obcego astronauty...

Ile słów straciłeś niepotrzebnie, Lin! Ile razy mnie przekonywałeś! Ileż razy mi się wydawało, że wątpliwości minęły raz na zawsze, że znowu mogę oddychać spokojnie i nie czuć się mordercą. Że mogę żyć jak wszyscy ludzie. Jak te dzieci, które bawią się mimikrodonami. Ale sprytnym sylogizmem nie da się zabić zwątpienia.

Łowca położył dłonie na przezroczystym pudle i przywarł twarzą do plastiku.

— Kim jesteś? — zapytał z beznadziejnym smutkiem.

Lin zobaczył go z daleka i jak zawsze zrobiło mu się ogromnie żal tego śmiałego i wesołego niegdyś człowieka, załamane pod ciężarem własnego sumienia. Ale Kostylin udał, że wszystko jest w najlepszym porządku, że wszystko jest równie wspaniałe, jak wspaniałą jest słoneczny dzień nad Cape Town. Głośno postukując obcasami podszedł do Łowcy, poklepał go po plecach i umyślnie rzeźkim głosem zawołał:

— Koniec spotkania! Głodny jestem jak wilk, Polly! Idziemy teraz do mnie na pyszny obiad! Marta ugotowała dziś na twoją cześć prawdziwą ochsenschwanzsuppe! Chodźmy, Łowco, ochsenschwanzsuppe czeka!

— Chodźmy — cicho powiedział Łowca.

— Już dzwoniłem do domu. Nie mogą się doczekać, kiedy cię zobaczą, marzą o wysłuchaniu twoich opowiadań.

Łowca skinął głową i powoli poszedł w kierunku wyjścia. Lin popatrzył na jego przygarbione plecy i odwrócił się. Jego oczy napotkały martwe spojrzenie oczu zza przezroczystej tafli. „Porozmawialiście sobie?” — zapytał w milczeniu Lin. „Tak”. „Nic mu nie powiedziałeś”. „Nie”. Lin spojrział na tabliczkę... trójpalczak czteroręki. Upolował P. Gniedych. Spreparował dr A. Kostylin. Lin znowu obejrzał się na Łowcę i szybko, ukradkiem, dopisał palcem po słowie „czteroręki” słowo sapiens. Na tabliczce nie pozostał oczywiście żaden ślad, ale Lin i tak pośpiesznie przetarł ją dłonią.

Doktorowi Aleksandrowi Kostylinowi też było ciężko. On przecież wiedział z całą pewnością, wiedział od samego początku.

*Przełożyła Irena Lewandowska*

*Arkadij Strugacki*  
*Borys Strugacki*  
*Śmierć planetcziki*

# Eunomia. Niszczyciele planet

— Stażysta Borodin — powiedział Byków składając gazetę. — Stażysto, pora spać.

Jura wstał, zamknął książkę, zawahał się chwilę, po czym schował ją do szafy. Nie będę dziś czytał, pomyślał. Trzeba się wreszcie wyspać.

— Dobranoc — powiedział.

— Dobranoc — odparł Bykow i rozłożył kolejną gazetę. Jurkowski, nie odrywając się od papierów, zrobił ręką niedbały gest. Gdy Jura wyszedł, zapytał:

— Jak sądzisz, Aleksy, co on jeszcze lubi?

— Kto?

— Nasz kadet. Wiem, że lubi spawanie próżniowe i że potrafi to robić. Widziałem na Marsie. A co poza tym?

— Lubi dziewczęta — powiedział Bykow.

— Nie dziewczęta, lecz dziewczynę. Ma jej fotografię.

— Nie wiedziałem.

— Można się było domyślić. W wieku dwudziestu lat, wyruszając na daleką wyprawę, wszyscy biorą ze sobą fotografie, a potem nie wiedzą, co z nimi robić. W książkach piszą, że trzeba ukradkiem na nie patrzeć, a oczy przy tym mają być pełne łez albo przynajmniej zamglone. Tylko że na to zawsze brak czasu. Albo jeszcze czegoś innego, ważniejszego. Ale wróćmy do naszego stażysty.

Bykow odłożył gazetę, zdjął okulary i spojrzał na Jurkowskiego.

— Skończyłeś wszystko na dzisiaj? — spytał.

— Nie — powiedział Jurkowski z rozdrażnieniem. — Nie skończyłem i nie chcę o tym mówić. Od tych idiotycznych papierków spuchła mi głowa. Chcę odprężyć się. Czy możesz odpowiedzieć na moje pytanie?

— Najlepiej odpowie ci Iwan — powiedział Bykow. — Jura od niego nic odstępuje na krok.

— Ale Iwana tu nie ma, więc pytam ciebie, chyba wszystko jest jasne.

— Nie denerwuj się tak, Wołodia, rozboli cię wątroba. Nasz stażysta to jeszcze dzieciak. Umie pracować, ale niczego specjalnie nie lubi, bo jeszcze nie zna niczego. Lubi Aleksego Tołstoja. I Wellsa. A Galsworthy jest dla niego nudny. „Drogę dróg” też uważa za nudną. Poza tym bardzo lubi Żylina i nie lubi pewnego barmana w Mirza-Charlee. To jeszcze dzieciak. Nierozwinięty pączek.

— W jego wieku — powiedział Jurkowski — bardzo lubiłem pisać wiersze. Marzyłem, żeby zostać pisarzem. A potem przeczytałem w jakiejś książce, że pisarze są podobni do nieboszczyków: lubią, kiedy się o nich mówi dobrze albo wcale... Tak. Ale po co ja to wszystko mówię?

— Nie wiem — powiedział Bykow. — Moim zdaniem, po prostu chcesz się wymigać od pracy.

— O, nie, daj spokój... Tak! Interesuje mnie wewnętrzny świat naszego stażysty.

— Stażysta to stażysta — powiedział Bykow.

— Stażysta stażysty nierówny — zaoponował Jurkowski. — Ty też jesteś stażystą i ja jestem stażystą. Wszyscy jesteśmy stażystami w służbie przyszłości. Starymi stażystami i młodymi

stażystami. Całe życie odbywamy staż, każdy na swój sposób. A gdy umrzemy, potomkowie ocenią nasz trud i wydadzą nam dyplom na nieśmiertelność.

— Wydadzą albo nie — w zamyśleniu powiedział Bykow, patrząc w sufit. — Zazwyczaj, niestety, nie wydają.

— Cóż, to nasza wina, ale nie nasz kłopot. Nawiasem mówiąc, czy wiesz, kto zawsze dostaje ten dyplom?

— Kto?

— Ci, którzy wychowują następców. Tacy jak Krajuchin.

— Zapewne — powiedział Bykow. — Ale co ciekawe, tacy ludzie, w przeciwieństwie do wielu innych, wcale nie dbają o dyplomy.

— I niesłusznie. Interesowało mnie zawsze takie pytanie: czy z pokolenia na pokolenie stajemy się coraz lepsi? Właśnie dlatego zacząłem mówić ó naszym kadecie. Starcy mówią zawsze: „Ach, ta dzisiejsza młodzież! My, to dopiero byliśmy!”

— Tak mówią bardzo głupi starcy, mój drogi. Krajuchin tak nie mówił.

— On po prostu nie lubił teoretyzowania. Brał młodych, wrzucał ich do pieca i patrzył, co z tego wyjdzie. Jeśli nie ginęli w ogniu, uznawał ich za równych sobie.

— A jeśli ginęli?

— Z reguły tak nie było.

— A widzisz, sam odpowiedziałeś na swoje pytanie — powiedział Bykow i znów zabrał się do gazety. — Stażysta Borodin jest teraz w drodze do pieca, wygląda na to, że nie zginie w ogniu, spotkasz go za dziesięć lat, on cię nazwie starą piaskownicą i ty, jako uczciwy człowiek, będziesz musiał przyznać mu rację.

— Pozwól no — sprzeciwił się Jurkowski — przecież na nas spoczywa jakaś odpowiedzialność. Chłopaka trzeba czegoś uczyć!

— Życie go nauczy — krótko odpowiedział Bykow zza gazety. Do mesy wszedł Michał Antonowicz w piżamie, w kapciach na bosych nogach i z wielkim termosem w rękę.

— Dobry wieczór, chłopcy — powiedział. — Przyszła mi ochota na herbatkę.

— Herbatka, czemu nie? — ożywił się Bykow.

— Jak herbatka to herbatka — powiedział Jurkowski i zaczął sprzątać ze stołu swoje papiery.

Kapitan i nawigator nakryli stół, Michał Antonowicz nałożył konfitury na spodeczki, a Bykow nalał wszystkim herbaty.

— A gdzie Jurik? — spytał Michał Antonowicz.

— Śpi — odparł Bykow.

— A Waniusza?

— Na wachcie — cierpliwie odpowiedział Bykow.

— No to doskonale — powiedział Michał Antonowicz. Skosztował herbaty, zmrużył oczy i rzekł: — Chłopcy, nigdy nie wyrażajcie zgody na pisanie pamiętników. Zajęcie nudne jak flaki z olejem!

— Po prostu zmyślaj — poradził mu Bykow.

— Jak to?

— Tak jak to robią w powieściach: Młoda Marsjanka przymknęła oczy i podała mi półotwarte usta. Objąłem ją namiętnie.

— Całą — dodał Jurkowski.

Michał Antonowicz spiekł raka.

— Widzisz go, rumieni się, stary piernik — zawołał Jurkowski. — Oj, Misza, chyba masz coś na sumieniu! Bykow zachichotał i zakrzuszył się herbatą.

— Tfu! — powiedział Michał Antonowicz. — Pal was wszyscy diabli! — Pomyślał przez chwilę i nagle oświadczył: — Wiecie co, chłopcy? Rzucę w diabły to pisanie pamiętników. No i co mi zrobią?

— Poradź nam co innego — powiedział Bykow. — W jaki sposób wpłynąć na Jurę? Michał Antonowicz przestraszył się.

— A co się stało? Coś nabroił?

— Na razie nie. Ale Władimir uważa, że musimy na niego wywierać wpływ.

— Wydaje mi się, że i tak wywieramy. Waniuszy nie odstępował na krok, a ciebie, Wołodia, po prostu uwielbia. Ze dwadzieścia razy opowiadał, jak wszedłeś do pieczary z pijawkami.

Bykow podniósł głowę.

— Z jakimi pijawkami? — spytał.

W poczuciu winy Michał Antonowicz poruszył się niespokojnie.

— Ach, to legendy — powiedział Jurkowski nie mrugnawszy okiem. — To było jeszcze... eee... bardzo dawno. A więc pytanie: jak wywrzeć wpływ na Jurę? Chłopcu trafiła się jedyna w swym rodzaju okazja zobaczyć świat najlepszych ludzi. Z naszej strony byłoby po prostu... eee...

— Widzisz, Wołodia — powiedział Michał Antonowicz. — Jura to wspaniały chłopak. Bardzo dobrze wychowany przez szkołę. W nim już są... jak by to powiedzieć... załóżki dobrego człowieka. Zrozum, Jura nigdy nie pomylił dobra ze złem...

— Prawdziwy człowiek — powiedział z naciskiem Jurkowski — wyróżnia się szerokimi horyzontami.

— Słusznie, Wołodia — powiedział Michał Antonowicz. — A właśnie Jurik...

— Prawdziwego człowieka kształtują tylko prawdziwi ludzie, ludzie pracy, i tylko prawdziwe życie, bogate i trudne.

— Ale przecież nasz Jurik...

— Powinniśmy skorzystać z nadarzającej się sposobności i pokazać mu prawdziwych ludzi w prawdziwym, trudnym życiu.

— Słusznie, Wołodia, i jestem przekonany, że Jurik...

— Wybacz, Michale, ale jeszcze nie skończyłem. Otóż jutro przelecimy w śmiesznie małej odległości od Eunomii. Wiecie, co to jest Eunomia?

— Oczywiście — powiedział Michał Antonowicz. — Planetoida, półoś duży dwie całe i sześćdziesiąt cztery setne jednostek astronomicznych, mimośród...

— Nie o to chodzi — niecierpliwie przerwał Jurkowski. — Czy wiecie, że na Eunomii już trzy lata pracuje jedyna na świecie stacja fizyczna, zajmująca się badaniem grawitacji?

— No pewnie — powiedział Michał Antonowicz. — Przecież tam...

— Ludzie pracują tam w wyjątkowo trudnych warunkach — mówił Jurkowski natchnionym tonem. Bykow patrzył na niego uważnie. — Dwudziestu pięciu ludzi, mocni jak diament, mądrzy, odważni, rzekłbym nawet szaleńczo odważni! Kwiat ludzkości! Oto znakomita okazja, by zapoznać chłopca z prawdziwym życiem!

Bykow milczał. Michał Antonowicz powiedział zatroskanym tonem:

— Znakomita myśl, Wołodia, ale to już...

— I właśnie teraz zamierzają przeprowadzić nadzwyczaj interesujący eksperyment. Badają rozchodzenie się fal grawitacyjnych. Czy wiecie, co to jest planeta skazana na zagładę? Bryła skalna, która w wyznaczonej chwili zamienia się cała w promieniowanie! Widok nadzwyczaj pouczający!

Bykow milczał. Milczał również Michał Antonowicz.

— Zobaczyc prawdziwych ludzi w procesie prawdziwej pracy — czyż to nie piękne?



Bykow milczał.

— Sądzę, że dla naszego stażysty będzie to bardzo pożyteczne — powiedział Jurkowski i dodał ciszej: — Nawet ja nie miałbym nic przeciwko temu, by tam zajrzeć. Dawno interesuję się warunkami pracy niszczycieli planet.

Bykow odezwał się wreszcie.

— No cóż — powiedział. — To rzeczywiście ciekawe.

— O, z pewnością! — zawołał Jurkowski. — Myślę, że zajrzemy tam, co?

— Hm, taaak — wymamrotał Bykow.

— No to doskonale — powiedział Jurkowski. Spojrzał na Bykova i spytał: — Czy masz jakieś wątpliwości, Aleksy?

— Mam — powiedział Bykow. — Na mojej trasie jest Mars. Jest również Bamberga z jej parszywymi kopalniami. Jest kilka satelitów Saturna. Jest układ Jowisza. I jeszcze coś niecoś. Jednego tam nie ma. Nie ma tam Eunomii.

— No, jak by tu rzec... — spuszczać wzrok i bębniąc palcami po stole powiedział Jurkowski. — Przyjmijmy, Alosza, że to niedopatrzenie ze strony zarządu.

— Będziesz musiał, mój drogi, odłożyć odwiedziny Eunomii na następny raz.

— Czeka, czeka, Alosza... eee... Bądź co bądź jestem inspektorem generalnym, mogę zarządzić, postanowić...eee... w kwestii zmiany trasy...

— Od razu byś tak powiedział. A ty mi zawracasz głowę zadaniami wychowawczymi.

— No, zadania wychowawcze; to samo przez się... Tak.

— Nawigatorze — powiedział Bykow — generalny inspektor zarządził zmianę kursu. Obliczyć kurs na Eunomię.

— Tak jest — odparł Michał Antonowicz i spojrzał na Jurkowskiego zatroskanym wzrokiem. — Wiesz, Wołodia, z paliwem jest nietęgo. Eunomia to spory szmat dodatkowej drogi... Trzeba będzie dwa razy hamować. I jeden raz się rozpędzać. Szkoda, żeś tego nie powiedział tydzień wcześniej.

Jurkowski wyprostował się dumnie.

— Eee... słuchaj, Michał. Czy w pobliżu są automatyczne stacje paliwowe?

— Są, oczywiście — odrzekł Michał Antonowicz.

— No to paliwo będzie — powiedział Jurkowski.

— Jak będzie paliwo, to będzie Eunomia — powiedział Bykow, wstał i poszedł w stronę swego fotela. — No cóż, ja i Misza nakrywaliśmy stół, to teraz ty, inspektorze generalny, sprzątnij.

— Wolterianie — powiedział Jurkowski i zaczął sprzątać ze stołu. Bardzo się cieszył ze swego małego zwycięstwa. Bykow mógł go nie posłuchać. Kapitan statku, który wiezie inspektora generalnego, też ma wielkie pełnomocnictwa.

Obserwatorium fizyczne „Eunomia” poruszało się dokoła Słońca mniej więcej tam, gdzie była kiedyś planetoida Eunomia. Gigantyczna skała o średnicy dwustu kilometrów, w ciągu ostatnich kilku lat została prawie doszczętnie zniszczona podczas eksperymentów. Z planetoidy pozostał tylko rzadziutki rój stosunkowo niewielkich odłamków oraz siedemsetkilometrowa chmura pyłu kosmicznego — wielka srebrzysta kula, lekko już rozciągnięta siłami przyptywów. Samo obserwatorium fizyczne mało różniło się od ciężkich sztucznych satelitów Ziemi: był to układ torusów, walców i kuł, połączonych błyszczącymi linami, poruszających się dokoła wspólnej osi. W laboratorium pracowało dwudziestu siedmiu fizyków i astronomów, „mocnych jak diament, mądrych, odważnych”, czasem nawet „szaleńczo odważnych”. Najmłodszy z nich miał dwadzieścia pięć lat, najstarszy trzydzieści cztery.

Załoga „Eunomii” zajmowała się badaniem promieni kosmicznych, eksperymentalnym sprawdzaniem jednolitej teorii pola, próżnią, najniższymi temperaturami, kosmogonią eksperymentalną. Ogłoszono, że wszystkie niewielkie planetoidy w promieniu dwudziestu megametrow od „Eunomii” są skazane na zagładę; były już albo zniszczone, albo przeznaczone do zniszczenia. Zajmowali się tym głównie kosmogoniści i relatywiści. Niszczenie maleńkich planet odbywało się w różny sposób. Zamieniano je w rój kruszywa, w chmurę pyłu, w obłok gazu albo w błysk światła. Niszczono je w naturalnych warunkach i w silnym polu magnetycznym, momentalnie lub stopniowo, rozciągając proces na dekady i miesiące. Był to jedyny w układzie słonecznym poligon kosmogoniczny i jeśli teraz obserwatoria okołoziemskie stwierdziły wybuch nowej gwiazdy z dziwnymi liniami w widmie, to najpierw stawiano pytanie: gdzie jest teraz „Eunomia” i czy czasem nie w jej pobliżu zapłonęła nowa gwiazda? Międzynarodowy Zarząd Podróży Kosmicznych ogłosił okolice „Eunomii” strefą zamkniętą dla wszystkich regularnych planetolotów.

„Tachmasib” zastopował koło „Eunomii” na dwie godziny przed rozpoczęciem kolejnego eksperymentu. Relatywiści zamierzali zamienić w promieniowanie kamienny odłamek wielkości Ewerestu, o masie oznaczonej z dokładnością do kilku gramów. Kolejna planeta skazana na zagładę znajdowała się na peryferiach poligonu. Wysłano tam już dziesięć kosmoskafów z obserwatorami i aparaturą, tak że w obserwatorium pozostało tylko dwóch ludzi — kierownik i dyżurny dyspozytor.

Dyżurny dyspozytor powitał Jurkowskiego i Jurę koło kesonu. Był to człowiek chudy jak tyczka, bardzo blady i piegowaty. Oczy miał bladoniebieskie, patrzące obojętnie.

— Eee... dzień dobry — powiedział Jurkowski. — Jestem Jurkowski, inspektor generalny MZPK.

Wyglądało na to, że dla niebieskookiego chłopaka spotkania z inspektorami generalnymi nie były pierwszą. Spokojnie, bez pośpiechu obejrzał Jurkowskiego i powiedział:

— Cóż, proszę wejść.

Odwrócił się plecami do Jurkowskiego i kłapiąc magnetycznymi podeszwami, ruszył korytarzem.

— Chwileczkę! — zawołał Jurkowski. — A gdzie jest... eee... kierownik?

Niebieskooki chłopak nie odwracając się powiedział:

— Prowadzę was do niego.

Jurkowski i Jura ruszyli za nim. Jurkowski półgłosem powtarzał:

— Dziwne tu jednak, eee... obyczaje. Bardzo dziwne...

W końcu korytarza niebieskooki otworzył okrągły luk i wszedł weń. Jurkowski i Jura usłyszeli:

— Kostia, do ciebie...

Słysząc było, jak ktoś wołał dzwięcznym, wesołym głosem:

— Szósty! Szóstka! Szaleńcze, gdzie się pchasz? Zlituj się nad swymi dziećmi! Odsuń się na sto kilometrów, tam jest niebezpiecznie! Trzeci! Trzeci! Przecież powiedziałem ci po rosyjsku! Trzymaj się ze mną w jednej linii. Szósty, nie gderaj na szefa! Szef przejawia troskę, a ten niezadowolony!

Jurkowski i Jura wgramolili się do małej klatki, całej zastawionej aparaturą. Przed wypukłym ekranem wisiał chudy, bardzo śniady chłopak koło trzydziestki, w niebieskich pofałdowanych spodniach, w białej koszuli i czarnym krawacie.

— Kostia — powiedział do niego niebieskooki i zamilkł. Kostia zwrócił ku przybyłym wesołą, sympatyczną twarz z orlim nosem, kilka sekund przyglądał się im, uprzejmie się przywitał, po czym znów odwrócił się do ekranu. Na ekranie powoli przesuwano się po liniach sieci współrzędnych kilka jaskrawych, różnobarwnych punktów.

— Dziesiąty, dlaczego stanąłeś? Straciłeś zapał czy co? Ano, jeszcze trochę do przodu... Szósty, robisz sukcesy. Głowa mnie przez ciebie rozboleła. Ty co, postanowiłeś lecieć do domu, na Ziemię?

Jurkowski głośno kaszlnął. Wesoły Kostia wyjął z prawego ucha błyszczącą kulkę, odwrócił się do Jurkowskiego i spytał:

— Kim jesteście, drodzy goście?

— Jestem Jurkowski — znacząco powiedział Jurkowski.

— Jaki znów Jurkowski? — wesoło i niecierpliwie spytał Kostia. — Znałem jednego Jurkowskiego, Włodzimierza Siergiejewicza.

— To ja jestem — powiedział Jurkowski.

Kostia bardzo się uradował.

— Znakomicie! — zawołał. — W takim razie proszę stanąć przy tym pulpicie. Będzie pan kręcił czwartą gałką, napisane na niej arabską cyfrą „cztery”, tak żeby ta gwiazdka nie wychodziła z tego kółeczka...

— Przepraszam, ale jednak... — powiedział Jurkowski.

— Tylko proszę mi nie mówić, że pan nie zrozumiał! — zawołał Kostia. — Inaczej rozczaruję się do pana.

Niebieskooki chłopak podpłynął do niego i zaczął coś szeptać. Kostia wysłuchał go i zatkał ucho błyszczącą kulką.

— Niech mu to poprawi samopoczucie — powiedział, po czym głośno zawołał: — Obserwatorzy, słuchajcie mnie, znowu obejmuję komendę. Stoicie teraz świetnie, jak Zaporozcy na obrazie Riepina! Tylko nie dotykać więcej sterowania! Wyłączam się na dwie minuty. — Znowu wyjął błyszczącą kulkę. — A więc został pan inspektorem generalnym, Włodzimierzu Siergiejewiczu? — spytał.

— Tak, zostałem — powiedział Jurkowski. — I chciałbym...

— A kim jest ten młodzian? Czy to też inspektor generalny? Ezra — zwrócił się do niebieskookiego — niech Włodzimierz Siergiejewicz trzyma oś, a ty daj chłopcu jakąś pożyteczną zabawę. Najlepiej postaw go przy swoim ekranie, niech zobaczy...

— Może dadzą mi tu jednak dojść do słowa? — spytał Jurkowski w przestrzeń.

— Oczywiście, proszę mówić — rzekł Kostia. — Ma pan jeszcze całych dziewięćdziesiąt sekund.

— Chciałbym... eee... dostać się na jeden z kosmoskafów — powiedział Jurkowski.

— Oho! — powiedział Kostia. — Lepiej by pan zechciał dostać koło od trolejbusu. A jeszcze lepiej, gdyby pan chciał kręcić gałką numer cztery. Na kosmoskafy nawet ja nie mogę. Wszystkie miejsca zajęte, jak na koncercie Blumberga. Natomiast starannie kręcąc gałką, zwiększa pan dokładność eksperymentu o cztery procent.

Jurkowski wyniośle wzruszył ramionami.

— No dobrze — powiedział. — Widzę, że przyjdzie mi... A dlaczego... eee.... nie jest to u was zautomatyzowane?

Kostia już wkładał do ucha błyszczącą kulkę. Chudy jak tyczka Ezra, zadudnił, jakby mówił w beczkę.

— Aparatura? Paskudztwo. Przeszarżała.

Włączył wielki ekran i kiwnięciem palca przywołał do siebie Jurę. Jura podszedł do ekranu i spojrzał na Jurkowskiego. Ten, boleśnie marszcząc brwi, trzymał rękę na gałce i patrzył na ekran, przed którym stał Jura. Jura też spojrzał na ekran. Świeciło się tam kilka jasnych, okrągłych plamek, przypominających ni to kleksy, ni to kulki rzepu. Ezra tknął kościstym palcem jednej z plamek:

— Kosmoskaf — powiedział. Kostia znowu zaczął komenderować:

— Obserwatorzy, jeszcze nie śpicie? Co tam u was tak się ciągnie? Co, jeszcze czas? Sasza,

powinieneś spalić się ze wstydu, zostały zaledwie trzy minuty. Koryto? Ach, fotonowe koryto? To przybył do nas inspektor generalny. Uwaga, teraz poważnie. Pozostało trzydzieści... dwadzieścia dziewięć... dwadzieścia osiem... dwadzieścia siedem...

Ezra wskazał palcem na środek ekranu.

— Tu — powiedział.

Jura zaczął wpatrywać się w środek. Nic tam nie było.

— ...piętnaście... czternaście... Włodzimierzu Siergiejewiczu, proszę trzymać oś... dziesięć, dziewięć...

Jura wyteżał wzrok. Ezra również kręcił gałką, widocznie też trzymał jakąś oś.

— ...trzy... dwa... jeden... zero!

W środku ekranu zapalił się jaskrawy, biały punkt. Potem ekran stał się biały, oślepiająco biały i wreszcie czarny. Pod sufitem przenikliwie i krótko rozdzwoniły się dzwonki. Czerwone lampki na pulpicie koło ekranu zapaliły się i zgasły. I znów na ekranie pojawiły się okrągłe plamy, przypominające kulki rzepu.

— To wszystko — powiedział Ezra i wyłączył ekran.

Kostia zręcznie zsunął się na podłogę.

— Osi już można nie trzymać — powiedział. — A teraz rozbierajcie się, zaczynam przyjmować pacjentów.

— Co takiego? — spytał Jurkowski. Kostia wyciągnął spod pulpitu pudełko z pigułkami.

— Częstujcie się — powiedział. — To oczywiście nie czekolada, ale za to pożyteczniejsze.

Podszedł Ezra i w milczeniu wziął dwie pigułki. Jedną z nich podał Jurze. Jura niezdecydowanie spojrzał na Jurkowskiego.

— Pytam, co to jest? — powtórzył Jurkowski.

— Gamma–radiofag — wyjaśnił Kola. Spojrzał na Jurę. — Jedz, jedz, młodzieńcze — powiedział. — Dostałeś cztery remy i trzeba się z tym liczyć.

— Tak — powiedział Jurkowski. — Słusznie.

Sięgnął do pudełka. Jura wziął pigułkę do ust. Była bardzo gorzka.

— A więc, czym możemy służyć inspektorowi generalnemu? — spytał Kostia chowając pudełko z powrotem pod pulpit.

— Właściwie to chciałem... eee... być obecny przy eksperymencie — powiedział Jurkowski — no, a jednocześnie... eee... wyjaśnić sytuację na stacji... postulaty pracowników... czy wreszcie skargi... Co? Widzę na przykład, że laboratorium ma marną ochronę przed promieniowaniem... Ciasno tu. Kiepska automatyzacja, przestarzałe wyposażenie... Co?

Kostia powiedział z westchnieniem:

— Tak, to prawda, gorzka jak gamma–radiofag. Lecz jeśli pan spyta, na co się skarzę, to będę musiał odpowiedzieć, że na nic. Oczywiście skargi są. Na tym świecie nie może obejść się bez skarg. Ale to nie my się skarżymy, to na nas się skarżą. Zgodzi się pan jednak, że byłoby śmieszne, gdybym panu, inspektorowi generalnemu, opowiadał, dlaczego skarżą się na nas. Nawiasem mówiąc, czy nie chce pan jeść? To bardzo dobrze, że pan nie chce. W naszej spiżarni nic pan nie znajdzie. Najbliższy tankowiec z zaopatrzeniem przybędzie dziś wieczór lub jutro i proszę mi wierzyć, że to jest bardzo smutne, ponieważ fizycy przyzwyczaili się jadać codziennie i żadne błędy zaopatrzenia nie mogą ich tego oduczyć. No, a jeśli chce pan poważnie usłyszeć moje zdanie o skargach, to powiem panu krótko i jasno, jak ukochanej dziewczynie: ci dyplomowani bylejakierzy z naszego kochanego MZPK zawsze na coś się skarżą. Jeśli pracujemy szybko, skarżą się, że za szybko i szybko niszczymy drogocenną albo unikalną aparaturę, że u nas stale pożar i że oni nie nadążają. A jeśli pracujemy powoli...

Zresztą, co ja gadam? Jeszcze nie było takiego dziwaka, który by skarżył się, że pracujemy powoli. Nawiasem mówiąc, Włodzimierz Siergiejewicz, był pan przecież świetnym planetologiem, uczyliśmy się wszyscy z pana doskonałych książek i wszelkich sprawozdań! Po co pan poszedł do MZPK i jeszcze zajął się generalną inspekcją?

Oszołomiony Jurkowski patrzył na Kostię. Jura zastygł w napięciu, czekając, że za chwilę wybuchnie burza. Ezra stał i obojętnie mrugał żółtymi, krowimi rzęsami.

— Eee... — chmurnym tonem zaczął Jurkowski. — A właściwie dlaczego by nie?

— Zaraz panu wytłumaczę, dlaczego nie — powiedział Kostia i popchnął go palcami w pierś. — Pan jest wybitnym uczonym, ojcem współczesnej planetologii! Od dzieciństwa biła z pana fontanna pomysłów! Że gigantyczne planety powinny mieć pierścienie, że planety mogą kondensować się bez centralnej gwiazdy, że pierścień Saturna jest sztucznego pochodzenia — proszę zapytać Ezry: kto na to wszystko wpadł? Ezra odpowie bez namysłu:

Jurkowski! I wszystkie te smaczne kaski oddał pan na pożarcie makrełom, a sam został bylejakierem!

— Ależ skądże! — zaprzeczył Jurkowski dobrodusznie. — Jestem tylko... eee... zwykłym uczonym...

— Był pan zwykłym uczonym! Teraz jest pan, przepraszam za wyrażenie, zwykłym inspektorem generalnym. No, niech pan powie poważnie: po co pan tu przyjechał? Nie może pan ani zadać sensownego pytania, ani poradzić, a tym bardziej pomóc. No, powiedzmy, że z uprzejmości oprowadzę pana po laboratoriach, że będziemy chodzili jak dwaj lunatycy i ustępowali sobie miejsca przed każdym lukiem! I będziemy uprzejmie milczeli, gdyż pan nie wie, jak spytać, a ja nie wie(r), jak odpowiedzieć. Przecież żeby wytłumaczyć, co się dzieje na stacji, trzeba by zebrać dwudziestu siedmiu ludzi, a dwudziestu siedmiu ludzi nie wejdzie tutaj nawet przez szacunek do inspektora generalnego, bo jest ciasno, jeden nawet mieszka w windzie...

— Niesłusznie pan sądzi... eee... że to mnie cieszy — przerwał mu Jurkowski oficjalnym tonem. — Mam na myśli takie... eee... przeludnienie stacji. O ile wiem, stacja obliczona jest na załogę pięciu grawimetrystów. I gdyby pan jako kierownik stacji pilnował przestrzegania obowiązujących przepisów, zatwierdzonych przez MZPK...

— Ależ Włodzimierzu Siergiejewiczu! — zawołał wesoły Kostia. — Towarzyszu inspektorze generalny! Przecież ludzie chcą pracować! Grawimetryści chcą pracować? Chcą. A relatywiści? Też chcą. Już nic nie mówię o kosmogonistach, którzy wdarli się tu dosłownie po moim trupie. A na Ziemi jeszcze z półtorej setki ludzi wścieka się z niecierpliwości... Wielkie mi coś, nocować w windzie! Co, mamy czekać, aż MZPK zakończy budowę nowej stacji? Nie, Planetolog Jurkowski rozumowałby zupełnie inaczej. Nie miałby do mnie pretensji o przeludnienie. Nie żądałby, żebym mu wszystko wytłumaczył. Tym bardziej że nie jest Heisenbergiem i zrozumiałby najwyżej połowę. Nie, Planetolog Jurkowski powiedziałby: Kostia! Potrzebuję eksperymentalnej podbudowy do mojej nowej, wspaniałej idei. Weźmy się za to, Kostia! Wtedy ustąpiłbym panu swoje posłanie, sam bym zajął windę awaryjną i pracowalibyśmy razem dopóty, dopóki wszystko nie stałoby się jasne jak wiosenny poranek. A pan przyjeżdża wysłuchiwać skarg. Jakie mogą być skargi człowieka zajętego interesującą pracą?

Jura westchnął z ulgą. Burza jednak nie wybuchła. Twarz Jurkowskiego stawała się coraz bardziej zamyślona, a nawet smutna.

— Tak — powiedział wreszcie. — Chyba ma pan rację... eee... Kostia. Rzeczywiście, nie powinienem był przyjeżdżać tutaj w takim... eee.. charakterze. I ja... eee.... zazdroścę panu, Kostia. Z panem popracowałbym z przyjemnością. Ale... eee.... są stacje... eee.... i stacje. Nie

wyobraża pan sobie, Kostia, ile skandalicznych nieporządków można znaleźć jeszcze w naszym systemie. Właśnie dlatego Planetolog Jurkowski musiał... eee... zostać generalnym inspektorem Jurkowskim.

— Skandalicznymi nieporządkami — wtrącił Kostia — powinna zająć się policja kosmiczna...

— Nie zawsze — odparł Jurkowski — niestety, nie zawsze. Na korytarzu coś szczęknęło i załomotało. Rozległo się beładne człapanie podków magnetycznych. Ktoś wrzasnął:

— Koostia! Jest wyprzedzenie! O trzy milisekundy!...

— O! — powiedział Kostia. — Wracają moi robociarze, zaraz będą chcieli jeść. Ezra — spytał — jak tu im delikatnie dać do zrozumienia, że tankowiec przybędzie dopiero jutro?

— Kostia — powiedział Jurkowski — dam wam skrzynkę konserw.

— Wolne żarty! — ucieszył się Kostia. — Pan jest genialny. Dwa razy daje, kto prędko daje. Proszę uważać, że jestem panu winien dwie skrzynki konserw.

Przez luk jeden po drugim przecisnęło się czterech ludzi i w pomieszczeniu od razu zrobił się tłok. Jurę zepchnęli w kąt i zagrodzili szerokimi plecami. Dobrze widział tylko wąską potylicę Ezry i jego rozwichrzoną czuprynę, czyjąś wygoloną jak łysina czaszkę i jeszcze czyjś muskularny kark. Poza tym Jura widział nogi — znajdowały się nad głowami; ogromne buciory z błyszczącymi, startymi podkowami przesuwwały się ostrożnie w odległości dwóch centymetrów od wygolonej czaszki. W prześwitach chwilami widział orli profil Kostii i brodatą fizjonomię czwartego robociarza. Jurkowskiego nie było widać, prawdopodobnie też go gdzieś zepchnęli. Mówili wszyscy naraz.

— Rozrzut punktów jest bardzo mały. Liczyłem na chybcika, ale trzy milisekundy to zupełnie pewne.

— Ale jednak trzy, nie sześć!

— Nie o to chodzi! Ważne, że powyżej granicy błędu!

— Żeby tak anihilować Marsa, to by była dokładność!

— O, tak, można by wtedy wyrzucić połowę grawiskopów.

— Paskudny przyrząd ten grawiskop. Kto go też wymyślił?

— Podziękuj, że choć taki jest. Czy wiesz, jak robiliśmy to dawniej?

— Patrzcie, grawiskopy już mu się nie podobają!

— A czy dostaniemy coś do zjedzenia?

— A propos jedzenia. Kostia, zjedliśmy już cały radiofag.

— Taaak, dobrze, że przypomniałeś. Kostia, daj nam tabletki.

— Chłopaki, zdaje się, że zełgałem. Nie trzy milisekundy, ale cztery.

— Wszystko to zawracanie głowy. Daj Ezrze, niech obliczy porządnie.

— Racja... Ezra, weź to, kochany, ty masz najzimniejszą krew, mnie się ręce trzęsą z chciwości.

— Dzisiejszy wybuch był niesłychanie piękny. O mało nie oślepiłem. Lubię wybuchy z anihilacją! Czuję się wtedy stwórcą, człowiekiem przyszłości...

— Słuchaj, Kostia, co tam gadał Pagawa, że teraz będą tylko wybuchy ogniskowe? A my to co?

— Masz sumienie? Myślisz, że to jest obserwatorium grawitacyjne? A kosmogoniści to chłopcy na posyłki?

— Oj, Fanas, lepiej nie wdawaj się w kłótnie. Było nie było, Kostia jest szefem. A do czego jest szef? Po to, żeby było sprawiedliwie.

— To po co nam w takim razie szef — swój człowiek?

— Oho! Więc ja już się wam nie podobam? Co to jest, bunt? Gdzie moje botforty, mankiety z brabanckich koronek i pistolety?

- Nawiasem mówiąc, ja bym coś zjadł.
- Policzyłem — powiedział Ezra.
- No i co?
- Nie poganiajcie go, on tak szybko nie może.
- Trzy i osiem dziesiątych.
- Ezra! Każde twoje słowo jest na wagę złota!
- Błąd plus minus dwa i dwie dziesiąte.
- Nasz Ezra zrobił się dzisiaj gadatliwy! Jura nie wytrzymał i szepnął Eźrze na ucho:
- Co się stało? Dlaczego wszyscy się tak cieszą? Ezra odwrócił nieco głowę i wybębnił:
- Uzyskaliśmy wyprzedzenie. Udowodniliśmy. Grawitacja rozchodzi się. Szybciej niż światło.

Po raz pierwszy wykazaliśmy;

— Trzy i osiem — oznajmił chłopak z ogoloną głową. — To znaczy, że utarliśmy nosa temu bylejakierowi z Leningradu, jak go tam zwał...

— Świetny początek. Teraz by tylko coś zjeść, wymordować kosmogonistów i wziąć się naprawdę do roboty.

— Posłuchajcie, uczeni, dlaczego nie ma tu Kramera?

— Bujął, że ma dwie puszki konserw. Szuka ich teraz w swoich starych szpargałach. Zrobimy ucztę głodomorów, po jednej puszcze na czternastu chłopca.

— Głodomorów i ubogich duchem.

— Ciszej, uczeni, zaraz was pocieszę.

— O jakich konserwach bujał Walerka?

— Krążą plotki, że ma puszkę kompotu brzoskwińskiego i puszkę kabaczków...

— Żeby tak kielbaskę...

— Będziecie mnie słuchać, czy nie? Hej, wy, uczeni, bacność! O, właśnie tak. Pragnę was zawiadomić, że jest wśród nas inspektor generalny Włodzimierz Siergiejewicz Jurkowski. Raczył nam ofiarować skrzynkę konserw ze swego stołu!

— Cooo? — powiedział ktoś;

— Nie, to już nawet niedowcipne. Kogo trzymają się takie żarty?

Z kąta rozległo się:

— Eee... dzień dobry.

— Ba! Włodzimierz Siergiejewicz? Jak to się stało, żeśmy pana nie zauważyli?

— Schamieliśmy tu, bracia niszczyciele planet!

— Włodzimierzu Siergiejewiczu! Czy to prawda z tymi konserwami?

— Szczera prawda — powiedział Jurkowski.

— Hura!

— Jeszcze raz...

— Hura!

— Jeszcze raz...

— Huraaaa!

— Konserwy są mięsne — powiedział Jurkowski. W pomieszczeniu rozległ się jęk zgłodniałych.

— Ech, że też tu nieważkość! Takiego człowieka trzeba podrzucać w górę, na rękach nosić! W otwarty luk wsunęła się jeszcze jedna broda.

— Co tak ryczycie? — spytała ponuro. — Wyprzedzenie otrzymaliśmy, a czy wiecie, że nie ma co żreć? Tankowiec przykuśtyka dopiero jutro.

Przez chwilę wszyscy patrzyli na brodę. Człowiek z muskularnym karkiem powiedział smętnie:

— Poznaję kosmogonistę po wykwintnych wyrażeniach.

— Może pošlemy go po konserwy?

— Paweł, przyjacielu — powiedział Kostia — zaraz pójdiesz po konserwy. Idź, włóż skafander próżniowy. Brodacz spojrział nań podejrziwie.

— Jura — powiedział Jurkowski — odprowadź towarzysza na „Tachmasiba”. Nie, lepiej sam pójde.

— Dzień dobry, Włodzimierzu Siergiejewiczu — powiedział brodacz rozpluwając się w uśmiechu. — Jak pan do nas trafił?

Odsunął się od luku, robiąc Jurkowskiemu przejście. Wyszli.

— Jurkowski to wspaniały człowiek. Dobry człowiek.

— A po co przyjechał do nas na inspekcję?

— Nie na inspekcję. O ile dobrze zrozumiałem, przyjechał z ciekawości.

— A, to co innego.

— Czy nie mógłby czegoś zrobić w sprawie rozszerzenia programu?

— Rozszerzenie programu swoją drogą. Żeby tylko nie obciął nam etatów. Pójde sprzątnąć swoją pościel z windy.

— Tak, inspektorzy nie lubią, żeby ludzie mieszkali w windach!

— Uчени, nie bójcie się. Wszystko mu już powiedziałem. On nie taki. To przecież Jurkowski!

— Chłopcy, poszukajmy stołówki. W bibliotece ją urządzić, czy co?

— W bibliotece wszystko pozostawiali kosmogoniści. Wszyscy po kolei zaczęli wyłazić przez luk. Człowiek z muskularnym karkiem podszedł do Kosti i powiedział cicho:

— Kostia, daj mi jeszcze jedną pigułkę. Mdli mnie coś.

Eunomia pozostała daleko za nimi. „Tachmasib” trzymał kurs na planetoidę Bambergę — królestwo tajemniczej „Space Peari Limited”. Jura obudził się w środku nocy — bolało go i swędziało ukłucie pod łopatką, męczyło go straszne pragnienie. Usłyszał ciężkie, nierówne kroki w korytarzu. Wydało mu się nawet, że słyszy stłumiony jęk. Duchy, pomyślał z irytacją, tylko tego brakowało. Nie schodząc z posłania uchylił drzwi i wyrzwał. Na korytarzu, dziwnie przechylony na bok, stał Jurkowski w swym wspaniałym szlafroku. Twarz miał obrzmiałą, oczy zamknięte. Oddychał szybko i ciężko przez skrzywione usta.

— Włodzimierzu Siergiejewiczu! — zawołał przestraszony Jura. — Co panu jest?

Jurkowski szybko otworzył oczy i spróbował wyprostować się, lecz zgięło go znów.

— Ciicho! — powiedział pospiesznie i groźnie, po czym krzywiąc się podszedł do Jury. Jura odsunął się i przepuścił go do kajuty. Jurkowski starannie zamknął drzwi i ostrożnie usiadł obok Jury.

— Dlaczego nie śpisz? — spytał szeptem.

— Włodzimierzu Siergiejewiczu, co panu jest? — wyszeptał Jura. — Źle się pan czuje?

— Głupstwo, to wątroba. — Jura z przerażeniem patrzył na jego ręce, konwulsyjnie przyciśnięte do boku, jak skamieniałe. — Zawsze mi dokucza, przekłeta, po udarze promiennym... A jednak dobrze, że byliśmy na Eunomii. Oto ludzie. Jura, prawdziwi ludzie! Robociarze. Czyści. I żadni bylejakierzy im nie przeszkodzą — ostrożnie oparł się plecami o ścianę i Jura szybko podsunął mu poduszkę. — Śmieszne słowo „bylejakierzy”, prawda, Jura? Ale teraz niedługo zobaczymy innych ludzi... Całkiem innych... Zgnilizna, draństwo... Gorszi od marsjańskich pijawek... Ty oczywiście nie spotkasz się z nimi, ale ja będę musiał... — Zamknął oczy. — Jura... wybac... ja, być może, tu... zasnę... Wziąłem... lekarstwo... Jeśli zasnę... idź... spać do mnie...

*Przełożył Michał Wołodźko*





*Ariadna Gromowa*  
*Oczeń cudiesnyj mir*

# Bardzo dziwny świat

Ogromna biała gwiazda stała w zenicie, promienie jej były niezdolnie jasne i palące. Trzeba było włączyć na pełną moc regulatory światła i temperatury, które zużywały mnóstwo energii. Może należało nałożyć hermetyczne skafandry, ale przecież wysłane na zwiady roboty wróciły z zupełnie innymi danymi — promienie gwiazdy padały wtedy na tę część planety z ukosa, sponad horyzontu, i wydawało się, że są nieszkodliwie ciepłe...

— Co za dziwna planeta! — powiedział Młodszy. — Oślepiające światło, upał i ta mordercza, zatruta atmosfera... Czy tu naprawdę mogą żyć jakieś rozumne istoty?

— Są na pewno dostosowane do życia w tych warunkach — spokojnie zaproponował Starszy. — Ucz się myśleć w skali kosmosu... — Popatrzył przez gęstą plataninę gałęzi i sztywnych jasnych liści na rozległą równinę zalaną białym światłem, na jarzące się oślepiająco jezioro. — Musimy zejść niżej, w cień tego wzgórza. W przeciwnym wypadku regulatory zużyją całą energię, jaką dysponujemy, zanim dowiemy się czegokolwiek i cokolwiek zrozumiemy.

Chwyając się szorstkich gałęzi krzewów, wysokich rurkowatych łodyg traw o długich obwisłych liściach zeszli w dół. Od razu poczuli się lepiej. Od jeziora wionęło rześkim wilgotnym chłodem, głęboki cień wzgórza skrywał ich przed palącymi promieniami.

Z ulgą usiedli w gęstej wysokiej trawie — była twardawa, sprężysta. Rozejrzeli się. Nad nimi nieruchomo zwisały okrągłe mięsiste liście jakiegoś krzaka — czy też może jakiejś gigantycznej trawy? — liście te miały grube zielone łodygi. Były wielkie, pokrywał je gęsty jasny puszek poprzecinany wyrazistą siatką grubych wypukłych żyłek. Łodygi także pokrywał puch. Młodszy dotknął takiego liścia.

— Przypomina mi to roślinność Estry — powiedział. — Ale tam jest przecież zimno, znacznie zimniej niż u nas. A tu, w takim upale, po co im ta osłona?

— Tak, wygląda to dziwnie — odpowiedział Starszy. — Tym bardziej że inne rośliny jej nie mają. Chociaż... ta na przykład ma...

Popatrzyli na niedużą roślinę o jasnych błyszczących liściach — od spodu pokrywał je gęsty białawy puszek.

— Jedne osłaniają się tylko od dołu, inne ze wszystkich stron, a większość nie ma żadnej osłony. Dlaczego? — zastanawiał się Młodszy.

— Daj spokój — poradził mu Starszy. — Widocznie bronią się w jakiś inny sposób. Zresztą nie o to chodzi. Bardziej mnie interesuje, gdzie są gospodarze planety?

— A jeżeli Główny się pomylił i nie ma tu żadnych istot rozumnych? — zapytał melancholijnie Młodszy.

— A satelity? Przecież są sztuczne — przypomniał mu Starszy. — A i tutaj... Widzisz tę drogę? Jest zbyt prosta i zbyt równa jak na naturalną.

— To prawda — niechętnie przyznał Młodszy. — Ale wiesz, to może być wymarła cywilizacja. Powiedzmy, że nagle zakłócona została równowaga biosfery, zwiększyła się na przykład

przejrzystość atmosfery albo zmienił się jej skład i oni nie zdołali się przystosować... Przecież sam widzisz, jakie jaskrawe jest tu światło, jak gęste powietrze...

— Okropnie lubisz fantazjować — skrytykował go Starszy. — Przecież z rakiety widziałeś ogromne skupiska mieszkalne, sztuczne światło...

— Sztuczne światło może się palić także i po zagładzie tych, którzy je stworzyli — upierał się Młodszy. — A takie skupiska domów, jeżeli oczywiście są to domy, mogą być świadectwem katastrofy. Przewidzieli grożące im niebezpieczeństwo i zaczęli się gromadzić w jakichś określonych miejscach... Być może, chcieli zbudować sobie schrony ze sztucznym klimatem, ale już nie zdążyli.

— Może i masz rację — zgodził się bez przekonania Starszy. — W każdym razie to dziwne, że do tej pory żaden się nie pojawił.

— Tak, przecież nie mogli nas nie zauważyć. Jeśli oczywiście żyją,

— Mogli nas nie widzieć — zaprotestował Starszy. — To zależy od tego, jak zbudowany jest ich organ wzroku. Dawniej tego u nas nie rozumiano, w każdym razie, póki nie zaczęły się loty kosmiczne. Jesteś młody. Wylądowałem na Ankrze, kiedy cię jeszcze nie było na świecie. Z początku mieszkańcy Ankry nie widzieli nas ani nie słyszeli. A myśmy widzieli ich zupełnie inaczej, niż wyglądali w rzeczywistości, ich głosy ogłuszały nas. Musieliśmy zastosować transformatory optyczne i akustyczne, dopiero wtedy uzyskaliśmy szansę nawiązania kontaktu. Mieszkańcy tej planety także widzą swój świat zupełnie inaczej niż my.

— Jest zatem możliwe, że ich po prostu nie widzimy! — zawołał Młodszy z przerażeniem. — A tymczasem oni są tuż obok nas?

— Nie... Nie sądzę. Na Ankrze wiedzieliśmy, bardzo dobrze wiedzieliśmy, że jej rozumni mieszkańcy są w pobliżu, wiedzieliśmy to nawet wtedy, kiedy nie nauczyliśmy się jeszcze widzieć ich naprawdę. Oni także wyczuwali naszą obecność. Dla nich to było pierwsze spotkanie z mieszkańcami innego świata. Dobrze, że mieliśmy już niejakie doświadczenie, inaczej nic by z tego wszystkiego nie wyszło... Jak dotąd nie ma tu nikogo. To znaczy — nie ma tu żadnych istot rozumnych...

— Spójrz! — powiedział nagle Młodszy. — Co to?

W górze, na niebie, płynnie i szybko przesuwał się podłużny skrzydlaty kształt, skrzydła były nieruchome, wygięte ku tyłowi. Kształt ów jarzył się w białych promieniach nieubłaganego blasku.

— Ptak? Nie, to nie ptak. Skrzydła są nieruchome. A poza tym — ten metaliczny połysk... — głośno myślał Młodszy.

— Oczywiście, to nie jest żywe stworzenie, lecz jakaś aparatura latająca. Słyszysz?

Podłużny kształt już znacznie się oddalił, był niemal niedostrzegalny, niknął w jasności dnia i dopiero teraz doganiając go dał się słyszeć głuchy, narastający grzmot — przelewał się przez niebo w ślad za malejącą sylwetką.

— Leci z szybkością naddźwiękową. W tak gęstej atmosferze! — skonstatował Starszy. — A ty wątpieś, czy są tu istoty rozumne?

— Tak... — powiedział cicho Młodszy. — Ale... Ale, wiesz, zaczynam się obawiać spotkania z nimi.

— Dlaczego? — zdziwił się Starszy.

— Przez cały czas mam uczucie, że coś nie jest w porządku. Wydaje mi się, że coś wisi w powietrzu... coś niebezpiecznego. Czuję to przez cały czas.

— Sprawdź — poważnie powiedział Starszy. — Wierzę w te wasze nowe metody, chociaż sam ich nie stosuję, jestem już za stary, żeby przestawić organizm na inny reżym. Ale wierzę w nie, choćby dlatego, że nasz Główny — wtedy nie był jeszcze Głównym — uratował nam wszystkim

życie, kiedy byliśmy na planecie Rinkri. Dzięki tym wszystkim nowym metodom. Szybkościowe strojenie psychologiczne, katalizatory wrażeń... Pamiętam.

Zginęlibyśmy, nie zdążywszy nawet zrozumieć, co się z nami dzieje, gdyby nie on. Przedtem sądziłem, że to jedna z tych bzdurnych nowinek, ale teraz wierzę.

Młodszy szedł powoli — brzegiem jeziora, często przystawał i wpatrywał się w wodę, w zarośla, w trawę. Starszy wyczuwał napięcie i niepokój swego towarzysza i to go trochę męczyło. Pomyślał, że jest już zbyt stary na loty międzygwiazdne, choć te loty są teraz tak krótkie. Męczy go nawet kontakt z młodą, aktywniejszą niż jego własna, psychiką. Może to już ostatni mój lot. Ostatnia planeta, jaką oglądam. Ostatnie istoty rozumne z innych światów — myślał Starszy. — Czemu on się niepokoi! Czyżby te istoty były zdolne napaść nas niespodziewanie, tak jak tamte na Rinkri? Ale tam panowała epidemia, oni na przemian to popadali w zupełne otępienie; to znów opanowywał ich ślepy, niepoohamowany gniew... A tu? A jeśli to powietrze... Przypomniał sobie, że po wyjściu z rakiety raz tylko otworzył zawór skafandra i raz tylko wciągnął w płuca to gęste, ostre, odurzające powietrze, a wtedy o mało nie stracił przytomności. Analiza dostarczonych przez roboty próbek wykazała, że atmosfera tutejsza nie jest trująca, ale przesycona tlenem, należy zatem pozostać w skafandrach. Jeśli to powietrze... Ale nie, przecież oni mieszkają tu stale i zdołali się do niego przystosować — ale jeżeli rzeczywiście zaszły tu jakieś nagłe zmiany w biosferze...

— Zdaje się, że już rozumiem, w czym rzecz — powiedział zbliżając się Młodszy. — Chodź, coś ci pokażę. Spójrz choćby tu.

Starszy spojrzał i cofnął się ze wstrętem.

— To prymitywne formy życia — stwierdził po chwili milczenia.

— Tak. Ale przecież pożerają się wzajemnie. I popatrz, z jakim okrucieństwem! Widzisz? Te małe czarne rzuciły się kupą na tego dużego skrzydlatego. On jest martwy, a one go pożerają.

— No to co? Gdyby to były istoty rozumne...

— Może są rozumne — sprzeciwił się Młodszy. — Popatrz, przecież działają w wysoko zorganizowany sposób. I, patrz, mają tu dom! O, tam, pod tym dużym krzakiem. A może to całe miasto?

— Fantazujesz. Tak by miały wyglądać istoty rozumne? Przecież to przypomina nasze owady.

— A mieszkańcy Ankry? Co sobie o nich z początku myślałeś?

— W każdym razie nie braliśmy ich za owady. Po prostu, no, niedokładnie ich widzieliśmy... To zupełnie coś innego.

— Być może — powiedział Młodszy, śledząc ożywiony ruch wśród czarnych istotek. — Ale to bardzo duże owady, bardzo duże...

— Tutaj przecież wszystko jest bardzo duże. To planeta gigantów. Jej rozumni mieszkańcy z pewnością będą dwa lub trzy razy więksi niż my. Popatrz na te kwiaty, na tę trawę. I cóż za zadziwiająca siła witalna! Widzisz, korzenie tej rośliny rozłupały kamień. Ostre światło, pod dostatkiem ciepła i wilgoci, zwiększone napromieniowanie, niewyobrażalne zagęszczenie tlenu... tak, życie tutaj musi się rozwijać znacznie bujniej niż u nas, jego formy muszą być znacznie różnorodniejsze. I właśnie dlatego tutejsze życie wydaje nam się drapieżne, okrutne, agresywne...

Łopocąc jaskrawo rozmalowanymi wzorzystymi skrzydłami przeleciał nad nimi dziwny stwór o smukłym, pokrytym puchem tułowiu. Od jego wypukłych błyszczących oczu — odbijało się światło napływające z nieba. Starszy zapatrzył się na cudaczny, trzepotliwy lot tego dziwnego stworzenia. Ale nagle z góry dobiegł jakiś szum, głuchy gwizd rozcinanego gęstego powietrza. Wielki ciemny cień prześliznął się nad nimi, rozłożył szeroko gładkie skrzydła, rozdziawiła się trójkątna paszcza pełna twardych narośli, dał się słyszeć wstrętny chrzęst i ciemny cień znów wystrzelił ku górze

unosząc trzepoczącą się bezradnie istotę o pstrych skrzydłach.

— Tak, życie jest tu rzeczywiście intensywne! — stwierdził ironicznie Młodszy. — A teraz chodźmy tam — poprowadził Starszego na sam brzeg jeziora. — Popatrz, tu jeszcze lepiej widać rę siłę witalną. Spójrz w wodę, tu, przy samym brzegu.

Nad połyskliwą wodą tańczyły małe leciutkie owady. Przy brzegu było płytko, dno porastała gęsta trawa. W podwodnych zaroślach tkwiło w bezruchu dziwaczne stworzenie o gładkiej lśniącej skórze — miało płaską głowę i szeroki otwór gębowy. Jego lśniące boki wydymały się miarowo. Kolor owego stworzenia nieomal uniemożliwiał odróżnienie go od tła podwodnych traw. Jego głowa odrobinę wystawała z wody, oczy były wybałuszone i wydawało się, że są martwe. Gdy tylko zbliżyły się szybujące owady, z szerokiej paszczy błyskawicznie wytrysnął wąziutki błyszczący języczek i nieostrożne tancerki przylgnęły doń i zniknęły w czeluściach rozwartej paszczęki. Stworzenie to działało sprawnie jak precyzyjny mechanizm.

— Pierwszy stopień... prawdopodobnie pierwszy... — powiedział Młodszy. — Teraz popatrz na tego stwora. Cóż za konstrukcja!

Dalej wzdłuż brzegu stała zwarta ściana wysokich roślin o gładkich pniach i długich jedwabistych i błyszczących liściach. Ściana ta sięgała daleko w jezioro. Pośród tych liści głupawo sterczał gigant cudem utrzymujący się na jednej długiej i cienkiej nodze. Jego niewiarygodnie długi i wyostrzony nos wycelowany był w wodę. Stwór ów raptem szybko uderzył nosem w wodę i natychmiast poderwał głowę. W zaciśniętej paszczy trzepotało i wymachiwało długimi łapami takie samo lśniące stworzenie jak to, które łowiło małe owady przy brzegu. Stwór odrzucił głowę do tyłu i zaczął żywcem pożerać nieszczęsne zwierzątko. Starszy odwrócił się.

— Popatrz tam — powiedział Młodszy.

Po wodzie pływały inne jeszcze ptaki — niewielkie, eleganckie, o płaskich szerokich nosach.

— Widzisz, tam, z boku, jest matka z całą rodziną. — Młodszy wskazał ptaka, wokół którego krążyły pstre puszyste pisklęta. — Dopiero Co było ich sześć, teraz jest tylko pięć. Patrz na tego, który płynie ostatni.

Pisklę pisnęło słabo i żałośnie, zadarło krótkie skrzydełka i nagle zniknęło pod wodą. Po wodzie rozeszły się kręgi, a potem na powierzchni rozpląnęła się niewielka czerwona plama.

— Co o tym powiesz? — zapytał Młodszy.

— Dziwi cię to? Na niższych stopniach rozwoju można się z tym zetknąć dosyć często. Przecież byłeś na Mitegrze, widziałeś sam.

— Mitegra to zupełnie inna sprawa! — zaprotestował Młodszy. — Tam eliminowano degeneratów, którzy przeszkadzali normalnemu rozwojowi.

— No, nie zawsze można się w tym tak łatwo połapać. Okrucieństwo na Mitegrze było przerażające.

— A tu, gdzie całe powietrze przesycone jest mordem? Przecież tutaj zabójstwo jest prawem natury! Czy tego nie widzisz? Jakaż tu może być cywilizacja? Nawet na Mitegrze nie było cywilizacji.

— A paistry?

— Paistry! Paistry prawie się nie różniły od dinków, a dinki...

— Dinki miały wskaźnik mniejszy od jedności. Doskonale o tym wiesz. A paistry przekroczyły jedność. :

— Tylko najzdolniejsze egzemplarze! — zaprotestował Młodszy. — Sam skontrolowałem całe plemię, które mieszkało nad wielką rzeką na zachodzie. Mniej więcej co dwunasty miał wskaźnik wyższy niż jeden. Reszta była na poziomie dinków. Zresztą to nie o to chodzi. Tak czy owak na

Mitegrze obserwowaliśmy zaledwie pierwsze kroki cywilizacji i baliśmy się nawet, że jej rozwój pójdzie w niewłaściwym kierunku... właśnie z powodu tego ich okrucieństwa... A poza tym — skąd wiesz, że spotkaliśmy tu właśnie niższe formy życia? Być może, że te ptaki... albo te czarne owady, które żyją w tak wielkich koloniach...

— A po co ptakom aparaty latające? Cóż to, czy nie potrafią latać?

— A po co nam aparaty, które służą do poruszania się po równej powierzchni? Przecież potrafimy się po niej poruszać i bez nich — zaprotestował Młodszy. — Zresztą nie twierdzą bynajmniej, że te ptaki czy te owady to właśnie rozumni mieszkańcy tej planety. Chciałem tylko powiedzieć, że istnieje i taka możliwość. A także — że tutejsze biorą udział w tym okrutnym drapieżnym kołowrocie. Pomyśl, jak może wyglądać cywilizacja na takiej planecie?

— Bardzo różnie — odparł zniecierpliwiony Starszy. — Niesłusznie zakładasz istnienie tak prostych związków między prawami obowiązującymi w przyrodzie a prawami, którymi się rządzi wyżej rozwinięte społeczeństwo. Dzięki rozumowi mogli się wznieść ponad to, przerwać ten krąg okrucieństwa i tępienia się nawzajem.

Ale mówiąc to bał się w głębi ducha, że Młodszy ma rację. Ta obfitość światła, ciepła, wilgoci, która zrodziła trik bujne i tak niepohamowane życie, być może, rzeczywiście popychała wszystko, co żyje, do walki, włączała w nieustający krąg wzajemnego unicestwiania się. Być może działało się tak wszędzie, nawet na najwyższych stopniach rozwoju... Zupełnie inaczej niż na ich ojczystej planecie, gdzie wszystko, co żyje, związane jest nierozzerwalnym łańcuchem i może istnieć tylko w warunkach nienaruszalnej pokojowej symbiozy. Wszystko — zwierzęta i ptaki, i owady, i rośliny — zależy od siebie nawzajem, ale ta zależność polega na wzajemnym wzbogacaniu się, a nie na unicestwianiu...

— Zdaje mi się, że trzeba włączyć lanti — powiedział Młodszy. — Nie zajdziemy daleko przy takim upale, a termoregulATORY pochłoną co najmniej tę samą ilość co lanti.

— Spróbujemy. Nie wiemy jeszcze, czy oni mogą nas widzieć. Kiedy dam sygnał, natychmiast włączaj migotanie i ląduj.

Przesunęli w prawo małe dźwignie na miękkich tarczach, umieszczonych na piersiach, i dolne części ich ciał osnuły się na wpół przezrystymi obłoczkami. Potem oderwali się od ziemi i poszybowali nad jeziorem, nad zaroślami, łagodnym łukiem omijali wzgórze. I Starszy, i Młodszy patrzyli uważnie na dziwny nieznaną świat, który rozciągał się pod nimi.

Kiedy znaleźli się po tamtej stronie wzgórza, stało się jasne, że cywilizacja na tej planecie nie tylko zdążyła się ukształtować, ale żyje nadal, nie zniszczyło jej, jak się tego obawiał Młodszy, owo wzajemne unicestwianie się tutejszych mieszkańców. Wzdłuż dróg, po których pędziły wyjące maszyny, stały szeregi słupów połączonych ze sobą wieloma rzędami mocno napiętych nici metalowych. Młodszy chciał się zbliżyć do tych słupów, by zbadać, co to takiego, ale Starszy go powstrzymał.

— Być może, że zachował się u nich jeszcze taki archaiczny sposób przesyłania energii na odległość. Gdzieś o tym czytałem... Chyba było coś w tym rodzaju na planecie Niebieskich Gór.

— Więc to niezbyt wysoko rozwinięta cywilizacja — stwierdza z przekonaniem Młodszy.

— Rozwój może być nierównomierny... — zaprotestował Starszy. — Uwaga! Zdaje się, że to oni... Włączaj migotanie! Ląduj tam, w tych zaroślach nad rzeką.

Przesunęli dźwignienki ku dołowi i nacisnęli małe guziczki po lewej stronie tarczy. Na wpół przezrocyste obłoczki zaczęły szybować w dół, a wokół przybyszów wytworzyło się migotanie o wysokiej częstotliwości, rozmyło kontury ich ciał, które przemieniły się w mieniące się, opalizujące plamki, nie sposób było je zauważyć w jasnym świetle dziennym. Wylądowali w zaroślach na brzegu powolnej przezrystej rzeki i zaczęli obserwacje.

Ci, których dostrzegł z góry Starszy, zbliżali się do rzeki. Poruszali się powoli i dość niezręcznie. Ich ciała okryte były czymś w rodzaju skafandrów, ale głowy i przednie kończyny mieli obnażone. Przybysze wpatrywali się w nich z uwagą.

— Myślisz, że to właśnie oni? Tacy niezgrabni, tacy źle przystosowani?... — cicho zapytał Młodszy. — Jak oni w ogóle zachowują równowagę, przecież są cudacznie wyciągnięci ku górze? Popatrz na te przednie kończyny. Są chwytne. Ale co za żałosny kształt!

— Nie są wcale tak źle skonstruowani — zaprotestował Starszy. — Gorzej jest z ich głowami. Jak sądzisz, co to za obrzeżone otwory po bokach? To organ słucho, czy co? A poza tym odnoszę wrażenie, że widzą tylko z jednej strony, jak zresztą wszystkie tutejsze stworzenia. Mają specjalne organy wzroku, jak ci z Ankry. Te błyszczące otworki na przedniej części głowy, to ich oczy. Widzisz, kiedy chcą zobaczyć, co jest z tyłu, muszą się odwrócić.

— Ależ oni są olbrzymi, ależ ogłuszające mają głosy — powiedział Młodszy — Zobaczysz, że są tak samo okrutni jak wszystko na tej planecie.

Olbrzymie długonogie istoty przeszły koło nich rozmawiając głośno. Starszy włączył psychosyntezyzator, ale z przetłumaczonych urywków zdań prawie niczego nie zrozumiał. Tylko jedno było jasne — Jest im gorąco i są źli.

— Patrz, tam, za nami — szepnął nagle Młodszy. — Co to? Z rzeki gramoliły się na brzeg trzy istoty podobne do tych, które minęły ich przed chwilą, ale znacznie mniejsze i bez skafandrów. Krople wody błyszczały na ich gładkiej skórze. Istoty położyły się na porośniętym trawą brzegu i zaczęły szybką, ożywioną rozmowę. Ich głosy były wysokie. Syntezyzator tłumaczył: „Zimna woda, Nie, po prostu za długośmy w niej siedzieli. Patrz, poszli... (tu syntezyzator opuścił kilka wyrazów, zasygnalizował tylko, że to imiona własne). Wczoraj złapał dużo ryb. Mojej matce dał (syntezyzator skomentował, że nie chodzi tu o „dawanie” w normalnym znaczeniu, to coś bardziej skomplikowanego). Swojemu... (znowu imię własne) też dał tyle ryb, że teraz leży i nawet ogonem nie machnie”.

— Czyżby oni mieli ogony? — zapytał Młodszy, który uważnie śledził tłumaczenie syntezyzatora. — Być może niektórzy z nich mają — powiedział bez przekonania Starszy.

— Ci nie mają. Co to za jedni, jak myślisz, czy to jakiś inny ich gatunek?

— Raczej niedorozwinięte osobniki.

— A może to dzieci?

— Dzieci także miałyby skafandry... O, popatrz, ubierają się. Więc to jednak dzieci. Ale dlaczego zdejmują skafandry, kiedy wchodzi do wody?

— Być może, że woda jest ich naturalnym środowiskiem i nie im w tym żywiole nie zagraża. Ale co to znaczy: „złapał ryby”? I dał je na jakichś warunkach matce tego stworzenia? I jeszcze nakarmił nimi kogoś, kto ma ogon? Czy to dziecko także jadło rybę?

— Sam przecież mówiłeś, że oni też muszą być włączeni w ten obieg...

— Tak, ale jednak nie wszystko rozumiem. Przypuśćmy, że oni się odżywiają właśnie rybami. Czyżby naprawdę mieli tak prymitywne pożywienie? Każdy z nich łapie ryby, zjada je, czasem karmi nimi innych... Widzieliśmy wielkie skupiska domów... Nawet jeśli wzniesiono je nad wielką rzeką, to przecież ryb dla wszystkich nie wystarczy. I kto w takim razie buduje i obsługuje wszystkie urządzenia, kto wychowuje dzieci i młodzież, kto się troszczy o ich zdrowie, skoro każdy sam się musi martwić o swoje pożywienie i zdobywać je w tak prymitywny sposób?

— Nie wiem — Starszy nadal słuchał tłumaczenia. — Nie, wątpię, żeby robili to z konieczności. Zapewne sprawia im to... przyjemność. Łowią ryby w wolnych chwilach.

— No widzisz! — triumfował Młodszy. — Mają naturę drapieżników. Patrz, te większe



rozsiadły się nad rzeką. Podejdźmy do nich bliżej.

Biała gwiazda pochylała się już ku widnokręgowi, kiedy przybysze wyszli z nadbrzeżnych zarośli i znowu włączywszy lanti ruszyli w stronę pobliskiego skupiska dziwacznych wielokątnych budowli. Byli wstrząśnięci.

— Nic nie mogę zrozumieć — powiedział Starszy. — Nigdzie niczego podobnego nie widziałem. Widocznie w tych naczyniach, które przynieśli, jest jakaś trucizna, która działa przede wszystkim na świadomość. Widziałeś? Ich ruchy stały się mniej skoordynowane, świadomość się zamgliła, impulsy agresywne wyraźnie się wzmogły. Kiedy ten najwyższy uderzył tamtego w głowę, a tamten upadł, pomyślałem... — zająknął się.

— Ja też pomyślałem, że zacznie go pożerać. To by w każdym razie było logiczne, choć straszne. Ale on nawet nie dotknął tego leżącego bez przytomności, tylko usiadł i pił nadal trujący płyn. Dlaczego?

— Tak... A u niektórych spośród nich wcale się nie wzmogły impulsy agresywne, tylko raczej instynkty towarzyskie, co prawda chaotyczne...

— W pierwszej chwili myślałem, że chce zabić jeszcze jednego... Kiedy rzucił się na niego i objął go przednimi kończynami i zaczął ścisnąć... i obaj tak krzyczeli.

— Tak... A potem tak długo wyli wszyscy naraz... Cóż za dziwne zachowanie! Nie mogę zrozumieć, po co oni to wszystko robią. A teraz śpią.

— A może jednak któryś z nich się obudzi i pożre pozostałych? Chociaż... nie, nie wygląda mi na to.

Powoli przelatowali nad wierzchołkami wysokich drzew. Młodszy wpatrzył się w zielony gąszcz, a potem nagle pośpiesznie rzucił się do przodu.

— Bardzo dziwny świat — powiedział ze smutkiem, kiedy Starszy się z nim zrównał. — Ptaki, małe ptaki karmią swoje pisklęta owadami! Nieustannie znoszą im żywe owady, a te maleństwa pochłaniają takie ich ilości... W pewnym gnieździe duże pisklę na moich oczach wypchnęło drugie pisklę, które spadło i zabiło się... Nie boisz się zbliżyć do tych domów?

— Sądzę, że oni nas nie widzą — powiedział bez przekonania Starszy. — A zresztą, być może, lepiej będzie, jeżeli poczekamy, aż gwiazda skryje się za horyzontem. Istoty, które mają tak zbudowany organ wzroku, zazwyczaj nie rejestrują promieni podczerwonych, po zachodzie gwiazdy powinny widzieć bardzo źle.

Wylądowali na skraju lasu i przeczekali tam do zmroku. Potem ruszyli do miasta. Im bliżej byli domów, tym wolniej i ostrożniej się poruszali. Kiedy znaleźli się na wąskich ulicach miasta, zrozumieli niebawem, że nikt ich właściwie nie widzi ani nie słyszy. W wątłym świetle zmierzchu wydawali się mieszkańcom miasta jakimś skupiskiem ledwie widocznych mętnych i porozrzucanych plamek. Raz zainteresowało się nimi jakieś powoli wędrujące stworzenie o siwej głowie, był to najwidoczniej stary osobnik. Przez pewien czas osobnik ten wędrował w ślad za nimi, przyglądał się im, ale coraz częściej potracali go inni, nie wiadomo dokąd śpieszący mieszkańcy, aż wreszcie przystanął, zgubili mu się. Ich także potracano brutalnie, niekiedy nawet boleśnie, zapragnęli się więc wydostać na mniej uczęszczane ulice. Nie można było włączyć lanti — pomiędzy domami porozpinana była gęsta siatka metalowych nici, przez którą trudno byłoby przeniknąć ku górze, byłoby to zresztą niebezpieczne, widzieli już bowiem, że tymi nitkami rzeczywiście przekazuje się energię.

Wreszcie, zmęczeni i porządnie poobijani, znaleźli się na przestronnym placu i odetchnęli swobodniej. Wielka gwiazda całkowicie się już skryła za linią horyzontu, na niebie były teraz widoczne inne dalekie gwiazdy, które prawie wcale nie dawały światła, potem wypłynął na niebo wąski biały sierp, zalał wszystko niewyraźną zimną poświatą. Przybysze zobaczyli, jak niepewnie

poruszają się tubylcy. Oni sami natomiast widzieli nadal wszystko — domy, maszyny i tutejsze stworzenia promieniowały w podczerwieni, a poruszanie się w świetle promieni podczerwonych nie było bynajmniej trudniejsze niż za dnia. Nawet łatwiejsze. Upał zelżał, powoli milkły ogłuszające dźwięki, które jeszcze tak niedawno wypełniały wąskie szczeliny między domami — głosy, łoskot maszyn, stukoty, piski i wycie dysharmonijnej w odczuciu przybyszów muzyki. Miasto się uciszało, jego mieszkańcy coraz to rzadziej przemykali ulicami, zapalały się i znowu gasły przezroczyste prostokątne otwory w ścianach domów.

Po drugiej stronie placu znajdował się wielki ogród. Było w nim prawie zupełnie ciemno, ciemność panowała na jego bocznych drogach, tylko główne oświetlone były szeregami niezbyt jasnych latarni. Mieszkańcy miasta wchodzili do tego ogrodu, rozchodzili się po nim. Przybysze kryjąc się w cieniu drzew ruszyli za największą grupą tubylców. Znaleźli się w części ogrodu, która ze wszystkich stron ogrodzona była jakimiś dziwnymi płaskimi przedmiotami. Zbadawszy te przedmioty skonstatowali, że są to sztucznie dzielone pnie drzew. Z drzew również zrobione były długie rzędy siedzeń, które zajmowały całą przestrzeń między ogrodzeniami. Z przodu, dość wysoko, białął prostokątny ekran.

— Jak oni lubią kanty! — westchnął Młodszy. Nieraz już miał okazję przekonać się, jak twarde potrafią być takie kanty. — Czyż można porównywać te zimne bezduszne linie z naszymi łagodnymi zaokrągleniami? Jak sądzisz, gdzieśmy się znaleźli? — Ponad ławeczkami pobiegł w kierunku ekranu szeroki snop światła, ekran zajaśniał, wystąpiły na nim jakieś duże znaki. Starszy nie odważył się na włączenie syntezatora — zbyt dużo tu było tuziemców — więc przybysze nie zrozumieli znaczenia tych znaków. Ale potem zjawiły się na ekranie ruchome obrazy i przybysze siedzieli zapatrzeni.

Obrazy te były płaskie, czarno—białe, dźwięk również był niedoskonały i zawsze dobiegał z jednego tylko punktu, wszystko to było niezmiernie staroświeckie w porównaniu z tym, do czego byli przyzwyczajeni, a więc w porównaniu z trójwymiarowym, plastycznym w ruchach obrazem w naturalny sposób zsynchronizowanym z dźwiękami, zapachami, dającym pełne złudzenie materialnej rzeczywistości. Ale i tu, w tych umownych, płaskich i pozbawionych koloru obrazach dawało się wyczuć piękno prawdziwej sztuki i przybysze potrafili docenić to piękno, choć to nie tyle ono, ile żądza poznania sprawiała, że tak uważnie śledzili dzieje bohaterów na ekranie. Obejrzeni do końca jeden film, zostali jeszcze i na drugim, po czym wyszli, czując, że ich umysły pełne są sprzeczności i niejednoznacznych odczuć. Nie chcieli im się teraz opuszczać miasta, tak spokojnego i cichego o tej porze, śpiącego i bardziej zrozumiałego niż za dnia. Położyli się pod krzakami, na zimnej ostrej trawie przy ciemnej bocznej alejce.

— Tak, to bardzo zawiła cywilizacja. Rozwijają się z trudem, z niewiarygodnym trudem, niełatwo im się uwolnić od strasznego dziedzictwa, które pozostawiła im okrutna przyroda tej planety. Nic dziwnego, że są pełni sprzeczności... — mówił Młodszy.

— Tym bardziej zasługują na zbadanie — powiedział Starszy.

— Tylko na zbadanie? Czy nie wolno nam im dopomóc choćby tylko trochę?

— Nie, nie wolno nam. Wiesz przecież, że to jest niedozwolone. Nie możemy zakłócać naturalnego toku rozwoju cywilizacji. A w ogóle jesteś nazbyt impulsywny. Przecież jeszcze niedawno nienawidziłeś tubylców. Czuję to.

— To prawda — przyznał Młodszy. — Ale przecież miałem wystarczające powody także i do nienawiści, czyż nie? Dopóki się nie zrozumie, jak oni tu żyją...

— Nie polubiłem ich nawet, jak ich trochę lepiej poznałem. Nadal są nam obcy. Ale zachwycają mnie. Rozumiem, jak im jest trudno. Słabsi ulegliby w takich warunkach, kaleczą się do krwi, znow się podnoszą, ale idą. Wydaje mi się, że to warte uznania. Wierzę, że zdołają odnieść zwycięstwo

nad sobą, że wyzbędą się tych okrutnych zgubnych sprzeczności.

— To możliwe. Ich siła witalna jest bardzo potężna — powiedział z zadumą Młodszy. — Gdybyśmy mieli taką... zresztą nie jest nam potrzebna.

— Taka siła rodzi się w walce z przeciwnościami. Na szczęście nie musieliśmy zdobywać takiej niesłychanej wytrzymałości, takiej umiejętności dostosowywania się do warunków.

— Tak. Czy pamiętasz tego, który odmawiał spożywania posiłków i zupełnie opadł z sił? Oni powinni przecież jadać trzy razy na dobę. A on nie jadł przez wiele dni i żył nadal.

— Ale przecież to, przeciwko czemu protestował, już nie istnieje, prawda? — zapytał Starszy. — To był najwyraźniej film historyczny. Czy też pokazują go potajemnie, kiedy jest ciemno?

— Nie, w otaczających nas tubylcach nie wyczułem ani napięcia, ani strachu — zaprotestował Młodszy. — Denerwowali się, ale tylko dlatego, że dzielali uczucia bohatera filmu. Widocznie ten sposób sprawowania rządów należy już do przeszłości. Artyści zresztą byli ubrani inaczej niż się ubierają dzisiejsi mieszkańcy miasta. Jak nazywali tego głównego władcę? Zdaje się, że Tsaar? No więc tego Tsaara już na pewno nie ma. Ale za to wojna... Pamiętasz te straszliwe sceny w pierwszym filmie? Co za potworna i wymyślna technika służy wzajemnemu mordowaniu się! Trudno uwierzyć, że wymyśliły to istoty rozumne...

— Tylko istoty rozumne mogły to wymyślić — cicho powiedział Starszy. — Sądzisz zatem, że taka wojna może się jeszcze powtórzyć?

— Tak. Docierało do mnie promieniowanie psychiki widzów, bardzo wielu z nich było zaniepokojonych. Bali się. To niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło.

— A czy zrozumiałeś, jaka jest przyczyna tego dziwnego zjawiska? Czy to epidemia?

— Nie. Tego nie zrozumiałem. Być może, że to epidemia. Choć wątpię. Ale musimy rozstrzygnąć ten problem. Bo przecież, jeśli to jest choroba, to powinniśmy interweniować, prawda?

— Tak, oczywiście... — Starszy milczał przez chwilę — Więc już nie uważasz, że cywilizacja tutejsza jest ogniwem w łańcuchu wzajemnego unicestwiania się? Przecież patrząc na rzeczy w ten sposób, nietrudno by było wyjaśnić przyczyny powstawania wojen. Można nawet założyć, że wojna powinna trwać nieustannie to przygasając, to znowu wybuchając z nową siłą. To logiczniejsze niż teoria epidemii. Ale w takim razie nie mamy prawa wtrącać się do tych spraw.

Młodszy długo się zastanawiał. Kontakt z nim tym razem nie męczył Starszego — to już nie były eksplozje żywiołowych emocji, ale wytężona i rytmiczna praca myśli. Kontakt z tym jasnym teraz i zdyscyplinowanym umysłem sprawiał przyjemność.

— Masz rację, nazbyt ulegam emocjom — powiedział wreszcie Młodszy. — Teraz jednak spróbowałem usystematyzować wrażenia, jakich doznałem na tej planecie, i wydaje mi się, że słuszna jest hipoteza, którą zbudowałeś na samym początku. Tak, oni są włączeni w krąg morderstw, każdy osobnik od chwili narodzin jest w to włączony, każda gałąź tutejszego drzewa genetycznego. I niezmiernie im trudno wyrwać się z tego kręgu. Ale oni — na razie tylko najlepsi z nich — dzięki potędze swojej myśli i swojej świadomej woli usiłują się jednak z niego wyrwać. Ich sztuka także skierowana jest przeciwko morderstwom, przeciwko złej woli, przeciwko gwałtowi i przemocy.

— To ich sztuka przekonała cię o tym?

— Tak, przede wszystkim sztuka. Przecież bardzo mało ich jeszcze znamy.

— Tak, bardzo mało. A jeśli ich sztuka wyraża tylko nierealne marzenia wybrańców... a raczej nie wybrańców tylko odszczepieńców? Tych osobników, którzy czują swoją straszliwą samotność wśród brutalnego, przepychającego się, wiecznie dokąds się śpieszącego tłumu, który oszałamia się truciznami, aby uzyskać złudzenia szczęścia?

Młodszy znowu długo milczał.

— Zastanawiasz się, czy to, co mówię, jest dostatecznie przemyślane. Masz do tego prawo — zapalczywie wypowiadałem wiele lekkomyślnych sądów, popadałem w skrajności. Powtórzyłeś zresztą jedno ze stadiów moich przemyśleń o tutejszej cywilizacji. Tak, myślałem o tamtych na brzegu rzeki i pomyślałem — cóż dla nich znaczy sztuka? Ale potem przypomniałem sobie tych, którzy wraz z nami patrzyli na ekran. Było ich znacznie więcej, dla nich sztuka była czymś żywym, czymś nieodzownym. O nie, tak namiętna, tak bardzo pewna słuszności swoich celów sztuka nie mogła się zrodzić w oderwaniu od życia całego społeczeństwa.

Usłyszeli ciche, powolne kroki i u wylotu owej bocznej alejki zobaczyli dwie dziwne świetliste sylwetki.

— Włączę psychosyntezy — powiedział Starszy kryjąc się w gąszczu. — Zrobimy jeszcze jedno doświadczenie. Ostatnie. Czas już na nas, musimy wracać.

Świetliste sylwetki zbliżyły się do nich. Być może, że przybysze zdążyli się już przyzwyczaić do tuziemców, w każdym razie ta para nie wydała im się ani brutalna, ani niezręczna, choć osobniki były wysokie i dziwaczne, niestabilnie zbudowane. Para usiadła na ławeczce i zdziwieni przybysze zobaczyli, że ciała tubylców mogą się zginać i załamywać w najprzedziwniejszych miejscach, jak gdyby były na zawiasach. A jednak przybysze dostrzegali w tych cudacznych ruchach swoistą grację i wyrazisty rytm. Ale pierwsze słowa, które zamieniła owa para, sprawiły, że przybysze przywarli do syntezy.

— To wina wojny!

— Gdyby mój ojciec wrócił z wojny, wszystko ułożyłoby się inaczej...

Starszy śledząc ich promieniowanie zorientował się, że są to młode, pełne sił osobniki. I że się kochają. Już poprzednio zauważył, że rozumne istoty na tej planecie są dwupłciowe, a teraz wywnioskował, że osobniki siedzące na ławeczce reprezentują różne płci — ich kształty i ich głosy różniły się od siebie. Starszy podsumował znane sobie fakty i w myślach zaczął nazywać tego wyższego, mocniej zbudowanego, którego głos składał się z niższych tonów — „On”, a drugą istotę, drobniejszą i krągłą, o śpiewnym wysokim głosie nazwał „Ona”.

— Ale teraz już nie będzie wojny. Ludzie jednak zmądrzeli — powiedziała Ona.

— Kto wie? Niektórzy są zdania, że człowiek wcale się nie zmienia nawet w porównaniu z zamierzchłą starożytnością. A w każdym razie są to zmiany nieistotne, nie są to zmiany na lepsze.

— Tak mówią reakjoniści.

— Dlaczego reakjoniści? Sam niekiedy patrząc na jakiegoś pijanicę, darmozjada czy chuligana myślę sobie — tacy jak oni zawsze byli, są i chyba będą.

— A co w takim razie będzie z komunizmem?

Przybysze byli wstrząśnięci. Tam, nad rzeką, wydawało im się, że psychosyntezy daje niedokładne przekłady, że sposób budowy myśli i mowy tubylców jest dlań nazbyt skomplikowany. Teraz zaś syntezy tłumaczył nieomal słowo w słowo. Największe trudności miał z rozszyfrowaniem tego, co On powiedział o ludziach, którzy zawsze byli, są i będą. Syntezy przełożył to „istoty niepełnowartościowe”, potem jednak dodał: „Ale z różnych powodów. Jedne z nich nie chcą nic robić, inne są bardzo złe i niedobrze się zachowują, a jeszcze inne piją coś niedobrego”.

— Widzisz! — powiedział Młodszy. Miał na myśli tamten obrazek nad rzeką. — Ich język zna negatywne określenia takich postępów.

Pytanie, które zadała Ona, syntezy w pierwszej chwili także rozszyfrował niedokładnie: „A co będzie ze wspólną pomyślnością?” i dopiero później dodał: „Mowa jest zapewne o idealnym ustroju społecznym, który wkrótce powinien zapanować na całej planecie”. Ale w zasadzie syntezy

znakomicie dawał sobie radę i im dalej, tym było lepiej.

„Dzieje się tak, bo ich psychika jest na wyższym poziomie, bardziej zbliżonym do naszego” — pomyślał Starszy, a Młodszy natychmiast powiedział to samo na głos. Usiłowali wydedukować z rozmowy, kim są ci wieczorni rozmówcy. Młodszy sądził, że są to uczeni, okazało się jednak, że to zupełnie młodzi ludzie, że dopiero niedawno zdecydowali się, jaki sobie wybrać zawód, i teraz przygotowują się do wykonywania tych zawodów. Ona w przyszłości będzie uczyła dzieci. On chce budować drogi i mosty; Ale długo jeszcze muszą się w tym celu uczyć. Teraz, z powodu gorącej pory roku, mają przerwę w nauce i przyjechali tu, ponieważ tu się urodzili i tu mieszkają ich rodzice.

— Słuchaj, wygląda na to, że to zupełnie zwykli, niczym się nie wyróżniający spośród innych przedstawiciele rozumnej rasy! — powiedział Młodszy.

Starszy zgodził się z nim — tak, chyba tak właśnie jest. Więc Młodszy mówił dalej:

— Czy teraz wierzysz, że oni będą w stanie wyrwać się z kręgu nienawiści i zabójstw? Że podźwigną się na wyższy szczebel rozwoju?

On i Ona siedzieli trzymając się za ręce. Twarze ich zwrócone były ku dalekim gwiazdom.

— Już niedługo — mówili. — Za rok, za dwa, no, najdalej za pięć lat ludzie zaczną latać na pobliskie planety... A potem — podróże międzygwiazdne... My już tego chyba nie zobaczymy. Ale chciałbym polecieć na Księżyc i na Marsa... Więc polecisz. A co, czy tam nie będą potrzebne drogi i mosty? Mój zawód jest pod tym względem gorszy... No, dla ciebie też się tam znajdzie zajęcie, skoro już się z tym uporamy... Dobrze by to było... Tak...

Starszy dał znak i powolutku zaczęli się odsuwać od ławki, na której siedziała zakochana para. Wyszli za ogrodzenie opustoszałego parku, włączyli lanti i polecili ponad cichym uśpionym miastem, które wygasilo już swoje światła. Chcieli się jak najszybciej dostać na wzgórze, u którego stóp ukryta była ich mała rakieta patrolowa — kończył im się już zapas mieszanki do oddychania, a syntetyzowanie jej z otaczającego środowiska byłoby zbyt kłopotliwe.

— Trzeba będzie jeszcze tu wrócić — powiedział z zadumą Młodszy. — Zbadać wszystko dokładnie. Jest tu mnóstwo ciekawych i zupełnie niezwykłych rzeczy.

— Oczywiście, że tak zreferujemy Głównemu — odparł Starszy. — Trzeba będzie nawiązać z nimi kontakt, wymienić doświadczenia.

— Tak. Bo pomoc im nie możemy. Byłem w błędzie. Nie jest im potrzebna żadna pomoc.

Światła miasta z wolna tonęły i rozpląwały się w mroku. Jakiś czas widać było jeszcze na horyzoncie łunę — odblask tych światel na chmurach — potem i ona zniknęła. Lanti łagodnym łukiem wymijały wzgórze.

— Nie, nie jest im potrzebna — powtórzył Starszy. — »Są silni, sami dadzą sobie radę...

Wskazał na coś pod nimi. Szybko i bezszelestnie leciał tam wielki ptak o okrągłych fosforyzujących oczach. Złożył skrzydła, spadł ku ziemi i przejęci wstrętem i litością przybysze usłyszeli pełen bólu i przerażenia krzyk — przedśmiertny krzyk jakiegoś nieszczęsnego zwierzątka.

— Tak, sami dadzą sobie radę... Ale będą się musieli nad tym napracować. Niełatwo jest przebudować coś, co wywodzi się z najtajniejszych głębi psychiki, z ogólnych praw natury wspólnych dla całej planety. Trudne to będzie, bardzo trudne...

W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin w rejonowym mieście N. nie zaszło nic nadzwyczajnego. Ciężarówka zderzyła się z autobusem, ale ofiar w ludziach nie było; amatorzy popijawy na świeżym powietrzu udali się nad rzeczkę, żeby oblać wolny od pracy dzień, tam wszczęli awanturę, rozbili głowę malarzowi pokojowemu, I. Nikiforowowi, on zaś zełgał w poliklinice, że spadł ze strychu i dostał zwolnienie „z powodu wypadku przy pracy”. Obywatelce L.

Sidorowej, zamieszkałej na Kosmonautów pod czwartym, skradziono z podwórza dwie pary męskich trykotowych kalesonów suszących się na sznurze. I to już wszystko, co zarejestrowały protokoły milicyjne — jak na dzień wolny od pracy wyjątkowo skromnie.

Co prawda, zdarzyło się jeszcze to i owo, czego protokoły milicyjne nie zanotowały, ale nikt temu nie dawał wiary. Może zresztą nic z tego w ogóle się nie zdarzyło, może ludzie wszystko zmyślili z nudów.

I tak na przykład emeryt W. Małaszkin przezywany na podwórku „nieznośnym dziadygą” z powodu swego niepohamowanego wścibstwa (byli nawet tacy, którzy używali dosadniejszych określeń) przysięgał na wszystkie świętości, że kiedy przed wieczorem spacerował sobie po głównej ulicy miasta, po Prospekcie Jurija Gagarina (dawniej Hutnicza, a jeszcze dawniej Gubernatorska), był świadkiem niespotykanego zjawiska. Mianowicie poprzez zwarty tłum spacerowiczów przepychał się niewidzialny człowiek. Jego, W. Małaszkin, również ów niewidzialny człowiek potrafił, na szczęście niezbyt boleśnie — Małaszkin odniósł wówczas wrażenie, że niewidzialny jest z gumy, nadmuchiwany. Zresztą nie był on tak zupełnie niewidzialny, bo ten i ów fragment jego ciała można było dostrzec, wszakże bardzo niewyraźnie. Małaszkin chciał schwytać niewidzialnego, wiedząc wszakże, jak rozbestwioną mamy dzisiaj młodzież, obawiał się, że przy realizacji tego szlachetnego zamiaru mógłby oberwać po karku, a potem — szukaj wiatru w polu. Na pytanie: „Co tu ma do rzeczy młodzież?” emeryt Małaszkin odpowiedział, że komu, jeśli nie młodemu, przyszło do głowy wynajdować niewidzialność. Zaś te darmozjady mogły coś takiego wykombinować, wiadomo bowiem, że nie pociąga ich rzetelna praca, nie uprawiają sportów, żyją w izolacji od kolektywu i taka czapka niewidka bardzo by im się przydała przy popełnianiu przestępstw. Dalsze rozwijanie tej tezy przerwał Małaszkinowi przedstawiciel komitetu blokowego K. Łukjanow, który zaprotestował przeciwko takiemu krzywdzącemu naszą młodzież uogólnianiu. Poza tym K. Łukjanow dał do zrozumienia, że w ogóle nie wierzy w ani jedno słowo z tego, co tu wygadywał emeryt W. Małaszkin i że niewidzialni ludzie to nienaukowe wymysły. Obecni przy tej dyskusji wyrazili w kuluarach pogląd, że staruch załgał się ze szczętem, skleroza go wykańcza, ale że w każdym razie mając do czynienia z takim intrygantem, trzeba się mieć na baczności, a także, że K. Łukjanow myli się, jeśli sądzi, że jego stopień pułkownika w stanie spoczynku i jego odznaczenia wywrą jakieś wrażenie na staruchu, bo emeryt nie z takimi dawał sobie radę, a teraz to już na pewno zajmie się zbieraniem interesujących wiadomości o pułkowniku i przekazywaniem ich redakcjom, komitetowi blokowemu, organizacji partyjnej, a w ogóle to lepiej trzymać się od niego z dala.

Natomiast fotoamatorów Kolę Piechtierowa i Walerka Czajkina nawet przyjaciele wyśmiali — Kola i Walerek pletli zupełne bzdury. Twierdzili, że robili zdjęcia nad rzeką i że po wywołaniu filmu na jednym z kadrów zobaczyli jakieś dziwne, podobne do ośmiornic stwory. Stwory te kryły się za krzakami. Kola i Walerek obstawali przy swoim, niczego jednak nie mogli udowodnić, ponieważ ów kadr z ośmiornicami wycięli z filmu i pobiegli z nim do nauczycielki, do Klaudii Siergiejewny, ale po drodze w jakiś niewytłumaczony sposób go zgubili. I nie znaleźli go już, choć przeszukali całą drogę od strychu w domu Koli do ganku domu Klaudii Siergiejewny. Może porwał go wiatr. A szkoda. Był to przecież bądź co bądź dowód rzeczowy, a nie jakaś tam zdziecinniała gadanina o czapce niewidce.

Studentce drugiego roku Instytutu Pedagogiki Gali Swiridowej przyjaciółki również nie uwierzyły, choć mówiła nie o żadnych ośmiornicach ani niewidzialnych ludziach tylko o Witi Szewcowie, w którego istnienie nikt bynajmniej nie wątpił. Gala wszakże oświadczyła, że Witia to bardzo rzeczowy i wartościowy chłopak, jej przyjaciółki zaś jak na złość uważały go za wartogłowa i faceta bez charakteru.

Kiedy Gala próbowała bronić swojego poglądu, przyjaciółki zjadliwie przyznały, że Wilia rzeczywiście jest dość przystojny, i zapytały Galę, czy się aby w nim nie podkochuje. Nie ona pierwsza, mówiły, nie ona ostatnia... I choć Gala gorąco protestowała przeciwko tym podejrzaniom, przyjaciółki nie uwierzyły jej. Ale właściwie trudno to nazwać jakimś wydarzeniem...

*Przełożyła Irena Lewandowska*

*Marietta Czudakowa*  
*Prostranstwo 2izni*



# Przestrzeń życia

Wszystko to stało się bardzo szybko. Kraft jeszcze zbiegał co tchu z urwiska, gdy jeden z nich już leżał na trawie na wznak, a drugi — schylony nad ciałem — wpatrywał się w twarz swej ofiary z miną nie wyrażającą niczego oprócz ciekawości.

— Jest pan aresztowany! — krzyknął Kraft podbiegając. Nieznajomy nawet nie próbował się ukryć. Powoli odwrócił się i obojętnie zmierzył wzrokiem postać Krafta ściskającego kurczowo browning.

Kraft zbadał puls leżącemu, przez chwilę wsłuchiwał się w przerażającą ciszę w jego klatce piersiowej, wreszcie zapytał surowo:

— Dlaczego pan zabił tego człowieka?

— Aż dwie nieprawdy naraz — odparł sucho nieznajomy. — Wcale nie zabiłem, ponadto wątpię, czy jest on człowiekiem.

Czubkiem trzewika dotknął czoła zabitego, potem z pewnym wahaniem ukucnął przy nim, wyjął coś w rodzaju cyrkla i dokonał pośpiesznie kilku pomiarów jego twarzy, wymamrotawszy przy tym:

— No oczywiście. Kąt twarzy prawie się nie zmienił.

Kraft nie popędzał aresztowanego. Z zacięciem obserwował, jak ów człowiek rozchylił dłoń zabitego, uważnie wpatrzył się w nią, odgiąwszy kilka razy wielki palec denata, potem wstał, dokładnie otrząpął kolana i z krzywym uśmiechem powiedział, zwracając się do zmarłego:

— Do prędkiego zobaczenia!

Kraft poznawał objawy zaobserwowanej już przez niego chyba ze dwa razy rzadkiej formy chwilowego pomieszania zmysłów, któremu ulega przestępca zaraz po zabójstwie — o ile śmierć nie stała się jeszcze jego rzemiosłem. To zaćmienie umysłu szybko ustępuje, gdy przestępca znajdzie się we władzy burzliwej i najszczerzej skruchy.

Zabójca jednak nie zdradzał nawet najmniejszych objawów skruchy. Zmęczony i blady przestał się interesować swoją ofiarą i pogрузzył się w zadumie. Potem przerwał milczenie i poradził Kraftowi, aby się nie martwił o zabezpieczenie zwłok.

— I tak za godzinę ich tu nie będzie — rzucił od niechcienia i mimo woli machnął ręką. — A zresztą, jak pan uważa.

Tę godzinę wypadło im spędzić przy trupie we dwójkę. Kraft czekał, aż ktokolwiek pojawi się na drodze, ale okolica była bezludna. Obaj siedzieli w milczeniu, przy czym zabójca plecami do miejsca przestępstwa, natomiast Kraft nie spuszczał z oczu trupa, nigdy bowiem nie lekceważył przestróg, które wyrwały się przypadkiem z ust samych przestępców. W momencie, gdy Kraft odkrył nagle, że trup leżący o dwa metry od niego zniknął i nawet trawa na tym miejscu nie jest zmięta, doznał prawdziwego szoku. Chciał nawet pobiec ku pobliskim krzakom, ale w porę się zreflektował. Przecież krzaki były co najmniej o sto metrów. Zabójca siedział na poprzednim miejscu zupełnie nieruchomo, nie zdradzając najmniejszego zainteresowania tym, co zaszło za jego plecami. Można by przypuszczać, że trupa pochłonęła ziemia.

Po upływie pięciu minut Kraft już całkowicie zrezygnowany w milczeniu udał się za przestępcą, który spokojnie zaprosił go do siebie do domu. Kraft włókł się z tyłu, spoglądając z otępieniem na idącą przed nim wysoką postać. Przez całą drogę nie padło ani jedno słowo. W niewielkim jednopiętrowym budynku, w gabinecie, ujawniającym od razu antropologiczne zainteresowania właściciela, Kraft usiadł w głębokim fotelu, tamten zaś na skórzanej kanapie, osuwając się bezwładnie na jej oparcie.

— A więc, jak widzę, zrozumiał pan, że nie ma sensu mnie aresztować — powiedział zabójca. — Tylko proszę nie oczekiwać ode mnie wyjaśnień w związku z tą sprawą. Doprawdy, nie warto o niej długo mówić, przecież nie po to pana zaprosiłem. Chcę zwrócić się z pewną prośbą. Jutro mnie tu nie będzie. Niestety, nie mogę wziąć z sobą swoich rękopisów, a chciałbym bardzo, by zostały przechowane. W swoim czasie dwukrotnie zwracałem się z taką prośbą. W obu wypadkach moich papierów już potem nie odnalazłem. Proszę mi wybaczyć to pytanie: ile pan ma lat?

Kraft nie miał nawet trzydziestu ośmiu i to widocznie w pełni zadowoliło jego towarzysza, sądząc po wyglądzie — jeszcze młodszego od Krafta. Wyjaśnił on krótko, że spodziewa się przyjść po rękopis nie wcześniej, niż za trzydzieści lat, a może nawet później, oraz że jego treść stanowią badania antropologiczne, których on — ku swemu wielkiemu zmartwieniu — nie zdążył doprowadzić do końca, choć jeszcze niedawno na to liczył. Zdaje sobie też sprawę, jak dziwne może się wydać jego zachowanie, jednak prosi, aby mu wierzono, że wcale nie jest przestępcą, że tam nad rzeką bronił jedynie swego życia i — co najważniejsze — nie uczynił niczego złego temu osobnikowi, którego zwłoki widział właśnie Kraft.

Przez najbliższe tygodnie Kraft był zajęty głównie tym, że dziesiątki razy w ciągu dnia zadawał sobie jedno i to samo pytanie: jakże mógł on — funkcjonariusz policji — spokojnie dopuścić do ucieczki niebezpiecznego przestępcy i jeszcze w dodatku wziąć od niego na przechowanie jakieś papiery? I wszystko to tylko dlatego, że przestępcy udało się ukryć albo zniszczyć trupa w jakiś dotąd nie znany kryminalistycy sposób.

Prawdziwa burza, jaką wywołało jednoczesne zniknięcie z miasta dwóch ludzi, wkrótce ucichła, ich sprawy odłożono do archiwum. Nikt się nie dowiedział, że Kraft w przededniu był właśnie w domu jednego z zaginionych. Nikt nigdy nie zadawał mu żadnych pytań. Jednakże sam świadek przestępstwa uznał, że nie może się już cieszyć nieposzlakowaną opinią i jeszcze tego samego roku zrezygnował z pracy w policji.

Miał nareszcie dużo wolnego czasu. Nic też dziwnego, że chciał zapoznać się bliżej z rękopisami człowieka, którego współnikiem został z własnej woli. Owego dnia, gdy Kraft zapytał go o nazwisko, nieznajomy odrzekł: „Jestem First<sup>\*</sup>, przynajmniej ja siebie tak nazywam”.

Papiery i imię — któż zresztą wie, czy prawdziwe — to było wszystko, co pozostało Kraftowi po człowieku, który tak gwałtownie zmienił jego los.

Papiery zawierały fundamentalne prace badawcze oparte na olbrzymiej ilości faktów. Nie ma sensu rozwodzić się nad tym, jak z upływem lat Kraft coraz bardziej zagłębiał się w dziedzinę antropologii oraz nauk pokrewnych i jak w końcu stał się dla niego bezsporny fakt, że badania naukowe Firsta miały charakter unikalny. Autor wspomnianych prac zupełnie nie interesował się materiałem wykopalisk i wszelkich możliwych odkryć w pieczarach Starego i Nowego Świata. Korzystał z jakichś innych, jemu jednemu tylko wiadomych danych, które umożliwiły mu wzniesienie wspaniałego gmachu śmiałych hipotez o ewolucji człowieka w ciągu 50 tysięcy lat. Ściślej mówiąc, nie była to już antropologia, ale coś zbliżonego do nauki o człowieku w ogóle. Najbardziej szokujące dla Krafta było to, że autor z tą samą swobodą mógł opisywać zarówno byt jaskiniowców, jak i Europejczyków epoki Odrodzenia. Gesty, chód, niski urywany śmiech kobiet epoki neolitu zostały

przedstawione z taką naturalną znajomością rzeczy, jaka uchodziłaby chyba jedynie człowiekowi współcześnie z nimi żyjącemu. Odnosiło się wrażenie, że wiele stron wyszło spod pióra znakomitego powieściopisarza.

To, co specjaliście wydałoby się w najlepszym wypadku karygodnie powierzchownym ujmowaniem zjawisk, miało zupełnie inny sens dla Krafta. Nawyk zwracania uwagi na drugorzędne detale, dzięki któremu niejednokrotnie odnosił sukcesy w rozwiązywaniu zawikłanych zagadek kryminalnych, przydał się i tutaj, w tak mało znanej mu dziedzinie. Kraft zdecydował się wreszcie na postawienie szokującej hipotezy i poszedł po tych śladach.

Przede wszystkim należało się zająć biografią Firsta. W archiwum policyjnym znalazła się wystarczająca ilość informacji. First był lekarzem z bardzo ograniczoną praktyką. Zjawił się w mieście pięć lat temu. W ciągu tych pięciu lat ani razu nie opuszczał miasta. Nie miał ani żony, ani dzieci. Krąg jego znajomych też był ograniczony. Poruszał się po mieście wyłącznie pieszo.

Wśród tych faktów jeden zwrócił na siebie szczególną uwagę Krafta. Dlaczego ten dobrze sytuowany człowiek, mający dużo wolnego czasu, nigdzie nie jeździł? Kraft zajął się mozolną rekonstrukcją jego wędrówek w obrębie miasta i doszedł do ciekawych wniosków. Marszruta Firsta na terenie miasta tworzyła wyraźny prostokąt, którego jednym z boków była dolina rzeki okalającej miasto od zachodu. Właśnie nad tą rzeką spotkali się kiedyś przy martwym ciele. Odległość między pomocnym i południowym bokiem owego prostokąta nie przekraczała dwóch kilometrów. Miasto było dla tego człowieka zaiste osobliwym więzieniem, do którego został wtrącony z własnej czy też z czyjejś woli.

Przybywało coraz więcej tajemniczych szczegółów. Rozjaśniająca się powoli zagadka przerażała Krafta swoją absurdalnością. W archiwum policji odszukał on jeszcze dokumenty trzech spraw śladowych „o zaginięciu mieszkańca miasta”. Najstarsze akta pochodziły sprzed 150 lat. Okoliczności tych wszystkich tajemniczych wydarzeń były do siebie podobne. Ludzie znikali nocą, bez rzeczy osobistych, i nikt ich nigdy więcej nie widział. Kraft znalazł wiele wspólnego także w nieistotnych na pozór szczegółach tych spraw. Mógłby się założyć nie wiem o co, że za każdym razem znikająca jedna i ta sama osoba. Kiedy dziwna hipoteza została opracowana przez Krafta prawie do końca, zaczęła się historia z planetą Nereidą, która zaabsorbowała go na długo, a potem przyszły i inne sprawy, wypełniwszy mu bez reszty dwadzieścia lat życia.

W ciągu tych lat zmienił się wygląd miasta. W miejscu, gdzie stał dom Firsta, od dawna już był miejski basen. Kraft także dwukrotnie zmienił mieszkanie.

Na starość Kraft szczególnie polubił niewielki, lecz przytulny bar, zbudowany z dziesięć lat temu w dolinie rzeki w tak pamiętnym dla niego miejscu. Oprócz dobrego piwa, które tam podawano, i wcale niezłej nazwy:

„Na końcu świata”, była jeszcze jedna bardziej nęcąca okoliczność, dzięki której Kraft upodobał sobie ten bar: jeśliby Firstowi rzeczywiście przyszło na myśl zjawić się ponownie w ich mieście, to — zgodnie z hipotezą Krafta — musiałby on pojawić się właśnie tutaj.

I tak się też stało. W cichy październikowy wieczór First wyrósł nagle na progu baru, jakby wyszedł spod ziemi. Niepewnie zatrzymał się przy drzwiach, przestępując z nogi na nogę i oglądając się wokół, jakby nie był w stanie zdecydować, w którą stronę ma skierować swój pierwszy krok.

Pomimo swoich sześćdziesięciu siedmiu lat, Kraft zachował nie tylko jasność umysłu, lecz i siłę ducha. Nie potrzebował wcale dużo czasu, żeby zapanować nad sobą. Przecież w istocie rzeczy zobaczył tylko to, czego się właśnie spodziewał: First wcale się nie zmienił przez minione trzydzieści lat. Kraft skinął na niego i First skierował swe kroki do jego stolika, uporczywie wpatrując się w Krafta.

— A więc to pan, drogi przyjacielu? — rzekł cicho. — Czy zastałem tu pana przypadkowo, czy pan na mnie czekał?

— Czekałem na pana — odparł szorstko Kraft. — Czekałem, aż pan mi wszystko opowie i zdejmie wreszcie ten ciężar z mego serca. Pańskie rękopisy są nienaruszone. Jak widać, jestem już stary, długo nie pożyję, więc zapłata, której od pana wymagam, doprawdy nie jest znów tak wielka.

— Ja również jestem stary — powiedział First — i moja wędrówka także się kończy. Byłoby mi smutno odejść na zawsze, nie zwierzywszy się nikomu. Nie będę mówił zbyt wiele. Wszystko da się wyrazić w dwóch słowach. Pan jest ograniczony czasem, ja zaś przestrzenią, otóż i wszystko.

Spokojne, szare oczy Firsta popatrzyły na Krafta i Kraft, blednąc, kiwnął tylko głową.

— Moja droga w czasie jest w przeszłości znacznie dłuższa od tej, którą pan przebył, a w przyszłości — nieskończona. Za to w przestrzeni jest znacznie krótsza od pańskiej. Ja — tak samo jak i pan — nieuchronnie zbliżam się ku unicestwieniu, ku temu, co wy nazywacie śmiercią.

— Tam, za rzeką? — spytał Kraft i First skinął głową.

— Właśnie. Z pewnością tam się to stanie. W każdym razie nie dalej, niż za basztami starej rogatki miejskiej. Nie przekroczę ich tam samo, jak pan najprawdopodobniej nie przeżyje stu lat. Pozostało mi nędzne trzysta metrów na długość i pięćdziesiąt na szerokość. Co prawda czas zawsze płynie regularnie i nawet najszczęśliwszy dla pana dzień trwa dokładnie tyle godzin, ile jakikolwiek inny, tymczasem przestrzeń nieraz kurczy się skokami. Człowiek spostrzega nagle, że zostało jej znacznie mniej, niż się spodziewał.

— I cóż pan czyni w takim wypadku?

— Odchodzę w inny Czas. Nie mogę zahamować procesu kurczenia się przestrzeni, tak jak pan nie zdoła powstrzymać biegu czasu. Wy jednak możecie przedłużyć swoje życie kosztem przestrzeni. „On przeżył nie jedno życie, lecz chyba z dziesięć istnień ludzkich”, mówi się o człowieku, który objechał wzdłuż i wszerz całą Ziemię. W dodatku macie w rezerwie i inne planety. Ja natomiast „przedłużam” swoje życie kosztem czasu. Przeżyłem już niezliczoną ilość istnień ludzkich, lecz wszystkie one pomieściły się na małym krążku ziemi, z którego nie sądzono mi wyrwać się kiedykolwiek.

Oszołomiony tym wszystkim Kraft nie od razu potrafił przerwać milczenie. Zapytał wreszcie, czy podróże Firsta bywają dalekie.

— Tak dalekie, jak tylko zechcę — odpowiedział First. — Mogę wrócić nawet do swego poprzedniego Czasu, który „zestarzał się” dokładnie o tyle lat, ile ja przeżyłem w innym Czasie i zastać jeszcze przy życiu znajomych ludzi... Ale zazwyczaj tego nie czynię. Pewnego razu wróciwszy zbyt wcześnie, lecz jednak później, niż obecnie, zdążyłem zobaczyć schorowaną, zgrzybiałą staruszkę. Kochałem ją kiedyś i mieliśmy córkę. Zdarzyło mi się również spotkać z córką. Była to przystojna kobieta, lecz z wyglądu starsza ode mnie o jakieś piętnaście lat. Gdy nas sobie przedstawiono, powiedziała, że przypominam jej ojca, który był tak samo przystojny i elegancki, jak ja. I przyznaję, że byłem z tego zadowolony, że moja Helena niezupełnie o mnie zapomniała.

— Czyżby pana nigdy nie rozpoznano? Przecież mógłby pan znów znaleźć się w gronie rodzinnym, w kręgu swych bliskich...

First uśmiechnął się.

— Kiedy o tym śmiesznie nawet mówić. Któż teraz wierzy w cuda? Zestawienie nawet najwymowniejszych i najbardziej oczywistych faktów nie zaprowadzi pewnie nikogo tak daleko, jak pan się ryzykownie posuwa, drogi Kraft. Jest pan pierwszym znanym mi człowiekiem, który po prostu spojrzawszy prawdzie w oczy bez względu na to, w jakim stopniu przeczy ona ogólnie przyjętym tradycjom. O jakich to bliskich pan mówi, drogi przyjacielu? Cóż by powiedziano w naszym mieście

o stosunkowo młodym człowieku, gdyby zatrzymał on nagle na ulicy szanowanego powszechnie doktora Verniera, który z pewnością już obchodził swoje siedemdziesięciolecie, i potrząsając staruszką za zwiotczone ramiona zaczął go zapewniać, że on, Vernier, jest synem właśnie tego młokosa? A odległa przeszłość? Niech ją Bóg ma w swej opiece — mówił dalej First. — Przyznaję, że dostaję dreszczy na samą myśl o tym, że znowu znajdę się wśród waszych praszczurów i zobaczę na nowo jaskinie i gigantyczne drzewa właśnie tutaj, na miejscu miasta, które w ciągu ostatnich kilku wieków stało się prawie moim własnym. Bynajmniej nie ciągnie mnie z powrotem. Jediną rzeczą, której bym pragnął, to znaleźć się znowu w wojsku wielkiego Cezara. Ale i tak z pewnością byłoby mi teraz przykro walczyć przeciwko Galiom — uśmiechnął się First.

Obaj siedzieli przy oknie i First spoglądał w stronę starych wieżyczek z wyrazem twarzy do złudzenia przypominającym minę ludzi w podeszłym wieku, patrzących w stronę cmentarza. Przejmujące uczucie litości nad tym człowiekiem, będącym najwidoczniej jedynym rówieśnikiem ludzkości, dręczyło Krafta. Jego własne życie wydało mu się nagle nędzne w porównaniu z życiem człowieka, który przeniósł na swoich barkach brzemień wszystkich zmartwień, stanowiących chleb powszedni niezliczonych pokoleń, następujących po sobie w ciągu minionych tysiącleci. Kraft zaczynał wreszcie pojmować: w tym, że życie Firsta było mierzone nie latami, lecz dziesiątkami metrów, niewiele było pociechy.

— Hovard, Pelier i Fosler, którzy zniknęli w swoim czasie z miasta, to pewnie pan? — zapytał Kraft.

— Tak, to ja — odpowiedział First spokojnie — i za każdym razem znikaniem niezupełnie dobrowolnie. Czyhają na mnie swoiste niebezpieczeństwa. Mówiłem już, że podobnie jak i pan nie jestem wolny od przypadku. Na przykład pewnego razu, zdaje się na początku ubiegłego stulecia, byłem na tyle nieostrożny, że wziąłem powóz, by udać się do domu, mieszczącego się naturalnie w obrębie przestrzeni mojego życia. Na nieszczęście woźnica był pijany i pojechał za daleko o dziesięć metrów, to jest na odległość, która znacznie skróciła moje życie. O zatrzymaniu powozu nie było nawet mowy, wyskoczyłem więc w pełnym biegu, wymigując się tylko złamaniem nogi. Od tej pory nigdy nie jeżdżę. Okazało się to dla mnie zbyt drogą przyjemnością. Jednakże prawdziwego wroga mam tylko jednego.

— Czy to ten, z którym bił się pan wtedy nad rzeką?

— Tak, to był właśnie on, Second. Jesteśmy prawie tacy sami, lecz jest między nami istotna różnica. Pojawił się on później ode mnie i podlegał już pewnym zmianom ewolucyjnym zbliżającym go do rodzaju ludzkiego. Podobnie jak wy nie wiecie, co stanie się z wami jutro, tak samo i on nie ma pojęcia, co mu się przydarzy na następnym metrze przestrzeni i w jaką epokę zostanie przerzucony. Jakaś obca siła kieruje nim, wrywając go z ram danego Czasu według własnego kaprysu. Jemu oczywiście jest znacznie lżej niż mnie. On nie musi sam podejmować decyzji o odejściu od bliskich sobie ludzi w inną epokę, gdzie można zastać pustynię lub stosy trupów w dobrze znanym miejscu. Ale ten idiota uważa, że samodzielne kierowanie czasem to wielkie dobro, którego on został niesprawiedliwie pozbawiony. Wówczas, jak pan pamięta, rzucił się na mnie niespodzianie i powlókł mnie w stronę rzeki. Udało mu się odebrać mi pięć metrów życia i ja od razu musiałem odejść. Nie wiem, po co mu to było potrzebne. On przecież nie mógł mnie nie poznać. Spotykamy się rzadko, lecz poznajemy się od pierwszego wejrzenia.

— Gdzież on się wtedy zapodział?

— Mój cios wysłał go w inny Czas, otóż i wszystko. Możliwe, że jest teraz na tym samym miejscu, z naszymi praprawnukami.

Kraft drgnął i objął spojrzeniem opustoszały bar. Przez chwilę zamajaczyły przed nim sylwetki

tych jeszcze nie urodzonych ludzi, którzy w milczeniu zajęli miejsce tuż obok, niedaleko od nich.

— A może jest inaczej — odezwał się cicho First i mroczny cień pojawił się na jego twarzy. — Może on podróżuje w Czasie tam i z powrotem. Wtedy widocznie wrócił z zamierzchłej przeszłości. Pan nie może sobie wyobrazić, jakie to było okropne, zobaczyć na zwykłej europejskiej twarzy ohydny grymas neandertalczyka. Wtedy go właśnie uderzyłem...

— Jakież to wszystko straszne — westchnął Kraft. — Jest was tylko dwóch, a jesteście wrogami i w dodatku musicie się jeszcze spotykać.

— Cóż robić? Ja z Secondem znalazłem się w tej samej przestrzeni, wy zaś żyjecie ze swymi wrogami w tym samym czasie. Wszystko to nie jest ostatecznie tak ważne. Przeróżające jest coś innego, stałe poczucie ograniczoności przestrzeni, bezustanne zbliżanie się do końcowego punktu, te nędzne kilkadziesiąt metrów, które mi zostało...

Kraft postanowił wreszcie zadać ostatnie pytanie.

— Więc pan również boi się śmierci?

First spuścił głowę.

— Ale czy pan chociaż coś o niej wie?

— Nic nie wiem.

— A ja myślałem, że strach przed śmiercią zrodzony został przez to, co my o niej wiemy.

— Rozumiem pańską myśl — powiedział First ze wzruszeniem. — Ja sam krajałem trupy i świetnie sobie wyobrażam, jak wygląda człowiek, który ukończył swą drogę w Czasie. Przeróża mnie jednak sama myśl o tym, co się ze mną stanie, kiedy nagle zabraknie przestrzeni...

Bar już zamykano, musieli więc go opuścić. Pożegnali się przed domem Krafta. First wziął część swoich rękopisów i odszedł w nadziei, że uda mu się wynająć dom jeszcze tego samego wieczoru i nazajutrz znowu spotka się z Kraftem.

Kraft długo nie mógł zasnąć tej nocy. Myślał o tym, jakie szczęście przypadło mu w udziale. Resztę swych dni spędzi na rozmowach z człowiekiem, który zobaczył wiele rzeczy, o jakich nie napisano dotąd w żadnej książce na świecie.

Nazajutrz rano First nie przyszedł. Tuż przed obiadem Kraft wyszedł z domu i kupiwszy jedną z porannych gazet od razu zobaczył komunikat o nieznanym młodym człowieku, który przechodził wczoraj wieczorem przez jedną z ulic północnej części miasta i został potrącony przez powóz. Woźnica zabrał ofiarę wypadku (która straciła przytomność) i powiózł ją przez całe miasto do szpitala. Kiedy powóz zatrzymał się przy bramie szpitalnej, nie było w nim nikogo. Dokładne przeszukanie miejscowości nie dało rezultatów. Udało się znaleźć jedynie zakrwawioną teczkę pełną papierów z rysunkami kości i czaszek, należąca prawdopodobnie do poszkodowanego. Ciało jej właściciela najwidoczniej zsunęło się z mostu do rzeki i popłynęło uniesione prądem.

Kraft zadrżał z wrażenia i powoli zdjął kapelusz. Zrozumiał bowiem, że pierwszy z ludzi zakończył swą drogę.

*Przełożył Eligiusz Madejski*

*Władimir Michajłow*  
*Wstriezca na Japetie*

# Spotkanie na Japecie

Gwiazdy nakreśliły na ekranie białe łuki. Bragg wrastał w fotel. Czerwień napływającej krwi przesłaniała pole widzenia, nadal jednak ociężale przenosił wzrok z jednej grupy przyrządów na drugą obserwując automaty lądowania. Gdyby zawiodły, sam przejąłby sterowanie. Severe wpił się oczami w ekran pelengatora rufowego i z emocji poruszał wargami obliczając nie przebyte jeszcze setki metrów. Gwiazdy obracały się coraz wolniej, aż wreszcie się zatrzymały.

— Zaczynamy namiar — powiedział Bragg.

Japet znajdował się teraz wprost pod rufą, a srebrzysty gwóźdź „Ładogi” zamierzał wbić weń rozpalone ostrze kończąc swój upadek z wysokości milionów kilometrów. Nagle ciężenie znikło.

— Mmmmmch!... Nie w porę! — mruknął Bragg kładąc ręce na pulpicie. Ciężenie znów zważyło się na nich.

— Tysiąc! — rzekł głośno Bragg zaczynając odliczanie.

Na ekranie rosły czarne skały, wśród których jaśniała plamka kosmodromu.

— Kto to? — zapytał Bragg nie odrywając wzroku od sterów.

— Wygląda na jakiś transportowiec. Chyba rudowiec...

— Usiadł na samym środku — złościł się Bragg. — Dokonuję odchylenia.

— W porządku.

— Sześćset! — liczył Bragg. — Trzysta. Zmniejszam...

— Okopcisz go.

— Nie — zaprzeczył Bragg. — Sto siedemdziesiąt pięć, schowam pochodnię, sto dwadzieścia pięć, równo sto, dziewięćdziesiąt.

— Czemu on tak usiadł? — odezwał się Severe. Skały podniosły się nad głową.

— Bezczelny satelita — burczał Bragg — właśnie musiał się znaleźć na ich trasie. Czterdzieści. Trzydzieści pięć. Amortyzatory! Zielone lampki zamigotały, potem zapłonęły równym światłem.

— Jedenaście! Siedem, pięć!... — darł się Bragg przekrzykując ryk silnika.

— Zero! — powiedział zmordowany Bragg. — Stop!

Łoskot ustał, tylko z rzadka delikatnie podzwaniało poszycie rufy. Spojrzeli na siebie.

— No to cześć! — przerwał ciszę Severe. — Automat zdechł na ostatnich metrach.

— Pilnowałem... Czuję, że lada chwila... Przeciążyliśmy go w tym pośpiechu jak wielbłąda. Teraz trzeba go będzie zmieniać.

— Sądziłem, że mi pomożesz.

— Oczywiście, a potem się zajmę automatem. Mam nadzieję, że starczy czasu.

— Jak myślisz, kiedy oni będą? — spytał Severe.

— Za dobrę, dwie, a może i mniej.

— Tylko? Chciałem się tu rozejrzeć...

— Starczy na to dnia. Skały i skały, nudne miejsce. Gdyby wracali o miesiąc później, na ich trasę



wyszedłby Tytan. Lądowanie tam to istna rozkosz.

— Ale byśmy się wtedy werżnęli — przerwał Severe. — Podziękuj losowi, że to Japet. Zaledwie pięć kwintylionów ton masy. Tytan trzystaście razy cięższy...

— Bravo, ale naprawdę nie musisz mi imponować swymi wiadomościami. Im też byś pewnie nie zaimponował.

— Im... to by mi do głowy nie przyszło. Z bohaterami trzeba oględnie...

— Słusznie — potaknął Bragg. — Skoro już się dorobiłem siwizny na statku kurierskim, to jasne, że bohaterem nie jestem.

— Pleciesz!

Zamilkli odpoczywając. Potem sprawdzili, czy najbliższe skały ostygły już na tyle, by można było wyjść ze statku. Po chwili Severe powiedział.

— Żeby latać w Układzie Słonecznym, nie trzeba być bohaterem. Ale poza granice Układu, to już inna sprawa. Ci wylecieli pierwsi.

— No, nie pierwsi — Bragg zamierzał się uśmiechnąć, lecz się rozmyślił.

— Ale tamci nie wrócili. Pierwsi są więc ci. A my już ich przywitamy, przekonasz się.

— No to możemy wychodzić — stwierdził Bragg.

Umocowali fotele, doprowadzili do ładu sterownię rozkoszując się lekkością, niemal nieważkością swoich ciał, naturalną na planecie tysiąckroć mniej masywnej niż Ziemia, do której przywykli. Severe wziął torbę podróżną.

Dźwig opuścił ich na pokład towarowy. Było tam ciasnawo, chociaż aparatura Severa oraz pojemniki z lekami i witaminami zabierały niewiele miejsca. „Ładoga” nie była statkiem towarowym. Severe dał jedną kamerę Braggowi, a sam wziął drugą.

Weszli do komory ciśnień, nałożyli skafandry i sprawdzili łączność. Właz otworzył się powoli.

Buty zastukały na czarnym kamieniu. Zabłyły reflektory kaskowe. Bragg z wolna pokiwał głową oświetlając sąsiedni statek, który zajął najlepsze miejsce pośrodku lądowiska. Maszyna była na oko o jedną trzecią niższa od „Ładogi”, lecz szersza. Osmalone poszycie statku zlewało się z mrokiem. Amortyzatory — nie teleskopowe jak u „Ładogi”, lecz przegubowe — sterczały na boki i nie budziły zaufania. Liczne zgrubienia świadczyły o tym, że nieraz je spawano.

— Tak, tak — powiedział Severe — rudowiec klasy „pozał się Boże”. Cóż oni tu robią? Pewnie wożą stąd transuranowce na pozostałe stacje grupy Jowisz — Saturn.

— Jedź dalej, erudyto — warknął Bragg.

— To wstyd, że energetyka stacji zależy od takich trumien... Ale skąd się tu wzięli? Kopalnia nie po tej stronie.

— Najprawdopodobniej obsługa techniczna. Rudowcom, jeśli nikomu nie przeszkadzają, wolno lądować w stacjach takich, jak ta.

— Nam właśnie przeszkadzają. „Błękitny ptak” nie będzie miał gdzie usiąść.

— Jeśli rzeczywiście przybędzie. Mogli przecież zmienić trasę.

— Pamiętaj, „Ptak” jest bodaj dwa razy większy od naszego statku. A ten tu sterczy pośrodku.

Znowu się odwrócili wodząc reflektorami po krępych kadłubie. U samego wierzchołka pełzał po jego chropawym pancerzu automat polerujący pozostawiając za sobą mętnie połyskujący pas. Rudowiec poddawał się zabiegom kosmetycznym. Dawno chyba powinien był już to zrobić.

— Statek zaniedbany, że bardziej się nie da — powiedział Severe — powinien być tutaj inspektor. Założę się, że nosa nie wytyka z Tytana... Dlatego też ci siedli na bezludnej stacji automatycznej, gdzie ich nikt nie zobaczy.

Zamilkł i w ślad za Braggiem ominął głaz, którego ostre krawędzie mogły przeciąć skafander.

— A w ogóle kosmodrom należało budować tam, gdzie mniej kamieni.

— Kamienie są tu od czasu budowy kosmodromu — odezwał się Bragg. — Wysadzano skały. I odtąd przybywa ich jeszcze przy każdym starcie i lądowaniu.

— Wszystko jedno, trzeba było budować po gładkiej stronie.

— Promieniowanie. Uran, wiesz... — Bragg spojrzął na swój dozomierz. — Nawet ten stateczek poruszył tło. Widzisz? — pokazywał Severe'owi przyrząd.

— Cóż dziwnego, jeśli załadowany jest transuranowcami po wrąbki.

Zatrzymali się przy niedużych, na głucho zamkniętych drzwiach, które prowadziły do wykutych w skale pomieszczeń stacji.

— Wejść, ulokuję się — powiedział Severe — a ty mi przynieś resztę. Jeśli oczywiście nie będzie ci za ciężko.

W wielkiej sali, mesie stacji, światło było przyćmione. Automaty oszczędzały energii. Severe gospodarskim ruchem włączył wielkie światła i rozejrzał się.

Trzech z rudowca siedziało przy końcu długiego stołu. Przed nimi stały aluminiowe pucharki ze słómkami. Przy bufecie barman automat, bucząc i pobrzękując, ubijał jakąś mieszaninę. Severe przeniósł wzrok na siedzących przy stole i uśmiechnął się w duchu — trudno było sobie wyobrazić ludzi, którzy by bardziej pasowali do swojego statku. Ci trzej mieli byle jakie ubrania, o przepisowych uniformach nie było nawet co marzyć. Jeden z nich spał położywszy głowę na opartych na stole pięściach, dwaj rozmawiali półgłosem.

Bliższy z nich zmrużył oczy osłepione jaskrawym światłem, odwrócił się i uważnie przyjrzał Severe'owi. Ten mrugnął porozumiewawczo i wskazał na śpiącego:

— Gotów?

— Nieee — powoli, jakby w zamyśleniu odpowiedział tamten. — Po prostu się zmęczył.

Śmiesznie rozciągał słowa.

— Z daleka jesteście? — spytał jeszcze.

— Tak, z Ziemi — niedbale odparł Severe. — Dopiero co wylądowaliśmy.

— Da-awno stamtąd?

— Trzy tygodnie.

— A co tam na Zie-emi?

— Wszystko normalnie — rzekł Severe. — Ziemia to Ziemia. Najświeższa nowość: wraca „Błękitny ptak”.

Jąkała skinął głową.

— Już ich pogrzebano — wyjaśniał Severe — a oni wracają! „Błękitny ptak”. Gwiazdolot, który odleciał do liganta. Pamiętacie, to albo gwiazda liliput, albo planeta gigant odkryta w pół drogi do układu Alfy Centaura! — Severe niezadowolony z obojętności, z jaką przyjęto tę nowinę, podniósł głos. — Pierwszy gwiazdolot, który ku niemu odleciał, zaginął. Myślano, że i „Ptak” podzielił losy „Latającej Ryby”...

— Za-a wcześniej — odezwał się jąkała. — Za wcześniej myślano. No i co, znaleźli tego liganta?

— Fajno — bąknął siedzący najdalej.

— No pewnie — irytował się Severe. — Krążyli zapewne wokół niego, dopóki wszystkiego nie zbadali. Dlaczegoż by się spóźnili o calutki rok?

— To ja-asne. Ale z oblotu niewiele się zobaczy, zwłaszcza prze-ez infrawizory. Powinni byli

lądownać.

— Fajno — powtórzył najdalszy.

— Pierwszy statek właśnie dlatego nie powrócił — perorował Severe. — Zawiadomili Ziemię za pomocą rakiety kurierskiej. Więcej o nich nie słyszano, „Ptak” nie mógł lądować.

— Czy „Ptak” nie poinformował Zie—emi o wynikach?

— Przede wszystkim doniesienia odczytano marnie, w trzydziestu procentach. Duże zakłócenia. Do lepszej emisji powinni by mieć statek, jak mój: latający wzmacniacz. Ledwie starczy miejsca dla dwóch ludzi, reszta to elektronika i energetyka. Takich urządzeń nie mieli. Na pewno ostatnimi czasy coś przekazywali...

— Na—a pe—ewno przekazywali — zgodził się Jąkała.

— Zrozumieliśmy tylko, że wracają. I coś jeszcze o trzech ludziach. Należy przypuszczać — Severe ściszył głos — że ci trzej zginęli. A było ich wszystkich jedenastu.

Jąkała podniósł wzrok na Severe’a, ale najdalszy go uprzedził.

— Fajno — powiedział jeszcze raz.

— Ee ni—ic — zamamrotał Jąkała. — Tak wła—śnie myślałem. Nie tak znów źle. A jednak większość dotarła...

— Słusznie — potaknął Severe. — Trzech bohaterów zginęło, ale pozostałych ośmiu wraca. Sami rozumiecie, że Ziemia chce ich odpowiednio przyjąć. Prawdę rzekłszy, spotkanie zacznie się tutaj. W tym celu przyleciałem.

— To dobrze pomyślane — wtrącił najdalszy. — A dużo was przyleciało?

— Ja i pilot. Sądzę, że starczy... To, zdaje się, wasza maszyna? — skinął głową gdzieś w bok.

— Wy—ygląda na to.

— Generalny remont?

— Nawet nie. Ni—ic szczególnego.

— A więc odleciecie szybko — stwierdził kategorycznie Severe.

— Chcieliśmy z dołą odpocząć — wyznał najdalszy. W jego głosie brzmiało powątpiewanie.

Severe życzliwie się uśmiechnął. Zamaszyście odsunawszy krzesło usiadł przy drugim końcu stołu.

— Dobę — rzekł wesoło. — A wcześniej?

— Wcze—eśniej? — spytał Jąkała wypuszczając słomkę.

— Powiedzmy, za pół doby. Polerowanie skończycie, a po waszych komorach inspektor chodzić nie będzie — Severe mrugnął i roześmiał się dając do poznania, że nieobce mu są drobne fortele transportowców, przeciw którym on w zasadzie nic nie ma.

Po przerwie znowu odezwał się Jąkała.

— Prze—eszkadzamy?

Severe uśmiechnął się jeszcze szerzej.

— Na to wychodzi. „Błękitny Ptak” zatrzyma się tu dzionek, dwa. Żeby ogolić się, że tak powiem, i wypucować buty na glans przed lądowaniem na staruszce Ziemi. Rozumiecie? Wracają bohaterowie, którzy od dawna nie widzieli ojczystych stron...

— No tak — przerwał najdalszy. — A my przeszkadzamy.

— Zrozumie, stary. To bohaterowie! A wyście się tak rozkraczyli, że „Ptak” nawet nie będzie miał gdzie usiąść. Wyobrażacie sobie, co to za statek? Dlatego też, prawdę rzekłszy, spojrzę na wasze cudo i zdziwię się, czym też wita ich wdzięczna ludzkość: zardzewiałym kufrem z załogą nie w uniformach. A ja jestem tu specjalnie po to, aby poprowadzić bezpośrednią emisję na Ziemię. Reportaż. A wy, prawdę rzekłszy, jakoś się w reportażu nie mieścicie...

Dwóch uważnie go słuchało, a jeden wciąż spał przy stole chowając twarz w dłoniach. Potem najdalszy spytał:

— A więc duży statek?

— A co, nigdyście takiego nie widzieli?

— A wy?

— Kiedy startowali, chodziłem jeszcze do szkoły... Ale mam fotografię, naszą, archiwalną.

Jąkała wziął podane zdjęcie, spojrział, bąknął;

— Tak... — i podał najdalszemu, który też spojrział i też powiedział:

— Tak...

— Poza tym — kontynuował Severe — ośmiu ludzi stanowi załogę statku. A ta stacja ma zaledwie dziesięć pokoi. Ich ośmiu, ja i mój pilot.

— Kto jest pilotem?

— Bragg. Starszy gość.

— Zna-asz?

— Nie — zaprzeczył najdalszy. — Może słyszałem. Nie pamiętam. A więc was jest dwóch. A co krewni, przyjaciele?

— Przecież tłumaczę, że prawdziwe powitanie nastąpi na Ziemi. Tam będą ich oczekiwać wszyscy. Ja mam nadać reportaż.

— No cóż — mówił najdalszy patrząc na jąkałę — dobrze, będziemy się śpieszyć.

— Tobie za-awsze się śpieszy... — zaczął jąkała.

— Coście postanowili? — spytał Severe.

— Fajno — odparł najdalszy. — Spróbujemy zmieścić się w waszych terminach. Skoro już sprawa wzięła taki obrót...

— Słusznie, stary — rzekł Severe. — Tam się wyśpicie. Chociaż wasz kolega, jak widać, i tu nie traci czasu. Jak on się nazywa?

Pytania tego nie zadał przypadkowo. Nie było w zwyczaju interesować się nazwiskami ludzi, którzy nie uważali za stosowne się przedstawić, śpiący jednak tego uczynić nie mógł, toteż pytanie wydawało się naturalne.

— On? Cry — z opóźnieniem odpowiedział najdalszy. Mówił cicho, aby się śpiący nie zbudził usłyszawszy swoje nazwisko.

— Cry — powtórzył Severe utrwalając nazwisko w pamięci i sprawdzając je zarazem. Nie, takiego człowieka nie było w chwili startu wśród jedenastki stanowiącej załogę „Błękitnego ptaka”. — Dogadaliśmy się więc?

— Nie chcemy przeszkadzać — odparł najdalszy. Uznawszy rozmowę za skończoną spojrział na zegarek zapamiętując godzinę, od której należało liczyć czas.

— Przy okazji — dodał wygrzebując z kieszeni fiolkę z tabletkami, z których jedną podał jąkałę, a drugą marszcząc się połknął sam.

— Sporamina? — spytał życzliwie Severe.

— Antyrad — niechętnie odpowiedział najdalszy. — Statek trochę promieniuje.

Severe skinął głową, myśląc o tym, że w ładowni „Ładogi” znajduje się kilka skrzynek z lekami, a wśród nich jedna z antyradem. Kilka sekund się wahał:

— Macie dużo?

— A potrzebujecie?

— Prawdę rzekłszy, promieniowanie tu rzeczywiście trochę zbyt wysokie... Najdalszy bez zdziwienia podał tabletkę Severe’owi. Ten połknął ją i z ulgą pomyślał, że załoga „Błękitnego ptaka”

dostanie swoje lekarstwa w komplecie, nienaruszone.

Najdalszy podniósł się w dziwnie zwolnionym tempie. Wysunął się zza stołu i podszedł do ściany, na której namalowano typowy krajobraz ziemski. W plastikowej podłodze był niegłęboki rowek stanowiący przedłużenie strumyka narysowanego na ścianie. Człowiek z rudowca dźgnął palcem w krajobraz.

— Niezłe, co? — rzekł patrząc na Severe'a, jakby oczekiwał potwierdzenia. Pejzaż był ckliwy, ale Severe potaknął — był zadowolony, że rozmowa z „wozakami” minęła bez komplikacji. Najdalszy się zaśmiał, przy czym się okazało, że ma usta od ucha do ucha, spojrzenie zaś wesołe i badawcze. Severe zauważył to ze zdumieniem, do ostatniej bowiem chwili ludzie ci wydawali mu się podobni do siebie, dlatego chyba, że uwaga skupiała się przede wszystkim nie na ich twarzach, lecz na niezwykle postrzępionej odzieży. Zrozumiawszy to poczuł się trochę nieswojo, lecz w tej właśnie chwili odezwał się dzwonek oznajmiający, że ktoś wchodzi do pomieszczeń stacji. Ponieważ mógł to być tylko Bragg z kamerami, wstał i wyszedł na korytarz, by się spotkać z pilotem.

Bragg zdążył już wnieść kamery i stał z odchyloną przyłbicą hełmu uspokajając oddech. Severe skinął na pilota:

— Rozbierz się, zjemy kolację.

— Nie, najpierw naprawię automat.

— Masz rację. Jak naprawisz, przyjdź.

— Oczywiście. Co to za chłopcy?

Severe wzruszył ramionami.

— Nic ciekawego. Nieznajomi.

— Nie bohaterowie? — uśmiechnął się Bragg.

— Stanowczo nie. Nic w tym śmiesznego. Nawet pomyślałem... Nie. Po prostu pracownicy kosmosu.

Odprowadził Bragga i wrócił do mesy. Dwóch znowu siedziało przy stole, śpiący głośno oddychał. Severe zamówił kolację, wziął talerze i usiadł;

— Gdzieście tak zajeździli swój statek? — zapytał.

— A co? Widać? — ponuro zainteresował się Jąkała, nawet nie rozciągając słów.

— To fajno — odezwał się wielkousty.

Jąkała wstał z nieoczekiwaną gwałtownością, tak że krzesło odjechało, a pucharki na stole zabrzęczały. Wbrew pozorom okazało się, że jest wysoki i długonogi. Podszedłszy do automatycznego barmana nalał mieszaniny do szklanek, postawił je na stole i lekko trącił śpiącego w ramię.

— Prze—eśpisz wszystko.

— Niech śpi — rzekł wielkousty. — Jemu już starczy. Zdążymy.

— Niech śpi — zgodził się Jąkała i nie siadając łyknął ze szklanki. Severe się nachmurzył. Dryblas miał na dobitkę zbyt krótkie spodnie, a na wpół oderwany zamek kołysał się u jednej z kieszeni kusej bluzy. Severe nie lubił niechlujów. Jąkała, jakby czując jego spojrzenie, obejrzał się i z lekkim uśmieszkiem powiedział:

— Nie w uniformie, co? Ale zdążymy się przebrać.

Severe wzruszył ramionami. Jąkała postawił na poły opróżnioną szklankę, podszedł do ściany z krajobrazem i poszukał przycisków. Znalazłszy, niezdecydowanie nacisnął jeden z nich. Cichutko szemrząc popłynęła rowkiem złościście podświetlona woda. Jąkała usiadł na podłodze, zdjął buty i wsadził bose stopy do wody.

— Ach jej! — wykrzyknął rozkoszując się wrażeniem.

— Woda — wymamrotał wielkousty pociągając ze szklanki.

Severe odsunął talerz.

— Chyba pora — mruknął w zamyśleniu.

Włożywszy talerz do szczeliny zmywaka przeszedł wzdłuż ścian mesy szukając gniazdka sieciowego. Znalazł je, wyjął z torby woltomierz i zmierzył napięcie.

— Masz diable kaftan! Tu jest dwadzieścia woltów, a mnie potrzeba dwustu.

— Na stacjach automatycznych wszystkie sieci mają niskie napięcie — rzekł wielkousty.

— To widzę — burknął Severe. Stał pod ścianą rozmyślając. — Nie ma rady, trzeba będzie ciągnąć kabel siłowy od statku. Dobrze, że jest rezerwa czasu.

— Ta—ak są—ądzicie? — spytał jąkała nie odwracając się.

— Przybędą nie wcześniej niż za dobę.

— Obieca—ali?

— A to dopiero! — ze złością wtrącił się wielkousty.

— W granicach Układu Słonecznego — powiedział Severe głosem lektora — będą musieli zmniejszyć prędkość. Koncentracja wodoru jest tu znacznie większa niż w otwartej przestrzeni.

— Ra—acja — zgodził się jąkała.

Severe podszedł do stołu, wziął kamerę i krążył po mesie celując.

— Transmisja będzie jak się patrzy! — rzekł. — Na Ziemi jeszcze takiej nie widzieli.

— Czy jeszcze nie przeszkadzamy? — spytał wielkousty. Robił wrażenie, jakby walczył ze snem.

— Jeszcze nie — odparł Severe. — Mało światła. Proszę zapalić kinkiety. Dziękuję. Chyba będzie dobrze. Proszę tutaj stanąć. Przymierzę się.

— To do filmu? — spytał niezdecydowanie wielkousty.

— Tele. Proszę mi trochę pozować. Proszę sobie wyobrazić, że jest pan dowódcą „Błękitnego ptaka”.

— Trudno będzie — rzekł wielkousty uśmiechając się i obrzucając Severe’a uważnym spojrzeniem.

— Ależ nie — ze złością zaprzeczył Severe. — Bardzo łatwo. Siedem i pół roku trwał lot. Teraz wracacie. Potężne chłopcy na wspaniałym, wytrzymałym na wszystko statku...

— Pozuj, potę—ężny chłopie — odezwał się jąkała. — Co cię to kosztuje?

Severe ostro spojrział na jego plecy.

— Proszę nie ironizować — doradził. — Tak więc przewyciężyliście liczne przeszkody, dokonaliście wyczynów, a teraz, kiedy u was wszystko w porządku...

— Startowe nie w porządku — powiedział jąkała nie odwracając się nadal. — Wie—elki rozrzut.

— To przecież nie o was... Chociaż... przypuśćmy, że silniki startowe nieco nie w porządku. To nawet bardziej interesujące. Aleście już je naprawili w przestrzeni, dokonaliście jeszcze jednego wyczynu. Proszę o tym mówić. Chciałbym wiedzieć, jak to będzie wyglądać. Muszę wybrać najlepsze punkty dla kamery. Tak więc pan kapitan...

Wielkousty pokręcił głową.

— Obawiam się, że nie wyjdzie.

— No to wyobraź so—obie, że drugi pilot — wtrącił jąkała tym razem się odwracając.

— Albo drugi pilot — zgodził się Severe. — Wszystko jedno.

— Wolę nie — sprzeciwił się smutno wielkousty.

Severe westchnął.

— No tak — rzekł dobitnie. — A przecież oni zasłużyli na to, byście się dla nich trochę

postarali.

— Potężne chłopcy — mruzczał jąkała. — Do—okonali wyczynów. Legenda...

Severe spojrział nań wrogo.

— To fakty.

— Plus wy—ymysły — ciągnął jąkała poruszając nogami w wodzie. — Plus domysły. Wszystko bierze się w nawias i podnosi do kwa—adratu. Powstaje legenda. Umierając ktoś coś powiedział. A jak mógł powiedzieć, jeśli...

— Proszę nie zniewagać pamięci tych, co zginęli — dobitnie rzekł Severe.

Śpiący podniósł głowę budząc się.

— Kto to? — spytał.

— Nic, nic — uspokajał go wielkousty — śpij. Wszystko w porządku.

— Aha — mruknął obudzony. — Gdzie jesteśmy? — poszperał ręką koło krzesła. — Gdzie?

— W stacji. Przypomnij sobie. No, masz.

Wielkousty włożył mu szklankę w rękę.

— Wypij.

— Ładnie tu?

— Ła—adnie — odezwał się jąkała znad strumyka.

— Aha — ucieszył się przebudzony — i ty tu. To pięknie! Wspaniale!

Wypił i odwrócił głowę ku Severe'owi, który zrozumiał, że ten człowiek jeszcze się naprawdę nie obudził: jego powieki były mocno zamknięte, jak gdyby się bał, że bodaj najmniejszy promyk światła przesączy się przez nie i dotknie oczu. Przebudzony poruszył ręką z opróżnioną szklanką szukając powierzchni stołu. Widząc ten ruch Severe zorientował się od razu, że pod zmarszczonymi i zapadniętymi powiekami wcale nie było oczu. Nieostrożnie westchnął.

— Tu jeszcze ktoś jest? — spytał niewidomy.

— Z Ziemi — odpowiedział wielkousty.

— Aha. No tak, stacja. Wspaniale.

— Śpij dalej.

— Po—oczekaj — wtrącił jąkała. — Za dziesięć godzin mamy się usunąć. Bobyśmy przeszkadzali.

— Komu?

— Szykuje się tu powitanie bohaterów, potężnych chłopów. Z wielką pompą. Bezpośrednia emisja na Ziemię. Dwóch, reporter i pilot.

— To niezręcznie — powiedział niewidomy.

— Ka—apitan będzie wygłaszał mowę. Wyobrażasz sobie?

— Nie — odrzekł niewidomy po dłuższej pauzie. Potem potrząsnął głową i przeciągnął się. — A ja się wyspałem.

— Trzecia i czwa—arta soczewka magnetyczna całkiem do niczego.

— A my bez startowych — zdecydowanie stwierdził niewidomy. — Odbijemy się głównym i tyle.

— Nie, to niebezpieczne.

— Chy—yba tak.

— Idziemy, co? — spytał wielkousty.

— Idziemy — rzekł jąkała i zaczął wkładać skarpetki.

— A Ziemianie nam nie pomogą? — spytał niewidomy zwracając twarz ku Severe'owi.

— Musimy jeszcze ustawić na kosmodromie wielkie kamery i reflektory — jakby przepraszając

powiedział Severe. — W przeciwnym razie nie moglibyśmy pokazać telewidzom lądowania. A nas jest tylko dwóch.

— Szkoda, że krewni nie przybyli — rzekł niewidomy wodząc dłońmi po odzieży.

— Zbierano się w alarmowym tempie. A oni, jak chyba sami rozumiecie, nie mają stałych wiz lekarskich w kosmos.

— Ja—asne. Idziemy.

— Czekaj — zatrzymał go wielkousty i wskazując na Severe'a rzekł: — A może oni nam pomogą nawiązać stąd łączność?

— Mało ważne. Stąd możemy i sami — sprzeciwił się niewidomy.

— Jeśli możemy wam w czymś pomóc — ofiarował się Severe — to nie naruszając oczywiście własnych planów...

— Dzię—ęki. Nie trze—eba.

Wyszli trzymając dłonie na barkach niewidomego i kierując nim. Słysząc było, jak w szatni otwierają szafki i wkładają skafandry. — To na rudowcu was tak urządziło? — rzucił za nimi spóźnione pytanie Severe, ale włożyli już hełmy i nie słyszeli go.

Severe poszedł do barku i nalał sobie koktajlu z soków owocowych. A potem poszedł się ubrać.

Bragg otworzył właz naprawczy, wyprowadził przezeń kabel i pochyliwszy się niósł koniec, Severe pociągał kabel ku sobie, aby pilotowi ułatwić pracy. Dociągnęli kabel do drzwi stacji. „Najtrudniejsze mamy już za sobą” — pomyślał Severe, ale Bragg kręcił głową. Musieli jeszcze jakimś sposobem wprowadzić kabel do środka przez hermetyczne drzwi nie powodując ucieczki powietrza z pomieszczeń stacji.

Długo gmerali przy stacji usiłując przebić pod drzwiami wąski kanał. Świder elektroerozyjny rozsiewał snopy niebieskich iskier, transformator grzał się niebezpiecznie, a oporny kamień nie ustępował.

— Będziemy się tak guzdrać do rana — warknął Severe. — Czy nic się nie da wymyślić?

— Przydałaby się tu zwykła wiertarka ze spiralnym wiertłem.

— Dlaczegoś jej nie wziął?

— Wziąłem. Ale nie mamy wiertła takiej średnicy. To zestaw do prac wewnętrznych.

— Niewesoło — stwierdził Severe. Bragg przyłożył rękę do transformatora, aby wyczuć jego drgania, i bez wahania wyłączył prąd.

— Co zrobimy? — spytał Severe.

— Poczekaj. Czy oni tam nie mają takiego wiertła?

— Przednia myśl. Może pójdziesz na ich łajbę?

— Idź lepiej ty. Ja ich nie znam.

Severe wyprostował się postępując.

— Starość nie radość — bąknął. — Daj jakieś wiertelko. Bragg wygrzebał z torby małe wiertło spiralne i podał je Severe'owi, który ruszył w stronę rudowca.

Saturn znajdował się już niemal w zenicie. W jego blaskach chłodno świeciły krawędzie skał. Wyminąwszy potężny głaz Severe zobaczył wielki statek, a raczej górną jego połowę, która — zdawałoby się — wisiała w próżni nie opierając się na niczym. Severe zamarł na moment w zdumieniu, a potem się uśmiechnął. Wszystko było na miejscu. Pracowity automat polerujący obniżając się po spirali zdążył już dojść do połowy kadłuba. Oczyszczona część poszycia połyskiwała niebieskawo w odbitym świetle, dolna zaś, szeroko zakończona, o gąbczastej powierzchni, pochłaniała światło i ginęła w ciemności. Z bliska jednak stawała się widoczna, toteż



można było ogarnąć wzrokiem cały kadłub statku, nedorzeczny, przypominający stary stożkowy pocisk artyleryjski. Sześć amortyzatorów wisiało nad najbliższymi skałami jak wisięgniki żurawi.

Podszedłszy całkiem blisko zatrzymał się i spojrzał na dozomierz; statek promieniował, co prawda słabo. Severe podszedł bardzo blisko. Automat polerujący dokonawszy okrążenia ukazał się znowu.

Właz znajdował się niespodziewanie wysoko, nie w dolnej, najszerszej, lecz w środkowej części kadłuba, powyżej górnego umocowania amortyzatorów. Prowadziła do niego dziwnie masywna drabinka byle jak zespawana z rur. Severe z ciekawości poszukał wzrokiem nazwy statku, która powinna widnieć nad włazem, ale ta część statku pokryta była jeszcze nagarem i nic nie można było dojrzeć. Wspiąwszy się zastukał wiertłem w klapę włazu, ale skorupa, w jaką przekształciła się wierzchnia warstwa poszycia, głużyła dźwięk. Zdumiony, że taki, dawno już nadający się na złom statek potrafił jeszcze ujść uwagi nader skrupulatnych patroli kosmicznych, Severe kilkoma skośnymi uderzeniami obtłukł skorupę nagaru i zastukał znowu.

Czekać musiał długo. Widocznie ludzie byli daleko, a ponadto potrzebny był czas, żeby jeden z nich mógł włożyć skafander. Wreszcie właz powoli się otworzył. Na tym starym, co najmniej dziesięcioletnim statku klapa nie otwierała się na zewnątrz tworząc pomost i nie rozsuwała się na boki dwoma skrzydłami, lecz chowała się do środka, pociągana zginającymi się w przegubach dźwigniami. Gdyby wyteńczyć pamięć, można by sobie nawet przypomnieć, kiedy i na jakich statkach były takie włazy.

Na tle cofniętej klapy ukazał się człowiek w skafandrze — jak można było sądzić z gabarytów, jąkała. Wyciągnąwszy lewą rękę zgiętą w nadgarstku postukał wskazującym palcem prawej ręki po okienku na przegubie, gdzie widniał zegarek, i pogroził tym palcem dając Severe'owi do zrozumienia, że umowny termin jeszcze nie upłynął. Severe także pokazał swój zegarek i kilkakrotnie przesunął nad nim dłonią na znak, że nie chodzi teraz o czas i że on wcale nie dlatego przyszedł. Wyciągnął ku gospodarzowi swoje malutkie wiertło i dwoma palcami pokazał pożądaną średnicę, mniej więcej pięć milimetrów. Dryblas stał chwilę bez ruchu, potem zrozumiał. Ostrożnie wziął wiertło i wykonał gest zaproszenia. Severe zdecydował się już przekroczyć próg, ale spojrzawszy na swój dozomierz zrezygnował z tego zamiaru: promieniowanie było na statku niewątpliwie jeszcze wyższe niż poza nim. Severe przecząco poruszył ręką zwróconą dłonią ku dryblasowi, który się cofnął, a płyta klapy wysunęła się zamykając właz.

Severe oddalił się od statku.

Po piętnastu minutach właz otworzył się znowu. Dryblas poczekał, aż Severe wespnie się na górę, i podał dziennikarzowi malutkie wiertło oraz drugie, takie, jakie było potrzebne. Severe gestem wdzięczności przyłożył ręce do piersi, dryblas się w odpowiedzi uklonił. Promień lampki oświetlającej próg i najwyższy stopień trapu padł na górną część staromodnego, niemal kulistego hełmu i ukazał na wpół zatarte słowo, z którego pozostały tylko litery „Słon...”. Severe wiedział, że na jego własnym hełmie, pod reflektorem, widniał złoty napis „Ładoga”. Rudowiec zwał się prawdopodobnie „Słońce” lub jakoś tak. Severe raz jeszcze pomachał ręką i ruszył w drogę powrotną, a dryblas został na progu włazu i patrzył za nim.

Teraz praca potoczyła się szybciej, mimo że wiertło było niezgorzej stępione. Po godzinie przeciągnęli kabel przez otwór pod drzwiami stacji. Severe westchnął z ulgą i otarł pot z czoła.

— Przynieś po koktajlu — powiedział do Bragga. — Pewnie trzeba będzie zmobilizować zasoby „Ładogi”. Piloci gwiazdowi nie będą gasić pragnienia tym, co pili ci trzej ze „Słońca”.

— Dlaczego ze „Słońca”?

— Tak się chyba nazywa ten ich kufer — zaśmiał się Severe i zaczął gmerać w pęku żył kabla.

Przyłączył pulpit zdalnego sterowania, monitor oraz telekamery i zabrał się do kabla zdalnego sterowania pulpitu radiostacji „Ładogi”, kiedy Bragg przyniósł szklanki z chłodzoną mieszaniną soków.

— Długo to trwało — rzekł Severe biorąc szklankę.

— Przypominałem sobie, ale takiej nazwy ani rusz nie mogę wygrzebać z pamięci. „Słońce”? Nie, nie pamiętam, żebym coś takiego znalazł.

— A jednak „Słońce”. Taki był napis. Kadłub tak obrósł nagarem, że bałem się stukać w poszycie, bo wiertło mogło przejść na wylot. Co prawda tam, gdzie przeszedł automat polerujący, metal lśni. Sądzę więc, że tym razem szczęśliwie dotrą do Tytana, a w następny rejs inspektor ich nie puści. Odpocznij teraz, bo trzeba będzie jeszcze ustawić kamery na zewnątrz. Albo lepiej ustaw kamery, a potem odpocznij.

Pomógł Braggowi nałożyć skafander i znowu wziął się do pracy. Bragg chwycił obie kamery i znikł w śluzie. Severe przyłączył pulpit radiostacji, połączył monitor z zasilaniem oraz kablem antenowym, zatarł z zadowoleniem ręce i włączył monitor. Bragg zdążył już ustawić kamery i stał w szatni z odrzuconym hełmem.

— No, teraz odpocznij — powiedział Severe.

— Jeśli nie jestem potrzebny, to pójdę naprawić swój automat.

— Poczekaj. Wypróbujemy teraz radiostację i już sobie pójdiesz. Weź jeszcze koktajl i... dla mnie też.

Severe włączył radiostację „Ładogi”. Pomieszczenie wypełnił szum. Severe powoli poszukał w eterze, w tym paśmie, na którym pracował nadajnik „Błękitnego ptaka”.

— Teraz spróbujemy wywołać Ziemię i donieść, że u nas wszystko w porządku. — Spojrzał na wskazówkę strojenia, która wahała się w prawo i w lewo. Nagle drgnął. Z szumu zakłóceń wyrwało się jakieś słowo, donośne, lecz wypowiedziane ochryple i trudne do rozpoznania.

— Odległość — ledwo dosłyszalnie powtórzył Severe.

Znowu dał się słyszeć głośny szmer, lecz Severe włączył strojenie automatyczne. „Dokonamy lądowania — tak samo ochryple odezwał się głośnik. — Potwierdzenia nie chcę. Wyłączam się. Seans za dwie godziny. Pozdrowienia, kochana Ziemi. Stop”. Szum się nasilił, potem zmalął, Bragg podbiegł wylewając płyn ze szklanek. Severe spojrzał nań rozradowanym wzrokiem i powiedział cicho:

— To oni.

— To gdzie blisko.

— Tak, będą za dwie godziny. Przypuszczam, że następny seans chcą nadać stąd. Ale zamiast nich, zrobimy to my! A ci jeszcze tu... Czas, żeby się już wynieśli!

Włączył znowu monitor, skierował kamery na rudowiec. Poszycie statku było czyste, właz zamknięty. Na dziobie powoli obracał się półkulisty kosz anteny. Zapłonęły światła nawigacyjne, potem nagle zgasły, zapłonęły ponownie i już ich nie wyłączono.

— Spójrz — wykrzyknął Severe — chyba się wynoszą. Na pewno odebrali ten komunikat i zrozumieli. Nie będzie trzeba ich popędzać. Wzywam Ziemię! Odwrócił się do pulpitu, ale Bragg go zatrzymał:

— Za chwilę. Rudowiec teraz startuje i nie przebijemy się przez zakłócenia. Tymczasem zobaczymy...

Podszedł do szafki bibliotecznej i znalazł „Rejestr statków kosmicznych”. Przewertowawszy go pokręcił głową i rzekł:

— Takiej nazwy jednak nie ma. Nic związanego ze Słońcem. Zresztą jeszcze poszukam...

Severe rozsiadł się przy pulpicie.

— Wypróbujemy światła... — mruknął pod nosem i przesunął wyłącznik. Z silnych reflektorów „Ładogi” lunęły strumienie światła. Poszycie rudowca zabłysło, jakby je objął płomień.

— O! — rzucił Severe — o to mi chodziło! Co on robi? Zobacz...

Bragg odwrócił się ku ekranowi monitora. Statek mrugał światłami nawigacyjnymi. „Dzięki” — przeczytał Bragg. Severe się uśmiechnął:

— Sądzą, że to na ich cześć.

Światła wciąż mrugały. „Miłego pobytu” — przeczytał Bragg.

— Słuchaj — powiedział szybko. — Oni rzeczywiście startują. Mają jeszcze czas, a startują!

— To i dobrze.

— Oddałeś wiertło?

— Nie, zapomniałem.

— Tak się nie robi — rzekł Bragg.

Spiesznie wy dobył wiertło z torby narzędziowej i zaczął paznokciem zdrapywać z niego zgęstniały, zmieszany z pyłem smar. Potem zaklął i wybiegł. Severe speszony podniósł brwi. Po sekundzie dopadł Bragg w szatni: pilot wyrywał skafander z uchwytów.

— Wywołuj ich! Prędko! — ryknął Bragg.

— Już wciągnęli antenę — odparł Severe wzruszając ramionami, ale mimo to zaczął wlażyć w skafander, który Bragg przed nim trzymał.

Wyskoczyli ze stacji w chwili, kiedy statek trzykrotnie zamrugał: „Uwaga... Uwaga... Uwaga”. Bragg gwałtownie się zatrzymał, czepiając się głązów, by nie ulecieć zbyt wysoko.

— Patrz! — powiedział półgłosem.

Zgięte nogi amortyzatorów zaczęły się powoli rozprostowywać w przegubach. Równie ucięty od dołu kadłub podnosił się coraz wyżej, lecz nie cały. Dolna, najszersza jego część pozostała na poziomie uniesionych pięt, z którymi była trwale połączona. Reszta unosiła się do góry... Bragg ukląkł i zaczął patrzeć od spodu. Dziób statku zrównał się z dziobem „Ładogi” i rósł nadal.

Bragg zobaczył zapewne to, co chciał, gdyż zerwał się szybko i złapał Severe’a za ramię.

— Wracajmy natychmiast! — wrzeszczał. — Do stacji! Szybko!

Severe zaczął się opierać.

— Przyjrzyjmy się raczej stąd. Nie zdarza mi się widzieć...

— I nie zdarzy się, durniu! — Bragg w pasji pchnął Severe’a ku wejściu. W stacji nie zdejmując skafandrów rzucili się do monitora. Statek stał teraz nieruchomo. Bragg podszedł do pulpitu i zaczął obracać zewnętrzne kamery tak, by patrzyły na statek z dołu ku górze i dawały największe zbliżenie.

Severe spojrział na ekran, na Bragg, znowu na ekran. Obiektywy przybliżały najniższą część statku ukazując ją z dołu, w skos. Severe’owi zdawało się, że zobaczył bezdenne jezioro wypełnione czarną spokojną wodą.

— Zrozumiałeś? — krzyknął Bragg.

Severe nie zdążył odpowiedzieć; Musiał się chwycić stołu. Skąły drgnęły. Japet zaczął dygotać. Miliony fioletowych strzał uderzyły w podłogę. Poleciały okruchy. Severe jęczał kiwając głową. Statek wisiał nad powierzchnią Japeta wyprostowany, kształtny. Fioletowe światło bladło, rzedło, stawało się przezroczyste i nierealne. Statek wznosił się coraz szybciej.

— Moje kamery! — wrzasnął Severe. — Bodaj go diabli!

Włączył kamery. Pierwsza oślepla pod deszczem okruchów, które jeszcze sypały się z góry. Statek był już wysoko, świecił w drugiej kamerze jak mała, lecz bliska planeta.

— Pięknie mi się przysłużył — rzekł załośnie Severe. — Wszystko szło tak dobrze, aż wreszcie

rozbił kamerę.

— A po co ci kamera?

Severe spojrział zezem na pilota.

— Któż mógł wiedzieć, że rudowiec będzie miał fotonowy napęd?

— Dlaczego rudowiec? — zapytał ze złością Bragg. — Kto powiedział, że to rudowiec?

Milczeli przez kilka sekund spoglądając na siebie.

— No nie, daj spokój! — odezwał się Severe. — To niemożliwe.

— Masz — powiedział Bragg.

Trącił leżące na stole zatłuszczone wiertło, które potoczyło się ku Severe'owi.

Ten wziął je i przeczytał wybity na trzpieniu ledwie widoczny napis: *Błękitny Ptak*. A w drugim wierszu: *Układ Słoneczny*.

— Ale tam nie było człowieka o nazwisku Cry — rzekł wreszcie Severe. — Nie było! Rozumiesz?

— To zobacz, czy nie ma tego nazwiska w innym miejscu — powiedział w zamyśleniu Bragg. — Poszukaj wśród załogi „Latającej ryby”.

— „Latającej ryby”?

— Tak, tej, która nie wróciła.

Wzruszywszy ramionami Severe wertował „Rejestr”. Znalazł „Latającą rybę”, przeczytał i długo milczał...

*Przełożył Bolesław Baranowski*

*Kirył Bułyczow*  
*Wielikij Guslar, kratkij putiewodidiel*

# Wielki Guslar: krótki przewodnik

Ludzie czasem pytają: czemu to przybysze z kosmosu, którzy wybrali Ziemię za cel swej podróży, lądują nie na wyspach Oceanu Spokojnego, nie na szczytach Pamiru, nie na pustyni Takla Makan, nie w Osace lub Konotopie, lecz w mieście Wielki Guslar? Dlaczego pewne wydarzenia, których naukowcy do tej pory nie zdołali zadowalająco wyjaśnić, zachodzą właśnie w naszym sławetnym grodzie?

Pytanie to zadawali sobie również liczni naukowcy i miłośnicy astronomii, głowili się nad nim uczestnicy sympozjum w Addis Abebie, zastanawiali dziennikarze i czytelnicy „Litieraturnoj gaziety”.

Niedawno z nową hipotezą na ten temat wystąpił członek rzeczywisty Akademii Nauk, Spiczkin. Obserwując trajektorie meteorologicznych satelitów Ziemi, Spiczkin doszedł do wniosku, że miasto Wielki Guslar stoi na ziemskiej wypukłości, całkowicie niezauważalnej dla jej mieszkańców, lecz natychmiast rzucającej się w oczy tym, którzy oglądają nasz glob z sąsiednich gwiazd. Tej wypukłości w żadnej mierze nie należy mylić z górami, wzgórzami i innymi tego rodzaju tworami geologicznymi, gdyż niczego podobnego w okolicach Wielkiego Guslaru po prostu nie ma.

Miasto Wielki Guslar leży na równinie. Otoczone jest kołchozowymi niwami i gęstymi lasami. Rzeki płynące w tych okolicach wyróżniają się krystalicznie czystą wodą i powolnym nurtem. Wiosną zdarzają się powodzie, które trwają dość długo i pozostawiają na niskich brzegach rzek śmiecie i pnie drzew. Zimą na okolicznych drogach bywają zasypy śnieżne, odcinające miasto od sąsiednich miejscowości. Latem panują umiarkowane upały, przerywane częstymi burzami. Jesień jest tam łagodna i kolorowa, a zimne deszcze zaczynają się dopiero pod koniec października. W roku 1876 starzy mieszkańcy obserwowali zorzę polarną, a trzydzieści lat wcześniej — potrójne słońce. Najniższa zanotowana temperatura wyniosła minus 48 stopni (18 stycznia roku 1923).

Dawniej w lasach pełno było niedźwiedzi, saren, dzików, jenotów, bobrów, lisów, rosomaków i wilków. Zwierzęta te trafiają się w lasach nawet i dzisiaj. W roku 1952 podjęto próbę zaaklimatyzowania pod Wielkim Guslarem żubrobizonów. Żubrobizony rozmnażały się w Rezerwacie Worobiowskim, w naturalny sposób skrzyżowały z łosiami i dzięki temu zyskały potężne rogi oraz spokojne usposobienie. Rzeki i jeziora obfitują w dzikie ptactwo. Niedawno do rzeki Guś wpuszczono narybek gambuzji i białego amura. Nie wiadomo jak w ostatnich latach rozplenił się w niej rak brazylijski, najbliższy krewniak homara. Miejscowi rybacy natychmiast ocenili jego znakomite cechy smakowe. Prasa terenowa donosiła o pojawieniu się w okolicach miasta muchy tse-tse, jednak wypadków śpiączki nie zanotowano.

Ludność Wielkiego Guslaru liczy bez mała osiemnaście tysięcy osób. Składają się na nią przedstawiciele szesnastu narodów. We wsi Moroszki mieszkają cztery rodziny Kozuchów. Kozuchowie są niewielkim leśnym narodem z ugrofińskiej grupy językowej mówiącym swoistym, dotychczas nie całkiem rozszyfrowanym językiem. Alfabet Kozuchów został opracowany na podstawie alfabetu łacińskiego w roku 1926 przez guslarskiego nauczyciela Iwanowa, który ułożył

elementarz. Obecnie jedynie trzech Kozuchowie — Iwan Siemionow, Iwan Mudrik i Aleksandra Filipowna Małowa — władają językiem kozuchowskim.

Historia miasta Wielki Guslar liczy 750 lat. Pierwszą wzmiankę o nim można znaleźć w Kronice Andriana, który mówi, że potiomkinowski książę Gabriel Łagodny „przybył i wybił” niepokornych mieszkańców osady Guslar. Zdarzyło się to w roku 1222.

Miasteczko szybko rosło i rozwijało się, a to dzięki znakomitej lokalizacji na skrzyżowaniu szlaków handlowych, prowadzących na Ural i Syberię oraz do południowych i zachodnich regionów Rusi. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności uniknęło niewoli tatarskiej, ponieważ mongolscy najeźdźcy, odstraszeni gęstością i dzikością północnych kniei, ograniczyli się do przysyłania spisu żądanych danin, które zresztą obywatele miasta płacili rzadko i nieregularnie. Rozpoczęty w wieku XIV przez Moskwę i Nowogród spór o Guslar zakończył się ostatecznym zwycięstwem Moskwy dopiero w połowie wieku XV. W trakcie owego sporu miasto zostało trzykrotnie spalone i dwukrotnie kompletnie rozgrabione. Innym razem nowogrodzka drużyna wojewody Lepiechy zrównała miasto z ziemią. W następnych latach na Guslar spadały dzuma, powodzie, głód, morowe powietrze. Rokrocznie szalały pożary. Po każdej epidemii i pożodze miasto odbudowywało się i upiększało murowanymi soborami, których białe ściany malowniczo przeglądały się w zwierciadlanej gładzi rzeki Guś.

Ponad jedna trzecia odkrywców ruszających w drogę naprzeciw słońcu urodziła się w Wielkim Guslarze, który w szesnastym wieku przekształcił się w kwitnące miasto konkurujące z Wołogdą, Ustiugiem i Niżnim Nowogrodem. Wystarczy tu wspomnieć Timofieja Barchatowa, który odkrył Alaskę; Simona Trusowa, który na czele pięćdziesięciu Kozaków dotarł nad brzegi Kamczatki; Fiedkę Merkartowa, który jako pierwszy dotarł do Nowej Ziemi, odkrył Wyspy Kurylskie, Czelabińsk, Kalifornię i Antarktydę. Wszyscy ci herosi wracali na starość do rodzinnego miasta i budowali piętrowe murowańce na ulicy Targowej, w Niebieskim Zaułku lub na Wołowym Trakcie. Właśnie w owych latach Guslar zyskał przydomek Wielki.

Ř propos, wśród uczonych do dzisiaj trwają spory na temat tego, dlaczego Guslar nazywa się Guslarem? Profesor Tretiakowski w swojej monografii „Podbój Północy” uważa, że jego nazwa wywodzi się od słowa „Gęślarz” lub nawet „Gęśle” (hipoteza Reizmana), bowiem wytwarzanie owych instrumentów muzycznych było nader rozpowszechnione w tamtejszych okolicach, Illonen natomiast i inni zagraniczni historycy skłaniają się ku przypuszczeniu, że nazwę miastu dała rzeka Guś, nad której brzegiem Wielki Guslar leży. Istnieje jednak również wersja Tichonrawowej, która uważa, że w tych leśnych ostępach znaleźli schronienie współwyznawcy i zwolennicy Jana Husa, którzy zdołali ująć habsburskim prześladowaniom. Należy wreszcie wspomnieć o punkcie widzenia Iwanowa, który wyprowadza słowo Guslar z kozuchowskiego „chus-la”, które oznacza „tylna łapa wielkiego niedźwiedzia, żyjącego na bardzo wysokiej górze”. Wśród Kozuchów do dziś żyje legenda o wielkim myśliwym Demie, który w tych okolicach ubił niedźwiedzia i zjadł jego tylną łapę.

Pod koniec wieku XIX Wielki Guslar w związku z tym, że kolej żelazna ominęła go bokiem, przestał odgrywać ważną rolę w handlu i przekształcił się w zabite deskami miasteczko i trzeciorzędną przystań na rzece Guś.

W ostatnich latach w Guslarze coraz szybciej i intensywniej rozwija się przemysł terenowy. W mieście działa browar, fabryka „Zorza” (produkcja guzików i pinesek) i tartak (wytwarza doskonałej jakości wykałaczkę). Na dalekich przedmieściach jest także mleczarnia i dwa warsztaty bednarskie. Wielki Guslar posiada Technikum Żeglugi Śródlądowej, kilka szkół średnich i niepełnych średnich, trzy biblioteki, dwa kina, Klub Oryli oraz muzeum. Do zabytków architektury ochraniających państwo należy Monastyr Spaso-Trofimowski, cerkiew Paraskewy Piatnicy (wiek XVI) — i Sobór

Dmitrowski. Wielki zajazd i kilka cerkwi rozebrano w roku 1930, a na ich miejscu urządzono Skwer Imienia Odkrywców.

Wielki Guslar jest miastem podlegającym władzom obwodowym i stolicą rejonu wielkoguslarskiego, w którym uprawia się len, żyto i grykę, hoduje bydło i pozyskuje drewno. Do dyspozycji turystów, którzy przyjeżdżają latem do miasta, stoi hotel „Wielki Guslar” z restauracją „Guś”, Dom Kołchoźnika i barka mieszkalna. W ciągu ostatnich kilku lat nad brzegami Gusi kręcono wiele filmów historycznych, w szczególności „Stienkę Razina”, „Odkrywcę Barchatowa”, „Stadko” i „Husarską balladę”.

Główna arteria, ulica Puszkina, biegnie wzdłuż rzeki. Znajduje się przy niej Dom Towarowy, księgarnia i sklep zoologiczny. Zaczyna się obok mostu przez rzekę Griaznuchę, dzielącą miasto na historyczny gród i podgrodzie, kończy się natomiast przy parku miejskim, w którym znajduje się estrada, strzelnica i karuzela oraz letnia czytelnia pod parasolami.

Komunikacja z Wołogdą autobusem (sześć godzin) albo samolotem (godzina). Do Archangielska można dotrzeć samolotem (półtorej godziny) albo statkiem (przez Ustiug i Kotłaz) — cztery doby.

Przybysze kosmiczni zaczęli się w mieście pojawiać w roku 1967. Ich wcześniejszych śladów nie wykryto.

*Przełożył Tadeusz Gosk*



*Kirył Bułyczow*

*Swieżij transport zołotych rybok*

# Świeży transport złotych rybek

Jedyny w mieście Wielki Guslar sklep zoologiczny dzieli skromny lokal ze sklepem papierniczym. Na dwóch ladach leżą w nim pod szkłem długopisy, szkolne zeszyty w kratkę, album z białą mewą na błękitnej okładce, pędzelki popularne, ochra w tubkach, temperówki i mapy konturowe. Trzecia lada, stojąca na lewo od wejścia, nie jest oszklona. Piętrzą się na niej stosy półkilowych torebek z pokarmem dla kanarków, klatki dla wiewiórek i niewielkie konstrukcje z kamieni i cementu inkrustowanego muszlami. Konstrukcje te przypominają ruiny średniowiecznych zamków i przeznaczone są do umieszczania w akwariach, żeby rybki czuły się tam jak w swoim żywiole.

Sklep papierniczy zawsze wykonuje plan. Zwłaszcza w trakcie roku szkolnego. Sklepowi zoologicznemu wiedzie się znacznie gorzej. Jedynym chodliwym towarem, jaki w nim bywa, są kurczaki, kurczaki ze sztucznej wylęgarni, których dostawa zdarza się raz na kwartał. Wtedy kolejka po nie zakręca aż na rynek. W pozostałe dni przy ladzie jest zupełnie pusto. Jeśli nawet przychodzą tam chłopcy, żeby pogapić się na gupiki i czerwone mieczyki pływające w podświetlonym akwarium, to nigdy tych mieczyków nie kupują. Kupują je u Kolki Długiego, który co sobota stoi przed wejściem do sklepu i trzyma na długim sznurku litrowy słoik z narybkiem. W drugiej ręce dzierży papierową torbę z czerwonymi robaczkami.

— Znowu tu sterczy — mówi Zinoczka do Wiery Jakowlewny, sprzedawczynie ze sklepu papierniczego, i pisze do obwołu kolejne zamówienie na białe robaczki i rasowe gołębie.

Trudno powiedzieć, aby Zinoczka zupełnie nie miała klientów. Ma kilku. Prowizor Sawicz trzyma kanarka i raz w tygodniu, pod koniec dnia, wstępuje po drodze z apteki do domu. Kupuje pół kilo pokarmu. Wpada czasami Grubin, wynalazca i człowiek bez przyszłości. Grubin interesuje się wszelkimi zwierzakami i nosi głęboko w sercu nadzieję, że sklep otrzyma kiedyś do sprzedaży amazońską papugę arę, która bardzo łatwo uczy się ludzkiej mowy.

Jest jeszcze jeden człowiek zagląający do sklepu, ale to nie klient, tylko przypadek zupełnie szczególny. Były strażak, inwalida Eryk. Przychodzi, cicho staje w kącie za akwarium. Pusty rękaw ma założony za pas, a oparzoną stronę twarzy skierowaną ku ścianie. W mieście Eryka znają wszyscy. Dwa lata temu pewna babcia zostawiła włączone żelazko i położyła się spać. Eryk pierwszy wpadł do domu i zaczął wyciągać babcie na świeże powietrze, ale nie zdążył. Z góry spadła belka i w ten sposób Eryk został inwalidą. W dwudziestym trzecim roku życia. Ze strony obywateli było mnóstwo współczucia, załatwili Erykowi rentę i odszkodowanie, ale dotychczasową robotę musiał rzucić. Chłopak wprawdzie został w straży pożarnej, ale teraz tylko pilnuje garażu. Uczy się pisać lewą ręką, ale jest bardzo nieśmiały i wszystkiego się wstydzi. Nie lubi nawet pokazywać się na ulicy.

Eryk przychodzi do sklepu po pracy. Zazwyczaj kuleje, bo nogę też mu w tym pożarze przygniotło. Przychodzi, wciska się w kąt za akwarium i patrzy na Zinoczkę, w której kocha się bez wzajemności. Jaka zresztą może być wzajemność, jeśli Zinoczka to dziewczyna przystojna i

postawna, ciesząca się powodzeniem u wielu chłopców z Technikum Rzecznego. Sama Zinoczka wzdycha do nauczyciela biologii ze szkoły średniej numer jeden, ale Erykowi nigdy złego słowa nie powie.

Kończył się trzeci kwartał. Była już jesień. Zinoczka spodziewała się dostawy dobrego towaru, gdyż jej zwierzchnicy w obwodzie musieli zdawać sobie sprawę, że jeśli nie wykonają planu, to ich też nikt po główce nie pogładzi.

Zina nie zawiodła się. Dwudziestego szóstego września dzień wypadł pogodny i bezwietrzny. Ze sklepu widać było drogę wiodącą ku rzece, a nawet las na jej przeciwległym brzegu. Rzeką, lazurową niczym niebo, ale o ton ciemniejszą, płynęły barki, tratwy i motorówki. Chmury przesuwały się wolno po niebie, jakby każda z nich starała się z najlepszej strony zaprezentować własne wdzięki. Zinoczka otrzymała towar poprzedniego dnia już pod wieczór (przysłali go samolotem, przysłała więc do pracy wcześniej rano, popatrzyła na chmury i na drzwiach sklepu wywiesiła ogłoszenie:

„Świeży transport złotych rybek”

Weszła do środka. Rybki wpuszczone do dużego akwarium przez noc odżyły i teraz pływały godnie, ledwie poruszając długaczynymi ogonami. Były niewielkie, najwyżej piętnastocentymetrowe, ale w masie (około dwudziestu sztuk) stanowiły widok wręcz wyjątkowy. Grzbieciki miały jztskrawozłociste, a brzuszki różowe niczym dopiero co wypucowane samowarki. Oczy duże, czarnego koloru, płetwy jasnoczerwone.

Z obwodu przysłali też bańkę żywego pokarmu. Zinoczka wyłożyła robaczki na wielką kuwetę fotograficzną, a one roiły się i wspinały do góry po śliskiej białej emalii.

— Ach — powiedziała Wiera Jakowlewna, gdy przysłała do pracy i zobaczyła rybki. — Takiego cuda to ja bym nie sprzedawała. Zostawiłabym na wyposażeniu placówki.

— Wszystkie?

— No, nie. Jakąś połowę. Dzisiaj będziesz miała wielki dzień.

W chwilę potem otworzyły się drzwi i do sklepu wszedł stary Łożkin, który lubił wszystkich pouczać. Podszedł wprost do lady, postął, poruszył wargami, wziął w dwa palce szczyptę robaków i powiedział:

— Stołeczne robaczki. Pierwszorzędne.

— A jak rybki? — zapytała Zinoczka.

— Zwyczajny towar — odparł Łożkin, zachowując dumną pozę. — Chińskiego pochodzenia. W Chinach te rybki trzymają w każdym basenie. Ze względów dekoracyjnych. Milionami.

— Przesadzacie! — obraziła się Wiera Jakowlewna. — Milionami!

— Trzeba czytać literaturę fachową — powiedział stary Łożkin. — Zobacz w fakturze. Tam wszystko napisali.

Zinoczka wyjęła fakturę.

— Spójrzcie sami — powiedziała. — Ja już sprawdzałam. Nic tam nie mówią o ich chińskim pochodzeniu. Nasze rybki. Dwa czterdzieści sztuka.

— Trochę przydrogie — powiedział Łożkin, zakładając na nos staroświeckie pince-nez. — Niechaj im się przyjrę.

Wszedł Grubin. Był to mężczyzna wysoki, rozczochrany, błyskawiczny w ruchach i szybki w decyzjach.

— Dzień dobry, Zinoczka — powiedział. — Dzień dobry, Wiero Jakowlewna. Macie coś nowego?

— Tak — powiedziała Zinoczka.

— A co z papugą? Nie zrealizowali jeszcze mojego zamówienia?

— Jeszcze nie, pewnie szukają.

Prawdę mówiąc, Zinoczka w ogóle nie zamawiała brazylijskiej papugi ary — Podejrzewała, że w centrali wyśmieją takie zamówienie.

— Interesujące rybki — powiedział Grubin. — Charakterystyczny złoty odcień.

— Dla kogo charakterystyczny? — zapytał surowo stary Łożkin.

— Dla nich — odparł Grubin. — No to ja sobie pójdę.

— Niepoważny człowiek — powiedział Łożkin. — W specyfikacji nie ma ich łacińskiej nazwy.

Do sklepu zajrzał Długi Kola. Długim przezywano go pewnie dla śmiechu, bo był niziutki, mimo czterdziestki na karku w ogóle nie miał zarostu i przypominał dużego oseska. W zwykłe dni Zinoczka nie wpuszczała Koli do sklepu, wypędzała krzykiem i groźbami. Ale dzisiaj, gdy zobaczyła go w drzwiach, powiedziała triumfująco:

— No chodź tu, chodź, prywatna inicjatywo.

Kola zbliżył się do lady ostrożnie, czując jakiś podstęp. Torbę z robakami trzymał pod pachą, a słoik z narybkiem schował za plecy.

— Ja tylko popatrzeć na złote rybki... — powiedział cicho.

— A patrz, ubędzie ich czy co?

Ale Kola nie patrzył na rybki. Gapił się na kuwetę z robaczkami. Łożkin zauważył ten wzrok i powiedział głośno:

— Państwowa cena jest czterokrotnie niższa niż u krwiopijców. I robak znacznie lepszej jakości.

— Jakość to my zaraz sprawdzimy — odparł Kola. I zaczął cofać się ku drzwiom, gdzie wpadł plecami na czołówkę uczniów, którzy zwiali z lekcji, gdy tylko wieść o złotych rybkach rozniosła się po mieście.

Stary Łożkin opuścił sklep w pięć minut później. Wstąpił do domu po słoik i trzy ruble, wrócił, kupił złotą rybkę, a za resztę pieniędzy robaczków. W tym czasie do sklepu przyczłapał już i Eryk. Przyniósł bukiet astrów, który położył pod akwarium, bo lękał się, że Zinoczka zauważy prezent i zacznie go wyśmiewać. Wagarowicze gapili się na rybki, szeptali i planowali złożyć się na kupno jednej z nich dla kącika żywej przyrody. Zinoczka zanurzyła siatkę w akwarium, a Łożkin z nosem przy szybie kierował jej poczynaniami, wybierając najlepszą sztukę.

— Nie tą — mówił. — Nie wtryniajcie mi byle jakiego towaru. Ja się na tych rybach znam, mam specjalną literaturę. Z lewej bierz, z lewej! Lepiej ja sam.

— Co to, to nie — powiedziała Zinoczka, która dzisiaj była panią sytuacji. — Mówcie mi tylko którą, a ja już wyłowię.

— Nie, lepiej ja sam — odpowiadał na to stary Łożkin i łapał za drucianą rączkę siatki. — Mówcie mi tylko którą, a ja sam wyłowię.

— Przestańcie, obywatelu — wtrącił się Eryk. — Przecież starają się was obsłużyć.

— Milczeć! — obraził się Łożkin. — Mądrała się znalazł. Starszych będzie uczył!...

Stary Łożkin był z natury zgryźliwy i mówił obraźliwym tonem. Eryk chciał się odciąć, ale rozmyślił się i odwrócił do ściany.

— Takiemu wrednemu człowiekowi ja bym w ogóle rybek nie dawała — oburzyła się znad swojej lady Wiera Jakowlewna, po czym chwyciła przykładnicę i zamachnęła się nią jak do ciosu.

Stary Łożkin jakby zmałał i przestał wybrzydzać. Podstawił słoik, rybka ostrożnie ześlizgnęła się z siatki i złotym pyszczkiem dotknęła szkła. Zinoczka w milczeniu zważyła Łożkinowi robaki, w milczeniu przyjęła od niego pieniądze i wydała dwie kopiejki reszty. Stary usiłował zostawić je na ladzie, ale głośnym okrzykiem został zawrócony od drzwi, zabrał monetę i skurczył się jeszcze

bardziej.

Kiedy Łóżkin wyszedł na ulicę i kiedy promień słoneczny wpadł do słoika, z jego wnętrza wytrysnął promień jeszcze jaskrawszy i zaigrał na szybach domów. Na całej ulicy zaczęły się otwierać okna. Ludzie wyglądali z nich i pytali, co się stało. Rybka uderzyła ogonem, krople wody poleciały na chodnik, a każda z tych kropli też lśniła i błyszczała.

Przy krawężniku gwałtownie zahamował autobus. Kierowca wytknął głowę przez okno i krzyknął:

— Dziadku, co dają?

Łóżkin podrapał się torebką z robakami w wygolony, pokryty zmarszczkami podbródek i odparł z godnością:

— Tylko dla znawców, dla tych, którzy potrafią ocenić.

„Znawca” wracał do domu nieco zawstydzony swym zachowaniem w sklepie, ale zmieszanie stopniowo ustępowało, gdyż za Łóżkinem ciągnęli, sami tego nie zauważając, podnieceni ludzie, zachwycający się złotą pięknnością w słoiku po ogórkach.

— Dostałeś co? — zapytała stara Łóżkina z kuchni, nie zwracając uwagi na jasność w pokoju za jej plecami. — Pewnieś pół litra przyniósł?

— Pół litra czystej wody — zgodził się stary — pół litra w słoiku, czego i wam życzę.

— Nie — powiedziała stara nie odwracając się. — Od razu pod sklepem wydudliłeś.

— Niby dlaczego?

— Brednie gadasz.

Stary nie spierał się z nią, rozsunął tylko kaktusy na parapecie, mrugnął do kanarków, które na widok słoika zaniósł się zdumionym szczebiotem, wydobył z kąta zapasowe akwarium i poszedł z nim do kuchni.

— Posuń się — powiedział do małżonki — Daj nabrać wody. Małżonka zrozumiała, że mąż o dziwo nie jest pijany, wytarła ręce w fartuch i zajrzała do pokoju.

— Skaranie boskie — wykrzyknęła. — Jeszcze nam tylko złotej rybki brakowało!

Pochyliła się nad słoikiem, a wtedy rybka wysunęła z wody ostry pyszczek, otworzyła go, jakby brakowało jej powietrza, i powiedziała półgłosem:

— Wypuścilibyście mnie, towarzysze, do rzeczki.

— Czego? — zapytała małżonka starego Łóżkina.

— Wpłynięcie na męża — powiedziała rybka niemal szeptem. — On mnie bez waszej pomocy za nic nie wypuści.

— Czego czego? — zapytała Łóżkina.

— Z kim ty rozmawiasz? — zdziwił się stary, który właśnie wrócił do pokoju z napełnionym akwarium

— Sama nie wiem — powiedziała żona. — Nie wiem.

— Ładna? — zapytał Łóżkin.

— Sama nie wiem — powtórzyła żona. Chwilę pomyślała i dodała: — Wypuść ty ją do rzeczki, bo jeszcze sobie biedy napytasz.

— Ty co, zwariowałaś? Przecież jej oficjalna cena w państwowym sklepie wynosi dwa ruble czterdzieści kopiejek.

— W państwowym? — zapytała żona. — Już dają?

— Dają, ale nikt nie bierze. Nie znają się ludzie. Cena wysoka. Ale czy dwa czterdzieści to za drogo jak na takie чудо?

— Misza — powiedziała małżonka — ja ci trzy ruble dam. Dam ci cztery i zakąskę jeszcze

kupię. Ty ją tylko wypuść. Boję się.

— Zwariowała baba — powiedział z przekonaniem stary. — My ją tu zaraz do akwarium przeniesiemy.

— Wypuść.

— Ani mi się śni. Ja na taką rybkę przez całe życie czekałem. Z Moskwą korespondowałem. Dwa czterdzieści żywą gotówką zapłaciłem.

— No to jak uważasz — powiedziała stara, zapłakała i poszła do kuchni. W tym momencie rybce nerwy odmówiły posłuszeństwa.

— Nie odchodź! — krzyknęła przenikliwie. — Nie wyczerpaliśmy jeszcze wszystkich argumentów. Jeśli wypuścicie, spełnię trzy życzenia.

Stary Łożkin był człowiekiem twardym i opanowanym, ale nawet on na te słowa upuścił akwarium, stłukł je i stał teraz po kostki w wodzie.

Nic nam nie trzeba! — odparła Łożkina z kuchni. — Nic nie trzeba. Wynoś się do swojej rzeki! Przez ciebie same tylko kłopoty.

— Nieee — przeciągnął stary Łożkin. — Nieeee! Co to ja słyszę, rozmówki?

— To ja mówię — odparła rybka. — A moje słowo coś znaczy.

— Ale jak to może być? — zapytał Łożkin podkulając przemoczoną nogę. — Ryby głosu nie mają.

— Ja jestem mutantem — odparła rybka. — Długo by o tym mówić.

— Izotopy? — zapytał stary.

— Izotopy też.

— Wyrzuć ją — nalegała Łożkina.

— Poczekaj. Zaraz ją wypróbujemy. Ano, odtwórz akwarium w jego pierwotnej postaci i żeby na oknie stało, a w pokoju, żeby było sucho.

— A wypuścisz, nie oszukasz?

— Słowo honoru, że wypuszczę — powiedział stary. — Wystarczy cię na trzy życzenia?

— Wystarczy.

— No to mi sklej akwarium. Jeśli ci się uda, to polecę do sklepu i jeszcze z dziesięć takich samych kupię. A może to tylko ty potrafisz gadać?

— Nie, wszystkie — wyznała rybka.

— No to stawiaj akwarium.

W pokoju nastąpiło momentalne zamglenie powietrza, wystąpił szum i łopot podobny do tego, jaki wydaje przelatujący wielki ptak, a w chwilę potem na oknie pojawiło się całe, niepotłuczone, wypełnione wodą akwarium.

— Może być — powiedział stary Łożkin. — Dałaś radę.

— Zostały dwa życzenia — powiedziała rybka.

— W takim razie to akwarium jest dla mnie za małe. Zażyczyć sobie nowe, stulitrowe, z wodorostami?...

Tymczasem do Łożkina podeszła jego ciągle jeszcze zapłakana żona. Teraz jednak płakała z obawy, że lekkomyślny małżonek roztrwoni wszystkie życzenia rybki. A co będzie, jeśli ona kłamie? Jeżeli tylko ona jedna jest taka?

— Stój! — powiedziała do starego. — Najpierw inne wypróbuj. Inne rybki. One i w małym akwarium się mieszczą. Przecież dla niej akwarium zbudować to nic trudnego, a nam jest potrzebniejszy nowy dom z ogródkiem.

— Aha — zgodził się Łożkin. — Dobrze mówisz. Wyciągaj gotówkę z szafy, dawaj kubeł. Póki

nie wróć, oka z niej nie spuszczaaj.

— To mam robić to wielkie akwarium, czy nie? — zapytała rybka bez szczególnej nadziei.

— Jeszcze czego? — zdenerwował się stary. — Spryciara! W kolektywie będziesz pracowała. Ja mam dużo życzeń, niech ci się nie wydaje, że jak starszy, to już nic nie potrzebuje.

Ksenia Udałowa, sąsiadka z góry, na pięć minut przed wygłoszeniem tych słów wstąpiła do Łożkinów po sól, bo w domu wszystka już wyszła. Drzwi otwarte, sąsiedzi zaprzyjaźnieni, dlaczego — więc miała nie wstąpić. No i usłyszała całą rozmowę. Staruszkowie byli odwróceny do niej plecami, a rybka, jeśli nawet ją zauważyła, to nie dała tego po sobie poznać. Ksenia Udałowa, matka dwojga dzieci i żona kierownika komunalnego przedsiębiorstwa budowlanego, wyróżniała się żywym umysłem i niczemu się nie dziwiła. Jak cicho weszła, tak samo po cichutku wyszła, zorientowawszy się, że Łożkinowie zmitrzą trochę czasu na zabranie wiadra z wodą i sięgnięcie po pieniądze. Wybiegła na dwór, gdzie, jako że była sobota, Korneliusz Udałow, jej mąż, grał w domino pod opadającą lipą i krzyknęła doń władcym tonem:

— Korneliusz, do mnie!

— Przepraszam — powiedział Korneliusz Udałow do partnera — wołają mnie.

— Zwykła rzecz — powiedział partner. — Tylko postaraj się szybko wrócić.

— Ja zaraz!

Ksenia Udałowa podała mężowi niezbyt starannie umyty słoik po bakłażanach, pięć rubli w papierku i powiedziała głośnym szeptem:

— Leć do sklepu zoologicznego i kup dwie złote rybki!

— Kogo mam kupić? — zapytał Korneliusz posłusznie odbierając słoik.

— Złote rybki! Tylko bierz jak największe sztuki!

— Po co?

— Nie gadać! Biegiem marsz i nikomu ani słowa. Wody tylko nie rozlej. Noo! A ja ich tu zatrzymam.

— Kogo?

— Łożkinów.

— Kseniusza, ja kompletnie nic nie rozumiem — powiedział Korneliusz, pocąc się jak ruda mysz.

— Potem zrozumiesz!

Ksenia usłyszała odgłos kroków dobiegający z wnętrza domu i pomknęła tam ze wszystkich sił.

— Dokąd to cię posyłają — zapytał Sasza Grubin, sąsiad. — Odprowadzić?

— Odprowadź — odparł Udałow, ciągle nie mogąc przyjść do siebie. — Odprowadź do sklepu zoologicznego. Złote rybki będą tam kupował.

— To być nie może — powiedział Pogosjan, partner od domina. — Twoja Ksenia nigdy w życiu podobnego zakupu nie dokonywała. Chyba, że chce usmażyć.

— A może i naprawdę chce sobie usmażyć? — uspokoił się trochę Korneliusz. — Idziemy.

Wyszli z Grubinem na ulicę, a pozostali gracze roześmieli się wesoło, bo dobrze znali zarówno Ksenię, jak i jej męża Korneliusza.

Jeszcze nie zdążył ucichnąć w zaułku odgłos kroków przyjaciół, gdy w drzwiach domu pokazała się ponownie Ksenia Udałowa. Szła tyłem i jej niezmiernie szerokie plecy drgały z wysiłku, powstrzymując jakiś napór. Było już widać, że napierają małżonkowie Łożkinowie. Stary niósł wiadro z wodą, a żona pomagała mu wypychać Ksenię.

— I dokąd to tak spieszycie, sąsiedzi kochani? — pytała śpiewnie Ksenia.

— Puszczaj — nalegał stary. — Po wodę idę.

— Po jaką wodę idziecie, skoro już od dwóch lat mamy w domu wodociąg?

— Puszczaj! — krzyczał stary. — Po kwas idę.

— Z wiadrem pełnym wody? A ja chciałam od was soli pożyczyć.

— A pożyczaj, tylko mnie przepuść.

— A czy przypadkiem nie do sklepu zoologicznego tak się spieszycie? — zapytała zjadliwie Ksenia.

— A choćby i do sklepu zoologicznego — odparła stara Łożkina. — I tak nie masz prawa nas zatrzymywać.

— Skąd wiesz? — oburzył się Łożkin. — Skąd wiesz? Podśłuchiwałaś?

— A co podśłuchiwałaś? Co było do podśłuchiwania?

Stary szarpnął się, omal nie zwałił Kseni z nóg i rzucił się w kierunku bramy. Jego małżonka zawisła na Udałowej, która chciała popędzić za Łożkinem.

— Oj, oj — powiedział Pogosjan. — On też po złotą rybkę polecał. Dlaczego polecał?

— Żyliśmy bez złotych rybek — odparł mu na to Kac — to i dalej jakoś przeżyjemy. Mieszaj kamienie.

— Oj, oj — powiedział Pogosjan. — Ksenia Udałowa to taka sprytna baba, że aż czasem strach bierze. Patrzej, też polecała. I stara Łożkina za nią. Grajcie beze mnie. Ja, chyba rozumiecie, pójde się przejść trochę po mieście.

— Walentin — powiedziała do Kaca jego żona, wyglądająca z okna pierwszego piętra. Usłyszała hałas na dworze i dokładnie go zanalizowała. — Walentin, masz pieniądze! Skocz do sklepu zoologicznego i zobacz, co tam dają. Może dla nas już nie starczy.

W półtorej minuty później wszyscy mieszkańcy domu numer szesnaście, w ogólnej liczbie około czterdziestu osób, biegli ulicą Puszkina do sklepu zoologicznego. Niektórzy biegli ze słoikami, niektórzy z butelkami, niektórzy z plastikowymi torebkami, a inni zwyczajnie, z pustymi rękami, żeby się bezinteresownie pogapić.

Kiedy pierwsi z nich dotarli do sklepu, przed drzwiami opatrzonymi napisem „Świeży transport złotych rybek” kłębił się zbity tłum.

Miasto Wielki Guslar jest niewielkie i życie płynie w nim powszednim, utartym trybem. Ludzie chodzą do kina, do pracy, do technikum rzecznego, do biblioteki i w tym wszystkim nie ma nic szczególnego. Wystarczy jednak aby wydarzyło się coś niecodziennego, a natychmiast przez miasto przetacza się fala niepokoju i podniecenia. Zupełnie jak w mrowisku, gdzie każda wieść w ułamku sekundy dociera do najdalszych zakątków. Mrówki natura obdarzyła w tym celu specjalnym szóstym zmysłem. Wielki Guslar też posiada zbiorowy szósty zmysł i to właśnie on sprowadził licznych ciekawskich, chętnych do gapienia się na złote rybki. Ten sam szósty zmysł rozwiał również ich wątpliwości co do tego, czy mają kupować, czy też nie. Obywatele Guslaru pojęli, że należy nabywać złote rybki w tej samej chwili, gdy do sklepu wpadli Udałow z Grubinem, którzy nie całkiem jeszcze zdawali sobie sprawę z tego, po co to robią. Zasapany Udałow wetknął Zinoczce pięć rubli i powiedział:

— Dwie rybki, złote, zawińcie mi z łaski swojej.

— To wy, Korneliuszu Iwanowiczu? — zdumiała się Zinoczka, która mieszkała na tej samej ulicy, co i Udałow. Łożkinowie wam poradzili? Chcecie samca z samiczką?

— Zinoczka, nie sprzedawaj im rybek — odezwał się zza akwarium inwalida Eryk, który nie mógł się zdecydować wyjść ze sklepu.

— Młody człowieku — osadził go Grubin. — Trochę z szacunku dla waszej bohaterskiej przeszłości powstrzymam się od odpowiedzi. Zinoczka, macie tu słoik, kładźcie towar.



Zinoczka miała łzy w oczach. Wzięła siatkę i zanurzyła ją w akwarium. Rybki uciekały przed nią w popłochu.

— Też rozumieją — powiedział któryś z gapiów.

W drzwiach zaczął się jakiś ruch. To stary Łożkin usiłował przecisnąć się z wiadrem do lady.

— Nie cackajcie się z nimi — powiedział Udałow. — I tak je usmażymy.

— Mnie dajcie, mnie — krzyczał od drzwi stary Łożkin. — Ja jestem miłośnikiem złotych rybek. Ja ich smażyć nie będę!

Ogólny harmider zagłuszył poszczególne słowa. W stronę Zinoczki wyciągały się ręce z zaciśniętymi w nich rublami i Eryk, pragnąc osłonić ją przed niebezpieczeństwem, stuknął kulą w podłogę i krzyknął:

— Cisza! Zachowajcie porządek!

Nastąpiła cisza i w tej ciszy wszyscy usłyszeli, że rybka, która wysunęła głowę z akwarium, powiedziała:

— To kompletne szaleństwo, żeby nas smażyć. To zupełnie tak samo, jakbyście chcieli zarznąć kurę niosącą złote jaja. My złożymy skargę.

Martwa cisza owładnęła sklepem.

Druga rybka podpłynęła do pierwszej i powiedziała:

— Musimy uzyskać gwarancje.

— Jakie? — zapytał Grubin cieniutkim głosem.

— Trzy życzenia na każdą i ani słowa więcej. Potem na wolność.

Nastąpiła pauza, a potem wolny ruch ku ladzie, bowiem ciekawość jest silnym uczuciem i pragnienie zerknięcia na prawdziwe gadające rybki przyciągało ludzi niczym magnes.

W pięć minut było po wszystkim. W pustym sklepie, na pustej ladzie stało puste akwarium. Woda jeszcze się w nim kołysała. Zinoczka liczyła utarg i cichutko płakała. Eryk nadal stał w kącie i zdrową ręką masował sobie poparzony bok. Potem pochylił się, podniósł z podłogi prawie nie pomięty bukiet astrów i położył go przed Zinoczką.

— Nie martwcie się — powiedział Eryk — może w następnym kwartale znowu przyślą. Żałuję tylko, że dla mnie zabrakło. Ja bym wam swoją oddał.

— Nie dlatego płaczę — odparła Zinoczka. — Widzieliście, jaka chciwość się w ludziach obudziła? Wstyd patrzeć. I stary Łożkin krzyczał, żeby mu dać dziesięć sztuk, i w ogóle...

— Bardzo mi przykro, że nie udało mi się dla was kupić — powiedział Eryk. — Do widzenia.

Wyszedł. Wiera Jakowlewna, która czekała, aż sklep całkiem się opróżni, podeszła do Zinoczki, trzymając w ręku polichromowaną szkatułkę roboty mistrzów z Palechu. W szkatułce z trudem mieściły się dwie rybki.

— Ja jednak kupiłam — powiedziała Wiera Jakowlewna. — Nawet nie zauważyłaś. Zrozumiałam, że jak będę czekała, aż się zbiegowisko skończy, to nic dla nas nie zostanie. Przecież nie domyśliłaś się, żeby przynajmniej jakieś trzy sztuki odłożyć.

— Skądże — powiedziała Zinoczka. — Bardzo się cieszę, że przynajmniej wy zdążyliście. A ja nawet nie zauważyłam. Taki był rwetes, że tylko pieniądze brałam i rybki wylawiałam.

— Jedna twoja — powiedziała Wiera Jakowlewna. — Pieniądze mi oddasz z pensji.

— Mnie nie trzeba — powiedziała Zinoczka. — Zresztą nie mam prawa kupić.

— No to ci ją daję w prezencie. Na urodziny. I nie wygłupiaj się. Kto sam rezygnuje ze szczęścia? Ty nawet futerka nie masz, a zima się zbliża.

— Nie, nie, za nic! — powiedziała Zinoczka i zaniósła się jeszcze głośniejszym płaczem.

— Nie ma co się mazać — powiedziała ze szkatułki rybka. — I tak jeden człowiek nie może

żądać spełnienia więcej niż trzech życzeń. Choćby nawet miał i sto rybek. A futro ci potrzebne. Chętnie zrobię. Jakie chcesz? Norkowe czy karakuły?

— Wspaniale — powiedziała Wiera Jakowlewna. — Gdzie siatka? Zaraz ci ją przełożymy. Bardzo się cieszę.

— Ale jak to można? — broniła się Zinoczka.

Do sklepu zajrzała nieznajoma kobieta i zapytała:

— Rybki jeszcze zostały?

— Skończyły się — powiedziała Wiera Jakowlewna, zamykając wieczko paleskiej szkatułki. — Zamkniemy sklep? I tak chyba dzisiaj już handlu nie będzie.

— Powinam do obwodu, do tamtejszego zarządu handlu napisać sprawozdanie, powiedziała Zinoczka. — Obawiam się, że nam ten towar omyłkowo przysłali.

— No to napiszesz w domu. Idziemy.

Zinoczka posłuchała. Zdjęła z drzwi wywieszkę, zamknęła sklep, schowała utarg. Wiera Jakowlewna sięgnęła na półkę po jeszcze jedną paleską szkatułkę i przełożyła w nią rybkę dla Zinoczki. Potem obie sprzedawczynie wyszły tylnymi drzwiami.

— A ty przynajmniej pamiętasz kogoś z tych, kto kupował rybki? — spytała Wiera Jakowlewna.

— W ogóle niewiele pamiętam. No, najpierw, jeszcze przed tą całą historią, był Łożkin. I kółko młodych przyrodników ze szkoły średniej. Potem znów Łożkin. I Sawicz. I ten długi z miejskiego wydziału zdrowia... Potem Udałow z Grubinem wzięli po sztuce. A pozostałych chyba nie dam rady sobie przypomnieć.

— Boję się — rzekła na to Wiera Jakowlewna. — Boję się, że już za późno się zastanawiać, bo rezultaty przemówią same za siebie.

— To znaczy niby jak?

— Jak sądzisz, jakie mogą być życzenia?

— Nie wiem. Różne. Noo, może o pieniądze poproszą...

— O pieniądze prosić nie wolno, chyba, że o niewielkie sumy — powiedziała z pudełka rybka. Mówiła głuchym głosem, który z trudem przebijał się przez lakowe wieczko.

— Oj! — pisnęła Zinoczka.

Sprzedawczynie doszły do zaułka, który jeszcze rankiem był wyboisty i zakurzony. Teraz uliczka pokryta była lśniącym, równym betonem. Beton zaścielał całą jej szerokość. Tylko na poboczach zamiast porannych rowów ciągnęły się estetyczne wstęgi chodników. Płoty wzdłuż jezdni błyszcząły przyjemnym dla oka zielonym lakierem, a w przydomowych ogródkach kwitły wonne geranie.

— To nic szczególnego — powiedziała Wiera Jakowlewna, psychicznie przygotowana na wszelkie niespodzianki. — Pewnie ktoś z rady miejskiej kupił rybkę. Kupił i wykonał roczny plan porządkowania miasta.

— Co to będzie... — powiedziała Zinoczka, wchodząc ostrożnie na trotuar.

— Uważam — odparła Wiera Jakowlewna — krocząc środkiem betonowej jezdni — uważam, że powinnam dostać własne mieszkanie. Zresztą nie spiesz się, rybko, ja jeszcze pomyślę...

W domu Zinoczka wyjęła z szafki duży słoik. Wylała do niego rybkę ze szkatułki i zaniósła do kuchni, żeby dolać wody do pełna.

— Zaraz będziesz miała świeżą wodę — powiedziała. — Poczekaj chwilę. Odkręciła kran i przezroczysta ciecz trysnęła do słoja.

— Stój! — krzyknęła rybka. — Czyś ty zwariowała?! Chcesz mnie zabić. Zakręć kran! Natychmiast mnie wyjmij! Oj, oj, oj!

Zinoczka przestraszyła się. Wyjęła rybkę i zacisnęła ją w rękę...

Po kuchni zaczął rozchodzić się mdlący odór wódki.

— Co to jest — zdziwiła się Zinoczka. — Co się stało?

— Wody! — wyszeptała rybka. — Wody... umieram...

Zinoczka zakręciła się na pięcie, chwyciła czajnik. Na szczęście była w nim woda. Rybka ożyła. Strumyk wódki nadal ciekł z kranu, wypełniając kuchnię odurzającym zapachem.

— Skąd się wzięła wódka? — zdumiała się Zinoczka.

— Nie domyślasz się? — powiedziała rybka. — Jakiś idiota chciał sprawdzić nasze możliwości i rozkazał, żeby zamiast wody w rurach ciekła wódka. Widać na młodą rybkę trafił, na niedoświadczoną. Ja bym na jej miejscu odmówiła. Kategorycznie. To nie życzenie, tylko sabotaż i szkodnictwo.

— A gdzie jest teraz woda?

— Wydaje mi się, że wódka szybko się skończy. Ktoś inny każe spełnić przeciwstawne życzenie.

— A jeśli nie?

— Jeśli nie, musisz się przyzwyczaić. A w ogóle to skandal! Wódka trafiła do rur kanalizacyjnych, a stamtąd chyba do jezior i rzek, gdzie może wszystko wytruć. Wiesz co, Zinoczko, mam do ciebie osobistą prośbę. Każ zamienić wódkę w wodę. Zużyj jedno życzenie. My ci za to unikalne futro wymyślimy.

— Ja unikalnego nie potrzebuję — powiedziała Zinoczka. — Po co mi unikalne? Ja bym bardzo chciała kozuch. Bułgarski. Moja ciotka z Wołogdy taki ma.

— To znaczy, że zużywamy od razu dwa życzenia, tak?

— Zużywamy — powiedziała Zinoczka, trochę już żałując, iż zostało jej tylko jedno życzenie.

Kozuszek zmaterializował się na oparciu krzesła. Był zamszowy, w jasnobrązowym, delikatnym, ciepłym kolorze. Zdobił go biały, futrzany kołnierzyk.

— Wybacz, ale podbiłam go norką — powiedziała rybka. — Miło jest służyć porządnemu człowiekowi. Trzecie życzenie teraz będziemy robić, czy poczekamy?

— Można trochę poczekać? — poprosiła Zinoczka. — Pomyślę.

— A myśl sobie, myśl. Zjedz coś. I mnie okruszynek nasyp. Bądź co bądź ja też jestem żywe stworzenie.

— Wybaczcie! — powiedziała Zinoczka. — Całkiem zapomniałam.

\*

...Udałow wszedł do domu razem z Łożkinem, Grubin zatrzymał się na podwórku, aby wymienić wrażenia z przyjaciółmi. Udałow wchodził po schodach razem z sąsiadem i obaj mieli do siebie pretensje. Udałow wyrzucał Łożkinowi:

— Chcieliście wszystko załatwić w sekrecie? Wszystko dla siebie?

Łożkin nie odpowiadał.

— Żeby, znaczy, całe miasto było jak dawniej, a żebyście tylko wy jedni żyli jak milioner Rockefeller? Wstyd! Po prostu okropny wstyd!

— A twoja żona szpiegowała — powiedział Łożkin ostrym tonem i wślizgnął się w drzwi, za którymi już stała jego małżonka z uchem przyłożonym do dziurki od klucza.

Udałow chciał odpowiedzieć coś obraźliwego, ale nie zdążył, bo i jego żona wybiegła z pokoju,

wyrwała mu z rąk słoik i powiedziała z zawodem w głosie:

— Dlaczego tylko jedna? Przecież dałam pieniądze na dwie.

— Drugą wziął Grubin — odparł Udałow. — My z nim razem poszliśmy do sklepu.

— Mógł sam sobie kupić — obraziła się Ksenia. — Przecież masz dzieci. A on kawaler.

— Dobra już, dobra — powiedział Udałow. — Trzech życzeń ci za mało?

— Byłoby sześć. Łożkinowie mają sześć.

— Nie denerwujcie się, obywatelko — powiedziała złota rybka. — Więcej niż trzy życzenia i tak nie wolno.

— Na osobę?

— Na osobę, na rodzinę albo na kolektyw. Wszystko jedno.

— To znaczy, że Łożkin na próżno po drugą rybkę latał? Na próżno chciał dziesięć kupić?

— Na próżno — odparła rybka. — Czy nie moglibyście pospieszyć się z życzeniami?

Spełniłabym i popłynęła sobie.

— Nie pali się — powiedziała Ksenia zdecydowanym tonem. — A ty, Korneliuszu, idź, umyj ręce i siadaj do stołu. Wszystko ostygło.

Korneliusz posłuchał, chociaż obawiał się, że żona pod jego nieobecność zażąda różnych głupstw.

Przy umywalce czekała na Udałowa przyjemna niespodzianka. Ktoś domyślił się, żeby zamienić wodociągową wodę na wódkę. Korneliusz nie podnosił szumu. Umył się wódką, chociaż szczypała go trochę w oczy. Potem napił się z podstawionej garści, niczym nie zakąsił i nalał sobie jeszcze na zapas cały pięciolitrowy garnek.

— Gdzie cię nosiło? — krzyknęła niecierpliwie żona z pokoju.

— Zaraz — powiedział Udałow, któremu język trochę się już plątał.

Do kuchni przyszedł Łożkin z ręcznikiem przerzuconym przez ramię. Patrzył spode łba. Pociągnął nosem i łypnął okiem na gar z wódką. Udałow przycisnął garnek do brzucha i szybko wszedł do swojego pokoju.

— Masz — powiedział do żony. — Szykuj zakąskę. Nie moje życzenie, cudze.

Ksenia od razu zrozumiała, rozlała wódkę do pustych butli i zakorkowała.

— Jaki człowiek! Jaka państwowa głowa! — chwalił Udałow nieznanego dobroczyńcę. — Nie taki, żeby tylko dla siebie coś zamówić. Nie, całemu miastu radość sprawił. Ale Łożkin się zdziwi. Na mnie pomyśli!

— A może to on sam?!

— Nigdy. To egoista!

— A jeśli on na ciebie pomyśli i powie, gdzie trzeba, że zatruwasz wodę w mieście, po główce cię nie pogładzą.

— Niech spróbują dowieść! To przecież nie ja, tylko złota rybka. Z podwórza huknęła pieśń.

— Patrzaj — powiedział Udałow. — Słyszysz? Naród już korzysta.

A Łożkin tymczasem zaczął się myć wódką. Zdziwił się, parsknął, potem zorientował się w sytuacji i polecił spytać o radę żonę, a kiedy stara Łożkina przyszła z naczyniem, zamiast wódki ciekła już woda, wynik realizacji Zinoczkiniego życzenia. Starucha skłęta Łożkina za powolność i już mniej więcej spokojnie zaczęli zastanawiać się, w jaki sposób zużyć pięć życzeń, dwa należne do pierwszej rybki i trzy do drugiej.

Grubin swoje podstawowe życzenie spełnił od razu na podwórku.

— Ja — powiedział w obecności mnóstwa świadków — chciałbym, złota rybko, otrzymać brazylijską papugę arę, która może nauczyć się ludzkiej mowy.

— To nic trudnego — odparła rybka — ja sama przecież potrafię mówić po ludzku.

— Zgoda — powiedział Grubin, postawił słoik z rybką na ławce, wyjął z kieszeni grzebień i w oczekiwaniu na uroczysty moment przeczesał gęste, rozwichrzone kosmyki.

— Chwileczkę — powiedziała złota rybka. — Z Brazylii droga daleka... Trzy, cztery, pięć.

Wspaniała, ogromna, wielobarwna, dumna papuga ara siedziała na gałęzi drzewa tuż nad Grubinem i przechyliwszy głowę na bok patrzyła na stojących pod drzewem ludzi.

Grubin zadarł głowę i powiedział:

— Cip, cip! Chodź tutaj, drogi ptaku.

Papuga zastanawiała się, czy warto zeskoczyć, na wyciągniętą dłoń Grubina, gdy akurat weszli na podwórko śpiewający głośno radosną pieśń Pogosjan z Kacem, również posiadacze złotych rybek. Jak się później okazało, to właśnie oni, niezależnie jeden od drugiego, przekształcili wodę w wódkę. Teraz, zadowoleni z wyników doświadczenia i ze zbieżności swoich życzeń, szli ku sąsiadom, aby obwieścić im początek nowej ery.

— Carramba! — powiedziała papuga, ciężko zeskoczyła z gałęzi drzewa i wzleciała ponad dachy. Tam zatoczyła koło, strasząc wrony i połyskując tęczowymi skrzydłami.

— Carramba — krzyknęła ponownie i wzięła kurs na zachód, ku brzegom ojczystej Brazylii.

— Zawróć ją! — krzyknął Grubin. — Zawróć ją natychmiast!

— To twoje drugie życzenie? — zapytała podstępnie rybka.

— Pierwsze! Przecież go nie spełniłaś?

— Zamawialiście papugę, towarzyszu Grubin?

— Zamawiałem. A gdzie ona jest, złota rybko?

— Odleciała.

— Przecież mówię.

— Ale była.

— I odleciała. Dlaczego nie w klatce?

— Dlatego, że wy, towarzyszu Grubin, klatki nie zamawialiście.

Grubin zamyślił się. Był człowiekiem w zasadzie sprawiedliwym i przyznał rybce rację. Klatki istotnie nie zamawiał.

— W porządku — powiedział. — Niechaj będzie papuga ara w klatce.

W ten sposób Grubin zużył swoje drugie życzenie i dlatego wzięwszy klatkę z arą w jedną rękę, zaś słoik z rybką w drugą, poszedł do domu. Wtedy to na podwórko wszedł inwalida Eryk.

Eryk obszedł już pół miasta. Szukał rybki dla Zinoczki, nie mając pojęcia, że dziewczyna otrzymała ją w podarunku od Wiery Jakowlewny.

— Dzień dobry — powiedział. — Czy ktoś ma może przypadkiem zbędną złotą rybkę?

Grubin zgarbił się i wolniutko ruszył ze swoim bagażem w kierunku domu. Zostało mu tylko jedno życzenie, ale za to mnóstwo potrzeb. Pogosjan pomógł Kacowi zawrócić w stronę drzwi. Ich rybki też już były częściowo wykorzystane. Okna w pokojach Udałowa i Łożkina zatrzęsły się.

— Ja nie dla siebie! — krzyknął Eryk w pustkę. Nikt mu nie odpowiedział.

Eryk poprawił pusty rękaw i kulejąc powłókł się z podwórka na ulicę.

— Musimy starannie przemyśleć, o co będziemy prosić — mówiła w tym czasie do męża Ksenia Udałowa.

— Ja chcę rower — powiedział ich syn Maksymek.

— Milczeć! — parsknęła Ksenia. — Idź się bawić. Bez ciebie wymyślimy, o co prosić.

— Moglibyście się pospieszyć — powiedziała złota rybka. — Przed wieczorem chciałybyśmy już być w rzece. Zanim nadejdą mrozy, musimy dotrzeć do Morza Sargassowego.

- Kto by pomyślał! — powiedział Udałow. — Też ich do kraju ciągnie.
- Złożyć ikrę — wytłumaczyła rybka.
- Ja chcę rower — krzyknął z podwórka Maksymek.
- Moglibyście zrobić chłopakowi przyjemność, naprawdę chce mieć rower — powiedziała rybka.
- A może jednak? — powiedział Udałow.
- Ja już nie mogę — oburzyła się Ksenia. — Wszyscy podpowiadają, wszyscy przeszkadzają, wszyscy czegoś żądają.

\*

Gubin postawił klatkę z papugą na stole i zaczął zachwycać się ptakiem.

— Ty cudo moje — powiedział pieszczotliwie.

Papuga nie odpowiedziała.

— To znaczy, że ona nie umie, czy co? — zapytał Grubin.

— Nie umie — odparła rybka.

— Dlaczegoż to? Przecież tak jakby dopiero co mówiła „carramba”.

— To była inna, oswojona, z zamożnej brazylijskiej rodziny. A drugą trzeba było dziką łowić.

— I co teraz robić?

— Jak chcesz trzecie życzenie, to je wypowiedz. Ja ją w jednej chwili nauczę.

— Tak? — Grubin zastanawiał się przez chwilę. — Nie, już sam ją nauczę.

— Może masz rację — zgodziła się rybka. — Co więc będziemy dalej robić? Chcesz może mikroskop elektronowy?

\*

... Mocą swojego pierwszego życzenia członkowie kółka biologicznego szkoły średniej numer jeden — kolektywny posiadacz jednej z rybek — stworzyli na tylnym dziedzińcu szkoły zwierzyniec z tygrysiątkami, morską i z mnóstwem królików. Drugim życzeniem osiągnęli to, że im przez cały tydzień nie będą zadawać lekcji do domu. Z trzecim życzeniem był kłopot, dyskusje i wielki krzyk. Dyskusja przeciągnęła się niemal do wieczora.

\*

Prowizor Sawicz przez całą drogę do domu przebierał w myślach mnóstwo wariantów. Przy samej bramie dopadł go nieznajomy mężczyzna w ogromnej cyklistówce.

— Słuchaj — powiedział mężczyzna. — Chcesz dziesięć tysięcy?

— Za co? — spytał Sawicz.

— Dziesięć tysięcy daję — rybka moja, pieniądze twoje. Dla mnie, rozumiesz, zabrakło. Na bazarze stałem, owoc sprzedawałem, spóźniłem się, rozumiesz.

— A po co wam rybka? — spytał prowizor.

— Nie twoja sprawa? Chcesz forszę? Jeszcze dziś, przekazem telegraficznym?

— No to wytłumaczcie mi wreszcie — powtórzył Sawicz — po co wam rybka? Przecież ja też chyba z jej pomocą mogę zdobyć dużo pieniędzy.

— Nie — powiedział mężczyzna w cyklistówce. — Rybka dużo pieniędzy nie może.

— On ma rację — powiedziała rybka — ja nie mogę zrobić dużej ilości pieniędzy.

— Piętnaście tysięcy — powiedział mężczyzna w cyklistówce i wyciągnął rękę po słoik z rybką.

— Więcej nikt nie da.

— Nie — powiedział twardo Sawicz.

Mężczyzna szedł za nim, wyciągał rękę i dorzucał po tysiącu. Kiedy doszedł do dwudziestu, Sawicz ostatecznie się rozeźlił.

— To skandal! — powiedział. — Idę sobie do domu, nikomu nie wchodzę w drogę, a tu jacyś zaczepiają, proponują podejrzaną transakcję. Rybka przecież kosztuje dwa ruble i czterdzieści kopiejek.

— Mogę ci dać i dwa ruble — ucieszył się mężczyzna w cyklistówce. — I jeszcze dwadzieścia tysięcy dołożę. Dwadzieścia jeden!

— No to powiedzcie, po co wam?

Mężczyzna w cyklistówce zbliżył wargi do ucha Sawicza i powiedział:

— Samochód wołga będę kupował.

— No to kupujcie, skoro macie tyle pieniędzy.

— Lewe dochody — przyznał się mężczyzna w cyklistówce. — A jak przyjdzie inspektor finansowy, to mu rybkę pokażę — proszę bardzo. Wy mi tylko wystawcie kwit, dowód wpłaty na dwa ruble czterdzieści.

— Proszę natychmiast odejść! — oburzył się Sawicz. — Jesteście oszustem!

— Dlaczego tak ostro? Dwadzieścia trzy tysiące daję. Niezły pieniądz. Z torbami pójdę.

— Odpędź go — powiedziała rybka. — On mi się też nie podoba.

— No i widzicie — powiedział Sawicz.

— Dwadzieścia cztery tysiące!

— Już wiem — powiedział Sawicz. — Żeby ten człowiek niezwłocznie wyniósł się do domu. Żeby zniknął bez śladu. Ja już dłużej nie wytrzymam!

— Wykonać? — spytała rybka.

— Niezwłocznie!

I mężczyzna zakołysał się w trąbie powietrznej, a następnie zniknął. Tylko cyklistówka została na jezdni.

— Dziękuję — powiedział Sawicz do rybki. Nie wyobrażacie sobie, jak bardzo mi dokuczył. Chodźmy teraz do domu, gdzie godnie spożytkujemy pozostałe życzenia.

Tego dnia w mieście wydarzyło się jeszcze wiele cudów. Niektóre z nich pozostały własnością osób prywatnych i ich rodzin, o niektórych zaś dowiedział się cały Wielki Guslar. Do tej drugiej kategorii zaliczyć należy dziecięcy ogród zoologiczny, który do tej pory stanowi jedną z największych osobliwości miasta, i historię z wódką ciekącą z kranów, i wybrukowany zaułek, i pojawienie się w domu towarowym zagadkowe i niewytłumaczalne, wielkiej ilości francuskich

perfum, i ciężarówkę borowików dostrzeżoną przez wielu przed domem Sieńkinów, i nawet pypeć na języku pewnej kłótlivej osoby. Wreszcie trzy wesela niespodziewane dla otoczenia i wiele, wiele innych...

Pod wieczór, gdy zbliżał się termin odniesienia rybek do rzeki, większość życzeń została już wyczerpana.

Ulicą Puszkina w kierunku nabrzeża walił tłum. Tworzyli go zarówno posiadacze rybek, jak zwyczajni gapie.

Szli Udałowicie całą rodziną. Przodem Maksymek na rowerze, a za nim reszta rodziny. Ksenia ścisnęła w rękę szmatkę, którą jeszcze przed chwilą ścierała kurz z nowego fortepianu marki „Becker”.

Szedł Grubin. Niósł nie tylko słoik z rybką, lecz także klatkę z papugą. Chciał, aby wszyscy widzieli, że jego marzenie wreszcie się spełniło.

Szli Łożkinowie. Stary miał na sobie nowy garnitur z szewiotu i jeszcze osiem niezłych garniturów zostało mu w szafie.

Szli, obejmując się, Pogosjan z Kacem. Nieśli we dwóch flaszkę. Żeby nie zostawiać na jutro.

Szła Zinoczka.

Szedł Sawicz.

Szli wszyscy pozostali.

Zatrzymali się na brzegu.

— Chwileczkę — powiedziała jedna ze złotych rybek. — Jesteśmy wam bardzo wdzięczne, obywatele tego wspaniałego miasta. Wasze życzenia, chociaż często wygłaszane nazbyt może pospiesznie, uradowały nas swą różnorodnością.

— Nie wszystkie — zaproponowały rybki ze słoika Pogosjana–Kaca.

— Nie wszystkie — zgodziła się rybka. — Jutro wielu z was zacznie trapić wątpliwości. Wielu z was będzie sobie wyrzucać, że nie zażądało złotych pałaców. Nie trzeba. Mówimy wam: jutro nikt z was nie będzie czuł się rozczarowany. Tak chcemy i jest to nasze kolektywne, rybnie życzenie. Rozumiecie?

— Rozumiemy — odparli mieszkańcy miasta.

— Durrnie — powiedziała papuga ara, która jak się okazało, miała zdolności językowe i już nauczyła się kilku słów.

— Teraz można już nas wpuszczać do wody — powiedziała rybka.

— Stójcie! — rozległ się krzyk z góry.

Wszyscy obrócili się w stronę miasta i zdrętwieli z przerażenia. Nic dziwnego, gdyż widok, jaki ukazał się ich oczom, był niezwykle i tragiczny.

Ku brzegowi biegł człowiek z dziesięcioma nogami i mnóstwem rąk i machał wszystkimi tymi rękoma jednocześnie.

Kiedy człowiek podbiegł bliżej, wszyscy poznali go.

— Eryk! — powiedział ktoś.

— Eryk — powtórzyli ludzie, rozstępując się na boki.

— Co się ze mną stało? krzyczał Eryk. — Co się ze mną stało? Czyja to wina? Po co to?

Twarz miał czystą, bez śladów oparzenia, włosy rozwiane.

— Ja po mieście biegałem, prosiłem o rybkę — ciągnął straszliwy Eryk, gestykulując dwudziestoma rękami, z których jedna była z lewej, a pozostałe z prawej. — Położyłem się odpocząć, zdrzemnąłem się, a po przebudzeniu byłem już taki.

— Oj — powiedziała Zinoczka. — To ja jestem wszystkiemu winna. Co ja narobiłam! Ale



chciałam, żeby było jak najlepiej. Prosiłam, żeby Eryk miał nową rękę, nową nogę i zdrową twarz. Chciałam jak najlepiej, bo mi życzenie zostało.

— I ja — powiedział Grubin.

— I ja — powiedział Sawicz.

Łącznie przyznało się do tego osiemnastu ludzi.

Ktoś nerwowo zachichotał w ciszy, która zapadła nad tłumem.

Sawicz zapytał swoją rybkę:

— Nie możecie nam pomóc?

— Niestety nie — odparła rybka. — Wszystkie życzenia zostały zużyte... Trzeba będzie zawieźć go do Moskwy, żeby mu tam zbędne kończyny obcięli.

— Taak, ładna historia — powiedział Grubin. — W ogóle, jak trzeba, to zabierzcie sobie moją cholerną papugę.

— Dureń — powiedziała papuga.

— Nie pomoże — powiedziała rybka. — Nie mamy władzy odwracania życzeń.

Wtedy na scenie pojawili się młodzi przyrodnicy ze szkoły średniej numer jeden.

— Kto potrzebuje dodatkowego życzenia? — zapytał jeden z nich. — My dwa zużyliśmy, a co do trzeciego nie mogliśmy się dogadać.

W tej chwili dzieci zobaczyły Eryka i przestraszyły się.

— Nie bójcie się, dzieci — powiedziała złota rybka. — Jeśli nie macie nic naprzeciw, doprowadzimy do porządku strażaka Eryka.

— Nie mamy — powiedzieli młodzi przyrodnicy.

— A wy, mieszkańcy miasta?

— My też nie — odpowiedzieli rybkom ludzie.

I w tej samej chwili nastąpiło zmętnienie powietrza, a Eryk powrócił do swego naturalnego, zdrowego stanu. I okazał się zresztą, całkiem przystojnym i sympatycznym chłopcem.

— Hoop-la! — powiedziały chórem rybki, wyskoczywszy ze słoików, akwariów i innych naczyń, aby złotymi błyskawicami wpaść do rzeki.

I znikły.

Bardzo spieszyły się do Morza Sargassowego składać ikrę.

*Przełożył Tadeusz Gosk*

*Kir Bułyczow*  
*Niesmietyj szusza*

# Nieśmiały Szusza

Alisa ma wiele znajomych zwierząt. Dwa kociaki, marsjańską modliszkę, która mieszka pod łóżkiem Alisy i po nocach udaje bałajkę, jeża, który był u nas krótko, a potem wrócił do lasu, brontozaura Brontka — jego Alisa odwiedza w zoo, i psa sąsiadów, Reksa — miniaturowego jamnika, moim zdaniem niezupełnie rasowego.

A kiedy wróciła pierwsza ekspedycja z Syriusza, moja córka zdobyła jeszcze jedno zwierzę.

Alisa poznała Poroszkowa na pierwszomajowej manifestacji. Nie mam pojęcia, w jaki sposób to zrobiła — ma niezmiernie rozległe znajomości. W każdym razie znalazła się wśród dzieci, które przyniosły kwiaty kosmonautom.

Wyobraźcie sobie moje zdumienie, kiedy zobaczyłem w telewizji Alisę biegnącą przez plac z większym od niej bukietem błękitnych róż i wręczającą ten bukiet samemu Poroszkowowi.

Kosmonauta wziął ją na ręce, razem oglądali manifestację i razem potem gdzieś poszli.

Alisa wróciła do domu dopiero wieczorem z dużą czerwoną torbą w ręku. — Gdzieś ty była?

— Najbardziej byłam w przedszkolu.

— A najmniej?

— Zaprowadzili nas na Plac Czerwony.

— A potem?

Alisa zrozumiała, że oglądałem telewizję i powiedziała:

— Potem poproszono mnie, żebym powitała kosmonautów.

— Kto cię poprosił?

— Jeden pan, nie znasz go.

— Alisa, czy zetknęłaś się kiedyś z terminem „kary cielesne”?

— Wiem, to wtedy, kiedy dają klapsy, ale to chyba tylko w bajkach.

— Obawiam się, że bajka może stać się okrutną rzeczywistością. Czy ty zawsze musisz łązić tam, gdzie nie trzeba?

Alisa już się chciała na mnie obrazić, kiedy nagle torba w jej ręku poruszyła się.

— A co to znowu?

— Prezent od Poroszkowa.

— Wyłudziłaś prezent! Tego tylko brakowało!

— Niczego nie wyłudziłam. To szusza. Poroszkow przywiózł go z Syriusza. Malutki szusza. Szuszątko.

I Alisa ostrożnie wyjęła z torby małe stworzonko o sześciu łapach podobne do kangurzątko, o oczach wielkich jak u ważki. Szusza wczepił się przednimi łapami w ubranie Alisy i uważnie patrzył dookoła.

— Widzisz, on mnie już lubi — powiedziała Alisa. — Zaraz mu przygotuję posłanie.

Znałem historię z szuszami. Wszyscy ją znali, a szczególnie biolodzy. Miałem w swoim zoo pięć szusz i z dnia na dzień oczekiwaliśmy powiększenia rodziny.

Poroszkow i Bauer znaleźli szusze na jednej z planet systemu Syriusza. Te sympatyczne łagodne zwierzątka, które ani na krok nie odstępowały kosmonautów, okazały się ssakami, chociaż sposobem zachowania raczej przypominały pingwiny. Ta sama nienatrętna ciekawość i wieczne próby włożenia w najbardziej nieodpowiednie miejsca. Bauer musiał nawet raz ratować szuszątko, zamierzające utonąć w wielkiej puszcze skondensowanego mleka. Ekspedycja przywiozła cały film o szuszach, który odniósł wielki sukces we wszystkich kinach w wideoramach.

Niestety, ekspedycja nie miała czasu na przeprowadzenie szczegółowych obserwacji. Wiadomo było, że szusze przychodziły do obozu ekspedycji rano, a z nadejściem nocy gdzieś znikwały w pobliskich skałach.

W każdym razie, kiedy ekspedycja wracała już na Ziemię, w jednym z pomieszczeń Poroszkow znalazł trzy szusze, które zapewne zabłądziły na statku. Początkowo Poroszkow pomyślał, że szusze przemyca któryś z uczestników ekspedycji, ale oburzenie kosmonautów było tak szczere, że jego podejrzenia rozwiały się.

Obecność szusz spowodowała masę dodatkowych problemów. Po pierwsze, mogły okazać się źródłem nieznanymi infekcji. Po drugie, mogły umrzeć w czasie podróży, nie wytrzymać przeciążeń. Po trzecie, nikt nie wiedział, co one jedzą... I tak dalej. Ale wszystkie obawy okazały się nieuzasadnione. Szusze znakomicie zniosły dezynfekcję, posłusznie jadły bulion i konserwowane owoce. Z tego powodu zyskały sobie nieprzejednanego wroga w osobie Bauera, który lubił kompot, a przez ostatnie miesiące podróży musiał się go wyrzec. Wszystkie owoce zjedli pasażerowie na gapę.

W czasie podróży urodziło się sześć szuszątek, więc statek przybył na Ziemię przepełniony szuszami i szuszątkami. Zwierzątka okazały się łagodne i pojętne i nikomu oprócz Bauera nie przyczyniły żadnych kłopotów i przykrości.

Pamiętam historyczny moment powrotu ekspedycji na Ziemię, kiedy pod obstrzałem kamer telewizyjnych i filmowych otworzyła się kłapa i zamiast kosmonautów, w jej otworze ukazało się zdumiewające sześciopale zwierzątko, a za nim kilka następnych, nieco mniejszych. Cała Ziemia westchnęła ze zdziwienia. Westchnienie urwało się dopiero w momencie, kiedy w ślad za szuszami ze statku wyszedł uśmiechnięty Poroszkow. Niósł na rękach szuszątko umazane skondensowanym mlekiem.

Część zwierzątek umieszczono w zoo, niektóre zostały u kosmonautów, którzy je bardzo polubili. Szuszątko Poroszkowa w końcu trafiło do Alisy. Jeden Pan Bóg raczy wiedzieć, w jaki sposób oczarowała surowego kosmonautę.

Szusza mieszkał w dużym koszu przy łóżku Alisy, mięsa nie jadał, w nocy spał, przyjaźnił się z kociętami, bał się modliszki i cichutko mruczał, kiedy Alisa głaskała go albo opowiadała o swoich sukcesach czy zmartwieniach.

Szusza rósł szybko i po dwóch miesiącach był już wzrostu Alisy. Kiedy chodzili na spacer, na pobliski skwer, Alisa nigdy nie wkładała mu obroży.

— A jeśli on kogoś przestraszy? — pytałem.

— Nie, nie przestraszy. A poza tym szusza się obrazi, jeśli mu założę obrożę. Jest strasznie wrażliwy.

Pewnego razu Alisa nie mogła usnąć. Kaprysiła i domagała się, żebym jej poczytał o doktorze Ajboli.

— Nie mam czasu, córeczko — powiedziałem. — Mam pilną pracę, a zresztą już sama powinnaś czytać książki.

— Ale to nie książka, tylko mikrofilm, a tam są takie maleńkie litery.

— Mikrofilm jest dźwiękowy, jeśli nie chcesz czytać, możesz włączyć dźwięk.

- Nie chcę wstawać. Jest mi zimno.
- To poczekaj, aż skończę pisać, to ci włączę.
- Jak nie chcesz, to poproszę szuszę.
- No to poproś — uśmiechnąłem się.

Po chwili usłyszałem z sąsiedniego pokoju subtelny filmowy głos: „... i miał jeszcze doktor Ajboli psa Awwa”.

A więc Alisa jednak wstała i włączyła dźwięk.

- Natychmiast do łóżka! — krzyknąłem. — Przeziębisz się!
- Kiedy ja jestem w łóżku.
- Nie wolno kłamać. Kto w takim razie włączył dźwięk?
- Szusza.

Bardzo nie chcę, żeby moja córka wyrosła na kłamczuchę. Zostawiłem pracę i poszedłem, żeby z nią poważnie porozmawiać.

Na ścianie wisiał ekran: nieszczęśliwe zwierzęta tłoczyły się u drzwi dobrego doktora Ajboli, a szusza coś majstrował przy mikroprojektorze.

— Jak ci się udało go tak wytresować? — zapytałem szczerze zdziwiony.

— Wcale go nie tresowałam. On sam wszystko umie.

Zmieszany szusza przebierał przednimi łapami. Zapanowała niezręczna cisza.

— Ale jednak... — powiedziałem wreszcie.

— Przepraszam — rozległ się wysoki zachrypnięty głos. To mówił szusza. — Ale ja się naprawdę sam nauczyłem. To przecież nietrudne.

— Przepraszam... — wykrztusiłem.

— To nietrudne — powtórzył szusza. — Przecież pan sam pokazywał wczoraj Alisie bajkę o królu modliszek.

— Nie, już nie o to mi chodzi. Kto cię nauczył mówić?

— Ja go uczyłam — powiedziała Alisa.

— Nic nie rozumiem. Dziesiątki biologów obserwują szusze i nigdy żaden szusza nie odezwał się słowem.

— A nasz szusza nawet czytać umie. Umiesz?

— On mi tyle ciekawych rzeczy opowiada...

Żyjemy z Alisą w wielkiej przyjaźni.

A więc dlaczego milczałeś tak długo?

Bo się wstydził — odpowiedziała za szuszę Alisa.

Szusza spuścił oczy.

*Przełożyła Irena Lewandowska*

*Kirył Bułyczow*  
*Wielkij duch i biegliecy*

# Biała Śmierć

## Szałas

W piątek wymyślił aforyzm. Leżał sobie na piasku i wymyślił taki aforyzm:

„Człowiek nie może zrobić tego, czego zrobić nie może”. Nie podobał mu się ten aforyzm. Zmierzchało. Leżał na piasku i wyobrażał sobie, że się opala. Z nieba leje się żar. Mrużył oczy i odganiał chmury drobnych muszek, zasłaniających słońce. Można byłoby odsunąć przyłbicę, ale wtedy zaczynają się mdłości i muszki włączają do skafandra. Zamknął oczy i starał się usłyszeć stuk piłki i głosy kąpiących się. Nie było głosów — muszki wirowały bezdźwięcznie, a plażowicze zostali na Ziemi. Cisza przeszkadzała myśleć.

Przewrócił się na brzuch. Piasek był szary, maleńkie muszelki podobne do pasiastych groszków rozpadały się w palcach na proch. Dotarł już do niego cień „Kompasu”. Cień był długi i rósł z każdą minutą.

Pora była wracać na statek i zająć się czymkolwiek. Można wystrzelić sondę i obserwować, jak zamienia się w biały punkcik i drży w powietrzu. Można ugotować kolację. Albo zjeść ją na zimno. Zabrać się do przeszukania trzeciego przedziału. Powinny w nim być lekarstwa i urządzenia, a tak naprawdę — piętrzyło się w nim potłuczone szkło, pył, strzępki metalu. Lekarz pokładowy wie, że w trzecim przedziale nie może być części do radiostacji. Pawłysz wie o tym, ale mimo to będzie jak archeolog grzebał w śmieciach, dopóki nie przekona się o bezsensie tych poszukiwań.

Przygnębiało go poczucie własnej bezsilności. Wystarczyło ono, aby wywołać jątrzącą wrogość do szarego brzegu i zwałów poskręcane go żelastwa, które z przyzwyczajenia nazywał „Kompasem”.

Dziwna maskara wyleciała z kolczastych zarośli, które wpełzały aż na plażę. Usiadła w cieniu statku. Była wielkości psa, ale niezbyt masywna. Ciało jej składało się z wielu segmentów. Wpatrywała się uporczywie w Pawłysza wypukłymi owadzimi oczami. Muszki wirowały i migotały nad nią. W końcu maskara zdecydowała się, podskoczyła i zaczęła tłuc o bok statku, zupełnie jak mucha o okienną szybę.

Pawłysz podniósł się, strzepnął z kolan piasek z muszelkami i powłókł się do włazu. Cztery dni temu otwierał go ponad godzinę i myślał, że mu się to nigdy nie uda. Wydawało się wtedy, że otwarty właz to ratunek. A w rzeczywistości niczego to nie zmieniało.

Maskara stuknęła o hełm. Opędzając się złamał ją w pół. Muszki natychmiast obsiadły resztki. Zamknął luk i podparł go od wewnątrz stalowym prętem. Muszki bały się ciemności i nie wpadały do środka, ale z nastaniem nocy mógł zjawić się jakiś groźniejszy gość.

Statek był rozbity. To nigdy nie powinno się zdarzyć. Jeżeli już trafi się nieszczęście, powinien wybuchnąć, zniknąć bez śladu. Ale statek rozbity jak samochód o drzewo — w tym jest coś upokarzającego. Wiatr od morza zachybotał ruiną i w zdemolowanym wnętrzu coś zaczęło skrzypieć i pojękiwać.

Nie było energii. Nie było łączności. Gdyby kapitan lub któryś z mechaników przeżył, to może by coś wymyślili. Choć to też wątpliwe. Lekarz pokładowy Pawłysz jak na razie wymyślić niczego nie potrafił. Żeby się nie rozkleić, puszczał sondy, metodycznie przeszukiwał ładownie, doprowadził do porządku mostek, kontynuował dziennik pokładowy i napisał list do Śnieżyny. Kopertę z adresem



zwrotnym „Planeta Posterunek” wrzucił do tego, co pozostało po zsywie na śmieci.

Miał jeszcze jedno zajęcie. Najważniejsze. Wanny anabiotyczne. Miały one automatyczny układ zasilający. Temperatura utrzymywała się w granicach normy. To potrwa jeszcze, jak obliczył, przez dwa miesiące. Przy najoszczędniejszym zużyciu energii. Potem koniec. Stanie się ostatnim człowiekiem na tej planecie. Potem też umrze, jeżeli nie zdoła się przystosować do miejscowego powietrza. A jeżeli to mu się uda? To może nawet dożyje sędziwego wieku.

Wyobraził sobie, jak będzie wyglądał jako staruszek w porwanym, wymiętym skafandrze. Wychodzi sobie na schodki przed zapadnięty w bury piasek statek i karmi z ręki wielosegmentowe maskary. Maskary popychają się, kłębią i patrzą na niego wzrokiem surowym i uważnym. Staruszek wraca potem do czyściutkiej, acz rozpadającej się kabiny, przystrojonej suchymi gałązkami, i przez lzy ogląda pożółkłą fotografię Śnieżyny. Nie zestarzała się. Ciągle ta sama, wsparta o pień brzozy, patrzy na staruszka błękitnymi oczami.

Można zdecydować się jeszcze na następujący krok: odłączyć wanny anabiotyczne. Dla śpiących przejście wąskiej kładki między życiem a śmiercią byłoby niezauważalne. Energię układu zasilającego można by wykorzystać w jednym z przedziałów statku i przeżyć bezpiecznie kilka lat. Myśląc o tym czuł się jeszcze paskudniej. Zajrzał do komory reanimacyjnej; ściślej — do dawnej komory reanimacyjnej. Zaglądał tu codziennie. Liczył na cud. Za drzwiami trafiał na wciąż tę samą beznadziejną płataninę kabli i połamane przyrządy. I jak długo by się im przyglądać, żaden przewód nie wróci na swoje miejsce. Nie, obudzić załogi rezerwowej Pawłysz nie da rady.

Ale w końcu jeszcze żyli. Nie był sam. Zostawała mu jeszcze troska o żyjących.

Przedział anabiotyczny ukryty był w centrum statku, ubezpieczony amortyzatorami, dzięki czemu prawie nie ucierpiał; Temperatura była tu wyraźnie niższa niż w korytarzu. Pod matowymi pokrywami wanien majaczyły ludzkie postacie.

— Różnie to bywa — oznajmił termometrowi Pawłysz. — Dzisiaj wpadliśmy tu my. Jutro kto inny. Weźmie i tu wpadnie.

Wiedział, że nikt tu nie wpadnie. Nie było po co. Kiedyś, wiele lat temu, była na planecie grupa zwiadu kosmicznego. Spędziła tu dwa miesiące. Albo dwa tygodnie. Sporządziła mapy, pobrała próbki miejscowej fauny i flory, ustaliła, że dzień tutejszy ma długość czterech dni ziemskich, a noc czterech ziemskich nocy. Ustaliła też, że póki co planeta nie jest ludziom do niczego potrzebna. I wróciła na Ziemię. A może nawet nie było i tej grupy? Przyleciał automatyczny zwiadowca, pokrzył.

Stuknął palcem w pokrywę wanny, jakby chciał obudzić śpiącego pod nią Gleba Bauera, uśmiechnął się i wyszedł.

Według jego obliczeń tutejsze słońce powinno już opuścić się nad samo morze. Moment ten mógłby być interesujący dla przyszłych badaczy. Przed kolacją należało więc wybrać się na plażę i sfilmować zachód słońca. Poza wszystkim, to powinno być piękne.

To było piękne. Słońce przesunęło się po stycznej do jaskrawozielonej linii horyzontu. Było pasiaste — po liliowych kreskach przebiegały, eksplodując, białe iskierki. Niebo wokół słońca opałowate, dalej stawało się głęboko szmaragdową płaszczyzną. Za plecami stała już czarnozielona noc, a szare obłoki, które zatrzymały się gdzieś na lądzie, szybko powracały nad morze, zasłaniając jasno świecące gwiazdy. Zarośla na diunach zamieniły się w czarną bryłę, z której wnętrza rozlegały się posykiwania, trzaski i mamrotania na tyle groźne, że zdecydował się nie odchodzić od statku. Filmował zachód słońca amatorską kamerą ręczną — jedyną, jaka ocalała na pokładzie — a za plecami słyszał dziwne szmery. Chciał, żeby taśma skończyła się jak najszybciej, żeby jak najszybciej słońce rozlało się w pomarańczową plamę i utonęło w morzu. Ale taśma nie kończyła się,

zostało jej jeszcze na jakieś pięć minut, a i słońce nie spieszyło się do odejścia w noc.

Chmura muszek zniknęła. I to było dziwne. Przez cztery dni przywykł do jej pracowitej, acz nieszkodliwej obecności. Noc groziła czymś nowym, nieznanym, najprawdopodobniej złym. Planeta była jeszcze młoda i na pewno stanowiła teren bezlitosnej walki o byt. Prawdopodobnie pokonanych nie zmienia się tu w niewolników, nie próbuje resocjalizować, ale po prostu zżera.

W końcu słońce, pogrążywszy się do połowy w wodzie, popłynęło na prawo, tam gdzie wzdłuż horyzontu ciągnęło się czarne pasemko wybrzeża. Tworzyło zatokę, w której głębinę wpadł „Kompas”.

— W porządziu! — powiedział sobie Pawłysz. — Skończymy film i zaczniemy pierwsze polarne zimowanie. Cztery doby kompletnej nocy.

Nie mógł zmusić się do czekania, aż słońce zniknie za horyzontem. Palec sam nacisnął guzik „Stop”, nogi same niosły go do wjazdu — najpewniejszego schroniska.

I wtedy zobaczył ognik. Ognik zabłysnął na samym końcu cypla — czarnego paska na horyzoncie, w pobliżu którego toczyło się do wody słońce. Pomyślał, że to promień słońca odbił się od skały czy od fali. Albo zawodzi go zmęczony wzrok.

Po dwudziestu sekundach ognik rozbłysnął na nowo, w tym samym miejscu. Więcej rozbłysków Pawłysz nie widział — słońce stanęło nad cyplem, jego pomarańczowe promienie zalewały oczy, oślepiały. Nie mógł dłużej czekać. Wdrapał się do wnętrza statku i, nie zdejmując hełmu i skafandra, pobiegł na mostek.

W ciemności fosforyzował martwy ekran teleoka. Kierował nań kamerę, rzutując zarejestrowany obraz. Być może kamera zauważyła ognik szybciej niż Pawłysz.

Na ekranie słońce przesuwawało się wzdłuż zielonej wody, siejąc obłądnie jaskrawe kolory, znowu przebiegały po nim liliowe pasy i wybuchały białe iskierki. Oko kamery podążało za słońcem. Pawłyszowi ze zmęczenia drżały ręce i dlatego szmaragdowe morze lekko dygotało na zaimprovizowanym ekranie.

— Uwaga! — ostrzegł sam siebie. Z prawej strony kadru ukazał się koniec przyładka. I w tym właśnie punkcie zabłysnął płomyk. Ekran zgasł. Zapanowała ciemność. Tylko przed oczami latały czerwone i zielone plamy. Po omacku przewinął film. Wrócił do tego kadru, gdzie błyskał ogieniek. Słońce zastygło na ekranie. Zastygł i płomyk — biała plamka z prawej strony ekranu.

To było niewiarygodne. To nie mogło się zdarzyć! Ogieniek powinien się okazać optycznym złudzeniem, halucynacją. Pawłysz tak bardzo czekał na coś, co mogłoby mu wrócić nadzieję! Umysł chciał uchwycić się czegokolwiek, choćby mirażu. Ale płomyk nie był mirażem. Kamera też go zobaczyła.

— A właściwie dlaczego nie? — zapytał. Nie otrzymał żadnej odpowiedzi.

— Po co ja tu sterczę? Słońce schowało się. Nie przeszkadza patrzeć na cypel. A może światełko zniknęło?

Pomyślał, że jeżeli gdzieś niedaleko są jakieś rozumne istoty, rozumne na tyle, że posiadają silne źródło światła, to oszczędzanie akumulatorów awaryjnych jest bez sensu. Na oślep odszukał guzik, włączył na całą moc oświetlenie i statek ożył. Zrobiło się cieplej, ściany oddaliły się od siebie, podstępne przedmioty — kawałki połamanych rur, płatanina przewodów, ostre krawędzie rozdartego poszycia — nie przeszkadzały teraz biec przez korytarz do wjazdu, który też przestał być czymś wrogim i strasznym.

Oparł się rękami o brzeg luku, wysunął po pas na zewnątrz i liczył patrząc na malinową plamę na horyzoncie: raz... dwa... trzy... pięć! Błysk!

Błysk trwał sekundę, zgasł i Pawłysz zdążył ulokować się wygodnie na brzegu wjazdu, spuścić w

dół nogi w ciężkich buciorach, nim światelko znów się pojawiło. Miało przyjemny kolor. Jaki? Nadzwyczaj przyjemny biały kolor. A może żółty?

Kiedy słońce całkowicie zaszło, ogieniek przestał migać. Świecił teraz równo, jakby ktoś, długo bawiący się wyłącznikiem, uwierzył wreszcie w przyjście nocy, włączył światło, siadł za stół, aby zjeść kolację. I czekać na gości...

Z ciemności rzuciło się na Pawłysza coś żywego. Nie zdążył podciągnąć nóg i skryć się we wnętrzu statku, wyciągnął jedynie przed siebie ręce. „Coś” okazało się znaną mu już maszkara. Oplatała suchymi nóżkami wyciągniętą rękę i owadzie oczy błysnęły wyrzutem, gdy odbiło się w nich światło z włazu. Strząsnął maszkarę tak jak strząsa się pajaka. Upadła na piasek. Zawrót głowy. I dopiero wtedy człowiek zrozumiał, że zapomniał opuścić przyłbicę i oddychał powietrzem planety. Uświadomienie sobie tego przyprawiło go o mdłości. Zamknął luk i usiadł wprost na podłodze. Opuścił przyłbicę i zwiększył dawkę tlenu, żeby szybciej przyjść do siebie.

Teraz trzeba dać znak, myślał. Trzeba wystrzelić raketę, zapalić reflektor, Trzeba wzywać pomocy.

Ale raket nie było. A nawet jeżeli gdzieś były, to poszukiwania mogą zająć Bóg wie ile czasu. Reflektory rozbite. Jest latarka. Nawet dwie latarki ale bardzo słabe. Latarki hełmowe. No cóż, trzeba spróbować.

Długo stał przy otwartym włazie zakrywając dłonią latarkę i odsłaniając ją. Wolną ręką oganiał się od maszkar. Światelko nie reagowało. Świeciło nadal równo i jasno. Właściciele światelka wyraźnie nie domyślali się, że gdzieś tam komuś źle się dzieje. Wywłókł ze statku masę przeróżnych rupieci, które nadawały się do spalania. Ale ognisko było ciemne — powietrze miało małą zawartość tlenu. Maszkary, które przyleciały zwabione płomieniem, wpadały weń i zwęglaly się sycząc jak mokre drewno. Zużył cały zapas spirytusu i po dziesięciu minutach walki z maszkarami musiał zrezygnować ze swego pomysłu.

Odszedł od włazu i obserwował płomyk. Patrzył jak na jasne okienko w baśniowym domku leśniczego, jak na ognisko myśliwych. A może to blask ognia pod kuchnią ludożercy?

— Dobra — powiedział maszkarom, kłębiącym się w malowniczych zwojach nad dogasającymi resztkami szafek, książek i papierów. — Idę.

Dobrze jest podjąć decyzję. Wykonanie jej wymagało działań, wielu i bardzo rozmaitych działań. Szybkich działań. Przypominało to w jakiś sposób kłopoty, jakie ma każdy, kto decyduje się wyjechać na urlop; trzeba posprzątać, zostawić pokarm rybkom, umówić się z sąsiadką, żeby podlewała kwiatki, kupić gdzieś stereofilmy, zadzwonić do przyjaciół, poganiać za biletami.

Po pierwsze udał się do komory anabiotycznej. Wyprawa do płomyczka mogła potrwać ze trzy godziny i przez ten czas nic nie powinno zakłócić, snu rezerwowej załogi. Jeżeli coś się z nimi stanie, cała wyprawa przyda się psu na budę. Odłączył zasilanie wszystkich urządzeń statku i przyłączył do zasilacza komory anabiotycznej mocno już rozładowane akumulatory awaryjne. Sprawdził temperaturę w wannach, przejrzał wszystkie przyrządy kontrolne. O ile się orientował, komorze nic nie groziło. Nawet jeżeli nie wróci przez miesiąc. Co prawda, jak się człowiek wybiera na trzygodzinny spacer po plaży, to wcale nie musi planować wszystkiego na miesiąc z góry, ale spacer zapowiadał się trochę niecodziennie. Nie bez podstaw sądził, że będzie pierwszym człowiekiem, który wybrał się nocą na spacer brzegiem zielonego morza.

Należało się więc zatroszczyć o siebie, zrobić zapasy wody i jedzenia. A na końcu tak sprytnie zablokować uszkodzoną pokrywę włazu, żeby nawet słoń (gdyby przypadkiem trafił się tu jakiś słoń) nie mógł sobie z tym poradzić.

Załatwiwszy to wszystko, wyszedł na zewnątrz i nieoczekiwanie poczuł głęboki smutek. Zmrok pokrył niegościnnie świat wszystkimi odcieniami czerni i szarości, i jedyną bliską sercu rzeczą był zgruchotany „Kompas”, smętnie pojękujący pod uderzeniami wiatru, samotny i bezsilny.

— No, no, tylko się nie rozklejaj! — przykazał statkowi Pawłysz i pogłaskał kadłub, pokryty szramami termicznymi podczas awaryjnego lądowania. — Niedługo wrócę. Dojdę brzegiem do ognia i wracam.

Płomyczek świecił równo. Pawłysz po raz ostatni sprawdził przewody tlenowe. Tlenu powinno wystarczyć na sześć godzin, w ostateczności można oddychać powietrzem planety. Choć to zajęcie przykre i nader szkodliwe. Wyciągnął miotacz promieni, wycelował w nadbrzeżną skałkę i nacisnął spust. Skałka rozpadła się jak przecięta nożem. Połówki rozjarzyły się jaskrawą purpurą. Koniec. Trzeba iść.

Rozgrzebał butem resztki ogniska i przeskoczył przez nie. Zrobił to celowo, nie przez głupią zachciankę. Chciał po prostu sprawdzić, czy dobrze przymocował ekwipunek.

Najwygodniej było iść skrajem plaży. W tym miejscu fale, uderzając o brzeg, ubiły piasek tak, że nogi się w nim nie zapadały. Latarka nie była na razie potrzebna. Widział wszystko, co powinien był widzieć. Ciągące się w nieskończoność pasemko piasku, ciemna woda z lewej, czarne zarośla na wydmach z prawej. I tak aż do światełka.

Przeszedł kilka kroków, przystanął, odwrócił się i popatrzył na statek. Statek był ogromny i strasznie samotny. Oglądał się kilka razy — „Kompas” zmniejszył się, zlewał z niebem i gdzieś pod koniec pierwszego kilometra Pawłysz zrozumiał, jaki jest mały i bezbronny. Ogarnął go strach, pragnął biec do statku i skryć się we włazie. Pomyślał nagle, że zapomniał czegoś strasznie dla wyprawy ważnego i czy chce, czy nie chce, musi wrócić. Ale kiedy wymyślał, czego też mógł zapomnieć, odezwał się wstyd i poczucie obowiązku. Nie wolno wracać. Na wszelki wypadek wyobraził sobie, że jest żoną Lota, która obróci się w słup soli, jeżeli tylko spróbuje się obejrzeć. I do rana zlizą go żądni krystalicznej soli mieszkańcy zarośli.

Postanowił śpiewać. Śpiewał okropnie. Zaroślom śpiew Pawłysza wyraźnie nie przypadł do gustu, bo pod koniec drugiej zwrotki ucichły. Piasek pod nogami monotonicznie poskrzypywał. Czasami fala dopełzała do stóp wędrowca i ten skręcał nieco, omijając pianę. Raz przeraziła go jaśniejąca na drodze plama. Zwolnił kroku, namacał ręką miotacz promieni. Plama powiększała się i zobaczył, jak coś czarnego, wielołapego wysuwa się z niej, czając się do skoku. Ale mimo to szedł, trzymając przed sobą miotacz. Szedł i czekał, żeby plama zaatakował pierwsza.

Plama okazała się być wielką muszlą. A może to był pancerz jakiegoś morskiego stworzenia? Kilka maszkar podpełzło do muszli i cienkimi łapkami zaczęło wyciągać resztki zawartości.

To właśnie maszkarzy wydały się Pawłyszowi mackami zwierzęcia.

— Psik, paskudy! — powiedział im, a one posłusznie uciekły w krzaki. Spod muszli wyskakiwały najrozmaitsze drobne stworzenia, zakopywały się w piasek, uciekały do wody. W ciemnościach trudno było zauważyć, jak wyglądają i co właściwie robią. Niektóre znikły w pianie, inne fosforyzowały i błyszczącymi plamkami wirowały na piasku.

Zdarzenie z muszlą uspokoiło Pawłysza. Widać było wyraźnie, że mieszkańcy krzaków i morza mieli na głowie wiele własnych spraw i nie zamierzali wcale rzucać się na człowieka.

Od wyjścia ze statku minęła już godzina i miał za sobą co najmniej pięć kilometrów. W tej chwili niepokoiło go najbardziej jedno: ogieniek nie przybliżał się. Czarny cypel był wciąż tak samo odległy, piasek ciągnął się dalej równą wstęgą. Oczywiście nie mogło to trwać wiecznie. Chociaż średnica Posterunku jest większa od średnicy Ziemi, to jednak planeta jest okrągła i dostatecznie oddalone przedmioty muszą zniknąć za linią horyzontu.

I nagle zobaczył rzekę.

Najpierw usłyszał szum, który zakłócił monotony łoskot przyboju. Potem zobaczył samą rzekę. Wpadając do morza, dzieliła się na wiele odnóg. W tym miejscu brzeg, umocniony twardszym rzeczonym piaskiem, tworzył niewielki półwysep. Między odnogami i z obu stron delty ziemia pokryta była zielonymi plamami porostów i trawą. Jakieś rośliny w kształcie trójzęba rosły wprost w wodzie. Przeprowadzenie przez rzekę na pierwszy rzut oka wydawała się łatwa, ale kiedy parę metrów od wody zapadł się nagle po kostki w miazgę piach, zrozumiał, że rzeka może kryć w sobie niezbyt przyjemne niespodzianki.

Już następny krok był trudniejszy. Piasek osuwał się, z mlaskaniem wciągał nogi i starał się ich nie wypuszczać.

W końcu, pomyślał Pawłysz, nic mi takiego nie grozi. Jestem w skafandrze i nawet jak wpadnę po szyję, to nóg na pewno nie przemoczę.

I w tym momencie, straciwszy oparcie pod nogami, wpadł po pas w grząski muł. Próba wydostania się z pułapki skończyła się na tym, że pogrążył się jeszcze o parę centymetrów. Skafander był miękki i piasek, który złowił Pawłysz dusił go, unieruchamiał ramiona. Przypomnił sobie, że myśliwi, którzy wpadli w bagno, zawsze chwytają się za jakiś pieńek. Albo choćby za krzak. Pieńka w pobliżu nie było, ale w odległości jakichś trzech metrów rzeczywiście rósł krzak. Pomyślał, że grunt wokół krzaka powinien — być twardszy, i skoczył do przodu.

Jakby popatrzeć z boku, to skok ten musiał wyglądać nieco dziwnie:

stworzenie po pierś zanurzone w piasku wykonuje konwulsyjne ruchy, wrywa się z pułapki na parę centymetrów, rzuca się do przodu i znika prawie całkowicie.

Skok był pomyłką. Można ją usprawiedliwić tylko tym, że Pawłysz nigdy przedtem nie wpadał w bagno ani w ruchome piaski. Teraz na powierzchni, lekko poruszającej się i wydymającej w piaskowe pęcherze, widać już było tylko górną część hełmu. Spozrzegł kątem oka, że granica mułu powoli przesuwa się po przezroczystej przyłbicy.

Wszystko to było tak nagłe, że nie zdążył się nawet przestraszyć. Starając się nie robić zbędnych ruchów skierował wzrok na daleki cypel. Płomyk świecił nadal. Czekał. Trzeba było podnieść głowę. Nad piaskiem wystawał już tylko czubek hełmu z niepotrzebną anteną, dostrojoną do częstotliwości nadajnika statku, którego sygnałów nikt już nie usłyszy. Po paru sekundach ogieniek znikł. Znikło wszystko. Zrobiło się ciemno, okropnie ciasno i nie wiadomo było, co robić dalej.

Z ciemności przyszedł strach. Pawłysz oddychał szybko i płytko, choć butle dostarczały uczciwie tyle tlenu, ile było potrzeba. Groźba śmierci przez uduszenie nie istniała, hełm był wystarczająco twardy. Śmierć... Ta myśl przeleciała przez mózg, zaczepiła się o coś i została. Śmierć. Czaiła się w tej dziurze. Zostaniesz tu i umrzesz. Jak wyrzucona na brzeg ryba, jak złapana w pułapkę mysz. Śmierć...

To słowo miało jakąś magiczną moc. Złe, przeciwne naturze słowo. Rozumiał, że nie może ono dotyczyć właśnie jego, dlatego że... dlatego że na niego czekają. Czeka Gleb Bauer i Kira Tkaczenko, czeka nawigator Baturin... Jeżeli Pawłysz nie wróci, zginą. I jeżeli kiedykolwiek przyleci tu jakiś statek, a przyleci na pewno, to przyleci za późno. Ludzie znajdą ciała zmarłych w anabiotycznych wannach, ciała zmarłych, których nikt nie obudził. I zrozumieją, że na statku ktoś jeszcze był. Będą go szukać. I oczywiście nigdy nie znajdą. Nawet jeżeli planeta zostanie zasiedlona, jeżeli żyć na niej będą miliony ludzi, nikt nigdy nie znajdzie doktora Pawłysza, lat trzydzieści cztery, szatyna, wzrostu metr osiemdziesiąt cztery, oczy niebieskie. Stan cywilny: wolny.

— No, wystarczy — powiedział sobie. — Tak to się można zastanawiać do uszarganej śmierci. Trzeba coś zrobić.

Za plecami twardy piasek. Nie ma co więcej ryzykować. Żadnych prób przesuwania się do przodu. Tylko w tył, w kierunku rzeki.

Spróbował podnieść rękę. To było do zrobienia, choć kosztowało wiele wysiłku. Piasek był ciężki i lepki. Spróbował wyciągnąć rękę przed siebie, ale tylko głębiej pograżył się w muł i trzeba było na chwilę znieruchomieć, żeby opanować wybuch paniki, jaka na moment nim zawładnęła. Panika była irracjonalna. Ciało, przerażone bliskością śmierci, zaczęło szarpać się i miotać. Pawłysz przeczekał ten moment. I nagle poczuł pod nogami twardy grunt.

— Cudownie! — powiedział, uspokoiwszy buntowników i tchórzy, jacy zagnieździli się w jego ciele. — Wiedziałem, że to trzęsawisko musi mieć jakieś dno. Zwykła dziura. Stoimy sobie na tym dnie i zaraz się wycofamy.

Łatwiej to było powiedzieć, niż zrobić. Piasek nie chciał za nic rozstać się ze swoją zdobyczą i ciągnął ją w głąb. Dno było śliskie i niepewne. Ale Pawłyszowi mimo to udało się zrobić krok naprzód po zboczach jamy. I wtedy dopiero poczuł, jak cholernie jest zmęczony. Ciężki piach dławił go. Nie wiadomo czemu wyobraził sobie nurka brodzącego powoli w głębi morza.

— Spokojnie — powiedział. — Już wszystko rozumiem.

Po nieskończeniu długiej minucie prawa ręka dotarła na powierzchnię i odszukała przycisk zaworu awaryjnego. Wdusiła go do oporu i nie puszczała, dopóki powietrze, dławiąc gardło, grożąc wypłynięciem oczu z orbit i zatrzymując bicie serca, nie nappełniło skafandra na tyle, że następny krok był o wiele łatwiejszy.

Zwolnił zawór awaryjny dopiero wtedy, kiedy wydostał się na powierzchnię do pasa, i wolną ręką przetarłszy przyłbicę, zobaczył płonące na cyplu światelko.

Siedział na brzegu wyciągnąwszy nogi i pozwalał falom lizać podeszwy butów. Uśmiechał się i podnosił ręce, żeby poczuć, jak łatwo może to zrobić.

Rzeka spokojnie wpadała do morza i nie można było dostrzec miejsca, w którym rozegrał się dramat. Piasek wygładził się i czekał na nowe ofiary.

Ale tak czy owak rzekę trzeba było przekroczyć, żeby iść dalej po równym brzegu, który zaczynał się w odległości jakichś stu metrów od miejsca, gdzie siedział Pawłysz.

Odpuściwszy, wstał i podszedł do krzaków. Muszelki trzeszczały pod butami, z zarośli dobiegał szmer, trzask gałązek i piski. Zatrzymał się. Zdał sobie sprawę z tego, że do miotacza promieni mógł dostać się piasek. Wyjął broń, sprawdził. Lufa była czysta.

Trzymał się z daleka od nieszkodliwej na pozór rzeczki. Wspiął się na niewysoki pagórek i stanął przed zbitą ścianą krzaków. Spróbował rozsunać gałązki, ale kolce były mocno pozczepiane.

Przez kilka minut usiłował znaleźć w ścianie krzaków jakieś przejście. Wreszcie przejechał po nich promieniem miotacza. Zakłębił się biały dym i w zaroślach zapanowała napięta cisza. Pawłysz włączył latarkę hełmową i zobaczył, jak krzewy leczą otrzymane rany. Przez wypalony otwór wysuwały się palce gałązek, chwytaly paznokciami kolców, osypywały suche patyczki. Na ich miejsce natychmiast wyrastały świeże pędy.

Światło latarki zwabiło maskary i po raz pierwszy zobaczył, jak wylatują one przez pojawiające się w ścianie krzaków otwory, które natychmiast się za nimi zamykają.

Wycofał się oganiając od maskar, stukających przezroczytymi skrzydłami po hełmie. Wrócił na brzeg. Najprostsza droga, przez rzekę, nie wchodziła w rachubę. Przez krzaki też nie da się dotrzeć do takiego miejsca w górze rzeki, gdzie nie będą już groziły ruchome piaski. Wracać na statek nie należy. Została trzecia droga — po dnie morza. Wszedł do wody.

Dno obniżało się łagodnie, fale uderzały po nogach, odpychały w stronę brzegu. Powoli kroczył po twardym dnie. Kiedy zanurzył się po pierś, ruchy stały się płynne i niezgrabne, zupełnie jakby

wędrował we śnie. Gdzieś tak po pięćdziesięciu krokach dno nagle opadło i Pawłysz znalazł się pod wodą. Płynąć się nie dało — skafander był zbyt ciężki, choć niestety nie tak ciężki, żeby podeszwy butów pewnie trzymały się gruntu. Przy każdym kroku tracił równowagę, woda wypychała go na powierzchnię. Jak na złość nie mógł wymacać nogą żadnego kamienia. Mógłby go wziąć w rękę i tak obciążony poruszać się łatwiej i pewniej.

Fosforyzujące żyjątka pryskały przed człowiekiem na wszystkie strony. Było ciemno i Pawłysz włączył latarkę, żeby nie zgubić drogi. Z prawej strony było piaskowe zbocze, będące brzegiem rzecznej delty, z lewej dno gwałtownie opadało. Dawało się wyczuć prąd rzeki, woda uderzała w bok, pchała na głębinę i widać było, jak przesuwały się unoszone prądem strużki piasku.

Zszedłszy niżej, trafił na prawdziwą dżunglę wodorostów, śliskich i miękkich. Nikt nie przeszkadzał mu w wędrowce po morskim dnie, nie mógł się jednak pozbyć wrażenia, że jest śledzony przez kogoś, kto próbuje odgadnąć, jak dalece Pawłysz jest silny i niebezpieczny.

Pysk patrzył na niego z wodorostów jedynym wąskim okiem. Światło latarki czołowej załśniło w oku i oko jeszcze bardziej się zwęziło, chcąc zobaczyć, co kryje się pod plamą światła.

Pawłysz zamarł. Gwałtowne zatrzymanie się pozbawiło go równowagi, prąd popchnął go prosto w kierunku pyska. Zamachał rękami, żeby się nie przewrócić i zadarł głowę, nie chcąc wypuścić przeciwnika ze świetlną pułapki. Człowiek był bezbronny, nie miał nawet jak, sięgnąć po miotacz promieni.

Oko zamknęło się, na jego miejscu pojawiła się otwarta paszcza, pełna ostrych jak igły zębów. Pawłysz doskonale zmieściłby się w jej wnętrzu i w mgnieniu oka wyobraził sobie doczepione do pyska odpowiednie ciało i kolczasty ogon. Pysk zamknął paszczkę i znów otworzył oko. Był być może zaskoczony dziwnym zachowaniem się przybysza, który lekko dotykając nogami dna wymachiwał rękami, kolebał się, obracał i przy tym niebezpiecznie zbliżał do pyska.

Potwór nie wytrzymał tego widoku, prawdopodobnie sądził, że Pawłysz chce go zjeść. Pysk nagle obrócił się i rzucił do ucieczki. Torsu nie miał, ogona z kolcami też nie. Zamiast tego było coś w rodzaju ściętej tępo potylicy z płetwami. Pędy wodorostów zawirowały.

Pajęczyna, prawie niewidoczna wśród morskiej roślinności, była słabo naciągnięta i kołysała się w wodzie razem z otaczającymi ją wodorostami. Przerazone zwierzę z rozpędu wpadło w pułapkę i miotało się w niej konwulsyjnie. A wokół pajęczyny żwawo uwijały się wielołąpki stworzenia z potężnymi szczękami i wpijały się w pysk, nie zwracając zupełnie uwagi na światło latarki, woda mętniała od krwi i ruchy ofiary stawały się coraz bardziej ospale i bezcelowe.

Pawłysz stracił ducha: wyobraźnia zapełniała podwodną dżunglę setkami zielonych pajęczyn. Wydawało mu się, że każdy krok zaprowadzi go prosto do pułapki. I kiedy ruszył w dalszą drogę, najpierw zawrócił, żeby obejść morskie zarośla. Wielołąpki stwory miały ostre szczęki i skafander nie stanowił ochrony przed takimi drapieżcami.

W głębinie prąd przeszkadzał iść. Przypominało to silny wiatr. W końcu znalazł długi, podobny do ułamanego palca kamień i wziął go w rękę, żeby nie wypływać przy każdym kroku. Ściana wodorostów falowała i nagle w dziurze między pędami zobaczył zieloną pajęczynę, przy której Stróżowały wielołąpki. A może mu się tylko wydawało?

Idąc wzdłuż zielonej gęstwiny spojrzął na zegarek. Od czasu wyjścia ze statku minęło już dwie godziny. Zarośla przerzedziły się. Widocznie najlepiej żyło im się tam, gdzie słodka woda rzeki mieszała się z wodą morską. Zaczyło to, że można szykować się do wyjścia. Podróż po morskim dnie zbliżała się do końca. Bardzo chciał być już na brzegu, gdzie żyją ruchliwe, ale zupełnie nieszkodliwe maskary. Zaczął wspinać się po dnie i, zadarłszy głowę do góry, zobaczył przez cienką warstwę wody migocące gwiazdy i pasemka piany na brzegach fal.

I nagle silnie uderzono go w plecy. Instynktownie rzucił się do przodu, uderzył czołem w przyłbicę i spróbował się obejrzeć. Szlag go trafiał, że obraca się tak powoli, żeby stanąć z atakującym twarzą w twarz.

Z tyłu nie było nikogo.

Postał chwilę, wpatrując się w ciemność, wodząc wokół siebie światłem latarki i znowu poczuł uderzenie w plecy. Zupełnie jakby jakiś dowcipniś wesolutko go zaczepiał.

— Ach, tak! — powiedział Pawłysz. — Róbcie sobie, co chcecie. Ja wychodzę na brzeg.

Wykonał znowu obrót wokół własnej osi, nagle jednak szybko się odwrócił i stanął nos w nos z ryjowatym stworzeniem, podobnym do ogromnego robaka. Stworzenie, zorientowawszy się, że zostało nakryte na gorącym uczynku, błyskawicznie popłynęło w górę, wyskoczyło z wody i zniknęło.

— No i zawarliśmy znajomość — rzucił za nim Pawłysz. Zrobił jeszcze jeden krok i poczuł, że woda rozstępuje się. Stał w niej po szyję. Brzeg był pusty i ciągnął się daleko, aż do ognika (który zauważył najpierw) równym pasmem piasku. Rzeka szumiała gdzieś daleko, w żaden sposób nie mogąc już przerwać jego wyprawy. Wyrzucił kamień i podniósł nogę, żeby wyjść z wody. I wtedy ktoś chwycił go za drugą nogę i silnie pociągnął w dół.

Woda zaczęła się burzyć. Pawłysz stracił orientację i rozumiał tylko, że wloką go w głąb, co było mu bardzo nie na rękę. Starał się wyrwać nogę, włączyć latarkę, wystrzelić w tego, kto wciąga go do wody — wszystko równocześnie.

W końcu latarka zapaliła się, ale w mętnej wodzie nie mógł dostrzec swojego wroga; wtedy, wyciągnąwszy miotacz, wystrzelił w tę stronę, gdzie prawdopodobnie było to coś. Promień miotacza był bardzo jaskrawy, chwyt zelżał. Pawłysz usiadł na dnie i pojął, że do wody próbował go wciągnąć swawolny robal, który wił się teraz rozsieczony promieniem miotacza na dwoje. Zrobiło mu się żal robaka. Pomyślał, że nie chciał się on po prostu rozstać z człowiekiem, który tak bardzo go zainteresował.

Już zamierzał wyjść na brzeg, gdy z wody wyskoczyło stado wąskich, wrzecionowatych ryb, zwabionych widocznie zapachem krwi. Było ich wiele, bardzo wiele i widok starcia połówek robaka z drapieżcami był przerażający. Stał i obserwował nierówną walkę. Kiedy jednak jedno z wrzecion rzuciło się w jego stronę, Pawłysz zrozumiał, że najwyższy czas wydostać się na brzeg.

Wrzeciono wgrzyzło się Pawłyszowi w bok i rwało mięśnie jak zły pies. Trzeba było rozciąć napastnika promieniem. Wtedy inne, jakby usłyszały wołanie o pomoc, porzuciły robaka i popędziły za Pawłyszem. Ten wycofywał się na brzeg, niszcząc drapieżniki promieniem miotacza, ale wydawało się, że na miejsce zabitych napływają następne i następne, zabierając się do zżerania swych współplemieńców. Dwa razy napastnicy dobrali się do skafandra, ale tkanina nie poddawała się, więc szarpały i dziobały materiał, którego wytrzymałość zdawała się zdwajać ich siły.

Jednak jedno z wrzecion przegryzło skafander. I nogę Pawłysza. Ryknął z bólu i poczuł, że przez dziurę do skafandra leje się woda. Widział, jak ciągle nowe wrzeciona wpijają mu się w nogi i rozpaczliwe parł do brzegu, wodząc po wodzie słabnącym promieniem miotacza. Woda kipiała, wybuchały fajerwerki iskier i kłęby pary.

Wydostał się na brzeg, ciągnąc ze sobą wczepione w skafander drapieżniki, a właściwie nie drapieżniki, a ich części, bo wszystkie wrzeciona przecięte były promieniami. Objął kostkę, przeciągnął rękami wzdłuż łydki, żeby pozbyć się wody ze skafandra.

Łydka rwała. Czuł, że krwawi, ale zatamować krwi nie miał czym. Popelnił niewybaczalny błąd: on, lekarz, nie wziął ze sobą nawet plastra.

— Strzelać trzeba do takich! — pouczył sam siebie. — Myślałem, że spędzę uroczy wieczór. Spacer przy księżycu!



Poczuł, że jest strasznie zmęczony, że chce się spokojnie wyciągnąć i nigdzie już dalej nie iść. Nie chciał nawet wracać na statek, bo wracać można było tylko po dnie morza.

Zaryj się w piasek i śpij! — podpowiadało zmęczone ciało. — Nikt ci nie będzie przeszkadzał. Odpoczniesz dwie–trzy godziny i pójdziesz dalej.

Trochę go mdliło i oddychał z trudem. Zrozumiał, że przez dziurę dostaje się do skafandra miejscowe powietrze. Pech. Odwinął kawałek sznurka, wiszącego mu przez ramię niczym akselbant, promieniem miotacza odciął mniej więcej półmetrowy kawałek i założył opaskę uciskową poniżej kolana. To nie było najmądrzejsze; noga zdrętwieje i będzie jeszcze trudniej iść, ale na mieszaninie powietrza własnego i miejscowego też się daleko nie zajędzie.

Tnąc sznur zauważył, że promień miotacza jest coraz słabszy. Za często strzelał, a może broń wyładowała się wcześniej, jeszcze na statku? Schował miotacz. Pozostawał mu nóż, ale była to dość wątpliwa obrona.

Przy okazji dokonał jeszcze jednego niemiłego odkrycia — w czasie walki otworzył mu się w jakiś sposób tornister i zapasy żywności dostały się rybom.

Na dnie tornistra poniewierała się tylko tubka z sokiem. Wypił połowę, a resztę starannie schował.

Najrozsądniej byłoby wrócić na statek. Może tam uda się naładować miotacz, i, co najważniejsze, odnowić zapasy wody, zmienić skafander. Dalsza droga nie miała sensu. Z każdym krokiem naprzód możliwość powrotu stawała się coraz bardziej problematyczna, tym bardziej że nie wiedział, co go tam w drodze czeka. Może na przykład czynny wulkan?

Żeby nie zadręczać się wątpliwościami, Pawłysz wstał i szybko poszedł w stronę płonącego światelka, nie oglądając się za siebie.

Chciało mu się pić. Kiedy człowiek wie, że zostały mu jeszcze dwa łyki wody, wtedy tym bardziej chce mu się pić. Żeby o tym nie myśleć, skoncentrował się na bólu w nodze. Prawdę powiedziawszy, po przejściu dwustu kroków nie musiał się zbytnio wysilać, noga dokuczała mu tak bardzo, że myślenie o czymkolwiek innym było raczej niemożliwe. Brakuje jeszcze tego, żeby ukąszenie było jadowite, pomyślał. Nic nie stało na przeszkodzie, żebym wyszedł na brzeg, jak tylko je zobaczyłem, ale nie: musiałem stanąć i gapiłem się na te bydlątka. Straciłem całą minutę.

Siły charakteru starczyło mu na pół kilometra. Potem trzeba było usiąść, rozluźnić sznur i zwiększyć dopływ tlenu. Mimo to ból nie ustępował. — Wygląda na to, że straciłem dużo krwi — powiedział sobie Pawłysz i, spojrzawszy na sytuację z boku, ocenił ją obiektywnie: nie dojdzie.

— Muszę dojść! — powiedział. — Tam czeka Gleb. I cała rezerwowa załoga.

Znowu zacisnął sznur. Odpoczynek nic nie zmienił, tylko tlen na darmo uszedł w powietrze. Dokuszykał do zarośli. W tym miejscu krzaki były wyższe, mniej kolczaste i bardziej przypominały drzewa. Znalazłszy prostą gałąź próbował odciąć ją nożem, ale ręce odmawiały posłuszeństwa i trzeba było użyć miotacza promieni.

Szedł dalej, opierając się na giętkiej lasce i wlokąc za sobą chorą nogę. Prawdopodobnie przypominał zabłąkanego na pustyni wędrowca albo badacza polarnego z zamierzchłych czasów, starającego się ostatkiem sił dotrzeć do bieguna. I jeżeli za badaczem polarnym powinien biec wierny pies, to Pawłyszowi też dotrzymywano towarzystwa. Co prawda lecące za nim maskary nie były tak przyjazne jak pies, ale wiernie nie opuszczały go w drodze. Maskary były nienamolne, można nawet powiedzieć, że zachowywały się bardzo uprzejmie. Grzecznie czekały, żeby wlokąca się z trudem dwunoga istota wreszcie upadła.

Kiedyś będą mieszkali tu ludzie, myślał Pawłysz. Pobudują drogi i domy.

Być może jedną z ulic nazwą imieniem „Kompasu”. Będą wieczorami po przebitych wśród

zarośli ścieżynkach przychodzić na brzeg zielonego morza, będą zachwycać się pasiastym słońcem, szmaragdową wodą, a oswojone maskary zajmą się dziećmi albo będą rozsiadać się na ramionach swych właścicieli.

Być może ludzie nauczą się zbierać zielone pajęczyny i tkąć z nich wytworne szale — puszyste i lekkie. A póki co on, Pawłysz, kuszyka po piasku i prześladowają go zupełnie nieoswojone maskary, które wcale nie wiedzą, że człowiek to pan stworzenia, i traktują go jako potencjalną kolację. Jest absolutnie sam.

Ale kto zapalił światelko? Kto czeka na wędrowca za otwartymi okiennicami? Czy ktoś życzliwy? Zdziwi się? Wystrzeli na powitanie, przeraziwszy się nieznanego? Przecież jeżeli istoty rozumne pojawiły się tu stosunkowo niedawno, to mogą się okazać rozumne w zupełnie niewystarczającym stopniu i wcale nie mieć zamiaru spieszyć z pomocą jakiemuś tam kosmonaucie.

Teraz najważniejsze — dojść. To nieważne, czy czeka tam przyjaciel czy wróg, wulkan czy krzew gorejący. Jeżeli Pawłysz pozwoli, aby opadły go wątpliwości, nie starczy mu sił. Upadnie i uszczęśliwi segmentowe maskary w sposób, na jaki sobie wcale nie zasłużyły.

A tymczasem płomyczek zbliżał się. Brzeg dość ostro skręcał w kierunku cypla, na którego końcu daleko, ale o ileż bliżej niż przedtem, świecił ogieniek. Krzaki odsuwały się od brzegu przedzielone niewysokim skalistym garbem — grzbietem przyładka. Włączywszy na chwilę latarkę, Pawłysz zobaczył czarne skały, zębate jak ściany starej baszty. Trzeba było wyłączyć latarkę — maskary rzuciły się do światła, każde uderzenie odzywało się eksplozją bólu, który dopełzał podstępnie aż do bioder, i nawrotem mdłości.

Zrobiło się jeszcze ciemniej, obłoki zamieniały się w grubą warstwę chmur, z której zaczął padać gęsty drobny deszczyk, ściekający cienkimi strużkami po przyłbicy. Pawłyszowi zachciało się nagle poczuć na twarzy krople deszczu. Podniósł przyłbicę i odchylił głowę. Spadające na czoło krople były ciepłe i pachnące, niosły oszałamiające aromaty ziemi, pachnących traw, głębokich lasów, pełzających po bagnach egzotycznych kwiatów, szczelin wypełnionych lawą, lodowców porośniętych błękitnymi mchami, próchniejących pni, z których nocami wylatują różnokolorowe iskry...

Rozpaczliwym wysiłkiem, prawie już tracąc przytomność, porażony widziadłami, które przyniósł ciepły deszcz, zatrzasnął przyłbicę. Trzeba było sięść na piasku, oddychając głęboko odpędzić majaki, walcząc przy tym z nieodpartą potrzebą snu. Starał się sam siebie zdenerwować. Przeklinał się w żywe kamienie, wyśmiewał z siebie, naigrawał, wykrzykiwał obelżywe propozycje pod adresem otaczających go kręgiem maskar.

A potem szedł dalej. I wydawało mu się, że w ślad za nim idzie słoń. Wielki biały słoń z giętką trąbą i kłapciatymi uszami. Słoń tupał po piasku i doganiał Pawłysza. Był tworem chorej wyobraźni. Maskary były tworem chorej wyobraźni. Płomyczek też był tworem chorej wyobraźni. Tak naprawdę to nie było niczego, tylko piasek i woda. Woda była zielona i dobra. Tak miękko się na niej leży! Zanieś Pawłysza z powrotem na statek, połóż przy włazie, a Gleb Bauer, obudziwszy się z anabiotycznego snu weźmie go na ręce, odniesie do kajuty i powie: Zuch z ciebie. Sława! Bardzo daleko doszedłeś!

Potem się rozjaśniło. Szare niebo. Szorstki piasek. Skały nawisie nad wąskim pasemkiem plaży, zasłaniające światelko. I w tym momencie, walcząc z bólem i błogosławiąc go za to, że go cuci, Pawłysz oparł się o skałę, wyjął tubkę z sokiem, dopił ją. Mdlilo go jeszcze bardziej, ale w głowie przejaśniało. Pospieszył dalej, bojąc się, że znowu straci przytomność, zwariuje.

Ale słoń ciągle szedł za nim i szedł. Słyszał jego ciężkie kroki. Wydawało się, że piasek pod nim drży i ugina się.

Niepokoilo zniknięcie płomyczka. A nuż go ominie? Nie miał jednak siły, żeby wdrapać się na

skały. Nie mógł sobie uzmysłowić, ile czasu minęło od momentu, kiedy wszedł na cypel.

A słoń jest już całkiem blisko. Chucha w kark. Wystarczy, że Pawłysz obróci głowę, a widziadło zniknie, ale w żaden sposób nie potrafił się do tego zmusić. Był wykończony nie tylko fizycznie. Wszystko odmawiało posłuszeństwa — i rozum, i odczucia. Mózg stracił zdolność wchłaniania nowych wrażeń, reagowania na nie strachem czy ciekawością. I czy idący za Pawłyszem słoń był naprawdę słońciem, czy płodem wyobraźni — to już było zupełnie wszystko jedno.

Ale mimo to obejrzał się. Miał nadzieję, że niczego oprócz maszkar tam nie ma.

Słoń był. Nie słoń, żaden tam słoń. Amorficzny ogrom w całkowicie niezrozumiały sposób chybotał się za człowiekiem, dopasowując swoje ruchy do jego szybkości, pochylając się nawet w jedną stronę, jakby naśladował wleczenie za sobą zranionej nogi. Nie miał ani uszu, ani trąby. Tylko w najbardziej nieoczekiwanych miejscach wyskakiwały mu jasne wyrostki podobne do macek.

Pawłysz włączył latarkę. I wtedy opanowała go wściekłość, którą przedtem usiłował w sobie bez większego powodzenia wyzwoić. Przecież już parę kroków, niewiele metrów zostało do celu — do płonącego światła! Tak nie wolno! To ze strony planety jest nieuczciwe, po prostu nieuczciwe! To zwykłe świństwo!

Ogrom nie odchodził. Tylko w tym miejscu, gdzie promień latarki dotykał jego powłoki, tworzył się lejek, jakby światło fizycznie na tę powłokę naciskało. Przesunął promień latarki po ciele ogromu i ten z nieoczekiwaną lekkością rozdzielił się na dwie części. Przypominał teraz klepsydrę.

Człowiek wyciągnął miotacz promieni, nacisnął spust, ale promień był tylko cieniutkim pasemkiem, słabym i bezsilnym. Nawet nie dosięgnął fosforyzującego monstrum. Pawłysz wyrzucił miotacz. Był ciężki, odgniał rękę. Był też całkowicie nieprzydatny.

Pawłysz i ogrom stanęli przed sobą. Pawłysz wyłączył latarkę. Ogrom zrósł się znowu i stał się pozbawionym formy worem wielkości piętrowego domu. Jakaś nieostrożna maskara zbliżyła się do niego. Z powłoki wysunęła się macka, złapała ją i wsunęła w głąb ciała. I już nie było maskary...

— Do diabła! — powiedział Pawłysz i ogrom zakołysał się, usłyszawszy głos. — A ja i tak dojdę!

I odwrócił się do ogromu plecami, bo i cóż innego mógł zrobić? I poszedł. Deszcz bardzo głośno stukał w hełm. Dzwoniło w uszach. Ale trzeba było iść.

Ogrom następował mu na pięty. Czuł to, ale nie odwracał się. Skały rozstąpiły się. Koniec cypla. Najwyższa ze skał stała na samym końcu przyłądka. I to na niej płonął ogieniek — oślepiająco jasna latarka, umocowana na słupie. Słup miał pięć metrów i kończył się małą platformą. Na platformie, oprócz latarni, stał czarny sześcian. Miał może ze dwa metry i znajdowało się w nim urządzenie zasilające latarnię.

Nie było ani domku z otwartymi okiennicami, ani jaskini, w której płonął ogień, ani nawet działającego wulkanu. Była tylko automatyczna latarnia morska, ustawiona tu przez kogoś, kto mieszka daleko i prawdopodobnie nie kwapi się do wizyt na tej planecie.

Wyprawa straciła sens. Pawłysz wczołgał się na skałę, która dzięki Bogu miała z jednej strony łagodny spadek. Ten ostatni odcinek drogi całkowicie pozbawił go sił. Nie miał ich już skąd brać. Człowiek może pokonać wszelkie przeciwności losu, jeżeli ma przed sobą cel. Jeżeli go nie ma...

Ogrom także wspinał się po skale, trochę zresztą szybciej niż Pawłysz. I kiedy ten wreszcie dotarł do gładkiego, błyszczącego wilgocią słupa, ogrom wysunął mackę i dotknął nią nogi Pawłysza. Bolącej, zdrętwiałej nogi. Okropny ból zmuszał do krzyku. Jadowita macka musnęła ranę.

Wyszarpnął nogę, przylgnął do słupa i złapał ręką za poprzeczkę. Takie poprzeczki sterczały po dwóch stronach słupa — były drabinką, po której wspinał się opiekun latarni. Człowiekiem kierował już tylko instynkt samozachowawczy. Świadomość wyłączyła się, błysnęła jedna tylko myśl: żeby

przybył ten, kto pilnuje latarni. Potem była już tylko ciemność i eksplozja potwornego bólu, to następna macka sunęła po nodze. Przytomność wróciła mu dopiero na platformie u szczytu słupa. W jaki sposób się tam dostał — ranny i pozbawiony sił — tego w żaden sposób Pawłysz nie potrafił pojąć. Spojrzał w dół. Ogrom otulił siup i powoli pełzł do góry. Pawłysz wyciągnął nóż, przejechał nim po pierwszej macce, jaka dostała się na platformę. Macka znikła, ale na jej miejsce pojawiła się nowa. Pomagał sobie światłem latarki, które pozbawiało macki zdolności ruchu, ale było ich tak wiele, że już ze wszystkich stron włąziły na maleńką platformę, chwiejąc się nad jej brzegiem jak płatki gigantycznej chryzantemy...

Podszedł do czarnego sześcianu zasilacza, zobaczył zamknięty właz i na oślep zaczął szukać dźwigni, guzika czy czegoś takiego. Nie miał odwagi odwrócić się do sześcianu twarzą, trzeba było bowiem odcinać nożem uparte „płatki”, zatrzymywać je światłem. A płatki, wyginając się, pełzły do środka, do nóg Pawłysza. Nagle właz się otworzył. Wpadając do wnętrza Pawłysz stracił przytomność.

Otworzył oczy. Jasno płonęło światło. Leżał w niewygodnej pozie, opierając się głową o twardą ścianę pomieszczenia. Podparł się łokciem, podniósł. W otwartym włazie błyszczały krople deszczu, oświetlone promieniami latarni. Krople odrobinę drżały, jak wszystko, na co patrzy się przez pole siłowe.

Usiadł. Głowa bolała go tak, że miał ochotę odkręcić ją, odłożyć na bok i pożyć choć trochę bez głowy. Nogi już nie było. Tak to przynajmniej Pawłysz czuł. Sześcian, czarny na zewnątrz, w środku był biały i jasny, i dlatego wewnątrz wydawało się przestronne. Pod ścianami ciągnął się pulpit. Wisiała nad nim pocztówka, zwykła stereopocztówka, jaką ludzie przesyłają sobie na Nowy Rok: brzozowy zagajnik, słoneczne błyski na liściach, miękka trawa i obłoczki na bardzo niebieskim niebie. Kosmonauci w pewnej odległości od Ziemi robią się sentymentalni. I jeżeli gdzieś po drodze, na Saturnie czy Marsie, złapie ich poczta, przechowują stereopocztówki i przypinają je pinezkami na ścianach kabin.

Wszystko pozostałe było proste i jasne: pulpit łączności, zapasowy skafander na wypadek, gdyby jakiś kosmonauta w potrzebie dotarł do automatycznej latarni, pozostawionej przez zwiadowców na bezludnej planecie, szafka z lekarstwami, pojemniki z wodą i jedzeniem, broń, przenośny zasilacz.

Kiedyś na Ziemi był taki zwyczaj. Myśliwi w tajdze, opuszczając ukryty w leśnej głuszy szałas, pozostawiali w nim zapasy soli, zapalki, naboje — wszystko, co mogło się przydać błądzącemu w lesie wędrowcowi. I kosmiczne latarnie też z przyzwyczajenia nazywano szałasami.

Szumiały przyrządy, dostarczając bez przerwy informacji o temperaturze powietrza, wilgotności, ruchach tektonicznych planety. Szałas czekał na człowieka. Ochraniał go polem siłowym przed prześladowcami i nawet uchylił właz, ponieważ potrafił odróżnić człowieka od każdej innej istoty.

Najpierw Pawłysz otworzył apteczkę, odszukał środki antyseptyczne i tabletki przeciwbólowe. Zdjął skafander. Pokiwał z ubolewaniem głową, zobaczywszy, czym stała się jego własna noga. Żałował, że w szałasie nie ma kamery, żeby móc uwiecznić siny pniak, w jaki zamieniła się noga lekarza pokładowego, Pawłysza. Stracił nieco czasu, starając się doprowadzić swój organizm do jakiegoś takiego porządku.

Pokuśtykał potem do pulpitu łączności, włączył radiostację i kosmicznymi kanałami nadał sygnał SOS. Poza kolejnością. I wiedział, słyszał jak w Galaktyce zamiera łączność, jak przerywają pracę stacje radiowe planet i statków, jak radiotelegrafiści wsłuchują się w dalekie sygnały, jak w centrum kosmicznym zapalają się lampki alarmowe i obracają anteny, dostrajając się do szałasu numer taki a taki, i zupełnie Pawłyszowi nie znany statek, znajdujący się w sektorze 12, otrzymuje rozkaz natychmiastowej zmiany kursu...

Potwierdzenie nawiązania łączności przyszło bardzo szybko. Powiedziano mu nawet, jak nazywa się statek, spieszący na ratunek — „Segeża”. Na miejscu będzie za tydzień albo nieco wcześniej.

Potem Pawłysz spał. Spał sześć godzin i obudziło go Wrażenie, że czegoś nie dopilnował, nie zrobił, że trzeba coś przedsięwziąć, gdzieś się spieszyć... Zrozumiał, że dalej odpoczywać w tym wygodnym, przytulnym wnętrzu nie należy. Po prostu nie wypada. Zwłaszcza że ból nogi prawie przeszedł (choć jeszcze trochę dokucza), a w kieszeniach nowego skafandra schowane są aż trzy miotacze.

I kosmonauta powiadomił Centrum, że wraca na statek. Centrum odpowiedziało: „Zgoda!”, bo skąd mogli tam wiedzieć, że do statku jest dziesięć kilometrów piechotą. A przy tym co to jest dziesięć kilometrów dla dyspozytora Centrum, gdzie odległości mierzy się tylko w parsekach?

Zszedł po drabince. Było całkiem ciemno. Maszkary tłukły się jak ćmy o szybki latarni...

Z obrzydzeniem pomyślał, że trzeba będzie wleźć do wody, kiedy będzie omijał zdradziecką rzeczkę. Pomyślał, że „słoń” może się teraz pojawić nie sam, ale z kolegami. W sumie to były jednak drobiazgi. W każdym razie „Segeża” za tydzień albo wcześniej wyląduje na brzegu.

Kulejąc lekko szedł po sypkim piasku tuż nad zieloną wodą. Fale przynosiły na grzbietach fosforyzującą pianę i starały się dosięgnąć ciężkich buciorów człowieka. Padał drobny deszczyk, niosący majaki o lasach, łąkach i dzikich, pachnących kwiatach.

## Ucieczka

Kolec dotarł w końcu do niewielkiej platformy, oparł włócznie o skałę, przykucnął. Był zmęczony. Jeżeli wojownicy Starszego zauważą, że wyszedł ze wsi, na pewno są już w tej chwili na jego tropie.

Z platformy nie widać było pieczar ani doliny pełnej kwiatów. Morena lodowca była pusta i tylko dwie muchy szamotały się nad kamieniami, walcząc o jakieś żyjątko. W ich skrzydłach odbijał się błękit lodu. Jeżeli pogoń jest blisko, to musi przedostać się przez morenę. Innej drogi nie ma. Wojownicy będą ostrożni — doskonale wiedzą, jak świetnie Kolec radzi sobie z procą.

Słońce roztopiło już szron pokrywający skały. Szare chmury odpływały gdzieś za Góry Błękitne. Wąskie liście kolczastych krzewów otwierały się do słońca. Tam, w cieniu, kryje się Biała Śmierć strzegąca doliny. Przez zarośla przejść się nie da. Nikt nie wie, gdzie jest żółta strzała narysowana na skale. Obcy opowiadał o niej przed śmiercią.

Obcy wiedział, że rano przyjdą po niego wojownicy Starszego, żeby oddać go pod sąd bogów. Złamał prawo, próbując wydostać się z doliny i pójść nad morze, gdzie pasą się stada długonogów i wałęsają dzicy ludzie. Morze to bezkresna zielona woda. Obcy zataczał rękami krąg, żeby pokazać, jak ogromne jest morze. Do samej śmierci nie nauczył się dobrze mówić i pomagał sobie rękami. Tylko Struga i Kolec potrafili się z nim dogadać. Zawsze chciał uciec z doliny i Starszy już raz próbował go zabić, ale bogowie nie zgodzili się, nie dali znaku. Kiedy znaleziono Obcego, poharatanego przez Białą Śmierć, na Polanie Kwiatowej, Starszy udał się do świątyni. Była noc i Obcy zdążył opowiedzieć Kolcowi o żółtej strzale na skalach. A rano Starszy wrócił ze świątyni, gdzie modlił się całą noc i powiedział, że bogowie wezmą Obcego do siebie. Obcy nie mógł iść. Wojownicy ponieśli go do świątyni, położyli na ołtarzu, zerwali szmaty z ran, odrąbali ręce i nogi... Potem odrąbali głowę... Obcy umarł.

Biała Śmierć strzegła wyjścia z doliny. Myśliwi, którzy przed zmrokiem zdążyli przyjść do wsi, rzadko wracali do domów. Nocą Biała Śmierć podchodziła do samej wsi i tratowała uprawne pola. Starszy mówił, że pilnuje ona wszystkich przed muchami i długonogami. Nie trzeba nocą wychodzić z jaskiń i szałasów.

Kolec poczekał do świtu i uciekł, kiedy niebo było już szare i Biała Śmierć wracała w zarośla, na swe leże koło Kwiatowej Polany. Jeżeli Kolec znajdzie żółtą strzałę i wejdzie na skały, to wydostanie się z doliny. Tam jest kraj dzikich. I morze...

Pogoni nie było widać. Wziął włócznie i zaczął schodzić po zboczach, porośniętym rzadko drzewami. Igły drzew oplatanie były kłębkami różowej pajęczyny. Nici pajęczyny ciągnęły za sobą wielołapki, przykrywały nią kwiaty i, nie bojąc się much, wysysały sok. Ze zbocza zarośla, w których kryła się Biała Śmierć, wydawały się równe jak bagno. Kiedy nadlatywał wiatr, krzaki przebiegało srebrzyste drżenie — liście chwiały się i szeleściły. Krzaki kryły tajemnicę. Tylko duże muchy i zwierzęta żyjące w cieniu znały drogę przez zarośla. Myśliwi opowiadali, że dawniej mieszkańcy wsi podpalali krzewy i senne, przestraszone maskary wyskakiwały na światło dzienne. Wtedy było dużo mięsa. Ale od czasu, jak w zaroślach pojawiła się Biała Śmierć, myśliwi obchodzili je z

daleka.

Kolec był jeszcze młody i myśliwi nie zabierali go z sobą. Przekopywał gałęzią ziemię, w którą kobiety rzucały ziarno. Tak rozkazali bogowie. Po zimie Kolec stanie się prawdziwym mężczyzną. Wtedy być może bogowie zgodzą się, żeby został myśliwym, a Starszy wybierze mu żonę. Kolec najlepiej ze wszystkich umiał miotać kamienie z procy. Z odległości dwudziestu kroków trafiał włócznią w skórę długonoga. To była stara skóra. Długonogi rzadko przychodziły do doliny. Starszy powiedział, że jeżeli bogowie zdecydują, że Kolec zostanie myśliwym, to wybierze mu dobrą żonę. Może nawet swoją córkę? To było wielkie wyróżnienie, ale Kolec nie chciał żenić się z Chmurą. Chciał zobaczyć morze, o którym mówił Obcy, morze wielkie jak niebo, zielone i głębokie.

Muchy, zauważywszy Kolca, nadleciały znad piargu i zaczęły wirować nad głową człowieka. Kolec rzucił w nie kamieniem. Wojownicy Starszego dobrze wiedzieli, że muchy przylatują do ludzi.

Zaraz trzeba będzie skręcić do Mokrej Skały. Kolec stanął i zaczął nasłuchiwać. Gdzieś z tyłu przyturlał się kamień. Ktoś szedł po jego śladach. Kolec rzucił się w cień drzew, a wielołapki, płacząc swe pajęczynowe woreczki, uciekały w głąb krzewów. Włożył do procy okrągły kamień i czekał. Zza skały wyszła dziewczyna i stanęła, pełna niepewności. Mimo że Kolec patrzył na nią pod słońce, od razu domyślił się, że to Struga. Opuścił rękę.

— Kolec! — zawołała Struga. — Jesteś tu?

Kolec jeszcze głębiej skrył się w cień i zaczął wachać: czuł tylko jeden zapach. Za dziewczyną nikt nie szedł. Począł więc, aż Struga zrówna się z drzewami, skoczył na nią z tyłu i schwycił za włosy. Struga wiała się w jego rękach, gryzła i drapała. Trzymał ją mocno, śmiał się i powtarzał:

— Ładnie to tak chodzić po dolinie? Głupia jesteś, jakiś zwierz cię zje!

— Wiedziałam, że tu jesteś — powiedziała, wyswobodziwszy się z jego rąk. — Szłam po twoich śladach. Tu oprócz nas nikogo nie ma.

— Zostawiłem ślady?

— Do strumienia. Potem szedłeś po dnie aż do Stromej Skały. Ale wiedziałam, dokąd idziesz. Idziesz do przełęczy. Znalazłam twój ślad w Kwiatowej Dolinie. Nie bój się. Słońce jest już wysoka i nasze ślady zatrze wiatr.

— Po co przyszłaś? — zapytał Kolec, oparłszy się o pień drzewa. Wielołapki przebiegały po jego nagiej piersi, taszcząc ze sobą woreczki z nektarem.

Struga wyciągnęła rękę, zebrała garść wielołapek i otwierała torebki ze słodkim płynem. Jadła sama i częstowała Kolca.

— Zapytałam matki — powiedziała. — Jeszcze spałeś. Pytałam, czy będziesz pracował w polu. Powiedziała, że rano idziesz do strumienia po ryby. Okłamałeś matkę, ale ja się domyśliłam. Weź mnie ze sobą.

— Nie — odpowiedział Kolec. — Tam jest Biała Śmierć.

— A ja i tak ucieknę ze wsi! Starszy powiedział, że po tej nocy da mnie za żonę Skale. Skała ma już trzy żony. Jest okropny.

— To wielki myśliwy — powiedział Kolec.

— Nie chcę być żoną Skały!

Zamilkli. Po chwili Struga poprosiła:

— Weź mnie ze sobą!

— Idę drogą Obcego. Tędy jeszcze nikt nie szedł.

— Obcy był moim ojcem.

— Jesteś kobietą. Jesteś słaba. Nie umiesz rzucać włócznią.

— Będę twoją żoną.

Kolec nie odezwał się. Chciał, żeby Struga była jego żoną, ale Starszy powiedział: nie wolno! Obcy owdowiał i ożenił się z matką Kolca, kiedy jej mąż nie wrócił z polowania. I chociaż Struga i Kolec mieli inne matki i innych ojców, uważano ich za rodzeństwo. Starszy powiedział, że odda Strugę Skale. Kolec był zły na Starszego, ale nic nie mówił. Myśliwemu nie wolno sprzeciwiać się woli bogów.

— Nie boisz się bogów? — zapytał Kolec.

— Przecież uciekniemy z doliny. Za przełęczą są inni bogowie. Tak mówił ojciec.

— Jeżeli porwie mnie Biała Śmierć, Starszy każe cię zabić. — A ja się nie boję! Jestem córką Obcego! — Struga usiadła na ziemi, wyciągnęła nogi.

— Cały czas biegłam za tobą — powiedziała. — I wreszcie cię znalazłam. Mogę być myśliwym. Kolec roześmiał się.

— Kobiety rzucają ziarno w ziemię i gotują mięso. Myśliwi to mężczyźni.

— Ty sam kopiesz ziemię! — odparowała Struga. Poglądziła jego nogę. Włosy dziewczyny, ostrzyżone w świątyni w dzień pełnoletności, odrosły już i kędzierzawiły się nad uszami.

— Chciałbym, żebyś była moją żoną — odezwał się Kolec. — Ale nie wolno łamać rozkazu bogów.

— Złamałeś rozkazy, kiedy poszedłeś do przełęczu.

— Poczekaj — powiedział Kolec, podciągnął się na gałęzi, wskoczył na nią, żeby popatrzeć z góry na ścieżkę. — Mówisz za głośno. Wojownicy mogą usłyszeć.

— Jeszcze śpią. Drzwi od ich domu były zamknięte.

— Starszy wszystko słyszy. Nie śpi nigdy. Pamiętasz, jak ukradliśmy nogę podziemnego zwierzęcia i schowaliśmy ją w maleńkiej jaskini? Nikt nas wtedy nie widział.

— Tłusty Żuk nas widział. To on opowiedział Starszemu.

— Nie, Tłusty Żuk nie wiedział, gdzie jest nasza jaskinia. A on przyszedł właśnie tam.

— A potem — zaśmiała się Struga — prowadził nas po wsi, zatrzymywał się przy każdym domu, wołał wszystkich na ulicę i mówił: „Te dzieci ukradły mięso!”

— „Ukradły mięso, którego jest tak mało!”

— Aha!

— Słusznie! „Ukradły mięso, którego jest tak mało!” I bił was kijem. Ale nie płakałaś.

— Nie płakałam. A on powiedział, że teraz nie zobaczymy mięsa aż do lata. Tak rozkazali bogowie. I będziemy pracować w polu od rana do nocy. A ja tak bardzo chciałam mięsa!

— Ale ojciec dawał nam mięso. Zapomniałaś? Dawał nam to, co sam dostawał. Mówił, że nie chce, żebyśmy umarli z głodu.

— Nie mówił, tylko pokazywał rękami, jak będziemy umierać.

— Ojciec był dobry.

Struga wstała, podniosła z ziemi włócznię Kolca i zapytała:

— Idziemy do przełęczu? A może zapomniałaś?

Kolec zeskoczył z gałęzi. Obrząził się. Struga nie powinna była przypominać mężczyźnie, co do niego należy. Ale miała rację. Co za sens siedzieć na drzewie i machać nogami? W ten sposób można się tylko doczekać nieszczęścia.

Ranek kończył się. Cienie były krótsze, wiatr ucichł. Nad ciemną ścianą krzaków unosiła się para, to rośliny oddawały wodę, zmagazynowaną na długą noc. Zapach ziemi, zwierząt i roślin wzmógł się; rozliczne, pozostawione przez zwierzęta i ludzi ślady ginęły w oparach nad doliną. Najlepsza pora na polowanie — od świtu do upału — minęła. Kolec pociągnął Strugę za włosy:

— Bądź posłuszna, żono!



Wymówił słowa, które mógł powiedzieć tylko Starszy...

— Puść, boli! — roześmiała się Struga.

Szli wzdłuż zarośli, ale ani razu nie weszli w ich cień. Kolec wystraszył czerwonego węża, cisnął w niego kamieniem z procy, wąż pisnął, zakręcił się w trawie i rozpadł na dziesiątek wężyków. Między zaroślami a skałą ciągnęło się wąskie, długie na jakieś sto kroków przejście. Ale Kolec parł do przodu. Tak radził Obcy. Struga szła za nim — czuł na karku jej oddech. Czasami wyciągała rękę i dotykała jego pleców. Odtrącał jej dłoń — bał się tak samo jak dziewczyna. Jeżeli nagle z krzaków ktoś wyskoczy, nie będzie gdzie uciekać. Trzy kroki — i skała...

Potem zostały dwa kroki. Potem nastąpiła chwila, kiedy można było rozłożyć ręce i dotknąć prawą ręką krzaków, a lewą chłodnej, mokrej skały. Po skale ciekła woda i jej zimne krople padały na skórę. Tu było zimniej niż pod drzewami. Kolec zamarł. Parę kroków przed nim krzewy sięgały aż do skał.

— To tu — powiedział cicho.

— Tu nie ma drogi — zauważyła Struga. — Nie pomyliłeś się?

— Obcy powiedział: „Tam gdzie krzaki i skała będą razem, biegnij naprzód!”

— Tędy jeszcze nikt nie chodził.

— Chodził twój ojciec. Był wielkim myśliwym.

Kolec wetknął włócznię w zarośla. Gałązki cofnęły się, jakby były żywe, i skuliły igły. Rozsunął je i ruszył do przodu. Struga trzymała go za przepaskę na biodrach. Kolec odgarniał włócznią gałęzie i przeciskał się między nimi do skały. Gałęzie szeleściły, było ciemno. Nagle coś zaszeleściło.

Struga krzyknęła przerażona. Kolec rzucił się do przodu, gałęzie chwyciły go haczykami igieł, zaniepokojeni mieszkańcy ciemności piszczeły, warczeły i posykiwały.

Kolec biegł zmrużywszy oczy, i nie on, ale Struga pierwsza zrozumiała, że już opuścili dolinę. Zarośla zrzędyły i uciekinierzy znaleźli się w szerokiej rozpadlinie, której dno wyściełały drobne kamyczki, a skały po bokach, ciemne, pokryte porostami, tworzyły dach nad głowami zbiegów.

Kolec odetchnął. Struga zerwała pęk ziół i wycierała nim krew z twarzy i piersi. Poganiał ją.

— Jeżeli obudzimy Białą Śmierć, to łatwo nas tu dopadnie. Chodźmy do żółtej strzały.

— Boli mnie — poskarżyła się.

— To zostań tu. Albo wracaj. Idź do wsi.

— Nie mogę. Oddadzą mnie bogom.

Nie tracił czasu na rozmowy z dziewczyną. Szybko poszedł naprzód, nie spuszczać wzroku ze skały po lewej stronie. Na niej powinna być żółta strzała.

Struga pałętała mu się za plecami, pochlipywała i przeklinała towarzysza. Nagle za plecami wędrowców rozległ się świst.

— Biała Śmierć — krzyknął Kolec. — Zbudziliśmy ją! Nie oglądaj się!

Mimo to Struga obejrzała się. Krzaki szeleściły, kołysały się zupełnie jakby chciały wypluć coś bardzo dużego. Między gałęziami błyskały jasne plamy i w żaden sposób nie można było określić wielkości i wyglądu Białej Śmierci.

Kolec pędził naprzód. Rozpadlina kończyła się, widać już było kawałek nieba i chmury. Skały rozstały się nagle i uciekinierzy znaleźli się na skraju urwiska. Urwisko stromo schodziło w dół, gdzie wśród zielonej łąki wiła się rzeka. Rzeka płynęła do morza, spowitego teraz gęstą mgłą.

Przeciągały świst i szczęk przybliżał się. Biała Śmierć dopędzała ich. Kolec odwrócił się i zobaczył, że Biała Śmierć nie miała oczu, paszczy ani nóg. Bezkształtna biała masa przewalała się z boku na bok jak ciasto, wystawiając krótkie macki i próbując dosięgnąć nimi zbiegów.

— Strzała! — wykrzyknął Kolec.

Niewielka żółta strzała skierowana skośnie w górę wskazywała na półkę skalną, wąską i prawie niewidoczną z dołu rozpadliny.

Kolec chwycił Strugę jak wiązkę drzewa i wrzucił ją na półkę. Dziewczyna przyłgnęła do kamienia, podciągnęła się i zniknęła za skałą. I stamtąd wyciągnęła rękę, żeby pomóc chłopakowi wspiąć się na gzyms. Kolec wsparł się na włóczni, palce bosych stóp wbił w szorstki kamień. Struga, nie opuszczając ręki, cofnęła się.

Jedna z białych macek pełzła po półce. Kolec dźgnął ją włócznią i natychmiast zniknęła.

Zbiegowie stali, przyłgnąwszy plecami do skały i milczeli. Gzyms stopniowo rozszerzał się i obniżał, prowadząc do rzeki. Nadlatujący znad morza wiatr miękko owiewał twarze, jakby bał się, że osłabieni wędrówką i straszliwym spotkaniem zemdleją i spadną w dół.

Przeszli kawałek po półce, przysiedli w miejscu, gdzie się rozszerzała.

Mgła rozpraszała się i teraz niebo, które widziane z góry wydawało się takie ogromne, miało już granice. Rzeka wlewała się do nieba, rozdzielona na wiele strumyczków.

— Morze — powiedział Kolec. — Obcy mówił, że morze to siostra nieba. Teraz już nikt nas nie dogoni.

Półka prowadziła w dół, do doliny rzeki, gdzie rosły różowe, słodko pachnące drzewa. Stado długonogów pasło się pod jednym z nich. Kolec nigdy nie widział tylu długonogów razem.

— Mięso — powiedział. — Dużo mięsa.

Usłyszeli szczękanie Białej Śmierci. Potwór, rozpląszczywszy się na ścianie, sięgał już półki i powoli pełzł naprzód. Kolec chciał się rzucić na niego, ale Struga wczepiła mu się w rękę.

— Nie waż się! — krzyczała. — Uciekniemy! Białej Śmierci nie da się zabić!

Kolec ustąpił.

— Biegnijmy!

Pognali w dół, łapiąc się za wystające kamienie, przeskakując szczeliny. Nie wiadomo skąd przyplątały się ogromne muchy, zwabione zapachem ludzi. Wirowały nad głowami, przeszkadzały w biegu. Biała Śmierć została w tyle. Przelewała się po gzymsie, wciąż zmieniając formę. Wspinała się powoli, ale uparcie. Przecież wiedziała, że ludziom nigdy nie udaje się przed nią uciec.

Półka zamieniła się teraz w piarg. Między występami skał rosły krzaczki i żółte fosforyzujące kwiaty. Długonogi spostrzegły ludzi i rzuciły się na przełaj do ucieczki, podnosząc wysoko tłuste zady. Z piargu widać było skałę, z której zeszli. Ciągnęła się od morza do Niebieskich Gór i rozpadlina, z której wyszli Kolec i Struga, wydawała się z tej odległości czarną szparką, jakby ktoś wbił w skałę ostry topór. Na środku skały widać było czarną plamę.

— Dojdziemy do rzeki — powiedział Kolec — i wejdziemy do wody. Biała Śmierć nie umie pływać.

— Skąd wiesz?

— Tak mówił Obcy. Kiedy jeszcze był w tamtym plemienu, myśliwi ratowali się przed nocnymi zwierzętami wchodząc do wody. Potem znajdziemy to miejsce, w którym można przejść przez rzekę. Obcy mówił, że jest takie miejsce.

— Nie umiem pływać — powiedziała Struga.

— Ja też nie umiem. W naszym plemienu nikt nie umie pływać. Ale uciekliśmy i nikt nas nie złapał. Nawet Biała Śmierć. Jestem prawdziwym myśliwym. Będziesz moją żoną, a potem z nowym plemiem wrócę do wsi i zabiję Starszego.

— Jesteś prawdziwym myśliwym — zgodziła się Struga. — Ale chodźmy szybciej do wody. Patrz, Biała Śmierć jest tuż, tuż!

Biała Śmierć dotarwszy do szerszego miejsca półki pełzła energicznie naprzód. Z urwiska stoczyła

się jak wielka kula, wysuwając przed siebie — żeby nie spaść — krótkie, grube macki.

Ale uciekinierzy przeszli tylko kilka kroków. Musieli stanąć. Dołem szli ludzie.

— To myśliwi — powiedział Kolec. — Chodźmy do nich. To myśliwi z plemienia Obcego. Nic nam nie zrobią.

— Stój! — zatrzymała go Struga. — Połóż się w trawie, dopóki nas nie zauważyli. Widzisz, jakie mają włócznie?

Kolec padł w trawę i ostrożnie wyjrzał zza kamienia. Ludzie, idący wzdłuż rzeki, mieli włócznie rozdwojone na końcach, żeby móc szarpać mięso i żeby rana była głęboka i śmiertelna. Taką włócznią trudno zabić zwierzę. Nawet długonóg może przed nią uciec. Taką włócznią poluje się tylko na ludzi. To byli wojownicy Starszego...

Kolec w rozpaczy rzucił się na ziemię. Gryzł palce, walił po kamieniach pięściami. Wściekłość i strach odebrały mu rozum.

— To duchy! — krzyczał. — To duchy wojowników! Przecież nie mogli wyjść z doliny!

— Cicho! — błagała go Struga. — Cicho, bo usłyszą! Ale Kolec już się poderwał i rzucił w stronę wojowników. Ogarnęło go szaleństwo, jakie opanowuje każdego mężczyznę plemienia, gdy czuje zbliżającą się śmierć.

Struga próbowała go zatrzymać. Potykając się, biegła za Kolcem, krzyczała, płakała... A z tyłu, wciąż bliżej i bliżej, słychać było pomlaskiwanie Białej Śmierci.

Wojownicy już dostrzegli młodzieńca i, utworzywszy półkole, czekali, kiedy się zbliży, żeby móc uderzyć pewnie i skutecznie. Struga zobaczyła, że trzymają sieć, uplecioną z błękitnej trzciny i rozumiała, że chcąc wziąć Kolca żywcem, żeby go przynieść bogom na ofiarę, tak jak zrobili z jej ojcem.

Nie zauważyła, kiedy znalazła się w cieniu. Dopiero palące dotknięcie macki Białej Śmierci zmusiło ją do krzyku. Skoczyła do przodu...

Biegnący młodzieniec usłyszał jej krzyk i przystanął. Od myśliwych dzieliło go kilkadziesiąt kroków. Zobaczył, że Struga pędzi w jego stronę, a biały ogrom następuje jej na pięty. Macki prawie dotykały pleców dziewczyny.

I nagle z Kolcem stało się coś dziwnego. Szaleństwo opuściło jego umysł. W głowie przejaśniło się, poczuł przyływ siły. Rzucił się ku Strudze, wzdłuż łańcucha wojowników, tak żeby go ominąć. Udało się! Chwycił dziewczynę za rękę i pociągnął za sobą. Zaskoczeni wojownicy zamarli, a Biała Śmierć nie zdążyła zmienić kierunku i potoczyła się do przodu.

Ludzie Starszego zrozumieli, że ofiara może im umknąć, i pospieszyli za Kolcem, trzymając się blisko brzegu, żeby nie wpaść na Białą Śmierć. Monstrum wyciągnęło macki i poturlało się za uciekającymi. W końcu któryś z prześladowców dopadłby dziewczynę i chłopca.

Szybsza okazała się Biała Śmierć. Dogoniła zbiegów przy niewielkim stromym wzgórku, na który Kolec wciągnął osłabłą towarzyszkę. Biała kula rozpląnęła się po trawie i otoczyła wzgórek. Groźna ciecz powoli wpełzała na wzniesienie i wojownicy zatrzymali się, obserwując, jak plama zieleni pod nogami uciekinierów maleje, jak rozpaczliwie Kolec dźga włócznią białe macki.

Nagle zza dużego drzewa wyszedł jeszcze jeden świadek tej sceny. Nie należał do żadnego plemienia. Był wyższy i szczuplejszy od wszystkich ludzi. Miał wielką błyszczącą głowę, błoniastą trąbę, garb na plecach i był bardzo dziwnie ubrany. Podniósł rękę z krótką błyszczącą pałką, z pałki bluznęła oślepiająca struga, dosięgła białego pierścienia i pierścień zaczął czernieć, kurczyć się, chowając macki, ten człowiek czy bóg tak długo palił Białą Śmierć, aż jej resztki, zwęglone i martwe, opadły ze wzgórka i rozsypały się w popiół u jego podnóża.

Wtedy Kolec puścił Strugę, która osunęła się na trawę, a sam ukląkł i zakrył oczy rękami.



## Gość

Cisza prześladowała go aż do samego statku. Wydawało się, że z nastaniem nocy wszystkie maskary ukryły się w norach, albo zapadły w ciężki sen. A może dotarły do nich słuchy, że taki jeden człowiek na brzegu czuje się silny, bezpieczny i niezwyciężony? Wszystko to nie tylko dzięki nowemu skafandrowi, w którym nie groził niedostatek tlenu i wobec którego bezsilne były szpony mieszkańców morza, ale i dzięki temu, że miał świadomość zwycięstwa. Niedawna wyprawa do światelka stała się czymś w rodzaju bólu zęba, który się przeżyło, można go sobie jeszcze wyobrazić, ale odtworzyć go już się, dzięki Bogu, nie da.

Nie ustępował jednak niepokój o losy statku. Rósł z każdym krokiem, z każdą sekundą. Wyobraźnia malowała obraz nieznanego potwora, który spokojnie rozbiera barykadę, chałupniczymi metodami wzniesioną przez Pawłysza w luku „Kompasu”.

Cisza była złowieszcza. Niewysokie, leniwe fale pojawiały się nad czarną powierzchnią morza i rozpląwały fosforyzującą plamą na piasku. O długim dniu przypominał już tylko wąski zielony pas nad horyzontem, ale światło, pozwalające dostrzec pasmo plaży i ścianę krzewów na wydmach, nie było światłem dopalającego się zachodu, ale lśnieniem miedzianego księżyca, który podniósł się i zalał noc odblaskiem dalekiego pożaru.

Światelko zostało daleko w tyle. Migąło pewnie i równomiernie. Napawało optymizmem. Optymizm ten obejmował też daleką przyszłość, która w żadnej mierze nie zależała od Pawłysza. Od niego tylko zależało bezpieczeństwo statku przez najbliższe dni. Gwiazdy odbijały się w kałużach, jakie pozostawił przypływ, i świetliste pasmo piany oddzielało piasek od morza. Szło się cudownie lekko. Gładki piasek skrzypiał pod stopami.

W końcu Pawłysz zobaczył „Kompas” rysujący się czarną plamą na gwiazdzistym niebie. Włączył latarkę hełmową na pełną moc i krążek światła odbił się od stalowego korpusu. Obszedł stertę nadwęglonych krzewów i spalonych maszkar — resztki swego nieudanego ogniska. Wydawało się, że to wszystko działo się strasznie dawno temu: i pierwsze błyski latarni, i rozpaczliwe wysiłki, mające zwrócić uwagę mieszkańców dalekiego szafasu.

Chałupnicza barykada stała na swoim miejscu.

W służbie Pawłysz włączył oświetlenie awaryjne i aparaty tłoczące powietrze. Statek ratowniczy przybędzie za sześć dni i można sobie pozwolić na komfort życia w świetle i bez skafandra.

Zakręcił pokrywę wjazdu i przysłuchiwał się świstowi powietrza, które wesoło wdzierało się do przedziału, jakby już było znudzone zamknięciem w ciemnym zbiorniku. Można było zdjąć maskę. Zwykle zapachy, które zostają w statku długo po tym, jak opuści go ostatni człowiek, otaczały doktora, jakby ciesząc się z powrotu gospodarza.

Prysznic nie działał. Pawłysz zrzucił skafander i wyszedł na korytarz. Lamy świeciły połową mocy. Jeszcze przed miesiącem uważałby, że jest tu ciemno i nieprzytulnie, ale po długiej wędrówce przez mrok korytarz wydał się lekarzowi jasny i pełen wesołych światel, jak wypełniona odświętną publicznością sala teatru. Wszystko było w porządku. Zaraz otworzą się drzwi, wejdzie kapitan i zapyta: „Gdzie pan był tak długo, doktorze?”

Ale kapitan nie wyszedł. Był martwy. Pawłysz doszedł do końca korytarza i przed zajrzeniem do komory anabiotycznej obejrzał się, chcąc przywołać przyjemne wrażenie, że nie jest sam.

Jakiś człowiek wyrzął zza rogu i, zauważywszy Pawłysza, schował się. Lekarz pokładowy przyjął zjawienie się człowieka jako dalszy ciąg zabawy w żywy statek. Ale już zadziałały wewnętrzne systemy ostrzegające: Pawłysz, jesteś na statku sam! Tu nie może być nikogo więcej. To halucynacja.

— To halucynacja! — powiedział głośno Pawłysz, chcąc w ten sposób rozwiać widzenie, unicestwić pamięć o nim. Zdecydował, że musi wziąć się w garść. W twarzy człowieka kryjącego się za rogiem było coś dziwnego. Nie należał do załogi statku: ani do żywych, ani do martwych. Nie przypominał też nikogo z ziemskich znajomych Pawłysza. Był obcy. Wysoki czy niski, kobieta czy mężczyzna, tego Pawłysz nie zdążył zauważyć. Ale był przekonany, że nigdy tego człowieka nie widział.

Halucynacja halucynacją, ale trzeba wszystko sprawdzić. Żałował, że zostawił miotacz promieni w kieszeni skafandra. Posuwał się po korytarzu powoli, gotów w każdej chwili przylgnąć do ściany albo ukryć się w którejś z kajut. Zrobiło mu się strasznie, może dlatego, że najgorsze było już poza nim, i nowe, tak nagle pojawiające się niebezpieczeństwo wpędziło go w panikę. Skradając się po korytarzu, Pawłysz złapał się na tym, że błaga przybysza, aby okazał się tworem wyobraźni.

Za rogiem nie było nikogo. Luk śluzy był zamknięty i lampa pod sufitem lekko mrugała, jakby nieco się z Pawłysza naigrawała. Jeżeli ktoś kryje się w pobliżu, powinien usłyszeć jego kroki, jego oddech. Cisza martwego statku była prawie nie do wytrzymania, taka ciężka i hucząca w uszach.

Postawszy z pięć minut, uwierzył, że jest na statku sam. Nerwy zawodziły. W końcu trzeba się o wszystkim dokładnie przekonać. Pawłysz wziął z szafki maskę, włożył na plecy butlę z tlenem i wszedł do śluzy. Tu także było pusto.

Otworzył luk. W ciemności słyszał szum morza. I tylko na wszelki wypadek włączył ręczną latarkę i powiódł światłem po piasku — nikogo tam nie było. Morze też było puste. Zaświecił w krzaki. Promień latarki wydobył z ciemności sylwetkę człowieka biegnącego po sypkim piasku. Sylwetka ta na moment zamarła, rzuciła się w bok, żeby uciec przed światłem i zniknęła w zaroślach. Krzaki nie przeszkodziły gościowi ukryć się w swej głębinie.

To znaczy, że nie była to halucynacja. Przybysz istniał, mieszkał na tej planecie.

Pawłysz jeszcze przez chwilę oświetlał miejsce, w którym zniknął człowiek, potem zgasił latarkę i wrócił na statek. Znowu opanował go lęk. Nocny gość mógł dobrać się do komory anabiotycznej.

Rzucił się w korytarz, zapomniawszy zdjąć maskę i odłożyć na miejsce latarkę. Drzwi od przedziału anabiotycznego były zamknięte, ale mimo to uspokoił się dopiero wtedy, kiedy zobaczył wskazania przyrządów. Pracowały normalnie. Rezerwowa załoga spała. Nocny gość nie dotarł tutaj...

Obszedł cały statek, zaglądał do przedziałów i ładowni, brodząc wśród rozbitej aparatury i poskręcanych przepierzeń. Wydało mu się nagle, że otworzył się luk ładowniczy, i stracił ze dwadzieścia minut, zanim się przekonał, że luk zablokowało tak dokładnie, iż bez pomocy lasera nie da się go otworzyć.

Ale mimo wszystko nie mógł się uspokoić. Wrócił do śluzy, włożył skafander, wziął miotacz i wyszedł na zewnątrz. Powoli przeszedł tę samą drogę, co nocny gość, starając się odtworzyć jego ślady. Wpatrując się w piasek doszedł do samych krzewów. Ale ani śladów, ani prześwitu w ścianie zarośli, w którym mógłby skryć się człowiek, nie odnalazł.

Nim położył się spać, zabarykadował włązy i wzmocnił światło. Odechciało mu się jeść. Długo nie mógł zasnąć, wsłuchując się w dźwięki dochodzące zza zamkniętych drzwi. Było zupełnie cicho. I

tak usnął, trzymając pod poduszką rękę z miotaczem.

Ręka w nocy ścierpła i śniły mu się koszmary. Szedł i szedł po brzegu, tonął, a przed nim, oglądając się za siebie, szedł nocny gość, rozplływając się w czarnej pustce.

Przespał dwanaście godzin i obudził się całkiem rześki. W końcu to nic dziwnego, że na planecie żyją jej gospodarze. Być może chodzą jeszcze w skórach i nie budują miast. Dlatego zwiadowcy ich nie odnaleźli. Czy są istotami rozumnymi, czy mają dopiero takie ambicje? W każdym razie są ciekawi i trudno mieć o to do nich pretensje.

Leżał i przysłuchiwał się szmerom. Potem westchnął i sam sobie powiedział:

„Dzień dobry!” Pozostało jeszcze spędzić sześć dni w całkowitej samotności. Problem przeżycia, uratowania kolegów, perspektywa powolnej śmierci — wszystko to już było poza nim. A sześć dni to długo, i głupio byłoby spędzić ten czas leżąc do góry brzuchem na koi i po raz czwarty czytając piąty tom Kluczewskiego. Potem znajomi będą pytać: a co ty, Sławka, robił, kiedy wróciłeś na statek? Mógłby niby odpowiedzieć, że spał. Znajomi uśmiechną się, nic oczywiście nie powiedzą, ale pomyślą: „Idiota. Trafić na nieznaną planetę i przespać sześć dni z rzędu. To do niego podobne”. Brr!

Jeżeli wierzyć przewodnikom, to za trzy ziemskie doby nastąpi ranek. Wtedy trzeba będzie iść po brzegu w odwrotną stronę niż radiolatarnia. Gdzieś tam powinno być przejście między krzewami i można będzie zajrzeć do środka, popatrzeć, gdzie i jak żyje nocny gość.

Doszedłszy do takiego wniosku, Pawłysz, żeby nie tracić czasu, wy dostał się na zewnątrz, wygrzebał z kupy drewna jako tako zachowane ciało latającej maskary i zawlókł je do laboratorium. Drzwi od komory anabiotycznej zamknął na głucho, tak że gdyby lekarz zaraził się jakąś miejscową chorobą, to żaden wirus nie przedostanie się do wanien. W laboratorium trzeba się było nieźle namęczyć, nim w kupie złomu udało się odnaleźć i skompletować jakieś instrumenty.

Od szkolnych czasów nie preparował Pawłysz zwierząt bez mikroskopu, w świetle mdłej, żółtej lampki, używając zamiast szkiełek przedmiotowych den od kolb i szklanek. Z rozkoszą przeklinając prymitywne warunki pracy wypreparował kilka maszkar. Miał co robić. Wyłowił z morza za pomocą światła latarki trzy drobne morskie stworki, znalazł w ładowni pojemnik ze spirytusem, przeniósł z kambuza rondle i patelnie, zamienił laboratorium w nader niechlujne muzeum osobliwości, dorobił się na dłoniach kilku odcisków i pęcherzy, i pod koniec trzeciego dnia był już pierwszym specjalistą od biologii planety. Co prawda, wyspecjalizował się w niższych formach życia, których budowa dawała podstawy do przypuszczenia, że ewolucja zaszła już tu całkiem daleko. Rano, przy świetle, będzie można poszerzać swoją wiedzę do upojenia...

Najbardziej interesujące niespodzianki kryły w sobie zarośla. Okazało się, że są to nie tylko rośliny, ale i zwierzęta. Wszystko to było rezultatem symbiozy roślin z prostymi żyjątkami zamieszkującymi źdźbła tych roślin. Organizmy te były czymś w rodzaju mrówek i to właśnie one zmuszały gałęzie do bronięcia się przed próbami przeniknięcia do wnętrza krzewów obcych ciał.. Całość stanowiła jeden spójny system.

Pawłysz długo próbował rozwiązać problem, jak zmusić krzaki, żeby rozstały się przed nim, ale trzeba się było z tą myślą pożegnać — na horyzoncie pojawił się jaśniejący pas. Zbliżał się świt. Trzeba było zacząć przygotowania do wielkiej operacji pod kryptonimem „Robinson udaje się na wyspę”.

Tym razem Pawłysz wykazał taką pomysłowość, że skreśliłoby z zazdrości neandertalczyka, wychodzącego z jaskini na trzymiesięczne polowanie i zostawiającego w owej jaskini — w sąsiedztwie bardzo, bardzo dzikich zwierząt — ukochaną żonę z dziecieniem.

Kiedy wreszcie zamknął luk i przypomniał sobie, że nie wziął noża, to zwalczyć pozostawione przez siebie pułapki i zapory udało mu się dopiero po półgodzinie. I to tylko dlatego, że wpadł w

czarną rozpacz i wystrzelił w ten cały majdan z miotacza. Potem oczywiście całą zabawę z zamykaniem luku musiał zaczynać od nowa. W rezultacie Pawłysz opuścił miejsce postoju statku, kiedy słońce stanęło już na granicy wody i piasku, przedzierając się przez strzępy obłoków. I znowu, jak wieczorem, trzeba było iść na spotkanie słońca, tyle że w przeciwnym kierunku.

Tym razem wyekwipował się starannie. Niestraszne mu były zwierzęta i przeciwności losu. Na plecach zwiślały butle z zapasem powietrza na trzy doby. Przy boku miotacz, przy drugim myśliwski nóż przerobiony metodami chałupniczymi z noża kuchennego. Niósł nawet ze sobą nadmuchiwany śpiwór, bo a nuż przyjdzie przenocować w drodze?

Po jakichś trzech godzinach, kiedy słońce roztopiło szron na krzakach, kiedy wiatr szumiał wśród zarośli i obracał liście na srebrzystą stronę, Pawłysz zobaczył szeroką rzekę, która rozdzielona na wiele strumyków wlewała się w morze, przebijając przy tym ścianę krzewów. Brzeg był błotnisty i elastycznie ugiął się pod nogami. Krótkie ostre źdźbła z błękitnymi wianuszkami kolców wczepiały się w buty, a z trawy pryskały w różnych kierunkach latające stworzonka. Z zarośli wyskoczyły przestraszone maskary, pokrażyły nad Pawłyszem i z powrotem ukryły się w krzakach. Brzeg zrobił się wyższy, bardziej suchy, krzewy rozstały się i znalazł się na skraju szerokiej doliny.

Z jednej strony dolina była ograniczona morzem, z drugiej skalistym urwiskiem. Rzeka skręcała jakieś trzy kilometry od ujścia i płynęła w dół doliny, dzieląc ją na dwa długie, zielone pasma.

Doszedł do zakrętu rzeki. Prąd był tu szybszy, w czystej wodzie widać było niewielkie otoczaki i długie nici wodorostów. Krótkie pomarańczowe robaczki miały się jakby skacząc przez niewidzialne skakania, i przed wejściem do wody Pawłysz na wszelki wypadek rzucił w nią kamieniem, odganiając rozbawione robaczki od brodu.

Szybki prąd przeszkadzał iść, woda zbijiała z nóg, szumiała i warczała... Dzienny świat planety bardzo się Pawłyszowi spodobał. Wielki ptak z długim giętym ogonem zatoczył nad nim krąg, runął w dół i podniósł się z wody, trzymając w dziobie jakieś wodne zwierzątko.

W najgłębszym miejscu woda sięgała Pawłyszowi do pasa. Prąd omal nie zniósł go na głębinę, ale brzeg wyraźnie się tu wznosił i Pawłysz, otrząsając wodę ze skafandra, wy dostał się na trawę i podszedł do wielkiego, pokrytego różowym listowiem drzewa. Z bliska okazało się, że to nie liście, ale utkane z pajęczyny woreczki, które dźwigały przemieszczające się z gałęzi na gałąź gąsienice. Zobaczywszy Pawłysza gąsienice zaczęły go straszyć podnosząc głowy i szeleszcząc przednimi nóżkami.

Nie opodal pasło się stado dziwnie wyglądających zwierząt. Kilka par cienkich nóg niosło tłuste, podobne do bukłaków ciała. Zamiast głowy z bukłaków sterczały niewielkie trąby. Z wierzchu bukłaki były ozdobione ostrymi kolcami. Zwierzęta żwawo wrywały trąbkami trawę i wsuwały ją pod brzuch. Widocznie tam była paszcza. Pawłysz wyciągnął kamerę i przez parę minut fotografował życie doliny, zmusił się nawet do powrotu pod różowe drzewo z obrzydliwymi gąsienicami, które nader się denerwowały i sprawiały wrażenie, że zaraz zaczną mu skakać do twarzy.

Na koniec zrobił zdjęcie skalistej ściany. Coś świeżącego i okrągłego wspinało się po urwisku. Maksymalnie przedłużył ogniskową obiektywu i wtedy w celowniku kamery ukazało się wyraźnie białe, bezkształtne cielsko. Znał to cielsko. To był ten sam biały „słoń”, który omal nie zabił go wtedy nocą przy latarni. Lepiej być ostrożnym. Okazuje się, że różne gadziny wylażą ze swych nor także i w dzień.

Przejechał kamerą po urwisku i w dole trafiły mu w obiektyw jeszcze dwie istoty. Znacznie ustępowały rozmiarami „słoniowi” i poruszały się na dwóch nogach. Biegły po tej samej półce, co i „słoń”, wyraźnie uciekając przed prześladowcą.

— Witajcie! — powiedział głośno Pawłysz. — No i spotkaliśmy się, moi nocni goście! W razie



czego możecie na mnie liczyć!

Przeniósł się na wierzchołek niewielkiego wzgórza, gdzie rośło drzewo bez pajęczyny i gąsienic. Był to znakomity punkt obserwacyjny. Należało tylko czekać na dalszy rozwój wydarzeń. Na razie biały „słoń” nie dopadł jeszcze uciekających. Mieli szansę ukryć się. Jeżeli uda im się to bez pomocy z zewnątrz, tym lepiej. Zawsze to zdrowiej nie mieszać się w cudze sprawy.

Jaką ma gwarancję, że na tej planecie rozumna forma życia to właśnie nie białe „słonie”? Być może za Pawłyszem pędził jakiś stróż morskiego brzegu albo wielbiciel księżycowego światła, który uznał wędrowca za niespodziewany prezent czy dwunogą małpę, stanowiącą wyszukany przysmak w wyższych słoniowych sferach?

Uciekinierzy zeszli w dolinę, zatrzymali się i rozpoczęli naradę. W ręce jednego z nich Pawłysz zauważył długi kij czy włócznię. To przemawiało na korzyść hipotezy, że rozumne są właśnie dwunogi.

Dwunogi skierowały się ku rzece. Szły powoli, nie widząc, jak „słoń”, minawszy półkę, wciągnął macki i poturlał się po urwisku, zupełnie jak miękka piłka. Z każdą sekundą odległość między nim a dwunogami zmniejszała się. Ręka Pawłysza sama powędrowała do miotacza.

W tym momencie jedna z dwunogich istot zauważyła przybliżanie się „słonia” i ostrzegawczo krzyknęła. Podbiegły do rzeki. Zatrzymały się. Coś musiały zobaczyć.

Pawłysz opuścił miotacz i skierował wzrok w tym samym kierunku;

Zobaczył, że w dół rzeki idą inne dwunogi. Było ich sześć. Wszystkie uzbrojone we włocznie, podobne do ogromnych widelców.

Przenosząc wzrok na znaną już sobie dwójkę zobaczył, że gwałtownie skryła się w trawie.

— Aha! — powiedział — wrogie plemiona. I nasi są w mniejszości. Sytuacja się zaostrza. Z tyłu „słoń”, z przodu rywale. No i co my z tym fantem zrobimy?

Jeden z dwunogów (Pawłysz jak kibic na stadionie podzielił obecnych na drużyny i wybrał sobie tę, której zamierzał kibicować) rzucił się na trawę i walił pięściami po kamieniach. Jego towarzysz miotał się obok. Pierwszy zerwał się, złapał włócznię i rzucił się na szóstkę wrogów.

— Zupełnie jak starożytny wiking, który wpadł w bojowy amok — skomentował to Pawłysz. Bardzo mu było żal śmiałka, który szedł na pewną śmierć. Drugie stworzenie pognało za wikingiem.

Szóstka wrogów bez zbędnego pośpiechu rozsypała się w półkole i zaczęła schodzić na dół tak, aby otoczyć pędzącego chłopaka. Jeden z nich rozwinął niewielką sieć.

Zarzucać sieć, pomyślał Pawłysz, i przebiją włóczniami. Chyba należy już wkroczyć i oznajmić: Jestem waszym nowym bogiem. Kończcie z tym przelewem krwi!

Nie zdążył jednak zrealizować swego zamiaru. Wiking nagle zmarł, potem zawrócił, jakby zapomniał o wrogiej szóstce, i pognał w stronę towarzysza, którego już—już miała dopaść Biała Śmierć.

— Mam już pełną jasność, kto tu jest rozumny, a kto nie — skonstatował Pawłysz. — Włocznie i sieci są argumentami samymi w sobie, a to, że spieszysz na pomoc przyjacielowi, gdy znalazł się w biedzie, świadczy na twoją korzyść.

Pierwszy uciekinier złapał towarzysza i odepchnął go z drogi białego „słonia”. Sześciu wrogów zatrzymało się, nie ryzykując podejścia bliżej. Zbiegowie wdrapali się na stromy wzgórek niedaleko Pawłysza. Biały „słoń” doścignął ich, rozpląnął się w rzadki kisiel i oblał sobą podnóże pagórka, powoli wznosząc się ku szczytowi.

I kiedy wyglądało na to, że nie ma ratunku, a sześciu zdrowych byków, zamiast ruszyć na pomoc, stało i obserwowało bieg wydarzeń, Pawłysz nacisnął spust i rozpalony płomień, wystrzelony z lufy miotacza, rozerwał pierścien białej masy. Nie zwalniał spustu tak długo, aż białe cielsko potwora nie

obróciło się w popiół.

Teraz już było za późno na ukrywanie się. Tym bardziej, że „swoich” dwunogich trudno zostawić na pastwę losu. Pawłysz zszedł ze wzgórka i powoli skierował się w stronę uczestników i obserwatorów tylko co zakończonej walki.

## Wieś

Pawłysz wydał się Kolcowi garbatym olbrzymem w błyszczącej odzieży, z wielką przezroczystą głową, w której jak zarodek w ikrze tkwiła druga głowa, biała z niebieskimi oczyma o dziwnych źrenicach: zupełnie jakby ktoś wrzucił okrągłe ziarno do niebieskiej kałuży. Kolec nie wiedział, czy olbrzym zabije go jak Białą Śmierć, czy zmiłuje się nad nim, upadł więc na kolana, odrzucając włócznię żeby pokazać, że jest zupełnie bezbronny.

Pawłysz także przyglądał się Kolcowi. To była dziwna, choć bardzo podobna do człowieka istota. Ciemną, niebieskawą skórę pokrywała bura sierść, gęściejsza na głowie i piersiach. Biodra były opasane przepaską, z której zwisał zwinięty w pierścień sznur. Krzywe krótkie nogi kończyły się płaskimi stopami. Wydawało się, że długie szpony rosną prosto z dłoni. Najdziwniejsze były jednak oczy — żółte źrenice przecięte czarną pionową kreską, zupełnie jak oczy kota. Czarna kreska rozszerzała się i zwężała, reagując z ogromną wrażliwością na najmniejszą nawet zmianę oświetlenia.

U nóg uratowanego leżało drugie stworzenie. Było mniejsze, delikatniejsze i okazało się, że to samiczka.

Sześciu wrogów zbliżyło się i stanęło za plecami Pawłysza. Kolec, spojrzawszy na swego wybawcę, szybkim ruchem złapał włócznię i zaczął coś trajkotać, szczerząc rzadkie kły.

Pawłysz nastawił czarną skrzynkę „lingwisty” na przyjęcie informacji. Niech sobie posłucha, oswoi się z leksyką i składnią. Wtedy będzie można się dogadać. A póki co powiedział, starając się, żeby jego słowa brzmiały przekonująco:

— Spokojnie, przyjacielu! Przy mnie cię nie ruszą. Potem zwrócił się do wojowników Starszego:

— Tylko bardzo proszę bez awantur! — i pokazał miotacz.

Wojownicy naradzili się, a potem najstarszy z nich, gęsto obrośnięty kosmatą obłazącą sierścią, zamrugał kocimi oczyma i wygłosił niewielkie przemówienie, wskazując włócznią kamienną ścianę, słońce i różne przedmioty dokoła. Przemówienia Pawłysz nie zrozumiał. Tłumacz cicho szemrał mu na piersiach, ale nie wydobyło się z niego ani jedno artykułowane słowo. Pawłysz przypuszczał, że chodzi o to, że wojownicy chętnie by się mu podporządkowali, ale poczucie obowiązku nie pozwala im wypuścić uciekinierów na wolność.

I znów stanął przed problemem. Niewykluczone, że jego dwunogi narozrabiały nieludzko w domu. Na przykład zjadły swoją jedyną ukochaną babcię i teraz grozi im za to publiczna nagana. Rozpędzisz karną ekspedycję — przyłożysz rękę do rozwoju przestępczości młodzieży na tej planecie. Choć oczywiście wchodzą w grę i inne możliwości.

W końcu wzruszył ramionami zdecydowawszy, że dalsze wydarzenia powinny potoczyć się swoim torem.

Starszy wojownik zwrócił się teraz z przemową do uciekinierów. Ci najpierw protestowali i mówca podniósł głos. W końcu Kolec (to było pierwsze słowo, jakie udało się uchwycić „lingwiście”) zwiesił głowę, uniósł zupełnie już osłabłą dziewczynę i powłókł się w stronę ściany. Odchodząc obejrzał się i, jeżeli Pawłysz dobrze rozumiał jego spojrzenie, to Kolec chciał mu

powiedzieć „Chodź z nami! Tak bardzo się boję!”

I Pawłysz ruszył w ogonie procesji.

Rysowała się przed nim pociągająca perspektywa poznania życia dwunogów. Wątpliwe, aby droga była daleka — i prześladowcy, i prześladowani wybrali się w nią bez żadnego obciążenia. Tlen jest. Wrócić zawsze zdąży. I, w ostateczności, można przyjść z pomocą żółtookiemu uciekinierowi.

Rozum na tej planecie jest w początkowym stadium rozwoju i należy wątpić, aby cena życia była tu wysoka. Zauważywszy, że Pawłysz idzie za nimi, dowódca zatrzymał się i coś powiedział.

„Lingwista” westchnął i niepewnie przełożył: „Odejdź, silny duchu!” Pawłysz pogłaskał czarną skrzynkę i pochwalił „lingwistę”:

— Zuch!

„Lingwista” (trudno orzec, na ile poprawnie) przełożył słowa Pawłysza na język aborygenów i wojownik aż się potknął ze zdziwienia, ale nic nie mówiąc, odwrócił się i pognął w pogoń za pozostałymi.

Pawłysz szedł za dowódcą krok w krok. Wojownik był od niego niższy o głowę. Przez rzadką pstrą sierść na potylicy przeświecała błękitnawa skóra. Na plecach sierść była Jaśniejsza, stroszyła się jak grzebień wzdłuż kręgosłupa. W sierści mieszkwały drobne robaczki.

Wojownicy prowadzili jeńców nie przez półkę, ale prosto na urwisko, znacznie bardziej na prawo od szczeliny. Przy skale zatrzymali się. Jeden z wojowników wspiął się szybko na drzewo i stamtąd obserwował dolinę.

— Nikogo nie ma! — wykrzyknął. — Nikt nie widzi! U stóp skały leżały głazy, które oderwały się od szczytu. Wojownicy odwalili jeden z kamieni i pod nim ukazał się czarny właz.

— Tu mieszkacie? — zapytał Pawłysz.

Wojownicy spojrzeli na niego jak na idiotę. Przybyły duch mówił od rzeczy. Kto może mieszkać w czarnej jaskini?

— Mieszkamy we wsi — powiedział Kolec.

— No i dobrze — zgodził się Pawłysz. W przyszłości należy unikać naiwnych pytań. Trzeba pamiętać, że bezpieczeństwo zależy w jakimś stopniu od jego reputacji jako ducha. Jeżeli wyda się wojownikom nieszkodliwy, to jak nic przebiją go włóczniami. Po prostu żeby nie pchał nosa w nie swoje sprawy.

Dopóki wojownicy odrzucali kamienie, żeby wygodniej było wchodzić w głąb skały, Pawłysz przyglądał im się i stwierdził, że nie są wcale podobni do nocnego gościa. Przypominał sobie, że ten biegł po piasku w kierunku krzaków wyprostowany, zupełnie nie zginając pleców. I ręce miał o wiele krótsze niż tubylcy. Może się więc okazać, że na planecie żyje kilka plemion. Przecież na Ziemi żyli równocześnie mieszkańcy Cro-Magnon i neandertalczyki.

Wojownicy ułożyli kamienie u wejścia do jaskini tak, że można było wyciągnąć leżący na samym dole, a pozostałe rozsypały się tak, że z zewnątrz nikt nie domyśliłby się istnienia jaskini. Pawłysz z szacunkiem skłonił głowę przed ich sprytem. Potem dwóch weszło do środka, pomordowało się chwilę krzesząc iskry z kamieni i wreszcie zapaliło przygotowane zawczasu pochodnie.

— Idziemy! — powiedział najważniejszy.

Przed wejściem do dziury Kolec znowu odwrócił się i, jakby odgadując wątpliwości Pawłysza, zapytał go:

— Idziesz, duchu?

Pawłysz poczuł się zobowiązany wobec chłopca, którego w jakiś sposób wziął pod swoją opiekę. I odpowiedział, w miarę możliwości zdecydowanie:

— Nic się nie bój, idź!

„Lingwista” posłusznie zaszczębiotał.

Jeden z wojowników zatrzymał się przy wejściu, schylił i wyciągnął dolny kamień. Głazy zwały się, odcinając słoneczne światło i głuszając dźwięki doliny.

Został tylko mrok, rozstępujący się przed chwiejnym migotaniem pochodni. Droga przez jaskinię była długa i monotonna. Pawłysz nie włączał latarki. W przedzie chygotały się pomarańczowe plamy pochodni. Kłęby dymu, w kolorze podobne do ścian, przysłaniały mu od czasu do czasu zgięte plecy idącego przed nim wojownika. Miał wtedy uczucie, że zamurowano go w środku góry i każdy następny krok doprowadzić może tylko do ściany. Wyciągnął nawet rękę, żeby palce, przechodząc przez obłok dymu, przegnały z mózgu fałszywy obraz.

Wojownicy znajdowali odpowiednie zakręty, trafiali do odgałęzień pieczary dzięki sobie tylko wiadomym znakom, i Pawłysz, który przez pewien czas usiłował zapamiętać drogę, szybko pojął, że jeżeli przyjdzie mu tędy wędrować samotnie, to na pewno zabłądzi.

W jednej z obszernych sal chciał sfotografować pięknie iskrzący się stalagmit. Błysnął flesz i towarzysze drogi Pawłysza padli na twarze. Może sądzili, że rozstąpiło się niebo? Trzeba było poczekać, aż przyjdą do siebie, pozbierają porzucone pochodnie. Wszyscy milczeli.

— To nic strasznego — odezwał się wreszcie Pawłysz. — Możemy iść.

— Przecież niczym cię nie obraziliśmy, duchu — powiedział z wyrzutem najważniejszy wojownik.

— Ja was też nie — uśmiechnął się Pawłysz. Ale uśmiechu nikt nie widział, a „lingwista” nie potrafił przekładać uczuć.

Podziemny chodnik zamienił się w schody. Stopnie były nierówne, trzeba było każdy z nich macać nogą i trzymać się ściany.

Procesja zatrzymała się. Koniec drogi. Przed nimi były drewniane drzwi. Pierwszy wojownik zastukał w nie końcem włóczni.

— Kto przyszedł? — rozległ się głos zza drzwi.

— Słudzy bogów — odpowiedział wojownik.

— Z czym przyszliście?

— Bogowie są zadowoleni.

Drzwi otworzyły się skrzypiąc i przez rozszerzającą się szparę rozblęskło żółte światło. Kiedy Pawłysz wszedł do środka, idący na końcu wojownik zamknął drzwi, a ten, który ich wpuścił, odsunął się pod ścianę i zapytał:

— Zawołać Starszego?

— Tak. I powiedz mu, że z uciekinierami przybył nieznany duch.

— Gdzie jest? — spytał wojownik, szukając wzrokiem Pawłysza. Pomieszczenie było oświetlone kagankami z tłuszczem, stojącymi pod ścianami. Zobaczył Pawłysza i zainteresował się:

— Skąd się wziął ten duch?

— Sam przyszedł. Nie wzywaliśmy go. Tak powiedz Starszemu. Kolec i Struga stali na środku sali, jakby oddzieleni od pozostałych niewidzialną barierą. Pawłysz wyciągnął kamerę, ale jeden z wojowników zauważył to i poprosił:

— Nie oślepiaj nas. Poczekaaj, aż przyjdzie Starszy.

Człowiek wchodzący do sali zatrzymał się na progu. Chybotliwe światło kaganków i dym pogaszonych pochodni przeszkadzały Pawłyszowi przyjrzeć mu się dokładnie. Musiał być wodzem albo czarownikiem plemienia. Głos miał wysoki i ostry. „Lingwista” przetłumaczył jego słowa:

— Uciekinierów zamknijcie. Bogowie zadecydują o ich losie. Starszy był niski, otulał się w

grubą tkaninę gestem kogoś, komu jest bardzo zimno. Kolec odwrócił się do Pawłysza i powiedział:

— Ratuj mnie, duchu!

Pawłysz ruszył do przodu i wojownicy rozstąpili się, żeby zrobić mu miejsce.

— Witaj, Wielki Duchu! — powiedział Starszy. — Wiesz, że nie możemy ich uwolnić. Decydują bogowie.

— Życie w rękach bogów — powiedział jeden z wojowników.

— Życie w rękach bogów — wymamrotali jak zakłęcie pozostali.

— Pójdiesz ze mną, Duchu? — zapytał Starszy.

— Tak — powiedział Pawłysz. — Nie chcę, żeby stała się im jakaś krzywda.

— Idziemy — zdecydował Starszy, nie ruszając się jednak z miejsca. Czekał, aż Pawłysz zbliży się do niego.

Starszy stał lekko pochylony, silny, i widać było, że ma się na baczności. Jego ciemną twarz pokrywała żółta sierść. Oczy kryły się pod wydatnymi łukami brwiowymi. Był niższy nawet od Strugi.

— Idziemy — powtórzył. Odwrócił się i minął drzwi, przekonany, że duch pójdzie za nim. Uszy Starszego przylegały do potylicy. Miały dziwny kształt, inny niż uszy pozostałych, były długie i zaostrome.

Następne pomieszczenie, małe i ciemne. Starszy ominął nie zatrzymując się. Kulał lekko na prawą nogę. Z tyłu dobiegały odgłosy kłótni.

— Kolec boi się — powiedział Starszy nie odwracając się. — Złamał prawo.

— A co on zrobił takiego? — zapytał Pawłysz. Starszy pchnął jeszcze jedne drzwi i weszli w długi korytarz. Kaganki chwiały się pod sufitem.

— Złamał prawo — wymijająco odpowiedział Starszy.

— Na czym polega jego przestępstwo? — upierał się przy swoim Pawłysz.

— Duch wie — powiedział Starszy. — Duch zna sprawy śmiertelnych.

— Przeszedłem do doliny, kiedy twoi wojownicy już go doścignęli.

— Duch wie — powtórzył Starszy.

W końcu korytarza pojawiła się plama dziennego światła. Starszy machnął ręką, spędzając z sufitu drzemiące tam maskary. Zawirowały i zniknęły w jasnym prostokącie. Pawłysz zmrużył oczy. Zaczęły mu łzawić. Podniósł przyłbicę, chcąc je otrzeć. Starszy obejrzał się. Stał u wyjścia wsparty o ścianę i obojętnie przyglądał się, co robi nieznajomy.

Wyszli na niewielki plac, gdzie widać było jeszcze trzy czarne otwory i czwarty, zamknięty drzwiami z cienkich, powiązanych sznurem bali.

Z platformy otwierał się widok na górską dolinę, ze wszystkich stron otoczoną stromymi skałami. Tu, w swej górnej części, dolina była wąska. Przeciwległe zbocze patrzyło na Pawłysza rzędem czarnych otworów jaskiń. Na dnie doliny skupiały się chałupy. Obok nich przepływał błękitny strumyk, który wpadał do niewielkiego jeziora, obrośniętego drzewami. W dolinę wbijał się język lodowca, odgradzony kamiennym piargiem, spod którego wypływał jeszcze jeden strumień, także wpadający do jeziora. Język lodowca stanowił przegrodę, za którą ledwie widoczne we mgle rysowały się zarośla, rosnące aż do zamykającego wyjście z doliny zbocza.

— Idziemy — powiedział Starszy i wskazał zamknięte drzwi.

Teraz, w świetle dziennym, wydał się Pawłyszowi mniej podobny do istoty rozumnej niż Struga i Kolec, a nawet niż wojownicy. Choć w sumie nie powinno się oceniać cudzego życia wedle własnej miary. Niewykluczone, że tutejszy geniusz bardziej jest podobny do orangutana, niż wiejski przygłup, będący być może sobowtórem człowieka.

— Znowu do jaskini? — zapytał Pawłysz, dając do zrozumienia, że wcale nie uśmiecha mu się myśl o rozstaniu ze światłem dnia.

— Tam jest mój dom — powiedział Starszy. — Nie wiesz o tym?

— Nie miałem okazji bywać.

Być może w tej dolinie duch powinien być wszechwiedzący i tym pytaniem Pawłysz mocno nadszarpnął swoją opinię?

— Pójdiesz do świątyni? — spytał Starszy. — Spieszysz się? Jeden z wojowników wyszedł z pieczary i przykucnął, grzejąc się w promieniach słońca. Starszy nie zwrócił na niego uwagi. Otworzył drzwi i poszedł pierwszy. Pawłysz ruszył za nim. W otwarte drzwi wpadało światło i wiatr przeczesywał futro na leżących na podłodze skórkach. Na środku stał duży płaski kamień, a na nim gliniane naczynie z jakąś potrawą. Pawłysz przypomniał sobie, że zgłodniał. W kącie, oparte o ścianę, stały włócznie, piętrzyły się gliniane garnczki, kaganki, rogi, gałęzie, korzenie — zupełnie jak w teatralnej rekwizytorni.

— Wiedziałem, że przyjdiesz — powiedział Starszy, usiadłszy na skórze.

— Skąd?

— Wiedziałem. Znowu uchylił się od odpowiedzi. Patrzył chytrze na Pawłysza. Wąskie źrenice zamieniły się w czarną nitkę i wydawało się, że prowadzi grę, której reguły znane są tylko jemu i duchowi, w tak banalny sposób zjawiającemu się w dolinie. Pauza przeciągała się. Starszy czekał, co powie Pawłysz. A Pawłysz nie wiedział, czy zadawać pytania, czy odejść stąd i zejść w dolinę, do chałup.

— Co chcecie z nimi zrobić? — zapytał w końcu, bacznie obserwując rozmówcę.

— Odprowadzimy do świątyni — powiedział Starszy, jakby się to samo przez się rozumiało.

— Będą żyć?

Starszy nie odpowiedział. Podniósł do ust naczynie i napił się. Pawłysza nie częstował. Pawłysz wyciągnął z kieszeni skafandra tubkę z sokiem, podniósł przyłbicę i ugasił pragnienie. Potem położył na stole pustą tubkę. Starszy patrzył na to z pewnym zainteresowaniem, ale dopiero kiedy tubka potoczyła się po stole i stuknęła w naczynie, zdziwił się. Odsunął się od stołu, popatrzył spłoszony na Pawłysza, wyciągnął długą kosmatą rękę i ostrożnie dotknął tubki, jakby oczekiwał, że ta nagle zniknie. Tubka nie zniknęła. Starszy podniósł ją do nosa, powąchał i odłożył na miejsce. Pokiwał głową.

— Zdziwiłeś się? — zapytał Pawłysz.

— Duchom wiele wolno — odparł Starszy.

— Chciałbym zejść do wsi.

— W dół?

— Tak.

— Źle ci tu?

— Nie, dobrze. Ale chcę obejrzyć wieś.

— Nie pójdziesz do świątyni?

— Pójdę. Świątynia też mnie interesuje.

Starszy znowu się zdziwił.

— Interesuje? — zapytał. Zmarszczył niskie czoło. Rozwiązywał jakiś problem. — Pójdiesz do świątyni — powiedział na koniec. — I tam będziesz czekał.

— W porządku — zgodził się Pawłysz. — A długo mam czekać?

— Nie — odpowiedział Starszy.

Tubka nie przestawała go interesować. Ręce cały czas do niej wracały, długie szpony obracały

żółtą zabawkę.

— Zabiłeś Białą Śmierć — powiedział Starszy. — Dlaczego ją zabiłeś?

— Białą Śmierć? — zdziwił się Pawłysz. — Nie wiem, o co ci chodzi?

— Tam, nad rzeką. Wojownicy mówili, że zabiłeś Białą Śmierć.

Pawłysz domyślił się, że tak tu nazywają białe „słonie”.

— Tak — odpowiedział. — Była niebezpieczna dla ludzi.

— Ale oni złamali prawo.

Boże, daj mi cierpliwość! — pomyślał Pawłysz. Rozmowa znów utknęła w martwym punkcie. Interlokutorzy ni diabła nie mogli się zrozumieć. Prawdopodobnie coś całkowicie oczywistego umknęło uwagi Pawłysza. I czuł, że Starszy wie coś, czego nie wie on sam.

— Kto z twoich ludzi przyszedł do mojego domu? — zapytał Pawłysz.

— Gdzie jest twój dom? — Na brzegu morza. Za rzeką.

— Twój dom? — zdziwił się Starszy.

— Tak, oczywiście. Przyleciałem z nieba. Mój dom jest na brzegu morza. Potem wrócę.

— Oczywiście! — powiedział Starszy.

— Kto tam chodził?

— Nikt nie opuszczał doliny.

— Nieprawda — uparł się Pawłysz.

— Nikt nie wychodził z doliny. Ten, kto wyjdzie z doliny, łamie prawo. I zabija go Biała Śmierć.

— Twoi wojownicy wyszli z doliny — powiedział Pawłysz.

— Moi wojownicy szli po śladach tego, który złamał prawo. Zaczarowany krąg. Nikomu nie wolno, ale wojownikom wolno, dlatego, że nikomu nie wolno.

— Chodźmy! — powiedział Starszy. — Idziemy do świątyni. Wyszli na placyk. Wojownik dalej siedział pod ścianą, drzemał. Ciężka, szara chmura przesuwiała się nad drugim końcem doliny, tam padał deszcz.

Przy jednej z chat bawiły się dzieci. Wiatr unosił kłęby pyłu. Planeta była przyjazna i spokojna.

— Czy to daleko? — zapytał Pawłysz.

— Wiesz — powiedział Starszy.

— Aha! — zgodził się Pawłysz.

Starszy podszedł do brzegu platformy. Ukazała się szeroka ścieżka, łagodnie schodząca w dół urwiska. Po jakichś dziesięciu krokach Starszy zatrzymał się, popatrzył na Pawłysza i nieoczekiwanie skoczył do przodu. Pawłysz spojrzał pod nogi. Spod cienkiej warstwy piasku i żwiru wystawały gałęzie. Wyglądało na to, że maskują pułapkę. Pawłysz przymierzył się i skoczył do przodu tak, aby wylądować obok Starszego. Ale nie było to łatwe, przeszkadzały rzeczy, przytroczone do skafandra. Ale Pawłysz nie chciał narazić na szwank swego prestiżu. Jeżeli skaczą tubylcy, tym bardziej powinien skoczyć duch. Skok nie należał do najbardziej udanych. Coś trzasnęło pod butem i Pawłyszowi ziemia usunęła się spod nóg. Na ścieżce zostały tylko ręce. W głęboką rozpadlinę leciały tylko kamienie i gałęzie. Pawłysz nawet nie zdążył się przestraszyć. Nogi ślizgały się po zboczu, w żaden sposób nie mogąc znaleźć punktu zaczepienia.

— Pomóż mi! — powiedział najspokojniej, jak potrafił. Starszy nie ruszył się z miejsca. Myślał. Widocznie duch nie wytrzymał próby i Starszy rewidował swój pogląd na tę sprawę.

W końcu noga oparła się o niewielki występ. Pawłysz wsparł się łokciami o skraj dróżki i podciągnął się w górę. Przeczucie niebezpieczeństwa zmusiło go do podniesienia wzroku. Starszy zrobił niepewny krok do przodu, ale natknął się na spojrzenie Pawłysza i zrezygnował.

— Odejdź! — rozkazał Pawłysz.



Kamień, na którym oparł nogę, poleciał w dół, ale na szczęście więzień zdołał już do pasa wydostać się z pułapki. Jednym szarpnięciem oparł na ścieżce kolano i podniósł się uważając, aby nie uszkodzić butli tlenowych.

Starszy stał przytulony plecami do skały i z wyrazem błogości drapał się w brzuch, zupełnie jakby zapomniał o istnieniu ducha.

Pawłysz podniósł się, otrząpął z pyłu i pozwolił sobie na spojrzenie za siebie. Fałszywy mostek przykrywał rozpadlinę, ciągnącą się aż do rzeki. Poczul chęć obrażenia podstępnego gospodarza:

— Boisz się, że po ścieżce przejdą ludzie z dołu? i — Nie boję się niczego — powiedział Starszy. — Idziemy do świątyni?

— Tak — odparł Pawłysz. W końcu sam był sobie winien. Następnym razem trzeba będzie bardziej uważać. W obcym świecie roztargnienie może się paskudnie skończyć.

Pawłysz szedł za Starszym. Ten wyraźnie pilnował się przed grożącym z dołu niebezpieczeństwem. Czego się bał? Swoich współplemieńców? Białej Śmierci? Sąsiadów z innego plemienia?

Świątynia była wyciosana w skale, tak jak i dom Starszego. Od szerokiego placu wiodły do niej topornie wyrąbane schody. Samo wejście było niewielkie, zwężało się ku górze, po jego obu stronach stały niewysokie kolumny. Na każdej wyrzeźbione było oko, przedzielone wąską żrenicą. I to wszystko.

— Idź tam! — powiedział Starszy.

— A ty?

— Ja wrócę.

Co jeszcze wykombinował jego przewodnik? Pawłysz doszedł do wniosku, że prawdopodobnie zwali mu się na głowę kamienny słupek.

— Pójdiesz pierwszy — powiedział.

— Dlaczego? — zdziwił się Starszy.

Grzebień sierści na jego głowie stanął dęba.

— Nie podoba mi się tu — oznajmił Pawłysz. — Idę do wsi.

— Nie wolno! — powiedział Starszy.

— Starszy! — rozległo się z dołu.

— Co?

Po ścieżce szedł wojownik. Starszy ruszył na jego spotkanie i wojownik, pomyślawszy, że meldunek, który przynosi, nie jest przeznaczony dla duchów, pochylił się i zaczął coś Starszemu szeptać na ucho. Nowiny wyraźnie się Starszemu nie spodobały. To było widać gołym okiem. Sierść na karku stanęła mu sztorcem, mięśnie pleców naprężyły się, nogi ugięły w kolanach, jakby przygotowywał się do skoku.

— Hej — ryknął. Rzucił się do przodu, wbił szpony w twarz wojownika.

Ten wypuścił z ręki włócznię, upadł na kolana. Starszy podeptał go, potem szybkim jak błyskawica ruchem chwycił włócznię i cisnął ją w klęczącego. Wojownik zdążył odskoczyć, okucie broni rozpadło się, uderzając o skałę.

A Starszy już pędził po ścieżce, zapomniawszy o swojej ofierze, o Pawłyszu, który skromnie odsunął się na bok, o całym bożym świecie. Zniknął za zakrętem, jakby go ziemia pochłonęła.

Pawłysz podszedł do wojownika, który groźnie wyszczerzył kły.

— A niech was wszyscy diabli wezmą! — zaklął Pawłysz. — Wygląda na to, że jesteśmy absolwentami różnych złobków!

Iść do świątyni? Tego właśnie chciał Starszy. A jemu Pawłysz nie wierzył. Już lepiej zejść do

wsi. Czort wie, co jeszcze przyjdzie Starszemu do głowy, kiedy przypomni sobie Pawłysza.

Wojownik lizał rany na ręce.

Pawłysz ruszył w kierunku chat.

Udeptany plac przed nimi był pusty. Z kupy śmieci uniosła się chmara owadów, zaszumiła nad hełmem. I nagle na słoneczko wypełził z chałupy dzieciak z kością w łapce i na widok obcego zamarł ze strachu. Z chaty wysunęły się długie ręce i energicznie wciągnęły malca do środka. Rozległ się pisk. Drzwi do drugiej chałupy podparte były dużym kamieniem.

Domy były do siebie podobne. Nawet nie chałupy, a prymitywne kryjówki, byle jak sklecone i przykryte gałęziami i liśćmi.

Pawłysz cofnął się nad brzeg rzeki i stamtąd sfotografował wieś. Potem zaczął się rozglądać dokładniej. Spojrzał w górę. Wejście do pieczary, przez którą przedostał się do doliny, było z dołu niewidoczne. Przed drzwiami do świątyni widać było ciemną plamę. To wojownik dalej leżał u stóp schodów.

Nagle Pawłysz poczuł przyływ niepokoju. Co tak bardzo rozdrażniło Starszego? Może wojownicy zrobili jeńcom jakąś krzywdę? A może Kolec i dziewczyna uciekli? Dlaczego nie pomyślał o tym wcześniej?

Wrócił do stóp urwiska i przy strumieniu spotkał starą kobietę, różniącą się od widzianych przez niego tubylców. Szła, podpierając się końcami palców u rąk, a ręce miała tak długie, że wcale się przy tym nie musiała schylać. Krzywy gliniany garnek chygotał się na płaskiej głowie. Mogło się wydawać, że kobieta podtrzymuje go brwiami, po prostu nie miała czoła. Oczy, schowane w głębokich oczodołach, świeciły żółtym blaskiem. Zobaczywszy Pawłysza przysiadła, jakby nogi się pod nią ugięły, ukryła twarz w trzęsących się rękach i coś niezrozumiale zamamrotała.

— Nie bój się! — powiedział Pawłysz. — Nie zrobię ci nic złego.

— Duch, Duch! Wielki Duch! — mamrotała staruszka. „Lingwista” trzeszczał, starając się przełożyć jej słowa. — Daj mięsa... daj... Nie zabijaj...

— Można by pomyśleć, że spotkanie ze mną przstraszyło ją, ale nie zdziwiło. Ciekawe — powiedział Pawłysz odchodząc od starej i kierując się w stronę świątyni.

Wojownik, zobaczywszy go, podniósł się. Piasek wokół niego pociemniał od krwi.

— Idź do domu — poradził wojownikowi Pawłysz. — Wykrwawisz się! Wojownik jakby nie słyszał, choć „lingwista” zaszczebiotał zupełnie zrozumiale. Pawłysz przyjrzał się wejściu do świątyni, ale tę wizytę postanowił odłożyć na później. Pułapka, w którą o mało nie wpadł, przecinała ścieżkę na pół. Tym razem tak obliczył skok, że z zapasem wylądował na drugim brzegu rozpadliny.

Tylko butle zadźwięczały. Na placyku przed pieczarą i domem Starszego nie było żywej duszy.

— Halo, panowie! — zawołał Pawłysz. — Gdzie was wyniosło! Gość czeka! Nikt nie odpowiedział. Z ciemnego wejścia wyskoczyła przestraszona krzykiem maskara i uniesiona porywem wiatru odleciała.

Pawłysz włączył latarkę hełmową i ostrożnie wszedł w ciemny korytarz, prowadzący do sal, które leżały przed podziemnym przejściem. Szedł powoli, żwir trzeszczał pod stopami i przez to cisza stawała się coraz głębsza. Obszedł wszystkie pomieszczenia, ale wojownicy i jeńcy zniknęli bez śladu. Drzwi do podziemia były otwarte. Nie dobiegał zza nich żaden dźwięk.

## Duchy

Potężny duch poszedł za Starszym. Kolec zrozumiał, że to już koniec. Bardzo chciał żyć, ale mieszkańcy doliny rzadko dożywają podeszłego wieku. Śmierć czyha wszędzie, na polowaniu i w polu, kryje się w chorobach, w szaleństwie żywiołów i w niełasce Starszego. Po wszystkim Starszy rozkazuje zabrać ciało zmarłego do świątyni, zamknąć za nim mocne drzwi. A wojownicy niosący trupa wyjdą potem ze świątyni i będą śpiewać straszne pieśni o Śmierci. W świątyni zostanie tylko Starszy. Po jakimś czasie wojownicy znowu wejdą do świątyni i wyniosą ciało. Ciało będzie rozcięte, żeby uwolnić demony, kryjące się w martwych i chorych. I spalą zwłoki. Starzy ludzie pamiętają, jak jeszcze niedawno trupy zjadano, a najlepsze kąski dostawały się wojownikom. Ale to było wtedy, gdy jeszcze mieszkańcy doliny byli całkiem dzicy.

Kolec wiedział o śmierci, nieraz ją widział, ale to była cudza śmierć. Własna śmierć powinna odejść, jak odchodzi lekki wiosenny deszcz. Odejść w bezcielesny świat duchów, w którym nie ma długonogów, Słońca i czystej wody.

— Teraz już nam nie uciekniesz — powiedział niebie kawy wojownik, którego nazywano Chmurą. Starszy wziął go ze wsi, kiedy Chmura był jeszcze chłopcem. Wojownik popchnął Kolca w ciemny kąt i roześmiał się.

— Chmuro — odezwała się Struga — pamiętasz, że mamy wspólną babkę?

— Jestem wojownikiem świątyni — powiedział Chmura. — Nie mam ojca ani matki.

— Tak było dawniej — zauważył Kolec. — Teraz każdy ma ojca i matkę. Tak mówił Obcy.

— Po co z nimi gadasz! — zbeształ Chmurę dowódca wojowników, Zimny Szron.

Uderzenie przewróciło Kolca. Zaskrzypiały drzwi. Słyszał było, jak Chmura przygotowuje się do pilnowania jeńców.

— Idę — powiedział Szron. — Nie zaśnij!

— Idź! — odpowiedział stróż.

W ciemności Kolec odszukał rękę Strugi, usiadł koło niej, przytulił się. We dwoje było im ciepłej. Ściany wrogo milczały, niski sufit dusił i przygniatał...

— Chmuro, czy nasz duch wróci tu po nas?

— Nie wiem. Starszy poszedł z nim do świątyni. Starszy zna drogi bogów. Struga krzyknęła — chłodny, śliski wąż przemknął po jej stopach.

— Nie bój się — uspokajał ją Kolec.

Chmura zaczął śpiewać pieśni o Wielkiej Tajemnicy, o drodze do Czarnego Strumienia. Żółty płomyček światła przesączaający się przez szparę w drzwiach przesunął się. Strażnik przyciągnął bliżej kaganek. Jak wszyscy mieszkańcy doliny bał się ciemności.

Struga wbiła paznokcie w rękę chłopca.

— Co ty?

— Cicho! Tu ktoś jest!

— Tu są tylko węże.

— Tu jest ktoś większy. Siedzi za nami. Teraz i Kolec wyczuł cudzą obecność. Czujny słuch nie

pochwycił żadnego dźwięku. Nic nie pachniało. Nie było niczego. Poza obecnością.

— Odejdź, duchu! — powiedział Kolec. — Jeżeli nie chcesz nam pomóc, odejdź.

— Może to nasz duch? — zapytała Struga.

— Co wy tam gadacie? — zainteresował się strażnik.

Z kąta jaskini doleciał krótki śmieszek.

Drzwi otworzyły się i stanął w nich Chmura z pochodnią w ręce.

— Co to jest?! — krzyknął.

Światło pochodni wydobyło na moment z ciemności ludzką sylwetkę, mętną i niewyraźną.

Sylwetka po prostu wsiąkła w ścianę. — To nie nasz duch — westchnęła Struga.

Ale Kolec myślał o czym innym. Wojownik trzymał w ręku pochodnię. Ręka była tuż-tuż. Kolec szarpnął za tę rękę i Chmura, rąbnawszy głową o framugę, wpadł do komory, jęknął i osunął się na kamienną podłogę. Kolec ogłuszył go, porwał włócznię i nie oglądając się na nic popędził przed siebie.

W dolinie zaraz ich złapią. Wojownicy jedzą mięso i dlatego szybko biegają. Tylko w ciemnej pieczarze można się schować. Potem będzie szukał drogi nad rzekę. Struga biegła za nim. Pamiętali, jak trafić do drewnianych drzwi. Strażnik, usłyszawszy głuchy tupot, podniósł się, wystawił włócznię, mrużąc w półmroku oczy. Kolec wyskoczył zza rogu, przewrócił strażnika, spróbował wyważyć drzwi. Udało się! O mało nie upadł na kamienne schody, Struga ledwie zdążyła go złapać. Słaby odblask światła padał z góry, przed nimi była ciemność. Ich szansą był słuch, powonienie i pamięć, pamięć prymitywnej istoty, przechowująca zakręty, urwiska i rozpadliny na długiej drodze nad rzekę.

Z tyłu dobiegł hałas pogoni. Kolec biegł, wyciągnawszy przed siebie rękę z włócznią. Wymacawszy jakąś dziurę czy kamień uprzedzał o tym Strugę.

Prześladowcy nie zostawiali w tyle. Też przecież znali tę jaskinię. Byli wściekli. Wiedzieli, że jeżeli nie złapią uciekinierów, dosięgnie ich gniew Starszego. Bardzo się tego bali.

— Szybko się stąd wydostaniemy? — zapytała Struga. — Ja już nie mam siły. Zaraz upadnę.

Kolec zrozumiał, że nie uciekną. Skoczył w bok, w obcą wrogą ciemność, i pociągnął za sobą dziewczynę.

— Odpoczniemy? — Teraz milcz — wyszeptał Kolec. — Całkiem milcz, nie oddychaj.

Tupot i krzyki były już tak blisko, że Kolec z trudem powstrzymywał się, żeby nie pognać dalej, przed siebie, wszystko jedno gdzie, byle jak najdalej od strasznej śmierci, od wojowników... Przypadł do ziemi i zatkał Strudze usta ręką.

— Cicho! Milcz! — błagał bezdźwięcznie. — Cicho... Kroki były już całkiem blisko. Słyszeli przerywane oddechy i ochryple krzyki.

— Będziemy czekać? — szepnęła Struga.

— Trochę — odpowiedział Kolec. — Wrócą i będą nas szukać.

— A potem?

— Odpoczniemy i spróbujemy dostać się do wyjścia. Ale nie główną drogą, a tędy, między kamieniami. Pamiętasz, ilu biegło wojowników?

— Nie. Dużo.

— Może sześciu. Albo siedmiu. Trzeba to wiedzieć. Będziemy potem biec przez wąską jaskinię. Żebyśmy nie wpadli w pułapkę.

— Zabijesz ich?

— Jeżeli będzie jeden, to może zabiję, jeżeli dwóch, to oni zabiją mnie. Kolec był śmiertelnie zmęczony, chciał tylko przytulić się do Strugi i usnąć.

— Jesteś wielkim myśliwym — powiedziała Struga. — A może biegnijmy z powrotem? Schowamy się we wsi.

— Tak nie można. Tam jest Starszy. I inni wojownicy. — Nie ma na co czekać. Wyczują nas węchem. Słyszysz? Płyne woda. Chodźmy przez wodę.

— A jeżeli jest głęboka?

— Trzeba się spieszyć.

— Poczekaj! — zatrzymał ją Kolec. — Zaraz będą biegli z powrotem. Wtedy pójdziemy.

Mówili cicho, bardzo cicho. Ale głos niósł się po pieczarze i Starszy, spieszący po śladach wojowników, usłyszał rozmowę i nim Kolec wyczuł jego zapach, podszedł zupełnie blisko. Zbyt blisko.

— Stój! — powiedział cicho Starszy. — Nie znasz drogi w ciemności. Nigdzie nie biegnij.

Starszy mógł zawołać wojowników. Zamiast tego mówił bardzo cicho. Był ostrożny. Stał w odległości dziesięciu kroków od zbiegów i chował się za kamieniem. Doskonale wiedział, gdzie się znajdują. Zdradzał ich zapach i ciepło ciała. Nikt w plemienu nie wyczuwał ciepła żywych istot tak, jak Starszy. Mógł być doskonałym myśliwym.

Włócznia uderzyła o kamień, złamała się i Starszy, wyszedłszy zza skały, nastąpił na jej szczątki.

— Kolec, niczego więcej nie możesz zrobić. Chodź do mnie. A Struga niech idzie przed tobą.

— Nie idź — powiedziała Struga.

— Duchy są wspaniałomyślne — mówił dalej Starszy, jakby nie słyszał słów Strugi — mogą ci przebaczyć.

Krzyki wojowników zbliżały się. Szli z powrotem, zaglądając w odgałęzienia jaskiń i głośno przeklinając.

— Jeżeli przyjdiesz sam, zaprowadzę cię do komory i zamknę — powiedział Starszy. — I będziecie czekać, co powiedzą duchy. Jeżeli przyjdą wojownicy, zabiją cię. Są wściekli i nie potrafię ich powstrzymać. Wiesz o tym. Chodź!

— Kolec, nie idź! — błagała Struga.

Kolec pełził na spotkanie cichego równego głosu. Jeszcze moment i będzie mógł skoczyć i...

Starszy usłyszał, poczuł, odsunął się w bok i Kolec nie mógł uderzyć tak, jak sobie to zaplanował. Upadając, wczepił się w ostrą sierść Starszego i pociągnął go za sobą. Przez chwilę słyszeć było tylko sapanie walczących, zgrzyt zębów i szuranie nóg o kamienie. Struga rzuciła się na pomoc, ale w ciemności nie mogła dostrzec, gdzie kto jest. I wtedy Starszy krzyknął. Jego krzyk wypełnił całą jaskinię:

— Hej! Tutaj!

Wojownicy byli już blisko. Rzucili się na uciekinierów. Kolec oderwał się od Starszego, wyrwał z łap wojowników i skoczył za stalagmit. Zatrzymał się na mgnienie oka. Za nim kłębiły się ciała, piszczła Struga. Co robić?! I Struga jakby odgadła jego myśl: — Uciekaj! — krzyknęła — uciekaj! Biegnij nad rzekę! Kolec posłusznie pobiegł w dół jaskini. Krzyk uwięzionej dziewczyny dodawał mu sił.

Głos ucichł. Tylko dzikie wrzaski wojowników i niezrozumiałe słowa Starszego rozlegały się w pieczarze.

Pawłysz wyszedł na placyk przed jaskinią. Gdzie podziiali się wszyscy wojownicy? Znowu zeszedli do podziemi? Może napadło na nich jakieś wrogie plemię? Nie, najprawdopodobniej coś złego stało się z jeńcami. Ale włączyć samemu do czarnej dziury...

Zajrzał do sadyby Starszego. Była pusta. Po diabła wplątywał się w tę całą aferę? Sława, w sumie sama logika wymaga, żebyś zostawił te stworzenia w spokoju. Jeżeli chce się kogoś na siłę

uszcześliwić, to można doprowadzić do rezultatów dokładnie odwrotnych. Czy nie lepiej, lekarzu pokładowy, żebyś wrócił do swoich obowiązków? Ale szkoda dziewczyny i chłopca.

Wszedł do domu, usiadł na skórach. Tu przynajmniej nie dokuczały tłukące o przyłbicę hełmu muchy.

Jakkolwiek na to popatrzeć, i tak teraz się z doliny nie wydostanie.

— Odpoczywa pan, Pawłysz?

Pawłysz podniósł głowę. Naprzeciwko niego, na futrze, w miejscu, gdzie niedawno rozsiadał się Starszy, umościł się wygodnie wielkooki młodzieniec. Oparł podbródek na kolanach, podłożył pod niego dłoń i uporczywie wpatrywał się w Pawłysza. Ogromne oczy były przezroczyście i całkiem pozbawione białek. Młodzieniec miał długą szyję i wąską, jakby ściśniętą z boków głowę — zupełnie jakby natura ze wszystkich sił starała się podkreślić ptasią delikatność tej istoty.

— Tak sobie rozmyślam — powiedział Pawłysz i dopiero Wtedy się zdziwił. — Skąd pan się tu wziął?

— Byłem tu — odpowiedział młodzieniec.

Pawłysz usiłował jakoś ten problem rozwiązać. Skąd wziął się tu nieznajomy? Zna język rosyjski. Nie potrzebuje hełmu ani skafandra. Jest lekko ubrany. To wszystko znaczy, że mieszka tutaj, że jest przyzwyczajony do tego świata. Zna moje nazwisko!

— Pan był w „Kompasie”?

— Byłem.

— Dlaczego?

— A nie zapyta pan, po co przyszedłem?

— To prawie jedno i to samo.

— Nie miałem złych zamiarów. Zwykła ciekawość. Nie chciałem, żeby mnie pan zobaczył. Spokojnie wrócilibyście na Ziemię, jak tylko przyleci pomoc. Ale kiedy zobaczyłem, że pan mnie zauważył, pomyślałem sobie, że to pana zaintryguje.

— Nie odpowiada to panu?

— Nie. Nie doceniłem pana. Nie przypuszczałem, że dostanie się pan do doliny.

— Skąd zna pan mój język?

— Znam. — Młodzieniec wyraźnie nie miał ochoty dyskutować na ten temat. Zaczął mówić o czymś innym. — Proszę mi wybaczyć, że spotkało pana tyle nieprzyjemności z powodu awarii. Niestety, nie było mnie wtedy w dolinie. Nie mogłem panu pomóc. Potem Starszy powiedział mi, że nad wsią ukazała się spadająca gwiazda. Zainteresowało mnie to. Najpierw sądziłem, że statek kompletnie się rozbił. A pan doszedł do latarni?

Ręce młodzieńca były w ciągłym ruchu.

— Tak — powiedział Pawłysz. — Parę lat temu ktoś tu był. Może automatyczny zwiadowca?

— Parę dziesięcioleci — poprawił młodzieniec.

— Nie znaleźli siadów cywilizacji.

— Roboty mogą się mylić. Ślady, które są wstanie rozpoznać, muszą być bardzo wyraźne.

— Mówi pan po rosyjsku prawie bez akcentu. — Pawłysz uparcie i beznadziejnie usiłował zaspokoić swą ciekawość. Młodzieniec uśmiechnął się:

— Dziękuję za komplement.

— Dlaczego uważają tu pana za ducha?

— Skąd ten wniosek?

— Starszy i wojownicy nie byli szczególnie zdziwieni moim przybyciem. Od początku mnie to (zaciekało).

— Jest pan spostrzegawczy — przerwał młodzieniec. — Proszę mnie teraz uważnie posłuchać. Obiecuję, że przyjdę na statek i wszystko panu dokładnie wytłumaczę. Kim jestem, co wiem o panu, skąd znam język. Nie ma w tym żadnej tajemnicy. Teraz jednak mamy bardzo mało czasu. W każdej chwili może ktoś tu wejść.

Przy tych słowach młodzieniec lekko podskoczył, podniósł się. Był wysoki i wiotki.

— A tak a propos, gdzie jest Starszy i wojownicy? Co się dzieje z jeńcami? — zapytał Pawłysz.

— Z jakimi jeńcami?

— Struga i Kolec — Pawłysz podniósł się i przysunął do ściany, chcąc zrobić młodemu człowiekowi miejsce.

— Już ich pan poznał?

— I to w bardzo dramatycznych okolicznościach.

— Kolec i Struga siedzą w odpowiednim dla nich pomieszczeniu. Nic złego im się nie dzieje. Byłem tam parę minut temu. — Młodzieniec zatrzymał się przy drzwiach i wiotkie ręce zawisły na moment w powietrzu.

— Komora jest pusta.

— Myli się pan. Proszę za mną. Powtarzam: nie mamy czasu! Nasze spotkanie było czystym przypadkiem. Po prostu zajrzałem tu po drodze. Właściciel tego domu może zaraz wrócić.

— Starszy też gdzieś pobiegł.

— Nigdzie nie pobiegł! Proszę mnie posłuchać: niech się pan nie wtrąca w sprawy doliny! Wyprowadzę pana stąd sobie tylko znanymi ścieżkami. Potem postaram się rozplątać to, co pan tak starannie zaplątał.

— Niczego podobnego nie zrobiłem!

— Proszę mi nie przerywać! Będzie pan czekał na mnie na statku. Przyjdę. Przyjdę szybko, może za parę godzin. I damę panu słowo, że wszystko wyjaśnię. A teraz proszę iść za mną. I im szybciej o panu w tej dolinie zapomną, tym lepiej.

Z przeciwka zbliżał się Starszy.

Młodzieniec zamarł, a Pawłysz omal na niego nie wpadł.

— Już jest za późno — powiedział po rosyjsku młodzieniec. — Niech pan milczy. Ja będę mówił. Zatrzeszczał „lingwista”. Młody człowiek przeszedł na język tubylców.

— Gdzieś ty przepadł? — zwrócił się do Starszego. Jego głos był wysoki i ostry.

Dwaj wojownicy, którzy wyszli z jaskini w ślad za Starszym, cofnęli się z powrotem w ciemność.

— Wielki Duchu! — wykrzyknął Starszy, pochylając się głębokim ukłonie. Zadarł przy tym głowę, aby nie tracić młodzieńca z oczu. — Władco duchów! Jestem wobec ciebie pełen winy! Ale myślałem, że to fałszywy duch, nasłany przez Wielką Ciemność. On jest podobny do zwykłych śmiertelników.

— Chodź ze mną — rozkazał młodzieniec, mijając Pawłysza. — Nie trzeba rozmawiać pod gołym niebem — dodał. — Mogą nas zobaczyć.

— Masz rację, Wielki Duchu — zgodził się Starszy. — Niech ściany ukryją nas przed oczami obcych. Na łapach Starszego Pawłysz zauważył krew.

— Mów! — powiedział młodzieniec, zwracając się do Starszego. — Mów, co się stało!

— Uciekli. Nie wiem, jak.

— Czym zawinili? — zapytał młodzieniec. — Widziałem ich w jaskini. Mów szybko!

— Złapaliśmy ich. Oni uciekali, ale udało się ich złapać. Nie wiesz? — Starszy podniósł głowę i Pawłysz zobaczył na jego szyi krwawe rysy.

— Nie pytaj ducha! — palec młodzieńca na moment znalazł się przed oczami Starszego. — Wiesz, że nie wolno pytać ducha! Jeżeli mówię, że chcę wiedzieć, masz opowiadać.

— Ona była zła — powiedział Starszy. — Pamiętasz Wielki Duchu, że jej ojciec przyszedł z gór. Chcieliśmy go zabić, ale ty powiedziałaś: „Będzie żył!”

— Jej ojcem był Obcy?

— Tak. Obcy. Potem chciał uciec z doliny. Trzeba go było zanieść do świątyni. Pamiętasz?

— Pamiętam. I miał córkę?

— Strugę. I był jeszcze jeden młody, Kolec. Ten też nasłuchiwał się Obcego.

— Rozkazałem przecież znaleźć drogę, którą przyszedł Obcy, i zasypać kamieniami!

— Drogi strzegła Biała Śmierć. Ta droga mogła się jeszcze przydać.

— Chcesz powiedzieć, że uciekli w stronę rzeki?

— Tak. Kiedy się o tym dowiedziałem, wysłałem za nimi wojowników. Wojownicy dogнали ich. I Biała Śmierć także. Ale twój brat zabił Białą Śmierć.

— Mój brat? — zdziwił się młodzieniec. Starszy wskazał Pawłysza.

— Pan?

— W tym momencie wkroczyłem na scenę — przyznał Pawłysz. — I teraz mi jakoś głupio. Jakbym wlaźł do cudzego ogrodu i natknął się na dozorcę.

— Sam jestem winien — powiedział szybko po rosyjsku młody człowiek. — Nie powinienem być odchodzić.

— Przyszli razem — mówił Starszy nie patrząc na Pawłysza. — Wojownicy nie odważyli się sprzeciwić duchowi.

— Dobrze przynajmniej, że nie próbował pan zająć się śledztwem i karaniem winnych — zwrócił się młodzieniec do Pawłysza.

— Ja tam nie jestem nadmiernie agresywny — skromnie wyznał Pawłysz i odwrócił się do Starszego, prosząc go, żeby mówił dalej.

— Wielki Duch powiedział wczoraj, że może przyjść jego brat. Ale moje oczy okłamały mnie. Jestem stary, nie jestem już godzien być Starszym. Bogowie nagrodzili twój brata ciałem.

— Bogowie są wszechmocni — pouczająco stwierdził młodzieniec.

— Twój brat omal nie zginął, kiedy wpadł w pułapkę na ścieżce.

— A co ze Strugą i Kolem?

Starszy milczał i patrzył na młodzieńca, jakby pytał, czy pozwoli mu odpowiedzieć.

— Mów! — powiedział młodzieniec. — Musimy opuścić dolinę. Ale ja wrócę.

— Doścignęliśmy ich.

— Są zamknięci?

— Jego złapią szybko. Wojownicy go szukają.

— Tak... — młodzieniec pochylił się, długimi, wyprężonymi jak struna palcami prawie dotykając Starszego. — Tak...

— Nie gniewaj się, Wielki Duchu! Złapią go!

— A Struga? Co z dziewczyną? — zapytał Pawłysz.

— Złapali ją. Gryzła jak dzikie zwierzę.

— Co z nią?

— Umarła.

— Jak? — młodzieniec ruszył do przodu.

— Nie mogłem powstrzymać wojowników. Szarpała się. Wojownicy byli wściekli.

— Bez mojego pozwolenia? — młodzieniec machnął, ręką, jakby chciał rąbnąć pięścią w



kamień.

Zrobi sobie krzywdę! — przemknęło przez myśl Pawłyszowi. Ręka swobodnie przeszła przez kamień. Zauważywszy zdziwione spojrzenie Pawłysza, młodzieniec natychmiast ją cofnął, i szybko, jakby nic się nie zdarzyło, powiedział:

— Bardzo źle zrobiłeś. Starszy! Nie posłuchałeś bogów! Powiedziane jest bowiem: „Nie zabijaj bez słowa bogów”.

— Jestem winien, Wielki Duchu!

I rzeczywiście Starszy był przerażony. Nie zdziwił go nawet wypadek z ręką Wielkiego Ducha. Opuścił głowę.

— Zabiłeś dziewczynę. Wypuściłeś Kolca. Dokąd uciekł?

— Nad rzekę. Ale złapią go przed zasypanym wejściem. Pobiegnę z wojownikami, ale nie mogę prędko biegać.

Młodzieniec na moment ukrył twarz w dłoniach. Myślał. Popatrzył na Pawłysza i powiedział cicho, ale z naciskiem:

— Proszę, niech pan siedzi i nie rusza się stąd. Gdyby nie pan, dziewczyna żyłaby do tej pory.

— Dobrze — powiedział zmieszany Pawłysz. Młodzieniec zwrócił się do Starszego:

— Idź za wojownikami. Wróciłeś tu, bo boisz się Kolca. Nie chcesz umierać. Idź za wojownikami. Pójdę przodem i zobaczę, dokąd pobiegł Kolec. Wskażę ci drogę. Idź już! Starszy tyłem wypełzł z jaskini.

— Zaraz wrócę — powiedział młodzieniec. — Pójdę na przełaj. Wstał i podszedł do kąta pieczary.

— Proszę czekać.

Wtopił się w ścianę, jakby znikł w gęstej mgle.

Kolec dobiegł do zasypanego wejścia do pieczary. Przez szczeliny między kamieniami sączyło się światło. Wraz ze światłem płynęło do jaskini ciepłe, świeże powietrze.

Teraz Kolec nie myślał o Strudze. Widział tylko kamienie, czarne kamienie i światło, przenikające przez szpary między nimi. Popchnął skały; Odrobinę drgnęły, ale zostały na miejscu. Słysząc już było kroki i krzyki — byli już całkiem blisko! A może daleko? W jaskini inaczej słysząc dźwięki, niż na powietrzu.

Kolec oparł się o skałę plecami, wyteżył wszystkie siły, ale skała nic poddawała się. Odbiegł kilka kroków, znów rzucił się na kamień i znów się nie udało. Gdyby miał czas, powoli rozchwiałyby kamienie i znalazł ten, na którym wspierała się owa skalna barykada.

Kroki na moment ucichły. Wojownicy nadśluchiwali.

— Jest tam! — rozległ się głos Szrona.

Kolec popchnął najwyżej umieszczony kamień. Ten spadł i oczy ściganego zalało słoneczne światło.

— To on! — głos był już całkiem blisko.

Kolec wcisnął się w dziurę i, zdzierając skórę z boków, pchał się na zewnątrz, wijąc się jak ściśnięty w palcach robak. Podciągnął się rękami, wspierając je o ostre krawędzie skał. W ostatniej chwili uczył uderzenie włóczni w piętę, ale już toczył się po kamieniach i trawie, zupełnie nie czując bólu. Podniósł się na czworaki i wielkimi skokami pognał ku rzece.

Uratowało go właśnie to, że nie zdążył rozebrać kamiennej zapory. Otwór, przez który się wydostał, był bardzo wąski, i udało mu się przez niego przecisnąć tylko dlatego, że śmierć następowała mu na pięty. Pierwszy ze ścigających go wojowników zaklinował się w dziurze. Trzeba

było paru minut, aby go stamtąd uwolnić i rozwalić przeszkodę. Podnieceni zapachem krwi wojownicy przeszkadzali sobie nawzajem. A kiedy w końcu wydostali się z jaskini, chłopak był już nad rzeką.

Na chwilę się zatrzymał. Oczy przywykły do światła, strach powoli mijał. Ukrył się za drzewem, rozejrzał, co się stało z pogonią. Wojownicy, miotający się u wejścia do pieczary, z tej odległości wydawali się mali i prawie niegroźni. Rzeka burzyła się na płyciźnie i Kolec wiedział, że trzeba iść dalej, na tamtą Stronę, gdzie wznosiły się niewysokie wzgórza.

Wszedł do wody. Była cieplejsza, niż w płynącym przez wieś strumieniu. Ale w strumieniu ledwie przykrywała kamienie na dnie, a tu była ciemna i głęboka. Dna nie było widać.

Wojownicy zauważyli go i ruszyli jego śladem. Z ranionej stopy płynęły strużki krwi i mieszając się z wodą wabiły stada drobnych robaczków, dla których krew była najwspanialszym smakołykiem.

Zrobił krok naprzód i noga po kolano zapadła się w miękkie ił. Woda przewracała go. Wszedł do niej po pas. Drugi brzeg był jeszcze bardzo daleko.

Chłopcu, wydało się, że wojownicy już go doganiają. Obejrzał się. Nie, wojownicy zostali w tyle. Noga straciła oparcie. Kolec wpadł do wody. Rzeka schwyciła go i poniosła, obracając, wciągając w głąb, nie pozwalając oddychać. Wynurzył się, odetchnął, gorączkowo przebierał rękami i nogami. Może udałoby mu się wypłynąć. Odziedziczona po przodkach pamięć tego, jak żyli w wodzie, pływali i nurkowali, istniała gdzieś jeszcze w jego ciele. Ale rzeka była bystra. Nie pozwalała płynąć, szarpała w wirach, aż w końcu wyrzuciła go na żwirową płyciznę. I nie wiedząc co robić, Kolec wyskoczył z wody jak wystraszona ryba.

Było płytko.

Stał na szeroko rozstawionych nogach, nie mając odwagi zrobić kroku. W zalanych wodą uszach słyszał monotony szum. Ale gdzie podziali się prześladowcy?

Spojrzał za siebie. Wojownicy już dotarli do rzeki. Byli w miejscu, gdzie woda go przewróciła i poniosła ze sobą. Zobaczył, jak jeden z wojowników podniósł rękę z włócznią.

Kiedy włócznia chrupnęła w wodę, omal nie doleciawszy do uciekającego, Kolec już biegł. Znów wpadł po pas w wodę, ale tutaj dno podnosiło się i biegł po drobnym, miękkim i ciepłym piasku, a wojownicy coś za nim krzyczeli, nie mając odwagi wejść do rzeki. Bali się wielkiej wody.

Kolec wdarł się w zarośla, wpełzł w głąb, zapominając o czyhających tam zwierzętach, zostawiając na cierniach kłaki sierści i krople krwi. Krzaki otulały go gałązkami, Kolec pełzł i pełzł, aż stracił przytomność.

Ocknął się. Może trwało to tyle, co mgnienie oka? A może pół dnia? Obok ktoś bezszelestnie przedzierał się przez zarośla. Kolec nie przejmował się ani ptakami, ani zwierzętami, ale w niedostrzegalnej, bezcielesnej obecności było coś niebezpiecznego, przerażającego. Zamarł, przestał nawet oddychać. Patrzył.

Przez polankę szybko szedł Duch. Nie, nie ten dobry duch poranny, a prawdziwy Wielki Duch, którego Kolec widział, kiedy jego i innych chłopców Starszy zaprowadził do świątyni, gdzie poddano ich Pierwszej Próbie. Wtedy Duch siedział na tronie, ubrany w złocisty płaszcz i otoczony jaskrawym światłem. Był łagodny i pytał o różne sprawy. Rozkazał im też robić rzeczy, o których Kolec i jego towarzysze zapomnieli, bo Wielki Duch kazał im zapomnieć.

Duch szedł prosto, krzaki zagradały mu drogę kolącymi gałązkami, ale on nie zatrzymywał się, nie odgarniał gałęzi.

Ciemie wbijały się w jego pierś, przenikały nogi, krzywe pnie niknęły w nim i wychodziły z jego pleców. Dla Ducha przeszkody nie istniały. Szukał jego, Kolca, nędznego uciekiniera, który złamał prawo doliny, uciekając przed śmiercią. Kolec przypomniał sobie, jak w świątyni kazano mu

zapamiętać jedno: że zawsze i we wszystkim powinien słuchać Starszego, bo on jest wyrazicielem woli bogów, biada temu, kto spróbuje postąpić inaczej. Duch był sam. Widocznie wojownicy zostali nad rzeką. Stał, jakby się nad czymś zastanawiał. Pewnie wyczuł uciekającego. Patrzył w tę stronę, gdzie ukrył się Kolec.

— Wychodź! — powiedział głośno. — Wychodź i bądź posłuszny! Widzę cię!

Ręce wsparły się o trawę. Reagując na rozkaz, nogi drgnęły, ale Kolec był bardzo słaby i ta słabość zatrzymała go, nie pozwoliła nawet otworzyć ust, żeby coś odpowiedzieć, oddać się we władzę wszechmocnego, wszystkowiedzącego ducha.

I nagle stało się coś zaskakującego: Duch odwrócił się od wlokącego się w jego stronę Kolca i głośno krzyknął:

— Wychodź! Widzę cię!

Ale teraz nie mógł Kolca widzieć! Patrzył w inną stronę! I nagle Kolec zrozumiał, że Duch nie jest wszechmocny, że go wcale nie widział. Krzyczał, bo chciał go nastraszyć!

Duch szedł dalej, przeniknął przez krzaki, przez pnie niskich drzew, bezcielesny, choć podobny do człowieka. Zarośla nie szeleściły, nie było słychać kroków.

I Kolec znów stracił przytomność.

— Błąd logiczny — powiedział głośno Pawłysz sam do siebie. Zmieszany i obrażony ciągle jeszcze posłusznie siedział na skórze. Dlaczego obwiniono go o śmierć Strugi? Przecież było odwrotnie — uratował ich przed Białą Śmiercią. A po raz drugi uciekali bez jego pomocy. Był wtedy na dole, w świątyni.

Młodzieniec był wyraźnie niezadowolony z przybycia tu kogoś obcego. I jak on przechodzi przez ściany? Czyżby z tego wynikało, że na Posterunku Żyje rasa istot, które potrafią przenikać przez materię? Wygląda na to, że w dolinie jest wysoko rozwinięta cywilizacja nietechnologiczna, bez miast, maszyn...

Gdzie kryją się przedstawiciele tej rasy? Pod ziemią? W oceanie? I wysyłają do innych plemion misjonarzy? ;i Kosmos jest ogromny. Ludzie poznali dopiero jego maleńkie fragmenty, odkryli dopiero pierwsze tajemnice. I w wyobraźni Pawłysza powstał obraz całkiem już baśniowy — rasa bezcielesnych półprzezroczystych istot, bujających w powietrzu i władających przyziemnymi, zdecydowanie mało poetycznymi dzikusami. Idiotyzm! Młodzieniec jest całkiem cielesny, nigdzie nie fruwał, a jak trzeba było, to biegał na własnych, osobistych nogach! A kamień! W jaki sposób ręka przeszła przez kamień? Zrobił ten ruch mimowolnie. A tak w ogóle to czemu nie zapadł się pod ziemię?

Pawłysz postukał palcem w płaski kamień — stół. Kamień był chłodny i twardy. Nad problemem przenikania łamali sobie głowy najwięksi uczeni, ale — jak na razie — bez żadnych rezultatów. Pawłysz podszedł do ściany w miejscu, gdzie zniknął młodzieniec. Żadnych ukrytych drzwi, najmniejszej szczeliny. Nie była to cyrkowa sztuczka. I raczej wątpliwe, żeby miało tu miejsce optyczne złudzenie!

Z zewnątrz dochodziły niewyraźne głosy. Zamamrotał „lingwista”, ale nie mógł się połapać, o co w rozmowie chodzi.

Pawłysz podszedł do drzwi. W dolinie zrobiło się ciemno. Zawisła nad nią wielka czarna chmura, pełznąca nisko i dotykająca szczytów skał. Dwóch wojowników schodziło po ścieżce, wlokąc za sobą ludzkie ciało. Zatrzymali się przed szczeliną, w której o mało nie wylądował Pawłysz. Widocznie naradzali się, jak przenieść przez nią dźwigany ciężar. A na dnie doliny, przy chałupach także zrobił się ruch. Może i tam dotarła już niedobra wieść. Garstka ciemnych figurek podeszła niepewnie do strumienia i zatrzymała się na brzegu, jakby stanowił on granicę, której nie

wolno przekraczać.

Rola gapia, obserwatora, jest tak długo interesująca, jak długo człowiek nie poczuje, że powinien się wmieszać, że jego pomoc jest niezbędna.

Niech diabli wezmą obietnicę, że będzie siedział w jaskini! Pawłysz szybko schodził w dół do wojowników.

Jeden z nich zgrabnie przeskoczył rozpadlinę, drugi rzucił mu koniec liny, którą obwiązane było ciało dziewczyny, i podążył za kolegą. We dwóch przeciągnęli ciało, które wpadło w szczelinę, głucho uderzyło o jej ściany. Wojownicy wywlekli je na wierzch i poszli dalej. Nogi ich wzbijały żółty pył, który kłębił się nad Strugą.

Pawłysz doścignął ich pod świątynią. Jeden z wojowników obejrzał się. Widok Pawłysza nie przestraszył go, myślał, że duch obserwuje ich zajęcia. Wciągnęli ciało w ciemne drzwi i wyszli, przysiedli na stopniach.

Drzwi zamknęły się powoli.

Pawłysz wszedł po schodach, drzwi poddały się łatwo. Za nimi była niewielka okrągła sala pod słabo oświetloną kopułą. Ciało Strugi nie było.

Opierał się plecami o półotwarte drzwi, patrzył na podłogę, gdzie powinno leżeć ciało dziewczyny, i czuł, jak bezsensowność zagadek planety odbiera mu siły. Wojownicy nie mogli daleko zanieść Strugi. Po prostu nie mieli na to czasu. Podchodząc do świątyni widział wyraźnie, że byli w środku mniej niż minutę, spędzili tam dokładnie tyle czasu, ile trzeba, żeby wnieść ciało, położyć w tej sali i wyjść. W podłodze nie było żadnego włazu. Skała. Wyrównana co prawda, ale prawdziwa, lita skała. A więc jeżeli oczywiście nie wchodzi w grę siły nadprzyrodzone, ktoś czekał tu na wojowników i odebrał od nich ciało. Odniosł je gdzieś dalej do wnętrza. Być może byli to inni wojownicy? Albo słudzy świątyni? Tu powinny być jeszcze jedne drzwi. Wygląda na to, że na razie Pawłysz trafił do „przedsionka”.

# Świątynia

Prostokąt światła, padający od wejścia, sięgał prawie przeciwległej ściany i na oświetlonej podłodze nogi Pawłyszka rzuciły dwa długie cienie dochodzące do kamiennej płyty pod ową ścianą. Słychać tam było lekkie stukanie, krzątanie, głucho kroki.

Pawłysz wyciągnął miotacz, zważył go na dłoni i schował z powrotem. Jak zauważył młodzieniec, wystarczająco już w dolinie narozrabiał. No i przy tym wątpił, żeby wojownicy ośmielili się tknąć ducha, jeżeli nie rozkaże im tego Starszy.

Obszedł dookoła kamienną płytę. Za płytą był równo wyciosany otwór. Zanim wszedł w ciemność następnego dzisiaj korytarza, włączył hełmową latarkę i podniósł głowę. W kamiennej framudze była szczelina — drzwi widocznie spuszczano z góry.

Niech się dzieje, co chce. Pawłysz zdecydowanie przestąpił próg. — Jest tu kto? — zapytał. Poruszył głową, jasny stożek omiótł ściany. I nagle zapaliło się światło. Pojawiło się w górze, stawało się coraz jaśniejsze, najpierw wydobyło z ciemności kształty otaczających go przedmiotów, potem zawędrowało we wszystkie kąty, nadając rzeczom kolor i fakturę.

Ciało dziewczyny leżało na niskim łożu, przykrytym błyszczącą tkaniną. Obrócona głowa, półotwarte usta, ręce obronnym gestem przytulone do piersi, konwulsyjnie ściśnięte ciemne piąstki. Za łożem długi, szary pulpit. Wskaźniki, ekrany, guziki i gałki. Macki wisiały martwe, zamarłe pod różnymi kątami. Dwie maszyny na wielocłonowych nóżkach stały w pobliżu, migając światełkami. Roboty. W głębi ogromnej sali stały skrzynki, słoje i butle z organami wewnętrznymi, z okazami roślin, leżały skóry zwierząt. Dziwne muzeum czy laboratorium — mieszkanie misjonarza.

A może młodzieniec też jest tu gościem? Nie udało mu się odlecieć, utknął na tej planecie i spędzał przyjemnie czas, rządząc tubylcami?

Tak rozmyślając, pochylił się nad dziewczyną. Może jeszcze żyje?

Żyła.

Teoretycznie żyła. Raz, drugi drgnęło umierające serce. Znikł i znowu pojawił się puls. Pawłysz wyciągnął z tornistra aparat diagnostyczny, włączył go. Roboty podjechały bliżej. Pawłysz zwrócił się do nich:

— Nie przeszkadzajcie!

Maszyny niezrozumiale zaterkotały. Brzęczały.

„Lingwista” milczał — nic nie rozumiał.

Macki „diagnosty” przylgnęły do ciała dziewczyny. Ssawki pod ciśnieniem wtoczyły pod skórę umierającej różnego rodzaju stymulatory. „Diagnosta” mógł udzielić pierwszej pomocy bez konsultacji z Pawłyszem. Klapka otworzyła się, wyskoczyła plastikowa karta. Pawłysz odczytał wstępne rozpoznanie: złamania, stłuczenia, sińce, uszkodzenia narządów wewnętrznych, krwotoki. Biedna mała. Sięgnął po kieszonkową apteczkę. „Możliwe zejście śmiertelne” — zakończył rozpoznanie aparatu diagnostycznego. Wyrzucił drugą karteczkę — wyniki analiz.

Karteczka podawała skład krwi, antyciała, temperaturę. I oznajmiała, że potrzebna jest woda. Miejscowa woda.

— Słuchaj no ty — powiedział Pawłysz do robota, posługując się nastawionym na miejscowy język „lingwistą”. — Leć po wodę do strumienia! Robot nie ruszył się z miejsca.

— Nie rozumiesz, co się do ciebie mówi? Robot ani drgnął.

— Cóż, trzeba się będzie pofatygować samemu. Tylko uprzedzam — powiedział groźnie Pawłysz — dziewczyny nie wolno ruszać! Zrozumiano? Potem zwrócił się z krótkim przemówieniem do aparatu diagnostycznego:

— Zostaniesz tu, kiciu. Jakby co, daj znać. — Dostroił swój odbiornik osobisty do fali „diagnosty”. W uszach nierówno stuknęło serce Strugi, powietrze z bulgotem płynęło do płuc.

Pawłysz pocwałował do wyjścia.

Roboty tkwiły nieruchomo.

Przy wejściu do świątyni wojownicy usiłowali zatrzymać potarganą kobietę. Rwała się do wejścia, krzyczała. Kilka innych kobiet stało w pobliżu. Nie wtrącały się, tylko krzykiem podburzały szarpiącą się i przeklinały wojowników.

„Lingwista” zatrzeszczał i zaczął tłumaczyć:

„Mordercy! Zwierzęta! Robaki podziemne! Mordercy!” — „lingwista” próbował przekładać okrzyki wszystkich kobiet jednocześnie, dławił się, spieszył, sam sobie przerywał:

„Odejdź! Jak się Starszy dowie, to cię zabije! Nie gryź!” — tak krzyczeli wojownicy. I znowu:

„Mordercy! Gdzie moje dzieci!? Widziałam z dołu! Wszyscy widzieli! Nieśliście Strugę! Za coście ją zabili?! Bestie!”

Wojownicy nie chcieli używać włóczni, bali się pozostałych kobiet. Może były tam ich matki, babki, ciotki?

Pierwsze zobaczyły Pawłysza kobiety stojące z boku.

— Duuuch! — wrzasnęła przeraźliwie jedna z nich. Odskoczyły, schowały twarze w dłonie. Wojownicy zamarli. Tylko matka, nie zwracając na nic uwagi, usiłowała wedrzeć się do świątyni.

— Proszę przestać! — powiedział do niej Pawłysz. Kobieta usłyszała go. Ku zdumieniu Pawłysza nie skłoniła się jak pozostałe. Wściekłość oślepiła ją.

— Zabiłeś moje dziecko!

Wojownicy skrzyżowali włócznie, kobieta zawisła na nich.

— Jesteś ich matką? — zapytał Pawłysz.

— Morderca!

— To matka Kolca — wyjaśnił jeden z wojowników.

— I Strugi! — krzyknęła starucha, stojąca w tłumie kobiet.

— Moje dzieci! Gdzie są moje dzieci!

Kobieta ugryzła w ramię jednego z wojowników. Upuścił włócznię.

— Jesteś okrutny, duchu! Duchy to mordercy! Zabiły moje dzieci!

— Spokojnie — powiedział Pawłysz. — Jak dotąd nikogo jeszcze nie zabiłem.

— Niech przyjdzie Starszy, to dowie się, coś tu mówiła — warknął pokąsany wojownik, zdrową ręką złapawszy kobietę za włosy.

— Gdzie Struga?! Gdzie Kolec?! — krzyczała kobieta. — Byli mądrzy, dobrzy, piękni! Lepszy od was wszystkich! Za co zabiłeś Strugę?! Widziałam, jak ją nieśli! Teraz duchy wyjmą z niej serce!

— Ile razy trzeba wam powtarzać — ryknął Pawłysz chcąc przekrzyknąć hałas — że Struga żyje! Jest tylko chora! Ranna!

— Puść mnie do niej!

— Z przyjemnością. Tylko najpierw potrzeba mi wody. Dzban z wodą. Niech ktoś przyniesie!

— Woda?

— Tak, dla Strugi. Chce pić, nie rozumiecie?

— Zaraz! — krzyknęła z tłumy młoda dziewczyna i pobiegła w dół, do strumyka.

— Duch prosi o wodę! — podchwyciły inne kobiety. Jeszcze dwie czy trzy z nich pobiegły za dziewczyną. Tak jakby był jakiś postęp, pomyślał Pawłysz. Młody człowiek znów będzie niezadowolony. A w sumie haruję tu na jego dobrą opinię!

— A gdzie jest Struga? Chcę ją zobaczyć! — zwróciła się do Pawłysza matka Kolca.

— Poczekaj. Jak przyniosą wodę, to do niej pójdziemy.

— Chora?

— Wyzdrowieje — zapewnił kobietę Pawłysz. — Za pół godziny, no, może za godzinę, będzie ją można zabrać do domu.

Wojownicy uspokoiли się, usiedli na schodach u nóg Pawłysza. Matka stała pochylona, wpatrzona w ziemię. Czekwała. Rozumiała, że zasłużyła na karę, rozmawiając z duchem w taki sposób.

Krople deszczu wzbijały fontanny kurzu. Na placyku zrobiło się ciemno.

— Będzie wielki deszcz — powiedziała starucha, podobna do tej, którą Pawłysz spotkał przy strumieniu. Stała na skraju placu.

— Starucha zna się na ziołach — powiedział konfidencjonalnie wojownik.

— To dobrze! — ucieszył się Pawłysz. — Pójdzie ze mną do świątyni!

— Ludziom wolno wejść do świątyni — powiedział wojownik — tylko wtedy, gdy wezwie ich Wielki Duch.

— Nie pójdę! — oświadczyła stara. — Jeżeli Starszy odda Strugę matce, przyjdę do nich do domu. Dwie dziewczyny ciężko dysząc ciągnęły po ścieżce naczynie z wodą.

— Dajcie dzban, poniosę — zaofiarował się Pawłysz. Nie odważyły się zbliżyć do ducha. Postawiły dzban na ziemi. Pawłysz podniósł go i, wchodząc na schody, powiedział matce:

— Możesz iść ze mną.

Potem zwrócił się do wojowników:

— Was zawołam potem.

Kobieta dreptała za nim nie oglądając się za siebie. Roboty zauważyły ją i energicznie ruszyły do przodu. Pawłysz zatrzymał je:

— Damy sobie radę bez was! Stać, bo wyłączę! Nie rozumiały. Cicho szumiąc przysuwały się do kobiety. Ruszały wąsami anten. Kobieta oślepią jaskrawym światłem zmrużyła oczy. Pawłysz postawił dzban przy łożu, wyciągnął ręce i zdecydowanie odepchnął roboty. Zatrzymały się.

— Boicie się działań bezpośrednich — skomentował to Pawłysz. Zwrócił się do kobiety:

— Patrz na tę swoją Strugę, ale mi nie przeszkadzaj! Maszyny ci nic nie zrobią. — Kobieta przykucnęła u nóg Strugi, zerkając ze strachem na roboty. Szeptwała: — Co z tobą zrobili, dziecko?

„Diagnosta” zdążył już przygotować całą serię karteczek — rozpoznań. Pawłysz szybko przejrzał je. Kobieta popatrzyła z niepokojem na aparat diagnostyczny i zapytała:

— Co on robi?

— To mój przyjaciel. Małutki duch. Leczy.

Kobieta głaskała stopy córki.

Nie miał szklanki ani filiżanki. Trzeba było odkręcić przykrywkę od lampy „diagnosty” i w niej rozpuścić lekarstwo. Pawłysz dał roztwór do spróbowania „małemu duchowi”. Ten sprawdził zestaw ze swoimi danymi i zapłonęło światełko „zgoda”. Lekarz wlał zawartość przykrywki do ust Strugi. Drugą ręką kontrolował puls. Aparat diagnostyczny nie marnował czasu. Lekarstwa dały oczekiwany skutek. Struga jęknęła, podniosła obronnym gestem rękę. Otworzyła oczy. Pawłysz sądził, że dziewczyna przestraszy się, ale poznała go od razu.

— Jesteś tu? — zapytała ledwie słyszalnym głosem. — A gdzie Kolec?

— Uciekł im — odpowiedział Pawłysz.

— Gdzie byłeś przedtem? Czemu nie przyszedłeś?

— Nie wiedziałem. Nic nie wiedziałem!

— To źle. Bili mnie.

— To się więcej nie powtórzy — obiecał Pawłysz. Ale nie był pewien, że mówi prawdę. Jutro stąd odejdzie i zostawi ich bez opieki. Kim u diabła jest ten młodzieniec?

— Nie odchódź od nas — poprosiła Struga.

Przyjmowała jego obecność jako coś zupełnie naturalnego. Był jej własnym, osobistym duchem. Dobrym duchem. Wierzyła w duchy i chciała w nie wierzyć. Przecież światem, nawet tak ubogim, ludzie nie są w stanie rządzić. Wszechpotężne siły nieba i podziemia władają losami maleńkich, słabych ludzi.

— Nie odchódź — wyszeptała matka Strugi.

— Pan do reszty zwariował, Pawłysz! — ostro zabrzmiał od drzwi wysoki głos. — Tłumaczyłem, błagałem, żeby siedział pan spokojnie u Starszego. Przecież obiecał pan nie wtrącać się więcej do spraw doliny!

Młodzieniec, opędzając się od ponuro zawodzących robotów, podszedł bliżej. Na jego widok matka upadła na twarz. Był prawdziwym gospodarzem doliny.

— Dziewczyna żyje? — zdziwił się młodzieniec. — Starszy mówił, że ją zabili.

— Umarłaby, gdybym tu nie przyszedł — powiedział Pawłysz. Jego głos zabrzmiał tak surowo, że młodzieniec wyciągnął do niego w błagalnym geście ręce:

— Proszę nie myśleć, że jestem potworem. I niech pan sobie nie wyobraża, że trafił pan do jakiejś galaktycznej spelunki. Jestem panu szczerze wdzięczny za uratowanie dziewczyny. To aparat diagnostyczny? Ciekawe. Wcale nie miałem w planie śmierci dziewczyny. Ale proszę zrozumieć, że mamy do czynienia z prymitywną cywilizacją. Na tym etapie rozwoju okrucieństwo jest sprawą naturalną. Niezależnie od pana interwencji dziewczyna byłaby martwa. Tak widocznie było jej pisane.

— A to dlaczego? — zapytał rozdrażniony Pawłysz. — Kto jej wyznaczył taki los?

— Nie ja — odparł młodzieniec. — Jej życie osobiste, jej postępowanie, którym staram się kierować. Z własnej woli uciekła rankiem z doliny i zabiłaby ją Biała Śmierć. Nie wiedziałem o tym. Nie umiem czytać w myślach. Pan ją uratował. To dobrze. Ale nie minęło pół godziny i znów uciekła. Uwierzyłem Starszemu, że dziewczyna nie żyje. Uwierzyłem i to był mój błąd. Ale nie jestem nieomylny.

— W porządku — powiedział Pawłysz. — Nie będziemy się kłócić. Nie wiem nic o panu, a wydaje się, że pan wie o mnie wszystko.

— Obiecałem to wyjaśnić i wyjaśnię, kiedy pan wróci na statek.

— Nie jestem przekonany, że mogę czekać.

— Dlaczego?

— Jak by to panu powiedzieć? Jak się człowiek raz w coś wplącze...

— A kto pana o to prosił? Nie uczą was na Ziemi, że nie należy pchać nosa w nie swoje sprawy?

— A pan?

— Ja? Między nami jest ogromna różnica: ja wiem dokładnie, co robię, a pan działa na ślepo. — Wielki Duch podszedł do kobiety. — Skoro dziewczyna żyje, możesz ją zabrać do domu.

Młodzieniec nie ukrywał, że jest zadowolony z takiego obrotu rzeczy. Coś powiedział do robotów i te potoczyły się do łoża. Kobieta poderwała się, wyszczerzyła zęby, chcąc bronić córki.



— Nie bój się! — powiedział Wielki Duch. — One tylko zaniosą Strugę do wejścia.

Dziewczyna próbowała wyrwać się z krzepkich macek robotów, ale opuściły ją siły.

— Chwileczkę! — Pawłysz zwrócił się do młodzieńca. — Niech no pan odgoni swoje cerbery!

— Kogo?

Pawłysz wziął już Strugę na ręce i niósł do wyjścia. Matka szła obok podtrzymując nogi córki.

Przy wyjściu, na schodach, Pawłysz stanął nie odwracając się, powiedział do Wielkiego Ducha:

— Niech ją odniosą wojownicy!

— Właśnie chciałem im to polecić.

Odprowadziwszy wzrokiem wojowników, którzy tym razem nieśli dziewczynę ostrożnie i delikatnie, Pawłysz wrócił do świątyni.

— Mam nadzieję, że Starszy nie będzie jej prześladował — powiedział.

— Uprzedzę go — zapewnił młodzieniec, wskazując ręką na jeszcze ciepłe od ciała Strugi łoże.

Pawłysz podniósł z podłogi „diagnostę”, usiadł. Młodzieniec podszedł do pulpitu, sprawdził wskazania przyrządów.

— Nadchodzi silna burza — powiedział.

— Niepokoi to pana?

— Część wojowników została nad rzeką ze Starszym. Szukają Kolca.

— Zabiją go?

— Kazałem wziąć go żywcem.

— Jeżeli odda się w ich ręce — zauważył Pawłysz — i jeżeli opanują chęć zabijania.

— Powinni już wrócić. Szukają go u stóp skał. Na tamym brzegu go nie ma.

— Sprawdził pan to?

— Tak. Wojownicy donieśli, że przeprowił się przez rzekę. Obawiam się jednak, że im się tylko wydawało. Boją się przebywać nad rzeką, gdzie mieszkają plemiona dzikich. Niepokoi mnie to, że Kolec mógłby znaleźć z nimi wspólny język.

— No i dobrze, niech się dogadają. Wolałby pan, żeby go zabili?

— Lepiej niech umrze — sucho stwierdził młodzieniec.

— A to dlaczego? Może już dosyć tych zagadek?

Zdenerwowany młodzieniec wpadł na łoże i Pawłysz już—już miał na końcu języka: „Ostrożnie! uderzy się pan!” ale nie zdążył: nogi młodego człowieka przeszły przez mebel, zupełnie jakby zostały odcięte pod kolanami. Krok — i młodzieniec cały i zdrow stał po drugiej stronie łoża, nawet nie zauważywszy, że tak swobodnie przeniknął przez całkiem materialny przedmiot.

— Nie mogę nalegać, żeby pan stąd odszedł — powiedział. — Nie mogę wyrzucić pana siłą.

Pawłysz zaparł się. Podejrzewał, że jeżeli da się stąd usunąć, nigdy nie będzie wiedział, co się właściwie zdarzyło.

— Trochę boję się zmoknąć — uśmiechnął się.

— Przecież ma pan skafander — nie docenił dowcipu młodzieniec.

— Tak czy inaczej boję się. Proponuję kompromis: pan mi krótko opowie, co pan tu robi, a ja opuszczę pańskie włości.

— Włości? Nie rozumiem tego słowa...

— Pańską posiadłość.

— Dokładniej: nasze laboratorium — powiedział młodzieniec. — Proszę minutę zaczekać. Tylko minutę!

I zniknął. Rozpłynął się w powietrzu. Strzałki przyborów zatańczyły i zamarły. Roboty stały nieruchomo. Przywykły do tego, że ich pan zapada się pod ziemię. Pawłysz mimo woli obejrzał się.

Może młodzieniec pojawił się już za jego plecami? Ale nie.

Młodzieniec pojawił się na tym samym miejscu, z którego zniknął.

— Nie nudziło się panu?

— Dlaczego?

— Nie było mnie trzy minuty.

Pawłysz westchnął i powiedział:

— Przywykłem już tu do wszystkiego. Ma pan ochotę usiąść?

— Nie, nie jestem zmęczony. I wygodniej mi tak rozmawiać. Kwestia przyzwyczajenia.

— A gdzie pan był?

— Ja? Wyłączałem się. Musiałem wyjść z laboratorium. A propos — dowiedziałem się, że „Segeża” wyszła już z nadprzestrzeni i jest w tym układzie. Może pan więc oczekiwać gości.

— Dziękuję — powiedział Pawłysz. — Jest pan dobrze poinformowany.

— Rzecz w tym, że nie całkiem. Gdyby tak było, nie miałbym kłopotów ze znalezieniem pana.

Otrzymałem rozkaz wyjaśnienia wszystkiego, żeby nie doszło do dalszych nieporozumień.

No, wreszcie! — pomyślał Pawłysz. Słuchać młodzieńca nie było łatwo. Biegał po pokoju, wymachiwał rękami, zniknął i pojawiał się w nieoczekiwanych miejscach. Pawłysz cały czas musiał kręcić głową, żeby nie stracić rozmówcy z oczu.

— Mnie tu nie ma — powiedział młodzieniec. — Nie wiem, czy pan to już zrozumiał. Jestem daleko stąd, na innej planecie. U siebie w domu, w laboratorium. To, co pan widzi, to moja trójwymiarowa kopia. Wyobrażenie, którym kieruję.

— A ja myślałem, że jest pan zdolny do przenikania przez ściany.

— Niestety nie. Takie rzeczy może robić tylko optyczny sobowtór. Młodzieniec szybko podszedł do Pawłysza. Ciało instynktownie zareagowało na możliwość uderzenia i mózg nie zdążył wydać mu rozkazu, aby nie ruszało z miejsca. Młodzieniec wtopił się na moment w Pawłysza i pojawił za nim.

Rozległ się ironiczny głos:

— Zrobiło się ciemno, kiedy pańskie oczy znalazły się wewnątrz mnie?

— Mówiąc szczerze, nie wiem. Przymknąłem oczy — przyznał Pawłysz. — Pan powtarza wszystkie ruchy swego sobowtóra?

— Nie, to bardziej skomplikowane. Musiałbym godzinami biegać. Nie byłoby to najwygodniejsze. Najczęściej, jeżeli nie muszę opuszczać świątyni, powtarzam ruchy, które wykonuje moja kopia. Na przykład w tej chwili. Laboratorium przypomina pomieszczenia świątyni. Tylko w wyjątkowych wypadkach moja kopia wychodzi na zewnątrz. Wtedy kieruję nią jak kukielką.

— A normalnie nie ma takiej potrzeby?

— Nie. Ja, czyli moja kopia, przebywam w świątyni. Starszy przychodzi tu po rady i rozkazy. Stąd mogę obserwować wszystko, co dzieje się we wsi. Niech pan spojrzy!

Młodzieniec powiedział coś do robota i ten potoczył się do pulpitu. Jeden z ekranów zamigotał i zamienił w owalne okno, wyciosane w skale niedaleko od ostatniej chałupy w dolinie. Widać stąd było dróżkę, prowadzącą w dół potoku. Przed drugą z brzegu chatą stali dwaj wojownicy, o czymś tam rozmawiali, nie spiesząc się z powrotem w górę. Opodał plotkowały kobiety, jedna z nich pobiegnęła do chałupy.

Na rozkaz młodzieńca robot powiększył obraz tak, że twarz młodszego z wojowników zajęła cały ekran. Widać było każdy włos, kiel, przygryzający dolną wargę, czarne żyłki na żółtej źrenicy. Wojownik obejrzał się, popatrzył wprost na Pawłysza.

— Nie widzi nas — powiedział młodzieniec. — Nadajnik jest doskonale zamaskowany. Mam jeszcze kilka takich ekranów, które kontrolują różne punkty doliny. Zamontowaliśmy je w czasie

ekspedycji.

Twarz zmniejszyła się i odpłynęła w dal. Widać było znów całą wieś.

— Jesteście tu czymś w rodzaju ekipy etnograficznej?

— Niezupełnie. Jesteśmy rzeczywiście wielkimi duchami doliny, władcami tych wszystkich istot.

Deszcz, do tej pory drobny, nagle zamienił się w potężną ulewę, która zapędziła kobiety i wojowników do chat.

— Szkoda, że nie mamy ekranów w chałupach. Ale to niestety niemożliwe, dopóki nie nauczą się budować domów z kamienia. Przesiedlić ich do pieczar się nie udało. Są zbyt wilgotne.

Deszcz chłostał ziemię, woda żłobiła kanaliki, ściekała do strumienia, który błyskawicznie zamieniał się w rwącą rzekę.

— Odkryliśmy tę planetę jakieś sto lat temu. Żyli tu kanibale, hordy dzikusów. Rozum dopiero się budził. Mieliśmy nadzwyczajne szczęście, nie sądzi pan?

— No! — zgodził się Pawłysz.

— Ruszyliśmy w kosmos wcześniej, niż mieszkańcy Ziemi. Widzieliśmy więcej, więcej wiemy. Ale tylko tu udało nam się zaobserwować interesujący moment: rodzenie się cywilizacji, zaranie rozumu. Mogliśmy zbudować tu bazę, przekształcić planetę tak, aby służyła naszym potrzebom. Ale niczego nie zmienialiśmy, chcemy obserwować, jak rozwija się życie: pokolenie następuje za pokoleniem, uczą się rozpalać ogień, wymyślają koło, odrywają się od ziemi, ulatują w niebo. Wiemy oczywiście, że trzeba na to tysiącleci.

Młodzieniec skinął na robota. Robot podtoczył się do pulpitu, włączył jeszcze jeden ekran. Dolina tonęła w strugach wody.

— Nic tu nie widać — powiedział młodzieniec. — Gdzie podziali się wojownicy?

Strumyk wyglądał już jak rzeka, żółta woda zbliżała się do chat, niosła ze sobą zapomniany na ścieżce dzban.

— Zamontowaliśmy ekrany w różnych punktach planety, żeby móc przyglądać się życiu jej mieszkańców. Ale to było za mało. Jesteśmy uczonymi. Porwała nas wizja przeprowadzenia tego eksperymentu. I tak siedemdziesiąt lat temu wedle ziemskich miar czasu wywalczyliśmy nareszcie zgodę na dokonanie tego doświadczenia. Ma ono na celu dobro planety. Znaleźliśmy dolinę wystarczająco odosobnioną i łatwą do kontrolowania, w której mieszkało małe plemię. Przylecieliśmy tu, założyliśmy w górach bazę. Naszym pierwszym posunięciem było zamknięcie jedyne naturalnego wyjścia z doliny. Przynajmniej wtedy sądziliśmy, że było to wyjście jedyne. Jedną z pieczar przystosowaliśmy do potrzeb centrum obserwacyjnego, ustawiliśmy tu aparaturę radiową i kontrolną, ekrany i to wszystko, co mogło być potrzebne do śledzenia życia mieszkańców wsi. Potem ekspedycja odleciała. W laboratorium został mój poprzednik, a dokładniej jego kopia.

W ten sposób pieczara awansowała na świątynię, a on został Wielkim Duchem.

— Zaczęliście ingerować w rozwój planety?

— Tak. Postanowiliśmy przyspieszyć ewolucję. Przy czym jeszcze raz podkreślam, nie w skali całej planety. Prowadzimy nowe, na swój sposób fascynujące doświadczenie nad rozwojem małej grupy. Ale ulewa! — krzyknął nagle — duża rzeka wystąpiła z brzegów! Czegoś takiego jeszcze tu nie było! Żeby pan tu nie utknął, zanim woda się nie cofnie...

— Może być i tak — zgodził się obojętnie Pawłysz. Opowiadanie wciągnęło go. — Jak przestanie padać, woda opadnie. Oberwanie chmury nie trwa wiecznie.

— Nie mogliśmy czekać tysiąc lat, aż dzicy nauczą się krzesać ogień, ani dziesięć tysięcy, nim wymyślą koło. Ale mogliśmy nauczyć grupę ludzi, jak rozpalić ognisko. I druga sprawa: sądzimy, że ewolucja fizyczna mieszkańców doliny nie jest jeszcze zakończona i można na nią wpływać.

Genetycznie. Mój poprzednik spędził za tym pulpitem pięćdziesiąt lat. Ja jestem tu już od lat piętnastu.

— W jakim pan jest wieku?

— Nie jestem już młody — uśmiechnął się młodzieniec. Spieszył się: — Każde urodzone we wsi dziecko przynoszą do świątyni. Wojownicy zostawiają je w przedsionku i potem dziecko trafia do rąk robotów. Dokładnie je badają i informacje o jego cechach genetycznych przekazują do laboratorium. Jeżeli błędy genetyczne nadają się do skorygowania, poprawia się je. Jeżeli zaś dziecko nie jest zdolne w przyszłości do posiadania prawidłowego potomstwa, podejmujemy odpowiednie kroki. Część osobników likwidujemy. Dolina nie jest wielka i trzeba starannie dbać o jakość i ilość jej mieszkańców.

— Zbędnych zabijacie?

— Dla dobra pozostałych. Gdyby nie to, dolina byłaby już za ciasna. A przecież nie możemy dostarczać tu pokarmu czy przyganiać stad długonogów. Niech pan nie patrzy na mnie jak na potwora. Pan zapomina, Pawłysz, że trwa tu eksperyment, którego celem jest przyspieszenie ewolucji czyli dobro planety. Jeżeli nie wyeliminujemy jednostek niepełnowartościowych, wyrosną z nich idioci albo bezpłodne mutanty. I tak umrą, ale przedtem zmniejszą przypadającą na mieszkańców doliny ilość pożywienia.

— Ale dlaczego nie pozwolicie niektórym mieszkańcom doliny na opuszczenie jej?

— Dlatego, że jest to eksperyment, który (a jako uczoney powinien pan to doskonale wiedzieć) powinien przebiegać w warunkach izolacji. Czynniki zewnętrzne są zbyt skomplikowane, abyśmy mogli uwzględnić je w doświadczeniu. Reszta mieszkańców planety stanowi dla nas grupę kontrolną. Tylko wtedy, kiedy dolina będzie całkowicie zamknięta, będziemy mogli porównywać bieg procesów ewolucyjnych. Na czym to skończyliśmy? Aha! Więc, jak mówiłem, bacznie obserwujemy każde dziecko, śledzimy jego rozwój, dobieramy mu potencjalnego partnera. To, do czego przyroda dochodzi metodą prób i błędów, my osiągamy starając się eliminować pomyłki. I wreszcie pewnego pięknego dnia wzywamy trochę podrośnięte już dzieci do świątyni, gdzie na nowo je badamy i wprowadzamy w ich mózgi potrzebne nam poglądy, wiedzę, instynkty i odruchy warunkowe. Poddajemy podrostki ukierunkowanemu promieniowaniu, żeby ich potomstwo wykazało odpowiadające nam cechy. A naszą wolę oznajmia im Starszy. Opuszczając świątynię chłopcy nie wiedzą, co się z nimi działo. Pamiętają tylko blask Wielkiego Ducha i to, że jego rozkazom nie wolno się sprzeciwiać.

— I nigdy nikt się w dolinie nie zbuntował?

— Tego nigdy nie da się przewidzieć. Nie jesteśmy czarodziejami, tylko uczonymi, akuszerami nowej cywilizacji. Być może dla obserwatora z boku nasza działalność jest niehumanitarna, ale...

Pawłysz przerwał mu:

— Doskonale zna pan mój język. Skąd?

— Niech mi pan tego lepiej nie przypomina! Musiałem wytrzymać iniekcje informacyjne. Myślę, że dzięki temu lepiej znam język rosyjski niż pan, mam większy zasób słów.

— Być może — zgodził się potulnie Pawłysz. — Na pańskiej planecie jest magazyn informacji językowej?

— Tak, i są w nim podstawowe języki. Roztwór informacji wprowadza się wprost do mózgu.

Młodzieniec zamilkł na chwilę. Potem mówił dalej:

— Takie roztwory są w naszym eksperymencie niezbędne. Na innych planetach mieszkańcy uczyli się przez tysiąclecia, jak uprawiać ziemię. W dolinie wystarczyło na to pół godziny. Wychodząc ze świątyni, opracowani przez nas tubylcy wiedzieli o siewie, orce i sprzęcie zbóż wszystko, co

powinni wiedzieć.

Pawłysz wstał z łoża, podszedł do młodzieńca i stanął w odległości dwóch kroków od niego. Uczucie, że można wetknąć rękę w ciało rozmówcy, nie należało do przyjemnych.

— Słyszał pan kiedyś o jezuickiej zasadzie, że cel uświęca środki?

— Kiedy w zoo zamykacie zwierzęta w klatkach, to wcale nie jesteście wobec nich okrutni. Zmuszacie je do występów w cyrku. Ciągną dla was ciężary. Kroicie małpy, wszczepiacie im straszliwe choroby... — spokojnie mówił młodzieniec.

— Ale my to robimy dla ludzi! Jest różnica między człowiekiem a zwierzęciem. Rozum!

— A gdzie zaczyna się rozum? Czy czynności małp są tylko instynktowne? Powiedział pan, że prowadzicie eksperymenty w imię dobra człowieka, pana przyrody, istoty, która wywalczyła sobie prawo do nazwy „rozumna”. Mieszkańcy planety są na początku tej walki. Potrzebny im mistrz, nauczyciel, bo droga, którą idą, nie jest łatwa. Możemy im pomóc. W końcu, skracając tę drogę, chronimy ich przed niepotrzebnymi ofiarami. Reaguje pan bardzo emocjonalnie. Prawdziwy uczony nie powinien podlegać emocjom, bo może to doprowadzić do zupełnie zbędnych tragedii.

— Owszem — zgodził się Pawłysz. — Kieruję się uczuciami, ale rozmawiałem z tymi waszymi królikami doświadczalnymi, ze Starszym...

— Starszy to tęga głowa, wspaniała mutacja. Był dumą mojego poprzednika.

— No i widzi pan! Dla mnie jest odrażający.

— Znowu emocje. Starszy to pomocnik bogów. Kiedyś wdzięczni potomkowie postawią mu w tej dolinie pomnik.

— Ale rozmawiałem też ze Strugą, z Kolcem. Czy pan się zastanawiał, co zmusiło ich do ryzykowania życiem i ucieczki z doliny? Instynkt?

— To nie jest całkiem tak. Kolec dostał się pod wpływ Obcego. Obcy był spoza doliny, dostał się tu przypadkowo, nie znaną nam drogą przez góry. Pozwoliliśmy mu tu zostać, bo wydawało się, że jego wpływ będzie bardzo słaby. Poza tym odnowienie garnituru genetycznego mieszkańców doliny mogło być nawet interesujące. Pomyliliśmy się. Po pewnym czasie trzeba go było zlikwidować.

— Dlaczego?

— Nie zżył się z doliną. Był przyzwyczajony do wielkich przestrzeni. Znajdował się przy tym na niższym stopniu rozwoju niż nasi podopieczni.

Nawet aparat mowy miał rozwinięty niedostatecznie. Chętnie wypuścilibyśmy go na wolność. Chciałem z jego pamięci usunąć wszystko, co przeżył w dolinie, i polecieć wojownikom, żeby zanieśli go nad rzekę. Ale nim zdążyłem zrealizować ten plan, Obcy uciekł. Przynieśli go w zupełnie beznadziejnym stanie. I tak musiał umrzeć. Nasza nadmierna miękkość doprowadziła do bardzo nieprzyjemnej sytuacji.

— Bardzo lekko pan o tym wszystkim mówi.

— Mnie osobiście szczerze żal tych istot. Przecież szkoda każdego żywego stworzenia, czy jest rozumne, czy nie. Ale muszę panu wyznać, że nie jesteśmy jedyną władzą w dolinie. Starszy ma tu wiele do powiedzenia. Jego siła opiera się na obyczajach doliny, na które nie tylko my mieliśmy wpływ. Zbiorowa mądrość plemienia też stanowi liczący się czynnik. Przez siedemdziesiąt lat formowała się tu mitologia, tradycja i obyczaje. Na przykład chorych i rannych plemię oddaje na ofiarę bogom. Przeszkadzają oni bowiem plemieniu, żywemu organizmowi społecznemu, który w ten sposób się ich pozbywa. Kiedy po raz pierwszy zetknęliśmy się z tubylcami, po prostu zjadali się nawzajem. Teraz niepotrzebne jednostki zabijają i przynoszą nam do świątyni. Gdyby nie my, dalej pożeraliby słabych i chorych. Obcy został oddany bogom. Ale przedtem zdążył zaszcześcić niepokój

w życie doliny. Przekazał swojej córce, Strudze, i przybranemu synowi tęsknotę do otwartej przestrzeni.

— Sam pan sobie przeczy. Tęsknota to uczucie dostępne tylko istotom rozumnym.

— Po prostu wyraziłem się nieściśle. Nie tęsknotę, lecz potrzebę wyrwania się z doliny nad rzekę, gdzie jest dużo pożywienia. Odwoływał się do żołądka, nie do rozumu. Przyjemniej jest jeść mięso niż zboże. Nauczylismy aborygenów uprawy roli i w ten sposób, częściowo świadomie, a częściowo dzięki koniecznej zmianie warunków życia, zmniejszył się udział mięsa w ich diecie. Kolec jest młodym i energicznym przedstawicielem plemienia. Proszę mu się dokładnie przyjrzeć: jego pokrywa włosowa jest rzadsza niż u innych, jest wyższy, trzyma się prosto. Pokładałem w nim wielkie nadzieje. Ciekawe byłoby sprawdzić, jakie potomstwo mógłby spłodzić z córką Starszego. Niezwykle interesujący problem. Może w ten sposób plemię wykonałoby duży skok naprzód, co oszczędziłoby nam wielu dziesięcioleci? Do tej pory nie tracę nadziei, że Kolec się znajdzie.

— A Struga?

— Struga? Ma fatalne obciążenie dziedziczne. Jest zbyt uczuciowa. Nie chciałbym, aby w ogóle miała dzieci.

Pawłysz poczuł, że rozmowa przestaje go interesować. Nie mógł zrozumieć, dlaczego. Jakby już to wszystko kiedyś słyszał. Wiedział, co powie młody człowiek, nim ten otworzył usta, znał przygniatającą moc jego argumentów.

Wiedział nawet, że żadna siła nie jest w stanie zachwiać głębokim przekonaniem eksperymentatora o słuszności i niezbędności prowadzonych przez niego badań.

Od chwili urodzenia całe życie dziecka było już zaplanowane przez wyzute z wszelkich uczuć automaty. Kiedy i z kim się ożeni, ile będzie miało dzieci, co będzie robiło. I jeżeli ktoś próbował walczyć ze swym losem, zostawał okrutnie ukarany przez Wielkiego Ducha i jego sługi — wojowników Starszego.

I jeżeli do tej pory los Strugi i Kolca nie był Pawłyszowi obojętny tylko dlatego, że uratował ich od śmierci i w ten sposób wyróżnił z tłumu mieszkańców doliny, to teraz zobaczył w uciekinierach herosów greckiej tragedii, którzy powstali przeciw swemu przeznaczeniu. I jak prawdziwi bohaterowie nie poddawali się.

— Może chciałby pan zapytać — doszedł do Pawłysza równy, obojętny głos — czy uczucie, którym powoduje się Struga, można nazwać miłością. Być może tak. Jako miłość możemy też określić stosunki między zwierzętami. Wszak samica idzie wszędzie za swym samcem. W każdym razie jestem przekonany, że to właśnie genetyczne obciążenie Strugi, jej pierwotna dzikość, którą odziedziczyła po ojcu, rozbudziła w Kolcu atawistyczne instynkty, instynkty drapieżnika, pragnącego zatopić kły w ciepłym boku długonoga.

— Proszę spojrzeć, ktoś idzie — przerwał mu Pawłysz. Roboty jak na komendę potoczyły się do wyjścia, skąd rozległ się stuk.

— Starszy — powiedział z ulgą młodzieniec. — On tak stuka. To umówiony znak. Nie wolno mu tu wchodzić, choć podejrzewam, że nieraz złamał ten zakaz.

Szybko podszedł do drzwi.

Pawłysz nie ruszył się z miejsca. Roboty patrzyły na niego surowo. A może tylko mu się wydawało? Czyżby złapali Kolca? Na pewno go nie zabiją. To zbyt cenny materiał genetyczny. Jest im potrzebny. Ale nigdy więcej nie zobaczy szerokiej równiny. I nigdy już Struga nie będzie biegła u jego boku. Przecież od Kolca w dużej mierze zależy powodzenie wielkiego eksperymentu...

Pawłysz podszedł do nastawionego na rzekę ekranu. Ulewa trwała. Rzeka wystąpiła z brzegów, podchodziła już do skał, wierzchołki drzew sterczały nad wodą jak ciemne wzgórki. W żaden sposób

nie da się teraz dojść do statku.

— Odesłałem go — powiedział młodzieniec, wróciwszy do laboratorium. — Nie złapali Kolca i mam podstawy sadzać, że utonął w rzece.

Podszedł do ekranu, spojrzął na szalejącą wodę:

— Nie, nie mógł ocaleć.

Smutnie westchnął:

— To był wspaniały samiec. Z czasem zostałby wodzem plemienia.

— Mnie też go żal — powiedział Pawłysz — ale inaczej. Nie z powodu eksperymentu.

— Wiem — młodzieniec gorzko się uśmiechnął i rozłożył długie, nerwowe ręce. — Ale cóż robić? Rozum zaleca wzajemną tolerancję. Zmęczyłem się dzisiaj, trzeba odpocząć.

Raz jeszcze spojrzął na ekran, potem odwrócił się do Pawłysza:

— Próba powrotu na statek byłaby teraz niepotrzebnym ryzykiem. Proszę zostać tutaj. Nikt nie będzie pana niepokoił. Za parę godzin ulewa minie. W rzece woda opadnie szybko. Proszę spać, pan też jest zmęczony.

— Dziękuję — odpowiedział Pawłysz. — Skorzystam z pańskiego zaproszenia. Bardzo chciałbym, żeby chłopak przeżył.

— Nie zdaje pan sobie sprawy, jak niewiele znaczy życie dla pierwotnych plemion. Za kilka dni wszyscy, nie wyłączając Strugi, zapomną o tym młodym stworzeniu.

— A propos — zapytał Pawłysz. — Jeżeli odizolowaliście tak niewielkie plemię, to czy nie grozi mu degeneracja?

— Tak, to ważny problem. I za kilka lat odezwie się z całą ostrością. Od początku eksperymentu minęło dopiero pięć, sześć pokoleń. Żyją krócej niż pan czy ja, a mimo to widać już oznaki degeneracji. Wpływamy na strukturę genetyczną, sprawdzamy rozliczne mutacje — kusi nas czasem, żeby wyhodować zupełnie nową rasę, na przykład istoty o trzech oczach czy dwóch ogonach. Niewykluczone, że na innym kontynencie tej planety wybudujemy drugie laboratorium, gdzie będzie się badać różne warianty ewolucji fizjologicznej. Spróbujemy konkurować z naturą.

— Dobranoc! — powiedział Pawłysz.

— Ma pan coś do jedzenia?

— Tak. Nie jestem zresztą głodny. Zmęczyłem się.

— Idę! — oświadczył młodzieniec. — Czasem ta praca strasznie mnie nuży. Chciałoby się wyjechać na rok, dwa, odpocząć, podsumować osiągnięcia...

— A co pana tu trzyma?

— Poczucie odpowiedzialności. Nie mogę zostawić doliny na łasce losu. Każdy dzień jest brzemienny w niespodzianki. Jestem nauczycielem i moje miejsce jest tutaj. Poza mną nikt tak dobrze nie zna mieszkańców doliny, ich przyzwyczajień, skłonności.

— Jest pan człowiekiem sukcesu.

— Tak — zgodził się młodzieniec. W tym momencie podobny był do misjonarza, gotowego iść na stos w kraju pogan i pełnego dumy z tego powodu. — Jaki to będzie piękny dzień, kiedy będę im mógł powiedzieć:

Dzieci moje! Jesteście rozumni! Mistrz nie jest wam więcej potrzebny. Mam nadzieję dożyć tej chwili!

— Tylko czy ona nastąpi? — z powątpiewaniem zauważył Pawłysz.

# Koniec

Młodzieniec rozpląnął się w powietrzu, zgasły ekrany, roboty odtoczyły się pod ścianę, i drzwi, bezszelestnie sunąc w prowadnicach, opadły w dół. Pawłysz poczuł, że strasznie chce mu się spać.

Starannie ułożył swoje rzeczy na podłodze. W czasie snu maska, której nie zdjął, zsunęła mu się z twarzy, ale nie zauważył tego — młodzieniec widocznie rozkazał robotom zwiększyć zawartość tlenu w pomieszczeniu.

Kiedy się obudził, młodego człowieka jeszcze nie było. Może spał? Albo wezwali go zwierzchnicy na jakieś zebranie? A może po prostu siedzi w swoim laboratorium i duma, jak pozbyć się Pawłysza i naprawić wszystko, co popsuł niespokojny Ziemianin?

Nie było jak umyć zębów, wody do mycia też nie było. Pawłysz stanął na głowie, pomajtał nogami, żeby rozruszać krew w żyłach. Roboty przysunęły się, włączyły przyrządy — widocznie rejestrowały niezwykle zachowanie, które pewnie uważały za część eksperymentu. Jadł śniadanie bez pośpiechu. Musiał się jeszcze zastanowić, czy od razu, jak przyjdzie młodzieniec, iść na statek — nie wypada demolować cudzego laboratorium tylko dlatego, że wedle własnej miary osądza się obcą cywilizację — czy też odwlekać odejście, zostać tu jeszcze jeden dzień, dowiedzieć się czegoś więcej o mieszkańcach doliny i przy okazji o misjonarzu, żeby móc wrócić do sporu z nim, dysponując faktami, a nie tylko emocjami.

Zdecydowawszy się na drugi wariant, podszedł do pulpitu i dojadając kanapkę usiłował zorientować się, jak włączyć ekrany. Zaniepokojony robot podtoczył się bliżej. Ale Pawłysz zdążył już nacisnąć odpowiedni guzik.

Ekran nastawiony na wieś pokazywał zalaną wodą dolinę. Woda sięgała już podłóg chat. Wieś i dolina za nią tonęły w delikatnym srebrzystym świetle — słońce przebijało się przez chmury. Deszcz ustawał.

Drugi ekran, patrzący w stronę rzeki, także okazał się oknem na srebrny dzień, dzień podobny chyba do ostatniego dnia potopu, w którym Bóg zatrzymał już na Ziemi deszcze, ale nie rozpędził chmur. Z powrotem na statek przyjdzie chyba poczekać.

Siedzieć w zamknięciu Pawłysz nie miał ochoty. Dojadł kanapkę, wypił kawę i zaczął się ubierać. Jeszcze zatrzaśnięcie przyłbicy i można będzie opuścić tę smutną świątynię. Młodzieńca nie było widać.

Przez ostatnie pół godziny Pawłysz wymienił w kamerach taśmy, dokładnie obejrzał swoje więzienie, próbował znaleźć sposób na nawiązanie łączności z laboratorium i popędzić młodzieńca. Postanowił naciskać wszystkie guziki po kolei. Dotykał już pierwszego rzędu przycisków, kiedy na ekranie zauważył ruch. Zastygł z ręką w powietrzu.

Maszerując po błocie i wodzie zbliżali się do wsi wojownicy. Starszy dreptał za nimi, czasami szeroko otwierał usta — widocznie poganiał ich, wydawał jakieś rozkazy. Wieś milczała. Nikt nie wyjrzał z chałupy, nie wyszedł na spotkanie.

Pawłysz pragnął, żeby przeszli obok domu Strugi i poszli dalej, zając się swoimi sprawami: polowaniem na ogromne muchy, sprawdzaniem, czy Biała Śmierć nie zostawiła potomstwa,



czymkolwiek. Ale wojownicy zatrzymali się przed wejściem do domu rannej dziewczyny. Starszy stanął przed nimi i zaczął coś wykrzykiwać. Wojownicy stali, patrząc tępo przed siebie, tak jak powinni stać zdyscyplinowani żołnierze wszystkich miejsc i czasów. Pawłysz machinalnie wyciągnął rękę, odszukał gałkę strojenia — obraz przybliżył się.

Matka Strugi wyjrzała na zewnątrz, wypęzła z chałupy, mając chyba nadzieję, że przebłaga Starszego. Ten jednak krótkim gestem wskazał ją wojownikom. Schwycili kobietę i odciągnęli dalej. I tylko Starszy odważył się wejść do chaty. Ubezpieczało go dwóch wojowników. Operacja była przeprowadzona bezbłędnie. W gestach Starszego można było wyczuć bezkarność małego tyrana, za którego plecami stoi potężna siła.

Pawłysz krzyknął do stojącego obok robota:

— Otwórz drzwi!

Robot nawet nie drgnął.

Pawłysz włączył „lingwistę”, powtórzył rozkaz, ale „lingwista” poprzedniego dnia nie wchłonął wystarczającej ilości informacji. Język robotów był mu obcy.

— A niech was szlag trafi! — zaklął Pawłysz. Podbiegł do drzwi i próbował znaleźć uruchamiający je mechanizm. Niestety, wieczorem nie przyjrzał się dokładnie czynnościom zamykających drzwi robotów. Rąbnął w nie pięścią. Zabrzęczały głucho, ale nawet się nie zachwiały.

Wrócił do pulpity. Trzeba będzie zachować się jak źle wychowany słoń w składzie porcelany.

Starszy tyłem wycofywał się z chałupy. Za nim wyleciała na zewnątrz znająca się na ziołach starucha. Upadła twarzą w błoto, ale żaden z wojowników nie ruszył się, żeby ją podnieść. Dwaj z nich powlekli nad strumień chorą dziewczynę.

Pawłysz nie miał siły dłużej czekać. Nacisnął kilka guzików naraz. Pulpit rozjarzył się światłkami, zadrgały wskazówki wskaźników. Robot próbował odsunąć go od przyborów, ale zdenerwowany Pawłysz popchnął go wprost na drugiego robota, który spieszył na pomoc zaatakowanemu koledze.

Pawłysz naciskał guziki coraz energiczniej. Ktoś wreszcie powinien go usłyszeć! Powinno wreszcie dotrzeć do kogoś, że w świątyni dzieje się coś niedobrego!

Wojownicy nieśli Strugę w stronę ścieżki. Może do świątyni? A może do pieczary Starszego?

— Durnie! Mało wam tego, co zrobiliście z nią wczoraj?!

Starszy szedł za nimi. To on był Przeznaczeniem. Mały Wielki Duch. Za jego plecami ludzie wypełzali z chałup. Ktoś pomógł staruszce pozbierać się.

Równocześnie na drugim ekranie mignęło coś czarnego. Pawłysz spojrzał i zobaczył, że po rzece, ledwie odróżniając się od porwanych przez wodę pni, płynie długa dębanka. Ludzie w niej wyglądali jak pionowe kreseczki. Łódka zbliżała się. Pawłysz powiększył obraz i znowu spojrzał na pierwszy ekran. Matka Strugi rzuciła się na wojowników, wczepiła się w pierś Starszego. Starszy szarpnął się do przodu, wyszczerzył zęby, przykucnął — zupełnie jakby się przestraszył.

Krzyknął. Jeden z wojowników odwrócił się i uniósł włącznik nad głową kobiety.

Łódka skręcała, zbliżała się do urwiska, płynęła wprost na kamerę. Może w łódce jest Kolec?

Kobieta przewróciła się w kałużę, dostała drgawek i woda ciemniała od jej krwi. Wojownicy nadal szli bez pośpiechu. Starszy dogonił ich. Ludzie z chałup podchodzili do leżącej kobiety. Milczeli.

Łódka zbliżyła się do urwiska.

— Co tu się dzieje, Pawłysz? Postanowił pan zdemolować laboratorium? Tego jeszcze brakowało! Zaczynam przeklinać dzień...

Pawłysz wyłączył drugi ekran. Nie chciał, żeby młodzieniec spostrzegł łódkę. Miał nadzieję, że na jej dziobie stoi Kolec, który miał zginąć w czasie powodzi. Uparty Kolec.

— Zabili ją — powiedział. — Niech pan patrzy! Czy to też było przewidziane w eksperymencie?

— To rzeczywiście incydent godny pożalowania — zgodził się młodzieniec. Jeszcze bardziej powiększył obraz i na ekranie widać było tylko plecy pochylonych nad zabitą ludzi. Włochate, przygięte plecy.

— Jak to się stało?

— Niech pan otworzy drzwi! — krzyknął Pawłysz. — Wloką Strugę na górę! Starszy przejmuje władzę w swoje ręce!

— Proszę się uspokoić — powiedział młodzieniec. — Na wczesnych etapach rozwoju społeczeństwa władza jest ograniczona.

— Sam mnie pan przekonywał, że kontrolujecie wszystko, co się dzieje w dolinie. Może po prostu Struga jako typ nieustabilizowany psychicznie przeszkadza wam w prawidłowym przebiegu eksperymentu?

Pawłysz dostrzegł, że drzwi powoli otwierają się.

— Proszę tu poczekać — rozkazał młodzieniec. — Dam sobie radę bez pana. Nie mamy prawa podrywać autorytetu Starszego. Jest nam bardziej potrzebny, niż połowa mieszkańców doliny.

Pawłysz nie posłuchał młodzieńca. Wybiegł za nim ze świątyni. Orszak zbliżał się.

— Stójcie! — głos młodzieńca niósł się po całej dolinie.

Ciekawe, pomyślał Pawłysz, jak oni rozwiązali problem przenoszenia dźwięku? Wojownicy stanęli. Rzucili Strugę na ziemię.

— Starszy, wejdz do świątyni! — rozkazał młodzieniec.

— Jestem posłuszny, Wielki Duchu! — odparł Starszy, chyląc się w niskim pokłonie. Ruszył po kamiennych schodach. Zatrzymał się przed Duchem.

— Struga nie będzie żyła — powiedział po prostu.

— Nie dałem ci takiego rozkazu.

— Struga nie będzie żyła. Jeżeli będzie żyła, to jutro dwóch, trzech, czterech ucieknie z doliny. Powiedzą: Starszy już nie jest potężny. Duch opuścił go.

— Zabiłeś jej matkę?

— Podniosła na mnie rękę, chciała zabić. Moi wojownicy byli szybsi.

Młodzieniec rozłożył ręce:

— Sam pan widzi, że to wszystko brzmi logicznie;

— I pan się z tym zgadza?

— Starszy nie myśli o sobie. Myśli o losie plemienia.

— Wygodne usprawiedliwienie!

— Ależ z panem się trudno dogadać!

— I pan bardzo żałuje, że tu trafiłem. Nie jest pan wcale pewny, czy postępuje pan słusznie. Wszystko zaczyna się wymykać spod kontroli, ale pan w dalszym ciągu stara się wierzyć w czystość eksperymentu. Gdyby nie ja, dawno już zgodziłby się pan na zabicie dziewczyny. Tym bardziej, że stanowi ona interesujący obiekt dla anatomopatologów.

— Ma pan rację — sucho odpowiedział młodzieniec.

Starszy czekał, głęboko przekonany o słuszności swego postępowania.

— Nie mogę wtrącać się w ich decyzje — dodał młodzieniec. Pawłysz milczał. Zdecydował, że nie odda Strugi w ich ręce, choćby bardzo nie podobało się to wojownikom, Starszemu i bezcielesnemu misjonarzowi.

Gdzie jest Kolec?! Gdyby to on był w łódce...

— Co zrobicie z dziewczyną?

— Wypełnię wolę duchów — odpowiedział Starszy, a Pawłyszowi zdawało się, że się przy tym leciutko uśmiechnął. Bogowie są wszechmocni, ale od czasu do czasu da się ich ocyganić. Najlepiej niech sądzą, że Starszy jest im bezwarunkowo posłuszny.

— A więc ją wypuść — wtrącił się Pawłysz.

Starszy był zdumiony. Odpowiedział młodzieńcowi, nie zwracając uwagi na Pawłysza:

— Duchy mówią: „Starszy karze winnych i daje ludziom pożywienie. Jeżeli Starszy nie będzie karał winnych, zostanie zabity. Kto wtedy da ludziom jeść?”

— Niech pan odda Strugę mnie — powiedział Pawłysz po rosyjsku.

— Po co ona panu? Weźmie ją pan na Ziemię? Zamknie w zoo?

— Nie. Będzie żyła na tej planecie. Pomogę jej znaleźć plemię ojca.

— Niech będzie ofiarą dla Wielkiego Ducha — wyszeptał Starszy. — Wielki Duch lubi ofiary.

— Rób, jak uważasz — powiedział młodzieniec.

— Przyniesiemy jej ciało do świątyni. I ciało jej matki. — Starszy znów skłonił się przed duchem. — Spojrzysz w ich wnętrza i odczytasz znaki losu.

Struga oprzytomniała. Wsparła się na łokciu i zobaczyła Pawłysza.

— Duchu — jęknęła — gdzie Kolec? Boli mnie!

— Uspokój się. — Pawłysz pogładził ją po głowie. — Kolec przyjdzie.

— Niech pan nie mówi od rzeczy — odezwał się młodzieniec. Zszedł ze schodów i zbliżył się do Strugi.

Wojownicy i Starszy przyglądali mu się bacznie. Pawłysz spojrzał w górę. Wedle jego obliczeń ludzie z dłubanki powinni pojawić się już u wejścia do pieczary. Wydawało mu się, że ciemna sylwetka mignęła na skraju urwiska i znikła.

W dole, nad potokiem, stali mieszkańcy wsi.

Deszcz prawie się skończył i wiatr rozpędzał chmury.

— Przecież może pan powiedzieć, że Struga jest panu potrzebna w świątyni! — krzyknął rozpaczliwie Pawłysz, chcąc zyskać na czasie.

— Prawa, którymi kierują się żyjące tu istoty, są ponad moimi i pana życzeniami, Pawłysz!

— To przecież wy stanowiliście prawa!

Na górze pojawili się ludzie. Pawłysz starał się nie pokazywać po sobie, jak bardzo interesuje go wejście do pieczary.

— Prowadź ją! — rozkazał młodzieniec. Potem spojrzał na Pawłysza. W głosie jego dzwięczał smutek. — Jest pan tu obcy, nie rozumie pan psychiki tych istot, chce pan złamać ich życie, wepchnąć z powrotem w otchłań dzikości. Czym się pan kieruje?

Na znak Starszego wojownicy złapali Strugę pod pachy.

— Duchu! — powiedziała do Pawłysza. — Zabiją mnie!

— Nie! — wrzasnął Pawłysz, starając się krzykiem odwrócić uwagę wojowników od pełnących po ścieżce ludzi. Za moment pojawią się zza zakrętu.

— Mówię ci...

Nie zdążył dokończyć.

Kolec stał przy zakręcie, parę metrów nad ścieżką. Kręcił procą i Pawłyszowi wydał się podobny do młodego Dawida.

Kamień uderzył Starszego w ramię. Starszy odwrócił się, próbując dostrzec, skąd pocisk nadleciał, ale nie zdążył, bo stojący obok Kolca człowiek przygwoździł go do ziemi dzirytem.

Wojownicy rzucili się w górę, zapomniawszy o Strudze i duchach. Ale tylko dwóm udało się dotrzeć do Kolca, bo dziryty myśliwych trafiały ich w biegu. Na górze rozpoczęła się walka. Kolec, wyrwawszy się wojownikom, wielkimi skokami pędził na dół, do Strugi...

Słońce chowało się za horyzontem, kiedy Pawłysz wyszedł z pieczary i zatrzymał się przy stercie kamieni.

Kolec stał z tyłu. Odprowadził Pawłysza do wyjścia.

— Wrócisz, duchu? — zapytał.

— Postaram się — odpowiedział Pawłysz — ale nie mogę obiecać.

— Powiem we wsi, że wrócisz — powiedział z przekonaniem Kolec.

— Niech będzie! — Pawłysz uśmiechnął się.

— Daj mi światło...

— Jakie światło?

Kolec wskazał zapasową latarkę.

— Po co ci?

— Pójdę nocą w dolinę. Biała Śmierć boi się światła.

— Biała Śmierć nie żyje.

— Są inne zwierzęta.

Kolec tak bardzo chciał mieć latarkę, chciał uczestniczyć w wielkich czarach!

— Mogłem sam zabrać. Nie widziałeś — powiedział. — Ale nie wziąłem.

— Twoje dobre serce, młody człowieku, przechodzi ludzkie pojęcie — zauważył po rosyjsku Pawłysz, wyłączwszy „lingwistę”.

Kolec nie zrozumiał go, wyciągnął rękę. Pawłysz odpiął latarkę i podał ją chłopcu. Ten nacisnął guziczek, światło latarki w dzień było niewidoczne i Kolec skierował je w głąb pieczary.

— Dobre światło — powiedział. — Idę. Ludzie Obcego zaczną ucztę beze mnie. To nie będzie dobrze.

— Rzeczywiście, nie byłoby to najlepsze — zgodził się Pawłysz. — Mogą wszystko zjeść.

— Nie, wszystkiego nie zjedzą — poważnie odpowiedział Kolec. — Jestem wielkim myśliwym i wielkim wojownikiem. Zostawię dla mnie jedzenie.

— W porządku, idź już, bohaterze — zaśmiał się Pawłysz. — Pilnuj, żeby Struga leżała i niech staruszka da jej ziola.

— Wiem — odpowiedział Kolec. I poszedł. Odwrócił się i odszedł. W dolinie nie umieli jeszcze mówić „do widzenia”. A poza tym Kolec, choć uważał się za wielkiego myśliwego, wcale nie był pewien, czy rzeczywiście zostawią mu mięso.

Nad rzeką Pawłysz zatrzymał się. Woda już opadła, ale wciąż jeszcze była mętna. Trzeba będzie wejść do rzeki. Pawłysz sprawdził, czy dobrze przymocował kamery.

— Odszedł pan, kiedy mnie nie było — usłyszał za sobą. Młodzieniec, jak przystało duchowi, zbliżył się bezszelestnie. — Biegnę za panem od samej świątyni. To wymaga wiele energii.

— Nie mamy już chyba o czym rozmawiać.

— Jeszcze tylko jedno pytanie.

— Słucham?

— Pan wyłączył drugi ekran? I widział pan, jak dzicy podchodzili do doliny?

— Sam pan mnie przestrzegał przed wtrącaniem się w życie wsi!

— Gdyby nie pan, Kolec nigdy nie odnalazłby plemienia Obcego.

— Niech każdy z nas pozostanie przy swoim zdaniu — powiedział Pawłysz i zrobił krok do

przodu. Woda obmywała jego ciężkie buciory. — Jestem przekonany, że jeżeli historia z Kolcem nie wydarzyłaby się teraz, to nastąpiłaby za tydzień, za rok, za dwa. Ale i tak musiałyby się przydarzyć. Zaprojektowaliście eksperyment z myślącymi istotami, biorąc pod uwagę tylko ich instynkty. Chcieliście zmienić dzikusów w istoty rozumne, odbierając im przy tym prawo do korzystania z rozumu. Szczerze mówiąc, jestem zadowolony, że tak się stało. A żeby to wszystko dotarło do pana, potrzebne były aż tak dramatyczne wydarzenia...

— Ma pan trochę racji — zgodził się młodzieniec. Szedł obok Pawłysz, ledwie tykając stopami wody. — Każdy ma prawo się mylić.

— Jeżeli będziecie wybierać nowego wodza, weźcie pod uwagę, że Kolec lubi się przechwalać.

— Myślałem o tym wszystkim. Lepiej by chyba było, żeby pan się tu nie pojawił. Do widzenia!

— Żegnam — odpowiedział Pawłysz. — Nie żałuję, że tu przyszedłem. Przynajmniej nie uda się wam znowu odciąć doliny od reszty planety. Ludzie będą mieli dużo mięsa, a ich świat stanie się obszerniejszy.

— Tak, trzeba będzie przerwać eksperyment. Ale dalej będziemy prowadzić obserwację.

— Jasne, obserwować trzeba — zgodził się Pawłysz.

Woda sięgała mu już do pasa, wciągała w głąb, a idący po falach młodzieniec przemawiał z góry, jakby z nieba.

Pawłysz ruszył do przodu i zanurzył się po pierś. Potem woda przykryła mu głowę.

Kiedy wyszedł na drugi brzeg, młodzieńca już nie było.

*Przełożyła Anita Tyszkowska*

# Noty o autorach

## **KIRYŁ (KIR) BUŁYCZOW** (ur 1934 w Moskwie)

Literacki pseudonim Igora Wsiewołodowicza Możejki Ukończył Instytut Języków Obcych, doktoryzował się w Instytucie Orientalistyki Akademii Nauk ZSRR Przez pewien czas pracował jako korespondent APN w Ghanie i Birmie, obecnie jest profesorem w Instytucie Orientalistyki AN ZSRR

Jest autorem wielu prac z zakresu historii i historii sztuki. W fantastyce naukowej debiutował w 1966 roku opowiadaniem *Kogda wymierli dinosanry* W 1967 r rozpoczął drukowanie powieści o Alicji — „dziewczynie, której nigdy nie stanie się nic złego” — zebranych w tomie *Diewoczka s Ziemi* („Podróże Alicji” 1978) Pierwsza powieść Bułyczowa, *Miecz gienierała Banduly*, ukazała się w 1968 roku, a druga, *Posledniaja wojna*, w 1970. W 1972 r wydany został pierwszy tom opowiadań „guslarskich” *Czudiesa w Guslarie*, a w dwa lata później następny, *Ludi kak ludi*. W 1976 r ukazała się nowela *Żurawli w rukach* („Żuraw w garści” 1977), w 1978 — *Sto lat tomu wpieriod* („Było to za sto lat” 1983) W 1983 roku „Iskry” wydały z maszynopisu powieść *Gorod Nawierchu* („Miasto na Górze”), a w tym samym roku w ZSRR opublikowano zawierający trzy nowele tom *Piewiewał* („Przełącz” — Fantastyka nr 4(7) 1983 i „Dzikusy. Białe skrzydła Kopciuszka” 1985) Najnowsza powieść Bułyczowa *Agient KF* była drukowana w odcinkach w miesięczniku *Chmija i żizń* 1984.

Wiele utworów Bułyczowa ukazało się na łamach czasopism, w almanachach i antologiach. Igor Możejko jest również autorem scenariuszy filmowych, za które otrzymał Nagrodę Państwową II stopnia.

Na język polski, obok wspomnianych utworów, przełożono dwa wybory opowiadań — „Ludzie jak ludzie” 1976 i „Retrogenetyka i inne opowiadania” 1983, powieści — „Rycerze na rozdrożach” 1979, „Milion przygód” 1985 oraz opowiadania w zeszytach fantastyczno–naukowych „Iskier” zatytułowanych „Listy z laboratorium”, „Cudza pamięć”, „Guslar–Neapol”, „Nie drażnić czarownika” — wszystkie w 1985 r.

„Biała śmierć” pochodzi z almanachu *Naucznaia fantastika* nr 11/1972, „Wielki Guslar Krótki przewodnik”. „Świeży transport złotych rybek” i „Nieśmiały susza” z tomu „Ludzie jak ludzie” 1976

## **MARIETTA CZUDAKOWA** (ur 1937)

Ukończyła Uniwersytet Moskiewski. Doktor nauk filologicznych. Członek Związku Pisarzy ZSRR Jest autorką prac o M. Bułhakowie, M. Zoszczence, książki *Biesiedy ob archiwach*. Jedyne jej opowiadanie SF „Przestrzeń życia” — „Kroki a nieznanne t 2 1971 zostało zamieszczone w wielu antologiach i przetłumaczone m.in. na angielski, niemiecki, szwedzki, czeski, bułgarski.

## **ANATOI U DNIEPROW** (ur 1919 w Dniepropietrowsku zm. 1976)

Literacki pseudonim Anatolija Mickiewicza. Tuż przed wybuchem wojny ukończył Wydział Matematyczny Uniwersytetu w Dniepropietrowsku. Pierwsze opowiadanie SF napisał w 1946 roku, ale dopiero od 1958 rozpoczął regularną pracę pisarską. W 1960 ukazał się pierwszy tom jego

opowiadań *Urawnienie Maxwella* Następnie opublikował *Mir w ktorom ja iszcz* 1963 *Formuła biessmiertija* skąd pochodzi opowiadanie *Twarzą do ściany* 1963 *Purpurnaja mumija* 1965 *Proroki* 1971 Na podstawie opowiadania *Kraby idut po ostrowu* 1959 ( *Dywersja krabów tygodnik Dookoła świata* 1959) zrealizowano film telewizyjny.

Anatolij Dnieprow uważany jest za jednego z najbardziej oryginalnych i ciekawych radzieckich pisarzy fantastyczno naukowych lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych

### **SEWER GANSOWSKI** (ur. 1918 w Kijowie)

Był jungą i marynarzem a następnie pracował jako elektromonter w Leningradzie kończąc jednocześnie średnią szkołę wieczorową. W 1941 roku wstąpił na ochotnika do wojska. Walczył jako strzelec wyborowy i zwiadowca w piechocie morskiej. Ciężko ranny został zdemobilizowany i pracował w Kazachstanie w stadninie koni. Po zakończeniu wojny powrócił do Leningradu i studiował na Wydziale filologicznym Uniwersytetu Leningradzkiego. Obecnie mieszka w Moskwie.

Prace literackie rozpoczął już w czasie studiów publikując swe utwory w czasopismach. W latach pięćdziesiątych ukazały się dwa tomy jego opowiadań wydane przez Dietgiz Jest autorem wielu zbiorów opowiadań powieści i sztuk teatralnych. Od 1963 roku podjął również w swej twórczości tematykę fantastyczno naukową, publikując tom opowiadań *Szagi w niezwiestnoje* Od tamtej pory wydał m.in. *Szest gienijew* 1963 *Tri szaga k opasnosti* 1969 *Idiot czelowiek* 1971 *Człowiek kotoryj sdielał Baltijskoje Morie* 1981

Polskiemu czytelnikowi znany jest z kilku opowiadań drukowanych w czasopismach i antologiach oraz powieści „Część tego świata” opublikowanej w *Problemach* 1978

### **ARIADNA GROMOWA** (1916–1981)

Z wykształcenia filolog. Od połowy lat trzydziestych zajmowała się pracami literaturoznawczymi, krytyką literacką i dziennikarstwem. W roku 1958 wydała swą pierwszą książkę poświęconą kijowskiemu ruchowi oporu w czasie II wojny światowej.

W fantastyce zadebiutowała w 1959 roku wydaną wspólnie z W. Komarowem powieścią *Po sliedam niewiadomogo* („Na tropie tajemnic” 1963) Drukowała nowele i opowiadania w almanachach i antologiach SF. Jej powieści to *Pojedinok z soboj* 1962 („Pojedynek z samym sobą” 1965) *Glegi* 1962, *W krugie swieta* 1965 *My odnoj krwi — ty i ja!* 1967 Opowiadanie „Bardzo dziwny świat” pochodzi z almanachu „Kroki w nieznanie” t. 1 1970.

### **IWAN JEFRIEMOW** (1907–1973)

Ukończył Wydział Biologu Uniwersytetu w Leningradzie w 1924 roku, pracował jako laborant i studiował zaocznie w Instytucie Górnictwa. Brał udział w licznych ekspedycjach geologicznych i paleontologicznych. Za działalność naukową otrzymał Nagrodę Państwową. Profesor paleontologii.

Działalność literacką rozpoczął stosunkowo późno debiutując w 1944 roku zbiorem opowiadań *Wstriecza nad Tuskaroroj*. Początkowo związany był z nurtem fantastyki bliskiego zasięgu i podejmował w swych opowiadaniach przede wszystkim tematy związane z geologią, paleontologią, górnictwem itp. (np. tom *Bielyj rog* 1945). Jednakże już od 1948 roku Jefriemow w twórczości swej sięga daleko w przyszłość i przeszłość stając się inicjatorem odrodzenia fantastyki w ZSRR. Jego powieść *Tumannost Andromedy* 1957 („Mgławica Andromedy” 1961) przedstawiona w niej filozoficzno socjologiczna wizja systemu komunistycznego koncepcja tzw. Wielkiego Pierścienia zdobyły sobie olbrzymią popularność i do tej pory inspirują radzieckich fantastów. W swych utworach Jefriemow często podejmuje również problemy etyki i estetyki chętnie sięga do antyku.

Poza wspomnianymi już utworami warto wymienić również zbiór opowiadań *Zwiedznyje korabli* 1948 („Gwiezdne okręty” 1949) powieści — *Lezwije britwy* 1963 *Jelinskij siekriet* 1966 („Tajemnica Hellenów”) *Czas Byka* 1970 i wydaną pośmiertnie *Tais Afinskaja* 1973. Ogółem do 1983 roku utwory Jefriemowa ukazały się w języku rosyjskim w 51 wydaniach o łącznym nakładzie 8 156 000 egzemplarzy (bez publikacji w czasopiśmie). Jego twórczość do tej pory wywiera ogromny wpływ na część radzieckiej fantastyki naukowej.

### **ALEKSANDER KAZANCEW** (ur 1906 w Akmolińsku obecnie Celinograd)

Po ukończeniu w 1930 roku Politechniki w Tomsku pracował najpierw jako główny mechanik w Białoreckim Kombinacie Metalurgicznym a następnie w Moskwie w instytutach naukowo-badawczych i biurach projektów. W 1939 roku był naczelnym inżynierem ekspozycji przemysłowej w radzieckim pawilonie na Wystawie Światowej w Nowym Jorku. W czasie wojny kierował wojskowym instytutem naukowo badawczym a po jej zakończeniu w stopniu pułkownika był głównym pełnomocnikiem w radzieckim Komitecie ds. Uzbrojenia w Wiedniu. Od 1946 roku całkowicie poświęcił się pracy literackiej.

Zadebiutował scenariuszem filmu fantastyczno–naukowego za który otrzymał pierwszą nagrodę na Wszechzwiązkowym Konkursie Młodych Pisarzy. Scenariusz ten stał się podstawą jego pierwszej niezwykle popularności w ZSRR powieści *Pyliajuszczij ostrow* 1940. Drugą powieścią był *Arkticzeskij most* 1946. Od tej pory opublikował wiele powieści m.in. *Mol Siewiernyj* 1952 *Silnieje wriemieni* 1973, *Faety* 1974. Kazancew był przedstawicielem nurtu technicystycznego w fantastyce, obecnie jednak jego ulubionym tematem są biografie słynnych ludzi (Cyrano de Bergerac, Campanilla, Pierre de Fermat) przedstawione w konwencji fantastyczno–naukowej (np. powieść *Ostrije szpagi* 1984)

W 1976 roku na III Euroconie w Poznaniu otrzymał nagrodę za całokształt twórczości a w 1981 jedyną radziecką nagrodę SF — „Aelitę” (wspólnie z Arkadijem i Borysem Strugackimi)

Opowiadanie „Wybuch” pochodzi z 14 t. *Biblioteeki sowriemiennoj fantustiki* 1967.

### **WŁADIMIR MICHAJŁOW** (ur 1929)

Ukończył studia prawnicze. Pracował w organach śledczych i aparacie partyjnym. Studiował zaocznie na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Łotewskiego. Zadebiutował w 1957 roku utworami satyrycznymi.

Pierwszą krótką powieść fantastyczno–naukową *Osobaja nieobchodimost’* opublikował w 1962 roku w Rydze. W łotewskich wydawnictwach ukazały się dalsze jego książki SF — *Ludi prziemielja* 1966 *Czornyje korabli* 1967 *Ludi i korabli* 1967 *Istok* 1972 *Dwier’s toj storony* 1974, dylogia *Storoż bratu mojemu* 1976 i *Togda priditie i rassudim* 1984 oraz *Stiebielok i dwa rostka* 1984. Poza tym w serii *Bibliotieka sowietskoj fantastiki* opublikowano w 1971 roku tom opowiadań *Ruczej na Japietie*. Opowiadanie „Spotkanie na Japecie ukazało” się w t 3 „Kroków w nieznanie” 1972.

### **ALEKSANDER MIRIER** (ur. 1927 w Moskwie)

Inżynier konstruktor, pracował w jednym z moskiewskich instytutów naukowo–badawczych.

Debiutował w 1965 roku opowiadaniem *Budiet choroszyj dien* opublikowanym w 11 tomie almanachu *Mir pnirklučenij*. Jego utwory drukowane były w czasopiśmie antologiach i almanachach. W 1976 roku ukazała się powieść *Dom skitalcow*. Młodym polskim czytelnikom znana jest jego powieść SF „Błękitny wieloryb” 1971. „Obsydianowy nóż” pochodzi z almanachu



## ARKADIJ STRUGACKI i BORYS STRUGACKI

Arkady (ur. 1925) ukończył w 1949 roku japonistykę w akademii wojskowej. Po zakończeniu służby kontynuował studia. Obecnie jest wybitnym specjalistą w zakresie filologii japońskiej. Mieszka w Moskwie.

Borys (ur. 1933) ukończył Wydział Matematyczno–Mechaniczny na Uniwersytecie w Leningradzie. Mieszka i pracuje w Leningradzie, gdzie prowadzi również seminarium dla początkujących pisarzy fantastów.

Strugaccy zaliczani są do grona najwybitniejszych twórców literatury fantastyczno–naukowej w ZSRR. Cieszą się wielkim uznaniem również poza granicami swojego kraju, czego wyrazem była m.in. nagroda VII Euroconu (1982) za całokształt twórczości.

Debiutowali w 1959 roku powieścią *Strana bagrowych tucz* („Kraina purpurowych obłoków 1961) Następne powieści to min *Trudno byt' bogom* 1964 („Trudno być bogiem” 1974) *Poniedielmk naczinajetsia w subbotu* 1965 („Poniedziałek zaczyna się w sobotę” 1970) *Otiel U pogibszego alpinista* 1970 („Sprawa zabójstwa” 1973) *Piknik na oboczinie* (Piknik na skraju drogi 1974 a razem z utworem „Las” w 1979) *Parień iz priispodniej* („Przyjaciel z piekła 1979) Napisali również cykl powieściowy o Maksymie Kammererze *Obitajemyj ostrow* 1971 („Przenicowany świat” 1971) *Żuk u murawiejnikie* 1979 („Żuk w mrowisku” 1983) i *Wolny gasiat wietier* 1985.

„Eunomia. Niszczyciele planet” pochodzi z tomu *Stażory* 1968 a „Spotkanie” z I t. almanachu „Kroki w nieznanie”.

## WADIM SZEFNER (ur. 1915 w Piotrogradzie, obecnie Leningrad)

Mieszka i pracuje w Leningradzie. Jeden z najlepszych i najwyżej cenionych radzieckich poetów i prozaików. W literaturze fantastyczno–naukowej zadebiutował nowelą *Skromnyj giienij* („Skromny geniusz” — „Okno w nieskończoność” 1980). Wydał następnie zbiory opowiadań SF *Sczastliwyj nieudacznik* 1965 *Zapozdałyj strielok* 1968. W 1970 roku w 19 tomie *Biblioteki sowriemiennoj fantastiki* opublikowano powieść *Diewuszka u obrywa* („Dziewczyna nad urwiskiem” 1985) która weszła również jako utwór tytułowy do wydanego w 1971 roku tomu utworów Szeffnera. Trzy lata później (1974) ukazał się kolejny zbiór opowiadań zatytułowany *Skromnyj geni.j* Ostatnio opublikował powieść *Łaczuga dolźnika* 1984.

Czytelnikom polskim znane są też utwory Szeffnera takie jak „Kulista tajemnica” 1975, „Chłopiec z pięcioma nie” 1975. „Siostra smutku” 1978, „Zapiski posiadacza zębów” 1983

## ILJA WARSZAWSKI (1909–1974)

W wieku 16 lat wstąpił do Szkoły Morskiej w Leningradzie, a po jej ukończeniu był oficerem radzieckiej marynarki handlowej. Następnie aż do 1962 roku pracował jako inżynier konstruktor w instytucjach badawczych i biurach projektów. Mieszkał i pracował w Leningradzie.

Utwory SF zaczął pisać dopiero w 1961 roku. Był autorem wielu opowiadań i powieści, często o humorystycznym lub satyrycznym charakterze. Wydał m.in. zbiory utworów *Molekularnoje kafe* 1964, *Czelowiek kotoryj widiel antimir* 1965, *Sołnce zachodit w Donomagie* 1966 *Ławka snowidienij*, skąd pochodzi opowiadanie „Pętla histerezy”, 1971, *Triewożnych simptomow niet* 1972.

Polskiemu czytelnikowi znany jest z wielu przekładów drukowanych w czasopiśmie, antologiach, almanachu „Kroki w nieznanie” (z t 2 pochodzi „Wycieczka do Pennfield”, z t 3

\* Pocisk ze środkiem usypiającym używany w celu chwytania niebezpiecznych zwierząt żywcem.

\* First — pierwszy (ang.)